

DAVID HEWSON

DOCHODZENIE

NA MOTYWACH SCENARIUSZA
NAJLEPSZEJ PRODUKCJI KRYMINALNEJ
OSTATNICH LAT - SERIALU

THE KILLING



DAVID HEWSON

DOCHODZENIE

**NA MOTYWACH SCENARIUSZA
SERIALU TELEWIZYJNEGO
SØRENA SVEISTRUPA**

THE KILLING

ZDOBYWCY NAGRODY BAFTA

Przełożyła

EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

Tytuł oryginału: *The Killing*

Copyright © David Hewson 2012

Based on Søren Sveistrup's FORBRYDELSEN (THE KILLING) – an original Danish Broadcasting Corporation Tv series co-written by Torleif Hoppe, Michael W. Horsten and Per Daumiller

The right of David Hewson to be identified as the author of this work has been asserted by him in accordance with the Copyright, Design and Patents Act 1988

Copyright © for the translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2013

Redaktor prowadzący: Dorota Koman

Redakcja: Irma Iwaszko, Dorota Koman

Korekta: Dorota Koman

Projekt okładki, opracowanie typograficzne: Anna Pol

Zdjęcie na okładce: Copyright © Arcangel-Images

Zdjęcie autora: Copyright © Mark Bothwell

Zdjęcie Sofie Gråbøl: Copyright © DR/Time Harden

ISBN 978-836-365-683-6

Wydanie elektroniczne 2013

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a, 01-540 Warszawa

tel./faks: 48 22 839 91 27, 48 696 451 127

redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI_

PODZIEKOWANIA

GŁÓWNI BOHATEROWIE

POLICJA KOPENHASKA

RODZINA BIRK LARSENÓW

RATUSZ – POLITYCY I URZĘDNICY

LICEUM FREDERIKSHOLM

INNI

1

2

PONIEDZIAŁEK, 3 LISTOPADA

3

WTOREK, 4 LISTOPADA

4

ŚRODA, 5 LISTOPADA

CZWARTEK, 6 LISTOPADA

5

PIĄTEK, 7 LISTOPADA

SOBOTA, 8 LISTOPADA

NIEDZIELA, 9 LISTOPADA

6

PONIEDZIAŁEK, 10 LISTOPADA

WTOREK, 11 LISTOPADA

7

ŚRODA, 12 LISTOPADA

CZWARTEK, 13 LISTOPADA

PIĄTEK, 14 LISTOPADA

8

SOBOTA, 15 LISTOPADA

9

NIEDZIELA, 16 LISTOPADA

PONIEDZIAŁEK, 17 LISTOPADA

10

WTOREK, 18 LISTOPADA

11

ŚRODA, 19 LISTOPADA

12

CZWARTEK, 20 LISTOPADA

13

PIĄTEK, 21 LISTOPADA

14

Non nobis solum nati sumus.
„Nie dla siebie samych na świat przyszliśmy”.

[Cycero, *O powinnościach do Marka Syna Xiąg troje*, przeł. E. Rykaczewski.]

PODZIĘKOWANIA_

Stworzenie epickiego kryminału z epickiej telewizyjnej tragedii kryminalnej to wyczyn nie lada, zwłaszcza jeśli akcja rozgrywa się w kraju, którego nigdy wcześniej nie odwiedziłem, odległego o miliony kilometrów od ciepłego, przyjaznego klimatu Włoch, gdzie umieszczam bohaterów większości moich książek. Nie wyruszylibym w tę podróż, gdyby nie ogrom bezinteresownej pracy oddanych ludzi związanych z tym przedsięwzięciem, zarówno w Danii, jak i Wielkiej Brytanii.

Søren Sveistrup, twórca serialu, życzliwie poświęcił mi czas w trakcie kręcenia trzeciej serii *Dochodzenia*, by wprowadzić mnie w swoje zamysły, a potem szczerze doradzać przy podejmowaniu decyzji, gdy już przenosiłem opowieści z ekranu na papier. Susanne Bent Andersen, przedstawicielka mojego duńskiego wydawcy, Engstrom, pomogła mi poznać Kopenhagę i jej kulturę, podobnie jak zawsze uczynny agent Sorena, Lars Ringhof. Pomogło mi też w tym wiele osób, których nazwisk nie dałbym rady wymienić, z Komendy Głównej Policji w Kopenhadze, Ratusza i innych instytucji.

W Wielkiej Brytanii z kolei mój wydawca Trisha Jackson i jej koledzy z Pan Macmillan – zdeklarowani wielbiciele Sarah Lund – stanowili

niewyczerpane źródło porad, opinii i zachęt, podobnie jak wielu „cywilnych” fanów serialu. Spośród tych ostatnich muszę wyrazić szczególną wdzięczność wobec Keitha Blounta, nie tylko za wkład w tę opowieść, lecz także za stworzenie programu dla pisarzy, Scrivener, dzięki któremu miałem szansę zachować kontrolę nad trzema wątkami narracji (w ogóle nie wyobrażam sobie, jak bez Scrivenera mógłbym się podjąć realizacji tak ogromnego przedsięwzięcia).

A wszelkie zmiany pierwotnej historii – konieczne, ponieważ książki i telewizja to nie to samo – to wyłącznie moje dzieło.

Dziękuję,

David Hewson

GŁÓWNI BOHATEROWIE_

POLICJA KOPENHASKA_

Sarah Lund – podkomisarz policji kryminalnej, Wydział Zabójstw

Jan Meyer – podkomisarz policji kryminalnej, Wydział Zabójstw

Hans Buchard – nadinspektor, szef Wydział Zabójstw

Lennart Brix – zastępca Bucharda, Wydział Zabójstw

Svendsen – detektyw, Wydział Zabójstw

Jansen – technik kryminalistyki

Bülów – oficer śledczy

RODZINA BIRK LARSENÓW_

Theis Birk Larsen – ojciec

Pernille Birk Larsen – matka

Nanna Birk Larsen – córka Theisa i Pernille

Anton Birk Larsen – syn Theisa i Pernille

Emil Birk Larsen – syn Theisa i Pernille

Lotte Holst – młodsza siostra Pernille

RATUSZ – POLITYCY I URZĘDNIKY_

Troels Hartmann – przewodniczący Stronnictwa Liberalnego i zastępca burmistrza do spraw edukacji
Rie Skovgaard – doradca polityczny Hartmanna
Morten Weber – szef kampanii wyborczej Hartmanna
Poul Bremer – burmistrz Kopenhagi
Kirsten Eller – przewodnicząca Partii Centrum
Jens Holck – przewodniczący Ugrupowania Umiarkowanego
Mai Juhl – przewodnicząca Partii Zielonych
Knud Padde – szef komitetu partyjnego Stronnictwa Liberalnego
Henrik Bigum – członek komitetu Stronnictwa Liberalnego
Olav Christensen – urzędnik Wydziału Edukacji
Gert Stokke – kierownik w Wydziale Środowiska Holcka

LICEUM FREDERIKSHOLM_

Oliver Schandorff – uczeń, były chłopak Nanny
Jeppe Hald – uczeń
Lisa Rasmussen – uczennica
Pani Koch – dyrektor szkoły
Rahman Al-Kemal – nauczyciel zwany Ramą
Henning Kofoed – nauczyciel

INNI_

Hanne Meyer – żona Jana Meyera
Carsten – były mąż Lund
Bengt Rosling – kryminolog, obecny chłopak Lund
Mark – syn Lund

Vagn Skærbæk – przyjaciel Birk Larsena i wieloletni pracownik jego firmy

Leon Frevert – taksówkarz i pracownik dorywczy Birk Larsena

Amir El' Namen – syn właściciela indyjskiej restauracji, przyjaciel Nanny z dzieciństwa

John Lynge – kierowca pracujący dla sztabu wyborczego Troelsa Hartmanna

Przez ciemny las, w którym bezlistne drzewa nie dają żadnego schronienia, biegnie Nanna Birk Larsen.

Ma dziewiętnaście lat, dyszy, dygocze w kusej, podartej halce, bose stopy grzęzną w lepkim błocie.

Bezlitosne korzenie smagają jej kostki, gałęzie rozrywają skórę bladych rąk, którymi wymachuje w powietrzu. Upada, z wysiłkiem wydostaje się z ohydnych, wilgotnych wykrotów, próbuje się uspokoić, nie szczekać zębami, myśleć, nie tracić nadziei, ukryć się.

Śledzi ją bystre oko, tropi niczym myśliwy rannego jelenia. Prześlizguje się powolnymi, coraz węższymi zygzakami przez pustkowie Pinseskoven, przez Las Zielonoświątkowy.

Nagie srebrne pnie wyrastają z jałowej gleby niczym kończyny ciał zastygłych przed wiekami w ostatnim spazmie.

Kolejny upadek, najgorszy. Ziemia ucieka jej spod nóg. Ręce młóca, dziewczyna krzyczy z bólu i rozpacz, zwała się do obrzydliwego, lodowatego rowu, czuje, jak jej głowa, ręce, łokcie, kolana obcierają się o twardą, niewidoczną ziemię, która czai się na dnie.

Lodowata woda, strach, jego obecność gdzieś niedaleko...

Nanna zatacza się, zdyszana wydostaje się z grzęzawiska, wspina na brzeg, wbija bose, podrapane i krwawiące stopy w błotnistą ziemię, by znaleźć oparcie w mazi przeciskającej się przez palce.

Trafia na drzewo. Kilka ostatnich jesiennych liści muska jej twarz. Pień jest większy niż pozostałe i gdy dziewczyna obejmuje go ramionami, myśli

o Theisie, swoim ojcu, wielkim mężczyźnie, cichym, posępnym, solidnym i niewzruszonym bastionie chroniącym przed światem zewnętrznym.

Chwyta drzewo, lgnie do niego, tak jak kiedyś do ojca. Silna jego siła, oddająca mu w zamian swoją. Nic innego się nie liczy.

Z bezkresnego nieba spada niski skowyt. Jasne, wszechwidzące światła odrzutowca wymykają się grawitacji, uciekają z Kastrup, z Danii. Jego ulotna obecność oślepia. W niemiłosiernej jasności Nanna Birk Larsen sięga palcami do swojej twarzy. Wyczuwa ranę biegnącą od lewego oka do policzka, dokuczliwą, otwartą, krwawiącą.

Czuje go. Czuje jego zapach. Na sobie. W sobie.

Przez ten ból i strach wznosi się gorący i gwałtowny płomień wściekłości.

„Wykapany Theis”.

Wszyscy tak mówili, gdy dawała im powód.

Jesteś Nanna Birk Larsen, dziecko Theisa i Pernille, i umkniesz nocą potworowi, biegnąc przez Las Zielonoświątkowy na obrzeżach miasta. Kilka długich kilometrów stąd leży ciepłe, bezpieczne miejsce zwane domem.

Nanna wstaje i chwyta się pnia, tak jak kiedyś chwytała się ojca, ramionami dotyka łuszczącej się srebrnej kory, blade chucherko oblepione brudem i krwią, drżące, ciche, przekonuje siebie samą, że za ciemnym lasem i martwymi drzewami, które nie dają schronienia, znajdzie wybawienie.

Biały promień znowu ją obejmuje. To nie jest potok jasności spływający z brzucha samolotu, który leci ponad pustkowiem jak wielki mechaniczny anioł próżno szukający zagubionej duszy spragnionej ratunku.

Biegnij, Nanno, biegnij – krzyczy głos.

Biegnij, Nanno, biegnij – myśli dziewczyna.

Dosięga ją światło latarki, pojedyncze oślepiające oko. Jest tutaj.

2_

PONIEDZIAŁEK_

3 LISTOPADA_

– Na tyłach – powiedział gliniarz. – Jakiś bezdomny ją znalazł.

Siódma trzydzieści rano. Jeszcze ciemno, deszcz lał pionowymi, lodowatymi strugami. Podkomisarz Sarah Lund stała pod ścianą brudnego ceglanego budynku nieopodal nabrzeża, patrząc, jak mundurowi rozpinają taśmę policyjną.

Ostatnie miejsce zbrodni, jakie oglądała w Kopenhadze. To musiało być morderstwo. A ofiarą musiała być kobieta.

– Budynek jest pusty. Sprawdzamy ten naprzeciwko.

– Ile ona ma lat? – spytała Lund.

Gliniarz, chyba jej nieznany, wzruszył ramionami, po czym starł ręką deszcz z twarzy.

– Czemu pytasz?

Przez ten koszmar – chciałyby powiedzieć. Koszmar, który sprawił, że o szóstej rano z krzykiem siadła wyprostowana jak struna w pustym łóżku. Gdy wstała, Bengt, miły, troskliwy, spokojny Bengt, krzątał się po mieszkaniu, kończąc pakowanie. Mark, jej syn, spał przed telewizorem w swoim pokoju i nawet nie drgnął, gdy zajrzała tam po cichutku. Dzisiaj wieczorem całą trójką mieli wsiąść do samolotu lecącego do Sztokholmu. Nowe życie w innym kraju. Zakręt wzięty. Mosty spalone.

Sarah Lund miała trzydzieści osiem lat, była poważną kobietą, przypatrującą się badawczo światu, nigdy sobie. Zaczynał się jej ostatni dzień w kopenhaskiej policji. Takie kobiety jak ona nie miały koszmarów, nie budziły się w ciemnościach przerażone majakami wykrzywionej w panice młodej twarzy, tak podobnej do niej samej przed laty.

To przydarzało się innym.

– Jasne, po co odpowiadać. – Gliniarz skrzywił się na jej milczenie, podniósł taśmę i poprowadził ją do rozsuwanych metalowych drzwi. – Powiem ci, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Podał jej niebieskie rękawiczki, patrzył, jak je zakłada, potem oparł się ramieniem o rdzewiejący metal. Drzwi odsunęły się, piszcząc jak torturowany kot.

– Dołączę do ciebie za chwilę – rzucił.

Poszła przed siebie, jak zawsze sama, patrząc uważnie jasnymi, szeroko otwartymi oczami, niezmiennie czujna.

Nie wiedzieć czemu gliniarz zasunął drzwi w chwili, gdy ona znalazła się w środku, tak szybko, że tym razem rozległ się koci pisk o ton wyższy. Potem zapadła cisza, zakłócona tylko metalicznym dygotem ciężkiej stali oddzielającej ją od szarego dnia.

Środkiem pomieszczenia biegł korytarz. Wyglądało to na magazyn mięsa. Na belce w równych odstępach wisały haki. Na suficie świecił jeden rząd żarówek. Betonowa posadzka była wilgotna i lśniąca.

Na końcu korytarza coś się poruszyło, zakołysało jak ogromne wahadło.

Trzask niewidocznego przełącznika i nagle zapadła ciemność. Jak w sypialni dzisiaj rano, gdy wybudziła się ze straszego snu.

– Światło! – zawołała.

Jej głos odbił się echem po czarnym i pustym wnętrzu budynku.

– Proszę włączyć światło!

Cisza. Żadnego dźwięku. Była doświadczoną policjantką, zabrała ze sobą wszystko, co powinna, oprócz broni, o której zawsze zapomniała.

Ale w prawej kieszeni miała latarkę. Wyjęła ją teraz i trzymała tak, jak to robią wszyscy gliniarze: prawa ręka w górę, nadgarstek odchylony. Poświeciła przed siebie, zajrzała w zakamarki po bokach.

Ruszyła na łowy. Koce, rozrzucone ubrania, dwie zgniecione puszki po coli, opakowanie po prezerwatywach.

Trzy kroki i nagle stop. Pod prawą ścianą, przy samej podłodze zobaczyła kałużę, szkarłatną i lepłą. Od niej ciągnęły się dwie równoległe linie – krew rozsmarowana tak, jakby po podłodze ciągnięto ciało.

Lund sięgnęła do kieszeni, wyjęła paczkę gum nikotynowych, wrzuciła jedną do ust.

Rzucała nie tylko Kopenhagę. Papierosy też trafiły na czarną listę.

Pochyliła się i wsadziła do lepkiej kałuży palec w niebieskiej rękawiczce. Podniosła go do nosa i powąchała.

Jeszcze trzy kroki i natknęła się na siekierę o stylisku czystym i lśniącym, jakby wczoraj przyniesiono ją ze sklepu. Dwoma palcami dotknęła czerwonej cieczy, która opływała ostrze. Posmakowała, powąchała i zastanowiła się chwilę.

Nigdy nie polubi smaku nicotinel. Poszła dalej.

To coś przed sobą widziała coraz wyraźniej. Kołysało się z boku na bok. Gruba folia umazana na czerwono tak mocno, jakby w środku znajdowało się zaszlachtowane zwierzę.

Zawartość folii miała znajomy, ludzki kształt.

Lund zmieniła pozycję latarki, trzymała ją teraz blisko talii. Kierując promień do góry, badała folię, szukała miejsca, za które mogłaby chwycić.

Szarpnęła, folia opadła, a jej zawartość zakołysała się powoli. Światło latarki pochwyciło znieruchomiałą twarz, męską, usta otwarte w wiekuistym O. Czarne włosy, różowa skóra, monstrualny sztuczny penis we wzwodzie. A na głowie jaskrawoniebieski hełm wikinga ze srebrnymi rogami i złotymi warkoczami.

Lund przechyliła głowę i uśmiechnęła się. Na ich użytek.

Na klatce piersiowej gumowa lala miała kartkę: „Dzięki, szefowo, za siedem cudownych lat. Chłopaki”.

Z ciemności dobiegł śmiech.

Chłopaki.

Niezły kawał. Chociaż mogli się postarać o prawdziwą krew.

Siedziba Politigarden mieściła się w szarym labiryncie na osuszonym terenie nieopodal nabrzeża. Budynek Komendy Głównej, posępny i kanciasty na zewnątrz, w środku otwierał się na owalny dziedziniec otoczony klasyczną kolumnadą, za którą biegła ocieniona arkada. Spiralne klatki schodowe wewnątrz budynku prowadziły do długich korytarzy wyłożonych żyłkowanym czarnym marmurem. Trzy miesiące minęły, zanim nauczyła się poruszać po tym ciemnym labiryncie. Jeszcze teraz czasami musiała się mocno zastanawiać, gdzie się znajduje.

Wydział Zabójstw mieścił się na pierwszym piętrze, od północnego wschodu. Lund siedziała w pokoju Bucharda, słuchając ich żartów, otwierając prezenty, uśmiechnięta, milcząca, w hełmie z kartonowymi rogami i złotymi warkoczami.

Wreszcie podziękowała im i poszła do siebie, by pozbierać swoje rzeczy. Nie miała czasu na certolenie. Uśmiechnęła się do zdjęcia Marka, które trzymała na biurku. Sprzed trzech lat, gdy on miał lat dziewięć, na długo przed tym, jak przyszedł do domu z tym śmiesznym kolczykiem w uchu. Przed – tuż przed – rozwodem. Potem pojawił się Bengt i zaczął ją kusić

wyjazdem do Szwecji i życiem po drugiej stronie smętnych, zimnych wód Sundu.

Mały Mark, nieuśmiechnięty i wtedy, i teraz. To się zmieni w Szwecji. Wszystko się zmieni.

Zgarnęła do lichego kartonu resztę rzeczy z biurka: trzymiesięczny zapas nicotinell, długopisy, temperówkę w kształcie londyńskiego autobusu; na wierzchu położyła zdjęcie Marka.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł mężczyzna.

Spojrzała, osądziła, jak zawsze. Papieros zwisający z kącika ust. Włosy krótkie, twarz poważna. Wielkie oczy, wielkie uszy. Ubranie tanie i trochę zbyt młodzieżowe jak na faceta prawie w jej wieku. Niósł karton bardzo podobny do jej własnego. Dostrzegła plan Kopenhagi, tablicę do minikoszykówki, samochodzik policyjny i słuchawki.

– Szukam gabinetu Lund – powiedział, wpatrując się w hełm wikinga zawieszony na nowych nartach, które podarowano jej przy śniadaniu.

– To tu.

– Jan Meyer. Tu się nosi takie mundury?

– Wyjeżdżam do Szwecji.

Podniosła swoje rzeczy i ruszyła do drzwi. Niezgrabnie próbowali się wyminąć.

– Na miłość Boską... dlaczego? – spytał.

Odstawiła karton, zgarnęła do tyłu długie, brązowe, niesforne włosy, rozejrzała się. Chyba nic nie zostało.

Meyer wyjął tablicę do minikoszykówki, spojrzał na ścianę.

– Moja siostra zrobiła coś takiego – powiedział.

– Co mianowicie?

– Tu jakoś nie mogła się zebrać do kupy, więc przeniosła się z facetem na Bornholm. – Umocował tablicę między szafkami na akta. – Fajny gość.

Nie udało się.

Lund wyjęła z kieszeni gumkę i z niecierpliwością związała włosy w koński ogon.

– Za daleko od cywilizacji. Dostawali kręćka od słuchania całymi dniami krowich pierdów. – Wyjął cynowy kufel do piwa z przykrywką i obracał go w dłoniach. – Ty dokąd jedziesz?

– Do Sigtuny.

Meyer znieruchomiał i wpatrywał się w nią w milczeniu.

– To też bardzo daleko od cywilizacji – dodała.

Zaciągnął się głęboko i wyjął z pudła małą, dziecięcą futbolówkę. Postawił na biurku radiowozik i zaczął nim jeździć w tę i z powrotem. Kiedy kółka się poruszały, włączało się niebieskie światło i wyła syrena.

Ciągle się nim bawił, gdy wszedł Buchard z kartką w rękę.

– Poznaliście się – powiedział. To nie było pytanie.

Miły wujaszek w okularach, obok którego siedziała przy śniadaniu, zniknął.

– Mieliśmy przyjemność... – zaczęła.

– Właśnie to przysłano. – Buchard podał jej raport. – Jeśli jesteś za bardzo zajęta pakowaniem...

– Mam dużo czasu – zapewniła. – Cały dzień...

– Świetnie. Może weźmiesz ze sobą Meyera?

Mężczyzna z kartonem zgasił papierosa i wzruszył ramionami.

– On się rozpakowuje – zauważyła.

Meyer zostawił samochodzik, wziął futbolówkę i zaczął ją przerzucać z ręki do ręki.

Uśmiechnął się szeroko. Wyglądał teraz inaczej, bardziej ludzko. I sprawiał wrażenie bardziej uładzonego.

– Nigdy nie jestem tak zapracowany, żebym nie mógł popracować.

– Dobry początek – podsumował Buchard. W jego głosie zabrzmiało zdenerwowanie. – Mnie by się spodobało, Meyer, i tobie też się spodoba.

Siedząc na miejscu pasażera, Lund przez otwarte okno rozglądała się po Kalvebod Fælled. Trzyście kilometrów na południe od miasta, blisko wody. Po kilkudniowych deszczach wreszcie się wypogodziło. Raczej nie na długo. Płaskie bagna, żółta trawa, rowy ciągnące się po horyzont, po prawej nagi ciemny las. Słaby zapach morza, mocniejszy odór gnijących roślin. Wilgoć w powietrzu, prawie mroźnym. Nadchodziła ciężka zima.

– Nie wolno wam nosić broni? Ani dokonywać aresztowań? A co z mandatami za parkowanie?

Człowiek, który rankiem wyprowadzał psa, znalazł jakieś dziewczęce ubrania na pustkowiu nieopodal brzoźowego lasu znanego jako Pineskoven. Las Zielonoświątkowy.

– Musisz być Szwedem, żeby dokonywać aresztowań. Tak... – Lund wolałaby w ogóle nie odpowiadać na jego pytania. – Tak to działa.

Meyer wepchnął do ust garść chipsów, zwinął opakowanie i cisnął pod nogi. Prowadził jak nastolatek, za szybko, nie zwracając uwagi na innych.

– Co myśli twój chłopak?

Wysiadła, nie sprawdzając nawet, czy idzie za nią.

Przy znalezisku stał funkcjonariusz w cywilu, a mundurowy błąkał się po wykrotach, kopiąc kępy umierającej trawy. To wszystko, co mieli: bawełniana bluzeczka w kwiatuszki, w sam raz dla nastolatki. Karta do wypożyczalni wideo. Jedno i drugie zapakowane w torebki na dowody rzeczowe. Na koszulce widniały ślady krwi.

Lund obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Wielkimi, lśniącoymi oczami przeszukała okolicę, jak zawsze.

– Kto tu przychodzi? – spytała mundurowego.

– Za dnia przedszkolaki na spacer. Nocą dziwki z miasta.

– Niezłe miejsce, żeby zaliczyć numerek – wtrącił się Meyer. – A gdzie dzisiaj miejsce na romanse? Gdzie, pytam.

Lund wciąż obracała się powoli.

– Od kiedy te rzeczy tu leżą?

– Od wczoraj. W piątek była tu wycieczka szkolna. Znaleźliby je.

– Żadnych wezwań? Zgłoszeń ze szpitali?

– Nic.

– Nie wiemy, kim ona jest?

Detektyw pokazał jej torebkę z koszulką.

– Rozmiar osiem – odpowiedział. – Tyle wiemy.

Bluzeczka wyglądała na tanią, w kwiatki tak jaskrawe i dziecięce, że właścicielka mogła ją włożyć dla żartu. Taki żart nastolatki: dziecinnej i seksownej jednocześnie.

Lund wzięła drugą torebkę i przyjrzała się karcie do wypożyczalni. Widniało na niej nazwisko: „Theis Birk Larsen”.

– Znaleźliśmy to obok ścieżki – dodał gliniarz. – Koszulkę tutaj. Może się pokłócili i on ją wyrzucił z samochodu. A potem...

– A potem – podjął Meyer – zebrała swoje buty, płaszcz i torebkę, jak również paczkę prezerwatyw, i poszła do domu oglądać telewizję.

Lund nie mogła oderwać wzroku od lasu.

– Chcecie, żebym pogadał z tym Birk Larsenem? – spytał mundurowy.

– Zrób to. – Zerknęła na zegarek.

Osiem godzin i koniec. Koniec z Kopenhagą i dotychczasowym życiem.

Podszedł Meyer, a Lund nagle znalazła się w kłębie dymu.

– Możemy z nim pogadać, Lund. Zostawił tu dziwkę. Pobił ją. Gościu idealnie w moim typie.

– Ale robota nie w naszym typie.

Papieros powędrował do najbliższego rowu.

– Wiem, tylko... – Z kieszeni wyłoniła się paczka gum. Ten facet żył chipsami, słodyczami i papierosami. – Chcę tylko z nim pogadać.

– O czym? Nie ma żadnej sprawy. Dziwka nie złożyła skargi.

Meyer pochylił się do przodu i przemówił do niej jak nauczyciel do dziecka.

– Jestem dobry w rozmawianiu.

Miał odstające, niemal komiczne uszy i dobowy zarost. Byłby dobry jako tajny agent, pomyślała. I może pracował jako tajny agent. Przypomniała sobie, jak Buchard mówił do niego. Uliczny zbir. Gliniarz. Meyer nadawałby się na jednego i drugiego.

– Powiedziałam...

– Powinnaś mnie zobaczyć w akcji, Lund. Naprawdę. Zanim wyjedziesz. Mój podarunek dla Szwedów.

Wyjął kartę z jej palców.

– Theis Birk Larsen – przeczytał.

Sarah Lund zrobiła jeszcze jedno kółko, obejrzała żółte trawy, rowy i drzewa.

– Ja poprowadzę – zdecydowała.

Pernille pochyliła się nad jego szeroką klatą, śmiejąc się jak dziecko.

Rozneglizowana, na kuchennej podłodze, przed południem, w dzień powszedni. To był pomysł Theisa, oczywiście.

– Ubierz się – zarządziła i zeszła z niego. – Idź do pracy, zwierzaku.

Uśmiechnął się szeroko jak narwany nastolatek, a przecież miał już czterdzieści cztery lata. Zawsze się tak uśmiechał. Siwiejące rude włosy, bujne bokobrody sięgające do szerokiego podbródka, twarz, która w jednej chwili umiała się przemienić z przyjaznej we wrogą i znowu znieruchomieć.

Pernille, o rok młodszej, trójka dzieci nie popsowała figury. Była równie atrakcyjna jak dwadzieścia lat temu, gdy się poznali.

Patrzyła chwilę, jak z trudem wdziewa czerwone ogrodniczki, po czym rozejrzała się po niewielkim mieszkanku.

Gdy się wprowadzili do Vesterbro, nosiła pod sercem Nannę. Do ślubu szła z małym brzuszkiem. Tu w tym jasnym, barwnym pokoju, z doniczkami na oknie, zdjęciami na ścianach, zagonieni i zapracowani, wychowali swoją córkę. Od piszczącego niemowlaka po piękną nastolatkę. Po długiej przerwie dołączyli do niej Emil i Anton, w tej chwili siedmio- i sześcioltni.

Mieszkali nad ruchliwym magazynem firmy transportowej Birk Larsena. Na dole panował większy porządek niż w zatłoczonych pomieszczeniach na piętrze, w których gnieździł się całą piątką, co chwilę wchodząc sobie w drogę. Gmatwanina pamiątek, rysunków, zabawek i najrozmaitszych klamotów.

Pernille spojrzała na zioła na oknie, na zielone światło, które przez nie wpływało.

Pełnia życia.

– Nannie niedługo będzie potrzebne mieszkanie – powiedziała, poprawiając długie kasztanowe włosy. – Moglibyśmy wpłacić kaucję, no nie?

Mruknął coś, tłumiąc śmiech.

– Znowu chcesz za nią decydować. Niech najpierw skończy szkołę.

– Theis...

Wtuliła się w jego krzepkie ramiona, patrząc mu w twarz. Niektórzy bali się Theisa Birk Larsena. Ale nie ona.

– Może nie będzie trzeba... – powiedział.

Jego surowa twarz zmarszczyła się w chytrym, figlarnym uśmiechu.

– Czemu?

– Tajemnica.

– Powiedz! – krzyknęła Pernille i walnęła go pięścią w pierś.

– Wtedy nie będzie tajemnicy.

Zeszli schodami do magazynu.

Ciężarówki i ludzie, palety, zawinięte w folię ładunki, spisy i rozdzielniki.

Deski podłogowe jak zawsze skrzypiały. Może krzyknęła? Po ich wyszczerzonych w uśmiechu twarzach było widać, że usłyszeli. Vagn Skærbæk, kumpel Theisa od niepamiętnych czasów, uchylił nieistniejącego kapelusza.

– Powiedz mi! – poprosiła raz jeszcze, zdejmując z haczyka jego stary skórzany płaszcz.

Birk Larsen włożył czarny płaszcz, wyciągnął z kieszeni charakterystyczną włóczkową czapeczkę i wsadził ją na głowę. Na wierzchu czarny, pod spodem czerwony. Ten uniform stał się jego drugą skórą. Wyglądał w nim jak zadzierzysty samiec słonia morskiego, zadowolony ze swojego terytorium, gotowy walczyć z każdym intruzem.

Zerknął na rozpiskę, skinął głową i zawołał Vagna Skærbæka do najbliższej ciężarówki. Też czerwonej i tak jak kombinezony robocze oznaczonej nazwiskiem Birk Larsen. Jak czerwony trójkołowiec christiania ze skrzynką, którym Skærbæk jeździł osiemnaście lat temu. Kupili go, by wozić Nannę po mieście.

Birk Larsen. Patriarcha skromnej, szczęśliwej dynastii. Władca swojego niewielkiego królestwa w Vesterbro.

Klasnął w wielkie dłonie, wydał polecenia. Potem odjechał.

Pernille Birk Larsen zaczęła, aż mężczyźni wrócą do pracy. Musiała dokończyć deklarację podatkową. Trzeba było płacić, a to nic przyjemnego.

I trzeba też było pewne sumy ukryć. Nikt nie oddaje państwu wszystkiego, jeśli tylko ma inne wyjście.

Nie trzeba nam już więcej tajemnic, Theis, pomyślała.

Pod złotym posągiem biskupa Absalona, pod wieżą dzwonnicy i blankową linią dachów, na tle twierdzy z czerwonej cegły, w której mieścił się Rådhus, kopenhaski Ratusz, stały trzy billboardy.

Kirsten Eller, Troels Hartmann, Poul Bremer. Uśmiechnięci tak, jak tylko politycy potrafią się uśmiechać.

Eller: wąskie usta zaciśnięte w grymasie bliskim uśmieszkowi. Partia Centrum, która na zawsze utknęła na ziemi niczyjej, w nadziei, że przyłgnie do jednej lub drugiej strony, a potem chwyci resztki z pańskiego stołu.

Dalej Poul Bremer: promiennie uśmiechnięty do miasta, którym władał. Burmistrz Kopenhagi od dwunastu lat, pulchny i zdecydowany mąż stanu, bliski parlamentarzystom, którzy trzymają kiesę, doskonale zaznajomiony ze zmiennymi nastrojami niemrawych działaczy partyjnych, z rozległą siecią stronników i zwolenników, którzy słuchają każdego jego słowa. Czarna marynarka, biała koszula, jasnoszary jedwabny krawat, biznesowe czarne oprawki okularów. Bremer w wieku sześćdziesięciu pięciu lat miał przyjazne usposobienie ulubionego wujka, szczodrego nosiciela darów i łask, bystrego krewnego, który zna wszystkie sekrety i w ogóle wszystko wie.

Wreszcie Troels Hartmann.

Młody. Przystojny. Polityk, obok którego kobiety nie umiały przejść obojętnie i którego podziwiałały w duchu. W barwach liberałów. Granatowy garnitur, niebieska koszula rozpięta pod szyją. Lat czterdzieści dwa, chłopięcy ze swoją nordycką urodą, chociaż w jego jasnych kobaltowych oczach czaił się cień bólu, który umknął obiektywowi fotografa. Porządny człowiek – mówiło zdjęcie. Nowe pokolenie, któremu to stare musi ustąpić

miejsca, ze świeżymi pomysłami. Zapowiedź zmian. Tymczasem, dzięki ordynacji wyborczej, prowadził energicznie i z wizją miejski Wydział Edukacji. Prawie burmistrz, choćby tylko w szkołach i college'ach.

Troje polityków stających w szranki o tron Kopenhagi, miasta stołecznego, rozległej metropolii, w której mieszkała i pracowała, kłóciła się i walczyła ponad jedną piątą spośród pięciu i pół miliona Duńczyków. Młodzi i starzy, urodzeni w Danii i niedawno przybyli, niekoniecznie mile witani imigranci. Miasto szczere i pracowite, leniwe i zepsute. Miasto jak żadne inne.

Eller – outsiderka, której jedyną szansą jest ubicie jak najlepszego interesu. Hartmann – młody idealista. Wrogowie nazwaliby go naiwnym. Niezłomny w nadziei, że zrzuci Poula Bremerera, króla polityki lokalnej, z grzędy, którą staruszek nazywał swoją własną.

W mroźne listopadowe popołudnie ich twarze uśmiechały się promiennie do aparatu, do prasy, do ludzi na ulicy. Za barwnymi szybami okien ceglaneanego zamku zwanego ratuszem, w korytarzach i maleńkich pokojach, gdzie politycy zbierali się, by szeptać i spiskować, biegło inne życie.

Za nieruchomymi i sztucznymi uśmiechami trwała wojna.

Lśniące drewno. Wysokie, smukłe witraże. Skórzane meble. Złocenia, mozaiki, obrazy. Zapach pastowanego mahoni.

Wszędzie stały plakaty Hartmanna, oparte o ściany, gotowe do wyniesienia na miasto. Na biurku, w drewnianej ramce, portret jego żony na szpitalnym łóżku, spokojnej, dzielnej i pięknej na miesiąc przed śmiercią. Obok zdjęcie Johna F. Kennedy'ego i łaniookiej Jackie w Białym Domu. W tle grała orkiestra. Ona uśmiechała się w pięknej jedwabnej sukni wieczorowej. Kennedy szeptał jej coś na ucho.

Biały Dom, jeszcze przed Dallas.

W swoim gabinecie Troels Hartmann popatrzył na zdjęcia, a potem na kalendarz na biurku.

Poniedziałkowy poranek. Czekają go trzy najdłuższe tygodnie w jego życiu politycznym. Nieskończona seria spotkań.

Po drugiej stronie biurka siedziała dwójka najbliższych asystentów Hartmanna. Przeglądali w laptopach plan dnia. Morten Weber, szef kampanii, przyjaciel od czasów college'u. Oddany, cichy, samotny, poważny. Czterdzieści cztery lata. Niesforne loczki wokół rosnącego łysego placka, miła, poważna i zaniedbana twarz, rozbiegane oczy za tanimi złotymi oprawkami. Nigdy nie było wiadomo, czy ubierze się jak należy i czy nie zapomni o sobie zadbać. Przez ostatni tydzień chyba nie zmieniał sfatygowanej, pogniecionej marynarki, niedobranej do spodni. Czuł się najszcześniejszy, analizując szczegóły gazety partyjnej i dobijając interesów w zadymionych pokojach.

Czasami wstawał zza biurka, chował się w kącie, wyciągał strzykawkę i insulinę, wywlekał koszulę zza paska i wbijał zastrzyk w sflaczały, biały brzuch. Potem bezszelestnie wracał do dyskusji, nie tracąc wątku.

Rie Skovgaard, doradczyni, zawsze udawała, że tego nie zauważa.

Myśli Hartmanna uciekły od spisu spotkań. Przyglądał się Rie. Trzydzieści dwa lata, koścista, poważna twarz, raczej atrakcyjna niż piękna. Wojownicza, niecierpliwa, zawsze elegancka. Dzisiaj miała na sobie dopasowany zielony kostium. Drogi. Fryzura jak na tym zdjęciu na jego biurku – Jackie Kennedy mniej więcej w roku 1963, włosy długie i podkreślone przy smukłej szyi, z pozoru swobodne, w rzeczywistości każde pasmo zawsze znajdowało się na swoim miejscu.

Weber mówił na tę fryzurę „uczesanie na pogrzeb prezydencki”, ale tylko za jej plecami. Gdy Rie Skovgaard przyszła tu do pracy, wyglądała inaczej.

Morten Weber urodził się w rodzinie nauczyciela z Aarhus, a ojciec Skovgaard był wpływowym parlamentarzystą. Ona, zanim się przeniósła do liberałów, pracowała w filii nowojorskiej agencji reklamowej w Kopenhadze. Teraz promowała Hartmanna, jego wizerunek i jego idee mniej więcej tak samo, jak kiedyś sprzedawała polisy na życie i sieci supermarketów.

Dziwny zespół, czasami trudny. Czy Rie zazdrościła Weberowi? Że o dwadzieścia lat wyprzedzał ją w karierze, torując sobie drogę przez sekretariat Stronnictwa Liberalnego, cichy specjalista, dzięki któremu Hartmann mógł się skupić na pozyskiwaniu sobie popularności i głosów, uśmiechając się ujmująco i prezentując czarujący sposób bycia?

Rie Skovgaard była nowa, ideologia ją nudziła, za to świetnie radziła sobie z wynajdywaniem okazji dotarcia do wyborców.

– Debata w porze lunchu. Potrzebne nam plakaty w szkole – mówiła spokojnie, profesjonalnym tonem. – Musimy...

– Zrobione – przerwał jej Weber.

To był ponury dzień. Deszcz i chmury. Okna biura wychodziły na front Palace Hotel. Nocą jego niebieski neon rzucał na pokój dziwne światło.

– Wysłałem tam samochód.

Rie skrzyżowała szczupłe ramiona.

– Myślisz o wszystkim, Morten.

– Muszę.

– Co to ma niby znaczyć?

– Bremer. – Weber rzucił nazwiskiem jak przekleństwem. – Nie przypadkiem rządzi tym miastem.

– Już niedługo – włączył się do rozmowy Hartmann.

– Widziałeś ostatnie sondaże? – spytała Skovgaard.

– Wyglądają nieźle. – Hartmann kiwnął głową. – Lepiej niż zakładaliśmy.

Morten Weber się skrzywił.

– Bremer też je widział. Nie będzie siedział wygodnie na dupie i patrzył, jak królestwo mu się wymyka. Ta debata w południe, Troels, to szkoła. Twoja działka. Będzie prasa.

– Mów o edukacji – wtrąciła się Skovgaard. – Poprosiliśmy o dodatkowe fundusze na komputeryzację. Lepszy dostęp do Internetu. Bremer zablokował przydział. Teraz absencja sięga dwudziestu procent. Możemy tym w niego uderzyć...

– Zablokował osobiście? – zainteresował się Hartmann. – Wiesz to na pewno?

Uśmiechnęła się delikatnie, drażniąco.

– Dotarłam do pewnych poufnych instrukcji. – Skovgaard machnęła delikatnymi dłońmi w stronę dokumentów przed sobą. – Czarno na białym. W razie konieczności mogę z tego zrobić przeciek. Mam na niego mnóstwo haków.

– Musimy się posiłkować takim gównem? – rzucił Weber opryskliwie. – Ludzie spodziewają się po nas czegoś lepszego.

– Ludzie spodziewają się po nas, że przegramy, Morten – odpowiedziała ostro Skovgaard. – Staram się to zmienić.

– Rie...

– Damy radę – przerwał Hartmann. – I zrobimy to, jak należy. Jadłem śniadanie z Kirsten Eller. Myślę, że chce wejść do gry.

Tamta dwójka zamilkła.

– Są zainteresowani sojuszem? – spytała Skovgaard.

– Z Kirsten Eller? – burknął Weber. – Jezu. To paktowanie z diabłem...

Hartmann opadł na oparcie krzesła, zamknął oczy. Od wielu dni nie był tak szczęśliwy.

– Czasy się zmieniły, Morten. Poul Bremer zaczyna tracić poparcie. Jeśli Kirsten dorzuci swoje niemałe zasoby do naszych...

– Będziemy mieli koalicję większościową – podchwyciła Skovgaard.

– Powinniśmy to przemyśleć – powiedział Weber.

Zadzwoił jego telefon. Podeszedł do okna i odebrał.

Troels Hartmann przerzucał dokumenty, które przygotowała mu Skovgaard, instruktaż na debatę.

Rie przysunęła sobie krzesło, tak żeby mogli czytać razem.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy, wiesz? Ty wymyśliłeś to wszystko. My ci tylko przypominamy, co myślisz.

– Potrzebuję przypominania. Zgubiłem zegarek! Dobry...

Skovgaard trąciła go lekko i dyskretnie podała mu pod stołem srebrnego roleksa.

– Znalazłam pod łóżkiem. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął. A ty?

Hartmann wsunął roleksa na nadgarstek.

Podeszedł Weber z telefonem w ręku, ze zmartwioną miną.

– Z sekretariatu burmistrza. Bremer chce cię widzieć.

– W jakiej sprawie?

– Nie wiem. Chce cię widzieć natychmiast.

– Za piętnaście minut. – Hartmann zerknął na zegarek. – Nie jestem na jego zawołanie.

Weber spojrzał zdumiony.

– Mówiłeś, że zgubiłeś zegarek.

– Za piętnaście minut – powtórzył Hartmann.

Korytarze ciągnęły się we wszystkich kierunkach, długie i lśniące, ozdobione freskami przedstawiającymi sceny bitew i ceremonii, wielkie

postaci w zbrojach wpatrujące się w przechodniów śpieszących w dole.

– Nie wyglądasz na szczęśliwego – odezwał się Hartmann po drodze.

– Na szczęśliwego? Jestem szefem twojej kampanii. Do wyborów zostały nam trzy tygodnie. Budujesz koalicję i nawet mi o tym nie mówisz. Czego ty chcesz? Mam śpiewać, tańczyć i podskakiwać?

– Myślisz, że Bremer wie? O Kirsten Eller?

– Poul Bremer słyszy, jak gadasz przez sen. Poza tym na miejscu Kirsten Eller... proponowałbyś koalicję tylko jednej stronie?

Stanęli pod salą obrad rady miasta.

– Zostaw to mnie, Morten. Dowiem się.

Poul Bremer, bez marynarki, stał na podium przy ceremonialnym fotelu, który zajmował od dwunastu lat. Jowialnie rozmawiał przez telefon.

Hartmann przeszedł na środek i wziął książkę leżącą na stole przy mikrofonie. Biografia Cyncerona. Zgodnie z założeniem Bremera, przysłuchiwał się jego rozmowie.

– Tak, tak, wysłuchaj mnie. – Ten głęboki i wielkoduszny śmiech, błogosławieństwo Bremera dla ulubieńców. – Następnym razem trafisz do rządu. Będziesz ministrem. Nigdy się nie mylę w swoich przewidywaniach. – Zerknął na przybysza. – Przepraszam... muszę kończyć.

Bremer zajął miejsce zastępcy. Nie burmistrza.

– Czytałeś tę książkę, Troels?

– Nie, niestety.

– Weź ją. Bardzo pouczająca. Przypomina nam, że jedyna rzecz, której się uczy my z historii, to... że niczego nie uczymy się z historii. – Mówił jak genialny nauczyciel, głosem doskonalonym przez lata. – Cyncero był świetnym mężem stanu. Daleko by zaszedł, gdyby zaczekał na właściwy moment.

– Wygląda na trudną lekturę.

– Chodź, usiądź ze mną. – Bremer przywołał go gestem na miejsce obok siebie. Fotel burmistrza. Tron. – Spróbuj, czy ci pasuje. Nie należy do nikogo. Nawet do mnie, cokolwiek sobie myślisz.

Hartmann podjął grę. Opadł na twarde, polerowane drewno. Pachniało mahoniem, władzą. Rozejrzał się po sali, omiótł wzrokiem łuk pustych teraz miejsc radnych, płaskich monitorów i guzików do głosowania.

– To tylko fotel, Troels – ciągnął Bremer z szerokim uśmiechem.

Zawsze mówił i poruszał się jak ktoś o wiele młodszy. To między innymi należało do jego wizerunku.

– Rzym lubił Cycerona, doceniał jego myśl. Myśl, z której wypływała piękna retoryka. I nic więcej. Cezar był dyktatorem, łotrem, ale Rzymianie znali go i uwielbiali. Cyzero był niecierpliwy. Ambitny parweniusz. Wiesz, co się z nim stało?

– Poszedł do telewizji?

– Bardzo śmieszne. Zabili go. Wystawili na pokaz jego ręce i głowę na Forum, żeby wszyscy mogli się śmiać. Czasami służymy bandzie niewdzięcznych łajdaków.

– Chciałeś się ze mną widzieć?

– Widziałem sondaże. A ty?

– Też.

– Będziesz dobrym burmistrzem. Świetnie poprowadzisz to miasto. – Bremer wygładził rękawy czarnej jedwabnej marynarki, poprawił mankiety eleganckiej białej koszuli, zdjął okulary i sprawdził, czy są czyste, przeczesał dłonią srebrne włosy. – Tylko że jeszcze nie teraz.

Hartmann westchnął i spojrział na srebrnego roleksa.

– Za cztery lata odchodzę na emeryturę. Po co ten pośpiech?

– Wydaje mi się, że to się nazywa wybory. Trzeci wtorek listopada. Co cztery lata.

– Mam dla ciebie propozycję. Dołącz do mnie. Zajmiesz się czymś więcej niż szkołą. Burmistrz ma sześciu zastępców. Weźmiesz dział, który zechcesz. Kiedy nadejdzie czas, będziesz gotów do tej roboty, a ja z radością ci ją przekażę.

Bremer uśmiechnął się lekko.

– Gwarantuję, że nikt nie stanie przeciwko tobie. Ale nie możesz wygrać teraz. Nie jesteś gotów.

– To chyba nie zależy od ciebie, prawda?

Uśmiech znikł.

– Staram się tylko być przyjazny. Nie musimy być wrogami...

Hartmann wstał i ruszył do wyjścia. Poul Bremer zamaszystym krokiem wysunął się do przodu, zatrzymał go. Był krzepkim mężczyzną, wysportowanym. Krążyły opowieści, że w młodości bywał brutalny. Nikt nie wiedział, ile w nich prawdy. Nikt nie miał odwagi zapytać.

– Troels.

– Nadużyłeś swojej gościnności – rzekł Hartmann. – Odejdź ze stanowiska spokojnie. Z godnością. Może znajdziesz gdzieś pracę.

Układny starszy pan wpatrywał się w niego ubawiony.

– Czy za tą hardością kryje się jakaś drobniutka obietnica ze strony Partii Centrum? Och, proszę cię. To pieski pokojowe. Ta gruba suka Eller obciągnie każdemu, a potem pozwoli się na siebie odlać. O ile dostanie za to podkomisję. Ale... – Poprawił złote spinki do mankietów.

– Zna swoje miejsce. Tak jak każdy mądry polityk.

Bremer wziął książkę i podał mu ją.

– Poczytaj o Cyceronie – rzekł. – Może się czegoś nauczysz. Nikt nie chce skończyć rozerwany na strzepy ku uciechu gawiedzi. Najlepiej

sterować przemianami. Cicho. Skutecznie...

– Przegrasz – przerwał mu Hartmann.

Starszy pan zachichotał.

– Biedny Troels. Na plakatach robisz takie dobre wrażenie. Ale twarzą w twarz... – Wyciągnął rękę i dotknął klapy jedwabnego garnituru Hartmanna. – Tak się zastanawiam, co tu jest pod spodem. Czy ty sam to wiesz?

Meyer wysiadł, zanim zdążyła wyłączyć silnik, i machnął legitymacją kobiecie pakującej coś do bagażnika kombi.

Czerwonego kombi.

Chyba wszystko tutaj miało żywy kolor szkarłatu. Ogrodniczki pracowników. Ciężarówki. Nawet lśniący tricykl christiana ze skrzynką na przedzie do wożenia dzieci do szkoły, zakupów w drodze powrotnej, leniwego psa.

Wszystko w tym samym kolorze, wszystko z nazwiskiem Birk Larsen.

Lund podeszła, ledwie słuchając Meyera. Rozejrzała się.

Dwoje rozsuwanych drzwi otwierało się na garaż i magazyn. Za skrzynkami, pudłami i maszynami zobaczyła w rogu przeszklone biuro, w głębi zaś schody z tabliczką „Prywatne”. To był adres domowy Brik Larsena. Najwyraźniej mieszkał nad swoim miejscem pracy.

– Gdzie znajdziemy Theisa Birk Larsena? – spytał Meyer.

– Mąż pracuje. A ja jadę do księgowej.

Kobieta po czterdziestce, elegancka, przystojna, z kasztanowymi włosami tylko odrobinę lepiej uporządkowanymi niż włosy Lund. Miała na sobie płowy płaszcz z gabardyny i wydawała się zapracowana. Dzieci, pomyślała Lund. To było widać. I nie lubiła policji. A kto lubił?

– Mieszkacie tu państwo? – spytała Lund.

– Tak.

– Mąż jest na górze?

Kobieta wróciła do garażu.

– Znowu chodzi o ciężarówki? Jesteśmy firmą transportową. Często komuś przeszkadzamy.

– Nie chodzi o ciężarówki. – Lund ruszyła kilka kroków za nią. Jeszcze więcej szkarłatu. Potężni mężczyźni dźwigali skrzynki, zerkali do rozpisek, taksowali ją wzrokiem. – Chcemy tylko wiedzieć, co robił w weekend.

– Pojechaliśmy nad morze. Z synkami. Od piątku do niedzieli. Wynajęliśmy domek. A czemu pani pyta?

Brezentowe płachty i liny. Drewniane skrzynie i palety. Lund zastanowiła się, co ją czeka jako nie do końca glinę w Szwecji. W sumie nigdy wcześniej nie zadawała sobie tego pytania. Bengt chciał jechać. Ona chciała jechać z nim.

– Może wrócił do miasta w interesach? – spytał Meyer.

Kobieta podniosła księgi rachunkowe. Miała tego dość.

– Nie wrócił. To był nasz pierwszy wolny weekend od dwóch lat. Dlaczego miałyby wracać?

W biurze bałagan. Wszędzie papiery. Wielkie firmy tak nie pracują. Mają systemy. Organizację. Pieniądze.

Lund wyszła na zewnątrz i zajrzała do bagażnika kombi. Dokumenty i teczki. Dziecięce zabawki. Mała futbolówka, podobna do tej, którą Meyer zostawił w gabinecie. Podniszczone nintendo. Wróciła powoli do biura.

– Co mąż robił, gdy wróciliście do domu? – spytał Meyer.

– Poszliśmy do łóżka.

– Jest pani pewna?

Roześmiała się.

– Jestem pewna.

Kiedy oni rozmawiali, Lund przeszła się po biurze, patrząc na bałagan, szukając czegoś osobistego we wszystkich rachunkach i fakturach.

– Nie wiem, co waszym zdaniem robił... i nie obchodzi mnie to – mówiła kobieta. – Byliśmy nad morzem. Potem wróciliśmy do domu. I tyle.

Meyer siąknął nosem, zerkając w stronę Lund.

– Może jeszcze wrócimy.

Wyszedł na ulicę, zapalił papierosa, oparł się o jedną ze szkarłatnych ciężarówek i wpatrywał się w blade niebo.

W głębi biura, za rozwalającymi się, staromodnymi tackami na dokumenty stały fotografie. Piękna, uśmiechnięta nastolatka obejmowała dwóch chłopców. Portret tej samej dziewczyny, pełne życia blond włosy, jasne oczy, trochę za dużo makijażu. Najwyraźniej starała się wyglądać na starszą.

Lund wyjęła paczkę gum nikotynowych i wrzuciła jedną do ust.

– Mają państwo córkę? – spytała, wciąż patrząc na dziewczynę, jej ujmujący uśmiech. Na obu zdjęciach, tym w pojedynkę, na którym wyglądała zbyt dojrzałe, i tym z chłopcami, gdy grała starszą siostrę.

Matka wychodziła już z biura. Zatrzymała się. Odwróciła się, spojrzała na nią i powiedziała głosem spokojnym i cichym:

– Tak. I dwóch synów. Sześć i siedem lat.

– Czy córka korzysta czasami z karty ojca do wypożyczalni wideo?

Twarz pani Birk Larsen się zmieniła. Zapadła się, postarzała. Usta się rozchyliły. Powieki drżały, jakby żyły własnym życiem.

– Może. Dlaczego pani pyta?

– Była tu zeszłej nocy?

Meyer wrócił i zaczął się przysłuchiwać.

Kobieta odłożyła dokumenty. Teraz wyglądała na zatroskaną i przerażoną.

– Nanna spędziła weekend u przyjaciółki. Lisy. Myślałam... – Ręka jej powędrowała do kasztanowych włosów, w sumie bez powodu. – Myślałam, że może do nas zadzwoni. Ale nie zadzwoniła.

Lund nie mogła oderwać wzroku od fotografii, od tej szczęśliwej twarzy wpatrującej się beztrosko w obiektyw.

– Myślę, że powinna pani teraz do niej zadzwonić.

Liceum Frederiksholm znajduje się w centrum miasta. Tam gdzie są pieniądze. Nie w Vesterbro. Lisa Rasmussen ledwie się doczekała pierwszej przerwy.

„Tu Nanna. Odrabiam lekcje. Zostaw wiadomość, cześć!” – znowu włączyła się skrzynka głosowa.

Lisa Rasmussen wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Nanna, zadzwoń do mnie, proszę.

Idiotka, pomyślała. Dzisiaj już trzeci raz zostawiała tę samą wiadomość. Teraz siedziała w szkole, słuchając, jak Rama, ich nauczyciel, opowiada o obowiązkach obywatelskich i nadchodzących wyborach. Nikt nie miał pojęcia, gdzie jest Nanna. Nikt jej nie widział od piątku, od imprezy halloweenowej na dole, w szkolnym korytarzu.

– Dzisiaj – mówił Rama – możecie podjąć decyzję, na kogo głosować.

Na tablicy widniało zdjęcie. Półokrąg miejsc w Ratuszu. Troje polityków, jeden przystojny, jeden starszy wiekiem i zadowolona z siebie kobieta o nalanej twarzy. To wszystko obchodziło ją najmniej na świecie.

Znowu wyjęła telefon i wystukała esemes: „Nanna, gdzie ty jesteś, do cholery?”.

– Żyjemy w kraju, gdzie mamy prawo głosować – mówił nauczyciel. – Decydować o swojej przyszłości. Wpływać na przeznaczenie. To wielkie szczęście.

Miał jakieś trzydzieści lat, pochodził gdzieś z Bliskiego Wschodu, czego zupełnie nie było słyhać, gdy mówił. Niektórym dziewczynom się podobał. Wysoki i przystojny. Niezłe ciało, eleganckie, modne ciuchy. Zawsze pomocny. Zawsze miał dla nich czas.

Lisa nie przepadała za obcokrajowcami. Nawet jeśli się uśmiechali i dobrze wyglądali.

– Posłuchajmy więc, jakie pytania przygotowaliście na debatę – powiedział Rama.

Cała klasa wydawała się zainteresowana. Poza Lisą.

– Lisa. – Musiał ją wybrać. – Twoje trzy pytania. Masz je w telefonie?

– Nie.

Mówiła jak nadąsany dzieciak i zdawała sobie z tego sprawę. Rama przechylił głowę i czekał.

– Nie pamiętam ich. Nie mogę...

Drzwi się otworzyły i weszła dyrektor Koch. Straszna Koch, przysadzista kobieta w średnim wieku. Zanim awansowała na dyrektora szkoły, uczyła niemieckiego.

– Przepraszam. Jest tu Nanna Birk Larsen?

Cisza.

Koch stanęła przed klasą.

– Ktoś widział dzisiaj Nannę?

Nic. Dyrektorka podeszła do nauczyciela. Lisa Rasmussen wiedziała, co się teraz stanie.

Oczywiście musiała wyjść z nimi na korytarz. Koch patrzyła na nią groźnie swoimi zawziętymi czarnymi oczami.

– Gdzie jest Nanna? – spytała. – Policja jej szuka.

– Nie widziałam jej od piątku. Dlaczego mnie pani pyta?

Koch posłała jej spojrzenie o treści „kłamiesz”.

– Jej matka powiedziała policji, że Nanna spędziła weekend u ciebie.

Lisa Rasmussen się roześmiała. Kiedyś ludzie myśleli, że ona z Nanną są siostrami. Ten sam wzrost, podobne ciuchy, blond włosy, chociaż włosy Nanny wyglądały lepiej. I Lisa zawsze była grubsza w talii.

– Co?! Nie nocowała u mnie.

– Nie wiesz, gdzie ona jest? – Rama zadał to pytanie znacznie delikatniej.

– Nie! Skąd miałabym wiedzieć?

– Jeśli się z tobą skontaktuje, przekaż jej, żeby zadzwoniła do domu – przykazała Koch. – To ważne. – Zerknęła na Ramę. – Wasza sala jest potrzebna na debatę. Opuśćcie ją do jedenastej.

Gdy odeszła, Rama odwrócił się, wziął Lisę za ramię i rzekł:

– Jeśli masz jakiś pomysł, gdzie ona może być, musisz to powiedzieć.

– Nie powinien mnie pan dotykać.

– Przepraszam. – Zabrał rękę. – Jeśli wiesz...

– Nic nie wiem – przerwała mu. – Niech mi pan da spokój.

Lund i Meyer poszli na górę, do mieszkania Birk Larsenów. Było równie zagracone jak biuro, ale w miły sposób. Zdjęcia, rysunki, zioła w doniczkach, kwiaty. Wazony i pamiątki z wakacji. Dużo ozdób, pomyślała Lund. U niej tak nigdy nie będzie. Kobieta, o której już wiedziała, że ma na imię Pernille, pracowała nad swoją rolą matki. Chyba była w tym dobra. Na ile Lund umiała to ocenić.

– Nie ma jej w szkole – oznajmiła właśnie.

Pernille ciągle miała na sobie płaszcz, jakby nadal szykowała się do wyjścia.

– Musi być u Lisy. Są przyjaciółkami. Lisa wynajmuje mieszkanie z kilkoma chłopcami. Nanna ciągle tam chodzi.

– Lisa jest w szkole. Mówi, że Nanna w ogóle u niej nie spała.

Usta Pernille się rozchyliły. Oczy miała szeroko otwarte i bez wyrazu. Na kuchennej ścianie Lund zobaczyła te same zdjęcia co w biurze – Nanna z chłopcami, Nanna sama, piękna i wyglądająca na więcej niż dziewiętnaście lat – przymocowane do korkowej tablicy wraz z planem szkolnych zajęć sportowych. Czuło się tu swobodną, miłą atmosferę prawdziwego domu. Jak zapach psa, niezauważalny dla właściciela, dla obcego wyrazisty od progu.

– Gdzie ona jest? Co się z nią stało? – spytała Pernille.

– Pewnie nic. Postaramy się ją znaleźć.

Lund weszła do wąskiego korytarzyka i zadzwoniła na komendę. Meyer zabrał Pernille dalej, żeby nie słyszała, i zaczął pytać o zdjęcia.

Lund połączyła się z Buchardem.

– Potrzebuję wszystkich dostępnych ludzi – powiedziała. Staruszek nawet o nic nie spytał, tylko słuchał. – Przekaż im, że szukamy dziewiętnastoletniej Nanny Birk Larsen. Zaginiona od piątku. Przyślij tu kogoś po zdjęcia.

– A wy?

– Jedziemy do jej szkoły.

Hartmannowi i Rie Skovgaard udostępniono na przygotowania pustą salę lekcyjną. Ona jeszcze raz przejrzała dane na temat przeniesienia funduszy, on przechadzał się nerwowo. W końcu zamknęła laptop, podeszła do szefa i obejrzała go dokładnie. Bez krawata, niebieska koszula – wyglądał dobrze. Ale i tak wygładziła mu kołnierzyk i przysunęła się na tyle blisko, żeby musiał ją przytrzymać.

Dłonie Hartmanna przemknęły po jej plecach. Przyciągnął ją do siebie, pocałował. Ta znajomość nieoczekiwanie przerodziła się w namiętność. Tyle że ona chciała rozrywki. On czegoś więcej.

– Zamieszkać ze mną – powiedział i pchnął ją na biurko. Padła na nie, chichocząc, objęła go długimi nogami.

– Nie jesteś aby zbyt zajęty?

– Nie dla ciebie.

– Po wyborach.

Twarz mu się zmieniła. Wrócił polityk.

– Po co taka tajemnica?

– Bo mam robotę do wykonania, Troels. I ty też. Nie chcemy komplikacji. – Jej głos przycichł o ton. Bystre oczy błyszczały. – I nie chcemy, żeby Morten był zazdrosny.

– Morten to najbardziej doświadczony doradca polityczny, jakiego mamy. Wie, co robi.

– A ja nie?

– Tego nie powiedziałem. Nie chcę rozmawiać o Mortenie...

Znowu dotknęła jego marynarki.

– Załatwimy to, jak wygrasz, dobrze?

Hartmann jeszcze raz chciał ją przyciągnąć.

Otworzyły się drzwi. Na progu stała dyrektor Koch. Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Przyjechał pan burmistrz – powiedziała. Konfidencjonalny uśmiech. – Jeśli są państwo gotowi...

Hartmann zapiął marynarkę i wyszedł na korytarz.

Poul Bremer uśmiechał się spod plakatu półnagiej gwiazdy pop. Skovgaard zostawiła ich samych i poszła obejrzeć salę.

– Mam nadzieję, że Partii Centrum podobają się twoje pomysły, Troels. Większość jest bardzo dobra. Przypominają mi idee twojego ojca.

– Naprawdę?

– Widzę w nich jego żywiołową energię. Jego optymizm.

– Był przekonujący – powiedział Hartmann – bo robił wszystko z przekonania. Nie z pragnienia zdobycia kilku głosów.

Bremer kiwnął głową.

– Jaka szkoda, że nigdy nie był na tyle dobry, żeby te idee wprowadzić w życie.

– Ja to zrobię. Gdy już zajmę twoje miejsce.

– Wierzę, że zajmiesz. Pewnego dnia. – Bremer wyjął chusteczkę i wyczyścił okulary. – Jesteś silniejszy od niego. Twój ojciec był zawsze... Jak by to ująć? – Okulary wróciły na miejsce, lodowate oczy zmierzyły Troelsa z góry na dół. – Delikatny. Jak porcelana.

Bremer podniósł prawą pięść. Pięść boksera, na przekór wszelkim pozorom.

– Wiadomo było, że pęknie.

Trzask jego wielkich palców był tak głośny, że zdawał się odbijać od łuszczących się ścian.

– Gdybym ja go nie złamał, sam by się wykończył. Wierz mi. To na swój sposób była przysługa. Czasami lepiej szybko rozwiązać czyjeś złudzenia.

– Zabierajmy się do debaty – odparł Hartmann. – Czas...

Kiedy się odwrócili, by ruszyć do sali, zobaczyli idącą ku nim dyrektor Koch. Wyglądała na zmartwioną. Towarzyszyła jej kobieta w granatowym skafandrze, spod którego wystawał sweter w czarno-białe wzory. Włosy miała odgarnięte z twarzy jak nastolatka zbyt zajęta, by zawracać sobie głowę chłopakami.

Kobieta, która nie przywiązuje wagi do swego wyglądu, pomyślał Hartmann. Wydawało mu się to o tyle dziwne, że była uderzająco piękna i atrakcyjna.

Patrzyła prosto na nich. Ogromnymi, uważnymi oczami.

Hartmann jakoś się nie zdziwił, gdy wyciągnęła odznakę policyjną. „Podkomisarz Sarah Lund”, przeczytał.

Bremer wycofał się już w głąb korytarza.

– Musicie odwołać debatę – oznajmiła Lund.

– Dlaczego?

– Zaginęła dziewczyna. Muszę wszystkich przepytąć. Uczniów z jej klasy. Nauczycieli. Muszę...

Dyrektor Koch wprowadziła ich do mniejszego pomieszczenia, żeby nie stali na korytarzu. Bremer został tam, gdzie był.

– Chce pani, bym odwołał debatę, bo jakaś uczennica poszła na wagary?

– spytał Hartmann.

– Muszę ze wszystkimi porozmawiać – upierała się Lund.

– Ze wszystkimi?

– Ze wszystkimi, z którymi chcę rozmawiać.

Nie poruszyła się. Cały czas patrzyła na niego. Tylko na niego.

– Możemy odłożyć debatę o godzinę – zasugerował Hartmann.

– Ja nie mogę – wtrącił się Bremer. – Mam spotkania. To ty zapraszałeś na debatę, Troels. Jeśli nie umiesz tego załatwić...

Hartmann zbliżył się do policjantki.

– To poważne? – spytał.

– Mam nadzieję, że nic się nie stało.

– Pytałem, czy to poważne.

– Tego próbuję się dowiedzieć. – Lund oparła dłonie na biodrach i czekała na odpowiedź. – Więc...

Rozejrzała się.

– A więc zgoda – zamknęła sprawę.

Bremer wyjął telefon, sprawdził kilka wiadomości.

– Zadzwoń do mojej sekretarki. Spróbuję cię gdzieś wcisnąć. Och! – Nagle jego głos zabrzmiał łagodnie. – Mam dobre wieści dla twoich szkół w centrum. Zdaje się, że absencja przekracza tam dwadzieścia procent. – Zaśmiał się. – Nie możemy na to pozwolić, prawda? Więc przesunąłem fundusze na dodatkowe wydatki. Więcej komputerów. Dzieci takie rzeczy uwielbiają. To wpłynie na poprawę wyników.

Hartmann wpatrywał się w niego oniemiały.

Bremer wzruszył ramionami.

– Powiedziałbym ci to podczas debaty. Ale wiesz... Od razu to uruchomimy. To dobre wieści. Wierzę, że się cieszysz.

Długa chwila ciszy.

– Widzę, że jesteś wręcz uradowany. – Bremer machnął ręką i odszedł.

Piętnasta trzydzieści. Wciąż tkwili w sali, w której miała się odbyć debata, i niczego nie osiągnęli. Nanna w piątek przyszła na imprezę halloweenową do szkoły, ubrana w czarny kapelusz czarownicy i jaskrawobłękitną perukę. Od tego czasu nikt jej nie widział.

Teraz przepytывali nauczyciela.

– Proszę nam opowiedzieć o Nannie.

Wszyscy nazywali go Rama. Wyróżniał się zdecydowanie bliskowschodnim wyglądem. Należał do grona ludzi, których Troels Hartmann wybrał do zespołu wzorów osobowych – do projektu, który miał silniej zintegrować imigrantów z resztą społeczeństwa. Elokwentny, inteligentny, przekonujący człowiek.

– Nanna to bystra dziewczyna – mówił teraz. – Zawsze pełna energii. Zawsze chce coś zrobić.

– Widziałam zdjęcie. Wygląda na więcej niż dziewiętnaście lat.

Kiwnął głową.

– Oni wszyscy chcą wyglądać na starszych, prawda? Rozpaczliwie chcą dorosnąć. Albo poczuć, że dorośli. Nanna pod wieloma względami jest w czołówce klasy. Bystre dziecko. Wie, czego chce, nie tak jak reszta.

– Czyli?

Nauczyciel spojrzał na nią.

– To nastolatki. Sama pani rozumie.

– Co się działo na imprezie?

– Przebieranki, kapela, duchy i dynie.

– Nanna ma chłopaka?

– Proszę spytać Lisę.

– Pytam pana.

Widać było, że czuje się niezręcznie.

– Lepiej, żeby nauczyciel trzymał się z dala od tych spraw.

Lund wyszła z sali, zatrzymała pierwszą napotkaną dziewczynę, posadziła ją i pytała dotąd, aż uzyskała odpowiedź.

Wróciła do nauczyciela.

– Oliver Schandorff. Jest dzisiaj w szkole?

– Nie.

– Wiedział pan, że chodzą ze sobą?

– Mówiłem już. Lepiej, jeśli zachowujemy pewien dystans.

Czekała.

– Jestem ich nauczycielem. Nie stróżem. I rodzicem też nie.

Lund spojrzała na zegarek. Prowadziła rozmowy od ponad trzech godzin i na razie nic więcej nie udało się jej dowiedzieć. I nie tylko jej. Meyer, który wraz z ekipą pracował w lesie i na polach przy lotnisku, też nic nie znalazł.

– Cholera.

– Przykro mi – powiedział nauczyciel.

– Nie chodzi mi o pana.

Chodzi o mnie, pomyślała. Niewątpliwie wyciągnęłaby to z Pernille w kilka minut, gdyby spróbowała. Dlaczego najlepsze pytania przychodziły jej do głowy, dopiero gdy miała przed sobą ludzi, dowody, zbrodnie?

Dwieście trzydzieści pięć dwupiętrowych szeregowych domów tworzyło maleńką enklawę o nazwie Humleby, cztery ulice od domu Birk Larsenów. Wszystkie w kolorze łupka i ołowiu, zostały zbudowane w dziewiętnastym wieku dla robotników pobliskiej stoczni. Potem w pobliżu rozrósł się browar Carlsberg i domy przeszły w ręce ludzi, którzy robili piwo. Rzadko pojawiały się na rynku nieruchomości i cieszyły się wielkim powodzeniem, nawet te wymagające kosztownego remontu. Theis Birk Larsen kupił najtańszy, jaki zdołał znaleźć. Wcześniej zajmowali go squattersi, którzy zostawili po sobie śmieci, materace i tanie meble. Trzeba było tam posprzątać i mnóstwo rzeczy ponaprawiać. Większość chciał zrobić sam, po cichu, nie mówiąc nic Pernille. Chciał jej powiedzieć dopiero wtedy, gdy nadejdzie czas przeprowadzki i opuszczenia mieszkanka nad garażem.

Pomagał mu Vagn Skærbæk. Poznali się jako nastolatki, dużo razem przeszli, w tym kilka razy stawali przed sądem. Dla Birk Larsena Vagn był niemal jak młodszy brat, dla dzieciaków jak wujek. Niezawodny, godny zaufania, miły dla Antona i Emila. Samotnik, który po zdjęciu szkarłatnego kombinezonu chyba nie miał własnego życia.

– Pernille cię szuka – powiedział Skærbæk, kończąc rozmowę telefoniczną.

– Pernille nie może się dowiedzieć o tym domu. Pamiętaj. Ani słowa, dopóki nie powiem.

– Obdzwania wszystkich i pyta, gdzie jesteś.

Na zewnątrz stały rusztowania, plastikowe płachty zasłaniały gnijące okna. Birk Larsen płacił swoim ludziom za wnoszenie nowych desek

podłogowych, rur i rynien, i wymuszał na nich obietnicę, że nie będą rozmawiać o domu w obecności Pernille.

– Chłopcy będą mieli własne pokoje. – Patrzył na szary kamienny dom. –
Widzisz to okno na górze?

Skærbæk kiwnął głową.

– Nanna dostanie całe piętro, z własnymi schodami, będzie miała tę odrobinę prywatności. Pernille nową kuchnię. A ja... – zaśmiał się – trochę ciszy i spokoju.

– To będzie kosztowało majątek, Theis.

Birk Larsen wcisnął ręce w kieszenie czerwonych ogrodniczków.

– Dam radę.

– Może ci pomogę?

– To znaczy?

Drobny i niespokojny Skærbæk przestępował z nogi na nogę jeszcze szybciej niż zwykle.

– Wiem, gdzie pójdzie tanio trzydzieści telewizorów Bang & Olufsen.
Trzeba by tylko...

– Masz długi? O to chodzi?

– Słuchaj. Mam kupców na połowę... Możemy się po...

Birk Larsen wyciągnął z kieszeni gruby zwój banknotów, wyrwał kilka.

– Muszę tylko pożyczyć podnośnik widłowy...

– Trzymaj. – Theis wcisnął pieniądze Skærbækowi w rękę. – Zapomnij o telewizorach. Nie mamy już po naście lat, Vagn. Ja mam rodzinę. Firmę.
– Skærbæk zatrzymał zwitek. – Ty jesteś częścią i jednego, i drugiego.
I zawsze tak będzie.

Skærbæk wpatrywał się w banknoty. Birk Larsen wolałby, żeby opchnął ten durny srebrny łańcuch, który nosił na szyi.

– Jak chłopcy by się czuli, gdyby musieli wujka Vagna odwiedzać w więzieniu?

– Nie musisz tego robić... – zaczął Skærbæk.

Theis Birk Larsen nie słuchał. Pernille pędziła do nich na rowerze christiana, aż lśniąca czerwona skrzynka podskakiwała na bruku. Zapomniał zupełnie o tajemnicy, o pracach budowlanych i problemach finansowych. Pernille wyglądała strasznie. Zsiadła z roweru, podeszła prosto do niego, chwyciła go za klapy czarnego skórzanego płaszcza.

– Nanna zaginęła. – Brakowało jej tchu, była blada i przerażona. – Policja znalazła koło lotniska twoją kartę do wypożyczalni wideo. Znaleźli...

Podniosła dłoń do ust. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Co znaleźli?

– Jej koszulkę. Różową w kwiatki.

– Mnóstwo dzieciaków nosi takie koszulki. No nie?

Spojrzała na niego ostro.

– A karta z wypożyczalni?

– Rozmawiali z Lisą?

Vagn Skærbæk słuchał. Pernille spojrzała na niego.

– Proszę, Vagn – powiedziała.

– Pomóc wam?

Birk Larsen spojrzał na niego groźnie. Skærbæk odszedł.

– A ten gnojek?

– Ona już się nie spotyka z Oliverem.

Policzki zarumieniły się jej z gniewu.

– Rozmawiali z nim?

Westchnęła.

– Nie wiem.

Theis już wyciągał kluczyki, mówiąc do Skærbæka:

– Zawieź Pernille do domu. I rower.

Zastanowił się przez chwilę.

– Dlaczego nie przyjechałaś wozem?

– Nie pozwolili mi prowadzić. Powiedzieli, że nie powinnam.

Theis Birk Larsen otoczył żonę ramionami, przytulił ją, pocałował, pogładził po policzku i patrząc jej w oczy, rzekł:

– Nic jej nie jest. Znajdę ją. Jedź do domu i czekaj na nas.

Po czym wsiadł do furgonetki i odjechał.

– Podwiozę cię do babci. Masz klucz?

Pogoda się pogorszyła, dzień kończył się we mgle i mżawce. Lund jechała do Østerbro, a jej dwunastoletni syn Mark siedział na fotelu pasażera.

– Chcesz powiedzieć, że jednak nie jedziemy do Szwecji?

– Najpierw muszę coś załatwić.

– Ja też.

Lund zerknęła na syna. Ale tak naprawdę przed oczami miała tylko płaską żółtą łąkę i poplamioną krwią koszulkę nastolatki. I zdjęcie Nanny Birk Larsen z uśmiechem starszej siostry dumnej z braciszków. Wyglądającej o wiele za dojrzałe z tym całym make-upem.

Nie miała pojęcia, o czym Mark mówi.

– Tłumaczyłem ci, mamó. Przyjęcie urodzinowe Magnusa.

– Mark. Dzisiaj wieczorem lecimy. Ta decyzja zapadła już wieki temu.

Burknął i odwrócił się, by patrzeć na świat przez zalaną deszczem szybę.

– Wyglądasz jak łoś ze świnką – powiedziała.

I zaśmiała się. Mark nie.

– Spodoba ci się w Szwecji. Jest tam świetna szkoła. Ja będę miała dla ciebie więcej czasu. Możemy...

– On nie jest moim ojcem.

Rozdzwoniła się komórka Lund. Zerknęła na numer i zaczęła nieporadnie wpychać słuchawkę do ucha.

– Oczywiście, że nie jest. Znalazł ci klub hokejowy.

– Mam już klub hokejowy.

– Na pewno ci się nie podoba, że w FCK jesteś najmłodszy.

Cisza.

– Prawda?

– Nazywa się KSF.

– Tak – powiedziała do telefonu.

– KSF – powtórzył Mark.

– Już jadę.

Mark zaczął mówić bardzo wolno.

– K. S. F.

– Tak.

– Mylisz się za każdym razem.

– Tak.

Zostało jej niewiele drogi, co cieszyło ją z dwóch powodów. Chciała zobaczyć się z Meyerem. A Mark... przeszkadzał.

– Już niedługo i jedziemy na lotnisko – powiedziała. – Masz klucz, prawda?

Pod ponurym niebem dwudziestu ustawionych w rzędzie funkcjonariuszy w granatowych mundurach powoli przemierzało żółtą trawę, dżgając czerwono-białymi tyczkami błoto i kępy roślin. Psy węszyły nad wilgotnym gruntem.

Lund przyjrzała im się, po czym weszła do lasu. Drugi zespół prowadził poszukiwania pośród omszałych drzew – badali ziemię, oznaczali teren i też prowadzili psy.

Meyer, ubrany w kurtkę policyjną, przemókł na wylot.

– Jak trop? Wyraźny? – spytała.

– Wystarczająco. Psy szły za nim od miejsca znalezienia koszulki. – Zerknął do notatek i wskazał na gąszcz odległy o dziesięć metrów. – Znaleźliśmy też blond włosy na krzaku.

Lund podeszła i spojrzała sponad jego ramienia.

– Co tu mamy w pobliżu?

– Drogę w wycince. Może ktoś ją zabrał do samochodu.

– A jej komórka?

– Wyłączona od piątkowego wieczoru. – Nie podobały mu się te oczywiste pytania. – Słuchaj, Lund. Przeczesał ją ewentualną trasę gęstym grzebieniem. Dwa razy. Nie ma jej tu. Marnujemy czas.

Odwróciła się i odeszła, oglądając się na bagna i żółtą trawę.

– Halo? – zawołał Meyer z sarkazmem, który już nauczyła się rozpoznawać. – Widzisz mnie?

Lund wróciła.

– Rozejdźcie się – powiedziała. – Przeszukajcie wszystko jeszcze raz.

– Słyszałaś chociaż słowo z tego, co mówiłem?

Z krótkofalówki w czyjejs kurtce dobiegło jej nazwisko.

– Coś znaleźliśmy – powiedział głos.

– Gdzie?

– W lesie.

– Co to jest?

Chwila ciszy. Ściemniało się.

– Wygląda jak grób.

Ten sam leniwy mrok spowijał miasto, wilgotny i ponury, blady i zimny. W sztabie wyborczym, pod koralowymi płatkami designerskiej karczochowej lampy od Louisa Poulsena Hartmann słuchał Mortena

Webera. Poul Bremer nie wróci do szkoły na debatę. Bieganie po mieście było ważniejsze niż zebranie o głosy.

– Pasuje do niego jak ulał – stwierdził Hartmann.

Rie Skovgaard odstawiła na biurko filiżankę z kawą.

– Sztab Bremera obwieścił przeniesienie funduszy, gdy myśmy byli w szkole. Przygotował to wcześniej.

– Wiedział o dwudziestu procentach. Jak to możliwe, Morten? – spytał Troels.

Weber sprawiał wrażenie zdeprymowanego pytaniem.

– Dlaczego pytasz mnie? Może zrobił własne badania. To byłoby sensowne. Obiecanie pieniędzy na edukację zawsze zapewnia dodatkowe punkty.

– I uzyskał te same wyniki? Wiedział.

Weber wzruszył ramionami.

– Nie powinieneś być odwoływać debaty – powiedziała Skovgaard.

Zadzwoiła komórka Hartmanna.

– Zaginęła młoda dziewczyna. Nie miałem wyboru.

– Mówi Therese – odezwał się głos w słuchawce.

Hartmann spojrzał na Rie Skovgaard.

– To nie najlepszy moment. Oddzwonię.

– Nie rozłączaj się, Troels. Nie jesteś aż tak zajęty. Musimy się spotkać.

– To nie jest dobry pomysł.

– Ktoś zbiera na ciebie kwity.

Hartmann głośno wciągnął powietrze.

– Kto?

– Dzwonił do mnie dziennikarz. Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon.

– Mamy tu o piątej imprezę dobroczynną. Przyjedź. Mogę wyjść na chwilę.

– A więc o piątej.

– Therese...

– Pilnuj się, Troels.

Weber i Skovgaard przyglądali mu się.

– Coś, o czym powinniśmy wiedzieć? – spytała Skovgaard.

Theis Birk Larsen pojechał do domu, w którym mieszkali Lisa Rasmussen, Oliver Schandorff i parę innych dzieciaków ze szkoły, udając, że są dorośli, pieprząc się, z kim popadnie, pijąc, ćpając i wygłupiając się.

Lisa była przed domem, wsiadała właśnie na rower. Przytrzymał jej kierownicę.

– Gdzie jest Nanna?

Dziewczyna była ubrana jak nastoletnia dziwka, tak jak one wszystkie. Nanna też by się tak ubierała, gdyby jej pozwolił. Nie patrzyła mu w oczy.

– Już im powiedziałam, że nie wiem.

Jego wielka pięść ani drgnęła.

– Gdzie ten gnojek Schandorff?

Wciąż wpatrywała się w ścianę.

– Nie tutaj. W każdym razie nie ma go od piątku.

Pochylił się i przysunął twarz do jej twarzy.

– Gdzie on jest?

Wreszcie spojrzała mu w oczy. Wyglądała, jakby płakała.

– Mówił, że jego rodzice wyjeżdżają na weekend. Pewnie został u nich.
Po imprezie halloweenowej...

Birk Larsen nie czekał, aż usłyszy więcej.

Po drodze zadzwonił do Pernille.

– Właśnie rozmawiałem z Lisą – powiedział. – Jadę po nią.

Usłyszał ulgę w jednym krótkim westchnieniu.

– To znowu ten bogaty gówniarz. Jego rodzice wyjechali. Pewnie...

Nie chciał tego powiedzieć, pomyśleć.

– Na pewno tam jest? Tak mówi Lisa?

Kluczył w wieczornych korkach. Dom stał poza centrum, na jednym z nowych osiedli, na południu, niedaleko lotniska.

– Na pewno. Nie martw się.

Płakała. Słyszał, że płacze. Chciałby zetrzeć jej łzy swoimi grubymi, szorstkimi paluchami. Pernille była piękna i wspaniała. Jak Nanna, Emil i Anton. Wszyscy oni zasługiwali na więcej, niż im dawał, i wkrótce to dostaną.

– To nie potrwa długo, kochanie. Obiecuję.

Gdy Lund wróciła między nagie, ciemne drzewa, zadzwonił Buchard.

– Śmigłowiec. Trzy jednostki techników. Mam nadzieję, że coś znaleźliście.

– Grób.

– Nie spytałaś mnie o zdanie.

– Próbowałam. Byłeś na spotkaniu.

– Byłem na twoim przyjęciu pożegnalnym. Ludzie nie mówią do widzenia przy śniadaniu...

– Zaczekaj chwilę.

Meyer szedł do niej przez las. W ramionach trzymał plastikową płachtę. I coś pod spodem. Ciało.

– Znaleźliście coś? – spytał Buchard.

Meyer odłożył płachtę na ziemię, rozchylił ją i pokazał jej nieżywego lisa. Sztywny i suchy, oblepiony ziemią. Na szyi miał chustę zuchową i drucianą pętlę, która go udusiła.

– Możemy wezwać wszystkie dzieciaki z okolicy. – Meyer podniósł lisa za tylne łapy. – Trzeba zwalczać okrucieństwo wobec zwierząt.

– Nie – odpowiedziała Lund Buchardowi. – Jeszcze nie.

– Pakuj się, wracaj i złóż mi raport. Może zdążymy jeszcze wypić piwo, zanim pojedziesz na lotnisko.

Meyer przyglądał się jej, trzymając sztywne zwierzę w ręku. Oczy lisa były czarne i szkliste, sierść umazana błotem.

– Poznaj mojego kolegę. Oto Lisek – powiedział z drwiącym uśmiechem.
– Na pewno się polubicie.

Kolejne przyjęcie. Część politycznego kalendarza. Szansa, by poznać ludzi, negocjować, tworzyć koalicje, utwierdzać się w animozjach.

Jedzenie zapewniła korporacja naftowa, napoje magnat transportowy. Kwartet smyczkowy grał Vivaldiego. Morten Weber omawiał strategię, a Rie Skovgaard konwersowała z gośćmi.

Hartmann uśmiechał się i rozmawiał, wymieniał uściski rąk, gawędził. Nagle zadzwonił jego telefon. Hartmann przeprosił i oddalił się do swego gabinetu.

Czekała na niego Therese Kruse. Żona nudnego bankiera, poważna, ustosunkowana, atrakcyjna, twardsza, niż można by sądzić z pozoru, kilka lat młodsza od niego.

– Nieźle sobie radzisz w sondażach. Ludzie w rządzie to zauważają.

– I słusznie. Pracowaliśmy na to.

– Prawda.

– Zdobyłaś nazwisko dziennikarza?

Podawała mu kartkę. Erik Salin.

– W życiu o nim nie słyszałem.

– Rozpytałam trochę. Pracował kiedyś jako prywatny detektyw. Teraz jest wolnym strzelcem, sprzedaje kwity za najwyższe stawki. Gazetom. Magazynom. Witrynom internetowym. Każdemu, kto płaci.

Wsunął karteczkę do kieszeni.

– I?

– Salin chciał wiedzieć, czy za hotele płacisz własną kartą kredytową, czy służbową. Czy kupowałeś dużo prezentów. I takie tam. Nic nie powiedziałam.

Hartmann napił się wina.

– Pytał o nas – dodała.

– Co powiedziałaś?

– Wyśmiałam cały pomysł, oczywiście. W końcu... – Uśmiech był krótki i gorzki. – To nie było nic ważnego, prawda?

– Uzgodniliśmy, że tak będzie najlepiej, Therese. Przykro mi. Nie mogłem... – Urwał.

– Czego nie mogłeś, Troels? Ryzykować?

– Co on wie?

– O nas? Nic. Zgadywał. – Znowu uszczypliwy uśmiech. – Może sądzi, że jeśli przepyta odpowiednią liczbę kobiet, to na coś trafi. Myślę jednak, że ma coś innego. Nie wiem skąd.

Hartmann zerknął na drzwi, upewnił się, że są sami.

– Na przykład?

– Zupełnie jakby widział twój kalendarz. Sprawdzał daty. Wiedział, gdzie byłeś i kiedy.

Hartmann znowu spojrział na nazwisko, zastanowił się, czy obilo mu się o uszy.

– Nikt poza tym biurem nie widuje mojego kalendarza.

Wzruszyła ramionami. Wstała. Drzwi się otworzyły. Rie Skovgaard otaksowała ich wzrokiem.

– Troels – powiedziała ze sztywnym, podejrzliwym uśmiechem. – Nie wiedziałam, że masz gości. W recepcji są ludzie, z którymi musisz się spotkać.

Dwie kobiety zmierzyły się wzrokiem. Z namysłem. Nie trzeba było żadnych słów.

– Już idę.

Oliver Schandorff był chudym dziewiętnastolatkiem z czupryną kręconych rudych włosów i skwaszoną, ponurą twarzą. Właśnie palił trzeciego już dzisiaj skręta, gdy przez drzwi wejściowe wpadł Theis Birk Larsen.

Schandorff zeskoczył z fotela i cofał się w miarę, jak wielki, wściekły facet sunął ku niemu.

– Zawołaj ją – wrzasnął Birk Larsen. – Ona wychodzi.

– Halo! – krzyknął chłopak, wyskakując na korytarz. – Tu jest dzwonek. To prywatny dom.

– Nie zadzieraj ze mną, chłopcze. Przyszedłem po Nannę.

– Nanny tu nie ma.

Birk Larsen wielkimi krokami przemierzał parter, otwierając drzwi i wołając córkę.

Schandorff podążał za nim w bezpiecznej odległości.

– Panie Birk Larsen. Mówię panu, że jej tu nie ma.

Theis wpadł z powrotem na korytarz. Na krześle przy kanapie zobaczył ubrania. Różowy T-shirt, stanik, dżinsy.

Zaklął i ruszył ku schodom.

Chłopak zgłupiał. Wyprzedził Birk Larsena i walnął go w klatkę piersiową, krzyząc:

– Co jest?

Wielki facet chwycił go za koszulkę, zniósł ze schodów do holu, ustawił naprzeciwko drzwi wejściowych i zacisnął wielką dłoń w pięść.

Oliver Schandorff ucichł.

Birk Larsen wspiął się schodami na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Wyszedł na otwartą przestrzeń, ogromną, taką, o której posiadaniu nie mógł nawet marzyć, jakkolwiek ciężko by pracował, choćby miał nie wiadomo ile czerwonych ciężarówek.

Z sypialni po lewej dobiegała ogłuszająca muzyka rockowa. Cuchnęło zjaranymi narkotykami i seksem.

Szerokie łóżko ze zmiętym prześcieradłem, zmiętą kołdrą. Kręcone blond włosy wystające spod poduszek. Leżała twarzą w dół, z drugiej strony sterczały białe stopy. Nawalona. Pijana. Jedno i drugie, albo i gorzej.

Spojrzał spode łba na Schandorffa, który stał za nim z rękoma w kieszeniach i z takim uśmiechem, że Birk Larsen z trudem powstrzymał się, żeby nie uderzyć go w twarz.

Ale tylko podszedł do łóżka, zastanawiając się, jak to rozegrać, odsunął kołdrę i powiedział delikatnie:

– Nanna. Musisz jechać do domu. Nieważne, co się stało. Jedziemy....

Naga kobieta podniosła na niego wzrok, na jej nieruchomej twarzy mieszało się przerażenie i wściekłość. Też blondynka. Ten sam odcień włosów. Musiała mieć ze dwadzieścia pięć lat.

– Mówiłem panu – odezwał się Schandorff. – Nanny tu w ogóle nie było. Jeśli mogę pomóc...

Birk Larsen wyszedł na zewnątrz, zastanawiając się, co robić. Co powiedzieć Pernille? Gdzie teraz jechać? Nie lubił policji, ale może czas z nimi pogadać. Chciał coś wiedzieć. Znaleźć.

Nad głową usłyszał dźwięk. Śmigłowiec. Z napisem „POLITI” od spodu.

Kiedy tu jechał, nie zastanawiał się za bardzo, w jakim punkcie miasta się znajduje. Był pewny, że Nanna jest w domu Olivera Schandorffa. Nic

więcej nie musiał wiedzieć. Teraz sobie uświadomił, że stąd jest już niedaleko do bagien na wschód od lotniska.

Pernille powiedziała, że tam się to wszystko zaczęło.

Lund wróciła na płaski teren Kalvebod Fælled, tam gdzie znaleźli poplamioną krwią koszulkę. Patrzyła na mapę.

– Zwijajmy się – powiedział Meyer, zapalając kolejnego papierosa.

Zadzwoił jej telefon.

– Jedziesz do Szwecji czy nie? – spytał Bengt Rosling.

Musiała się chwilę zastanowić, nim odparła:

– Niedługo.

– Co byś powiedziała na parapetówkę w sobotę? Moglibyśmy zaprosić Lassego, Missana, Bossego i Janne.

Lund przemierzała wzrokiem blednący horyzont, żałując, że nie może trochę spowolnić czasu, by zatrzymać zmierzch.

– I moich rodziców – dodał Bengt. – I twoją mamę.

Lund jeszcze raz spojrzała na mapę, jeszcze raz przebiegła wzrokiem bagna i las.

– Twojej mamie urządzimy pokój gościnny – mówił dalej Bengt.

Trójka dzieciaków prowadziła rowery. Nieśli wędki.

Mark nigdy nie chodził na ryby. Nikt go nie zabierał.

– Fajnie by było – powiedziała, machając ręką na Meyera, by ściągnąć jego uwagę.

– Nie chcę, żeby spała na kanapie – ciągnął Bengt.

Lund już nie słuchała. Ręka z telefonem zwisała wzdłuż boku.

– Co tam jest? – spytała Meyera.

– Też las. I kanał.

– Zaglądaliście do wody?

Skrzywił się. Meyer należał do ludzi, którzy umieją wyglądać wściekle nawet przez sen.

– Dziewczyna pobiegła w drugą stronę!

Lund wróciła do telefonu.

– Nie zdążymy na samolot.

– Co?

– Ty leć. Ja dołączę jutro z Markiem.

Meyer stał, ze skrzyżowanymi ramionami, na zmianę wpychając do ust chipsy i zaciągając się papierosem.

– Mamy nurków? I sprzęt? – spytała Lund.

– Mamy tu tylu ludzi, że wystarczy nam do wszczęcia niewielkiej wojny. Może ze Szwecją? Spójrzmy prawdzie w oczy. To jedyny sposób, żebyś się tam udała.

Podjechali razem nad kanał. Chodzili w tę i z powrotem. Przy niskim stalowym moście widniały ślady opon. Prowadziły z błotnistej brzozy donikąd, do czarnej wody.

Posępna okolica pasowała do stanu umysłu Birk Larsena: labirynt ślepych zaułków i bezsensownych nawrotów. Labirynt bez wyjścia.

Jechał i jechał, prosto w gasnący, szary zachód słońca, coraz dalej, i nic nie znajdował. Ustało nawet dudnienie śmigłowca. Pernille towarzyszyła mu w każdej bolesnej sekundzie, jej przenikliwy, przerażony głos dobiegał z telefonu przyciśniętego do lewego ucha Theisa.

– Gdzie ona jest?

Ile już razy o to pytała? Ile razy on o to pytał?

– Szukam.

– Gdzie?

Chciał powiedzieć, że na Kalvebod Fælled. W miejscu, dokąd Anton przyjechał kiedyś z klasą na zajęcia przyrodnicze i opowiadał o robakach

i węzłach prawie przez cały dzień, zanim zapomniał o całym cholerstwie.

Przed sobą zobaczył światła. Jedno z nich było niebieskie.

– Wszędzie.

Nad kanałem biegła wąska dróżka. Lund wpatrywała się w ciężarówkę, dźwig samojezdny, łańcuch. W samochód wylaniający się z ponurej wody.

Patrz, myśl, spróbuj sobie wyobrazić.

Ktoś zaparkował na dróżce, przednie koła skierował w stronę wody. Potem wysiadł, pchnął. Reszty dokonała grawitacja.

Meyer stał koło niej, patrząc na pojazd wiszący na tle nieba. Woda wylewała się ze wszystkich czworga drzwi. Lakier był czarny, w kolorze kanału, ale też lśniący, jakby dopiero co auto wymyto.

Ford hatchback. Nówka.

– Zobacz numer – powiedziała Lund w chwili, gdy ukazała się tablica rejestracyjna.

Dźwig stał na brzegu, długie ramię wysięgnika wisiało nad kanałem. Samochód kołysał się teraz nad trawiastą ścieżką. Trzech funkcjonariuszy kierowało nim powoli, aż dotknął kołami ziemi. Wyglądałby zupełnie zwyczajnie, gdyby nie strugi cuchnącego płynu wylewającego się spod wszystkich drzwi.

Meyer skończył rozmowę telefoniczną. Podeszli we dwójkę i zajrzeli przez okna. Pusto.

Żaluzja w bagażniku zasłaniała wszystko, co znajdowało się w środku.

Meyer spróbował otworzyć drzwi. Zablokowane.

– Przyniosę łom – powiedział.

Za nimi błysnęły światła. Lund odwróciła się i spojrzała. Chyba furgonetka. W światłach radiowozów wydawała się czerwona.

Birk Larsen ciągle trzymał telefon przy uchu, gdy dotarł do taśmy policyjnej. Tak blisko, że nie mógł zliczyć migających za nią niebieskich świateł. Ustawili wysokie przenośne reflektory, takie jak na boiskach sportowych.

Coś się działo w jego głowie. Serce łomotało mu tak mocno, że czuł, jak uderza o żebra.

– Zaczekaj chwilę – rzucił do telefonu, ale nie usłyszał odpowiedzi żony. Wsiadł. Poszedł dalej.

– Gdzie jesteś? – spytała Pernille.

– Na bagnach w Vestamager.

Po chwili padło kolejne pytanie:

– Policja ciągle tam jest?

Podeszło do niego dwóch gliniarzy i próbowało go zatrzymać. Birk Larsen odepchnął ich ruchem potężnego ramienia i dalej szedł w stronę niskiego stalowego mostu nad wąskim kanałem.

– Wyjaśnię to, mówiłem ci.

– Theis.

Teraz gliniarzy zrobiło się więcej. Czepiali się go zaciekle, gdy on parł przed siebie, odtrącając ich dłonie, z telefonem przy uchu.

Wciąż słyszał jej głos mimo zamieszania.

– Co tam jest, Theis? Co tam jest?!

Przed sobą słyszał dźwięk.

Chlustającej wody.

Chlustająca woda. Wypłynęła kaskadą z bagażnika, gdy Meyer otworzył go za pomocą lewarka. Wielką falą wylała się na błotnistą ziemię.

Zapach był gorszy.

Lund wrzuciła do ust kolejną gumę i czekała.

Na lśniący tylny zderzak wypadły gołe nogi. Poświeciła latarką. Nagie kostki ciasno skrępowane plastikową opaską zaciskową.

Nagle ruch. Wężowaty ciemny kształt wił się i wił wokół martwych bladych członków, przywierając do skóry, spełzając do stóp i dalej, przez zderzak, na ziemię.

Jeden z mundurowych zaczął wymiotować na żółtą trawę.

– Co to za dźwięk? – spytała Lund, przysuwając się do samochodu.

Meyer kiwnął głową w stronę wymiotującego.

– Nie pytam o niego – sprostowała.

Ochrypli, donośny, wściekły głos.

Lund patrzyła, jak reszta wody wycieka z bagażnika. Jeszcze dwa węgorze wydostały się na wolność. Przysunęła się i wsadziła głowę do środka. Blond włosy już nie wyglądały tak jak na zdjęciach.

Ale twarz...

Wściekły głos wyrzaskiwał imię.

– O Jezu – jęknął Meyer. – Jej ojciec tu jest.

Theis Birk Larsen był wielkim, silnym mężczyzną. Dużo czasu minęło, odkąd walczył z glinami. Niektóre rzeczy na długo zostają w pamięci. Dwa szybkie ciosy pięścią, ryk i już znowu posuwał się do przodu, w stronę czarnego mostu.

Tam na drodze obok lawety widział samochód. Wokół niego kręciły się ciemne postaci.

Telefon wrócił na miejsce przy uchu.

– Theis! – krzyczała Pernille.

– Pogadam z nimi.

Znowu miał na plecach gliniarzy, których wcześniej odepchnął. Tym razem było ich więcej. Za dużo.

Od samochodu na drodze oderwała się kobieta i szła ku niemu miarowym krokiem. W ostrych światłach reflektorów zobaczył, że ma poważną twarz, długie brązowe włosy i błyszczące, smutne, zatroskane oczy.

– Na miłość boską, Theis... – wyła Pernille.

Pokonali go, sześciu gliniarzy, może siedmiu. Chwycili go całego, z wyjątkiem ręki, którą trzymał telefon przy uchu.

Birk Larsen stanął, wrywając się. Odezwał się jak najspokojniej:

– Jestem ojcem Nanny. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Kobieta przeszła nad kolejną czerwono-białą taśmą policyjną. Nic nie mówiła, zbliżała się do niego zdecydowanym krokiem, patrząc mu prosto w twarz i żując gumę.

Jakiś głos, czyjś, na pewno nie jego, spytał z jękiem:

– Czy to moja córka?

– Nie może pan tu zostać.

Pernille tkwiła w jego uchu, w głowie, cała w jednym, jedynym pytaniu:

– Theis?

Kobieta stanęła przed nim.

– Czy tam jest Nanna? – spytał znowu Birk Larsen.

Milczała.

– Tak?

Kobieta tylko kiwnęła głową.

Ryk narodził się w głębi jego trzewi, wypełnił go, wybuchł i poniósł się w wilgotne, nocne powietrze. Tak głośny i pełen nierozumiejącego żalu i wściekłości, że mógłby o własnych siłach dotrzeć do Kopenhagi.

Ale Theis miał telefon. Ryk nie był konieczny. Gdy Theis się wrywał, krzyczał, że chce ją zobaczyć, Pernille była z nim, też wrzeszczała i krzyczała.

Matka i ojciec. Stracili dziecko.

Nagle cała ta wściekłość, cała potęga uleciała. Theis Birk Larsen zamienił się w łkającego, złamanego człowieka, słabego i zrozpaczonego. Podtrzymywały go te same ramiona, które jeszcze przed chwilą pokonał swoją przemożną siłą.

– Chcę zobaczyć moją córkę – błagał.

– Nie może pan – powiedziała. – Bardzo mi przykro.

Cichutkie wycie dobiegało z prawej ręki mężczyzny. Lund podeszła, rozchyliła mu palce. Te spracowane. Silne i poranione, o skórze grubej i starej.

Nie zaprotestował, gdy wzięła od niego telefon, spojrzała na imię na wyświetlaczu.

– Pernille. Mówi Lund. Niedługo ktoś po panią przyjedzie.

Potem kiwnęła funkcjonariuszom, by zabrali Birk Larsena, i ruszyła z powrotem do zatopionego forda, który czarny i błyszczący stał przy dźwigu.

Uwijała się przy nim ekipa techników, funkcjonariusze w ubraniach ochronnych. Nie musiała już nic oglądać.

Czarny samochód. Mokry i lśniący. Meyer miał rację. Był nowy.

Lund znalazła Meyera przy dźwigu. Palił papierosa i kręcił głową.

– Mamy właściciela – powiedział. – Nie uwierzysz. – Lund stanęła przy nim i czekała. – Samochód należy do sztabu wyborczego Troelsa Hartmanna.

– Tego polityka?

Jednym palcem Meyer wystrzelił papierosa w stronę kanału.

– Zastępcy burmistrza do spraw edukacji. Chłopca z plakatu. Tak. O nim mówię.

3_

WTOREK_ 4 LISTOPADA_

Buchard dojechał zaraz po północy. Potem pojawił się dyżurny patolog z zespołem. Tłum techników kryminalistyki mierzył ślady opon, robił niezliczone zdjęcia, otaczał kordonem błotnisty teren.

Brnęli przez ulewny deszcz, zostawiając skrwawione, posiniaczone ciało młodej dziewczyny w postrzępionych majtkach, z nadgarstkami i kostkami wciąż skrępowanymi za pomocą plastikowych opasek, wrzucone na tył lśniącego czarnego forda.

Lund rozmawiała z nimi wszystkimi. Była oficerem dowodzącym. Ani przez chwilę nie pomyślała o Marku, Bengcie czy Szwecji.

Flesze aparatów błyskały jeszcze wokół samochodu. Wreszcie zespół ruszył w stronę otwartego bagażnika, by obfotografować drobne ciało i jego rany, martwą twarz, otwarte, nieruchome jasnoniebieskie oczy.

Buchard zapytał, jak zawsze, o czas zgonu. Powtórzyła mu to, co jej powiedział patolog: nie ma pojęcia. Przez weekend nie było żadnych zgłoszeń. Trochę potrwa, zanim się to ustali.

Starszy mężczyzna spojrzał groźnie.

– Ale zadupie...

– Nie wiemy, czy umarła tutaj. Nie chciał, żeby ją znaleziono. Jeszcze dwa, trzy dni... przy takim deszczu... – Zerknęła na krzątanicę wokół auta.

Wkrótce ją wyjmą. Ktoś musi pomyśleć o rodzinie. – Ślady opon by zniknęły.

Buchard czekał.

– Znał to miejsce – mówiła dalej. – Wiedział, co robi.

– Przyczyna zgonu?

– Jeszcze nie wiadomo. Została napadnięta. Silne uderzenia w głowę.

Ślady gwałtu.

– A ten samochód? Należy do ekipy Hartmanna?

– To najlepszy trop, jaki mamy.

Zadzwoił Bengt Rosling. Lund odeszła, by odebrać.

– Co się stało? – spytał.

– Znaleźliśmy dziewczynę. Powiem ci później. Przepraszam, nie dałam rady.

Bengt był kryminologiem. Tak właśnie się poznali. Przez morderstwo narkotykowe w Christianii. Ofiarą był jeden z jego pacjentów.

– A co z Markiem? – spytał.

– Jest z moją matką.

– Chodzi mi o jutro. Miał zacząć w szkole lekcje szwedzkiego.

W Sigtunie.

– A, rzeczywiście.

– Powiem im, że przyjedzie później.

– Zarezerwujemy lot. Podam ci godzinę.

Podszedł Buchard.

– Tę dziewczynę coś łączy z Hartmannem? – spytał.

– Sprawdzę.

– Jeśli kandydat jest w to wplątany, zgłoś mi to.

– Nie mogę się tym zająć, Buchard.

Rozległ się dźwięk klaksonu. Meyer ją wzywał.

– Masz jego – powiedziała.

Szef podszedł bliżej.

– To nie powinna być pierwsza sprawa Meyera. Nie pytaj. Zadzwoń do policji sztokholmskiej i wytłumaczę im.

– Nie – upierała się. – To niemożliwe.

Odeszła w stronę Meyera i samochodu.

– Ty znalazłaś tę małą. – Buchard pospieszył za nią, mówiąc do pleców jej lśniącego, wilgotnego granatowego skafandra. – Meyer by to zrobił? Jedyne, czego się dokopał, to zdechły lis.

Zatrzymała się, odwróciła, spojrzała na niego groźnie.

Wyglądał jak stary, posiwiały mops, czasami miał takie same natrętnie oczy.

– Jeszcze tylko jeden dzień, Sarah.

Cisza.

– Chcesz, żeby to Meyer rozmawiał z rodzicami?

– Nienawidzę cię. Wiesz o tym?

Buchard roześmiał się i klasnął w tłuste łapki.

– Popracuję przez noc – dodała. – Rano przekażę ci sprawę.

Pusta kostnica. Głuche, sterylne korytarze, jeden za drugim.

Wciąż w czarnej skórzanej kurtce i włóczkowej czapeczce, w czerwonym płóciennym kombinezonie Theis Birk Larsen stąpał ciężko po czystych kaflach w stronę samotnych drzwi na końcu.

Poczekalnia.

Pernille w swoim płowym gabardynowym płaszczu odwróciła się, by spojrzeć na niego szeroko otwartymi oczami, pełnymi pytań. Przystanął dwa kroki od niej, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Czuł, jak bezkształtne słowa podchodzą mu do ust, po czym się tam zatrzymują, niedokończone i niepewne, bojąc się wydostać na zimne, suche powietrze.

Wielki mężczyzna, potężny, czasami groźny, cichy, o błyszczących oczach teraz pełnych łez.

Zawstydzona tym obrazem Pernille podeszła do niego, delikatnymi rękoma objęła go za ramiona.

Przytuliła go, opierając wilgotną twarz na zarośniętym policzku. Stali tak razem, przyłgnąwszy do siebie w dławiącym milczeniu. Razem weszli do jasnej sali pełnej oślepiająco białych kafli i szafek medycznych, kranów i zlewów oraz lśniących wklęsłych srebrnych stołów, narzędzi chirurgicznych, wszystkich tych przedmiotów kodyfikujących śmierć.

Poprowadziła ich dwójka policjantów, kobieta o uważnych oczach i opryskliwy mężczyzna o wielkich uszach. Szli w kierunku czystego białego prześcieradła, potem stanęli, zerkając na nich nieznacznie, czekając. Podszedł mężczyzna w stroju chirurga, w niebieskim czepku, niebieskim uniformie, niebieskich rękawiczkach. Tacy lekarze byli przy narodzinach Nanny. Theis Birk Larsen pamiętał ten obraz. Te same kolory, te same ostre chemiczne zapachy.

Bez słowa, bez spojrzenia mężczyzna stanął przy nich i podniósł białe prześcieradło.

Pernille przesunęła się do przodu, szeroko otwierając oczy.

Policjantka cały czas obserwowała każdy gest, każdy oddech i ruch.

Birk Larsen zdjął czapkę, nagle zakłopotany, że nie zrobił tego wcześniej. Spojrzał na bladą, posiniaczoną twarz dziewczyny na stole, brudne, poplamione włosy, martwe szare oczy.

Jego pamięć wypełniły obrazy, dźwięki, dotyk, słowo. Płacz dziecka, kłótnia, której potem gorzko żałował. Upalne popołudnie na plaży. Mroźny poranek zimą, na górcie. Nanna maleńka w czerwonym tricyklu naprawionym i pomalowanym przez Vagna, z logo „Birk Larsen”.

Nanna starsza, wsiadająca na ten sam rower jako szesnasto-, siedemnastolatka, śmiejąca się, że taki mały się wydaje.

Dalekie chwile, już nie do odzyskania, niewypowiedziane obietnice, których już nigdy nie spełni. Wszystkie te drobiazgi, które kiedyś wydawały się banalne, teraz krzyczały...

„Patrz! Nie zwracałeś uwagi. A teraz mnie nie ma”.

Teraz mnie nie ma.

Pernille odwróciła się, wyszła do poczekalni krokiem starej kobiety, złamanej i zbolalej.

– Czy to jest Nanna? – spytała policjantka.

Spojrzał na nią groźnie. Głupie pytanie, a ona nie sprawia wrażenia głupiej kobiety.

„Nie – chciał powiedzieć Birk Larsen. – To była Nanna”.

Ale tylko kiwnął głową.

Cała czwórka siedziała przy plastikowym stole.

Nagie fakty.

Birk Larsen, jego żona i dwóch synów wyjechali w piątek nad morze, wrócili w niedzielę wieczorem. Nanna miała być u przyjaciół.

– W jakim była nastroju? – spytała Lund.

– Radosna – odrzekł Birk Larsen. – Przygotowała sobie kostium.

– Za kogo się przebrała?

– Za wiedźmę.

Matka siedziała z otwartymi ustami, zagubiona. Nagle spojrzała groźnie na Lund i spytała:

– Co się stało?

Lund nie odpowiedziała. Meyer też nie.

– Niech ktoś mi to powie! Co się stało?

W zimnym pustym pokoju jej ostry głos odbił się od nagich białych ścian.

Meyer zapalił.

– Samochód wepchnięto do kanału – powiedział.

– Czy Nanna interesowała się polityką? – spytała Lund.

Birk Larsen pokręcił głową.

– Ktoś z jej znajomych się interesuje?

– Nie.

– Może bywała w ratuszu? – podsuwał Meyer.

Skrzywił się na brak odpowiedzi, wstał i przeszedł w głąb pokoju zadzwonić.

– Miała chłopaka?

– Ostatnio nie.

– Jak zginęła? – spytała Pernille.

– Jeszcze nie wiemy.

– Cierpiała?

Lund zawahała się, nim udzieliła odpowiedzi:

– Nie jesteśmy pewni, co się wydarzyło. Próbujemy zrozumieć. Więc nie rozmawialiście z nią od piątku? Żadnych telefonów? Zero kontaktu? Nic niezwykłego?

Zmrużone oczy, spojrzenie spode łba, nuta sarkazmu, gdy warknął:

– Niezwykłego?

– Chodzi mi o rzeczy, których byście się nie spodziewali. To mogło być cokolwiek niecodziennego. Drobiazg.

– Pokłóciłam się z nią – powiedziała Pernille. – Czy to coś zwyczajnego? Robiła za dużo hałasu. Nakrzyczałam na nią, że szaleje z braćmi.

Przyglądała się Lund.

– Robiłam księgowość. Byłam zajęta...

Birk Larsen objął ją wielkim ramieniem.

– Ona chciała się tylko z nimi pobawić. Tylko...

Kolejne łyzy, Pernille zadygotała pod jego ramieniem.

– Tylko co?

– Chcieli się pobawić.

– Ktoś odwiezie teraz państwa do domu – oznajmiła Lund. – Musimy zapieczętować pokój Nanny. To ważne, żeby nikt tam nie wchodził.

Lund i Meyer odprowadzili ich do drzwi, gdzie czekali mundurowi z samochodem.

– Jeśli coś państwu przyjdzie na myśl... – Lund podała Birk Larsenowi wizytówkę.

Spojrzał na kartonik.

– Ile wiecie?

– Za wcześnie, żeby to określić.

– Ale znajdziecie go?

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Birk Larsen nawet nie drgnął. Z posępną, kamienną twarzą, bardzo powoli spytał raz jeszcze:

– Ale znajdziecie go?

– Tak – warknął Meyer. – Znajdziemy.

Ojciec spojrzał na niego twardo i wyszedł.

Lund patrzyła za nimi.

– Właśnie stracili dziecko. A ty na nich wrzeszczysz?

– Nie wrzeszczałem.

– To brzmiało jak...

– To jest wrzask! – rozdarł się, aż patolog wystawił głowę zza rogu.

Już ciszej Meyer powtórzył:

– Nie wrzeszczałem.

Jego smętne, czujne oczy pochwyciły jej wzrok.

- On nas nienawidzi, Lund. Widziałaś to.
- Jesteśmy z policji. Mnóstwo ludzi nas nienawidzi.
- Wybrał sobie moment, no nie?

Wpół do trzeciej nad ranem. Gdy dotarli do ratusza, Hartmann był na miejscu. Rie Skovgaard, bystra, atrakcyjna kobieta, którą widzieli w szkole, siedziała po jego lewej stronie. Po drugiej stronie – niezręcznie rozbiegany szef kampanii Hartmanna, Morten Weber.

- Dziękuję, że państwo przyszli – powiedziała Lund.
- Nie przyszliśmy – sprostował Hartmann. – Cały czas tu jesteśmy. Zbliżają się wybory. Pracujemy do późna. Znaleźliście dziewczynę?
- Tak. – Meyer wpatrywał się w polityka w niebieskiej koszuli, granatowych spodniach. – W waszym samochodzie.

Lund zapisała numer, położyła go na stole.

- Kto go prowadził jako ostatni?

Hartmann siedział sztywno w swoim skórzanym fotelu.

- Nasz samochód?

Meyer przysunął mu kartkę.

- Tak właśnie powiedzieliśmy. Możemy teraz poprosić o jakąś reakcję?
- Sprawdzimy – westchnął Morten Weber. – To trochę potrwa.
- Czemu? – spytał Meyer.
- Mamy dużo samochodów – odrzekł Weber. – Trzydziestu kierowców. Jest środek nocy. Ludzie pracują na okrągło. Muszę wykonać parę telefonów.

Odszedł od stołu i wyszedł za róg z komórką w ręku.

- Do czego służą te samochody? – spytała Lund.
- Do rozwożenia materiałów wyborczych – odparła Skovgaard. – Do rozklejania plakatów. Tego typu rzeczy.

– Kiedy wysłaliście samochód do szkoły we Frederiksholm?

– Wydaje mi się, że w piątek...

Meyer parsknął, położył dłonie płasko na blacie, wychylił się i powiedział:

– Wydawanie to za mało. Dziewczyna nie żyje. Musimy wiedzieć...

– Nie mamy nic do ukrycia – przerwał Hartmann. – Chcemy pomóc. Jest po drugiej w nocy. Nie damy rady wyciągnąć odpowiedzi z kapelusza.

– Czy Nanna Birk Larsen miała jakieś powiązania z waszą działalnością polityczną?

– Nie – odrzekła Skovgaard bez wahania. – Nie ma jej na naszej liście.

– Szybka odpowiedź – zauważył Meyer.

– Myślałam, że zależy wam na szybkich odpowiedziach.

Wrócił Weber.

– Sekretarz kampanii jest w tej chwili w Oslo.

– Pieprzyć Oslo! – krzyknął Meyer. – To śledztwo w sprawie morderstwa. Znajdźcie odpowiedzi.

Weber siadł, podniósł brew i spojrzał na Lund.

Sprawdza hierarchię, pomyślała Lund. Bystrzak.

– Spytałem więc ochronę. Kluczyki odebrała Rikke Nielsen w piątek.

– Kto to jest? – spytała Lund.

– Rikke kieruje naszym zespołem wolontariuszy. – Weber wzruszył ramionami. – Każdy może być wolontariuszem. Kiedy jest ich za mało, korzystamy z pracowników tymczasowych.

Zerknął na Meyera, który teraz przechadzał się po pokoju z rękoma w kieszeniach, jak kogut przed walką.

– Dzwonił pan do niej? – spytał Meyer.

– Ma wyłączony telefon. Pewnie nadzoruje rozwożenie plakatów.

Meyer drwiąco kiwnął głową.

– Pewnie?

– Tak, tak powiedziałem. Koordynuje pracę trzydziestu kierowców. To dużo roboty.

– Chwileczkę! – Meyer wrócił do stołu. – Mamy martwą dziewczynę, a wy tu siedzicie, jakby to uwłaczało waszej godności.

– Meyer – włączyła się Lund.

– Proszę o odpowiedź! – warknął.

– Meyer! – Wystarczająco głośno. Przerwał. – Zadzwoń na komendę – poleciła. – Podaj Buchardowi aktualne informacje. Powiedz, że przesłuchamy wolontariuszy.

Nie ruszył się.

– Buchard już poszedł spać...

Utkwiła w nim wzrok.

– Zrób to.

Oddalił się pod okno.

– Macie pojęcie, gdzie się teraz znajduje ta kobieta? – spytała Lund.

Weber spojrział na kartkę. Podkreślił coś zielonym markerem.

– Obstawiam to miejsce.

Skovgaard wzięła spis, sprawdziła nazwiska, po czym podała kartkę dalej.

– Prasa – powiedziała. – Nie trzeba ich teraz powiadamiać.

Lund spojrziała na nią zdumiona.

– Zamordowano młodą dziewczynę. Nie możemy tego zataić.

– Nie – włączył się Hartmann. – Skoro to był nasz samochód, my musimy wydać oświadczenie. To ważne, żeby nikt nie mógł nam zarzucić, że coś ukrywamy.

– Nie chcę, byście upubliczniali szczegóły – zastrzegła Lund. – Uzgadniajcie wszystko ze mną.

Skovgaard wstała, machając rękoma.

– Trwają wybory. Nie możemy tego odwlekać.

Lund zwróciła się do Hartmanna.

– Informacje, które właśnie wam podaliśmy, są poufne. Jeśli zdecydujecie się je upublicznić i narazić na szwank śledztwo w sprawie morderstwa, to wasz wybór. Możecie ponieść konsekwencje. A będą konsekwencje, panie Hartmann. To obiecuję.

Weber zakasłał. Skovgaard zamilkła. Meyer wyglądał na zadowolonego.

– Rie – odezwał się Hartmann. – Myślę, że możemy poczekać. Pod warunkiem... – Posłał Meyerowi nieśmiały, proszący uśmiech.

– Pod jakim warunkiem? – spytał Meyer.

– Pod warunkiem, że powiecie nam, gdy już postanowicie to upublicznić. Tak żebyśmy mogli działać razem. Dopilnować, żeby wszystko było w porządku.

Skrzyżował ramiona. Miał na sobie niebieską koszulę jak na plakacie, który wisiał nad jego głową. Wszystko było skoordynowane. Zaplanowane.

Lund wyjęła wizytówkę, skreśliła swoje nazwisko, a zapisała Meyera.

– Jutro rano zadzwońcie do Jana Meyera na ten numer – powiedziała. – On wam poda aktualne informacje.

– Pani nie prowadzi tej sprawy? – spytał Hartmann.

– Nie, on.

Weber wyszedł z policjantami. Skovgaard została z nim, wciąż zdeglustowana po jego rejteradzie.

– Co to ma być, do diabła, Troels?

– Skąd mam wiedzieć?

– Jeśli się zgodzimy coś zataić, prasa nas ukrzyżuje. Uwielbiają próby zatajenia. Staje im od tego.

– Niczego nie zatajamy. Robimy to, o co nas prosi policja.

– Ich to nie będzie obchodzić.

Hartmann włożył marynarkę i z namysłem spojrzął na Rie.

– Nie zostawiła nam wyboru. Za spieprzenie śledztwa w sprawie morderstwa też by nas ukrzyżowali. Lund to wie. To nie ma nic wspólnego z nami. Zapomnij o tym.

– Martwa dziewczyna znaleziona w naszym wozie? To nie ma nic wspólnego z nami?

– Nic. Jeśli chcesz mieć jakiś powód do zmartwienia, rozejrzyj się tutaj.

Wskazał na główne biuro za drzwiami. Za dnia pracowało tam osiemdziesiąt osób na pełnym etacie.

– Co to znaczy?

– Jesteśmy bezpieczni? Komputery? Maile? Nasze dane?

Rie rzuciła mu ironiczne spojrzenie.

– Zaczynasz mieć obsesję na punkcie Bremera?

– Skąd wziął ten numer z funduszami edukacyjnymi? Skąd wiedział o dwudziestu procentach? – Hartmannowi przypomniawszy rozmowa z Bremerem, to, co burmistrz powiedział o jego zmarłym ojcu. – Ten cwany stary łajdak coś szykuje.

Podeszła z jego płaszczem, pomogła mu go włożyć i zapiąć pod szyję w obronie przed chłodem nocy.

– Na przykład?

Hartmann opowiedział jej, z czym przyszła do niego Therese Kruse – o dziennikarzu zadającym pytania. Ominął szczegóły osobiste.

– Niektóre rzeczy musiały wyjść stąd. Musiały.

Nie była zadowolona.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Teraz ci mówię.

Wszedł do głównego biura. Biurka i komputery. Szafki na akta, poczta głosowa. Wszystkie szczegóły kampanii mieszkały w tym pokoju, w samym sercu ratusza, zamykane na noc na cztery spusty.

– Jedź do domu – powiedziała. – Ja się rozejrzę.

Hartmann podszedł, chwycił ją za ramiona i pocałował czule.

– Mógłbym pomóc.

– Jedź do domu – powtórzyła. – Przede wszystkim musisz dobić targu z Kirsten Eller. Chcę, żebyś był w dobrej formie, musisz być wyspany.

Wyjrzał przez okno na plac.

– Powiedzieli, że miała dziewiętnaście lat. To jeszcze dziecko.

– To nie nasza wina, prawda?

Troels Hartmann wpatrywał się w niebieski szyld hotelu i żółte światła placu.

– Nie – przyznał. – Nie nasza.

– Dlaczego powiedziałaś, że go znajdziemy? – spytała Lund.

Siedzieli w nieoznaczonym radiowozie, Meyer kierował.

– Już nigdy tak ze mną nie pograsz – warknął. – Przed takimi błaznami. Ze wszystkich ludzi...

Jego gniew był tak nieskrywany i dziecinny, że wydawał się niemal zabawny.

– Nie będę musiała. Wyjeżdżam. Dlaczego to powiedziałaś? Ojcu?

– Bo go znajdziemy. – Przerwa. – Ja go znajdę.

– Nie składać obietnic – rzuciła. – Podstawowa zasada.

– Mam własne zasady.

– Zauważyłam właśnie.

Meyer włączył radio. Ogłoszająca nocna audycja. Lund wychyliła się i wyłączyła odbiornik.

Zerknęła na adres.

– Skręć tutaj.

Pomnik jeźdźca z uniesionym mieczem. Wielki, oświetlony budynek. Wielopiętrowy parking. Tu się zbierała drużyna komitetu wyborczego Hartmanna, nim ruszała oblepiać miasto jego plakatami, zarzucać ulotkami, plakietkami, czapeczkami i T-shirtami.

Samochody stały na poziomie drugim. Identyczne czarne fordy, takie jak ten, który wyciągnęli z kanału. Lund i Meyer porozglądali się, popatrzyli na to samo zdjęcie Troelsa Hartmanna przyklejone do okien. Jedne tylne drzwi były otwarte. Trzy godziny temu w takim samym samochodzie widziała poranione półnagie ciało Nanny Birk Larsen, zamarznętej na śmierć, w podartych, poplamionych majtkach. Tu widziała pudła, całe stosy pudeł z ulotkami i to samo zdjęcie Hartmanna. Ten niepewny, chłopięcy uśmiech, odrobina bólu w szeroko otwartych, szczerych oczach.

Za samochodu wyłoniła się blondynka i spojrzała na Lund niepewnie. Ta pokazała jej odznakę.

– Rikke Nielsen? – spytała.

Kobieta wyglądała na wyczerpaną. A po chwili, gdy z drugiej strony samochodu podszedł Meyer i ze skrzyżowanymi ramionami siadł w otwartym bagażniku, cały czas patrząc na nią, wydała się także zdenerwowana.

– Potrzebne nam nazwisko kierowcy, który pracował w weekend – powiedziała Lund.

– Dlaczego?

– Numer rejestracyjny... – Lund przeszukała notatnik.

– XU 24 919 – podsunął Meyer z pamięci. Wstał, podszedł do Nielsen. – Czarny ford, taki jak ten. Chcielibyśmy wiedzieć, kto nim jeździł ostatni.

Potem się uśmiechnął. Prawdopodobnie uważał, że mile.

Do ustawionych rzędem samochodów ludzie zanosili plakaty z promienną twarzą Hartmanna.

– Macie tu wszystko niezłe zorganizowane. Na pewno prowadzicie rejestr.

– Oczywiście.

– Możemy go zobaczyć? Proszę.

Kiwnęła głową i odeszła. Meyer puścił oko do Lund. Rikke Nielsen wróciła.

– To było XU...?

– XU 24 919.

Lund zostawiła go, przyglądała się mężczyznom z plakatami. Na parkingu było zimno. Ale dało się wytrzymać.

Jeden z wolontariuszy, wysoki i chudy, miał na sobie znoszony i brudny skafander. Na głowę naciągnął głęboko kaptur, tak że skrywał mu twarz. Położył plakaty w bagażniku. Odwrócił się. Szara bluza. Twarz w cieniu. Próbował się ukryć.

Odgrywana przez Meyera rola miłego gościa rozłaziła się w szwach.

– Ja zachowuję spokój – usłyszała jego głos za plecami – więc i panią o to proszę. Nie chcę słyszeć już żadnych „jeśli”, „ale” ani „muszę spytać pana Webera”. Niech mi pani da nazwisko tego cholernego kierowcy.

Mówił coraz głośniej. Słyszeli go mężczyźni pakujący do samochodów plakaty Hartmanna. Oglądali się na Rikke Nielsen. Ale ten w kapturze nie.

Lund odwróciła się, by uciszyć trochę Meyera. Gdy znowu spojrzała na mężczyzn, stwierdziła, że postać w szarej bluzie i skafandrze zniknęła.

Czarny ford obudził się do życia, z rykiem wystrzelił z miejsca parkingowego, z otwartym bagażnikiem, rozrzucając dookoła uśmiechniętą twarz Troelsa Hartmanna.

– Meyer!

Kierowca musiał ją minąć w drodze do rampy.

Lund wyszła na środek, stała tak, wytyżając wzrok, by dojrzeć coś przez szybę nadjeżdżającego wozu.

Mężczyzna około czterdziestki. Nieogolona, wściekła twarz, przestraszony, zdesperowany.

– Na miłość boską! – krzyknął Meyer i doskoczył do niej. Jedną ręką chwycił ją za ramię i ściągnął z drogi.

Wciąż przyspieszając, ford minął ich w odległości niespełna metra.

Lund nie odrywała wzroku od auta, ledwie zdając sobie sprawę, że znajduje się w ramionach Meyera i że ten przygląda się jej bez tchu. Może wściekły. Czasami tak działała na ludzi. Samochód skręcił za róg, kierując się na dach. Meyer puścił ją i pognął na rampę, miarowo pracując ramionami, z wyciągniętym pistoletem, wrzeszcząc coś ile sił. Lund pobiegła w drugą stronę, do schodów, i pognąła nimi, pokonując po trzy stopnie naraz, w górę, coraz wyżej.

Jedno piętro, drugie. Trzy i koniec. Czarny dach lśnił w nocnym deszczu. Przed nią leżała wielka barokowa kopuła Kościoła Marmurowego delikatnie oświetlona na tle budynków miasta. Samochód stał pod najdalszą ścianą z włączonymi światłami.

Żadnej broni. Spokojnie szła w jego kierunku, starając się coś dojrzeć.

– Policja! – zawołała.

– Lund!

Z podjazdu wypadł Meyer, dysząc, kaszląc i ledwie dobywając głos.

Z daleka dobiegł dźwięk. Piętro niżej otworzyły się i zamknęły drzwi. Lund podbiegła, by wyjrzeć, Meyer za nią. W dół budynku biegły drugie schody. Przyjechał tu, by ich zgubić. I udało mu się.

Patrzyli, jak zbiega na dół i ucieka w noc, ginie w wielkim, ciemnym mieście.

Meyer wściekły podskoczył jak zwierzę, przeklinając i wrzeszcząc tak głośno, że Lund zasłoniła uszy.

Spali w ubraniach, wtuleni w siebie, połączeni w bólu.

Przebudzenie. Theis Birk Larsen uwolnił ramiona, nie zakłócając jej snu, siadł na łóżku, wstał po cichu.

Umył twarz, zjadł chleb, napił się kawy. Chłopcy i Pernille spali. Potem poszedł spotkać się z ludźmi.

Na porannej zmianie było ich dwunastu. Pośród nich Vagn Skærbæk, blady, z mokrymi oczami. Członek rodziny. Pierwsza osoba, do której zadzwonił o drugiej nad ranem. Ledwie pamiętał tę rozmowę, tyle w niej było łez, krzyków i wściekłości.

Vagn był dobry na ciężkie czasy. Czasy, których nadejścia Birk Larsen się nie spodziewał. Miał rodzinę. Skałę, na której mógł się oprzeć, i sam był dla niej opoką.

Theis wszedł do biura, wziął z wieszaka swój czarny płaszcz, włożył go ostrożnie, tak jak robił to od lat. Potem wyszedł i stanął przed nimi w codziennej roli szefa, rozdzielając zlecenia.

Większość tych mężczyzn pracowała z nim od lat. Znali jego rodzinę, patrzyli, jak dzieci rosną. Przynosili im prezenty urodzinowe. Czytali prace domowe. Ocierali im łzy pod nieobecność Theisa lub Pernille.

Kilku ledwie się powstrzymywało od płaczu. Tylko Skærbæk był w stanie spojrzeć mu w twarz.

Birk Larsen próbował mówić, ale nie mógł wydusić ani słowa.

Praca. Rozpiska. Lista zadań, która określała, jak miną najbliższe godziny. Wziął ją, wszedł do biura. Szukał czegoś do roboty.

W magazynie panowała cisza. Wreszcie Vagn Skærbæk zawołał do ludzi przy ciężarówce:

– Ruchy, co? Ja za was wszystkiego nie zrobię.

Potem przyszedł i usiadł naprzeciwko Birk Larsena. Niewielki, nierzucający się w oczy. Silniejszy, niż sugerowałaby jego mizerna sylwetka. Jego twarz niewiele się zmieniła od czasów, gdy byli nastolatkami. Ciemne włosy, tępe oczy, tani srebrny łańcuch na szyi.

– Rób, co musisz, Theis. Ja sobie z resztą poradzę.

Birk Larsen zapalił papierosa, spojrzał na ściany biura. Wszędzie zdjęcia. Pernille. Nanna. Chłopcy.

– Dzwonili jacyś dziennikarze. Spławiłem ich. Jeśli jeszcze raz zadzwonią, już ja sobie z łajdakami pogadam.

Magazyn powoli budził się do życia. Za oknem przesuwały się kartony, przenoszono palety, ciężarówki wyjeżdżały na ulicę.

– Theis, nie wiem, co powiedzieć. – Taka sama włóczkowa czapeczka, takie same czerwone ogrodniczki. Prawie jak bracia. Duży i mały.

– Chcę pomóc. Powiedz mi...

Birk Larsen spojrzał na niego w milczeniu.

– Mają jakiś trop, wiedzą, kto to zrobił?

Birk Larsen pokręcił głową, wyciągnął papierosa, próbował myśleć o zleceniach, o niczym innym.

– Czy cokolwiek... – zaczął Skærbæk.

– Dostawa na Sturlasgade – powiedział Birk Larsen. Pierwsze słowa dzisiejszego ranka.

Tamten czekał.

– Obiecałem im wyięgnik.

– Zrobione – odparł Vagn Skærbæk.

W pokoju odpraw Meyer machał zdjęciem z kartoteki przed ekipą wywiadowców. Przeciętny mężczyzna w czarnej koszulce, z numerem więziennym. Łysiejący, posiniaczony, nieogolony, smętny siwy hipisowski

wąs. Na prawym policzku długie cięcie, które wyglądało na starą bliznę po nożu. Wpatrywał się w obiektyw i wyglądał na znudzonego.

– Nazywa się John Lynge, pochodzi z Nørrebro. Nie ma domu. Jest notowanym przestępcą i... – przypiął zdjęcie do tablicy ogłoszeń – wsadzimy tego łajdaka do więzienia. Pogadajcie z sąsiadami. Z ludźmi, z którymi pracował. W barach. Lombardach. Z dealerami. Ze wszystkimi, którzy go znają. Ma czterdzieści trzy lata. Smutny, samotny skubaniec...

Lund słuchała z sąsiedniego pokoju, popijając kawę w trakcie rozmowy z synem. Udało jej się przespać trzy godziny w pokoju gościnnym. Nie czuła się najgorzej.

– On nie ma planu – obwieszczał Meyer jak nawiedzony. – Nie ma kryjówki. Kiedyś wyjdzie na światło dzienne. A wtedy...

Meyer połączył dłonie z tak głośnym kłaśnięciem, że zabrzmiało to jak wystrzał.

Lund stłumiła śmiech.

– Nie możesz opuszczać lekcji szwedzkiego – mówiła do Marka przez telefon. – Jak to sobie wyobrażasz? Będziemy tam mieszkać. Bengt wytłumaczy w szkole, dlaczego się spóźniłeś. Nie będziesz miał kłopotów.

Meyer podniósł nowe zdjęcie Nanny. Jeszcze śliczna. Bez makijażu, bez wymuszonego, seksownego uśmiechu. Bez usilnych starań.

– Musimy wiedzieć o niej wszystko. Esemesy, poczta głosowa, maile. Wszystko, co się wiąże z Lyngem.

Mark się dąsał.

– Wieczorem wylatujemy – powiedziała Lund. – Dam ci znać, na którą zarezerwowałam lot.

– Do roboty – krzyknął Meyer i znowu klasnął.

Potem, gdy już zespół wyszedł, zajrzał do Lund i rzekł:

– Buchard chce pogadać, zanim wyjdiesz.

Staruszek miał przed sobą zdjęcie kartotekowe Lyngego – leżało na biurku, które kiedyś należało do niej. Meyer relacjonował, czego się dowiedział z akt.

– Trzydzieści lat temu aresztowano go za obnażanie się przed dziećmi na placu zabaw. Rok później zgwałcił dziewczynkę. Czternastoletnią.

Szef słuchał. Lund stała w drzwiach z kubkiem zimnej kawy. Nie podobał jej się wyraz twarzy Bucharda.

– Sześć lat później osadzono go w psychiatryku. Wyszedł półtora roku temu.

Wszystko to Meyer wyrecytował z pamięci, raz tylko zerkając do akt. Imponujące, pomyślała. Na swój sposób.

– Dlaczego wyszedł? – spytał Buchard.

Meyer wzruszył ramionami.

– Bo uznano, że nie stanowi już zagrożenia? – podsunęła Lund.

– Zawsze tak mówią.

– Nie zawsze, Meyer – odparł Buchard. – Sarah?

– Musimy z nim pogadać.

Meyer wyrzucił ręce w górę w udawanym uniesieniu.

– Oto niedopowiedzenie roku.

Bawił się samochodzikiem. Jak dziecko. Rozpędzony radiowozik błyskał niebieskim światłem i wył.

– Wyłącz to – powiedział Buchard. – Chciałbym z nią pogadać sam na sam.

Meyer odstawił samochodzik na biurko z przesadną ostrożnością.

– Jeśli to dotyczy sprawy...

Coś w wyrazie twarzy Bucharda sprawiło, że zamilkł. Podniósł w górę dłonie i wyszedł.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Lund wzięła torbę i rzuciła:

– Już to przerabialiśmy. Znasz odpowiedź.

– Sytuacja się zmieniła.

– Szefie! Nie mamy gdzie mieszkać. Bengt czeka na mnie w Szwecji.

Mark jutro zaczyna szkołę.

Ruszyła do drzwi.

– Wracam z laboratorium – mówił Buchard. – Dziewczyna żyła, gdy znalazła się w wodzie. Samochód tego typu wypełnia się wodą w ciągu dwudziestu minut. Do tego dodaj czas, który zajmuje utonięcie.

Wyciągał zdjęcia.

– To nie jest moja sprawa – odezwała się Lund, guzdrając się przy torbie, przekładając rzeczy, które już poprzekładała wcześniej.

– Kilkakrotnie ją zgwałcono. Przez pochwę. Przez odbyt. Gwałciciel używał prezerwatywy i nie spieszył się.

Luna patrzyła, jak szef czyta akta, i powiedziała:

– Mark tak się cieszy na przeprowadzkę. Nie!

– Gwałcono ją tak godzinami. Pewnie przez cały weekend. Ślady wskazują, że przetrzymywano ją gdzieś, zanim znalazła się w lesie.

Lund sięgnęła po płaszcz.

– I jeszcze to. – Buchard podniósł maleńką torebkę dowodową.

Lund spojrzała, nie mogła się powstrzymać.

– Meyer pokazał to matce. Mówi, że nigdy tego nie widziała.

Buchard odchrząknął.

– W chwili śmierci dziewczyna trzymała to w prawej dłoni. Myślę, że on jej kazał to nosić. Zerwała to z szyi, gdy tonęła. Żadne inne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy.

Lund stanęła przy oknie, patrząc na ponury dziedziniec przed aresztem.

– To nie jest zwykła sprawa, Sarah. Wiesz o tym. Zgwałcono dziecko, po czym zabito, żeby je uciszyć. – Nie mogła ominąć tych paciorkowatych

jasnych oczu. – Myślisz, że w ogóle dowiedzielibyśmy się o jej śmierci, gdybyśmy zostawili to wszystko... – kiwnął głową na drzwi – ...naszemu nowemu koledze Meyerowi?

– Ja nie...

– Rozmawiałem ze Sztokholmem. Zgodzili się, żebyś się tam zgłosiła po zakończeniu tego śledztwa.

I wyszedł, zostawiając zdjęcia, akta i torebkę dowodową na stole. I Lund samą.

Pomyślała o Marku i Bengcie. O Szwecji i nowej cywilnej pracy w Sztokholmie. Ale przede wszystkim o Nannie Birk Larsen, skatowanym ciele w bagażniku czarnego forda wepchniętego do kanału.

Wzięła torebkę i podniosła ją do światła.

Był to wisiorek na złotym łańcuszku. Tanie szkiełko. Tandetne.

Czarne serduszko.

Z korytarza wrócił Meyer. Wyglądał na wściekłego. Buchard musiał mu powiedzieć.

– To skandal.

– Zgadza się. Pracujemy po mojemu do końca tygodnia. Jeśli sprawa ciągle nie będzie zamknięta, przejmiesz ją.

– Świetnie.

Nie wyglądało to świetnie.

– Przyjmujemy moje zasady. Traktujemy ludzi z szacunkiem, bez względu na to, czy nam się podobają, czy nie. W samochodzie nie palisz, nie jeździsz szybciej niż pięćdziesiątką...

– Pierdzieć mogę?

– Nie. I nie chcę też widzieć wszędzie chipsów serowych ani hot dogów.

– A jaką bieliznę preferujesz?

Namyślała się chwilę.

– Co byś powiedział na czystą?

Szkoła stanowiła osobny miniaturowy świat, skłócony, buzujący od plotek i pogłosek. Kiedy nauczyciel zwany Ramą przybył do pracy w ów szary poranek, wydało mu się, że wieści przemykają korytarzami niczym złośliwy duch.

– Ja mogę to zrobić, jeśli chcesz – zaoferowała się dyrektor Koch.

– To moja uczennica – odparł. – I moja klasa.

Pięć minut później wszedł do sali, bez książek, bez uśmiechu. Spojrzał na nich – ni to dzieci, ni to dorosłych. Oliver Schandorff ze swoimi niesfornymi rudymi włosami, zaćpanym wzrokiem, skwaszoną miną. Lisa Rasmussen, najlepsza przyjaciółka Nanny, chociaż ani tak śliczna, ani tak bystra jak ona.

Co powiedzieć oprócz oczywistości? Co im dać prócz truizmów?

Z zasepioną ciemnoskórą twarzą rzekł:

– Właśnie nas powiadomiono... – Urwał, zamknął oczy, usłyszał surowość słów, jeszcze zanim je wypowiedział. – Policja mówi, że Nanna nie żyje.

Jakby wszyscy jednocześnie zachłysnęli się powietrzem. A potem rozległy się szlochy, jęki, szepty.

– Dzisiaj nie będzie lekcji. Możecie iść do domu. Albo zostać. Nauczyciele cały dzień będą w szkole. Będziemy mogli skorzystać z pomocy psychologa.

W głębi sali uniosła się ręka. Ktoś zadał nieuniknione pytanie.

– Co się stało?

Mężczyzna, którego znali jako Ramę, pomyślał o podróży swojej rodziny, o trudnym, groźnym kraju, który opuścili. Wtedy był dzieckiem. Ale i tak czuł, jak bezpieczne wydawało się to miasto w porównaniu ze światem jego dzieciństwa.

– Nie wiem.

Inna ręka.

– Została zamordowana?

Palce Lisy Rasmussen pomknęły do twarzy, wymknął się spod nich krzyk bólu i żalu.

– Wiem, że wszyscy macie pytania. Ja też. Nie ma... – Nauczycielowi nigdy nie brakowało słów. Nauczyciel zawsze był szczery. – Czasami nie ma szybkich odpowiedzi. Musimy na nie poczekać.

Przypomniało mu się, co powiedziała mu dyrektorka. Podszedł do Lisy, objął ramieniem jej zgarbione plecy i próbował spojrzeć jej w oczy.

– Potrzebna jest twoja pomoc – rzekł. – Liso?

Zero odpowiedzi.

– Policja chce z tobą rozmawiać.

Schowała twarz w ramiona.

– Z tobą i Oliverem.

Rama podniósł wzrok. Widział go jeszcze przed chwilą. Ale teraz miejsce Olivera było puste.

Lund pokazała Lisie Rasmussen zdjęcie czarnego forda estate.

– Widziałaś ten samochód?

Lisa kiwnęła głową.

– Nie wiem, czy ten. Taki sam.

– Kiedy?

Zastanowiła się.

– W piątek – odparła. – Przed imprezą. Chyba coś nim przywozili.

Lund podniosła zdjęcie Johna Lyngego.

– A jego widziałaś?

Dziewczyna wpatrywała się uważnie w łysawego mężczyznę, w siwy wąs i policzek z blizną, w policyjny numer.

– On to zrobił?

– Powiedz mi, czy go widziałaś.

Lisa przyjrzała się zdjęciu ponownie.

– Nie, chyba nie – zdecydowała. – Co on zrobił Nannie?

– Może był w szkole? Albo gdzieś, gdzie chodziłaś z Nanną?

Po długiej chwili pokręciła głową.

– Nie, nigdy wcześniej go nie widziałam.

Lund odłożyła zdjęcie.

– Orientujesz się, dlaczego Nanna powiedziała, że zatrzyma się u ciebie?

– Nie. – Wróciły łyzy. Znowu wyglądała na piętnaście lat. – Myślałam, że może z kimś wyjeżdża.

– Z kim?

– Nie wiem.

– Lisa...

– Nie wiem!

Zmiana kursu. Teraz rozmawiały o imprezie.

– Jakie sprawiała wrażenie? – spytała Lund.

– Szczęśliwej.

– W dobrym nastroju?

– Szczęśliwej.

– I...?

– I wyszła. Pomyślałam, że jakoś wcześniej. Ale...

– Dlaczego wyszła wcześniej?

– Nie powiedziała.

– Wyszła z kimś?

– Nie wi...

Zabrakło jej tchu.

Lund pochyliła się do przodu i próbowała spojrzeć dziewczynie w oczy.

– Nie widziałam! Dlaczego mnie pani o to wszystko pyta? Co ja niby mam wiedzieć?

Lund czekała, aż wybuch minie; wgryzła się w gumę nikotynową.

– Nanna była twoją najlepszą przyjaciółką, prawda? Myślałam, że chciałabyś pomóc.

– Ja nic nie wiem.

Stos zdjęć został uważnie przebrany. Nic strasznego. Nic kłopotliwego. Lund wyjęła ostatnią fotografię i pokazała ją dziewczynie.

– Rozpoznajesz ten wisiołek?

Czarne serduszko na złotym łańcuszku.

Lisa pokręciła głową.

– Wygląda na stare – powiedziała.

– Nigdy nie widziałas tego na Nannie?

– Nie.

– Jesteś pewna...

– Jestem pewna, jestem, jestem, jestem! – krzyczała dziewczyna. – Widziałam ją na imprezie. Uściskałam ją. Nie wiedziałam, że po raz ostatni...

Lisa Rasmussen wbiła wzrok w stół, nie w fotografię i byle nie w Lund.

– Nie wiedziałam – powtórzyła.

– Sprawdziłam – powiedziała Rie Skovgaard. – Lynge nie jest członkiem partii. Był tymczasowym pracownikiem z agencji, z której usług korzystaliśmy kilka razy. Mógł pracować dla kogokolwiek.

Stali przed biurem sztabu, w korytarzu, i rozmawiali szeptem. Hartmann wyglądał, jakby ledwie zmrużył oczy.

– To dobrze – podsumował.

– O ile podamy to do wiadomości. Jeśli nic nie powiemy, a prasa się dowie...

– To co?

– Stwierdzą, że wynajęliśmy mordercę i kryliśmy go. Gdy to dotrze do Kirsten Eller, możemy się pożegnać z koalicją. Musimy wydać oświadczenie. Natychmiast zająć stanowisko.

Hartmann się wahał.

– Mam być twoim doradcą, Troels. Mówię ci. Igramy z ogniem. Nie czekaj, aż cię dosięgnie...

– Dobrze, dobrze. Zrób to. Ale najpierw powiadom policję.

– A Eller i partia?

– Zostaw to mnie.

Do południa szkoła opustoszała. Na wyludnionym korytarzu, obok szafek, Lund i Meyer porównywali notatki. Po jednej stronie wisiał zestaw ostrzeżeń Ministerstwa Zdrowia o narkotykach, alkoholu i seksie. Po drugiej rząd plakatów filmowych i rockowych.

Meyer nie próżnował. Miał trzech świadków, którzy widzieli, jak Lynge wczesnym popołudniem dostarczał do szkoły materiały wyborcze.

– A wieczorem?

– Potem samochód też tu był. Może dowiedział się o imprezie i wrócił?

– Mamy pewność, że to był ten samochód?

Meyer uderzył w kilka zdjęć trzymanyh w dłoni i uśmiechnął się szeroko.

– Zrobili zdjęcia na stronę internetową szkoły. Czas imprezy. Spójrz na tło ujęć przy wejściu. Samochód.

Zadzwoił jego telefon. Podczas gdy on rozmawiał, ona przeglądała zdjęcia. Za dziećmiakami w upiornych przebraniach, maskach i perukach, za szkaradnymi kostiumami potworów zobaczyła czarną sylwetkę forda.

Meyer się złościł.

– Mówiłem już, że to nie podlega dyskusji – wrzeszczał do telefonu.

Wściekły Jan Meyer. A to nowość. Spojrzała na kolejne zdjęcia. Kiedy ona miała dziewiętnaście lat, nie obchodzili tak Halloween. A nawet gdyby obchodzili...

Zastanowiła się, co by powiedziała jej matka.

– Nie będę się powtarzał – krzyczał Meyer. – Odpowiedź brzmi „nie”.

Wbił wzrok w telefon. Zaklął.

– Nie do wiary. Rozłączyła się.

– Co się dzieje?

– Hartmann wydaje oświadczenie dla prasy. Próbuje ratować swoją chudą dupę...

Lund pacnęła go zdjęciami w ramię.

– Jedziemy do ratusza. Ty prowadzisz.

Birk Larsen wyszedł do pracy oszołomiony, przeraził się, jak bardzo go ta praca nie obchodzi, wrócił do domu, siadł z Pernille w kuchni. Nic nie mówili, jedynie czekali, i żadne nie wiedziało, na co.

Potem przyjechała Lotte, siostra Pernille. Jedenaście lat młodsza, wiekiem równie bliska Nannie, jak i Pernille. Birk Larsen siedział milcząco i apatyczny, patrzył, jak się przytulają i płaczą, i zazdrościł im tak otwartych emocji.

– Co z chłopcami? – spytała Lotte.

– Jeszcze im nie powiedzieliśmy – odparła Pernille. – Theis?

– Co?

To było pierwsze słowo, jakie wypowiedział od godziny.

Lotte siadła przy stole i łkała. Pernille zerknęła na plan lekcji wiszący na tablicy korkowej pośród zdjęć rodzinnych.

– Odbierzemy chłopców po plastyce. Kończy się o drugiej.

– Dobrze.

Lotte była w rozsypce.

– Co ona tam robiła? Nanna nigdy by nie wsiadła do samochodu z nieznajomym.

Dolewka czarnej kawy. Dzięki niej mniej mu się chciało krzyczeć.

Pernille poprzesuwała zdjęcia na tablicy korkowej, w sumie nie wiadomo po co.

– Musimy... – siąknęła nosem, wzięła dwa głębokie oddechy – musimy pomyśleć o chłopcach.

Znowu płakała, ale nie chciała tego pokazać.

Birk Larsen bardzo pragnął coś zrobić. Tak strasznie chciałby tu nie być. Wiedział, że niewypowiedziane myśli też w jakiś sposób są zdradą.

– Musimy im powiedzieć – rzekł.

Lund weszła do biura Stronnictwa Liberalnego. Pachniało tam potem, pastowanym drewnem i starą skórą. Skovgaard, zbyt elegancka i zbyt pewna siebie doradczyni Hartmanna, rozmawiała przez telefon o oświadczeniu dla prasy.

– Chcę się z nim widzieć – oznajmiła Lund, gdy Skovgaard wyłączyła telefon.

– Jest na spotkaniu.

– Okej.

Lund patrzyła, jak Skovgaard wraca do komputera, pisze coś, nie siadając, jak to zajęci ludzie.

– Wydajecie oświadczenie? – spytała.

Skovgaard dalej pisała.

– Nie można dłużej z tym czekać.

– Trzeba.

Skovgaard zerknęła na drzwi za policjantką i powiedziała bardzo powoli, jak do idioty:

– Nie można.

Lund podeszła, odepchnęła Skovgaard, gdy ta podbiegła do niej, krzyżąc, i otworzyła drzwi.

Troels Hartmann sprawiał wrażenie skonsternowanego. Podobnie jak siedząca z nim kobieta.

Kirsten Eller. Pulchna kandydatka z plakatów wyborczych.

Nie uśmiechała się. Nie lubiła, kiedy jej przeszkadzano.

– Przepraszam – powiedziała Lund do mężczyzny w odprasowanej niebieskiej koszuli. – Ale musimy porozmawiać.

Stanęli przy oknie, z dala od uszu siedzącej na sofie Kirsten Eller.

– Jeśli media uznają, że kłamię... – mówił Hartmann.

– To morderstwo. Szczegóły śledztwa są objęte tajemnicą. Nie może pan narażać go na szwank...

– A co ze mną?

Był niezwykłym człowiekiem. Obdarzonym charyzmą polityczną. Otaczała go aura niefrasobliwej szczerości. Zdołał to powiedzieć bez cienia wstydu.

Zadzwoił telefon Lund, wyrwała go z torebki, westchnęła, gdy zobaczyła numer, a i tak odebrała.

– Bengt. Mogę do ciebie oddzwonić?

Stukot młotków w tle.

– Jestem w domu. Cieśle tu pracują. Jakie drewno chcemy do sauny?

Lund zamknęła oczy. Hartmann nie odchodził. To już coś.

– A jakiego zwykle się używa w saunach?

– Sosny.

– Sosna jest okej. Tak mi się wydaje.

– Ale to zależy...

– Nie teraz. Zadzwonię później.

Koniec rozmowy.

Hartmann wracał do kobiety czekającej cierpliwie na sofie.

Lund chwyciła go za ramię i spojrzała mu w oczy. Coś w nich było...

– Niedługo go złapiemy. Niech pan nam nie przeszkadza.

– Jak niedługo? Dzisiaj?

– Mam nadzieję.

Hartmann się zawahał.

– Dobra – zdecydował. – Zaczekam. O ile to będzie dzisiaj.

– Dzięki.

– Sosna polarna.

Lund przystanęła.

– Sosna polarna – powtórzył. – Jest lepsza do sauny niż zwyczajna. Ma mniej żywicy.

– Ach.

Meyer stał w drzwiach, zakończył już bieganie po korytarzach.

Trzeba było iść.

Kirsten Eller powitała uśmiechem powracającego Hartmanna.

– Złe wieści, Troels?

– Wcale nie. Nie ma o czym mówić.

Przyglądała mu się.

– Naprawdę? Wyglądasz, jakbyś się martwił.

– Powiedziałem, że to nic takiego.

– Jeśli mam się rozwieść z Bremerem, to my musimy wziąć ślub. Nie interesuje mnie przelotny romans.

– Oczywiście. – Energicznie kiwnął głową.

– Obowiązuje nas bezwzględna szczerłość.

Hartmann uśmiechnął się do niej.

– Nie ma złych wieści, Kirsten. Możemy się wziąć za interesy?

Tuż po drugiej Pernille i Theis czekali na szarym chodniku przy fontannie. Patrzyli, jak dzieci wybiegają z placu zabaw, opatulone w ciepłe kurtki, czapki i rękawiczki, z tornistrami, machając jaskrawokolorowymi latawcami.

Wtorek. Zawsze coś robili na plastyce.

Emil, siedmioletni, o krótkich jasnych włosach, Anton sześciolatek, rudy, jak kiedyś jego ojciec, biegli, potykając się, próbując zmusić swoje latawce, by pochwyciły mroźny zimowy wiatr.

Latawiec Emila był czerwony, Antona żółty.

– Dlaczego tata przyszedł z tobą? – spytał od razu Emil.

Wyszli na szarą ulicę, patrzyli na samochody. Ostrożnie przeszli przez ulicę. Drobne rączki w dorosłych dłoniach.

Anton chciał wiedzieć, czy mogą pójść do parku puszczać latawce. Nadąsał się, gdy mama powiedziała, że nie.

Niebo wisiało nisko, ciemne i ponure. Zapakowali rzeczy chłopców do bagażnika.

Telefon. Niespokojny głos Vagna Skærbæka:

– Nie wracajcie jeszcze do domu.

– Czemu?

– Policja przeszukuje jej pokój. Robią zdjęcia.

Birk Larsen zamrugnął powiekami, patrzył, jak Pernille przypina chłopców w fotelikach, sprawdza zapięcie, całuje ich w czoło.

Nie wściekać się, pomyślał. Nie teraz.

– Jak długo będą?

– Nie mam pojęcia. Mam się ich pozbyć?

Birk Larsen nie wiedział, co powiedzieć.

– Chłopcy, Theis. Nie powinni tego oglądać.

– Racja. Zadzwoń do mnie, jak skończą.

Wsiedli więc do auta, a on rzekł:

– Dobra, jedźmy puszczać te latawce. A co tam.

Dwa uśmiechy, chłopięce piąstki wyrzucone w powietrze. Pernille spojrzała na niego.

Nie trzeba było żadnych słów. Zrozumiała.

Meyer prowadził tak jak zwykle.

– I jak, chłopiec z plakatu zaskarbił sobie twój głos?

– To znaczy?

– Uśmiechnęłaś się do niego, Lund.

– Uśmiecham się do wielu ludzi.

– Ciągłe gapił się na twój sweter.

Nadal miała na sobie czarno-biały sweter z Wysp Owczych. Był ciepły i wygodny. Kupiony na wakacjach zaraz po rozwodzie, spędzanych z Markiem, gdy próbowała wynagrodzić mu ciężkie przejścia. Polubiła go tak bardzo, że kupiła jeszcze kilka. W różnych kolorach. W różne wzory. W sprzedaży wysyłkowej...

– Kiedy ostatni raz widziałem swoją babcinę, też miała taki na sobie – mówił Meyer.

– Miło.

– Nie do końca. Leżała w trumnie. Nie znoszę pogrzebów. Wydają się takie... – wcisnął klakson, gdy rowerzysta wyjechał mu na drogę – ...ostateczne.

– Zmyśliłeś to – skwitowała, a on nic nie odpowiedział.

Wyspy Owcze były zielone i spokojne. Cichy, senny świat z dala od ponurych, miejskich widoków Kopenhagi.

– Jestem pewien, że nie gapił ci się na cycki. To znaczy...

Nie słuchała, a on sobie głądził. Niech sobie ulży.

W zielonym świecie Wysp Owczych nic się nie działo. Ludzie sobie żyli. Pory roku następowały jedna po drugiej. Krowy pierdziały. Zupełnie jak w Sigtunie.

– Dokąd jedziemy, Meyer?

– Lyngge nie wrócił na noc do domu. Jego siostra prowadzi zakład fryzjerski w Christanshavn. Dzisiaj rano pojechał się z nią spotkać. Zachował się nieładnie.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Niektórzy mężczyźni już tacy są.

Siostra Lyngego była przystojną kobietą o długich prostych włosach i smutnej twarzy.

– Gdzie on jest? – spytał Meyer.

– Nie mam pojęcia. To mój brat. Brata się nie wybiera.

Lyngge czekał w bocznej uliczce, gdy otwierała rano zakład. Wcisnął się do środka. Źle trafił. Miała w kasie tylko pięć tysięcy koron. Wziął je i trochę nabałaganił. W trakcie rozmowy z nimi siostra zmywała z podłogi szampony i odżywki.

Lund ruszyła na obchód, zostawiając przepytwanie Meyerowi.

– Jak pani sądzi, dokąd on się udał?

– Ja już nic o nim nie wiem. On jest chory.

– To wiemy.

– Nie. – Poklepała się po głowie. – Nie tylko tutaj. Jest chory. Powinien być w szpitalu. – Przerwała zmywanie. – Nigdy nie widziałam go w takim fatalnym stanie. To były tylko pieniądze. Nie wsadzajcie go do więzienia. Już nie. Tylko jeszcze bardziej zbikuje.

– Czy on ma dokąd iść? Ma jakąś dziewczynę?

– Nikt go nie chce znać. Po tym, co zrobił. – Zawahała się. – Była taka kobieta.

– Jaka kobieta? – wtrąciła Lund.

– Odwiedzała go w więzieniu. Wolontariuszka. – Siostra zmarszczyła czoło. – Znacie ten typ. Chrześcijanka. Nigdy się nie poddaje. Parę tygodni temu się ze mną kontaktowała. Błagała, żebym ja nawiązała z nim kontakt. Powiedziała, że to pomoże.

Czekali.

– Nie pomogłoby. Ja go znam. Poza tym... – rozejrzała się po niewielkim zakładzie – ja mam swoje życie. I mam do niego prawo. Prawda?

Meyer wziął szczotkę do włosów i bawił się nią.

– Ma pani nazwisko tej kobiety?

– Przykro mi. Pewnie przyszła z którejś organizacji, co to pomagają więźniom.

Siostra spojrzała na Lund.

– On zabił tę dziewczynę z telewizji, no nie? Wiedziałam, że do tego dojdzie. Nie powinni byli go wypuszczać. Taki był przerażony.

– Jak go dopadnę, dopiero się przerazi – mruknął Meyer.

Kobieta nic nie powiedziała.

– Co? – spytała Lund.

– Dzisiaj rano. Wyglądał, jakby był mocno przerażony. To znaczy... sama nie wiem.

– Musimy go znaleźć. Musimy pogadać.

Wróciła do zmywania.

– Powodzenia – powiedziała.

Wyszli. Ciągle lało.

– Weź mój wóz – poleciła Meyerowi. – Znajdź kogoś, kto odszuka tę odwiedzającą. I potem do mnie zadzwoń.

– Dokąd jedziesz?

Lund zatrzymała taksówkę i zniknęła.

Mathilde Villadsen, lat siedemdziesiąt sześć, półślepa, mieszkała w starej kamienicy wraz ze swoim kotem Samsonem i drugim w kolejności przyjacielem – radiem. Leciąca z niego muzyka z lat pięćdziesiątych, którą to dekadę uważała za swoją.

Nagle swing przerwały wiadomości.

– Policja nałożyła embargo informacyjne... – zaczął spiker.

– Samson?

Trzeba go już było nakarmić. Puszka stała otwarta. Karma trafiła do miski.

– ...w sprawie Nanny Birk Larsen, którą znaleziono martwą w poniedziałek.

Podeszła do kuchennego zlewu i wyłączyła radio. W pełnym przeciągów mieszkaniu panował chłód. Miała na sobie to, co nosiła przez większość zimy: długi granatowy wełniany sweter rozpinany, gruby szal na pomarszczonej szyi. Ogrzewanie kosztowałoby fortunę. Dla niej, dziewczyny z lat pięćdziesiątych, drobne trudy nie stanowiły problemu.

– Samson?

Kot miauczał za klapką prowadzącą na klatkę schodową. Szurając starymi, luźnymi kapciami, doczłapała do drzwi wejściowych, zdjęła łańcuch.

Na klatce było ciemno. Dzieci zawsze psuły światło. Mathilde Villadsen westchnęła, ugięła obolałe kolana. Wolałaby, żeby kot nie bawił się w te gierki.

W mroku, czując przez pończochy zimny kamień, posuwała się powoli przez korytarz, nawołując:

– Samson! Samson! Niegrzeczny kotek, niegrzeczny...

Nagle w coś uderzyła. Starając się dojrzeć, co to, macała palcami. Brudna skóra, nad nią dzinsy.

Podniosła głowę. Łysa czaszka, naznaczona blizną twarz w migoczącym płomyku zapalniczki, blisko wąsów kota, który siedział w ramionach mężczyzny.

Nie wyglądał na szczęśliwego. Wyglądał na przerażonego.

– Mój kot... – zaczęła.

Zapalniczka zbliżyła się do pyska Samsona. Kot miauknął i próbował się wyrwać z silnych ramion mężczyzny.

– Nie piskaj – powiedział cichy mocny głos. – Do środka.

Na manekinie wisiała suknia ślubna, biała satyna pokryta kwiatkami z bawełnianej koronki. Vibeke, matka Lund, robiła je dla miejscowego sklepu. Nie tyle dla pieniędzy, ile żeby coś robić. Wdowieństwo jej nie odpowiadało. Niewiele rzeczy jej odpowiadało.

– Co na to wszystko Bengt?

Nosiła się sztywno, wyprostowana, zawsze bystra, zawsze poważna, dynamiczna, czasami zgryźliwa i krytykancka.

– Zadzwoń do niego.

Vibeke cofnęła się i przyjrzała sukni. Dołożyła ścieg na biuście, kolejny na ramieniu. Lund pomyślała, że podoba jej się idea wychodzenia za mąż. Ograniczało to wybory kobiet. Wiązało je w sposób zamierzony przez Boga.

– Więc nawet mu nie powiedziałaś, że nie przyjeżdżasz?

– Nie miałam czasu.

Matka wydała krótkie westchnienie, które Lund znała jeszcze z dzieciństwa. Przypomniała sobie zdumiona, ile dezaprobaty i zgorszenia można zmieścić w jednym westchnieniu.

– Mam nadzieję, że go nie przepędzisz.

– Przecież mówię, że zadzwonię!

– Carsten...

– Carsten mnie uderzył!

Spojrzenie, długie i zimne.

– Raz. To wszystko. Był twoim mężem. Ojcem twojego dziecka.

– On...

– A jak ty się zachowywałaś? Ta obsesja na punkcie pracy. Mężczyzna musi wiedzieć, że kobieta go pragnie. Kocha. Jeśli mu tego nie dajesz...

– Uderzył mnie.

Vibeke bardzo uważnie wbiła szpilkę w lśniąca satynę przy dekolcie.

– Zastanawiałaś się kiedyś, czy się aby o to nie prosiłaś?

– Nie prosiłam się. Nikt się nie prosi.

Zadzwoiła komórka Lund. Meyer.

– Rozmawiałem z więzieniem.

– I?

– W sumie odwiedzały go trzy osoby. Jedna umarła. Jedna się przeprowadziła, a jedna nie odbiera telefonów.

– Przyjeźdź po mnie. – Lund podała mu adres w Østerbro. – Za dwadzieścia minut.

– Taksówka już jedzie. Mam nadzieję na suty napiwek.

Ludzie z policji zostawili znaki i ślady w całym mieszkaniu. Numerki i strzałki. Plamy pyłu w miejscach, gdzie szukali odcisków palców.

Anton, zawsze najbardziej dociekliwy, stanął przed jej pokojem i spytał:

– Co to jest na drzwiach Nanny?

– Odejdź stamtąd! – warknął na niego ojciec. – Chodź do stołu.

Stołu.

Pernille i Nanna zrobiły go w jakieś puste, dalekie wakacje trzy lata temu, gdy nie było nic do roboty poza gapieniem się na deszcz. Kupiły tanie drewno w sklepie dla majsterkowiczów. Zdjęcia i świadectwa szkolne przykleiły do blatu, a potem zalakierowały. Rodzina Birk Larsen zastygła

w czasie. Nanna skończyła piętnaście lat, szybko dorastała. Anton i Emil tacy malutcy. Twarze zatrzymane w miejscu, które stanowiło centralny punkt ich niewielkiego domu. Przeważnie uśmiechnięte.

Teraz chłopcy mieli sześć i siedem lat, jasne, pytające oczy. Byli ciekawi, może trochę niespokojni.

Pernille siadła, spojrzała na nich, dotknęła ich kolan, dłoni, policzków.

– Musimy wam coś powiedzieć.

Birk Larsen stanął za nią. Dopóki się do niego nie odwróciła. Wtedy powoli podszedł i siadł obok niej.

– Coś nam się przydarzyło – mówiła dalej Pernille.

Chłopcy zaszurali nogami, zerknęli po sobie.

– Co? – spytał Emil, starszy i uważany za powolniejszego.

Za oknem sunęły samochody. Z ulicy dobiegały głosy. Zawsze tak było. Dla Theisa Birk Larsena zawsze będzie.

Razem. Rodzina. W komplecie.

Jego wielka klatka piersiowa uniosła się ciężko. Silne, poznaczone bliznami palce przeczesaly siwiejące rude włosy. Poczul się stary, bezsilny, głupi.

– Chłopcy – rzekł w końcu. – Nanna nie żyje.

Pernille czekała.

– Nie wróci do nas – dodał.

Sześć- i siedmiolatek, jasne oczy połyskujące pod lampą, tam gdzie wszyscy jadal kolację. Nieruchome twarze wpatrujące się w nich z blatu stołu.

– Dlaczego, tato? – spytał Emil.

Myśleć.

Starać się.

– Pamiętacie, jak kiedyś widzieliśmy wielkie drzewo w Parku Jelenim?

Anton zerknął na Emila. Potem obaj kiwnęli głowami.

– Uderzył w nie piorun. Oderwał wielką...

Czy to się działo naprawdę? Czy sobie to wyobrażał? Czy kłamał, by dzieci zdołały zasnąć, gdy zapadnie ciemność?

– Oderwał wielką gałąź...

Nieważne, pomyślał. Kłamstwa też mogły zadziałać, tak samo jak prawda. Czasami nawet lepiej. Piękne kłamstwa mogą pomóc zasnąć. Szpetna prawda na pewno nie.

– Można tak powiedzieć, że teraz uderzył w nas piorun. I zabrał Nannę.

Słuchali w milczeniu.

– Ale tak jak drzewo w Parku Jelenim rośnie dalej, my też dalej istniejemy.

Dobre kłamstwo. Trochę go pokrzepiło.

Ścisnął dłoń Pernille pod stołem i rzekł:

– Musimy.

– Gdzie jest Nanna? – spytał Anton, młodszy, szybszy.

– Ktoś się o nią troszczy – włączyła się Pernille. – Za kilka dni wszyscy pójdziemy do kościoła. I tam się pożegnamy.

Gładkie czoło chłopca się zmarszczyło.

– To ona nigdy nie wróci?

Spojrzenia ojca i matki na krótką chwilę znieruchomiały. To były dzieci. Wspaniałe, ale żyjące we własnym świecie, nie musiały z niego uciekać.

– Nie – odpowiedziała Pernille. – Przyleciał anioł i zabrał ją do nieba.

Kolejne dobre kłamstwo.

Sześć- i siedmiolatek, błyszczące jasne oczy. To nie ich koszmar. Nie...

– Jak umarła?

Anton. Oczywiście.

Zabrakło im słów. Pernille podeszła do tablicy korkowej, popatrzyła na zdjęcia, na plany lekcji, na plany całej ich rodziny.

– Jak umarła, tato?

– Nie wiem.

– Tato.

– Tak się... czasami zdarza.

Chłopcy ucichli. Trzymał ich za ręce. Zastanawiał się: czy oni kiedykolwiek widzieli, jak płacze? I kiedy znowu mnie takiego zobaczą?

– Tak się zdarza.

Lund i Meyer wspięli się po schodach, wcisnęli guzik dzwonka, czekali. Na korytarzu było ciemno. Stłuczone żarówki. Odór kocich szczochów.

– A więc zamieszkałaś z matką, a nie z tym Norwegiem?

– Bengt jest Szwedem.

– Potrafisz wskazać różnicę?

Pod podanym adresem nikt nie odpowiadał. Na progu leżały stosy przesyłek reklamowych.

Lund podeszła do sąsiednich drzwi. Za matowymi szybami paliło się światło. Na tabliczce widniało nazwisko „Villadsen”.

Zaskrzeczało radio Meyera. Było za głośne. Spiorunowała go wzrokiem i załomotała do drzwi.

Nic.

Zapukała ponownie. Meyer stał z boku, z pięściami wspartymi na biodrach, milczący. O mało się nie roześmiała. Jak większość mężczyzn w Wydziale Zabójstw nosił swojego dziewięciomilimetrowego glocka w kaburze przy pasie. Wyglądał jak kowboj z kreskówki.

– Co jest?

– Nic. – Starła się nie uśmiechnąć. – Nic absolutnie.

– Przynajmniej mam broń. Gdzie...?

Usłyszeli grzechot. Zabezpieczone łańcuchem drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Twarz staruszki, niewyraźna w ciemnościach.

– Podkomisarz Sarah Lund z policji – przedstawiła się, pokazując odznakę. – Musimy porozmawiać z pani sąsiadką, panią Geertsen.

– Wyjechała.

Staruszka i obcy. Strach i podejrzenie.

– Wie pani dokąd?

– Za granicę.

Kobieta poruszyła się, jakby chciała zamknąć drzwi. Lund wysunęła rękę, żeby ją powstrzymać.

– Widziała pani dzisiaj coś dziwnego w budynku?

– Nie.

Z głębi mieszkania dobiegł jakiś dźwięk. Kobieta nie odrywała wzroku od oczu policjantki.

– Ma pani gościa? – spytał Meyer.

– To mój kot – odpowiedziała i szybko zatrzasnęła drzwi.

W radiowozie Lund rozmawiała przez radio, Meyer siedział obok. Nosiło go.

– Potrzebuję wsparcia. Podejrzany może przebywać pod tym adresem.

– Wyślemy wóz – odparł dyżurny.

Widzieli z ulicy okno mieszkania.

– Światła zgasły – zameldował Meyer. – On wie, że tu jesteśmy.

– Już jadą.

Wyjął glocka i sprawdził go.

– Nie możemy czekać. Taki bandzior. I staruszka. Wchodzimy.

Lund pokręciła głową.

– I co zrobimy?

– Co się da. Słyszałaś, co mówiła jego siostra. On jest obłąkany. Nie będę czekać, aż wykończy tę babcię.

Lund wychyliła się z fotela, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

– Zostajemy tutaj.

– Nie.

– Meyer! Jest nas dwójka. Nie obsadzimy wyjść...

– Gdzie masz broń?

Niedobrze jej się zrobiło.

– Nie mam.

Wyraz twarzy, który widziała już wczoraj, gdy rozmawiali o Szwecji. Bezgranicznego zdumienia.

– Co?! – spytał.

– Nigdzie nie idziemy. Czekamy.

Długa chwila. Meyer kiwnął głową.

– Czekaj, jeśli chcesz – powiedział i wyskoczył z wozu.

Po drugiej stronie miasta w samochodzie komitetu wyborczego pędzącego przez noc Troels Hartmann odebrał ostatni telefon, jakiego by pragnął. Od agencji prasowej. Tym razem oficjalnie. Od dziennikarza, którego nazwisko sobie przypomniał.

– Wiemy o samochodzie, Hartmann – powiedział dziennikarz. – Nanę Birk Larsen znaleziono w jednym z waszych wozów. Przemilczałeś to. Właściwie dlaczego?

W mieszkaniu nad magazynem Pernille płakała cicho. Theis Birk Larsen z Antonem na jednym swoim wielkim kolanie i Emilem na drugim opowiadał kolejne historie o aniołach i lasach, patrząc na ich twarze i przeklinając się za te kłamstwa.

Sarah Lund rozgryzła kolejny kawałek gumy nikotynowej, pomyślała o Janie Meyerze, pomyślała o martwej dziewczynie, która wyłoniła się

z wody.

Potem szarpnięciem otworzyła schowek na rękawiczki, przerzuciła paczki gum, zepsutą zapalniczkę, chusteczki, tampony i wyjęła broń.

W połowie drogi przez ciemną, wilgotną klatkę schodową usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

Resztę drogi przebiegła, chwyciła ramię Meyera, gdy ten tłukł szybę w drzwiach kolbą swojego pistoletu.

– Co ty wyprawiasz?

– A jak ci się zdaje?

– Mówiłam, że czekamy.

Wytlukł jeszcze trochę szkła, wybił dziurę łokciem, wsadził do środka rękę, spojrział na Lund i mrugnął okiem.

– Ty w lewo – rzekł – ja w prawo.

Ręka po drugiej stronie szukała po omacku. Usłyszała, jak w zamku przekręca się stary klucz. Potem drzwi się poruszyły. W mieszkaniu panowały ciemności takie same jak na klatce. Meyer wpadł do środka i zniknął. Ona podeszła do ściany, przesunęła się do przodu, w prawej dłoni czuła nieoswojony kształt glocka.

Mieszkanie cuchnęło kulkami na mole i maściami, kotem i praniem.

Trzy kroki i zderzyła się z kredensem. Strąciła coś ramieniem i w ostatniej chwili zdążyła to złapać, zanim spadło na ziemię. Ledwie widziała przedmiot, który trzymała: porcelanowa figurka, mleczarka uśmiechająca się pod ciężarem wiader. Odstawiła ją po cichu. Ruszyła do przodu, stanęła na czymś, w ciszy usłyszała cichy mechaniczny głos:

– Ważysz pięćdziesiąt siedem kilogramów dwieście gramów.

Zeszła z wagi, zastanawiając się, co Meyer mówi do siebie.

– Pięćdziesiąt siedem kilogramów dwieście gramów – powtórzyła waga.

Gdzieś przed sobą usłyszała bolesne westchnienie. Potem kroki. Sylwetka. Meyer przesuwający się przed nią z wyciągniętą bronią.

Poza tym żadnych dźwięków. Kolejne trzy kroki. Drzwi po prawej otwarte. Ciężki, nierówny oddech. Wsadziła broń do kieszeni, przeszła przez drzwi, pomacała palcami ścianę, znalazła włącznik światła. Przekręciła go.

W blasku bladej żółtej żarówki kinkietu wiła się staruszka skrępowana jak kurczak, w nadgarstkach i kostkach, z ustami zawiązanymi jakąś szmatą.

Lund padła na ziemię, położyła jej rękę na ramieniu, wyciągnęła knebel. Z ust staruszki dobył się długi, wysoki jęk przerażenia i bólu.

Meyer przeklinał gdzieś blisko.

– Gdzie on jest? – spytała Lund. – Pani Villadsen?

– Co powiedziała? – warknął Meyer.

Kobieta dyszała, walcząc o oddech. Przerażona.

– Co powiedziała?

Lund spojrzała na niego. Słuchała. Odebrał wiadomość. Wyszedł znów do ciemnej części mieszkania. Słyszała jego kroki na kaflach.

Ona czekała.

Ty w lewo. Ja w prawo.

To obowiązywało nadal? Tak, pewnie tak. Meyer pod pewnymi względami trochę był podobny do niej. Tylko jeden plan i koniec. Należało się go trzymać, dopóki się coś nie zmieniło. I też nie lubił pracować z kimś.

Rozwiązała kobiecie kostki i nadgarstki, poleciła jej zostać na miejscu i się nie ruszać.

Chwyciły ją wychudłe ręce.

– Niech mnie pani nie zostawia.

– Zaraz wrócę. Jesteśmy tu. Nic pani nie grozi.

– Niech mnie pani nie zostawia.

– Wszystko w porządku, proszę się nie martwić.

Pomarszczone palce nie puszczały.

– Potrzebna mi moja laska.

– Gdzie ona jest?

Wciągnęła gwałtownie powietrze, zastanowiła się i powiedziała:

– W przedpokoju.

– Okej. – Spokojny, miarowy głos. Tak właśnie Lund się czuła. – Proszę tu zostać.

Podeszła do drzwi, trzymając się lewej strony.

Zapachy kuchni. Kanalizacja, jedzenie. Kot. Kolejna stara lampa, klosz z falbankami, wyblakła żółć. Krzesło, biureczko. Pasiaste zasłony do samej podłogi. Delikatny ruch, jakby okno za nimi było otwarte.

W listopadzie.

Lund skrzyżowała ramiona, pomyślała, przesunęła się do przodu, delikatnie odsunęła tkaninę.

Bolesne cięcie w ramię było szybkie i gwałtowne jak ukąszenie pszczoły.

Zza pasków wyłaniała się postać, widoczna na tle białych świateł za oknem. Młóciła prawą ręką, w prawo i w lewo, w górę i w dół.

Kolejna fala bólu.

– Cofnij się! – wrzasnęła Lund. – Policja! Cofnij się!

Jak idiotka gmerała w kieszeni, szukając broni.

Zatrzymała się na ścianie. On skoczył do przodu. I teraz ukazał się w świetle. W jego dłoni zobaczyła nóż tapicerski, krótkie ostrze, ostre. Groźne.

Zaklął, zamachnął się w jej kierunku, sięgnął tak blisko, że poczuła ruch powietrza na policzku.

Wściekła, chora twarz, usta otwarte, wyszczerzone żółte zęby. Ryknął. Kolejne cięcie, zamaszyste ciachnięcie...

Zacisnęła palce na kolbie pistoletu. Uniosła go, wymierzyła lufę prosto w jego twarz.

John Lynge zmrużył oczy. Pocił się. Wyglądał na chorego. Na szalonego.

– Uspokój się, John. Nie zrobię ci krzywdy. – Nie słyszała Meyera, ale wiedziała, co on robi.

Lynge cofnął się o krok. Jej wzrok przyzwyczał się do tego światła. Widziała jego ramiona, ręce.

Ciągle mierzyła do niego z pistoletu.

– Ja nic nie zrobiłem!

Przerażony, pomyślała. To dobrze.

– Nie powiedziałam, że zrobiłeś, John.

Zwracaj się po imieniu. Wygaszaj emocje.

Zaczął się kołysać w przód i w tył, łkając, z rękoma przy twarzy.

Ciągle trzymał nóż. Wiedział o tym?

– Nie wierzysz mi – burknął Lynge.

– Słucham cię. Odłóż nóż.

Machnął ostrzem w jej kierunku. Nawet się nie wzdrygnął na widok pistoletu.

– Nie wsadzicie mnie do więzienia!

Szalony głos. Człowiek udręczony.

– Tylko rozmawiamy, John. Rozmawiajmy dalej. Dobra? Szkoła...

Lynge – sztywny i wściekły, drżący, na krawędzi – wrzeszczał:

– Źle się czułem. Pojechałem do szpitala. Wróciłem. Samochodu nie było. Może... może...

– Może co?

– Może zgubiłem kluczyki, jak wymiotowałem. Nie wiem.

– Jakie kluczyki?

– Do samochodu! Ty nie słuchasz.

Robił się coraz bardziej wściekły.

– Źle się czujesz. Słyszę cię, John.

Przesunął się krok w lewo. Widziała go w pomarańczowym świetle z ulicy.

– Czujesz się chory i zostawiłeś samochód. Odłóż nóż. Porozmawiajmy.

– Nie wrócę tam. Oni wiedzą...

– Nie wró...

– John!

Twardy męski głos z przedpokoju. Lund wzięła głęboki oddech. Spojrzała. Meyer. Z wycelowanym pistoletem. Mierzył prosto w głowę Johna Lynge.

– Rzuć nóż – polecił powoli, groźnie.

– Panuję nad sytuacją, Meyer – odezwała się Lund. – Wszystko jest pod kon...

Lynge już biegł. Meyer za nim. Dwie ciemne postaci pędzące przez pokój.

Krzyk i brzęk tłuczonego szkła. Zgiełk ciężkich przekleństw. Straszliwy huk na zewnątrz. Mdlący odgłos ciała i kości uderzających o ziemię.

– Meyer? – zapytała.

W oknie widziała postać.

Podeszła do niej.

– Meyer? – powtórzyła.

John Lynge był nieprzytomny, przypięty do noszy, intubowany i podłączony do rozmaitych aparatur. Wieźli go pędem przez szpitalny korytarz. Minęła dziesiąta wieczorem. Lund spytała po raz trzeci:

– Kiedy mogę z nim porozmawiać?

Chirurg nie zwolnił, wbił w nią tylko wzrok.

– Pani żartuje? – spytał.

– Przeżyje? – dorzuciła jeszcze, gdy dotarli do drzwi sali operacyjnej.

Stała, powtórzyła pytanie dwa razy głośniej.

Bez odpowiedzi. Potem John Lynge zniknął.

– Mamy odciski palców – zameldował Meyer. – I technicy zabrali jego buty.

– I nie mają ich z czym porównać. Mówi, że pojechał do szpitala!

– E tam!

– Słyszałeś kiedyś, żeby ktoś tak mówił, Meyer? Nie że pieprzył swoją dziewczynę. Nie że był w barze. Tylko że pojechał do szpitala?

Nic.

– Powiedział mi, że zgubił kluczyki w szkole. Kiedy wrócił, samochodu nie było.

– Kłamie!

Meyer spojrzał na nią i pokręcił głową.

– On cię ciachnął, Lund. I pociąłby cię jeszcze. – Przysunął się blisko. – Pociąłby ci twarz na wstążeczki. To cię nie obchodzi?

– To nie oznacza, że zabił Nannę Birk Larsen. Sprawdź rejestry w szpitalu.

– Daj spokój. Naprawdę myślisz...

– Jeśli on ma alibi, to ja chcę o tym wiedzieć. Ruszaj!

Ten ostatni rozkaz wykrzyczała. Co nie było do niej podobne. Ten człowiek zalał jej za skórę.

Zdjęła kurtkę, sprawdziła rękaw. Czarno-biały sweter nadawał się do wyrzucenia. Ostrze Lyngego zrobiło dziurę w wełnie, przecięło ramię.

– Powinnaś to pokazać...

– Tak! Powinam. Co ze staruszką?

– Dzwoniłem, jak ty się darłaś na lekarzy. Zatrzyma się u krewnych.

Lund kiwnęła głową. Teraz spokój. Rana bolała, ale ona nie da tego po sobie poznać.

– Idź się trochę przespać – powiedziała do Meyera. – Przekaż im, żeby mnie zawiadomili, jeśli jego stan ulegnie zmianie.

Skrzyżował ramiona, nie ruszył się.

– Co? – spytała Lund.

– Nigdzie nie pójde, dopóki nie zobaczę, jak rozmawiasz z pielęgniarką.

Debata telewizyjna dobiegła końca. W najlepszym wypadku remis, pomyślał Hartmann.

Po wyjściu, w tłumie czekającym na samochody, wziął na bok Rie Skovgaard.

– Miałaś wiadomości od Lund? – spytał.

– Nie.

– Dzwoniłaś do niej?

– Nie mogę się dodzwonić.

Padają. Ich kierowcy nie było widać.

– Nie możemy dłużej czekać. Przygotuj oświadczenie.

– Wreszcie...

– Daj je dziennikarzowi, który dzwonił. Jest czysty. Powiedz mu, że to na wyłączność. Zyskamy trochę oddechu...

Bremer wyszedł pewnym krokiem, z kurtką przerzuconą przez ramię, zerknął na deszcz, cofnął się pod dach.

– Narada kryzysowa?

Tamta dwójka ucichła.

– Dzisiaj wieczorem pomyślałem, że trochę zardzewieliście – ciągnął Bremer. – Jeśli mogę tak to ująć.

– Naprawdę?

Żadna ze stron nie zyskała punktów. Nikt nie popełnił rażącego błędu. Ale to, że Bremer cały czas się uśmiechał, dało Hartmannowi do myślenia. Każdą wskazówkę, każde pytanie sprowadzał do kwestii charakteru. Do braku doświadczenia Hartmanna, do niezawiedzonego zaufania.

Stary łajdak coś wiedział. Czekał na właściwy moment, żeby to wykorzystać.

– Zardzewieliście – powtórzył Bremer. – Będziecie musieli się bardziej postarać.

– Jeszcze trzy tygodnie do wyborów – włączyła się Skovgaard. – Mnóstwo czasu...

– Nie spieszcie się. Z tego co słyszałem, to mądre posunięcie. Dobrej nocy!

Hartmann patrzył, jak jego adwersarz odchodzi.

– Pewnego dnia rozerwę na strzępy tego dinozaura – mruknął.

– Naprawdę musisz popracować nad swoim temperamentem – zauważyła Skovgaard.

Skierował na nią lodowate spojrzenie.

– Doprawdy?

– Tak. Dobrze sprawiać wrażenie człowieka z pasją. Energicznego. Oddanego. Ale nie wybuchowego, Troels. Ludziom się to nie podoba.

– Dziękuję. Postaram się to zapamiętać.

– Bremer szuka słabych punktów. Nie podawaj mu żadnego na tacy. Gwałtowne usposobienie to słabość. Nie tylko on to zauważył.

Nie patrzyła mu prosto w oczy.

– Musisz nad tym popracować.

Skovgaard wzięła do ręki telefon.

– Agencja Ritzau też słyszała o aucie. Mają artykuł.

Podjechała czarna limuzyna i stanęła przed nimi. Kierowca Ratusza wysiadł i otworzył im drzwi.

– Mówiłam, że musimy wypuścić to wcześniej – powiedziała. – Teraz będziemy szaleć, żeby naprawić coś, co trzeba było zdusić w zarodku.

– Za tym stoi Bremer.

– Raczej ktoś z policji. Skąd on by wiedział?

– Dwanaście lat na tym lśniącym tronie. Może policja też dla niego pracuje.

Minęła ich długa limuzyna. Bremer opuścił szybę, uśmiechnął się do nich szeroko i pomachał jak król pozdrawiający poddanych.

– Ma u nas kogoś – mruknął Hartmann. – Musimy się dowiedzieć, kto to jest.

Dziesięć minut później samochód zajechał przed ratusz. Obległ ich tłum reporterów i operatorów.

– Powiedz, że tak uzgodniliśmy – poradziła Skovgaard. – Zachowaj spokój, bądź stanowczy, wiarygodny. Nie wściekaj się. Trzymaj się scenariusza.

– Czyjego scenariusza? – spytał, a potem znaleźli się w samym środku tłumy, pośród wyciągniętych rąk, które starały się przytrzymać otwarte drzwi.

Deszcz padał nieprzerwanie. Hartmann przecisnął się przez tłum do schodów prowadzących do budynku. Słuchając pytań. Analizując je.

– Panie Hartmann? Co pana łączy z Nanną Birk Larsen?

– Gdzie pan był w piątek?

– Co pan ma do ukrycia?

Morze wrogich głosów. Dotarł do drzwi i przystanął. Patrzył, jak dyktafony zbliżają się, by pochwycić każde jego słowo.

Wszystko, co powie, za kilka minut pojawi się w radiu. Utrwalone na zawsze, powtarzane w gazetach, odtwarzane w sieci.

Zaczekał, aż zaczną słuchać, po czym jak najspokojniej i jak przystało na męża stanu, rzekł:

– Ciało młodej kobiety znaleziono w samochodzie, który został wynajęty przez moje biuro. Tyle mogę państwu powiedzieć. Policja prosiła nas wyraźnie o powstrzymanie się od komentarzy. Ale pozwolę sobie coś dodać...

– Kiedy się pan o tym dowiedział? – krzyknęła jakaś kobieta.

– Dajcie mi coś powiedzieć... Nikt z partii ani z komitetu wyborczego nie jest wplątany w tę sprawę. Tyle mogę...

– Zaprzecza pan, że ukrywał informacje ze względu na wybory?

Hartmann spojrzał. Pytanie zadał przysadzisty łyсы mężczyzna w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, z papierosem w ustach ułożonych w złośliwy uśmiezek.

– Co?

Pismak przepchnął się bliżej.

– To nie jest trudne pytanie, panie Hartmann – wrzasnął przez las dyktafonów. – Zaprzecza pan, że świadomie oszukał opinię publiczną, by zdobyć więcej głosów? Czy tego możemy się spodziewać po Stronnictwie Liberalnym?

Nie przystanął, by się nad tym zastanowić. Przedarł się przez tłum tak szybko, że Skovgaard nie zdołała go zatrzymać. Złapał mężczyznę za kołnierz.

Uśmiezek ani na chwilę nie zniknął z twarzy pismaka.

– Tak – powiedział Hartmann z bliska. – Zaprzeczam. – Przerwa. Puścił go, otrzepał jego kołnierz, jakby właśnie zażartował. – To nie ma nic wspólnego z polityką. Ta dziewczyna...

Nie trzymał się scenariusza. Tonął.

– Troels? – odezwała się Skovgaard.

– Dziewczyna...

Błysnęły flesze. Wokół niego jeżyła się korona dyktafonów.

Pismak, którego omal nie uderzył, wyciągnął wizytówkę i wcisnął Hartmannowi w palec. Wziął ją bez namysłu.

– Troels?

Tonął.

Już go trzymała za ramię, już ciągnęła go w milczeniu przez drzwi, do westybulu, przez wewnętrzny dziedziniec i lśniąca ciszę ratusza, aż skryli się za jego warownymi murami.

Hartmann poczuł w dłoni karteczkę. Spojrzał.

Była to wizytówka.

Tylko numer komórki. Oraz imię i nazwisko.

Erik Salin.

Cały wieczór siedziała w ciemnym salonie, oglądając telewizję. Przeskakiwała z jednych serwisów informacyjnych na drugie.

Teraz trafiła na główne wydanie wiadomości.

– Troels Hartmann współpracuje z policją przy rozwiązaniu sprawy morderstwa – dowiedziała się z materiału. – Zaprzecza, by cokolwiek łączyło go z dziewczyną lub ze zbrodnią.

Wszędzie widziała jego plakaty. Niezwykły, przystojny, wyglądał bardziej na aktora niż na polityka. I zawsze smutno, pomyślała.

Hałas za plecami. Nie odwróciła się.

Przyszedł i padł obok niej na dywan.

– Samochód należał do tego polityka – powiedziała Pernille. – Szukają kierowcy.

Trzymał głowę w dłoniach. Milczał.

– Czemu nam nie powiedzą, co się dzieje, Theis? Zupełnie jakby to nas nie dotyczyło.

– Powiedzą nam, jak będą mieli coś do powiedzenia.

Doprowadzał ją do furii swoją apatią.

– Wiedzą więcej od nas. Nie obchodzi cię to?

– Przestań!

– Nie obchodzi cię?

Telewizor był najjaśniejszym punktem w pomieszczeniu.

– Skąd Nanna mogła znać tego kierowcę? To ktoś z polityki? Skąd...?

– Nie wiem!

Dzieliła ich przepaść. Otchłań, której wcześniej nie było. Wielka i nieporadna dłoń wyciągnęła się, by jej dotknąć. Pernille cofnęła się przed nią.

– Posłuchaj – rzekł. – Myślę, że powinniśmy wyjechać na kilka dni. Tak będzie najlepiej. Możemy wynająć ten sam domek, co ostatnio.

W półmroku, gdy tak siedzieli z twarzami oświetlonymi newsami na temat ich córki, Pernille spojrzała na niego zdumiona.

– Cały czas siedzi tu policja – mówił. – Chłopcy ciągle widzą Nannę w gazetach. W tym cholerstwie. Dzieciaki w szkole też gadają.

Zaczęła płakać. Jego dłoń powędrowała ku jej mokrej twarzy. Tym razem się nie cofnęła.

– I ty – ciągnął. – Oglądasz to. Przeżywasz od nowa. W kółko, cały dzień...

– Chcesz, żebym uciekła z Vesterbro, kiedy trzeba pochować naszą córkę?

Do tej pory jeszcze ani razu nie wypowiedzieli tego słowa. Nie oswoili się z tą myślą.

Birk Larsen zatarł swoje wielkie ręce. Mocno zacisnął wąskie oczy.

– Jutro porozmawiamy z kapłanem – mówiła dalej Pernille. – Umówimy wszystko. To właśnie zrobimy.

Cisza w bladym kuchennym świetle. Wielki mężczyzna schował twarz w dłoniach.

Pernille Birk Larsen wzięła pilota, znalazła kolejny kanał.

I patrzyła.

Ostrożnie, starając się nie uszkodzić go bardziej, Lund ściągnęła sweter z Wysp Owczych. Spojrzała na zakrwawioną dziurę. Zastanawiała się, czy sweter da się naprawić. Sama tego nie robi. Ale...

Suknia ślubna ciągle wisiała na manekinie, ze szpilkami i nitkami w rękawach i przy dekolcie.

Były to jedyne rzeczy, jakie jej matka w życiu robiła. Zupełnie jakby prowadziła jednoosobową kampanię na rzecz zamęścia całej żeńskiej populacji świata.

Zostawiła sweter przy maszynie do szycia. Vibeke wyszła ze swojego pokoju, ziewając i utyskując.

– Wiesz, która godzina?

– Wiem.

Vibeke spojrzała groźnie na stół.

– Nie rozrzucaj wszędzie swoich rzeczy, proszę. Nic dziwnego, że z Marka taki bałaganiarz.

Zobaczyła rozcięcie, oczywiście. Podeszła, pochyliła się, spojrzała.

– Co się stało?

– Nic.

– Masz dziurę na ramieniu.

Na kuchence stały gulasz mięsny i ziemniaki. Sos zakrzepł, ziemniaki wyschły. Lund nałożyła je sobie na talerz i wsadziła do mikrofalówki.

– Kot mnie podrapał.

– Nie wmawiaj mi, że to dzieło kota.

– To był dziki kot.

Patrzyły na siebie. Zawarły coś w rodzaju rozejmu. W każdym razie w tej sprawie.

– Dlaczego nie odpuścisz sobie tej pracy? – spytała Vibeke. – Teraz, gdy możesz mieć porządne życie?

Zapisała mikrofalówka. Jedzenie okazało się ledwie ciepławe. Wystarczy. Była głodna. Siadła, wzięła widelec, zaczęła jeść.

– Mówiłam ci rano. Tylko do piątku. Jeśli to problem, możemy się przenieść do hotelu.

Jej matka podeszła do stołu ze szklanką wody w ręku.

– Dlaczego to miałyby być problem? Dlaczego...?

– Przepraszam – powiedziała Lund z pełnymi ustami. – Jestem zmęczona. Nie kłóćmy się.

– My się nigdy nie kłócimy. Ty zawsze wychodzisz.

Lund podniosła do ust kolejną porcję mięsa i ziemniaków. Jadała to, odkąd sięgała pamięcią. Nic specjalnego, po prostu pożywienie. Zawsze takie samo.

– Pyszne – uśmiechnęła się do matki. – Naprawdę.

Vibeke przyglądała się jej uważnie.

– Bengt pytał, czy przyjedziesz na parapetówkę w sobotę. Przygotuje pokój gościnny.

Wpatrywała się w talerz, oceniając, ile zjadła i co zostało.

– Bengt tu dzwonił – kontynuowała Vibeke. – Dzisiaj po południu. Zastanawiał się, gdzie jesteś.

Lund spuściła głowę. Zakłęła.

– Nie powiedziałaś, że będę tu do piątku, prawda?

– Oczywiście, że powiedziałam! Miałam kłamać?!

Lund odepchnęła talerz, wzięła piwo z lodówki, poszła do swojego pokoju i zadzwoniła.

Bengt Rosling się nie złościł. Nigdy. Był ponad takie zachowania. Albo poniżej. Nie miała pojęcia.

Rozmawiali o parapetówce i sośnie polarnej, gawędzili, zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Jakby wszystko było w porządku.

On nie wiedział, że Sarah w trakcie tej rozmowy ogląda wiadomości na swoim komputerze. Ściszyła dźwięk. Wszystkie dotyczyły Hartmanna.

W piątek będzie w Szwecji. Z Markiem, i na chwilę z matką. Zacznie się nowe życie. Przeszłość zniknie. Kopenhaga i Carsten. Odznaka podkomisarza.

Po rozmowie z Bengtem poczuła się lepiej, szczęśliwa odłożyła telefon. Od razu sobie przypomniała, co zapomniała powiedzieć.

Zanim zadzwoniła ponownie, telefon sam się odezwał.

Wiedziała, że to Bengt. Odebrała więc i powiedziała powoli:

– Kocham cię.

– Rany! A to mnie uszczęśliwiłaś.

Meyer. Słyszała, że prowadzi. Wyobraziła sobie, jak jego samochód jedzie za szybko przez czarny deszcz. Chipsy serowe na siedzeniu pasażera. Guma do żucia i papierosy.

– Czego chcesz?

– Kazałaś mi obdzwonić szpitale! – Udawał urażonego. – W piątek przyjęto Lyngego.

– Na jak długo?

– Do siódmej rano następnego dnia. Ten kretyn jest uzależniony od heroiny. Napieprzył sobie metadonem czy czymś takim.

Troels Hartmann był w telewizji. Niemal walnął pięścią pyskatego reportera.

Potknął się na prostym pytaniu: „Zaprzeczy pan, że zataił informacje ze względu na wybory?”.

Uważała Hartmanna za spokojnego i rozsądnego człowieka.

– Czy Lynge mógł się wymknąć?

Hałaśliwa, chrupiąca przerwa.

– Bez szans. Trzymali go w sali ogólnej. Dostawał leki. Był tam całą noc.

– Zostawisz te chipsy w spokoju? Jeśli są w całym samochodzie...

– Cały dzień nic nie jadłem.

– Znalazłeś rower Nanny?

– Nie.

– A co z jej komórką?

Też była w samochodzie Hartmanna. Co wydawało się dziwne.

– Laboratorium nad nią pracuje. Po raz ostatni dzwoniła w piątek. Może ze szkoły. Nie są pewni.

– Dobra. Wrócimy tam rano.

– Nie, Lund. Ty nie wrócisz.

Ciągle jadł chipsy. Słyszała, jak chrupie, jak pochłania je w taki obłąkany sposób, jakby na całym świecie nie było już ani jednej paczki.

– Dlaczego nie?

– Wpadłem na Bucharda. Hartmann chce się spotkać. Chodzi o ciebie.

Zastanowiła się nad tym.

– Prześpij się. Napisz raport.

– Dzięki. Śpij słodko, kochana.

– Bardzo śmieszne.

– Lund? Pomyśl o tym. Hartmann nie zadzwonił do ciebie poprosić o to spotkanie. Zadzwonił do Bucharda. Albo może... – to chrupanie doprowadzało ją do szaleństwa – ...do kogoś wyżej. Politycy siedzą nam

na karku. Założę się, że każdy z nich dzwoni na górę, żeby nam nasrać na głowę. Prześpij się z tym.

W maleńkiej sypialni, słuchając, jak jej matka krząta się po kuchni, porządkuje, zmiata, Sarah Lund śledziła wiadomości na komputerze. Uważnie, sekunda po sekundzie obserwowała Troelsa Hartmanna.

4_

ŚRODA_ 5 LISTOPADA_

Hartmann dotarł do komendy tuż po dziewiątej i poszedł prosto do gabinetu Lund. Siadł w jasnym zimowym słońcu wpadającym przez wąskie okno naprzeciwko niej i Bucharda. Ostra, poważna Rie Skovgaard zajęła miejsce obok niego i śledziła każde słowo.

– Mogłem uniknąć tego całego gówna z wczorajszego wieczoru – mówił – gdybym zrobił to, co trzeba, i od razu wydał oświadczenie. Zanim wasi ludzie puścili przeciek.

To była polityka, świat, którego Lund z powodzeniem unikała aż do teraz, do sprawy Birk Larsen. Gubiła się w tym. Jednak trochę ją intrygował.

Szef pochylił się do przodu, spojrział Hartmannowi w oczy i rzekł:

– Stąd nie było żadnych przecieków. Gwarantuję.

– Kierowca się przyznał? – spytał Hartmann.

Lund pokręciła głową.

– Nie, i się nie przyzna. Jest niewinny.

Twarz z plakatu, przystojna, myśląca, życzliwa, zniknęła. Teraz Troels Hartmann dostał szału.

– Chwila, moment. Wczoraj powiedziała pani...

– Wczoraj powiedziałam, że jest podejrzany. Był. Już nie jest. Tak się zdarza. Dlatego prosiliśmy, by zachował pan milczenie.

– Ale nadal mówicie, że ktoś użył mojego samochodu?

– Bo ktoś użył.

– Może go skradziono – dodał Buchard.

– Skradziono? – Ten pomysł chyba mu się nie podobał. – Kiedy to podacie do wiadomości publicznej?

– Jeszcze nie teraz – odparła Lund. – Musimy poczekać.

– Na co? – chciała wiedzieć Skovgaard.

Lund wzruszyła ramionami.

– Kierowca został ranny. Dzisiaj go przesłucham. Zobaczymy, co ma do powiedzenia...

– Jeśli nasz samochód został skradziony – przerwała jej Skovgaard – trzeba o tym zawiadomić prasę. Potencjalne szkody...

Lund skrzyżowała ramiona, patrzyła na Hartmanna, nie na kobietę.

– Pomogłoby nam, gdyby mężczyzna, którego szukamy, myślał, że podejrzewamy kogoś innego.

– Nie możemy w to dalej grać – rzekł Hartmann. – Rie napisze oświadczenie. – Odwrócił się do Bucharda. – Pokażemy panu jego treść. I wydamy je. Gdy tylko...

Lund przeciągnęła swoje krzesło przez cały gabinet i siadła tuż przed Troelsem.

– Naprawdę byłabym zobowiązana, gdyby pan się wstrzymał.

– Nie mogę pani pomóc.

– Potencjalne szkody...

Hartmannowi zalśniły oczy.

– A co z moją szkodą? Już została wyrządzona. A sytuacja jeszcze się pogarsza. Buchard...

Szef kiwnął głową.

– Przedstawimy panu treść oświadczenia – obiecał Hartmann. – Jeśli znajdzie pan w nim błąd, proszę nas poinformować. Inna opcja nie wchodzi w grę.

– Doceniam to.

– To wszystko. – Hartmann wstał. – Na dzisiaj skończyliśmy. Do widzenia.

Lund wcale nie skończyła. Wyszła na korytarz. Dogoniła Hartmanna i Skovgaard, gdy szli w stronę spiralnej klatki schodowej.

– Hartmann! Hartmann!

Zatrzymał się, spojrzął na nią bez uśmiechu.

– Gdyby mnie pan tylko wysłuchał...

– Prasa traktuje mnie jak podejrzanego. – Hartmann wymierzył palec w jej klatkę piersiową. – Jakbym to ja zabił to dziecko.

– W telewizji powiedział pan, że będzie współpracować.

– Już współpracowaliśmy – poprawiła Skovgaard. – I proszę, do czego nas to doprowadziło.

Lund stała przed Hartmannem i patrzyła mu prosto w oczy, natarczywie.

– Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Musimy iść – powiedziała Skovgaard.

– Lund?

Svendsen z Wydziału Zabójstw wyszedł z centrum koordynacyjnego i kiwnął na nią.

– Masz gości.

Dotknęła ramienia Troelsa Hartmanna.

– Chwileczkę, proszę. Jeszcze nie skończyliśmy. Jedną minutę. Niech mi ją pan poświęci.

Na końcu długiego korytarza stały dwie postaci. Potężny mężczyzna o smutnej twarzy z gęstymi bokobrodami, w czarnej skórzanej kurtce. Kobieta w płowym gabardynowym płaszczu, o kasztanowych włosach, ładna, sprawiała wrażenie zagubionej i przerażonej. On miętosił czapkę w niespokojnych dłoniach. Czekali na coś, czego wcale nie pragnęli. Ona wpatrywała się w lśniące czarne marmurowe ściany. Przyłgnęła do jego ramienia.

Lund ruszyła do nich szybko. Wyjaśniała coś, gdy szli korytarzem. Minęli Hartmanna i Rie Skovgaard, którzy odsunęli się na bok.

Nikt nic nie mówił. Nie było takiej potrzeby.

Kobieta na ułamek sekundy odwróciła się i spojrzała, a potem poszła dalej.

– Jesteśmy spóźnieni – ponagliła Skovgaard. – Musimy iść.

Lund wróciła. Hartmann nie mógł oderwać wzroku od smutnej pary.

– Troels?

– Czy to...? – spytał.

Lund kiwnęła głową, patrzyła na niego i czekała.

– Czy to coś zmieni?

– Tak.

– Ma pani pewność? – warknęła Skovgaard.

– Mam pewność, że jeśli wydacie oświadczenie, stracimy okazję. I może przewagę.

Lund westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Mamy tak niewiele. Będę się starała zrobić wszystko, co się da.

– Dobrze. – Nie patrzył na Skovgaard, która piorunowała go wzrokiem. – Tylko do jutra. A potem... Lund...

Słuchała.

– Jutro – ciągnął Hartmann – przedstawimy jasne stanowisko. Bez względu na to, co pani powie.

Theis i Pernille Birk Larsen siedzieli w pokoju Lund i słuchali. Na biurku stała nietknięta kawa.

– Mamy wstępny raport patologa – relacjonowała podkomisarz. – Badania jeszcze trwają. Pogrzeb...

– Musimy wyjechać – przerwał jej Birk Larsen. – Dzisiaj po południu pojedziemy nad morze. Ci wszyscy cholerni dziennikarze. Chłopcy... – Spojrzał jej w twarz. – Wasi ludzie cały czas kręcą się po mieszkaniu. Jak nas nie będzie, możecie robić, co się wam podoba.

– Jeśli tego państwo sobie życzą.

– Co oni z nią robią? – spytała Pernille.

– Jeszcze kilka badań. Nie wiem dokładnie. – Kłamstwo. Zawsze z niego korzystała. – Powiadomimy państwa, kiedy będzie można odebrać ciało.

Lund pomyślała, że matka myślami jest gdzie indziej. Zagubiona we wspomnieniach. Albo w wyobraźni.

I znowu odezwał się ojciec.

– Gdzie Nanna trafi?

– Do domu pogrzebowego. Mogą go państwo wybrać.

Pernille się przebudziła.

– Co się z nią działo? – Siąknęła nosem. – Co on jej zrobił?

Lund rozłożyła ręce.

– Muszę poczekać na końcowy raport. Rozumiem, że chcą państwo wiedzieć. To...

Theis Birk Larsen sprawiał wrażenie, jakby chciał wepchnąć sobie w uszy swoje wielkie ręce.

Zapukano do drzwi. Jeden z członków zespołu przeprosił i spytał o dokumenty z biurka.

Tyle tego było, a oni tak mało mówili. Lund pomagała koledze. Nie zauważyła, że drzwi pozostały otwarte.

Ale Pernille Birk Larsen zauważyła i dostrzegła szparę. I przez nią wstrząśnięta zajrzała do sąsiedniego pomieszczenia. Znajdowało się tam centrum koordynacyjne.

Zdjęcia na ścianie. Kostki skrupowane czarnym plastikiem. Posiniaczone nogi na srebrnym stole. Martwa twarz, twarz Nanny, pokryta ranami, zamknięte oczy, wargi sine i napuchnięte. Zakrwawione oko. Złamany paznokieć. Majtki ze znacznikiem. Rozerwana koszulka.

Strzałki wskazywały szczegóły, ślady krwi i cięcia. Kółka oznaczały plamy, notatki opisywały uszkodzenia. Jej ciało, na boku, ręce skrupowane, nogi też. Leżące na stole, o dziwo, spokojnie.

Pernille wstaje.

Oddech jej huczy, serce pędzi, Theis też wstaje, podchodzą do drzwi.

Jeden dźwięk: spada ołówek, który strąciła.

Czar pryska.

Lund podniosła wzrok. Wezbrała w niej furia, szarpnęła funkcjonariusza, wypchnęła go z pokoju, krzycząc:

– Zamknij drzwi!

Odwróciła się do nich.

– Przepraszam – wyszeptała.

Stali w milczeniu. Wielki mężczyzna i jego żona. Niezdolni do płaczu. Ani do odczuwania.

– Przepraszam – powtórzyła i chciało jej się wyć.

On jedną ręką ścisnął biurko, drugą palce żony.

– Chyba czas na nas – rzekł.

Szli korytarzem niczym dwa duchy zagubione w otchłani, ręka w rękę, nie zważając, dokąd podążają.

– Proszę do mnie dzwonić w razie potrzeby, w każdej chwili – zawołała Lund za nimi. Żałowała, że nie ma im nic innego do powiedzenia.

Dyrektor Koch nie miała czasu dla policji.

– Muszę w tej szkole przywrócić porządek – powiedziała. – Przed nami nabożeństwo żałobne. Wygłoszę mowę.

– Tego pani akurat nie musi robić – stwierdziła Lund.

Rozmawiały na korytarzu przed klasą Nanny. Dzieciaki wchodziły i wychodziły. Oliver Schandorff, zauważyła Lund, kręcił się w pobliżu, próbując podsłuchiwać.

– Nie może pani zakładać, że szkoła ma z tym coś wspólnego.

Meyera ciągnęło do kłótni jak gwóźdź do magnesu.

– Wie pani co? Jeśli pozwoli nam pani wykonywać swoją robotę, może do tego dojdziemy.

Uraczył ją swoim najpaskudniejszym spojrzeniem. Po jej odejściu dodał:

– Lynge przyjechał w południe i kazano mu zostawić plakaty w piwnicy. Ktoś widział też, jak kręcił się w pobliżu sali gimnastycznej.

– Po co?

– Nie mam pojęcia. Może czuł się nie w formie. Albo było mu niedobrze. Albo lubił się gapić na dziewczyny grające w siatkówkę.

– Może gdzieś tam zgubił kluczyki.

Meyer wzruszył ramionami.

– Kto miał potem wuef? – spytała Lund.

– Nikt. Następne zajęcia odbyły się w poniedziałek. Nikt nie zgłosił znalezienia żadnych kluczyków. Ależ niespodzianka.

Szli korytarzem w stronę wyjścia.

– Co wiemy o dziewczynie?

Meyer przejrzał swoje notatki.

– Najlepsza uczennica. Dobre oceny. Lubiana. Ładna. Nauczyciele ją cenili. Chłopcy chcieli się z nią przespać.

– A ona?

– Sypiała tylko z Oliverem Schandorffem i zerwała z nim pół roku temu.

– Narkotyki?

– Nic. I zwykle też nie piła. Mam zdjęcie z imprezy. Nikt jej nie widział po dwudziestej pierwszej trzydziści.

Lund zerknęła na odbitkę w ręku Meyera. Nanna w jaskrawej niebieskiej peruce i w kapeluszu wiedźmy, obok niej Lisa Rasmussen. Obie uśmiechnięte, Lisa jak nastolatka, Nanna raczej...

– Wygląda... wygląda dojrzałe. – Meyer zerknął do notatek.

– To znaczy?

– To znaczy, że wygląda dojrzałe. Zwłaszcza w porównaniu z koleżanką.

Pokazał następne zdjęcie. Znowu Nanna i Lisa, może chwilę wcześniej lub później. Lisa obejmująca Nannę, która uśmiecha się szeroko i tym razem ma otwarte usta.

Lund zerknęła na perukę i kapelusz.

– Zadała sobie tyle trudu z kostiumem i wyszła wcześniej?

– Tak. Śmieszne, co?

Lund rozejrzała się po korytarzu, spojrzała na szafki i plakaty na ścianach.

Meyer trącił ją notesem.

– Masz jakieś odpowiedzi? – spytała.

– Mam pytania, Lund. To już coś.

Zabrali Lisę Rasmussen do pustej klasy.

Pierwsze pytanie zadała Lund.

– Nie mówiłaś nam, że Oliver i Nanna pokłócili się na parkiecie. Dlaczego?

Nastolatka wydeła wargi, nim odpowiedziała.

– To nie było ważne.

Meyer zerknął na nią.

– Twoją najlepszą przyjaciółkę zgwałcono i zamordowano, a to nie było ważne?

Nie zamierzała płakać. Dzisiaj był dzień wrogości wobec gliniarzy.

– Tańczyłyśmy. Podszedł Oliver. To nie był jakiś wielki dramat.

Lund się uśmiechnęła.

– Oliver rzucił krzesłem.

Nic.

– Nanna piła?

– Nie – odparła nadąsanym głosem.

– Ty piłaś – stwierdził Meyer.

Wzruszenie ramion.

– Trochę. Co z tego?

– Dlaczego zerwali? – spytał.

– Nie wiem.

Pochylił się nad stołem i spytał bardzo powoli:

– Dla. Cze. Go. Zer...?

– Powiedziała mi, że on jest niedojrzały! Że to dzieciak.

– Ale ty myślałaś, że ona z nim jest?

– Nie mogłam jej znaleźć.

Nadeszła kolej Lund.

– O co się pokłócili?

– Oliver chciał z nią porozmawiać. Ona nie chciała.

– I wyszła. Gdzie był wtedy Oliver?

– Za barem. Wypadła jego kolej.

– Jesteś pewna?

– Widziałam go.

Meyer przesunął po stole kartkę papieru, cały czas patrząc na dziewczynę.

– To grafik dyżurów za barem – wyjaśniła Lund. – Nie ma na nim jego nazwiska. Nikt inny nie pamięta, żeby pracował tamtej nocy.

Nie spojrzała na grafik. Tylko zagryzła wargę jak małe dziecko.

– Co miała na sobie? – spytał Meyer.

Chwila namysłu.

– Kapelusz czarownicy ze spinką. Niebieską perukę. Miotłę. Z gałązek. I taką zniszczoną suknię...

– Było zimno, Lisa – wtrącił się Meyer. – Nie pomyślałaś, że to dziwne, że ona ma na sobie tak niewiele?

– W klasie miała chyba kurtkę.

– A więc poszła na górę – zauważyła Lund.

– Ale nie – wciął się ostro Meyer. – Zeszła na dół. Tak nam wcześniej mówiła Lisa. – Spojrzał na nią. – Na dół, prawda?

– Na dół – mruknęła dziewczyna.

– Więc skąd wzięła kurtkę? – naciskała Lund.

– Właśnie – poparł ją Meyer. – Skąd?

– Nie wiem, czy miała kurtkę. Tu było pełno ludzi...

Lisa Rasmussen urwała zaczerwieniona, z widocznym poczuciem winy.

Meyer przyjrzał się jej.

– Myślałem, że dzisiaj nie będziesz płakać, Liso. Dlaczego nagle stało się to takie trudne?

– Nie wiesz, kiedy wyszła ani czy Oliver poszedł za nią – powiedziała Lund.

– Wiemy, że nas okłamujesz! – wrzasnął Meyer. – Czy Oliver znalazł kluczyki do auta? Przeleciał ją w samochodzie, żeby udowodnić, jaki jest

męski? Patrzyłaś na to?

Lund interweniowała, objęła dziewczynę ramieniem. Teraz już łzy płynęły strugami.

– To ważne, żebyś nam powiedziała wszystko, co wiesz – mówiła.

Usłyszeli piskliwy głos małej, przerażonej Lisy Rasmussen, która skamlała:

– Ja nic nie wiem. Zostawcie mnie.

Zadzwoiła komórka Meyera.

– Musisz nam powiedzieć... – zaczęła Lund.

– Nie musi – przerwał jej Meyer i sięgnął po kurtkę.

W szkolnej piwnicy ciągnął się labirynt pomieszczeń. Wszystkie po kolei przeczesywał Svendsen, gderając, że musi to robić sam.

Znalazł miotłę z gałązek i jakąś plastikową torbę w pomieszczeniu przerobionym na garaż dla rowerów.

Lund patrzyła.

Rzędy metalowych drzwi. Za nimi pomieszczenia jak cele.

W plastikowej torbie znajdowała się niebieska peruka.

– Co z jej rowerem?

– Jestem tu sam – oświadczył Svendsen po raz czwarty tego ranka.

– Zapięczętuj ten rejon. Ściągnij na dół techników, całą ekipę – rozkazała Lund.

Weber siedział przy komputerze. Z każdym dniem bardziej się z nim oswajał.

– Widziałeś sondaże? – spytał.

– Liczą się jutrzejsze sondaże – odparł Hartmann. – Kiedy zobaczą, że jest koalicja...

Morten Weber skrzywił się niezadowolony.

– Dopóki Kirsten Eller nie podpisze, nie licz gruszek na wierzbie.

– Wczoraj wieczorem z nimi rozmawiałem. To załatwione, Morten. Przystań się zamartwiać.

Skovgaard skończyła rozmowę telefoniczną. Też nie wyglądała na uszczęśliwioną.

– O, chyba się upodabniacie do siebie – zauważył Hartmann. – Co zrobiłem źle tym razem?

– Ludzie Eller uważają, że jesteś mało konkretny – poinformowała go Skovgaard. – Niektórzy nasi też.

– Powiedz im... powiedz im, że samochód ukradziono. Zadzwoił telefon Webera.

– Czemu nie powiedzieć im prawdy? – spytał, zanim go odebrał. – Pomagamy policji.

– Policja ma własne cele – odparła Skovgaard. – W ogóle ich nie obchodzimy.

Hartmann się zjeżył. Ta Lund go intrygowała. Miał ochotę dać jej szansę.

– Nie będę tego wykorzystywać, Rie. Nie jestem takim politykiem.

– Czasami sprawiasz, że chce mi się krzyczeć – wybuchnęła. – Rób tak dalej, a nie będziesz w ogóle politykiem.

– To była Kirsten Eller. – Weber się rozłączył. – Chce cię widzieć. Już. – Spojrzał na Hartmanna sponad okularów. – Myślałem, że masz to załatwione, Troels.

– Czego ona chce?

– Nie powiedziałaaby tego takiemu pachółkowi jak ja, prawda? Dość oczywiste, nie sądzisz?

Hartmann milczał.

– Chce się zabezpieczyć – powiedziała Skovgaard.

Oboje spojrzeli na niego, jakby powinien o tym wiedzieć.

– Kto by nie chciał? – westchnął Weber.

Hartmann wstał.

– Poradzę sobie z Kirsten Eller.

Piętnaście minut później Hartmann siedział w sali konferencyjnej Partii Centrum.

Eller się nie uśmiechała.

– Zlekceważyłam nastroje w ugrupowaniu – powiedziała.

– To znaczy?

– To zamieszanie z policją. Teraz ludzie o tobie mówią. Zwolennicy Bremera czują twoją krew.

– Samochód skradziono. Kierowca jest niewinny.

– Dlaczego nikt o tym nie wie, Troels?

– Bo policja prosiła, żeby poczekać. I tak należało zrobić. Co to zmienia?

– Wiele. Mogłeś mnie ostrzec.

– Nie. Nie mogłem. Policja prosiła, bym nikomu nie mówił.

– Dzisiaj rano dzwonił do mnie Bremer. Zaproponował, że zbuduje dziesięć tysięcy mieszkań komunalnych o minimalnym czynszu.

– Znasz go. Nic z tego nie wyjdzie.

– Przykro mi, Troels. Nie będzie koalicji. Nie mogę. W tych okolicznościach...

Hartmann poczuł, jak skacze mu ciśnienie.

– Bremer cię zwodzi. Chce, żebyś się wahała, aż będzie za późno, żebyśmy zawarli umowę. Wtedy zostawi cię na lodzie. Nie dostaniesz mieszkań. Będziesz miała szczęście, jeśli dostaniesz fotel wiceburmistrza.

– To decyzja ugrupowania. Nic nie mogę zrobić.

Chciał krzyknąć. Nawrzeszczeć na nią, że jest taka głupia, ale nie zrobił tego.

– Chyba że, oczywiście, masz lepszą ofertę – dodała.

Bremer przygotowywał się w studiu do programu telewizyjnego. Światła i kamery. Makijażystka. Klakierzy.

Z trudem hamując wściekłość, Troels Hartmann wtarabanił się do środka, podszedł, spojrział na roześmianą postać w białej koszuli, z upudrowanymi policzkami, i wysyczał:

– Ty bezwzględny gnojku.

Bremer z uśmiechem potrząsnął siwą głową.

– Przepraszam?

– Słyszałeś.

Makijażystka przerwała pudrowanie. Stała i słuchała.

– Nie mam teraz czasu, Troels – powiedział Bremer z przyjaznym westchnieniem. – Ty chyba też. Później...

– Żądam wyjaśnień.

Podeszli do okna, by zachować pozory osobności. Hartmann nie liczył się ze słowami. Był wściekły, jeszcze zanim tu dotarł.

– Najpierw podkradłeś mi koncept. Teraz zaproponowałeś nierealną liczbę mieszkań komunalnych, chociaż wiesz, że ich nigdy nie zbudujesz.

– Ach. – Bremer machnął ręką. – Rozmawiałeś z Kirsten. Straszna papla. Ostrzegałem cię.

– Potem wykorzystałeś śmierć młodej dziewczyny, żeby pogorszyć moją sytuację... Gdy my staramy się pomóc policji i rodzicom.

Twarz Bremera spochmurniała. Przysunął się do Hartmanna, machając mu palcem przed nosem.

– Jak ci się zdaje, do kogo mówisz? Mam dostosowywać swoje propozycje do każdej afery, w którą się pakujesz? Dorośnij, chłopczyku. Nie masz nic wspólnego z samochodem, ale nie będziesz tego podawać do wiadomości publicznej. Myślałem, że Rie Skovgaard ma więcej rozumu.

– To, co robię, to moja sprawa.

Burmistrz się roześmiał.

– Dzieciak z siebie, Troels. Nie miałem pojęcia, że to wygląda tak fatalnie. Nieporadna koalicja z błaznami Kirsten... Coś ty sobie myślał?

– Nie zniżaj się do tego poziomu, Bremer. Dla ciebie to może być trudne, wiem...

– O matko. Zupełnie jakbym znowu układał się z twoim ojcem. Desperacja. Paranoja. Jakie to smutne.

– Mówię ci...

– Nie! – Głos Poula Bremera poniósł się po studiu, na tyle donośny, by wszystkich uciszyć, Hartmanna również.

– Nie – powtórzył, już ciszej. – Nic nie mówisz, Troels. Idź mi poszukać prawdziwego mężczyzny do walki. Nie jakąś kukłę w szykownym garniturku.

Kościół był zwyczajny i zimny, kapłan w zasadzie też. Siedzieli, a on im podawał opcje. Modlitwy, muzyka, kwiaty. Tylko nie to, czego potrzebowali najbardziej: zrozumienie.

Zupełnie jak lista zakupów.

– Może być *A Spotless Rose is Growing?* – spytała Pernille, przeglądając z Theisem książeczkę z hymnami.

Kapłan miał na sobie brązową marynarkę i szary sweter polo. Zerknął na księgę i rzekł:

– Numer sto siedemnaście. Piękny hymn. Jeden z moich ulubionych.

– I chciałabym, żeby tu było pięknie, i mnóstwo kwiatów – dodała.

– To zależy od państwa. Mogę podać nazwiska kilku kwiaciarzy.

– Ona uwielbia kwiaty.

Siedzący obok niej na twardej ławce Theis Birk Larsen wpatrywał się w kamienną podłogę.

– Niebieskie irysy. I róże.

– Coś jeszcze nam zostało do omówienia? – spytał Birk Larsen.

Kapłan zerknął do notatek.

– Nic. Tylko mowa pogrzebowa, ale sugeruję, żebyście państwo sami coś napisali. W domu. Kiedy będziecie mieli czas.

Zerknął na zegarek.

– Nie może pan mówić, co się z nią stało – zaznaczyła Pernille.

– Tylko Nanna, która została w waszej pamięci. Oczywiście.

Długa cisza. Nagle Pernille powiedziała:

– Nanna była zawsze szczęśliwa. Zawsze.

Zapisał coś.

– To ładne, powiem to.

Birk Larsen wstał. Kapłan też. Uścisnęli sobie dłonie.

Pernille rozejrzała się po chłodnym ciemnym wnętrzu. Próbowała sobie wyobrazić tu trumnę, zobaczyć w środku sztywne, zimne ciało.

– Gdybyście chcieli z kimś porozmawiać... – odezwał się kapłan, jak lekarz proponujący spotkanie. W jego oczach widać było wypracowane, wyćwiczone współczucie. – Pamiętajcie, że już jej dobrze. Nanna jest teraz z Bogiem.

Kiwnął głową, jakby to były najmądrzejsze, najodpowiedniejsze słowa, jakie mógł znaleźć.

– Z Bogiem – powtórzył.

W milczeniu ruszyli do drzwi.

Pernille przystanęła po dwóch krokach, odwróciła się, spojrzała na duchownego w brązowej marynarce i ciemnych spodniach.

– Co mi z tego przyjdzie?

On już odnosił krzesło. Notatnik miał w kieszeni, jak cieśla notes z pomiarami. Pewnie w myślach podliczał rachunki.

– Co mi z tego przyjdzie?! – krzyknęła.

– Kochanie... – Birk Larsen próbował chwycić ją za rękę.

Wyrwała mu się.

– Powiedzcie! – krzyczała Pernille na mężczyznę na stopniach, zmarłego w drodze do ołtarza, unieruchomionego przez jej wściekłość. – Co mi z tego przyjdzie? Wy ze swoimi świętoszkowatymi gadkami...

Nie odszedł. Zebrał się na coś na kształt odwagi. Wrócił, stanął twarzą do niej.

– Czasami życie nie ma sensu. Nie ma litości. To straszliwe stracić córkę. Wiara pomaga odnaleźć nadzieję. Siłę.

Pernille dyszała płytko, serce jej łomotało.

– Wiedzieć, że życie ma sens...

– Niech mi pan nie wciska tego gówna! – krzyknęła Pernille skrzeczącym głosem. – Nie obchodzi mnie, czy ona jest z Bogiem! Rozumie pan?

Przyciskała dłonie do piersi. Jej głos się załamywał. Kapłan został na miejscu, przed ołtarzem. Theis Birk Larsen zmarł, schował twarz w dłoniach.

– Rozumie ksiądz? – zawodziła Pernille. – Ona powinna być... – w ciemnym, zimnym kościele zatrzepotał gdzieś ptak, suche skrzydła zaszeleściły pod sufitem... – powinna być ze mną.

Lund żuła gumę nikotynową. Patrzyła na rudowłosego dzieciaka, Olivera Schandorffa. Wykrzywiona twarz, świerzbiące palce. Usadzony w pustej klasie, wydawał się nerwowo jak cholera.

– Wczoraj wcześniej wyszedłeś ze szkoły, Oliverze. Nie było cię na lekcjach w poniedziałek.

– Pochorowałem się.

– Lenistwo to nie choroba – powiedział Meyer.

Schandorff spojrzał spode łba, wyglądał na starszego o dziesięć lat.

– Masz siedemnastoprocentową absencję – dodała Lund, zerkając w notatki.

– Klasowy gbur – dołożył Meyer z szelmowskim uśmiechem. – Synalek bogatych, niezaangażowanych, pobłażliwych rodziców. Znam cię.

– Słuchajcie – krzyknął Schandorff. – Pokłóciłem się z Nanną. To wszystko.

Lund i Meyer wymienili spojrzenia.

– Rozmawiałeś z Lisą? – spytał Meyer. – Co jeszcze mówiła?

– Ja nic nie zrobiłem. W życiu bym nie skrzywdził Nanny.

– Dlaczego cię rzuciła? – chciała wiedzieć Lund.

Wzruszył ramionami.

– Bo tak. Co mnie to obchodzi?

Meyer wychylił się do przodu, powąchał drogi niebieski sweter Schandorffa.

– Pewnie jej się nie podobało, że bierzesz.

Schandorff przetarł usta dłonią.

– Cztery miesiące temu aresztowano cię za speeda. I dwa miesiące później jeszcze raz. – Meyer znowu poniuchał. – Powiedziałbym, że jesteś...

Spojrzał na dzieciaka, zdumiał się, jakby coś zobaczył. Pochylił się, zbliżył się do jego twarzy na kilkanaście centymetrów. Schandorff odsunął się, przestraszony.

– Czekaj – powiedział Meyer niecierpliwie, zaglądając mu w oczy. – Co to?

– Co?

– Coś tam masz... taki punkcik... W oku.

Meyer wyciągnął palec. Schandorff dotarł już na kraniec siedzenia, nie miał się gdzie przesunąć.

– Ach – Meyer odetchnął z ulgą. Cofnął się. – To nic takiego, to tylko twój mózg...

– Spierdalaj – burknął chłopak.

– Dawalesz to gówno Nannie? – ryknął Meyer. – Powiedziialesz... hej, nakręcmy się... och, a majteczki to lepiej zdejmujemy...

Ruda głowa wysunęła się do przodu.

– Nanna nie za bardzo to lubiła.

– Co? – spytała Lund. – Prochy czy...?

– Jedno i drugie.

– Więc przestałeś się z nią cackać? – Meyer oparł brodę na rękach. Zajął pozycję: to nas donikąd nie prowadzi. – Na parkiecie. Rzucałeś krzesłem. Krzyczałeś na nią.

– Byłem pijany!

– Och! – Meyer się rozjaśnił. – A więc w porządku. A po dwudziestej pierwszej trzydzieści co robiłeś?

– Pracowałem za barem.

Lund przesunęła kartkę po stole.

– Nie ma cię w grafiku.

– Pracowałem za barem.

Znowu Meyer.

– Ktoś cię widział?

– Mnóstwo ludzi.

– Lisa?

– Widziała mnie.

– Nie, nie widziała.

– Chodziłem. Zbierałem szklanki...

– Słuchaj, mózgu. – Meyer roześmiał się głośno, jakoś inaczej. Zimno i złowieszczo. – Po dwudziestej pierwszej trzydzieści nikt cię nie widział.

Wstał, przysunął krzesło do Schandorffa, siadł tak blisko, że się dotykali. Objął go ramieniem. Ścisnął.

Lund westchnęła.

– Co zrobiłeś, Oliverze? Powiedz wujkowi Janowi. Zanim się rozgniewa. Obaj wiemy, że to ci się nie spodoba.

– Nic...

– Śledziłeś ją? – Kolejne ściśnięcie. – Chodziłeś po piwnicy?

Schandorff wykręcił się z jego uchwytu.

Meyer mrugnął do niego.

– Nanna kogoś miała, co? Wiedziałeś o tym. Byłeś zazdrosny jak diabli. Nie żartuję. – Meyer kiwnął głową. – Pomyśl. Bogaty synalek. Szkolna gwiazda. Była twoja. Jak to możliwe, żeby jakaś ślicznotka z takiej dziury jak Vesterbro robiła cię w konia?

Schandorff zerwał się, krzycząc i przegarniając palcami swoje dzikie rude włosy.

– Mówiłem już, co się stało.

Jego głos wzniósł się o parę tonów. W jednej chwili znowu stał się dzieckiem.

– Kluczyki do samochodu... – zaczął Meyer.

– Co...?

– Wiedziałeś, że samochód tam jest.

– O czym pan mówi?

– Nanna cię nie chciała. Więc ją zgwałciłeś. Wrzuciłeś ją do kanału.

W drodze do domu...

– Zamknij się!

Meyer czekał. Lund patrzyła.

– Kochałem ją.

– Oliverze! – Meyer uśmiechał się promiennie. – Dopiero co powiedziałeś, że nic cię to nie obchodzi. Kochałeś ją, ale ona cię miała za dupka. Więc zrobiłeś to, co zrobiłby każdy bezwartościowy, mały, nawalony gnojek. Zgwałciłeś ją. Skrępowałeś. Wsadziłeś do bagażnika czarnego samochodu...

Oliver wrócił na krzesło, ruda głowa kręciła się na boki.

– Wsadziłeś ją tam, żeby nikt nie słyszał jej krzyków, a potem wepchnąłeś do kanału.

Meyer walnął pięścią tak mocno, że leżące na stole długopisy i notatniki aż podskoczyły. Oliver Schandorff siedział na krześle cichy, roztrzęsiony.

Lund czekała. Po chwili powiedziała bardzo spokojnie:

– Oliver. Jeśli masz nam coś do powiedzenia, to lepiej to powiedz.

– Zabierzmy go na komendę – zaproponował Meyer, sięgając po telefon.

– Musimy sobie z Oliverem pogadać na osobności, w celi.

Otworzyły się drzwi i do sali weszły dwie osoby. Mężczyzna w średnim wieku ubrany w drogi garnitur. Za nim kobieta, która wyglądała na zmartwioną.

– Jestem ojcem Olivera – przedstawił się przybysz. – Chcę zamienić słowo z moim synem.

– Jesteśmy z policji – odparła Lund. – Przeszkadza nam pan w przesłuchaniu. Proszę wyjść.

Mężczyzna ani drgnął. Kobieta patrzyła na niego wyczekująco.

– Postawiliście mu jakiś zarzut?

Meyer machnął mu dłonią przed twarzą.

– Halo? Słyszał pan...?

Wyciągnął portfel. Mignął im przed oczami wizytówką. Erik Schandorff. Wypasiony prawnik z wypasionej firmy.

– Proszę tak do mnie nie mówić – powiedział.

– Oliver pomaga... – zaczęła Lund.

– Tato?

Krzyk przerażonego dziecka. Nie dało się go pomylić z czymś innym.

– Chcę z nim porozmawiać – powtórzył ojciec.

Na korytarzu Meyer syczał i przeklinał pod nosem, Lund patrzyła przez okno.

Ojciec i syn, ten ostatni ze spuszczoną głową, szli obok siebie. Oliver podniósł głowę i nagle ojciec z całej siły uderzył go w twarz.

– Szczęśliwa rodzinka – mruknął Meyer, zapalając papierosa. – Gdybym ja tak zrobił...

Po chwili bogaty prawnik, bogaty dzieciak, cicha żona wyszli. Bez słowa.

– Do zobaczenia, Oliverze! – zawołał Meyer.

Lund oparła się o ścianę, skrzyżowała ramiona, zamknęła oczy.

Przyglądał się jej, gdy je otworzyła.

– Wiem, o czym myślisz, Lund. Niewykluczone, że byłem dla niego troszkę za ostry. Ale gdyby ten idiota tam nie wszedł...

– Dobra.

– Nie do końca. Wiedziałem, co robię. Panowałem nad sytuacją. Cały czas. Szczerze...

– Meyer. – Podeszła do niego i spojrzała mu w szeroko otwarte, uważne oczy. – Powiedziałam, że dobra. Sprawdź jeszcze raz na dole. Skontaktuj się z technikami. Jeśli Oliver prowadził ten samochód, oni powinni o tym wiedzieć. Niech ustalą czas przejazdu stąd do lasu.

Wyciągnęła z torby kluczyki do auta.

– Coś jeszcze?

– Wymyśl coś.

– A ty, Lund?

– Ja?

– Idziesz do kina czy co?

Kiwnęła głową, uśmiechając się, gdy już nie mógł zobaczyć jej twarzy.

Kwiaty stały na kredensie, na małym stalowym parapecie nad kominkiem. Kwiaty przy zlewie zawinięte w papier, bukiety na podłodze.

Niebieskie irysy. Róże.

Pernille myła naczynia, patrząc gdzieś za okno.

Kobieta z laboratorium kryminalistycznego siedziała z chłopcami przy stole, którzy zrobili Pernille z Nanną, uśmiechając się do nich. W rękę trzymała patyczki z bawełnianą końcówką.

Wyglądała najwyżej na dwadzieścia parę lat. W każdym razie na niewiele starszą od Nanny w chwili, gdy ta wychodziła na imprezę.

– To naprawdę konieczne? – spytał Theis Birk Larsen.

– Potrzebujemy DNA – wyjaśniła kobieta w granatowym mundurze. – Dla porównania.

Na dole stał zapakowany samochód. Walizki z ubraniami. Skrzynki z rzeczami dzieci. Vagn Skærbæk pomagał jak zawsze.

Przyniósł im nowe zabawki. Samochodziki. Tanie i malutkie, ale u Vagna było jak zwykle krucho z pieniędzmi. Ludzie z magazynu byli jak wszyscy. Jak Theis. Jak ona. Rozpaczliwie chcieli coś zrobić i nie mieli pojęcia co.

– Już? – spytała kobieta i nie czekając na odpowiedź, pochyliła się nad stołem, najpierw wzięła Antona, potem poprosiła Emila o otwarcie ust.

Pernille patrzyła od zlewu, trzymając w ręku naczynia.

Znowu byli w pokoju Nanny. Dwóch mężczyzn w granatowych mundurach kręciło się tam, naklejało coś, coś notowało.

Lotte, jej siostra, młodsza, ładniejsza, ciągle singielka, sama spakowała większość rzeczy. Teraz uściskała ich wszystkich po kolei.

– Weź jakieś kwiaty, jeśli chcesz – powiedział Theis.

Lotte spojrzała na niego i pokręciła głową.

– Chłopcy – zwrócił się do synów – idźcie do wujka Vagna. Pomóżcie mu na dole.

Pernille obiecała, że niedługo dołączy, i patrzyła, jak wychodzą.

Niedługo.

Po ich wyjściu zostawiła zlew. Rozejrzała się po bałaganie w kuchni.

To tu, w tym ciasnym, ciepłym pomieszczeniu dzień po dniu przeżywali swój mały cud. Tworzyli rodzinę. Łączyło ich wspólne życie, czuła miłość.

Teraz mężczyźni w granatowych uniformach stąpali ciężkimi krokami po pokoiku Nanny, otwierali szuflady te same, co wczoraj, mówili przyciszonym głosem, milkli, gdy obawiali się, że ona ich usłyszy.

Chłopcy pędem wpadli na górę, chwycili latawce i jeszcze jakieś zabawki. Pokazali jej samochodziki od wujka Vagna.

– Uważajcie na ostre krawędzie – ostrzegła. – Uważajcie.

Już zniknęli, nie słuchając, jeden z mężczyzn podążył za nimi, niosąc do samochodu jakieś książki Nanny. Na dłoniach miał cały czas granatowe rękawiczki.

Policjant, który został, był stary, miał brodę i smutną twarz. Chyba nie czuł się swobodnie. Nie patrzył jej w oczy. Opuścił siwą głowę, jeszcze raz omiół wzrokiem biblioteczkę Nany.

Wzięła torbę, gotowa do wyjścia.

Mieszkanie wypełniała woń kwiatów, od której bolała ją głowa.

Tu mieszkali. Tu siadali przy stole, przekonani, że to ich małe wielkie szczęście będzie trwało wiecznie.

A teraz uciekamy, umykamy przerażeni, jakby to była nasza wina.

Czy to był jeszcze ich dom? Pokryty nalepkami techników kryminalistycznych, śladami ich butów. Proszek daktyloskopijny na ścianach, na których jeszcze wisały fotografie ślicznej twarzy Nanny.

Torba wróciła na stary, zniszczony dywan. Pernille weszła do pokoju córki, przyglądała się chwilę, jak mężczyzna pracuje, przetrząsając skrawki krótkiego życia dziewczyny.

Siadła na łóżku, czekała, aż on zdobędzie się na odwagę, by na nią spojrzeć.

– To nie potrwa długo. Przepraszam...

– Co się stało tam w lesie? – spytała, myśląc: Nie ruszę się. Nie wyjdę, dopóki on się nie odezwie.

Sam ma dzieci. Widziała to po jego twarzy. Rozumiał ją.

– Nie ze mną powinna pani rozmawiać, proszę wybaczyć. – Majstrował coś przy szufladzie w biurku Nanny. – Pracuję. Musi pani wyjść.

Pernille nie drgnęła.

– Muszę... – Oczy miał zamknięte. Zobaczyła jego ból, wiedziała, że on jej ból też widzi. – Muszę wiedzieć, co się stało. Jestem jej matką...

Znowu biurko. Nie musiał tego robić i oboje o tym wiedzieli.

– Co się stało z moją córką?

– Nie wolno mi...

– Widziałam zdjęcia. W waszym biurze... – Słowa, pomyślała. Musiała znaleźć te właściwe. – Stoją mi przed oczami i wyobrażam sobie... nie może być gorzej, niż sobie wyobrażam. Gorzej nie.

Przerwał, głowę miał pochyloną.

– Nie może być gorzej. Ale... – Poklepała się po głowie. Mówiła głosem słabym i cichym: – Tu mi się kłębi...

Policjant tkwił pochylony sztywno nad biurkiem.

– Jestem jej matką. Mam błagać?

Żadnej odpowiedzi.

– Ona codziennie umiera w mojej głowie. Znowu i znowu, i za każdym razem gorzej. Musimy ją pochować...

Mężczyzna drżał.

– Muszę wiedzieć – powtórzyła.

I nie spuściła z niego wzroku, aż westchnął.

A potem tylko słuchała.

Theis Birk Larsen rozejrzał się po magazynie. Pomógł Vagnowi Skærbækowi zanieść szafkę do ciężarówki. Patrzył, jak chłopcy bawią się samochodzikami. Sprawdził rzeczy w samochodzie: rodzina sprowadzona do bagażu, gotowa do wyjazdu.

– Jakieś wieści, Theis?

Birk Larsen zapalił papierosa, pokręcił głową.

Anton i Emil podbiegli, przywarli do obleczonego w czerwone płótno nóg Skærbæka. Prosilili o pieniądze na lody. Roześmiał się.

– Czy ja wyglądam jak skarbonka? – spytał, wywlekając kieszenie na drugą stronę. Monety rozsypały się po podłodze. – Kim jest ten kierowca, którego złapali? – zwrócił się do Theisa. – W gazetach nawet nie ma jego nazwiska...

– Nie wiem. Nic nam nie mówią. Czemu mieliby nam mówić?

Birk Larsen rozglądał się uważnie po magazynie, starając się myśleć o tym, co zawsze: o zleceniach i inwentarzach, rachunkach do zapłacenia, fakturach. Nie pomagało. Zupełnie jakby śmierć Nanny uwięziła ich w nieskończonej terażniejszości, w martwym punkcie w czasie, punkcie, z którego nie ma ucieczki. Bez perspektywy uwolnienia.

– Jesteśmy tylko szarymi ludźmi – mruknął.

– Nieprawda.

Vagn Skærbæk stanął przy nim, nie zwracając uwagi na chłopców, którzy znowu ciągnęli go za kombinezon.

– Dzięki, że się wszystkim zajmujesz – powiedział Birk Larsen. – Nie wiem, co...

Za dużo słów. Poklepał Skærbæka po ramieniu.

– Uratowałeś moją skórę. – Twarz Skærbæka skamieniała od gniewu. Srebrny łańcuch połyskiwał na szyi. – Nie zapominaj. Ten łajdak dostanie to, na co zasłużył. Tylko mi powiedz, jeśli będziesz chciał, żebym coś zrobił.

– Na przykład?

– Jeśli dostanie mały wyrok. I wypuszczą go na warunkowe. Tylko mi powiedz, Theis... chcę...

– Pomóc? – Birk Larsen pokręcił głową.

– Zrobię, co zechcesz...

– Ona nie żyje.

Biedny Vagn. Głupi Vagn. Lojalny jak pies łańcuchowy. I równie bystry.

– Nie żyje. – Dwa okrutne, krótkie słowa. – Nie rozumiesz?

Ale iskra padła, a wraz z nią wybuchł gniew. Theis Birk Larsen walnął swoją potężną pięścią w szafkę, która zachybotła się na nóżkach.

– Gdzie jest Pernille, do cholery?

Pernille była na górze, w kuchni, otoczona kwiatami, dławiała się ich zapachem.

Policjant dzwonił. I martwił się.

– Pernille?

Theis wszedł po nią na górę.

– Nie jedziemy.

Zakołysał się na nogach, tak jak zawsze przed kłótnią. Nie kłócili się często, a jeśli już, to zawsze on wygrywał.

– Obiecałem chłopcom. Mamy rezerwację...

– Nie jedziemy.

– Wszystko umówione!

Nie o to chodzi, że przegrywała. Raczej po prostu nie walczyła. A teraz wszystko się zmieniło, wszystko przepadło. Jeszcze sobie nie uświadamiała, co to oznacza. Ale sobie uświadomi.

– Nanna żyła, kiedy samochód wpadł do wody.

Mówiła głosem jednostajnym i spokojnym. I twarz też miała spokojną.

– Co?

– Żyła. Była w bagażniku. Uwięziona. I tonęła.

Pernille weszła do pokoju córki.

Ubrania. Drobiazgi. Rozrzucone – błagały o uporządkowanie. Zadanie matki...

Przekładała książki, ubrania z jednego miejsca na drugie, jasne oczy zalsniły, wypełniły się łzami.

Nagle zatrzymała się i skrzyżowała ramiona.

– Wyjeżdżamy – oświadczył Theis, stając w drzwiach. – I tyle.

Stał obok akwarium, które wymarzyła sobie Nanna. Pernille urzekły nagle pływające złote kształty uwięzione w środku. Spoglądały na zewnątrz, niezdolne pojąć świata za szybą.

– Nie – powiedziała. – Zostajemy. Chcę widzieć, jak go znajdą. Chcę zobaczyć jego twarz.

Rybki pływały w kółko i w kółko, zdumione swoimi odbiciami, nie myśląc o niczym, nie zmierzając donikąd.

– Muszą go znaleźć, Theis. Znajdą.

Sytuacja się odwróciła. Teraz Pernille decydowała, a Theis bezradnie miętosił włóczkową czapeczkę.

– Zostajemy tutaj – powtórzyła Pernille Birk Larsen. – Ja przyprowadzę chłopców, ty przyniesiesz walizki.

Lynge odzyskał przytomność. Bandaż na głowie, kroplówka podłączona do ręki. Świeże rany i otarcia pokrywały starą bliznę na policzku. Ślady

krwi zaschły na siwym wąsie.

– John? – spytała Lund.

Ruch. Oddech. Uchylona powieka. Nie miała pojęcia, czy on ją słyszy. Czy słyszy kogokolwiek poza niecierpliwym lekarzem, na którym wymusiła, żeby ją wpuścił.

– Przykro mi, że tak się stało. Rozumiesz mnie?

Brwi mężczyzny drgnęły.

– Wiem, że nie skrzywdziłeś tej dziewczyny.

Był podłączony do maszyny z błyskającymi cyframi i wykresami.

– Naprawdę potrzebuję twojej pomocy, John. Muszę wiedzieć, co się stało w szkole. Kogo tam spotkałeś. Gdzie zgubiłeś kluczyki.

Niezabandażowane oko się poruszyło. Skierowało się na nią.

– Zaparkowałeś samochód. Wziąłeś plakaty. Poszedłeś do sali gimnastycznej. Wtedy się źle poczułeś?

Lynge zakaszłał, zadławił się czymś.

Dźwięk, słowo.

– Co? John?

Kolejny dźwięk. Drżąca powieka otworzyła się szeroko. We wzroku strach i ból.

– Piwnica.

– Poszedłeś tam oddać plakaty. Wtedy zgubiłeś kluczyki?

– Chłopak się wściekł. Pytał, co tam robię.

– John. – Wstała, przysunęła się do jego ust, musiała to usłyszeć. – Kto się wściekł? Który chłopak?

Znowu to rżenie. Czują jego zapach.

– Były tam rowery? Rowery?

– Obok.

Lund próbowała sobie przypomnieć, jak wygląda ta zatechła nora.

– Pomieszczenie obok?

– Kotłownia.

Dźwięk. Drzwi się otworzyły. Wrócił lekarz, nie wyglądał na zadowolonego.

– Kogo spotkałeś w kotłowni, John?

Lund wyjęła z torby album szkolny ze zdjęciami uczniów. Wskazała Olivera Schandorffa.

– Widziałeś go? – spytała. – Tego? Spójrz, proszę.

Znowu rżenie. I nagle:

– Nie.

– Jesteś pewien? Spójrz uważnie.

Lekarz już stał nad nimi, machając rękoma.

– Dobra, dość tego. Musi pani przestać. Proszę wyjść...

– Jedną chwilę – odparła, nie ruszając się z miejsca. – Tylko...

Odepchnęła go, przytrzymała szkolne zdjęcie przed twarzą rannego człowieka.

– Wskazuję palcem, John. Jednego po drugim. Kiwnij głową, kiedy do niego dotrę, dobra?

Jeden po drugim. Po kolei.

Gdy zatrzymała się na wysokim ciemnowłosym uczniu, zwyczajnym, miłym z wyglądu, John Lynge kiwnął głową.

– Widziałeś go w kotłowni...?

– Dość. – Lekarz chwycił ją za ramię.

– John?

Oko się otworzyło, spojrzało na nią. Poruszył głową. Leciusieńko kiwnął. Potwierdzając.

Lund wstała, odepchnęła rękę lekarza.

– Tak, już – powiedziała.

Meyer palił właśnie na boisku szkolnym, gdy zadzwoniła.

– Musicie jeszcze raz wrócić do piwnicy – powiedziała Lund.

Milczał przez chwilę.

– Proszę, powiedz, że to żart. – Spojrzał na techników. Był głodny. Oni też. A Svendsen powoli wychodził z siebie.

– Zejdźcie na dół.

– Technicy się pakują. Zajrzeliśmy wszędzie. Jak Lynge?

– Wyjdzie za tydzień. Jest tam kotłownia?

– Zamykają ją. Tylko woźny ma do niej dostęp.

– Już jadę.

Słyszał ruch uliczny. Czarne, przemoczone deszczem ulice były puste.

Za kilka minut Lund dołączy do niego.

Meyer ruszył na dół brudnymi betonowymi schodami.

– Wiesz, że nie wolno rozmawiać przez telefon w czasie jazdy?

– Jesteś już tam?

– Mamy tu woźnego.

– Muszę wiedzieć, co jest w środku.

– Dobra, dobra.

Przytrzymał woźnemu otwarte drzwi.

– Wszedłeś?

– Tak! Poluzuj warkoczyki, dziewczynko, dobra?

– Co widzisz? – w napięciu czekała na odpowiedź.

Chwila ciszy.

– Widzę kocioł – odezwał się Meyer w końcu. – A to niespodzianka.

A potem:

– Jakieś stare graty. Stoły, krzesła, książki. – Odchrząknął. – Dobra, Lund. Dzieciaki może tu włożą. Ale nie ma tu co oglądać.

– Jesteś pewien?

– Chwileczkę.

– Słyszysz mnie?

Meyer wydał odgłos pełen obrzydzenia.

– Przerzywa mi, Lund. – I jęknął: – Noż, cholera...

Wrzucił telefon do kieszeni, ruszył do przodu, świecąc latarką to w jedną stronę, to w drugą. W górę i w dół. Pomyślał już o tym wcześniej. Woźny mówił, że kocioł czerpie paliwo ze zbiornika na zewnątrz. Nikt nie musi tu wchodzić oprócz konserwatora raz w tygodniu. Co piątek po południu.

Na końcu zobaczył drugie drzwi. Bez klamki. Zamknięte, jakby nie używano ich od lat.

Meyer wyjął chusteczkę, podważył skrzydło. Zajrzał, poświecił latarką na boki.

Tu też były dzieciaki. Pod stopami zobaczył kilka zduszonych skrętów. Puszki po piwie. I...

Meyer gwizdnął. Opakowanie po prezerwatywie, rozdarte, puste.

Usłyszał za sobą głosy. Coś się działo w głównym pomieszczeniu piwnicznym. Nie obchodziło go to.

Wyjął telefon, wybrał jej numer. Nie czekał, tylko powiedział:

– Chyba lepiej, żebyś tu przyszła. Lund...?

Głęboko w podziemiach szkoły nie było zasięgu.

– Naprawdę... – szepnął Meyer.

– Naprawdę?

Aż podskoczył. Latarka poświeciła mu w twarz. Potem na ziemię.

– Musiałaś pędzić, przyznaj się, Lund. Jesteś równie zła jak ja.

Nie odpowiedziała. Oboje wpatrywali się w brudny materac na podłodze, krew w rogu, krew na łuszczących się szarych ścianach.

Na spękanej farbie ścian pomieszczenia piwnicznego pojawiały się odciski palców. Funkcjonariusze w białych kombinezonach oznaczali,

wykreślali, robili zdjęcia. Lund rozmawiała przez telefon z matką i z Markiem – mówiła mu, że ma odrobić lekcje i uczyć się szwedzkiego.

– Spędzę tu chyba całą noc. Babcia ci pomoże.

Wróciła na szkolny korytarz, patrzyła na kwiaty i zdjęcia na ołtarzyku, który ustawiono na cześć Nanny przy szafkach.

– To dobrze – mówiła. – Pa.

Zdjęcie. Dwie dziewczyny przebrane za anioły. Nanna, może trzynastoletnia. Lisa Rasmussen.

Przed nim stały dwie czerwone świece. W zimnym wietrze przemykającym po korytarzu migotał tylko jeden płomień.

– Kto zapalił świeczkę? – spytała Lund.

Meyer był tu pięć minut przed nią. Przez chwilę wyglądał jak małolat przyłapano na gorącym uczynku.

– Nie wiem. A to ważne?

– Nie powinieneś mieszać, Meyer.

– Skąd wiesz, że...?

Machnęła ręką.

– Dobra, już dobra.

– Może zajrzemy do piwnicy?

Lund poprawiała zdjęcie Nanny. Spojrzała na twarz zamordowanej dziewczyny.

Wyciągnęła rękę. Meyer pokręcił głową, zmieszany.

– Daj zapalniczkę. Ja rzucam, pamiętasz?

– Aha.

Podał jej srebrną zippo. Wyglądała na drogą. Lund spojrzała na zdjęcia i kwiaty, pożałowała, że nie ma nic więcej do ofiarowania. Zapaliła drugą świeczkę i patrzyła, jak migocze żółty płomynek.

Mała ofiara. Licha.

– Powinniśmy zajrzeć do piwnicy – przytaknęła i podążyła za nim.

Jansen, rudowłosy technik, stał przy przenośnym reflektorze. Wyliczał, co znaleźli do tej pory. Krew na materacu, stole, podłodze. Kilka śladów, które mogły się okazać nasieniem. Włosy.

Kapelusz czarownicy. Wyglądał jak ten, który Nanna miała na sobie.

Odciski palców. Mnóstwo odcisków.

– Jak tu wchodzili? – spytał Meyer.

– Jedne drzwi prowadzą z piwnicy – tłumaczył Jansen. – Drugie od strony szkoły. Tyle że do jednych i drugich trzeba klucza.

– Jakie...

– Różnych kluczy – dodał technik.

W jasnym świetle reflektorów wszystko było widać jak na dłoni. Na niskim stole stały puste butelki po coli i wódce, butelka chianti. Talerze z jedzeniem. I tabletki. Czerwone, zielone, pomarańczowe. Wszystkie barwy słodczy.

– Skręty – powiedział Meyer. – Amfetamina. Kokaina.

Pół godziny później do szkoły dotarła dyrektor Koch. Nie wpuścili jej. Nie powinna widzieć, jak pracują i co znaleźli.

Lund rozmawiała z nią w klasie na górze.

– Do czego używaliście tego pomieszczenia?

– Do przechowywania ławek i krzeseł. – Koch przyjechała z psem. Niewielkim brązowym terierem. Tuliła go dla pokrzepienia. – Książek i tym podobnych. Nic...

– Co nic?

– Nic specjalnego. Nie wiedziałam, że uczniowie mają tam dostęp. Nie powinni mieć.

Wszedł Meyer.

– A mieli – powiedział. – Urządzili tam sobie własną imprezkę. Pod pani nosem.

– Co znaleźliście?

Lund nie odpowiedziała.

– Halloween zorganizował samorząd uczniowski. Zgadza się?

– Tam powinno być zamknięte – upierała się Koch. Mocniej przytrzymała psa. – Nanna tam była?

Lund wyjęła stos zdjęć, wskazała chłopca, którego zidentyfikował John Lyng. Jeppe Hald. Miły z wyglądu. Czyste, porządnie ostrzyżone czarne włosy. Okulary kujonki.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

Koch się uśmiechnęła.

– Jeppe jest cudowny. Jest przewodniczącym samorządu. Szóstkowy uczeń. Jesteśmy z niego dumni. Świetni rodzice...

– Gdzie mieszka to cudowne dziecko? – przerwał Meyer.

– Wynajmuje mieszkanie z Oliverem.

– A Oliver też jest dobrym uczniem?

– Obaj pochodzą z dobrych rodzin. Prawniczych. Na pewno pójdą w ślady swoich ojców i też będą wykonywać ten zawód. Będą...

– Lepsze to niż mieć za ojca jakiegoś spoconego gościa od przeprowadzek z Vesterbro? – warknął Meyer.

Cały czas się uśmiechała.

– Tego nie powiedziałam. My tu nie mamy uprzedzeń. W stosunku do nikogo.

– Dopóki płaci się chesne.

Dyrektor Koch spiorunowała go wzrokiem.

– Ups – skwitował to Meyer. – Chyba dostanę uwagę do dzienniczka.

– Dziękuję pani. – Lund wyprowadziła kolegę.

Jeppe Hald chodził w tę i z powrotem pod oknem pokoju przesłuchań, patrząc na niebieskie światła błyskające na zewnątrz, słuchając wycia syren.

Lund i Meyer weszli energicznym krokiem, rzucili teczki na stół.

Wysoki i chudy. Okulary w grubych oprawkach. Głupkowaty i trochę wyższy brat Harry'ego Pottera. Albo taki miał wizerunek.

– Po co mnie wezwaliście?

– To rutynowe postępowanie – odparła Lund miłym głosem. – Usiądź, proszę.

– Ale mam do zrobienia pracę z fizyki.

Policjanci spojrzeli po sobie. Meyer schował twarz w dłoniach i udał, że płacze.

Gdy Hald sięgał po krzesło, Lund mówiła:

– W piątek wieczorem spotkałeś w piwnicy mężczyznę. Dostarczał materiały wyborcze.

Hald obejrzał się na puste krzesła za sobą.

Meyer pochylił się do przodu i uśmiechnął się radośnie.

– Próbowaliśmy dodzwonić się do twojego tatusia, ale akurat wyszedł na przymiarkę peruki. Co z tym mężczyzną w piwnicy?

– Spotkałem go.

– Dlaczego o tym nie powiedziałaś?

Cisza.

– Wiedziałaś, że szukamy kierowcy – powiedziała Lund.

– Skąd miałem wiedzieć, że to kierowca?

Meyer podniósł dłonie do ust, cmoknął opuszki palców, jakby właśnie skosztował doskonałego dania.

– Znakomicie. Z Szekspira też masz pracę domową?

– Z Szekspira?

– Najpierw – ryknął Meyer – zabijemy wszystkich jebanych prawników.

Jeppe Hald pobladł.

Lund zgromiła Meyera wzrokiem.

– Szekspir nie używał słowa „jebany”. Jakich ty wyrazów uczysz chłopca. Jeppe. Jeppe!

– Co?

– Kierowca zgubił kluczyki do samochodu. Może je widziałeś?

– Jestem tu z powodu jakichś zgubionych kluczyków?

– Co robiliście w piwnicy? – pytała dalej Lund.

– Donosiliśmy... donosiliśmy stamtąd rzeczy do baru.

Meyer zaczął skubać paznokcie. Dłoń zamknęła się w pięść.

– Znaleźliśmy ukryte pomieszczenie – oznajmił. – Ktoś tam urządził imprezę. Wiesz coś o tym?

Hald się zawahał. Prawie powiedział „nie”. Prawie.

– Chyba – rzekł jednak – chyba organizatorzy korzystali z jakiegoś pomieszczenia, w którym trzymali piwo i napoje bezalkoholowe. O nie chodzi?

– O pomieszczenie z piwem, napojami bezalkoholowymi, krwią, narkotykami i prezerwatywami? – Meyer wciąż przyglądał się swoim paznokciom. – Tak, o nie właśnie chodzi.

– Ja nic nie wiem.

Lund długo nic nie mówiła. Meyer też nie. Patrzyli w swoje papiery. Jeppe Hald siedział przy stole, ledwie się ruszał, ledwie oddychał.

Potem pokazała mu zdjęcie.

– Kapelusz Nanny. Znaleźliśmy go tam. Wchodziła do tego pomieszczenia?

Potrząsnął głową. Wzruszył ramionami. On nie ma pojęcia.

Meyer wypuścił powietrze – robił to strasznie długo, chyba całą minutę.

– Około dwudziestej pierwszej zszedłem na dół po resztę piwa. Nikogo nie widziałem.

Meyer odchylił głowę i wpatrywał się w chłopaka spod półprzymkniętych oczu.

– Jesteś pewien, że później nie wracałeś? – naciskała Lund.

Chwila zastanowienia.

– Absolutnie pewien – padła wreszcie odpowiedź.

– Nikt cię nie widział po dwudziestej pierwszej trzydzieści. Co robiłeś?

– Eee...

– Myśl, Jeppe. – Meyer stłumił ziewnięcie. – Namysł się, zanim odpowiesz.

Hald się zjeżył. Teraz jakby nabrał pewności siebie.

– Poszły bezpieczniki od dyskoteki. Zużyłem ostatni, więc trzeba było dokupić. Musiałem po nie daleko jechać, rowerem.

– Sprawdzimy – mruknął Meyer, nie podnosząc wzroku.

– Kiedy wróciłem, Oliver spał w klasie. Za dużo wypił. Zaprowadziłem go do domu. – Skrzyżował ramiona, wyglądał na idealnego ucznia. – Dotarliśmy tam koło północy. Położyłem go do łóżka. Sam nie dał rady.

– To wcześniej! – stwierdziła pogodnie Lund.

– Następnego dnia rano jechałem na polowanie.

– Polowanie! – Lund była pod wrażeniem.

Meyer burknął w rękaw coś wulgarnego.

– W majątku Sonderris. Nasz klub łowiecki organizował wielką imprezę. Spędziłem tam noc.

– Ja zaraz zacznę polowanie – mruknął Meyer.

Lund zapisała coś w notatniku.

– Naprawdę chciałbym pomóc – przemówił Hald.

Meyer zapiszczał jęklwym głosem:

– Naprawdę chciałbym pomóc.

– Ale nic więcej nie wiem.

Lund uśmiechnęła się do niego.

– Dobrze – powiedziała. Znowu coś zapisała. – Cóż...

Zamknęła notatnik, wzruszyła ramionami. Jeppe Hald odwzajemnił jej uśmiech.

– To wszystko – powiedziała. – Chyba że...

Szturchnęła bliskiego śpiączki Meyera.

– Chcesz o coś spytać?

Meyer podniósł głowę i spojrzał chłopakowi w twarz.

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że poproszę cię o próbkę krwi?
– odezwał się bardzo głośno. – I odciski palców?

Dotknął ręki Halda. Chłopak się wzdrygnął.

– Postaram się być jak najdelikatniejszy.

Meyer wystawił do Juppego Halda swoje wielkie prawe ucho i nasłuchiwał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– W przeciwnym razie – dodała Lund – aresztujemy cię i wtedy pobierzemy próbki.

Jeppe Hald, bystrzacha, szóstkowy uczeń, przewodniczący samorządu szkolnego, powiedział młodzieńczym i nadąsanym drżącym głosem:

– Nic więcej już nie powiem. Chcę się widzieć z moim adwokatem.

Lund kiwnęła głową.

– Adwokatem. Świetnie. Meyer?

– Jasne. – Wziął Halda za ramię. – Najpierw masz prawo do jednej rozmowy telefonicznej. Potem pozwolę sobie zapoznać cię z pojęciem celi.

Meyer posadził ludzi przy telefonach.

– Sprawdziłem Olivera – powiedział do Lund. – W sobotę pracował w kawiarni. Spotkał pewną kobietę. Upił się i zabrał ją do domu rodziców.

Siedzieli tam razem do poniedziałku rano.

Jeden z praktykantów wrócił z paczką. Meyer jęknął z rozkoszy.

– Jesteś aniołem.

Zdarł opakowanie. Lund patrzyła. Wielki hot dog. Krucha smażona cebula. Sos remoulade. Na wierzchu plasterki ogórka konserwowego.

– Wysłałeś chłopaka do budki i nic mi nie powiedziałeś? – spytała.

– Myślałem, że jadasz tylko *falukorv* lub inne szwedzkie specjały.

Stała z rękoma opartymi na biodrach, wwiercając w niego spojrzenie wielkich oczu. On szybko wziął kolejnego gryza. Skrzywił się.

– Łajdak – powiedziała. – Gdzie motyw?

– Byłem głodny.

Cisza.

– Ach, Jeppe i Oliver. Właśnie. Kłamią. Najpierw musimy znaleźć kłamstwo. Motyw będzie leżał niedaleko. Podręcznik śledczy Meyera. Strona trzydzieści dwa.

Lund ciągle wyglądała na wściekłą – za to, że nie zamówił jej jedzenia i za dowcip z tradycyjną szwedzką kiełbasą. Bardziej z powodu jedzenia.

– Porozmawiam z rudym i dam ci znać – zaproponował Meyer.

– On zażąda prawnika, tak jak Jeppe.

– Nie. Nie może żądać prawnika, dopóki go nie aresztujemy. Jeśli będę z nim rozmawiać tylko jak ze świadkiem... Znam prawo. Raczej go przestrzegam. A także...

– Nie.

– Czasami jesteś bardzo negatywnie nastawiona. Tylko dlatego, że nie przyniosłem ci hot doga...

– Załatw patyczki do ust. I próbki krwi. – Szybka decyzja. – Aresztujmy ich już teraz.

Meyer popatrzył na nią niepewnie.

– Co prawda sam ten pomysł szalenie mi się podoba, ale prawnicy nie stawiają się tu w ciągu paru godzin. Będziemy bąki zbijać, dopóki się nie pojawią.

– Nie. Przeszukamy mieszkanie. Sprawdzimy ich maile. Poczcie głosową. Znajdziemy kobietę, z którą Schandorff podobno spędził weekend.

Jadł i przeklinał między kolejnymi kęsami.

– Coś jeszcze?

Znowu ten ton. Czasami mówił inaczej. Już słyszała. Nieczęsto. Ale jednak.

– Dlaczego jesteś taki zły, Meyer?

Podczas gdy zastanawiał się nad odpowiedzią, reszta hot dogów zniknęła.

– Bo mam uczucia – odrzekł.

Ona milczała.

– Coś jeszcze? – spytał ponownie.

– Nie.

Zastanowiła się.

– Tak. – Podeszła i wymierzyła palcem w jego klatkę piersiową. – Jak następnym razem wyślesz praktykanta do budki z hot dogami, weź jednego dla mnie.

Lund postanowiła najpierw zajrzeć do Bucharda. Szef przeglądał zdjęcia z kostnicy. Krwiak w oku, ciało skulone w pozycji embrionalnej, ślady i rany. Siniaki. Okrutna, powolna zbrodnia.

– Co masz na chłopaków? – spytał. – Dowód fizyczny z tego pomieszczenia?

– Nic, dopóki nie przyjdą wyniki. Ludzie od DNA robią, co mogą.

Buchard przeglądał następne zdjęcia.

– Zdajesz sobie sprawę, kim są ich rodzice?

Lund spojrzała groźnie.

– Dlaczego mielibyśmy się tym przejmować?

Z jakiegoś powodu był w fatalnym nastroju.

– Już i tak narobiliśmy dużo kłopotów. Musimy działać ostrożnie.

W drzwiach pojawiła się głowa Meyera.

– Hartmann chce się spotkać – obwieścił.

– W jakiej sprawie? – spytała.

– Nie powiedział. Odniosłem wrażenie, że to ważne.

– Hartmann może poczekać – odparła. – Jedziemy do mieszkania.

Ruszyła do drzwi, ale Buchard chwycił ją za ramię.

– Co mówiliśmy przed chwilą? Troels Hartmann może być następnym burmistrzem Kopenhagi. Nie wkurzamy bez powodu ludzi z Ratusza.

– Mamy do przeszukania mieszkanie podejrzanego...

– Ja to mogę zrobić – wtrącił się Meyer. – Nie martw się. Będę cię informował na bieżąco.

Buchard kiwnął głową.

– Dobrze. A więc ustalone.

I wyszedł.

– Zadzwoń do Hartmanna – powiedział Meyer. – Chciał się spotkać konkretnie z tobą.

Lund czekała przy barze. Czowała się niezręcznie i niepewnie. Rzadko wychodziła na miasto, nawet z Bengtem. Po kilku ostatnich dniach ta pełna turystów restauracja w Nyhavn wydawała się zbyt zwyczajna. Zbyt ciepła i zbyt ludzka.

Hartmann spóźnił się pięć minut, przeprosił. Gdy czekali na stolik, spytał:

– Jak rodzice tej dziewczyny?

Zastanawiała się, czy on jest bardziej politykiem, czy człowiekiem.

– Po to mnie pan tu poprosił? Żeby porozmawiać o rodzicach?

- Nie lubi pani niezobowiązujących pogawędek, co?
- Nie w trakcie śledztwa. Takiego jak to.
- Mam jutro konferencję prasową. Chcę powiedzieć, co trzeba.
- Z czyjego punktu widzenia?
- Pani, mojego. Ich.

Ludziom takim jak on świetnie wychodziła szczerość. Trudno było dopatrzeć się jakichkolwiek rys.

- Niech pan mówi, co chce.
- Było już tyle niespodzianek. Będą kolejne?

Kamienna twarz.

- Ja o żadnej nie wiem.
- Mogę powiedzieć, że pani wie, że nic nas nie wiąże z morderstwem?

Kiwnęła głową.

- Pewnie tak. – Przyjrzała mu się. – Jeśli uważa pan, że to prawda.

Kelnerka poprosiła ich do stolika. Hartmann zarezerwował go wcześniej.

- To wszystko?

Lund szykowała się do wyjścia.

Położył jej rękę na ramieniu. Bardzo delikatnie.

- Przepraszam. Wiem, że utrudniam. Trwają wybory. Wydarzyło się kilka dziwnych rzeczy. – Przez chwilę widać było, że Hartmann jest zły. – Każda była dla mnie niespodziewana. – Spojrzał na nią. – Jest pani głodna?

Minął ich talerz z jedzeniem. Makaron z klopsikami. Wyglądały o wiele lepiej niż hot dog, którego nie kupił jej Meyer.

- Ja poproszę to – zdecydowała. I dodała: – Za chwilę.

Wyszła do holu, zadzwoniła do matki. Usłyszała najgłośniejsze, najprzyjaźniejsze powitanie od miesięcy i zaraz się dowiedziała dlaczego. Bengt przyjechał ze Szwecji i zostanie w Kopenhadze tylko do rana.

– Musicie porozmawiać – zanuciła Vibeke śpiewnym głosem i przekazała mu słuchawkę.

Co mnie to teraz obchodzi? – pomyślała Lund, słuchając, jak Bengt opowiada o tym, jakie to Mark zrobił postępy w szwedzkim, że on znalazł mu koszulkę drużyny hokejowej z Sigtuny i doskonale drewno do sauny.

Cały czas kiwała głową, mając w oczach niewiele poza małym brudnym pomieszczeniem w szkolnej piwnicy, materacem poplamionym krwią, stołem na drinki i prochy, kapeluszem wiedźmy i niebieską peruką rzuconą w kąt.

– Kiedy będziesz w domu? – spytał Bengt.

Powrót do niezręcznej terażniejszości.

– Niedługo – obiecała. – Niedługo.

Milczał chwilę.

– Kiedy?

Nigdy jej nie naciskał. Nigdy nie wydawał się zmartwiony, zły czy chłodny. Pokochała go między innymi za to miłe, pokojowe usposobienie. A może ono po prostu ułatwiało jej życie.

– Kiedy skończę. Przepraszam, że tak wyszło. Naprawdę. Pogadamy później. Muszę iść.

Nie dała się już oderwać od jedzenia. Dalej rozmawiali o oświadczeniach dla prasy. O współpracy. Hartmann wzbudził jej zainteresowanie. Dostrzegła w nim kruchą naiwność, której nie widziała w twarzy na plakatach. Był wdowcem. Znalazła to już w wycinkach prasowych, gdy sprawdzała Meyera. Żona Hartmanna dwa lata temu umarła na raka. Ta strata głęboko go dotknęła. W pewnym momencie wyglądało na to, że przedwcześnie zakończy karierę polityczną – a była to jedyna praca, jaką w życiu wykonywał.

Stwierdziła, że Hartmann się jej przygląda i że, o dziwo, zabrakło mu właściwych słów.

– O co chodzi?

– Ma pani – machnął ręką w jej stronę – ma pani jedzenie na twarzy.

Chwyciła serwetkę, otarła usta. Zjadła jeszcze trochę, równie żarłocznie.

To była miła knajpka. Z rodzaju takich odwiedzanych przez pary. Albo przez mężczyzn z kochankami. Gdyby ktoś wszedł teraz, zobaczył ją z tym mężczyzną...

– A więc osiągnęliśmy porozumienie? – spytał na koniec.

– Pan podaje swoją wersję, my swoją.

– A co z pani życiem? – Uśmiechnął się. – Przepraszam. Nie wiem, czemu o to spytałem. To nie moja sprawa.

– W porządku. Wyprowadzam się do Szwecji z synem. Mój chłopak mieszka pod Sztokholmem. Dostałam tam pracę. W policji. Urzędniczą.

Upiła wielki łyk wina, żałując, że już wszystko zjadła.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała stanowczo.

– Ile lat ma pani syn?

– Dwanaście. A pan?

– Ja jestem trochę starszy.

– Miałam na myśli...

– Wiem, wiem. Nie zdążyliśmy. Moja żona umarła. Głównie... – Wzruszył ramionami, wyglądał na trochę zawstydzonego. – Ciągłe pracuję. Ale poznałem kogoś. Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

– Ta kobieta z pańskiego sztabu – powiedziała i nie było to pytanie. – Rie Skovgaard.

Hartmann przechylił głowę i przyjrzał się jej.

– Widzi też pani, co mam w kieszeniach?

Ledwie tknął jedzenie i picie. Wyglądał, jakby mógł tak siedzieć całą noc. I rozmawiać, rozmawiać.

– Mój chłopak przyjechał ze Szwecji – odezwała się Lund. – Muszę iść. Proszę...

Wyjęła pieniądze.

– Nie, nie, nie – zaprotestował. – Była pani moim gościem.

– Pod warunkiem, że to pan zapłaci. A nie podatnicy.

– Ja zapłacę, Sarah – zapewnił Hartmann, wyjmując kartę kredytową.

– Dziękuję, Troels. Dobrej nocy.

Bengt od razu zasnął, jak zawsze. Lund wyszła z łóżka, włożyła bluzę, podeszła do okna, siadła na trzcinowym fotelu i zadzwoniła do Meyera.

– Czego się dowiedziałeś? – wyszeptwała.

– Niewiele.

Meyer też mówił przyciszonym głosem. Dziwnie to brzmiało.

– Musi coś być.

– Technicy pobrali próbki i wzięli komputer.

Kolacja z Hartmannem nie dawała jej spokoju.

– Czy w pokoju Nanny było cokolwiek, co by sugerowało, że ma się z kimś spotkać?

– To nie może poczekać do jutra? Jestem skonany.

– Musiała mieć randkę.

– Tak, Lund. Z Oliverem. Ale ty mi nie pozwolisz z nim pogadać. – W tle jego spokojnego głosu rozległ się jakiś hałas. Płacz dziecka. – No popatrz. Obudziłaś cały dom.

Wyszła do jadalni, włączyła światło, siadła przy stole.

– Rodzice Nanny coś sobie przypomnieli?

– Spytam ich jutro, dobra? – warknął. – Jakiś kretyn od nas powiedział matce, że dziewczyna utonęła zamknięta w bagażniku. A matka dostała

szалу.

Lund zaklęła.

– Nie musisz tego robić. Ja z nimi pogadam.

– Mogę już iść?

– Tak. Oczywiście.

Minęła pokój Marka. Szybko zasypiał. Bengt się obudził, ale udawał, że śpi. Wszystko w porządku, pomyślała Lund. W ogóle jej nie potrzebowali.

CZWARTEK_ 6 LISTOPADA_

Poranek był ponury i wilgotny od mżawki. Zjedli razem śniadanie, a potem Lund zawiozła Bengta na stację. Rozmawiali o weekendzie. Planowali, z kim się spotkają w Szwecji. Co będą robić.

Bengt odzywał się półgębkiem.

– Parapetówka... – zaczęła.

– Zapomnij o parapetówce. Odwołałem ją.

Miała wrażenie, że słyszy w jego głosie jakąś dziwną nutę. O co chodziło? Złość była mu taka obca.

– Zaczekajmy, aż zamkniesz sprawę, Sarah. Potem...

– Nie muszę czekać. Mówiłam ci. Przyjeżdżamy w sobotę, tak czy owak. Obserwował przez okno samochody i porannych podróżnych.

– Ja zaproszę tłumy ludzi, a ty znowu zadzwonisz i powiesz, że nie przyjeżdżasz.

To było ostre. Niewątpliwie.

– Oczywiście, że przyjadę! Nie mogę się doczekać, aż poznam twoich rodziców. I... – Przypomniała sobie refrenik szwedzkich imion: – Olego,

Missana, Janne i Panne, Hasse i Basse, i Lasse...

Roześmiał się. Ciągle umiała go rozbawić.

– Bosse, nie Basse.

– Przepraszam, jeszcze się uczę.

– Cóż. Skoro jesteś pewna...

– Jestem pewna! Przysięgam.

Wysadziła go na Dworcu Głównym i pojechała dalej do Vesterbro.

Lund siadła na łóżku Nanny i próbowała sobie przypomnieć, jak to jest – być nastolatką. Pokój był mały, jasny, chaotycznie urządzone i nieporządkany. Torby z niedrogich firm odzieżowych, odręcznie wypisane notatki z lekcji, książki, magazyny, kosmetyki do makijażu i biżuteria.

Obraz osobowości Nanny Birk Larsen, jej życia.

Przerzuciła pamiętnik i nic nie znalazła. Nic w szkolnych zeszytach, zdjęciach na tablicy korkowej nad niewielkim biurkiem.

Lund pomyślała o sobie w tym wieku. Niezgrabne, posępne dziecko. W jej pokoju panował większy nieład niż tu. Ale inny. W jakiś skryty sposób wyrażał jej samotną, introwertyczną naturę. Tutaj, pomyślała, Nanna stworzyła miejsce przygotowań. Osobistą garderobę, z której mogła się wyłonić, by oczarować świat zewnętrzny, wprowadzić w niego swoją urodę, stroje, błyskotliwą i oczywistą inteligencję.

Wszystkie przymioty, których brakowało nastoletniej Lund, ta dziewczyna miała aż w nadmiarze. Miała też kochającą matkę.

A teraz nie żyła.

Jakaś ścieżka prowadziła z tego pokoju do wstrząsającego końca Nanny w kanale przy Kalvebod Fælled. Istniały powody, a po powodach zostawał ślad.

Zajrzała do szafy, przegarnęła ubrania. Z kilku wycięto metkę, może zostały kupione w tanim sklepie. A z kilku nie. I...

Lund znowu spróbowała sięgnąć pamięcią do swojego okresu nastoletniego. Co nosiła? W dużej mierze to samo co teraz. Dzinsy, swetry, kurtki. Praktyczne ubrania praktycznej osoby prowadzącej praktyczne życie, nie takie, które przyciągałyby uwagę. U atrakcyjnej nastolatki naturalne wydawało się ubieranie na pokaz. Lund akurat stanowiła wyjątek. Ale ubrania, które znalazła na wieszakach w szafie Nanny, wydawały się za dobre, zbyt dorosłe, zbyt... świadome.

Szybkim ruchem przesunęła wieszaki na jedną stronę, spojrzała w głąb, gdzie piętrzył się niewielki stos butów, jedna para na drugiej.

Za nimi coś błysnęło. Lund sięgnęła po to, poczuła, jak ubrania Nanny łaskoczą ją w policzki niczym skrzydła gigantycznych ciem, i wyjęła to coś.

Lśniąca brązowe kowbojki ozdobione barwnymi haftami, cekinami, brokatem i ćwiekami.

Krzyczały kosztownością.

Nie. Wrzeszczały.

– Moja żona tu jest – odezwał się szorstki głos za jej plecami.

Lund podskoczyła, walnęła głową w drążek na wieszaki.

To był Theis Birk Larsen.

Patrzył, jak rozciera sobie głowę.

– Proszę uważać, co pani do niej mówi.

Siedzieli wokół stołu. Nieruchome twarze uwięzione w jego powierzchni.

– Przykro mi, że pani to usłyszała – powiedziała Lund.

Na dworze się przejaśniło. Kwiaty wędły. Ale ciągle w powietrzu unosił się ich słodki zapach.

– Ten funkcjonariusz nie powinien był tego robić. Został przeniesiony, już go państwo nie zobaczą.

Theis Birk Larsen, z opuszczoną głową, martwymi oczami, burknął:

– No, to już coś.

– On nic złego nie zrobił – odezwała się Pernille. – Chcę znać prawdę. Chcę wiedzieć, co się stało. Jestem jej matką.

Lund zerknęła do notatek.

– Po imprezie nikt już Nanny nie widział. Prawdopodobnie wywieziono ją w skradzionym samochodzie. Tym, w którym ją znaleźliśmy.

Lund spojrzała za okno, potem na nią.

– Została zgwałcona.

Pernille czekała.

– Była bita.

Pernille czekała.

– Prawdopodobnie się broniła. Może dlatego ją uderzył.

I koniec, nic więcej.

– W lesie? – spytała Pernille.

– W lesie. Tak nam się wydaje. – Lund się zawahała. – Ale może najpierw była gdzieś przetrzymywana. Po prostu nie wiemy.

Wielki mężczyzna podszedł do zlewu, oparł pięści kłykciami o ociekacz, wbił wzrok w blade szare niebo.

– Powiedziała nam, że będzie u Lisy – odezwała się Pernille. – Nanna mnie nie okłamywała.

– Może nie kłamała. – Przerwa. – Przychodzi państwu coś do głowy? – Zerknęła na postać na tle okna, zgarbione plecy odziane w czarną skórę. – Pamiętacie może coś jeszcze?

– Gdyby działo się coś złego, Nanna by mi powiedziała – upierała się Pernille. – Powiedziałyby mi. Byłyśmy... Byłyśmy...

Słowa okazały się trudne.

– ...blisko.

– Kiedy przestała się spotykać z Oliverem Schandorffem?

– On ma z tym coś wspólnego?

Długi, szeroki cień padł na stół. Theis Birk Larsen odwrócił się i słuchał.

– Zbieram tylko informacje.

– Mniej więcej pół roku temu – odrzekła Pernille. – Oliver był jej takim jakby chłopakiem.

– Bardzo przeżywała rozstanie?

– Nie. On przeżywał.

Lund przyglądała się jej spokojnie.

– Nie rozmawiała z Oliverem przez telefon. Nanna... – Pochyliła się do przodu, próbowała wytrzymać spojrzenie szeroko otwartych i uważnych oczu Lund. – Jeśli działo się coś złego, zawsze mi mówiła. Prawda, Theis?

Milczący mężczyzna stał przy oknie, wielka postać w czerwonych ogrodniczkach i skórzanej marynarce.

Zadzwonił telefon Lund.

Meyer coś znalazł.

– Dobrze, już jadę.

Wpatrywali się w nią wyczekująco.

– Muszę jechać.

– O co chodzi? – spytał Theis niskim głosem, brutalnie.

– Nic ważnego. W pokoju Nanny widziałam buty, które wyglądają na drogie. To prezent od państwa?

– Drogie buty? – burknął.

– Tak.

– Dlaczego pani pyta? – chciała wiedzieć Pernille.

Wzruszyła ramionami.

– Zadaję dużo pytań. Może za dużo. Wsadzam nos w nie swoje sprawy. – Przerwa. – Taką mam pracę.

– Nie kupowaliśmy jej drogich butów – powiedziała Pernille.

Gdy Lund weszła do pokoju przesłuchań, energiczny prawnik o sylwetce hokeisty krzyczał na Meyera, który siedział na krawędzi stołu, z brodą opartą na pięści, najwyraźniej znudzony, i uśmiechał się głupawo.

– Zignorował pan wszystkie prawa mojego klienta. Przesłuchiwał go pan pod nieobecność adwokata...

– Nie moja wina, że wołał pan sobie poleniuchować w łóżku. W czym rzecz? Wziąłem go na przejażdżkę. Postawiłem śniadanie. Jeśli pan zechce, przewinę go, żeby nie siedział w śmierdzącej pieluszcze.

– Chodź ze mną, Meyer...

– Nie zostawię tego bez konsekwencji – krzyczał prawnik, gdy Lund zabierała kolegę do drugiego pokoju.

Meyer siadł i spojrzał na nią.

– Wsadzili Olivera Schandorffa do ostatniej wolnej celi. Więc Jeppego trochę powoziłem i wysadziłem o piątej.

Lund zastanawiała się nad ewentualnymi skutkami.

– Przesłuchiwałeś go?

– Widziałaś jego maile? Całe mnóstwo. Dzwonił do Nanny pięćdziesiąt sześć razy w ciągu tygodnia. Jeśli pytasz...

– Pytam, czy przesłuchiwałeś go pod nieobecność adwokata?

– Adwokat powiedział, że będzie tu o siódmej. A pojawił się o dziewiątej. – Meyer próbował wyglądać na wcielenie słuszności. – Jak powiedziałem, nie mogłem wsadzić tego dupka do celi. Zjedliśmy tylko razem śniadanie. – Gest skruchy małego chłopca. – Zachowałbym się niegrzecznie, gdybym z nim nie rozmawiał, Lund.

Do pokoju wszedł Buchard. Niebieska koszula. Szara twarz.

– Nie mieliśmy gdzie przetrzymać podejrzanego przez noc – zaczęła od razu Lund. – Adwokat spóźnił się o dwie godziny. Meyer kupił podejrzanemu śniadanie.

– Nie był specjalnie głodny – dodał Meyer – ale wydawało mi się, że tak będzie grzecznie.

– Może chłopak myślał, że jest przesłuchiwany, ale...

Na tym Lund poprzestała. Buchard był niewzruszony.

– Może Meyer sam powinien mi to wyjaśnić.

– Lund już wszystko powiedziała.

– Napisz to w raporcie. I przynieś mi go. Wsadzę go do twoich akt wraz ze wszystkimi innymi – znacząco zawiesił głos – po przesłuchaniu.

Szef wyszedł, a Lund siadła do biurka. Patrzyła na zdjęcia i informacje na karteczkach.

Meyer się rozpogodził.

– Chyba nieźle poszło, co?

Na konferencję prasową stawiły się tłumy. Aparaty, kamery, mikrofony... Tym razem Troels Hartmann miał krawat, czarny. Rano poszedł do fryzjera, którego wybrała Rie Skovgaard, siadł na fotelu, a ona zaordynowała strzyżenie, również wybrane przez nią: krótkie i poważne, żałobne.

Wszystko przebiegało zgodnie ze scenariuszem.

– To był burzliwy okres. Ale współpracowałem ściśle z policją. Samochód został skradziony. Nikt z mojego sztabu wyborczego nie był nigdy w to zamieszany. Myślami jesteśmy z rodzicami zamordowanej dziewczyny. Naszym priorytetem zawsze była pomoc policji. Nic więcej.

– Kierowca jest podejrzany? – spytała jakaś kobieta.

– Kierowca był zatrudniony przez agencję pośrednictwa. Został oczyszczony z podejrzeń.

Przez morze głosów przebił się ten najgłośniejszy:

– Czy takie jest stanowisko policji?

Hartmann dojrzał łąsą głowę i promienny uśmiezek Erika Salina.

– Nie wypowiadam się w imieniu policji. Ale omawiałem to z nimi. Mogę oświadczyć, że nasze powiązanie ze sprawą było niefortunnym zbiegiem okoliczności. Nie mam z tym nic wspólnego. Jeśli chcą państwo wiedzieć więcej, proszę się zwrócić do śledczych.

Pytania, pytania, pytania...

Polityk wybierał niektóre i odpowiadał. Ostrożnie. Słuchał wrzawy, myślał o Bremerze, czekał w milczeniu, aż padnie właściwe pytanie.

– Utworzy pan koalicję z Partią Centrum?

Zdumienie na twarzy, konsternacja – wszystko wystudiowane.

– Proszę państwa – padła przygotowana zawczasu odpowiedź – w świecie polityki samorządowej dramatyczne zwroty pojawiają się rzadziej, niż chcielibyście wmówić waszym czytelnikom. Dziękuję.

Wstał, szykując się do wyjścia.

Podniosła się jakaś dziennikarka.

– Tworzycie koalicję?

Nic.

Zaatakował redaktor polityczny jednego z dzienników:

– Bremer też zabiega o jej względy?

Błysk flesza w oczy. Trzymaj się scenariusza – przestrzegala Rie Skovgaard.

– Tak. – W pomieszczeniu zapadła cisza, wszyscy patrzyli na niego. – Osobiście sędzę, że jest dla niej trochę za stary. Cóż...

Wybuch śmiechu.

Zyskał lekką przewagę. Pismaki nienawidziły Bremera równie mocno jak on. W każdym razie tak twierdziły.

Troels Hartmann wycofał się do swojego gabinetu.

Tam rzuciła się na niego Rie Skovgaard. Poprawiła mu krawat, marynarkę. Wyglądała dziewczęco i radośnie. Zbeształa go lekko,

że na koniec odbiegł od scenariusza. Co prawda korzystnie. Więc była zadowolona.

– Wszystko jest okej – powiedział Hartmann, wymykając się z jej rąk. – Wszystko okej.

– Troels, czeka cię mnóstwo spotkań. A potem wizyta w szkole. Będą tam kamery. Jesteś popularny.

Wycofał się pod okno jak nadąsane dziecko.

Rie podjęła grę. Wydeła usta w wyćwiczonym grymasie. Uczesła się przy nim. Czarne, lśniące włosy. Dopasowana sukienka opinała jej smukłe ciało.

Wpadł Weber, wymachując papierami. Projekt mowy koalicyjnej. Chciał ją omówić z Eller.

– Przeczytamy w samochodzie...

– Zabierz ze sobą Mortena – powiedziała Skovgaard. – Będziecie mogli pogadać. Przeanalizować wszystko po kolei...

Weber pokręcił głową.

– Nie dzieje się nic nowego. Nie potrzebujesz mnie. Pracowałem...

– Dopilnuję wszystkiego pod twoją nieobecność – nalegała. – Idźcie. – Ponagliła ich ruchem dłoni. – Idźcie. – Uśmiech. – I porozmawiajcie.

Czasami grali razem w szachy. Zwykle on wygrywał. Bo mu pozwalała? Często się nad tym zastanawiał.

– Idźcie, chłopcy! – krzyknęła Rie Skovgaard, po matczynemu machając drobnymi dłońmi i błyskając pierścionkami.

– W sobotnią noc – powiedział Meyer – Jeppe Hald kilka razy dzwonił do Olivera Schandorffa.

– A co z tą kobietą, którą Oliver poderwał?

– Rozwódka, poszła w miasto się zabawić. Mówiła, że był żaloszny i czymś się zamartwiał.

Lund zgromiła go wzrokiem.

– I to wszystko?

– Nie.

Znowu się naburmuszył. Dokuczał mu zakaz palenia, który wprowadziła w biurze.

– Co z odciskami palców z kotłowni?

– Połowa szkoły tam była.

– A DNA?

– Jeszcze czekamy. Gotowa?

Przez przeszklone drzwi zajrzała do pokoju przesłuchań po drugiej stronie korytarza. Oliver Schandorff z opuszczoną głową siedział przy stole.

– Chcę przy tym być – oznajmił. – Mamy nad tym pracować razem.

Faktycznie.

– Dobra. Możesz wejść. Ale pytania zostaw mnie.

Skoczył na równe nogi, zasalutował, stuknął obcasami.

W chwili gdy przeszli przez próg, Schandorff, żałośnie niechlujny w zielonym polo, wskazał na Meyera.

– Z nim nie rozmawiam.

– Nie – zgodziła się Lund. – Rozmawiasz ze mną. – Po chwili dodała: – Dzień dobry, Oliverze. Jak się czujesz?

– Kijowo.

Wyciągnęła dłoń. Chłopak ją uścisnął. Łysy prawnik, którego widzieli wcześniej, zrobił to samo. Lund siadła obok niego. Meyer przycupnął na stołku z dala od nich, w świetle padającym z okna.

– Chcemy tylko – zaczęła Lund – zadać ci kilka pytań. Potem możesz iść do domu. – Żadnej reakcji. – Nanna powiedziała rodzicom, że przenocuje u Lisy. Spotykała się z tobą?

– Nie. Już mówiłem.

– Wiesz, z kim się spotykała?

– Nie.

Lund wyciągnęła z teczek kilka zdjęć drogich skórzanych butów, które znalazła w szafie Nanny.

– Ty jej dałeś te buty?

Spojrzał, jakby nigdy wcześniej ich nie widział.

– Nie.

Meyer rozparł się na swoim miejscu pod oknem, ziewnął przeciągle.

Lund udawała, że tego nie widzi.

– Co cię tak rozgniewało, że aż rzuciłeś krzesłem?

Łysy prawnik się uśmiechnął.

– Mój klient zastrzega sobie prawo do nieodpowiadania na pytania – zakomunikował.

Lund całkowicie go zignorowała.

– Chcę ci pomóc, Oliverze. Powiedz nam prawdę, a wyjdiesz stąd. Schowaj się za plecami tego człowieka, a obiecuję...

– Powiedziała, że znalazła sobie kogoś innego!

– Dość – wtrącił się adwokat. – Idziemy.

Lund ani na chwilę nie odrywała wzroku od rudego chłopaka.

– Mówiła, kto to jest?

Adwokat już stał.

– Mój klient ma za sobą ciężką noc...

– Powiedziała coś jeszcze?

– Ja powiedziałem – nie ustępował adwokat. – Koniec pytań.

Schendorff pokręcił głową.

– Ja ją tylko prosiłem, żeby zeszła do piwnicy i pogadała ze mną. Ale ona nie chciała...

– Oliver! – warknął adwokat.

– Dziecko – wtrącił się Meyer. Schandorff spojrział na niego. – To nie jest twój tata. Nie uderzy cię. Ja mu na to nie pozwolę.

– Nie chciała ze mną iść.

Lund kiwnęła głową.

– I co zrobiłeś?

– Zbluzgałem ją. I wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Lund wzięła swoje dokumenty.

– Dziękuję. To wszystko.

Stała zamyślona na korytarzu.

– Nanna miała randkę. Miała drogie buty, o których nikt nie wie.

– Mógł je kupić Oliver – powiedział Meyer. – Kłamie. Może szła na randkę z nim.

– Coś tu się nie zgadza.

– Coś tu się nie zgadza – przedrzeźniał ją burkliwie, sięgając po papierosa.

– Nie pal tu. Już ci mówiłam.

– Ja ci powiem, co się nie zgadza, Lund. Ty. Siedzisz tu tak długo, jakbyś należała do wyposażenia. Myślisz, że nikt cię nigdy nie zastąpi. To właśnie się nie zgadza. Ty.

Po czym i tak zapalił papierosa. Wypuścił dym w powietrze. Zakaszłał.

– Moje biuro – oświadczył. – Moje.

W drzwiach pojawiła się głowa Svendsena.

– Dzwonili z laboratorium. Próbki z kotłowni są zanieczyszczone. Nie będzie dzisiaj profili DNA.

Lund się nie odzywała. Spojrzała na zdjęcia na swoim biurku. Co z tymi butami?

– Dobra – powiedział do Svendsena Meyer. – Wracamy do mieszkania chłopaków.

Svendsen westchnął.

– Całą noc tam siedzieliśmy.

– Za słabo szukaliśmy.

Wyszli. Lund ciągle wpatrywała się w buty. Zadzwoił telefon. Patolog. Chciał się z nią zobaczyć.

Pernille siedziała sama w mieszkaniu pełnym kwiatów, oznaczeń policyjnych i ubrań Nanny.

W południe poczuła, że zaraz oszaleje. Pojechała więc do szkoły, spotkała się z zakłopotaną dyrektorką Koch, potem z uroczym, cichym, smutnym nauczycielem Ramą.

Dowiedziała się tylko jednego: że policja zatrzymała na noc Olivera Schandorffa i Jeppego Halda.

Potem siedziała w pustym gabinecie, słuchając młodych głosów na korytarzu. Tak strasznie by chciała usłyszeć pośród nich jasny głos Nanny. Czekwała, aż wbiegła zapłakana Lisa Rasmussen, padła jej w ramiona i wtuliła się w gabardynowy płaszcz Pernille. Drżała z emocji, łkając jak małe dziecko.

Miała blond włosy, jak Nanna. Pernille pocałowała je, choć wiedziała, że nie powinna. Te dwie dziewczyny były przyjaciółkami. Bliskimi sobie jak siostry. Te dwie dziewczyny były...

Pernille puściła Lisę, uśmiechnęła się, zaniechała prób zracjonalizowania czegoś, co było niepojęte. Dziecko to przemijająca, rozkoszna powinność, a nie własność rodziców. Nie miała pojęcia, co Nanna robiła poza małym mieszkaniem nad garażem. Nie pytała. Starła się o tym nie myśleć.

Ale Lisa wiedziała. Ta niska, nieco zbyt pulchna dziewczyna bardzo się starała być równie śliczna i bystra jak Nanna, i nigdy jej się to tak do końca nie udało.

Lisa wytarła oczy, stanęła przed nią. Chyba czuła się niezręcznie. Jakby chciała sobie pójść.

– Pewnych rzeczy – zaczęła Pernille – nie rozumiem.

Niewysoka blondynka, milcząc, przestępowała z nogi na nogę.

– Nanna miała jakieś problemy?

Lisa pokręciła energicznie głową.

– A co z Oliverem? On ma z tym coś wspólnego?

– Nie – w tej krótkiej odpowiedzi Pernille usłyszała naburmuszony, szczeniacki ton.

– Więc dlaczego policja o niego pyta, Liso? Dlaczego?

Dziewczyna oparła się o biurko, wykręcając palce za plecami.

– Nie wiem – rzuciła, wydymając usta.

Pernille pomyślała o policjantce, Lund. O jej cichej wytrwałości. O wielkich i lśniących oczach, których ani na chwilę nie spuszczała z rozmówcy.

– Ale poszłyście razem na imprezę. Mówiła coś? Może sprawiała wrażenie... – Musi znaleźć odpowiednie słowa. Proste słowa. Proste pytania. Lund tak pyta. – Może wydawała się jakaś inna?

– Nie. Nic nie mówiła. Była... była taka jak zawsze, po prostu.

Nie złość się, pomyślała Pernille. Nie mów, co myślisz... Jesteś kłamliwą durną krową i widać to na twojej tłustej twarzy jak na dłoni.

– Dlaczego powiedziała, że będzie nocować u ciebie?

Lisa pokręciła głową jak zła aktorka w złej sztuce.

– Nie wiem.

– Ale jesteście przyjaciółkami – mówiła Pernille, zastanawiając się: Czy za bardzo naciskam? Czy sprawiam wrażenie namolnej? Szalonej? I tak jednak ciągnęła: – Jesteście przyjaciółkami. Powiedziałyby ci o swoich

planach. – Jej głos przybrał na sile. – Powiedziała ci, gdyby coś się działo.

– Proszę pani. Nic mi nie powiedziała. Naprawdę.

Potrząśnij nią. Nakrzycz. Wrzeszcz, aż wszystko z niej wydusisz... Jakie wszystko?

– Była zła? – dopytywała się Pernille. – Na mnie?

– Nie wiem.

– Musisz mi powiedzieć! – krzyknęła piskliwie. – To ważne.

Dziewczyna ani drgnęła. Im bardziej Pernille zawodził głos, tym Lisa stawała się spokojniejsza i bardziej naburmuszona.

– Nic. Nie. Po. Wie. Dzia. Ła.

Pernille położyła ręce na ramionach dziewczyny, wpiła się wzrokiem w te wyzywające, durne oczy.

– Powiedz mi!

– Nie mam o czym mówić – stwierdziła Lisa głosem wyciętym z emocji.

– Nie była na panią zła. Naprawdę.

– Więc co się stało? – warknęła Pernille.

Potrząśnij tą dziewczuchą. Uderz ją. Uderz ją w twarz.

– Co się stało?

Coś w oczach Lisy mówiło: proszę bardzo. Uderz mnie. To nic nie zmieni. Nanny dalej nie będzie.

Pernille siąknęła nosem, wytarła go, wyszła na korytarz. Zatrzymała się przy kwiatkach i zdjęciach przy szafkach. Ołtarzyk Nanny. Siadła przy nim. To już trzeci dzień. Płatki spadały. Liściki wysuwały się spod wstążeczek. Wszystko bladło i niknęło w szarości.

Podniosła najbliższą karteczkę. Dziecięce pismo.

„Nigdy Cię nie zapomnimy” – przeczytała.

Zapomnicie, pomyślała. Wszyscy zapomnicie. Nawet Lund zapomni po jakimś czasie. Nawet Theis, jeśli da radę, przeniesie swoją bezgraniczną, bezkształtną miłość na chłopców, na Antona i Emila. Pełen nadziei, że ich młode buzie zamażą wspomnienie twarzy Nanny, wyprą ją dzięki oddaniu tak wielkiemu, że ukryje ból.

Uczniowie przemykali szybko, niosąc torby, papiery, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Patrzyła i słuchała. Tymi zwyczajnymi szarymi korytarzami kiedyś chodziła jej córka. Nadal chodziła w pewnym sensie, w wyobraźni Pernille, co tylko wzmagало ból. Ból powinien być nieobecnością, otchłanią, nie czymś fizycznym, co ona czuła w tej chwili. Straciła Nannę. Skradziono ją. Dopóki złodziej nie zostanie złapany, dopóki jego czyn nie zostanie wyjaśniony, jej śmierć naznaczy ich wszystkich, niczym rak toczący organizm.

Zostali zamknięci w teraźniejszości, bez wyjścia. Wstała, weszła po schodach, zachwiała się i osunęła bezwładnie na ziemię.

Ktoś wyciągnął rękę. Zobaczyła twarz, ciemną i miłą.

– Dobrze się pani czuje?

Znowu ten nauczyciel, Rama.

Wsparta o jego ramię, przytrzymując się poręczy, wstała.

Wszyscy zadawali to pytanie i nie chcieli słyszeć odpowiedzi.

– Nie – mruknęła.

Co Nanna myślała o tym przystojnym, inteligentnym mężczyźnie? Czy go lubiła? O czym rozmawiali?

– Lisa coś powiedziała? – spytał.

– Trochę.

– Jeśli mogę...

– Pomóc?

To też wszyscy mówili. Sięgali po te same słowa. Może on mówił szczerze. A może to był kolejny wyświechtany frazes, wypowiedziany odruchowo jak modlitwa.

Pernille Birk Larsen wyszła ze szkoły, zastanawiając się, czy Theis ma rację. Była głupia. Policja prowadziła śledztwo. Lund powinna znać się na swojej robocie.

Kobieta z agencji pośrednictwa wpatrywała się w rusztowanie, zasłonięte płachtami okna, stopy materiałów złożone przy drzwiach.

– Trzeba go sprzedać jak najszybciej. Chcę się go pozbyć.

Theis Birk Larsen stał w swojej czarnej marynarce, czapeczce, robociarskich butach i czerwonym kombinezonie. Strój roboczy, chociaż robota, która kiedyś wydawała się taka ważna, teraz nie obchodziła go ani trochę. Vagn Skærbæk pilnował interesu. On mógł się skupić na pracy. Nie miał zresztą wyboru.

– Oczywiście.

– Wezmę, co zapłaciłem. Chcę się go pozbyć.

– Rozumiem.

Kopnął w rusztowanie.

– Materiały w cenie.

Dzieci bawiły się na ulicy. Kopały piłkę. Śmiały się i krzyczały.

Patrzył na nie z zazdrością.

– To piękny dom – powiedziała kobieta. – Może poczekać kilka miesięcy?

– Nie. Muszę go sprzedać natychmiast. To problem?

Zawahała się.

– Niekoniecznie. Widział pan ekspertyzę?

Wyciągnęła z dokumentów jedną kartkę. Birk Larsen nie znosił papierów. To była robota Pernille.

– Ekspertyza wykazała butwienie.

Zamrugnął powiekami, poczuł się słaby, bezsilny.

– Ubezpieczenie musi to pokryć.

Nie patrzyła na niego, pokręciła głową.

– Nie, nie pokryje, przykro mi.

Powiew wiatru zatrzepotał papierami. Dwóch chłopców na rowerach przejechało z latawcami w ręku.

– Ale...

Zadbanym paznokciem wskazała coś w umowie.

– Tu jest to napisane. Nie pokrywa butwienia. Przykro mi. – Westchnęła.

– Jeśli teraz pan go sprzeda, straci pan mnóstwo pieniędzy. W tym stanie...

Wpatrywał się w dom, myślał o wszystkich straconych marzeniach. Chłopcy każdy w swoim pokoju. Nanna wyglądająca z okna na samej górze, teraz zasłoniętego czarną płytą.

– Niech pani to cholerstwo sprzedaje – zdecydował.

Troels Hartmann, na czworakach, malował z przedszkolakami.

Morten Weber przykucnął obok niego.

– Troels – powiedział – niechętnie ci przerywam zabawę, ale fotografowie już poszli. Musisz zdążyć na następne spotkania.

Hartmann narysował na kartce żółtego kurczaka, a zgromadzone wokół niego maluchy zapiszczały z uciechy.

Uśmiechnął się.

– Tamte też są takie zabawne, Morten?

– Są konieczne.

Hartmann wskazał palcem dzieci na podłodze.

– To są jutrzejsi wyborcy.

– No to wrócimy jutro. Mnie bardziej interesuje każdy, kto głosuje dzisiaj.

– Zrobiły nam ciasto.

Weber spojrzał groźnie.

– Ciasto?

Dwie minuty później siedzieli sami przy stole z dala od dzieci i opiekunów.

– Spróbuj ciasta, Morten.

– Przykro mi, nie mogę.

– Cukrzyca to przykrywka, i tak byś go nie tknął. Jesteś taki sztywny.

Uznał, że są na tyle blisko, że może sobie pozwolić na taki żart.

– Co z tym dziennikarzem? – spytał.

– Masz na myśli Erika Salina?

– Dobiera mi się do tyłka, Morten. Dlaczego? Kim on jest? Skąd wiedział o samochodzie?

– To szmata, która szuka zarobku. Potraktuj to jako komplement. Nie marnowałby na ciebie czasu, gdybyś nie miał szans.

– Skąd wiedział o samochodzie?

Weber się obruszył.

– Myślisz, że to ktoś u nas jest źródłem przecieku, co?

– A ty nie?

– Przeszło mi to przez głowę. Ale nie mam pojęcia, kto by to mógł być.

Hartmann odsunął ciasto i plastikowy kubek z sokiem pomarańczowym, słuchał dzieci chichoczących nad swoimi malunkami.

– Mam pełne zaufanie do naszego zespołu – powiedział Weber trochę pompatycznie. – Do wszystkich. A ty?

Hartmann już miał odpowiedzieć, gdy zadzwoniła jego komórka.

Słuchał, spojrzał na Webera.

– Musimy jechać.

Siny z wściekłości Hartmann długimi krokami pokonywał puste korytarze wokół centralnego dziedzińca.

– Gdzie ona jest, do cholery?

– Zadzwońi lada chwila.

Rie Skovgaard spotkała się z nim przy głównym wejściu, i z trudem za nim nadążała, gdy szedł do ich siedziby. Weber dreptał o krok za nimi i słuchał w milczeniu.

– Eller mówi, że Poul Bremer złożył jej lepszą ofertę. Jeszcze jej nie przyjęła. Chce wiedzieć, co my na to powiemy.

– My na to mówimy, żeby się nią udławiła.

Skovgaard westchnęła.

– To polityka.

– Nie, nieprawda. To konkurs piękności. A my nie bierzmy w nim udziału.

– Wysłuchaj jej. Poznaj jej stanowisko. W kilku sprawach możemy pójść na kompromis...

Zatrzymała Hartmanna przed drzwiami biura.

– Troels. Musisz się uspokoić.

Rozejrzał się po wnętrzu ratusza. Czasami kojarzyło mu się z więzieniem. Bardzo wygodnym więzieniem.

Zadzwoił telefon Skovgaard.

– Cześć, Kirsten. Jeszcze chwilę. Zaraz porozmawiacie.

Rozłączyła się, spojrzała na Hartmanna i powiedziała:

– Bądź grzeczny. I zachowaj spokój. – Nie słuchał jej. Poklepała go po ramieniu i wrzasnęła: – Hej! – Głos miała twardy i ostry. – Posłuchaj mnie chociaż raz, dobra? Jeśli będziemy mieli Eller po swojej stronie, wygramy. Jeśli nie, będziemy jeszcze jedną mniejszością skamlającą o okruchy ze stołu Poula Bremerera. Troels...

Próbował ją wyminąć. Chwyliła go za klapę granatowej marynarki, zaciągnęła do kąta.

– Rozumiesz, co mówię? Możesz nawet zdobyć większość. Ale nie masz wsparcia. – Uspokoiła się trochę. – Nic tego teraz nie zmieni. To fakt.

Hartmann sięgnął po telefon.

– Zachowaj spokój – powtórzyła i podała mu aparat.

Hartmann zadzwonił do Eller. Kilka grzecznościowych banałów i nagle:

– Słyszałem o tobie i Bremerze. Tak to bywa. Nie ma co się gniewać.

Zamknął oczy i słuchał. Nadal jest możliwość pertraktacji, propozycje nie są ostateczne. Natarczywy, wyczekujący ton, taki sam jak zawsze.

– Domyślam się, że jednak nie będzie koalicji – powiedział. – Powinniśmy czasami napić się kawy. Dbaj o siebie. Pa.

Skovgaard pobladła z wściekłości. Weber zniknął.

– Proszę. I co? Byłem spokojny?

Lekarz sądowy był spokojnym człowiekiem o brązowej twarzy i białej brodzie. Całą drogę do kostnicy mówił o robieniu cydru.

– W Szwecji mają dobre jabłka. Dam ci przepis.

– Cudownie.

Weszli, założyli rękawiczki i zbliżyli się do stołu.

– To niecodzienny przypadek – powiedział, podnosząc białe prześcieradło.

Lund spojrzała na ciało Nanny Birk Larsen. Teraz umyte i z wyraźnymi oznakami stężenia pośmiertnego.

– Krew we włosach zakrzepła dużo wcześniej, nim dziewczyna znalazła się w wodzie. Na ramionach, nogach i na prawym boku są siniaki.

Lund popatrzyła. Choć wydawało jej się, że widziała już dość.

– Chodź tutaj. – Wskazał jej prawą stronę.

– Omawialiśmy już to.

Noga była pokryta cięciami.

– Otarcia?

– Nie, dotknij skóry.

Lund dotknęła. W dotyku przypominała po prostu skórę.

– Wokół ran widać zaczerwienienia – wskazał. – Kiedy ciało przebywało w wodzie, zniknęły. Ale po kilku dniach pojawiły się ponownie.

Lund nie zrozumiała, co chce jej powiedzieć.

– To odleżyny – wyjaśnił. – Trzymano ją na szorstkiej powierzchni. Może na betonowej podłodze.

– W szkolnej piwnicy jest betonowa posadzka.

Dotknęła uszkodzeń. Pomyślała o ukrytym pomieszczeniu z zakrwawionym materacem i narkotykami.

– Jak długo tak leżała?

– Od piętnastu do dwudziestu godzin.

Lund przyswajała tę informację, próbowała sobie wyobrazić, co ona oznacza.

– Jesteś pewien?

– Tak. Gwałcono ją wielokrotnie, co kilka godzin. Ale do tej pory nie znaleźliśmy śladów DNA. Musiał używać prezerwatyw. Nie znalazłem nic pod paznokciami ani nigdzie indziej.

– Woda wszystko wypłukała?

Kiwnął głową.

– Tak właśnie myślałem. Ale ona była zamknięta w bagażniku. Spójrz na jej dłonie.

Podniósł najpierw jedną, potem drugą.

– Ktoś obciął jej paznokcie.

Puścił dłonie, które opadły na białe prześcieradło. Teraz Lund podniosła je kolejno, przyjrzała się z bliska.

– W wątrobie i płucach są ślady eteru – podjął, czytając raport. – Została więc zamroczona. Może kilkakrotnie. To wszystko zostało zaplanowane. Wiedział, co robi. Nie...

Przerwał, jakby sobie nie dowierzał.

– To nie moja działka, ale nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to nie pierwsza jego ofiara. W tym... jest metoda.

Lund wzięła od niego raport.

– Przyda ci się na coś?

Wzruszyła ramionami.

– Cóż... – rzekł. – Cokolwiek się pojawi, doślę ci. A... – uśmiechnął się – i przepis na cydr.

Lund wróciła do swojego gabinetu. Za drzwiami Buchard kłócił się z łysym adwokatem. Walczył o zatrzymanie Olivera Schandorffa i Jepeggo Halda. Adwokat wybierał się do sędziego, żeby ich jak najszybciej wyciągnąć. Sądząc z wyrazu twarzy Bucharda, nie miał on zbyt wielkiej nadziei na zwycięstwo w tej potyczce.

Eller zamknęła za sobą drzwi. Siadła, oparła szerokie dłonie na szerokich biodrach.

– Nieźle to zagrałeś, muszę powiedzieć.

– To nie była zagrywka, Kirsten.

– Mam nadzieję.

Czekał.

– Odmówiłam Bremerowi. Nie myśl sobie, że to była łatwa decyzja. On nie lubi słowa „nie”.

– Wyobrażam sobie.

– W zasadzie nie miałam wyboru. Jesteśmy naturalnymi partnerami. On jest... – Uśmiechnęła się. – To łajdak, który pociąga za sznurki.

Nadal nic nie mówił.

– Mam nadzieję, że sprostasz naszym oczekiwaniom – dodała Eller. – Nadstawiam za ciebie głowy.

– A twoja partia...?

– ...zrobi, co każe. No... możemy się zabrać do interesów?

Pięć minut później przy stole w pokoju konferencyjnym obok głównego biura kampanii zaczęły się negocjacje. Polityka i nominacje. Fundusze i strategia medialna. Rie Skovgaard robiła notatki i podsuwała sugestie.

Hartmann i Eller dobili targu.

Meyer wrócił z ponownego przeszukania mieszkania uczniów.

– Wypuściłaś ich? – spytał.

– Tak.

– Będziemy musieli przywieźć ich z powrotem.

Lund przeglądała zdjęcia na biurku. Obrażenia Nanny. Buty.

– Nie sądzę, żeby oni to zrobili – powiedziała.

– A ja jestem pewien.

Położył jej na biurku czytnik kart pamięci i kablem podłączył do peceta.

– Spójrz na to.

Komputer rozpoznał podłączone urządzenie.

Na ekranie pojawił się drżący obraz nagrania wideo. Przyjęcie halloweenowe. Dzieciaki w kostiumach. Picie piwa. Krzyki. Młodzież zachowująca się jak zawsze, kiedy nikt nie patrzy.

Lund patrzyła. Oto Jeppe Hald. Błyskotliwy, spokojny Jeppe, szóstkowy uczeń, przewodniczący samorządu. Krzyczał do obiektywu, pijany albo nawalony, albo jedno i drugie.

Lisa Rasmussen w krótkiej obcisłej sukience, przemieszczająca się posuwistym krokiem, mniej więcej w tym samym stanie.

– Skąd to wzięłeś?

– Z pokoju Jeppego Halda. Nagrał to komórką, a potem zapisał na karcie pamięci. – Meyer spojrzał na Lund. – Żeby oglądać na komputerze.

Lund kiwnęła głową.

– Moim zdaniem on nie jest taki bystry, jak mówią w szkole – dodał Meyer.

– Stop!

Meyer kliknął pauzę.

Nanna w swoim kapeluszu wiedźmy. Żywa. Cała i zdrowa. Piękna, taka piękna. Taka... dorosła.

Nie wyglądała na pijaną. Nie krzyczała. Wyglądała... na zakłopotaną. Jak dorosły, który nagle znalazł się w otoczeniu dzieci.

– Dalej – poleciała.

Meyer puścił film w zwolnionym tempie. Obraz przejechał z Nanny na Olivera Schandorffa. Dzikie włosy, dzikie oczy. Wpatrywał się w Nannę pożądliwie, żłowiąc piwo z puszki.

– W mojej szkole takich imprez nie było – powiedział Meyer. – A w twojej?

– Mnie i tak by nie zaproszono.

– No myślę. – Meyer westchnął ze smutkiem i siadł obok niej. – Czas na przedstawienie.

Obraz się zmienił. Pokazywał jakieś inne miejsce. Ciemniejsze. Kilka świateł. Napoje na stole. To pomieszczenie w piwnicy. Na pewno.

Coś się poruszało w głębi, robiło się coraz większe, w miarę jak kamera się zbliżała.

Lund pochyliła się do przodu, przyglądała się uważnie, czuła, jak serce jej przyspiesza.

Dźwięk. Dyszenie, jęki. Oliver Schandorff nagi, rude włosy kołyszące się w rytm ruchów wykonywanych nad postacią pod spodem, też naga,

nieruchomą, z rozłożonymi szeroko nogami.

Kontrast pomiędzy nim a dziewczyną był uderzający. Schandorff oszalały, gwałtowny, w desperacji. Ona...

Pijana? Nieprzytomna?

Trudno powiedzieć. Ale na pewno coś było z nią nie tak.

Zbliżenie.

Ręce Schandorffa chwyciły nogi dziewczyny. Założył je sobie na biodra. Seks nastoletni. Zupełnie jakby gdzieś tykał zegar i mówił: Zrób to teraz, szybko, bo ta okazja nigdy się nie powtórzy.

Nieartykułowane dźwięki, szalone pchnięcia.

Zbliżenie. Czarny kapelusz, który widzieli wcześniej, naciągnięty na oczy, na twarz. Blond włosy. Kapelusz się ruszał.

– Cholera – zaklęła Lund.

Coś się stało. Kamera oderwała się od pary. Usłyszeli go, jak zakradał się do nich. Przekleństwa i gwałtowne ruchy. Dziewczynę ledwie było widać, uciekała truchtem, szukając kryjówki. Blond włosy, kapelusz czarownicy, nagie piersi. Niewiele więcej.

– Chyba ich tu przywiozę – powiedział Meyer.

Na schodach ratusza Troels Hartmann i Kirsten Eller stali obok siebie, mrugając powiekami w ostrych światłach fleszy i kamer. Uśmiechnięci ściskali sobie dłonie.

Czekając na Meyera, Lund oglądała to wszystko na kanale informacyjnym na swoim komputerze. Potem wróciła do wideo. Szkoła.

Jeden fragment, który wcześniej ominęła.

Nanna w swojej sukience. W kapeluszu. Uśmiechająca się do telefonu Jeppego Halda. Podnosiła szklanekę czegoś, co wyglądało jak cola. Uśmiechnięta. Trzeźwa. Taka elegancka i naturalna. Zupełnie nie wyglądała jak nastolatka. Nie wyglądała jak wszyscy pozostali.

A kilka minut później...

Naga w piwnicy, Oliver Schandorff wdzierający się w nią jak zwierzę.

– Obyś się nie mylił, Meyer – wyszeptała.

Dozorca wpuszczał Lund do szkoły, gdy zadzwonił Meyer.

– Mam obu.

– Nie przesłuchuj ich jeszcze.

Chwila ciszy.

– Gdy ostatni raz sprawdzałem, byliśmy równi rangą.

– Muszę najpierw coś zobaczyć.

Długie westchnienie.

– Nie przejmuj się, Lund. Zdobędziesz uznanie.

Echo jej kroków niosło się po ciemnych i pustych korytarzach.

– Zaczekaj dwadzieścia minut – powiedziała i skończyła rozmowę.

Kwiaty na ołtarzyku Nanny przy szafkach zwiędły, świece się wypaliły.

Lund zeszła po ciemnych schodach, z latarką, szukając po omacku włączników światła, na próżno zresztą.

Minęła taśmę policyjną. Weszła do tajemnego pomieszczenia. Wszędzie linie i znaczki. Puste butelki oprószone proszkiem daktyloskopijnym.

Spojrzała na poplamiony krwią materac. Z jednej strony widniała jedna większa plama, potem linia czerwieni na lamówce z brzegu. Niewiele krwi. I nie była rozsmarowana.

Meyer nie czekał. Nie rozumiał, dlaczego miałby czekać. Wziął Olivera Schandorffa do gabinetu Lund, posadził przy komputerze, zmusił do oglądania wideo. Na ekranie jeszcze raz pojawiły się obrazy z Halloween. Dyniowa głowa. Pijane dzieciaki. Narkotyki. Wóda.

Bez Lund na karku Meyer był bardziej odprężony. Siadł obok młodego, patrzył, jak ten wpatruje się w monitor z twarzą skrzywioną ze strachu

i bólu.

– Masz dwie opcje, Oliverze – powiedział bezbarwnym, spokojnym głosem. – Albo się przyznasz teraz...

Nanna. W kapeluszu więdźmy. Uśmiechnięta. Szczęśliwa. Piękna.

– Albo oglądamy resztę. I czekamy, aż rano dojedzie twój adwokat. O ile będzie mu się chciało wyleźć z łóżka.

Telefon się poruszał. Filmujący wyszedł z holu, w dół schodami, do piwnicy. W stronę ukrytego pokoju.

W oddali dwie nagie postacie pod samotną żarówką.

Schendorff nie mógł oderwać wzroku od ekranu.

– Przed nami cała noc – powiedział Meyer. – Ale ja wiem, że wy dwaj to zrobiliście, i ty wiesz. Może więc miejmy to już za sobą, dobra?

Cisza.

Meyer poczuł leciutką falę gniewu, starał się ją stłumić.

– Oliver? Oliver?!

Lund wyjęła zdjęcia, które przyniosła. Zbliżenie ciała Nanny. Zbliżenia obrażeń, rana na plecach.

Z jakiegoś powodu nie było prądu, więc przyglądała im się w świetle swojej latarki. Podniosła je i spojrzała na materac, na plamy krwi na podłodze.

Odszukała zdjęcie dłoni Nanny. Obcięte paznokcie.

Promieniem latarki omiotła pomieszczenie.

Sprawdziła spis znalezionych tu przedmiotów.

Żadnych nożyczek.

Wyjęła telefon, zerknęła na wyświetlacz. Zero zasięgu w tym podziemnym grobowcu.

Oliver Schandorff siedział sztywno przed monitorem. Dwa kopulujące ciała. Rude włosy kołyszące się w górę i w dół. On chwyta jej nogi, zakłada sobie na plecy. Odpycha jej ręce, gdy chce go złapać.

Kamera jest tuż za nimi. Jego plecy, jego ciało uderzające w nią w szalonym, gorączkowym rytmie. Potem zamieszanie. Obraz latający na wszystkie strony, gdy on zrywa się na nogi, staje przed intruzem, który się do nich podkradł.

Usta wykrzywione jak u niegrzecznego dziecka, twarz pełna wstydu i gniewu. Schandorff siedział w Wydziale Zabójstw i nie chciał rozmawiać.

– Może Jeppe przemówi pierwszy – odezwał się Meyer.

Na ekranie pojawił się pijaniusieńki Hald.

– Wiesz, że może być w sąsiednim pomieszczeniu. – Meyer postukał Schandorffa w ramię. – Może mówi, że to wszystko zrobiłeś ty. Ty sam. Nie byłoby miło, co?

Ręka Meyera powędrowała do ramienia chłopaka.

– On nie jest twoim przyjacielem, Oliverze. Pomyśl o tym. Wiem, że krzyczałem na ciebie, synu. Przepraszam. Ja tylko...

Schandorff siedział jak skamieniały.

– Te zdjęcia Nanny wyciągniętej z kanału. – Meyer przyglądał mu się uważnie. – Nie mogę o nich zapomnieć. Nie chciałbym ci ich pokazywać. Nie zmuszaj mnie. Lepiej dla nas obu, żebym tego nie robił.

Lund nie mogła jeszcze wyjść na zewnątrz i poszukać sygnału. Jeszcze miała coś do zrobienia. Wyciągnęła rękawiczki i podniosła stłuczoną szklankę po piwie leżącą w kręgu nakreślonym kredą.

Poświeciła na szkło latarką.

Szminka na brzegu. Pomarańczowa. Jaskrawa.

Wyjęła zdjęcie Nanny zrobione na imprezie.

Nanna w kapeluszu więdźmy. Tylko to w niej wydawało się młodzieńcze.

Sięgnęła do popielniczki. Przesiała pety i końcówki skrętów. Wyciągnęła zwitek folii aluminiowej. Rozłożyła go palcami w rękawiczkach. To nie narkotyki. Kolczyk.

W świetle latarki zobaczyła trzy cyrkonie w srebrnej oprawie.

Wróciła do zdjęć. Nanna i pozostali. Lisa Rasmussen.

Minęły cztery dni, odkąd wyciągnęli ciało Nanny Birk Larsen z zimnego kanału przy lotnisku. Przez cały ten czas ledwie posunęli się do przodu, nie mając żadnego tropu. Gonili pierzchające przed nimi cienie.

Nad taką sprawą jeszcze nie pracowała. Same zagadki. Łamigłówki. Śledztwa nigdy nie były czarno-białe. Ale jeszcze się nie zetknęła z tak szarym i niekonkretnym, niematerialnym.

Wpatrywała się w zdjęcie. Nanna i Lisa. Uśmiechnięte, szczęśliwe.

Nagle usłyszała nad sobą dźwięk. Kroki w ciemności.

– Może to nie był twój pomysł – zasugerował Meyer. – Jeppe to wymyślił, a ty dla ubawu się zgodziłaś.

Wychylił się, próbując ściągnąć na siebie uwagę Schandorffa.

– Oliver?

Nic. Tylko żałosna twarz przed monitorem.

– To by coś zmieniło. Gdybyś nam powiedział. Więc jak będzie?

Meyer opadł na oparcie, założył ręce za głowę.

– Posiedzimy tu sobie całą noc i pooglądamy zdjęcia? Czy jakoś to załatwimy?

Nic.

– Świetnie. – W głosie Meyera pojawił się ostry ton, którego od razu pożałował. – Głodny jestem. Nie mam pieniędzy na dwie...

– To nie ona, durniu – warknął Schandorff.

Meyer zamrugnął powiekami.

Naburmuszonym, udreńczonym głosem Oliver Schandorff wreszcie się do niego odezwał.

– Ta dziewczyna w kotłowni. To nie jest Nanna.

Na górze, w holu, przed ołtarzykiem Nanny. Ogarek świecy zamigotał w ciemności.

Lund zerknęła na telefon. Miała zasięg.

Usłyszała kroki przy drzwiach. Nie pomyślała, żeby się ukryć. Skierowała latarkę na źródło dźwięku.

– Lisa?

Dziewczyna z wazonem pełnym róż w ręku zamarła w jasnym świetle.

– Jak się tu dostałaś? – spytała Lund.

Lisa postawiła kwiaty na ołtarzyku.

– Więdną. Ludzie zapominają.

– Jak się tu dostałaś?

– Drzwi do sali gimnastycznej są otwarte. Zamek się zepsuł. Wszyscy o tym wiedzą.

Odgarnęła długie blond włosy, spojrzała na zdjęcia i kwiaty.

– Kiedy poznałaś Nannę?

– W podstawówce. W ostatniej klasie. Nanna wybrała Frederiksholm, więc ja też. – Ułożyła róże. – Sama bym się pewnie nie dostała. Nanna jest bystra. Jej tata musiał zdobyć pieniądze. Mój tata ma ich dużo. Ale ja... ja jestem głupia.

– Kiedy się pokłóciłyście?

Lisa spojrzała na nią.

– Wcale się nie pokłóciłyśmy.

– Mamy telefon Nanny. Nigdy do niej nie dzwoniłaś, ostatnio nie pisałaś eśemesów.

Lisa milczała.

- Nanna dzwoniła do ciebie.
- To nie była kłótnia. W zasadzie nie.
- Chodziło o Olivera?

Odpowiedź padła natychmiast:

- Nie pamiętam.
- Myślę, że o Olivera. Nanny on nie obchodził. Ty się w nim kochasz, prawda?

Lisa się zaśmiała.

- Zadaje mi pani dziwne pytania.
- Dlatego poszłaś do kotłowni.
- Mogę już iść?

Lund wyciągnęła kolczyk.

- Zapomniałaś o czymś.

Dziewczyna wpatrywała się w torebeczkę dowodową, zakłęła i odwróciła się do wyjścia.

- Możemy stracić mnóstwo czasu, szukając sukienki – przemówiła Lund do jej pleców. – Albo możesz mi po prostu powiedzieć.

Lisa Rasmussen stanęła, objęła się ramionami w kusym, czerwonym płaszczku.

- To ważne – ciągnęła Lund. – Nanna była w tym pomieszczeniu? Czy byłaś sama z chłopcami?

W pułapce pomiędzy dzieciństwem a dorosłością.

- Byłam na nią wściekła, jasne?

Lund skrzyżowała ramiona. Czekała.

- Nanna chciała o wszystkim decydować. Traktowała mnie jak dziecko. Byłam pijana. Potem ten świr Jeppe wszedł i zaczął nas filmować. Oliver się wściekł. Ja próbowałam zatrzymać Jpeggo. Potknęłam się o butelki.

Podwinęła rękaw. Plastry i strupy. Długie rany, może szwy.

– Pocięłam się.

– Co dalej?

– Oliver zabrał mnie do szpitala. Siedzieliśmy tam całą noc.

Przycupnęła na parapecie, na jej pospolitą twarz padało światło latarni.

– Ciągłe był wściekły na Nannę. Myślałam, że może...

Opuściła rękaw, znowu się objęła ramionami.

– Kretyn. Nanna miała rację.

– Gdzie była Nanna?

– Nie wiem.

– Liso...

– Nie wiem! – krzyknęła. – Chyba o wpół do dziesiątej... weszła do holu, założyła mi swój kapelusz, uściskała mnie. I powiedziała do widzenia.

Spojrzała w twarz Lund.

– I tyle. Wyszła.

Lund kiwnęła głową.

– Czy mój tata musi o tym wiedzieć? Zabije mnie.

Hartmann i Rie Skovgaard słuchali radia w drodze do recepcji. Serwisy informacyjne już obwieściły wybory. Koalicja wpłynęła na zmianę sytuacji. Zmiana zastanego systemu politycznego nie wydawała się odległa.

Wyglądało na to, że sprawa Birk Larsen przestała im szkodzić. Czekala ich teraz ciężka praca przy kampanii. Spotkania i konferencje prasowe. Uściski dłoni, triumfalne głosy.

Tajne spotkania ścisłych kręgów duńskiej polityki, w lśniących pokojach, gdzie prawica, lewica i centrum zbierali się, by polemizować łagodnie, w otoczce uśmiechów i zgrabnych obietnic, wymieniać grzeczne obelgi, rzucać dyskretne ostrzeżenia pod przykrywką porad.

Późnym wieczorem, wyczerpany, marząc tylko o tym, by zabrać Rie Skovgaard do domu i do łóżka, Hartmann spotkał się z jej ojcem.

Wieloletni parlamentarzysta z ramienia Stronnictwa Liberalnego. Kim Skovgaard był krzepkim, przyjaznym mężczyzną o wielkich wpływach. Podobnie jak Poul Bremer, który właśnie gawędził przyjaźnie z przeciwnikami po drugiej stronie pokoju.

Skrzekliwy śmiech burmistrza niósł się szeroko.

– Nie miałem pojęcia, że Bremer jest na twojej liście gości – zdziwił się Hartmann.

– Przyjaciół trzymaj blisko siebie, a wrogów jeszcze bliżej. – Kim Skovgaard uśmiechnął się porozumiewawczo. – Koniec końców wszyscy walczymy o to samo. O lepsze życie. Różni nas rozumienie tego pojęcia.

Hartmann również się uśmiechnął.

– Jesteście jeszcze wplątani w tę sprawę? – spytał Skovgaard.

– Masz na myśli morderstwo dziewczyny?

– A są inne?

– Nigdy nie byliśmy wplątani. To był zbieg okoliczności. Więcej już nic na ten temat nie usłyszysz.

Skovgaard wznosił kieliszek.

– Dobrze. Przy takich nagłówkach trudno byłoby cię wspierać.

– Tato – przerwała im Rie. – Nie teraz.

On jednak ciągnął.

– Premier... i kilka innych osób zastanawiają się, czy panujesz nad sytuacją.

– Kampania jest pod kontrolą. Wygramy. – Uśmiech. Zagubiony pośród morza innych. – Przepraszam...

Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, wziął Poula Bremera za ramię, poprosił o słowo na osobności. Zajęli ustronne miejsce przy kominku.

– A więc w końcu podbiłeś madame Eller, Troels – rzekł Bremer. – Gratulacje. Mam nadzieję, że cena nie była zbyt wysoka.

– Wiem, do czego zmierzasz.

Bremer zamrugał powiekami, pokręcił głową.

– Jeśli przyłapię cię jeszcze na jakichś gierkach – Hartmann przysunął się, mówił szorstkim, zdecydowanym szeptem – zaciągnę cię do sądu. Rozumiesz?

– Ani trochę – odrzekł Bremer. – Nie mam pojęcia, o czym, do cholery, mówisz.

– Świetnie – rzucił Hartmann na odchodne. – To wszystko.

– Troels! Wracaj!

Bremer podszedł do niego i spojrzał mu w twarz.

– Zawsze cię lubiłem. Zawsze, odkąd jako nowicjusz wygłaszałeś swoją pierwszą mowę. Dzisiaj...

Hartmann próbował ocenić, co tu jest szczerze, a co jest tylko grą, i nie udało mu się.

– Dzisiaj mnie pokonałeś. To nie zdarza mi się często. A kiedy już się zdarza... nie podoba mi się. Nie podoba mi się też, kiedy w przyпадку paranoi oskarżasz mnie o rzeczy, o których nie mam pojęcia.

Hartmann stał, usiłując nie czuć się jak łajany uczeń.

Wielka ręka Bremera powędrowała do góry, kciuk i palec wskazujący opierały się o siebie.

– Gdybym chciał cię zgnieść, nie sądzisz, że zrobiłbym to już dawno temu?

Poklepał Hartmanna po ramieniu.

– Pomyśl o tym. – Uśmiech przerodził się w gniewny grymas. – Popsułeś mi nastrój, Troels. Wychodzę. Mam nadzieję, że czujesz się winny.

Bremer spojrzał na niego.

– Winny. Tak. To właściwe słowo.

Wypuścili Schandorffa i Halda. Lund przywiozła Lisę Rasmussen, która miała podpisać zeznanie, przypilnowała, żeby została bezpiecznie odwieziona do domu.

Po drodze zapytała ją ponownie:

– Naprawdę nie wiesz, z kim miała się spotkać?

Dziewczyna wyglądała na wykończoną. Ale też jakby poczuła ulgę. Tajemnica musiała jej ciążyć.

– Nanna była szczęśliwa. Widziałam to. Jakby czegoś nie mogła się doczekać. Czegoś wyjątkowego.

Po jej wyjściu wpadł Meyer, wymachując dokumentami.

– Postawię im zarzut krzywoprzysięstwa. Wprowadzanie policji w błąd.

– A warto?

– Dlaczego nie zadzwoniłaś, żeby mi o tym powiedzieć, Lund? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Czuję się jak idiota.

Podniosła telefon.

– Piwnica. Nie ma sygnału. Próbowałam.

– Nieprawda.

Wyglądał jak naburmuszone dziecko.

– Żyjesz w swoim własnym świecie. W jakiejś Lundlandii. Nic poza tobą w niej nie ma.

– Dobra, bardzo mi przykro z tego powodu.

– A mnie nie wolno palić. Ani jeść, ani krzyczeć na podejrzanych.

– Nie przejmuj się. Niedługo wyjadę.

Wyciągnął paczkę papierosów. Wytrząsnął jednego, zapalił i wydmuchnął na nią dym.

Westchnęła.

– Nic, cholera, nie mamy – burknął.

– Nieprawda.

– Mówisz poważnie?

Podniosła głos. Pewnie z powodu papierosa. Tak strasznie sama chciała zapalić.

– Mamy mnóstwo. Gdybyś tylko słuchał.

Skrzyżował ramiona na piersi.

– No, słucham teraz – rzekł.

Pięć minut później siedzieli z Buchardem, markotnym i poważnym.

Pokazywała papiery, zdjęcia, które zebrała, cierpliwie, jedno po drugim.

– Wiemy różne rzeczy o tym kimś, kto to zrobił. Wiemy, że ją oszołomił eterem. Więził ją gdzieś i gwałcił, piętnaście–dwadzieścia godzin. Potem...

Kolejne zdjęcia. Ramiona, ręce, stopy, uda.

– Potem ją wykąpał. Obciął paznokcie. Następnie zawiózł ją do lasu, bo wiedział, że tam nikt im nie przeszkodzi.

Zdjęcia drogi prowadzącej przez Las Zielonoświątkowy. Włosy na martwych drzewach.

– Tam zagrał w swoją grę. Bawił się nią. Pozwolił jej uciec, a potem ją złapał. Może... – Przez chwilę się nad tym zastanawiała. – Może więcej niż raz.

– Zabawa w kotka i myszkę – powiedział Meyer i zaciągnął się papierosem.

– W szafie Nanny znaleźliśmy designerskie buty – ciągnęła Lund. – Rodzice nic o nich nie wiedzą.

Puściła w obieg zdjęcie: brązowa skóra i migoczący metal.

– Nanna nie mogła ich kupić. Są za drogie. Wisiorek...

Czarne serduszko na tanim łańcuszku.

– Nadal nie wiemy, od kogo pochodzi. Może to podarunek od osoby, od której dostała buty. Tyle że to jest tanie. I stare.

Lund położyła przed nimi zdjęcie Nanny i Lisy na przyjęciu halloweenowym. Lisa wyglądała na pijaną. Pijana nastolatka. Nanna elegancka i uśmiechnięta w czarnym kapeluszu czarownicy, jakby to był niechciany żart.

– To najważniejsze. Nanna szykowała się na potajemną randkę. Przebrała się i zostawiła swój kostium w szkole. Miała się z kimś spotkać. Nawet jej najlepsza przyjaciółka nie ma pojęcia, z kim.

Buchard jęknął.

– Nie powiecie mi chyba, że to nauczyciel, co?

Lund spojrzała na niego bez słowa.

– Dobra – powiedział Meyer. – Jutro ruszamy od nowa.

– Posłuchajcie mnie! – rozkazał Buchard. – Szkoły to zakres kompetencji Troelsa Hartmanna. On musi wiedzieć, co się dzieje.

– Świetnie. – Lund kiwnęła głową. – Zadzwoń jutro do niego.

– I musisz zostać trochę dłużej – dodał Buchard.

Meyer zamknął oczy, wypuścił dym w stronę sufitu.

– Jestem do soboty. Mark w poniedziałek zaczyna szkołę. Zrobiłam wszystko...

– Z całym szacunkiem – przerwał Meyer. – Nie uważam, że ona powinna zostać. Znam się na rzeczy. I... – Skrzywił się. – Bądźmy szczerzy. Współpraca słabo nam wychodzi. Myślę, że Lund nie powinna zmieniać planów.

Po czym wstał i wyszedł.

Sarah patrzyła na zdjęcia. Nanna w kapeluszu wiedźmy. Inna niż reszta dzieciaków dokoła.

Buchard spojrzał na nią.

– Meyer dawno nic nie jadł – powiedziała. – Robi się wtedy pobudliwy. Nie... – Machnęła palcem i poprawiła się: – Bardziej pobudliwy.

– Szkoła...

– Musimy rzucić okiem. Musimy uważnie rzucić okiem.

5_

PIĄTEK_
7 LISTOPADA_

Lund wkładała czarno-biały sweter, zonglując kawałkiem tosta, gdy jej matka powiedziała:

- Myślałam, że dzisiaj wyjeżdżamy?
- Nie. Jedziemy jutro po południu.
- Jutro po południu? Wtedy przyjeżdżają goście.
- Będzie okej.
- Nie mogę długo zostać w Szwecji. Mam robotę. – Zerknęła na suknię.
- Ślub w drodze.
- Zawsze jest jakiś ślub w drodze. Mamy nadzieję, że zostaniesz przez weekend. Poznasz rodzinę Bengta.
- Ponury śmiech.
- Chodzi ci o to, żebyś zaprowadziła twojego syna do szkoły, gdy ty pójdziesz do pracy?
- Nieważne. – Lund przełknęła, skrzywiła się. – To był tylko taki pomysł. Mamy gorącą kawę?
- Zajrzała do zaparzacza. Nie.
- Czy ja cię wychowałam na taką matkę? – Vibeke pokręciła głową. – Odkąd tu jesteście, jeszcze ani razu nie rozmawiałaś z Markiem. Masz pojęcie, że...?

– Mam za sobą pracowity tydzień. Myślałam, że to zauważyłaś.

Szybko, nie patrząc w lustro, cały czas myśląc o Nannie i szkole, wyjęła gumkę z kieszeni dzinsów i związała długie brązowe włosy w bezładny koński ogon.

– On ma dwanaście lat...

– Wiem, ile ma lat.

– Nic o nim nie wiesz! Ani o jego życiu.

– Muszę iść.

– Wiesz chociaż, że ma dziewczynę?

Lund się zatrzymała. Walczyła chwilę ze sobą.

– Mark jest jak ja – powiedziała. – Bardzo niezależny. Nie trzymamy się siebie kurczowo cały czas. I owszem... wiem o jego dziewczynie. Dziękuję.

– Wychodzę – usłyszała za sobą i aż podskoczyła.

Mark w granatowej kurtce stał gotowy do szkoły.

Zeszła za nim po schodach.

Pochmurny, suchy dzień. Na ulicy Mark wsiadł na skuter i ruszył.

– Mark! Nie jadłeś śniadania.

Zwolnił, zsiadł.

– Nie jestem głodny.

– Przykro mi w związku z tym tygodniem. Wynagrodzę ci to. Obiecuję.

Wsiadł z powrotem na skuter. Ona próbowała nadążyć.

– Babcia mówi, że masz dziewczynę.

Mark stanął, nie patrząc jej w oczy.

Lund się uśmiechnęła.

– To fajnie.

Próbowała nie myśleć o kolczyku. Przekłuł sobie ucho bez pytania, z pomocą jakiegoś kolegi ze szkoły.

– Jak ma na imię?

- To nieważne.
- Możesz ją zaprosić do Szwecji.
- Spóźnię się do szkoły.
- Mark? Interesuje mnie to, co się dzieje w twoim życiu.
- Właśnie ze mną zerwała.

Dwanaście lat, a tyle bólu na twarzy.

- A ciebie to głównie obchodzi. Interesują cię tylko martwi ludzie.

Lund stała na chodniku. Widziała tego chłopca, jak miał lat cztery i pięć. I osiem. Dziesięć. Kiedy zmienił się w opryskliwego, smutnego dzieciaka, który wpatrywał się w nią teraz i wyglądał...

Jak?

Jakby był rozczarowany.

To było właściwe słowo.

Mark odwrócił się i odjechał.

Hartmann przyszedł o dziewiątej. Lund zabrała go do siebie.

- Powiedziała pani, że kłopoty mamy za sobą.
- Nie powiedziałam nic takiego...
- Nie wspomniała pani o nauczycielu.
- To jedna z koncepcji, które rozważamy.
- Jaka dokładnie?

W drzwiach pojawiła się głowa Meyera.

- Idziemy? – spytał.

Hartmann ani drgnął.

- Do czego teraz doszliście?

Lund pokręciła głową.

- Nie mogę powiedzieć.
- To są moje szkoły i moi nauczyciele. Proszę mi powiedzieć.
- Kiedy będę mogła...

– Nie. Nie!!!

Wściekał się. Widziała już wcześniej ten nastrój. W telewizji, kiedy dopadł reportera. Teraz trafiło na nią.

– Muszę wiedzieć, kto to jest! Jezu! Trzeba podjąć środki zapobiegawcze.

– To niemożliwe...

– Już raz mnie pani ośmieszyła, Lund. To się więcej nie powtórzy.

– Przykro mi. Nie mogę przedkładać pańskiej kampanii nad śledztwo w sprawie morderstwa. To byłoby niewłaściwe.

Wyraźnie się wściekał.

– Nie rozumie pani, jakie to szkody wyrządzi? Nauczycielom? Uczniom? Rodzicom? Rozrzuca pani podejrzenia jak rolnik gnojówkę. I gówno panią obchodzi...

– Jak pan śmie tak mówić?! – wrzasnęła.

Hartmann ucichł, zdumiony jej wybuchem.

– Niech pan tak nigdy nie mówi – powtórzyła już ciszej. – Nie jestem politykiem, panie Hartmann. Jestem policjantką. Nie mam czasu myśleć o wszystkich konsekwencjach. Muszę po prostu... muszę...

– Co? – spytał, skoro nie skończyła zdania.

– Szukać. – Zawiesiła torebkę na ramieniu. – Będziemy dyskretni. Postaramy się uniknąć rozgłosu. Nie chcemy wyrządzić szkody żadnej niewinnej osobie. Chcemy się tylko dowiedzieć, kto zabił dziewczynę, jasne?

Jego nagły gniew uleciał. Pomyślała, że te wybuchy są gwałtowne i nieoczekiwane i że Troels Hartmann nie lubi ich tak samo jak wszyscy, którzy są ich świadkiem.

– Dobrze – powiedział, kiwając głową. Spojrzał na nią. – Mogę jakoś pomóc?

Milczała.

– Chcę pomóc, Lund. Poproszę w biurze o kopie akt personelu. Nauczycieli. Wszystkich.

– Proszę przysłać mi je do biura. Wyznaczę kogoś, żeby to przejrzał.

– Chcę pomóc. Proszę mi wierzyć.

Zadzwoił jego telefon. W jednej chwili na jego twarz powróciła maska polityka, beznamiętna, zdystansowana, kamienna. Lund wyszła i zostawiła go z tą rozmową.

W krętym korytarzu wyłożonym czarnym marmurem stała uśmiechnięta jasnowłosa kobieta, z torbą z supermarketu.

– Szukam Jana Meyera – zaczęła nadchodzącą Lund.

– Chwileczkę.

Lund poszła z powrotem, sprawdzając po drodze wiadomości w telefonie

– Jestem Hanne Meyer – wyjaśniła kobieta. – Mam coś dla niego.

Żona. Lund przypomniała sobie rozmowę którejs nocy. No i obudziłaś cały dom. Płacz dziecka. Meyer miał jakieś życie poza komisariatem. Ta myśl ją zdumiała.

– Sarah Lund – przedstawiła się i uściśnęła dłoń kobiety. – Pracuję z nim.

– A więc to pani!

Była bardzo ładna i szykowna, miała apaszkę na szyi i płócienną sukienkę pod brązowym wełnianym płaszczem.

– Dużo o pani słyszałam.

– Wyobrażam sobie.

– Ach. – Posłała Lund porozumiewawcze spojrzenie. – On chce dobrze. To nie zawsze jest oczywiste. – Przerwała. – I uważa, że pani jest... niesamowita.

Lund zamrugła.

– Niesamowita?

– Musi brać dwie co godzinę – powiedziała Hanne Meyer, dając jej fiolkę lekarstw. – Jeśli to nie pomoże, niech pani spróbuje z bananami.

Wyciągnęła z torby kilka owoców i podała je oszołomionej policjantce.

– Cokolwiek Jan pani mówi, nie wolno mu pić kawy, jeść chipsów ani sera. – Cmoknęła z niezadowoleniem. – Rozstrajają mu żołądek. – I dodała:
– W nowej pracy zawsze jest trudno. Miejmy nadzieję, że tym razem się uda.

Zza rogu wyszedł Meyer. Stary zielony anorak, marynarski sweter, zakłopotany wyraz twarzy.

– Co ty...?

– Cześć, kochanie! – zawołała radośnie Hanne Meyer.

Uśmiechnięty, nie zważając na nic innego, Meyer podszedł i pocałował ją w usta.

– Co ty tu robisz, do cholery?

Wskazała banany i pigułki w rękach Lund.

– Zostawiłeś je w samochodzie.

– Ach...

Wzruszył ramionami.

Pogładziła go po zarośniętym policzku.

– Dbaj o siebie – powiedziała. – Życzę wam obojgu miłego dnia.

Patrzył, jak odchodzi, oczarowany, uśmiechnięty.

Gdy zniknęła z pola widzenia, jego twarz stała się śmiertelnie poważna.

Wziął owoce oraz lekarstwo od Lund i wsadził sobie do kieszeni po jednym bananie, jak rewolwery. Wyjął jednego, wymierzył w głąb korytarza.

– Ręce do góry!

– Niesamowita – odezwała się Lund.

– Co?

– Nic. Chodźmy.

Sztab wyborczy, złożony z ośmiorga pracowników, zebrał się na poranną odprawę. Rie Skovgaard zajęła się sprawozdaniem. Hartmann zostawił na koniec sprawę Birk Larsen.

– Prasa może na coś wpaść – zakończył. – Ale to będą tylko domysły. Przekażemy podkomisarz Lund akta personalne. To nie jest jednak nasz priorytet. Mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

– Chwila, chwila. – Skovgaard machnęła na wszystkich, żeby nie wstawali z miejsc. – Mówisz, że ich zdaniem to nauczyciel?

Hartmann wpakował papiery do teczki.

– To jedna z teorii.

– Wiesz, co to oznacza, Troels? Znowu wszystko skrupi się na nas. Prasa i tak cię w to wplącze.

– To sprawa policji...

– Jesteś zastępcą burmistrza do spraw edukacji. Jeśli się okaże, że to nauczyciel, ciebie obarczą odpowiedzialnością.

Nigdy nie rezygnowała. I to się nie zmieni.

Siadł z powrotem i spojrzał na nią.

– Co proponujesz? – spytał.

– Żebyśmy działali pierwsi! Przeczytajmy te akta, zanim Lund je dostanie. Sprawdźmy, czy nic nie spieprzyliśmy.

– Jak moglibyśmy spieprzyć?

– Nie wiem. Po prostu nie chcę żadnych niespodzianek. Poza tym... Wyobraź sobie, że przekazemy jakieś informacje, które pomogą im znaleźć tego człowieka. Zdobędziemy trochę uznania zamiast krytyki.

Hartmann spojrzał na nią.

– Troels – dodała – jeśli to wybór pomiędzy utratą głosów a zyskaniem głosów, to w zasadzie można uznać, że tego wyboru nie ma.

– Dobra. Zrób to.

Gdy sztab wyszedł, Skovgaard dała Hartmannowi plan dnia, omówiła go z nim wers po wersji, minuta po minucie. Ostatnim wydarzeniem było spotkanie z udziałem fotoreporterów – dyskusja o integracji społecznej. O wprowadzeniu grup cudzoziemców do społeczności. O wzorach osobowych, imigrantach, których ludzie Hartmanna wybrali do tego projektu.

– Może potem zjemy kolację? – spytała.

– Jasne – odrzekł bez namysłu.

– Znajdziesz dla mnie czas?

– Jasne.

– Troels?

– Och.

Tak mało czasu zostało na cokolwiek. Hartmann wziął ją w ramiona, podobało mu, że w takich chwilach rozjaśniała jej się twarz. Już miał ją pocałować, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Stał w nich jeden z pracowników Ratusza. Młody człowiek. Wyglądał na zakłopotanego ich widokiem.

– Prosiliście o jakieś akta? Z Wydziału Edukacji?

– Zostawiam to tobie – rzekł Hartmann i wyszedł.

Skovgaard posadziła urzędnika przed sobą i poinformowała go, czego potrzebuje: akt personelu z liceum Frederiksholm. Umowy. Oceny. Wszelkie skargi.

Wysłuchał i nic nie powiedział.

– To jakiś problem?

– Akta miejskie chcecie wykorzystać jako urzędnicy? Nie jako politycy?

Przepraszam, ale muszę spytać.

– Nie – odparła Skovgaard. – Nie musi pan.

– Ale...

– Hartmann chce, żeby to było zrobione. Hartmann jest wiceburmistrzem do spraw edukacji. Więc...

Wciąż nie ruszał się z miejsca.

– Jak się pan nazywa?

– Olav Christensen.

– Czy to jakiś problem, Olavie? Jeśli tak, to powiedz. Widziałeś sondaże, prawda? Wiesz, że Troels Hartmann będzie nowym burmistrzem?

Słaby, drwiący uśmiech.

– Zajmowanie się polityką to nie moja robota.

– Nie. Twoja robota to wykonywanie poleceń. Więc zabierz się za to, zanim znajdę kogoś innego.

W niewielkim magazynie przy bibliotece, w otoczeniu książek do angielskiego, fizyki i sztuki, Lund i Meyer zaczęli rozmawiać po kolei ze wszystkimi nauczycielami. O Nannie, o Lisie Rasmussen, Oliverze Schandorffie i Jeppem Haldzie. Ale głównie o nich samych. Co robili w poprzedni weekend? – pytał Meyer, gdy tymczasem Lund patrzyła, słuchała, próbowała analizować. Szukała punktu zaczepienia.

Meyer zjadł banana. Wypił dwie butelki wody, palił nieustannie. Zjadł dwie paczki chipsów serowych, wbrew jej rozkazom. Spoglądał na nią w przerwach w niekończącej procesji nauczycieli. Niewiele mówił. Nie musiał.

Nie było w tych zwyczajnych, porządnych, oddanych ludziach nic podejrzanego. Byli nauczycielami. Niczym więcej. Albo tak się wydawało.

Pernille Birk Larsen siedziała w zimnej kuchni z rękoma na stole, który zrobiła z córką. Wpatrywała się w drzwi sypialni Nanny, w oznaczenia na nich, w strzałki.

Wiedziała już, że musi to zrobić.

Usłyszała, jak na dole Theis rozmawia z ludźmi. Tak dobrze znała jego niski, szorstki głos. Ton szefa.

Weszła do pokoju. Tyle rzeczy zniknęło. Książki i pamiętniki Nanny. Zdjęcia i notatki z tablicy korkowej na ścianie... Cuchnęło tu ich chemikaliami tak silnie, że ginął nawet słabnący zapach kwiatów. Długopisy, pędzle i markery policjantów pobrudziły ściany.

Próbowała sobie przypomnieć, jak tu wyglądało PRZEDTEM.

Jej córka była pełna życia i energii.

Pernille siadła na łóżku i myślała.

Trzeba było to zrobić. Trzeba było.

Podeszła do niewielkiej szafy, zajrzała do środka.

Zapach Nanny ciągle się tu unosił. Perfumy, delikatne i egzotyczne. Pernille nie pamiętała, że są takie wyrafinowane.

Znowu zaczęła ją nękać ta uporczywa myśl... Wcale jej nie znałaś.

– Ależ znałam – powiedziała głośno. – Znałam.

Dzisiaj rano dzwonili z kostnicy. Można było odebrać ciało. Musieli zorganizować nabożeństwo. Pogrzeb. Ostatnią scenę posępną, rozciągniętą w czasie ceremonii gwałtownej i przedwczesnej śmierci.

W sypialni Pernille próbowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni wybierała ubrania dla Nanny. Już jako dziecko w podstawówce, siedmio- czy ośmioletnie, sama decydowała, co włożyć. Taka bystra, śliczna i ufna we własne siły.

Gdy podrosła, chodziła po domu i wybierała, co chciała. Brała rzeczy z szuflad Pernille. I od Lotte, jeśli ta u nich akurat była.

Nanny nic nie ograniczało. Należała tylko do siebie. Tak się działo od chwili, gdy zaczęła mówić.

A teraz matka musiała wybrać ostatnie ubranie, które włoży jej dziecko. Sukienkę do trumny. Strój na ogień i popiół.

Wyciągnęła rękę i musnęła palcami cienkie tkaniny. Kwiatowe wzory, bluzki, sukienki i dzinsy. Zatrzymała się na długiej białej sukience z kory, indyjskiej, od przodu zapinanej na brązowe guziki. Niewiele kosztowała na letnich wyprzedażach, bo kto by ją chciał na zimowe chłody.

Tylko Nanna. Ona takie jasne rzeczy nosiła bez względu na deszcz i niepogodę. Nigdy nie marzła. Nigdy dużo nie płakała. Nigdy się nie skarżyła.

Nanna...

Pernille wtuliła twarz w miękki materiał.

Spojrzała na kwiecistą luźną sukienkę wiszącą tuż obok. Wolałaby zmierzyć się z czymkolwiek innym, byle nie z tym.

Theis Birk Larsen siedział w biurze z agentką nieruchomości, patrząc na liczby i plany. Teraz nazwa Humleby brzmiała w jego uszach jak przekleństwo. Ponury i okrutny żart, który chciało mu zrobić życie.

– Ryzykuje pan wielką stratę – powiedziała kobieta. – Butwienie. Stan...

– Ile?

– Nie wiem dokładnie.

Pernille szła w ich stronę z szeroko otwartymi oczami, włosami w nieładzie, twarzą bez wyrazu, bladą i żalowaną. W dłoniach trzymała dwie sukienki: białą i kwiecistą.

– Może aż pół miliona – powiedziała agentka. – Albo mógłby pan go dalej remontować. To potrwa, ale potem...

Patrzył w jakiś punkt za przeszklonymi drzwiami. Nie słuchał.

Kobieta zamilkła. Spojrzała. Wstała zakłopotana. Wydała dźwięki, które oboje z Pernille doskonale już znali. Pospieszne słowa, jękane kondolencje. Potem uciekła z biura.

Pernille patrzyła, jak odchodzi, patrzyła, jak jej mąż wyciąga papierosa z paczki na biurku, pali go nerwowo.

– Jakiś problem, Theis?

– Nie. Chodziło o sprzedaż domu. Wszystko jest pod kontrolą.

Grzebał w papierach.

Uniosła w górę sukienki.

– Muszę wybrać.

Uniosła białą, a potem kwiecistą, jakby było to preludium do wieczoru. Jedna z okazji towarzyskich, na którą nigdy nie pójdą. Kolacja. Tańce.

– Która?

Patrzył przez sekundę, nie więcej.

– Biała jest ładna.

Zaciągnął się papierosem, wbił wzrok w biurko.

– Biała?

– Biała – powtórzył.

Rama, nauczyciel, którego już poznali wcześniej, znajdował się w połowie listy. Te same pytania. Te same oględne odpowiedzi. Mężczyzna miał trzydzieści pięć lat. Pracował w szkole od lat siedmiu.

Wszystkich pytali: Co pan/pani sądzi o Nannie?

– Otwarta, szczęśliwa, bystra – powiedział Rama.

Meyer przetaczał po stole jedną ze swoich tabletek, nie odrywając od niej wzroku.

– Mieliście dobre relacje? – spytała Lund.

– Zdecydowanie. To była bardzo inteligentna dziewczyna. Pracowita. Dojrzała.

– Widywał ją pan poza szkołą?

– Nie. Nie utrzymuję kontaktów towarzyskich z uczniami. Nie mam na to czasu.

Meyer głośno przełknął tabletkę, pustą butelkę po wodzie wysokim łukiem wrzucił do śmietnika.

– Moja żona jest w ciąży – dodał Rama. – Termin się zbliża. Żona też tu pracuje. W tej chwili na pół etatu. Już kończy.

– To miło – powiedziała Lund.

Włączył się Meyer:

– Widział pan Nannę na imprezie?

– Nie. Ja miałem pierwszą zmianę. Wyszedłem o ósmej.

– To wszystko, dziękuję – powiedziała Lund. – Może pan poprosić następną osobę?

Zaśmiała się.

– Mówię jak nauczycielka.

Meyer wpatrywał się w żółte skórki leżące na stole.

– Jadłaś moje banany? – spytał.

– Jednego.

Wstał, poszedł do okna, przeklinając, zapalił papierosa.

Nauczyciel ciągle jeszcze siedział.

– Jakiś czas temu zdarzyło się coś dziwnego. Kilka miesięcy temu Nanna napisała wypracowanie. Na próbny egzamin.

Lund czekała.

– Napisała opowiadanie.

– Dlaczego uważa pan, że to ważne? – spytała Lund.

– Może nie jest. – Rama spojrzał na nią. – Ono było o tajemnym romansie. Pomiędzy żonatym mężczyzną a młodą dziewczyną. Było bardzo...

Szukał właściwego słowa.

– Było bardzo niedwuznaczne. Napisała to jako fikcję. Ale zaniepokoiło mnie.

Meyer wrócił do stołu, spojrzał na nauczyciela i spytał:

– Dlaczego?

– Czytałem już mnóstwo wypracowań. Odniosłem wrażenie, że ona opowiada o sobie. O czymś, co sama zrobiła.

– Niedwuznaczne? – powtórzyła Lund.

– Spotykali się. Uprawiali seks.

– Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej?

Poprawił się na krześle.

– Nie wiedziałem, czy to ważne, czy nie.

– Musimy je przeczytać – oznajmił Meyer.

– Powinno być w archiwum razem z innymi. To był próbny egzamin.

Próbne egzaminy musimy przechowywać.

Czekali.

– Pomogę państwu, jeśli chcecie – dodał Rama.

Urzędnik z Wydziału Edukacji wrócił ze stosem niebieskich teczek pod pachą. Skovgaard mu podziękowała. Uśmiechnęła się.

– Co można z nich wyczytać?

– Wzorcowa szkoła. Prywatna. Nietania. – Przerzucał teczki. – Nauczyciele sprawiają wrażenie dobrze wykwalifikowanych, entuzjastycznie podchodzących do pracy. Dobre oceny.

Wpatrywała się w stos dokumentów.

– Żadnych skarg?

– Ja nic nie widzę. Ale nie wiem, czego pani szuka. – Czekał na odpowiedź. – Gdybym...

– To rutynowe działanie. Chcemy wiedzieć, czy wszystko jest w porządku.

Olav Christensen sprawiał wrażenie uległego, chętnego do pomocy, mimo że wcześniej na niego naciskała.

– Wszystko, co ma związek z Troelsem, zwykle jest w porządku – powiedział. – Chciałbym – kiwnął głową w stronę biur Poula Bremera – żeby wszędzie tak było. Może już niedługo.

Zastanawiała się, dlaczego nagle okazał się taki wyrywny do pomocy. Wzięła teczkę. Podziękowała.

Przez półtorej godziny Lund i Meyer przetrząsali szafki. Nauczyciel musiał ich opuścić, żeby pójść na lekcje. Weszła dyrektor Koch, spojrzała spode łba na papierosa Meyera i spytała:

– Znaleźliście już państwo?

– Nie ma go tutaj – odpowiedział.

– Musi być – upierała się Koch.

– Nie. Ma. Go. Tu. Taj. Przejrzeliśmy wszystko.

Lund przyniosła segregator.

– Ten był otwarty, jak przyszliśmy.

Koch sprawdziła nazwiska na nalepkach – kto z niego korzystał i kiedy.

– Jeden z nauczycieli jest językoznawcą. Pisze referat o trendach w języku. Pozwoliłam mu korzystać ze wszystkiego, czego potrzebuje.

– Nazwisko? – spytał Meyer.

Chwila ciszy. Na twarzy kobiety odmalowało się zaniepokojenie.

– Henning Kofoed. Trudno mi uwierzyć, żeby czegoś nie odłożył na miejsce. Zwykle jest bardzo skrupulatny. I niezmiernie inteligentny...

– Dlaczego z nim nie rozmawialiśmy? – wtrąciła się Lund.

– Nie uczył Nanny. Pracuje tylko rano. Jest...

Lund wzięła swój telefon, notatnik i torebkę.

– Poprosimy o jego adres – powiedziała.

Twarde drewno i trzciniowe siedzenia. Świece. Złote krzyże. Przyćmione światło. Krucyfiks.

Pernille i Theis Birk Larsenowie siedzieli obok siebie w milczeniu. Ona ścisnęła białą sukienkę. Świeżo wyprana, wyprasowana, pachniała kwiatami i latem.

W witrażowe okno nad nimi miarowym stukotem uderzał zimowy deszcz.

Po chwili pojawił się mężczyzna. Czarny garnitur, biała broda, miła twarz, nieruchomy zawodowy uśmiech. Wziął sukienkę, pochwalił wybór. Powiedział „dziesięć minut” i wyszedł.

Wydawało się, że nie ma go dłużej. Drzwi były uchylone. Zza nich wpadało łagodne światło. Wreszcie mężczyzna przywołał ich gestem.

Potem, w czerwonej furgonetce jadącej powoli lśniącoymi ulicami, Pernille powiedziała:

– Wyglądała ślicznie.

Theis Birk Larsen nie odrywał wzroku od drogi, od szarego deszczu.

Jej ręka zbłądziła, dotknęła baczka, szorstkiego znajomego ciepła policzka.

Uśmiechnął się.

– Musimy odebrać termosy – powiedziała. – Dwa możemy pożyczyć od Lotte.

Postukał w kontrolkę na tablicy rozdzielczej.

– Potrzebny mi płyn do spryskiwaczy.

Zatrzymali się na małej stacji benzynowej. Samochody osobowe i furgonetki. Mężczyźni i kobiety. Zwyczajne życie, prozaiczne, codzienna rutyna. Wszystko wirowało wokół nich, jakby nic się nie wydarzyło. Nic się nie zmieniło, nie legło w gruzach, nie odeszło.

Nie poszedł do dystrybutora, tylko pewnym krokiem wszedł do sklepu i popędził do toalety.

Tam, w tym anonimowym miejscu, za zamkniętymi drzwiami, w swoim czarnym płaszczu i włóczkowej czapeczce, Theis Birk Larsen skulił się nad umywalką, płacząc, łkając, drżąc, rycząc jak dziecko.

Czekała dwadzieścia minut. Nikt nie podszedł. Nikt się nie odezwał. Potem wrócił Theis, z czerwonymi oczami, różowymi policzkami. Skraweczki papieru toaletowego przyczepiły się do zarostu, gdy ocierał twarz. Łzy ciągle się czały, ból nie minął.

W dłoniach miał niewielką plastikową butelkę. Niebieską.

– Trzymaj – powiedział i położył jej na kolanach płyn do spryskiwaczy.

Henning Kofoed mieszkał za dworcem, w najbrzydliwszej kawalerce, jaką Lund w życiu widziała. Wszędzie leżały książki, resztki jedzenia gnęły i wysychały na nieumytych naczyniach w kuchni.

Kofoed był czterdziestolatkiem o wyglądzie niebudzącym zaufania, miał sterczącą na wszystkie strony brązową brodę i rozczochrane włosy. Ssał cuchnącą fajkę i od chwili, gdy stanęli na jego progu, patrzył na nich podejrzliwie.

– Dlaczego miałbym mieć tę kartkę?

– Bo pan ją wziął – odparł Meyer. – Do swojego... co to było... referatu językowego. O tym, jak ludzie mówią, tak?

– Można to tak ująć w bardzo prymitywny sposób...

– W bardzo prymitywny sposób pozwolę sobie ująć: znajdź pan ten pierdolony papier, panie Henning.

– Pewnie go gdzieś zapodziałem, przykro mi.

W sypialni stał komputer. Meyer obejrzał go i zaczął węszyć. Kofoed z kolei z każdą minutą coraz bardziej się denerwował.

– Czytał pan to, co Nanna napisała? – spytał Meyer.

– Czytam... czytam mnóstwo rzeczy.

– Proste pytanie. Nie trzeba być językoznawcą, żeby je zrozumieć.

Czytał pan wypracowanie Nanny?

Milczał chwilę.

– Specjalizuję się w języku. Patrzą na słowa. Na zdania już nie za bardzo.

Wiedzą państwo, że słowo ciabatta w ogóle nie istnieje?

Meyer zacisnął pięści i zaklął.

– Niech pan zapomni o ciabacie, jasne? Niech pan znajdzie to cholerne wypracowanie.

– Okej, okej, okej.

Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, zaczął przeszukiwać sterty teczek i papierów rozrzuconych gdzie popadnie. Wyglądało tam jak w archiwum po wybuchu bomby.

Meyer spojrzał na Lund, uśmiechnął się i wskazał na podłogę.

– Wyrzucił je pan?

– Tego bym w życiu nie zrobił.

Pochylił się nad zapadniętymi szufladami. Wyciągnął plastikową koszulkę na dokumenty.

– Ach! Wiedziałem, że to mam.

Podał.

– Przepraszam. Odprowadzę państwa do wyjścia.

Kofoed podszedł do drzwi i otworzył je. Lund nawet się nie poruszyła.

– Chyba musimy porozmawiać – powiedziała.

– O czym?

Meyer podniósł magazyny, które znalazł na podłodze pod komputerem.

„Gorące Nastolatki”.

– O dziewczętach.

Nauczyciel siadł na krześle przy komputerze w sypialni i patrzył, jak Meyer wertuje magazyny, rozkładając kolejne zdjęcia.

Pocił się bardzo. Lund wzięła od niego fajkę i odłożyła ją na bok.

– Gdzie pan był w piątek? – spytała.

– Na konferencji w centrum miasta. O języku młodzieży.

– O której się skończyła?

– O dwudziestej drugiej.

– A potem?

– Wróciłem do domu.

Meyer oparł się o framugę, patrzył spode łba to na magazyny, to na Kofoeda.

– Jacyś świadkowie?

– Nie. Mieszkam sam. Głównie pracuję.

– Kiedy się pan ze sobą nie zabawia – burknął Meyer. – Albo nie gapi się na młode dziewczyny.

Nauczyciel się zjeżył.

– Nie podoba mi się pański ton.

Meyer pokręcił głową.

– Nie podoba się panu mój ton? Mogę pana za to aresztować.

– Te magazyny nie są nielegalne. Kupiłem je. Każdy może je kupić.

– A więc nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy wzięli pański komputer. Ma pan też przenośny twardy dysk. Jakie gry i zabawy na nim znajdziemy?

Kofoed ucichł. Znow się pocił.

– Och, Henning. – Meyer podszedł i siadł przed nim. – Ma pan pojęcie, jaki los czeka w więzieniu takich koleś jak pan?

– Ja nic nie zrobiłem. To nie mnie zarzucano...

– Teraz ja zarzucam!

– Meyer! – Lund spojrzała na dygoczącego nauczyciela. – Co to znaczy, panie Henning? Komu coś zarzucano?

Cisza.

– Jeśli ktoś jest podejrzany – podjęła – musimy o tym wiedzieć.

– To nie byłem ja.

– Więc niech nam pan powie. O kogo chodziło?

Był przerażony. Ale nie chciał zdradzić, co wie.

– Nie pamiętam...

– Zabieram komputer – zdecydował Meyer. – Idzie pan do więzienia. Żadnej pracy. Żadnego nauczania. Żadnych okazji do zbliżania się do dziewcząt na korytarzu...

– To nie tak! To nie byłem ja. Ta dziewczyna wszystko zmyśliła... – Był bliski płaczu. – On został oczyszczony. To miły facet.

Meyer podniósł magazyn i pomachał mężczyźnie przed nosem.

– Kto?

– Rama.

Wyglądał tak, jakby bardzo się siebie wstydził. Bardziej niż kiedy Meyer wyciągnął pornosy.

– Dziewczyna to zmyśliła. To miły człowiek. Dla wszystkich miły.

– Tak jak pan – powiedział Meyer i rzucił mu magazynem w twarz.

Pernille siedziała przy stole i próbowała się uśmiechać do nauczyciela Ramy. Taki był przystojny, grzeczny. Przyniósł kwiaty, zdjęcia, karteczki z ołtarzyka. Zajął krzesło naprzeciwko niej. Wyglądał poważnie i smutno.

– Trochę zwiędły, przykro mi.

Wzięła je, wiedząc, że trafią do śmietnika, gdy tylko on wyjdzie. I Rama też to wiedział.

– Część klasy Nanny chciałyby przyjść na pogrzeb. Jeśli można.

– Oczywiście.

Rama uśmiechnął się krótko, melancholijnie.

– Pan też może przyjść.

Wydawał się zaskoczony. Czy sądził, że ona nie życzyłaby sobie obecności obcokrajowca?

– Dziękuję. Wszyscy będziemy. Nie chcę pani zajmować więcej czasu...

– Proszę zostać jeszcze chwilę.

Chciał wyjść, pomyślała. Ale Pernille już się nie przejmowała tym, czego chcą inni.

– Może mi pan coś o niej powiedzieć?

– Na przykład?

– Co robiła.

Zastanowił się nad pytaniem.

– Interesowała się filozofią. Zawsze to lubiła. Uwielbiała Arystotelesa.

– Kogo?

– Arystoteles był Grekiem. Nanna była w naszym kole teatralnym.

– Grała?

Nigdy o tym nie wspomniała. Nigdy.

– Mówiłem im, co Arystoteles powiedział o grze aktorskiej. Bardzo ją to zainteresowało. Uważała, że nasze przedstawienia powinny trwać od świtu do zmierzchu. Jak u starożytnych Greków.

– Ona była uczennicą – powiedziała Pernille, nagle rozzłoszczona. – Miała normalne życie. Tutaj. Prawdziwe. To nie był sen. Nie musiała nic zmyślać.

Błąd. Wyglądał na zakłopotanego.

– Myślę, że to był żart. – Zerknął na zegarek. – Przepraszam, muszę już iść. Pracuję w klubie młodzieżowym. Mam spotkanie, którego nie mogę odwołać.

Pernille patrzyła w jego spokojną, ciemną twarz. Podobał się jej ten człowiek. Spojrzała na stół. Przebiegła palcami po lakierowanej, pomarszczonej powierzchni, chwilę wpatrywała się w zdjęcia i twarze.

– Zrobiliśmy to razem. Wybrałyśmy drewno. Skleiliśmy je. Przykleiliśmy zdjęcia.

Drewno wydawało się gładkie i zniszczone. Nie zawsze takie było. Pojawiały się drzazgi, gdzieniegdzie rozdarcia.

– Jest pani sama – zauważył nauczyciel. – Czy to...?

– Theis jest na dole. W biurze. Robi...

Gdy poszła otworzyć nauczycielowi, na dole było ciemno. Nie paliło się żadne światło.

Co robi?

Pali. Siedzi z butelką piwa. Płacze.

– Rozliczenia – dokończyła.

To nie były rozliczenia.

Birk Larsen siedział nieruchomy i milczący w ciemnym biurze. Drzwi się otworzyły. Vagn Skærbæk wszedł, włączył słabe światło przy tablicy ogłoszeń. W ręku miał kluczyki. Sprawdził haczyki na ścianie. Znalazł właściwe miejsce. Utrzymywał porządek.

Nie zauważył mężczyzny w czarnej marynarce pochylonego nad biurkiem, z papierosem w dłoni i butelką w pięści, dopóki Birk Larsen nie burknął czegoś.

– Cholera! Wystraszyłeś mnie.

Postać się nie poruszyła.

– Nic ci nie jest, Theis?

Vagn włączył główne światło. Podeszedł, spojrzał.

– Pójdę po Pernille.

Silna ręka wysunęła się i przytrzymała go.

Birk Larsen miał oczy czerwone i załzawione.

Był pijany.

– Tydzień temu miałem córkę – powiedział. – Wyszła na imprezę.

– Theis...

– Dzisiaj znowu ją widziałem. – Oczy pod czarną czapeczką się zamknęły, łyzy przecisnęły się między powiekami. – To nie była tak naprawdę ona. To było... coś... coś.

– Idę po Pernille. Nie pij już więcej.

– Nie!

Głos miał donośny i zaciekły. Vagn Skærbæk wiedział, że nie należy mu się sprzeciwiać.

– Theis. Mam tego kolegę, Jannika. On coś słyszał.

Skærbæk się zawahał. Poczł na sobie wzrok Birk Larsena.

– Co słyszał?

– Może nic.

Birk Larsen czekał.

– Żona Jannika pracuje w szkole. Powiedział, że znowu przyszła tam policja. – Dłonie bawiły się srebrnym łańcuchem. – Zaczęli przepytować personel. Wszystkich nauczycieli Nanny.

Kolejny papieros. Kolejny łyk piwa. Theis wpatrywał się w Vagna Skærbæka.

– Może on wie więcej, niż mi powiedział. – Skærbæk oblizał wargi. – Policja to bezużyteczne gnojki. Gdyby nie oni...

– Nie mów o tym – warknął Birk Larsen. – Tamte czasy minęły.

– Więc nie chcesz, żebym pogadał z żoną Jannika?

Birk Larsen siadł na stołku, patrząc przed siebie.

– Theis...

– Zrób to.

Kampania wyborcza przerodziła się w grę idei. Motywów. Obrazów. Symboli. Tego wieczoru Troels Hartmann, w nieodłącznym garniturze,

włożył więc adidas, w których miał wyjść na parkiet hali sportowej z Rie Skovgaard u boku.

Koszykówka była sportem młodzieżowym. On był młodym kandydatem. Idealny pomysł na spotkanie z udziałem fotoreporterów. I świetna okazja do uścisków dłoni.

– Frederiksholm to szkoła modelowa – powiedziała. – Nie mamy nic na tych nauczycieli. Przejrzałam wszystkie akta. Lund już je dostała. Nic nam nie grozi.

Zapach potu, uderzenia piłki odbijającej się od parkietu.

– Teraz masz sesję zdjęciową. Potem spotkanie ze wzorami osobowymi. Mamy młodych, rekreację i społeczność. Jeden strzał, trzy trafienia.

Hartmann zdjął marynarkę, wyciągnął koszulę ze spodni, podwinął rękawy.

– O której urzędnicy wychodzą do domu?

– Skup się na tym, dlaczego tu jesteśmy. Ci ludzie są dla nas ważni.

Weszli na salę. Grali tu zawodnicy w czarnych i białych koszulkach. Poruszali się szybko, hałaśliwie.

– Morten mówił, że zauważył kilku urzędników pracujących do późna. Dlaczego to robią?

– Nie wiem!

– Mówi, że powinniśmy się im przyjrzeć.

– Morten ma prowadzić twoją kampanię. Za to dostaje wynagrodzenie. A nie za dawanie ci takich porad.

– A jeśli Bremer ma kogoś u nas? Jeśli coś knuje? Ktoś przegląda maile. Sprawdza mój kalendarz.

– Pozwól, że ja się będę o to martwić. Ty jesteś kandydatem. Osobą publiczną. Ja ogarnę resztę.

Hartmann się nie ruszył.

– Stałam na głowie, żeby to wszystko ustawić – dodała Rie Skovgaard.
– Mamy przedstawicieli wszystkich liczących się mediów. Spróbuj się do nich uśmiechnąć, dobrze?

Na parkiecie. Silne uściski dłoni. Przyjazne powitania. Hartmann rozmawiał ze wszystkimi po kolei, Irańczykami, Chińczykami, Syryjczykami i Irakijczykami. Teraz z Duńczykami pracującymi na rzecz jego programu integracji. A wśród nich wzory osobowe, społecznicy.

Dwie drużyny były już gotowe do gry. Hartmann ustawił się między zawodnikami w przygotowanym dla niego miejscu.

Zawiązał sznurówki, spojrzął na przeciwników i spytał:

– Gotowi na lanie?

Przez dziesięć cennych minut nie liczyło się nic innego. Bieg po pastowanej podłodze, rzut piłką. Podanie. Czysty wysiłek fizyczny. Żadnych myśli. Żadnej strategii. Żadnych planów. Nawet flesze mu nie przeszkadzały. Ratusz. Stronnictwo Liberalne. Poul Bremer. Kirsten Eller. Nawet Rie Skovgaard. Wszyscy zniknęli.

Uwaga! Podanie do niego. Hartmann wypadł, zrobił zwód, odbił, rzucił.

Patrzył, jak piłka powoli obraca się w powietrzu, wpada do kosza.

Ryk. W geście triumfu wyrzucił pięść w powietrze. Czysta emocja. W głowie żadnej myśli.

Aparaty wybuchły jak błyskawice. Troels odwrócił się z uśmiechem, przybił piątkę z najbliższym zawodnikiem.

Uchwyceni na zawsze: dwaj mężczyźni uśmiechający się do siebie radośnie. Troels Hartmann w niebieskiej koszuli, zwycięski. Nauczyciel nazywany Ramą uderzający w jego dłoń.

– „Idzie korytarzem i znajduje właściwy pokój hotelowy. Już ma zapukać, ale zastanawia się przez chwilę. Czy powinna przychodzić? Przy nim wszystko jest takie inne. Takie inne niż w domu. Pachnący benzyną

garaż, w którym się bawiła jako mała dziewczynka. Jej pokój i wszystkie jej rzeczy. O wiele za dużo rzeczy, bo ona nie umie niczego wyrzucić. Kuchnia, w której spędzała całe godziny z mamą, tatą i dwoma braćmi, gdzie świętowali urodziny, Boże Narodzenie i Wielkanoc. W domu zawsze była małą dziewczynką. Ale teraz... tutaj, na hotelowym korytarzu... była kobietą. Puka. On otwiera”.

Z nogami na biurku Lund czytała wypracowanie Nanny. Wszedł Meyer z naręczem jedzenia.

– Dobrze ci radzę, lepiej, żebyś miał dla mnie hot doga.

– Mam kebab.

– Jaki?

Wzruszył ramionami.

– Mięsny. To kebab, Lund. Po prostu kebab.

Położył jej na biurku białe plastikowe pudełko i kilka pojemniczków z sosem.

– Nie ma nazwiska – powiedziała. – Nie ma opisu. Tylko tajemniczy mężczyzna, z którym ona się spotyka w różnych hotelach.

Zaczęli jeść.

– Jedyne, co mamy – podjęła Lund – to kowbojki, stare wypracowanie i jakieś plotki krążące wśród nauczycieli.

– To nie tylko plotki. – Wyciągnął notatnik. – Rozmawiałem z dyrektorem Koch. Rama... czy raczej Rahman Al-Kemal był w coś wplątany kilka lat temu. Uczennica trzeciej klasy powiedziała, że ją obmacywał.

– Jak to się skończyło?

– Wycofała skargę. Koch uważa, że dziewczyna się w nim zakochała. Zmyśliła wszystko, kiedy on nie dał się sprowokować.

Lund wylała na kebab cały kubeczek ostrego sosu i ugryzła. Meyer patrzył przerażony.

– Uważaj.

– Z moim żołądkiem wszystko w porządku. Po co by nam mówił o wypracowaniu, gdyby chodziło o niego?

– I tak byśmy się dowiedzieli. Pogadajmy z nim. Powiedział, że był w domu z żoną. Możemy to sprawdzić.

Lund przejrzała akta personalne.

– Ten incydent powinien być odnotowany w jego aktach.

– Zdecydowanie.

Wertowała dokumenty.

– Nie marnuj czasu, Lund. Nie dostaliśmy jego akt. Ludzie Hartmanna przysłali całą resztę, ale jego nie.

Zastanowiła się.

– A prosiliśmy o wszystkie, prawda? – spytał Meyer.

– Oczywiście.

Lund zjadła resztę kebabu i wzięła kurtkę.

– I?

Pod blokiem Ramy w Østerbro zadzwoniła do domu, poprosiła Marka. Rozmawiała z nim na brukowanej ulicy, Meyer słuchał, mało dyskretnie.

Impreza. Wydała instrukcje. Potem ma jechać prosto do domu. Zadzwonić, jeśli będzie jej potrzebował.

– Jutro wyjeżdżamy – powiedziała. – W sobotę wieczorem. Zabukuję bilety.

Spojrzała na telefon.

– Mark? Mark?

Wsadziła komórkę do kieszeni.

– Ile lat ma twój syn? – spytał Meyer.

– Dwanaście.

– Chcesz rady?

– Nie bardzo.

– Musisz go słuchać. Dzieciak w tym wieku ma mnóstwo spraw na głowie. Z dziewczynami i całą resztą. Jego umysł... – W głosie Meyera pojawił się ton, którego Lund nie znała. – To pewna faza rozwoju. Słuchaj go, i tyle.

Lund ruszyła przed siebie, starając się nie złościć.

– On mówi, że mnie interesują tylko martwi ludzie.

Meyer stanął, wyjąkał jakieś słowa, których nie dosłyszała.

– Doskonale go rozumiesz – domyśliła się. – Numer cztery, tak?

Zadzwonili.

Blondynka w zaawansowanej ciąży, bardzo zmęczona, otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka bez sprzeciwu.

Ramy nie było. Powiedziała, że ma spotkanie w miejscowym klubie młodzieżowym.

– Pani też uczy w szkole, tak? – spytał Meyer.

Było to miłe, nowoczesne mieszkanie, częściowo wyremontowane. Odrapane ściany, niepomalowane drzwi. Trudno było uznać, że jest gotowe.

– Tak. W tej chwili tylko na pół etatu. Dziecko...

Kiedy Meyer rozmawiał, Lund rozglądała się, chodząc. Intuicyjnie przyjęli taki schemat, nie uzgadniając tego. Okazał się skuteczny.

– Znała pani Nannę Birk Larsen? – spytał.

Lekkie wahanie.

– Nie była moją uczennicą.

Kubły farby, zwinięty dywan. Żadnych zdjęć. W ogóle żadnych przedmiotów osobistych.

– Była pani w piątek na imprezie?

– Nie. Łatwo się męczę.

Lund nie znalazła nic interesującego, wróciła powoli do salonu, gdzie Meyer stał z żoną Ramy.

– Była więc pani w domu? – spytał.

– Tak. No, w zasadzie nie w domu.

I nic więcej.

Meyer wziął głęboki oddech.

– Więc nie było pani w domu? – spytał.

– Mamy mały domek na działkach pod Dragør. Byliśmy tam cały weekend.

Dragør. Po drugiej stronie Kastrup. Samochodem najwyżej dziesięć, piętnaście minut od miejsca, w którym znaleziono Nannę.

– Tutaj był straszny zamęt – dodała. – Cyklinowanie podłóg. Nie mogliśmy zostać.

– Aha. – Meyer kiwnął głową. Kiedy coś go zaciekawia, pomyślała Lund, jego uszy sprawiają wrażenie większych. Co raczej nie jest możliwe.

– Więc byli tam państwo oboje?

– Rama odebrał mnie o wpół do dziewiątej. I pojechaliśmy tam.

– Pozwolę sobie podsumować...

O wiele większe, stwierdziła Lund.

– Pani i pani mąż spędziliście weekend na działce?

– Tak. A dlaczego pytacie?

– Bez powodu. Pomyślałem, że może wie pani coś o imprezie w szkole.

– Nic, przykro mi.

Lund podeszła do okna. Poczowała, że na coś nastąpiła. Zwój dywanu. Dalej coś, co wyglądało na żaluzje.

Czarny krążek leżał zwinięty na podłodze. Schyliła się, podniosła go. Pomyślała o Nannie w bagażniku samochodu. Skrępowane kostki. Skrępowane nadgarstki. Czymś takim.

Meyer powiedział, że używa się tego w ogrodzie. I do zabezpieczenia materiałów budowlanych. I do mnóstwa innych rzeczy.

Lund wyjęła torebkę dowodową, wrzuciła opaskę do środka.

– Chcecie znowu z nim rozmawiać? – spytała kobieta.

– Nie w tej chwili – odrzekł Meyer, chowając notes.

Lund podeszła do nich.

– Mogę skorzystać z toalety? – spytała.

– Tędy, proszę. Pokażę pani...

– Nie trzeba. Znajdę.

– To pani pierwsze dziecko? – spytał Meyer.

– Tak.

Lund szła w głąb mieszkania. Ciągłe ich słyszała.

– To dziewczynka.

Głos Meyera się ożywił.

– Dziewczynka! Naprawdę! To cudownie. I znacie płeć! Chcieliście wiedzieć? Bo ja na przykład lubię niespodzianki...

Wszędzie folia malarska. Wieszak na płaszcze. Farba.

– Dam pani kilka dobrych rad, jeśli pani chce – mówił Meyer radosnym głosem. – Przez pierwsze kilka miesięcy... Musi go pani zagonić do roboty.

Lund usłyszała jej śmiech.

– Nie zna pan mojego męża. On sam się garnie do roboty. Nie muszę prosić.

Lund bardzo cicho weszła do sypialni. Ubrania. Zdjęcia. Rama młodszy, z nagą klatką piersiową, uśmiechnięty, chyba w drużynie pływackiej. Z tyłu insygnia wojskowe. Może to basen wojskowy. Przystojny mężczyzna. Wysportowany i umięśniony. Kalendarz. Plan lekcji.

Lund zajrzała do łazienki przylegającej do sypialni. Nowy zlew, nowy sedes. Nagie ściany. I jeszcze jedno pomieszczenie. Na drzwiach tabliczka

„Pokój dziecienny”.

Było w nim ciemno. Jedyne światło padające z ulicy pozwalało zobaczyć, że w rogu leżą jakieś rzeczy. Męskie zabawki. Kite. Ślizgacz.

Pod oknem męskie buty wspinaczkowe. Podniosła je, spojrzała na podeszwy, wyczuła błoto, potarła je palcami.

Pomyślała o kanale i lesie. O bliskości Dragør.

Na odwróconej do góry nogami skrzynce stała butelka. Biała etykieta, brązowe szkło. Lund podniosła ją, przeczytała.

– Minęła pani łazienkę – powiedział przepełniony złością głos za jej plecami.

Butelka trafiła na miejsce. Torebkę z plastikową opaską wsunęła do kieszeni.

– Dzięki – powiedziała Lund i wróciła na korytarz. Potem zabrała Meyera i wyszli.

Dyrektor Koch siedziała w biurze Hartmanna, z nim, z Rie Skovgaard i Mortenem Weberem.

– Podejrzewają jednego z naszych nauczycieli – mówiła. – Musicie mi powiedzieć, co mam robić.

– Co pani ma na myśli? – spytał Hartmann.

– Dopiero co do mnie dzwonili. Zadawali pytania. Chyba wiedzą...

– O czym? Mamy umowę z policją. O wszystkim nas uprzedzają.

– Chyba coś wiedzą. – Poprawiła się na krześle. – Nie chcę żadnych kłopotów. Już i tak zyskaliśmy sobie złą sławę. Mam go zawiesić?

– Czy zabrali kogoś na przesłuchanie?

– Mają taki zamiar. Konkretnego nauczyciela. Kiedyś doszło do pewnego incydentu.

– Jakiego incydentu? – przerwała jej Skovgaard. – Sprawdzalam akta. Nic tam nie było.

– Niczego nie udowodniono – ciągnęła dyrektor Koch. – Ale wzmianka o tym trafiła do akt. Sama ją napisałam. Nonsens, zmyśliła wszystko głupia dziewczyna. Nauczyciel na pewno był niewinny. Policja zaczęła mu się przyglądać tylko dlatego, że był wychowawcą Nanny.

– Więc dlatego się nim interesują? – spytał Hartmann.

– A jaki mieliby mieć powód?

Nikt jej nie odpowiedział.

Koch spojrzała na rozmówców.

– Wyjaśniłam wam sytuację. Spełniłam swój obowiązek. To na was spadnie odpowiedzialność, jeśli policja albo dziennikarze...

– Proszę się tym nie przejmować – przerwał jej Hartmann, machając dłonią. – Proszę mi podać jego nazwisko. Porozmawiam z policją. To na pewno nic wielkiego.

Wziął długopis.

– Nazywa się Rama. Tak go nazywamy. Jego właściwe nazwisko to Rahman Al-Kemal.

Przeliterowała. Hartmann zaczął pisać. Przerwał.

– On uczy we Frederiksholm?

– Tak jak mówiłam.

– I pytali o niego?

Westchnęła niecierpliwie.

– Tak, dlatego właśnie tu przyszłam.

Troels spojrzał na Skovgaard. Skrzywiła się i pokręciła głową.

– Coś się stało? – spytała Koch.

– Nie. Chciałem się tylko upewnić. Zechciałaby pani... – spojrzał na nią – przejść tu obok? Może się pani poczęstuje kawą? Zaraz do pani dołączę.

Zamknął drzwi. Skovgaard wstała.

– Co się dzieje? – spytał Morten Weber.

– Dopiero co wymieniałem uścisk dłoni z wzorem osobowym zwanym Ramą – wyjaśnił Hartmann. – W klubie młodzieżowym.

– Co?!

Weber zgromił Skovgaard wzrokiem.

– Spotkał się z nauczycielem ze szkoły? I ty nic nie wiedziałaś?

– Nie widziałam nazwiska nauczyciela na liście. Sama przejrzałam wszystkie akta. Gdyby mi przyszło do głowy, że coś jest nie tak, Troels w ogóle nie znalazłby się z nim w jednym miejscu.

– Ale coś jest nie tak! – krzyknął Weber.

– Wszystkie akta, wszystkie po kolei, Morten!

Hartmann patrzył na nich rozdarty, nie chcąc się opowiadać po żadnej ze stron.

– Kto ci dał akta? – spytał Weber.

Skovgaard zakłęła pod nosem.

– Jeden z urzędników.

Weber w złości wyrzucił ramiona w górę.

– Mówiłem!

– Dali mi akta. Zajrzałam do nich. Co jeszcze miałam zrobić? Co?

Weber zerwał się z krzesła z poczerwieniałą twarzą.

– Mogłabyś przyjść do mnie, Rie! – krzyczał. – Mogłabyś czasami o coś spytać. Zamiast przeć jak taran i robić wszystko, co ci przyjdzie do tej pustej małej łepetynki...

– Morten – wtrącił się Hartmann. – Uspokój się.

– Uspokój się? Uspokój? – Wskazał drzwi. – Od dwudziestu lat pętam się po tych korytarzach. Ona sprzedaje mydło i powidło, przychodzi tu i po dziesięciu minutach myśli, że zjadła wszystkie rozumy...

– Morten! – Hartmann próbował go uciszyć. – Dość tego.

– Tak, Troels. Dość. – Weber chwycił swoją torbę. Drżącą ręką wepchnął do niej papiery. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeśli te wybory mają się rozgrywać w twoim łóżku, to nie widzę dla siebie miejsca...

Hartmann już doskoczył do niego wściekły i walnął go pięścią w twarz.

– Nieważne, jak długo cię znam. Tak nie będzie. Wynoś się stąd. Idź do domu.

Weber wziął torbę i wyszedł. Koniec z przemowami. Koniec z obelgami.

Rie Skovgaard tylko patrzyła.

A po wyjściu Webera podziękowała Troelsowi.

– Jednak powinienem go posłuchać – powiedział Hartmann. – Prawda?

– Pewnie tak – przyznała.

Wrócili z Østerbro.

– Musimy sprawdzić jego przeszłość – powiedziała Lund. – Nie zawsze był nauczycielem. Sprawdź jego działkę i alibi.

Wyciągnęła torebkę dowodową.

– To idzie do laboratorium. On ma butelkę z eterem. Zapisałam markę. Dowiedz się, czy taki sam znaleziono w ciele Nanny.

Meyer się nie ucieszył. Kto by się spodziewał?

– Mając takie dowody, dlaczego nie zaczekaliśmy, aż wróci do domu? Teraz może się wszystkiego pozbyć.

Zadzwoił jej telefon. Hartmann. Miała go już na liście kontaktów. Widziała, że to on.

Podążyła aparat Meyerowi.

– To chłopiec z plakatu. Ty z nim pogadaj. Pewnie chce ponarzekać.

– Nie tylko on, Lund. O której masz samolot? Może cię podwieźć na Kastrup?

Pernille czytała bajki. Chłopcy, już w piżamach, leżeli na brzuchu na miękkich kołdrach. Podparci na łokciach, machali nogami.

– Nanna leży w trumnie? – spytał Anton, gdy zamknęła książkę.

Pernille kiwnęła głową i próbowała się uśmiechnąć.

– Będzie aniołem?

Milczała dłuższą chwilę.

– Tak. Jest aniołem.

Blade buzie, wpatrzone w nią oczy.

– Jutro pożegnamy się z Nanną. Wtedy...

– Dzieci w szkole gadają.

Nogi Antona zakołysały się trochę szybciej.

– Co gadają?

– Że ktoś ją zabił.

– I że jeden pan zrobił jej coś złego – dodał Emil.

– Kto tak mówi?

– Niektóre dzieci.

Wzięła ich za ręce, delikatnie ścisnęła paluszki, spojrzała w błyszczące oczy. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Pięć minut później leżeli cicho, opatuleni. Pernille słyszała, jak Theis chodzi po mieszkaniu, jak idzie na dół. W garażu było pełno mebli. Wynajęte stoły i krzesła. Złożył kilka i podniósł. W jednej ręce dźwigał więcej niż niektórzy mężczyźni oburącz.

– Chłopcy chcieli powiedzieć dobranoc.

Taszczył stół na drugą stronę pomieszczenia.

– Muszę to skończyć.

– Słyszą w szkole, co dzieci gadają.

Nie odezwał się.

Pernille sięgnęła dłonią do szyi.

– Powiedziałam, że to był bobok.

Stoły na kozłach, krzesła.

– Theis, nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł zabierać ich na pogrzeb. Bo wiesz...

Nie słuchał, nie odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– Powinni się pożegnać, wiem. Ale będzie tyle ludzi.

Przeniósł karton z plastikowymi talerzykami. Otarł czoło.

– Nie wiem, jak ty i ja...

Stół, który wcześniej przeniósł z prawej strony na lewą, teraz taszczył na poprzednie miejsce.

– Mógłbyś przestać to robić?

Odstawił go i spojrział na nią w milczeniu.

W kieszeni jego koszuli zabrzączał telefon.

Birk Larsen słuchał.

– Jutro dowiem się więcej od Jannika – powiedział Vagn Skærbæk. – Ona jeszcze nic nowego nie słyszała. Postaram się.

– Dobra.

– Potrzebna ci dzisiaj pomoc?

– Nie, do zobaczenia jutro.

Gdy się rozłączył, garaż był pusty. Patrzył, jak Pernille wchodzi schodami do mieszkania. Wrócił do przenoszenia stołów i składania krzesel.

Mark wydawał się ożywiony. Jakby dostrzegł światło w tunelu.

– Więc skoro nie jedziemy...

– Jedziemy – upierała się Lund. – Bengt robi parapetówkę.

Jej matka prasowała. Ona pakowała ubrania, wrzucała je do pustej walizki, uciskała dłońmi i łokciami, gotowa na nich usiąść w razie potrzeby.

– A jeśli...?

– Mark! Nie ma jeśli! Jutro wyjeżdżamy. Babcia jedzie z nami na kilka dni. I tyle...

Zadzwoiła jej komórka. Bengt. Wydawał się pełen obaw.

– Wszystko w porządku – powiedziała mu Lund. – Pod kontrolą. Jutro wieczorem się widzimy. Prawie skończyliśmy pakowanie...

Zakryła mikrofon i bezgłośnie rozkazała Markowi:

– Pakuj się!

Nagle dobiegł ją jakiś hałas od drzwi. Vibeke otworzyła. Na progu stał Troels Hartmann w czarnym zimowym płaszczu. Rasowy polityk w każdym calu.

Bengt powiedział coś, czego nie usłyszała.

– Oczywiście, że słucham – zapewniła.

Wyszła z telefonem do drugiego pokoju, patrzyła, jak Vibeke z pomocą Hartmanna składa długi obrus do nowego domu.

W Szwecji.

Nowe życie.

– Bengt – powiedziała. – Muszę kończyć.

Kiedy wróciła do pokoju, Vibeke pytała Hartmanna:

– Więc jest pan koronerem?

– Nie – odrzekł Hartmann, trzymając długie białe płótno.

– Jeszcze nigdy nie składał pan obrusa – mówiła Vibeke, kręcąc głową. –

To widać. Proszę...

– Mamo. Nie sądzę, by Troels Hartmann miał na to czas.

Usta Vibeke otworzyły się szeroko.

– Hartmann? – Otaksowała go spojrzeniem. – Na plakatach wygląda pan inaczej.

Gdy zostali sam na sam w kuchni, pokręcił głową rozczarowany.

– Obiecała pani, że będziecie mnie o wszystkim informować.

– Niczego nie obiecywałam.

Wzięła kromkę chleba z masłem i serem, ugryzła kęs, a on miotał się jak wściekły.

– Teraz zajmuje się pani jednym z moich nauczycieli. Musiałem dowiedzieć się tego ze szkoły.

– Dlaczego pańscy ludzie – spytała z pełnymi ustami – nie dali nam pełnych akt Kemala? Gdzie tu współpraca?

Pokręcił głową i nic nie powiedział.

– Prosiłiśmy o wszystkie akta, wszystkich nauczycieli, panie Hartmann. Dlaczego ich nie dostaliśmy?

– Nie miałem o tym pojęcia, proszę mi wierzyć.

– Jak to? Pan jest szefem, prawda?

Skończyła jeść, wstawiła talerz do zlewu.

– Tak, dobra, to rzeczywiście nie wygląda najlepiej. Czego pani ode mnie oczekuje?

Podniosła brew, wytarła kilka naczyń ściereczką.

– Współpracy.

– Staram się! Nie wiem, dlaczego nie dostałem tych akt! – I dodał ciszej:

– Nie wiem, co się dzieje. W biurze jest ktoś, kto...

Lund spojrzała z zainteresowaniem.

– Co robi?

– Nie wiem – odparł Hartmann. – Węszy. Widzi rzeczy, których nie powinien widzieć. To wybory. Można się spodziewać nieczystych zagrań. Ale nie...

Spojrzał na nią.

– Jeśli ktoś się włamie do systemu, to przestępstwo, prawda?

– Jeśli...?

– Coś się dzieje. Mogłaby pani sprawdzić...

– Jestem detektywem z Wydziału Zabójstw – przerwała mu Lund. – Staram się dowiedzieć, kto zgwałcił i zamordował młodą dziewczynę. Nie zajmuję się robotą biurową. I potrzebne mi te akta.

– Świetnie. – Chyba był naprawdę wściekły. I zdesperowany. – Zdobęde je. Musi być gdzieś kopia.

– Czy w Kemalü jest coś wyjątkowego? – spytała.

– Jest jednym z naszych wzorów osobowych. Pomaga młodym imigrantom, którzy wplątali się w kłopoty. Mam na to świadectwa z jego partii. On jest...

– Więc jeśli on to zrobił, to działa na pana niekorzyść? Tak?

Hartmann spojrzała na nią spode łba.

– To rujnuje pańską kampanię. – Wzięła jabłko, pomyślała chwilę i zdecydowała się jednak na paczkę chipsów. – Traci pan głosy.

– Nie ma pani o mnie najlepszego zdania, prawda?

Lund zaproponowała mu chipsy.

– Jeśli to ten człowiek, to nie ma sprawy – powiedział Hartmann. – Nikt w moim biurze nie stanie wam na drodze. Chcę tylko wiedzieć.

– To wszystko?

Rozpogodził się trochę.

– Tak. To wszystko. Teraz pani kolej.

Roześmiała się.

– Co to? Jakaś gra? Nie mam nic do powiedzenia. Kemal to jeden z tropów w śledztwie. Musimy odpowiedzieć na pewne pytania. Gdzie był...

– Świetnie. Zawieszę go.

– Nie może pan tego zrobić. Brakuje nam podstaw do aresztowania.

Lund wzięła z lodówki butelkę z mlekiem, powąchała je i nalała sobie do szklanki.

– Nie może pan – powtórzyła. – Wiem, że chce pan usłyszeć tak lub nie.
Nie umiem jeszcze powiedzieć.

– Kiedy?

Lund wzruszyła ramionami.

– Jutro przekazuję sprawę koledze.

– Można na nim polegać?

– Nie to co na mnie?

– Nie to co na pani.

Wzniosła toast mlekiem.

– Bardzo można na nim polegać. Spodoba się panu.

Godzina dwudziesta trzecia. Hartmann spotkał się z Rie Skovgaard w swoim gabinecie, w niebieskim świetle hotelowego neonu. Jej wystarczyło jedno spojrzenie.

– Aż tak źle? – spytała

Rzucił płaszcz na biurko.

– Nie wiem dokładnie. Lund nie powie mi nic, czego nie chce powiedzieć. Chyba uważają, że to on. Po prostu mi nie powie.

Skovgaard zerknęła do laptopa.

– Pojawiają się zdjęcia, które dzisiaj robiono. Nie mogę tego zatrzymać. Ale nikt nie wie, że on jest podejrzany, tak jak ty, gdy przybijałeś z nim piątkę.

– Kto zataił te akta?

– Próbuję się dowiedzieć.

Rzuciła na biurko plik makiet ulotek reklamowych. Kolorowe twarze obok białych. Uśmiechnięte. Razem.

– Następny etap kampanii miał dotyczyć integracji. Mocno cisnęliśmy projekt ze wzorami. Wycofam te reklamy. Przystaniemy używać tego

określenia. Skupimy się na innych kwestiach, dopóki ta nie rozejdzie się po kościach.

– Jutrzejsza debata...

– Wymanewruję cię z tego. Podłożyłbyś się Bremerowi. Daj mi trochę podzwonić.

Skovgaard podeszła do swojego biurka i sięgnęła po telefon.

– Nie. – Hartmann ją obserwował. Dalej wybierała numer. Podeszedł i odłożył słuchawkę na widełki. – Powiedziałem nie. Debata się odbędzie.

– Troels...

– To jeden człowiek. Podejrzany. Nie został uznany za winnego, a jeśli nawet do tego dojdzie, to nie dyskredytuje pozostałych osób z projektu wzorów. Oni wykonali mnóstwo dobrej roboty. Nie pozwolę, żeby ta sprawa rzuciła na nich cień.

– Och, jakie wielkie słowa! – krzyknęła. – Przydadzą ci się, jak przegramy.

– To dla nas ważne. Ważne dla mnie. Muszę trwać przy tym, w co wierzę...

– Musisz wygrać, Troels. Jeśli nie wygrasz, to wszystko jest gównem.

Teraz już się wściekł. Żałował, że nie powściekał się choć w części na Lund, gdy patrzyła na niego swoimi błyszczącymi oczami, żując kanapkę i popijając ją mlekiem.

– Jesteśmy tym ludziom coś winni. Oni codziennie pracują z tymi dziećmi. Robią rzeczy, o jakich ci się nie śniło. Mnie też nie.

Wziął stos papierów i rzucił do niej.

– Mamy statystyki. Dowód, że to działa.

– Prasa... – zaczęła.

– Do diabła z prasą!

– Ukrzyżują nas, jeśli się okaże, że to on! – Wstała, podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach. – Ukrzyżują ciebie. Tak jak zrobili z twoim ojcem. To polityka, Troels. Zachowaj piękne słówka na przemowy. Jeśli ja mam trafić na dno, żeby cię wciągnąć na ten fotel, zrobię to. Za to mi płacisz.

Hartmann odwrócił się, popatrzył na noc za oknem.

Jej dłoń powędrowała do jego włosów.

– Jedźmy do domu, Troels. Tam o tym porozmawiamy.

Chwila ciszy. Niezdecydowanie. Wahanie.

Nagle Hartmann pocałował ją w czoło.

– Nie ma o czym mówić. Dalej realizujemy plan. Plakaty, debaty, wszystko. Nic się nie zmienia.

Z zamkniętymi oczami głaskał ją po włosach, po policzku.

– Ten urzędnik, który ci przyniósł akta... – zaczął.

– Co z nim?

– Znajdź mi jutro wolną chwilę. Chcę się z nim spotkać.

SOBOTA_ 8 LISTOPADA_

Lund przypinała do tablicy zdjęcia Kemala, a Meyer relacjonował, czego się dowiedzieli. Słuchało go dziesięciu policjantów i Buchard stojący u szczytu stołu.

– Urodzony w Syrii, w Damaszku. W wieku dwunastu lat wraz z rodziną uciekł z kraju. Jego ojciec jest imamem i uczęszcza do kopenhaskiego meczetu.

Przerwał na chwilę i powiódł po nich wzrokiem.

– Najwyraźniej Kemal zerwał więzi z rodziną. Uważają, że jest zbyt zachodni. Duńska żona. Niereligijny. Po szkole i służbie zasadniczej został zawodowym żołnierzem.

Zdjęcia uśmiechniętego Kemala w granatowym berecie.

– Potem poszedł na uniwersytet i skończył studia. Siedem lat temu zaczął pracować w szkole. Dwa lata temu ożenił się z koleżanką z pracy. W szkole mówią, że jest lubiany. Cieszy się poważaniem...

Buchard pokręcił głową.

– Coś on mi nie pasuje do kogoś, kto...

– Oskarżono go o molestowanie dziewczyny – wtrąciła Lund. – Wtedy nikt w to nie chciał uwierzyć.

Szef nadal wyglądał na nieprzekonanego.

– Co mówi dziewczyna?

– Nie możemy do niej dotrzeć. Podróżuje po Azji.

Meyer podniósł w górę torebkę z plastikową opaską zaciskową.

– Lund znalazła to w mieszkaniu Kemala. Wygląda identycznie jak te, których użyto do skrępowania Nanny.

– No i jeszcze eter – zauważył Buchard. Podrapał się po mopsiej głowie.

– Mnóstwo ludzi używa takich opasek. Eter... nie wiem. To za mało.

– Sprawdźmy jego alibi – powiedziała Lund. Otworzyła pierwszą kopertę i wyciągnęła zdjęcia Nanny. – Niech te zdjęcia roześlą po wszystkich hotelach w mieście. Ona prosto z imprezy dokądś pojechała.

– Wyznacz ludzi do Kemala – polecił Buchard. – Tak żebyśmy wiedzieli, co on robi. Ostrożnie. Dzisiaj jest pogrzeb. Nie możemy niepokoić rodziny.

Potoczył po zebranych spojrzeniem paciorkowatych oczu.

– Już i tak jest fatalnie. Nie pogarszajmy sprawy.

Dwadzieścia minut później Lund i Meyer przepytawali Stefana Petersena, tłustego emerytowanego hydraulika, do którego należała jedna

z działek na obrzeżach Dragør.

– Ja mam numer dwanaście. On czwórkę. Mieszkam tu prawie cały rok – rzekł z dumą. – Sąsiadów się nie wybiera. Ale to i tak miłe miejsce.

– A w piątek? – spytał Meyer. – Widział pan, jak przyjechał z żoną?

– O tak. – Petersen koncentrował się bez reszty na Meyerze, Lund omijał wzrokiem. Wolał rozmawiać z mężczyznami. – Coś koło ósmej czy dziewiątej chyba. Później też coś widziałem.

Wyglądał na zadowolonego z siebie.

– To dlatego, że palę cygaretki. – Petersen wyciągnął paczkę. – Mógłbym...?

– Pewnie, że nie – warknął Meyer. – Niech pan to odłoży. Co pan widział?

– Niech pan pali, jeśli pan chce – wtrąciła się Lund, wyciągając zapalniczkę z torebki i podając mężczyźnie ogień.

Gruby hydraulik uśmiechnął się szeroko i zapalił.

– Jak mówiłem... jestem palaczem. Ale moja pani nie pozwala mi palić cygaretek w domku. Więc siadam na werandzie. W deszcz czy słońce. Weranda jest zadaszona.

Lund uśmiechnęła się do niego.

– Arab wyszedł ze swojego domku. I odjechał.

– Kemal, tak?

Spojrzał na Meyera jak na debila.

– Która była godzina? – spytała Lund.

Zastanawiał się, spowity chmurą cuchnącego dymu.

– Potem oglądałem prognozę pogody, więc musiało być wpół do dziesiątej.

– Widział pan, jak samochód wraca?

– Nie siedzę na dworze całą noc. Ale rano stał.

Lund wstała, uściśnięła mu dłoń i podziękowała.

Meyer przechadzał się po biurze w tę i z powrotem, jakby próbował zawłaszczyć pomieszczenia dla siebie.

Lund stała oparta o framugę i patrzyła.

– Dlaczego żona Kemala miałyby kłamać? – spytała.

– Dowiedzmy się.

– Zaczekamy do końca pogrzebu.

– Dlaczego? Mam zadzwonić do Hartmanna i poprosić go o pozwolenie?

W drzwiach pojawił się Buchard.

– Lund – powiedział, kciukiem wskazując na swój pokój.

– Co ze mną? – spytał Meyer.

– A co ma być?

Wyszła poza zasięg dymu z cygaretki hydraulika.

– Odpowiedź brzmi „nie” – powiedziała, zanim Buchard wypowiedział choćby słowo.

– Posłuchaj...

– Mogę was wspomagać mailowo. Albo telefonicznie. Może wpadnę co jakiś czas.

– Daj mi coś powiedzieć – poprosił stary. – Nie w tym rzecz. Sprawdziałaś ojca?

– Oczywiście, że sprawdzałam ojca!

– I czego się dowiedziałaś?

Zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć.

– Niewiele. Nic interesującego. Drobne wykroczenia. Kradzieże. Burdy w knajpach. To było dwadzieścia lat temu. A co?

Buchard napił się wody. Wyglądał na zmęczonego lub chorego.

– Dzwonił do mnie pewien emerytowany nadkomisarz. Znasz ten typ. Nie ma nic lepszego do roboty niż czytać gazety.

Podał jej notatkę.

– Mówi, że Birk Larsen był niebezpieczny. Naprawdę niebezpieczny.

– Jakież przestępstwa seksualne?

– O tym nic mu nie wiadomo. Ale powiedział, że połowy o nim nie wiemy.

– I co z tego? Sprawdziliśmy. Ma alibi. To nie mógł być on.

– Masz pewność?

Pewność.

Co za słowo. Wszyscy chcieli mieć pewność. Ale nikt w sumie nie miał. Bo ludzie kłamali. Okłamywali innych. I czasami siebie. Sama też to robiła.

– Mam pewność – powiedziała.

Chłopcy biegali po kuchni z samochodzikami od Vagna. Theis Birk Larsen, już w garniturze, odprasowanej białej koszuli i żałobnym krawacie. Rozmawiał przez telefon. O termosach, stołach, kanapkach, napojach...

Anton się potknął, zrzucił wazon na podłogę. Ostatnie kwiaty Nanny. Różowe róże, właściwie więcej łodyg niż płatków.

Stanął za swoim bratem, głowy spuszczone. Czekali na burę.

– Poczekajcie w garażu – polecił im ojciec. Niezbyt surowo.

– Ja nie chciałem... – zaczął Anton.

– Poczekajcie w garażu! I nie zapomnijcie kurtek.

Chłopcy wyszli, a on słuchał wiadomości w radiu: pogrzeb Nanny w kościele Świętego Jana. Jakby należała do wszystkich. Nie do rodziny, z którą siedziała przy stole, w jasnym świetle z okna, myśląc, że nic się nigdy nie zmieni.

– Wielu ludzi przyszło oddać hołd – ciągnął reporter. – Przed kościołem...

Wyłączył. Próbował uspokoić myśli.

– Kochanie? – zawołał.

Stare słowo. Używał go od czasu, gdy była gadatliwą, natarczywą, niespokojną nastolatką.

Pamiętał ją wyraźnie. Siebie też. Bandzior, złodziej. Drań. Czuł się już zmęczony takim życiem. Szukał opoki. Sam chciał być opoką.

– Kochanie?

Od razu wiedział, że to ta jedyna. Ona go ocaliła. W zamian...

Rodzina. Dom. Mała firma przeprowadzkowa zbudowana od zera. Wydawało się, że to tak dużo.

Ciągle nie odpowiadała. Wszedł do sypialni. Pernille siedziała na łóżku naga, skulona. Na lewym ramieniu, ciągle wyraźna i równie niebieska jak w dniu, gdy ją zrobiono, widniała wytatuowana róża. Pamiętał, jak poszła do hipisowskiego salonu tatuażu w Christianii. Jarali. On dealował, ona o tym nie wiedziała. Mówiła: „Teraz jestem twoja. Jestem częścią twojego życia. Częścią ciebie”.

Nienawidził tej róży, choć nigdy jej tego nie powiedział. Chciał od niej tylko tego, co ona uznawała za oczywiste. Wspaniałomyślność, uczciwość, prawość. Jej nieskończona zdolność do ślepej, niewytłumaczalnej miłości.

– Idziesz?

Na łóżku leżały czarna sukienka i bielizna. Czarna torebka. Czarne rajstopy.

– Nie mogę się zdecydować, co włożyć.

Birk Larsen spojrział na ubrania rozłożone na kołdrze.

– Wiem... – zaczęła.

Głos się jej załamał, popłynęły łzy.

W duszy usłyszał własny krzyk.

– To nieważne, prawda, Theis? Wszystko nieważne.

Sięgnęła rękoma do lśniących kasztanowych włosów.

– Dam radę, Theis. Dam radę.

Ze wszystkich sił próbował coś wymyślić.

– Może Lotte ci pomoże.

Nie słyszała. Wbiła wzrok w swoje odbicie w lustrze: naga kobieta w średnim wieku, ciało wiotczejące, piersi obwisłe. Brzuch rozciągnięty przez ciążę. Naznaczony macierzyństwem. Tak jak powinno być.

– Kwiaty... – mruknęła.

– Będą. Damy radę.

Birk Larsen pochylił się, podniósł czarną sukienkę i podał żonie.

– Damy radę – powtórzył. – Okej?

Na dole w garażu Vagn Skærbæk siedział z chłopcami. Nie miał na sobie czerwonego kombinezonu. Czarna koszula, srebrny łańcuch, czarne dżinsy.

– Anton. To był tylko wazon. Nie przejmuj się.

Birk Larsen usłyszał to, gdy przechodził między okrągłymi stołami i krzesłami. Spojrzał na białe porcelanowe talerze, które wypożyczyli, kieliszki i przygotowane, stojące z boku jedzenie przykryte folią.

– Też kiedyś stłukłem butelkę – mówił Skærbæk. – Zrobiłem mnóstwo głupich rzeczy. Wszystkim nam się to zdarza.

– Wsiadajmy do auta – zarządził Birk Larsen. – Zaraz jedziemy.

Chłopcy ruszyli szybko, ze zwieszonymi głowami, w milczeniu.

Skærbæk spojrzał na przyjaciela.

– A co z Pernille?

– Siostra ją zabierze.

– Mama nie jedzie? – spytał Anton, wsiadając do auta.

– Pojedzie osobno.

– Theis – powiedział Skærbæk. – Tak sobie myślałem... Ta kobieta w szkole. Lepiej, żebym z nią nie gadał.

– Czemu?

Skærbæk wzruszył ramionami.

– Masz dużo na głowie. Może ona nic nie wie. Może to tylko plotki.

– Wczoraj inaczej gadałeś.

– Wiem, ale...

Birk Larsen się zjeżył, spojrzał groźnie na Skærbæka, mniejszego od siebie. Słabszego. Taki zawsze był ich związek. Scementowany przemocą, pięściami.

Wycelował palec w jego twarz.

– Chcę wiedzieć.

W gabinecie Hartmanna urzędnik Olav Christensen przyglądał się plakatowi wyborczym. O wzorach. Integracji. Przyszłości.

Miał lat dwadzieścia osiem, ale wyglądał na mniej. Twarz rześka. Potulny.

Pocił się jak mysz.

– Mamy mały problem – mówił Hartmann. – Chodzi o akta nauczycieli, które dostaliśmy od pana.

Uśmiech zdradzający zmieszanie.

– Co z nimi?

– Jedne zaginęły.

Chwila ciszy.

– Zaginęły?

– Nie wygląda to dobrze, prawda, Olavie? No bo widzisz: my prosimy, ty przynosisz. – Hartmann przyglądał mu się bacznie. – Tak to działa, prawda?

Christensen nic nie mówił.

– Niedługo będę twoim szefem. Co masz do powiedzenia?

– Może zaginęły, kiedy przenosiliśmy archiwum.

– Może?

– Właśnie.

– To jest Ratusz. Mamy tu dokumenty liczące sobie po sto lat. Wszystkie zamknięte na klucz w szafkach.

Hartmann czekał.

– To prawda – przyznał wreszcie Christensen.

– Pytałam twojego szefa – wtrąciła Skovgaard. – Nie ma raportów o zaginionych aktach. Jest tego pewien.

– Może wystąpił jakiś błąd przy segregowaniu.

Tamta dwójka czekała.

– Mamy praktykantów. To dzieciaki. Przykro mi. Błędy się zdarzają.

Hartmann wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Zabawne, że zaginęły właśnie te akta, których szukaliśmy. To one mogły nam przysporzyć kłopotu lub dzięki nim mogliśmy kłopotów uniknąć. Policja ich potrzebowała, Olavie. Myślą, że to ja ich nie dostarczyłem. Myślą, że mam coś do ukrycia.

Christensen kiwnął głową.

– Dowiem się, co się stało, i przekażę panu.

– Nie – odparł Hartmann. – Nie kłopotcz się.

Podszedł bardzo blisko do młodego mężczyzny.

– Zrobimy tak – rzekł. – W poniedziałek zarządzimy oficjalne śledztwo. Dokopiemy się prawdy. To pewne.

– Śledztwo?

Zając w światło reflektorów. Jeleń na celowniku.

– Ale jeśli te akta pojawią się wcześniej – dodał Hartmann – śledztwo nie będzie potrzebne, prawda?

– Nic o nich nie wiem.

– Cóż. No to mamy jasność.

Olav wyszedł.

– Pamiętam go – powiedział Hartmann. – W zeszłym roku startował na szefa działu. Zarozumiały gówniarz. Nie umieściłem go nawet na krótkiej liście. Mści się.

– Myślisz, że pracuje dla Bremera?

– Nie wiem. Ma dostęp do naszej sieci. Niech wszyscy zmienią hasła.

Hartmann zajrzał do głównego biura.

– Gdzie jest Morten, do cholery? Wiem, że zmyłem mu głowę, ale...

– Dzwonił, że źle się czuje. To nie jest zdrowy człowiek, Troels. Nie powinien wykonywać takiej roboty.

– Jest cukrzykiem. Czasami jego nastroje są nieprzewidywalne. Nauczysz się z tym żyć.

Podeszła do sofy i siadła na brzeżku.

– Jestem tu od pięciu miesięcy. Jak długo Morten dla ciebie pracuje?

Musiał się zastanowić.

– Z przerwami? Od zawsze.

– A od kiedy ludzie postrzegają cię jako poważnego kandydata do stanowiska burmistrza?

Ambicja. Tego jej nie brakowało. Ambicja to dobra rzecz. Bez niej świat stoi w miejscu.

Dotknęła dłonią jego policzka.

– Damy radę bez Mortena – powiedziała. – Nie martw się.

Na dworze było pogodnie i zimno, świeciło ostre zimowe słońce. Ludzie wylegli na weekendowe zakupy. Inni całymi rodzinami ruszyli na spacer.

Olav Christensen wyszedł na plac i zadzwonił.

– Chcę odzyskać te akta – powiedział.

W Ratuszu zachodziły zmiany. Nikt nie wiedział, jak to się skończy.

Po drugiej stronie panowała cisza.

– Słyszysz mnie?

Wściekał się, co raczej nie wpływało korzystnie na jasność myślenia. Ale nic nie mógł na to poradzić. Hartmann nie był głupcem. Ani też naiwniakiem. Christensen widział to w jego oczach.

Śledztwo...

Dokumenty były oznaczone, rejestrowano ich przepływ. W ciągu jednego dnia odkrywają, że odebrał akta Kemala wraz z całą resztą. Zdawał sobie sprawę, jakie kłopoty go czekają. Wolałby ich uniknąć.

Nie przychodziły mu do głowy żadne wymówki, żadne kłamstwa.

Jego głowa mogła polecieć w jednej chwili. Koniec kariery.

A po drugiej stronie ciągle cisza.

– Wyświadczyłem ci przysługę, człowieku! – wrzasnął. Obejrzał się za nim dzieciak przechodzący z czerwonymi balonami. – Nie pogrywaj ze mną! Musisz mi teraz pomóc. Już ci mówiłem. Nie pójdę na dno sam.

To było głupie. Zabrzmiało jak pogróżka. Olav Christensen wiedział doskonale, z kim ma do czynienia. Z kimś, kto sam grozi, a nie wysłuchuje pogrózek.

– Słuchaj... Chcę tylko powiedzieć...

Nasłuchiwał. Cisza. Nie słyszał nawet powolnego rytmu oddechu.

– Halo! – zawołał. – Halo!

Brązowa ceglana wieża na tle bladoniebieskiego nieba. Gasnące bicie dzwonów. Przed wejściem kamery. Na ulicy tłumy.

Lund myślała o śledztwie, o następnych śledztwach, które ją czekają w przyszłości.

Czy on też tu był? Człowiek, który uwięził Nannę, zgwałcił ją wielokrotnie, pobił, znęcał się nad nią godzinami do samego końca? Technicy kryminalistyczni do czegoś dochodzili. Mydło na jej skórze było świeże i niepodobne do tego w domu. Pod błotem za paznokciami znaleźli krew, skórę przecięto nieporadnie nożyczkami albo obcinaczką. Ile było

wyjaśnień? Tylko jedno. Wykąpał ją gdzieś, wymył do czysta jej posiniaczone, rozdarte ciało, obciął jej paznokcie, choć się przed nim broniła. Potem wypuścił ją, by biegła po ciemnym lesie boso w swojej kusej halce. Aż...

Zabawa w kotka i myszkę.

Meyer to powiedział, a Meyer nie był głupi.

To była gra. Nie do końca rzeczywista. Zamknął ją żywą w bagażniku samochodu ze sztabu wyborczego Troelsa Hartmanna, wrzucił krzyczącą do kanału na pustkowiu i patrzył. Tak jak ktoś inny oglądałby film. Albo wypadek na drodze.

Albo pogrzeb.

Bestialska, nierzeczywista gra.

Jak on wyglądał?

Zwyczajnie. Przestępcy nie należeli do jakiejś osobnej rasy, naznaczonej bliznami i dziwnymi fizycznymi przypadłościami. Odrębnej niż ta, z której wywodziły się ich ofiary. Należeli do tej samej rasy. Obcy w autobusie. Mężczyzna w sklepie, który co rano mówi „Witam”.

Albo nauczyciel, którzy codziennie przychodzi do tej samej szkoły, robi na wszystkich wrażenie swoją uczciwością, słynie ze swojej oczywistej przyzwoitości w świecie powszechnego zubożenia.

Lund rozejrzała się. Błyszczącymi jak zawsze oczami patrzyła i wyobrażała sobie.

To nie potwory dokonują potwornych czynów. To szarzy, zwyczajni ludzie. Głębokie pęknięcia w tkance społeczeństwa, które starało się tworzyć całość. Rany we wspólnotowym ciele miasta, krwawiące i bolesne.

Idąc, Lund przyglądała się morzu twarzy wokół siebie, aż znalazła miejsce w mroku pod filarem i usiadła.

Stąd mogła spokojnie obserwować.

Zabrzmiały organy. Popłynął stary hymn. Wersy z pieśni, którą ledwie pamiętała.

Lund nie śpiewała.

Nie śpiewała Lisa Rasmussen po drugiej stronie przejścia.

Nie śpiewał Vagn Skærbæk, prawa ręka Birk Larsena, z twarzą zalaną łzami, przyciskający do piersi czarną czapeczkę.

Nie śpiewał nauczyciel znany pod imieniem Rama, siedzący w ławce ze swoimi uczniami.

Nie śpiewali siedzący na przedzie, przy białej trumnie Pernille i Theis Birk Larsen. Siedzieli ze swoimi synkami, którzy wyglądali na zagubionych, jakby wszystko – kościół, ludzie, muzyka, a zwłaszcza błyszcząca biała trumna – było nieprawdziwe.

Kapłan. Chudy, smutny mężczyzna o ostrych rysach. W czerni i białej koloratce, wyszedł z mroku przy ołtarzu, zerknął na trumnę z różanym wieńcem, powoli powiódł wzrokiem po wypełnionych milczących ławkach.

Dźwięcznym, głośnym, teatralnym głosem powiedział:

– Dzisiaj żegnamy młodą kobietę. Odeszła od nas zbyt wcześnie.

Ukryta w cieniu Lund patrzyła na rodziców. Pernille ocierała oczy. Jej mąż, imponujący mężczyzna, posiwała stara bestia. Głowa spuszczone, twarz skamieniała, wpatrywał się w kamienną podłogę.

– To niesprawiedliwe – mówił kapłan tonem, który Lund skojarzył się z pismem z banku. – Niepojęte.

Pokręciła głową. Nie. To nieprawda. Musiało być wyjaśnienie.

– Zadajemy więc sobie pytanie: jaki to ma sens?

Kemal – Rama, wciąż tak o nim myślała – siedział w trzecim rzędzie, w czarnym garniturze i białej koszuli. Ciemne włosy krótko ostrzyżone.

– Podajemy w wątpliwość swoją wiarę, ufność w drugiego człowieka.

Lund wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy.

– I pytamy: jak mamy żyć dalej?

Zesztywniała, usłyszawszy to straszne, zwodnicze zdanie. Nie podobało się jej. Nikt nie żył dalej tak po prostu. Bliscy przeżykali swój ból. Mieli nadzieję go pogrzebać. Ale on żył z nimi. Zawsze będzie żył. Krzyż, który musieli nieść. Nieustanny, powtarzający się koszmar.

– Chrześcijaństwo to pokój. Pojednanie i wybaczenie. Ale niełatwo jest wybaczyć.

Lund kiwnęła głową. To prawda, pomyślała.

Głos kapłana przybrał wysoki, nieziemski ton.

– Jednak gdy wybaczymy, przeszłość nie ma już nad nami władzy. I możemy żyć wolni.

Lund spojrzała na mówiącego, na jego czarną szatę, białą koloratkę. Zastanawiała się: co by powiedział, gdyby to on znalazł się tam nad kanałem owej posępnej zimnej nocy? Gdyby widział, jak Their Birk Larsen krzyczy i szaleje z rozpacz. Patrzył, jak martwe kończyny Nanny wypadają z bagażnika wraz z cuchnącą wodą, gdyby widział czarną linię wijących się węgorzy uciekających po jej nagich nogach.

Czy by wybaczył? Mógłby?

Odezwały się organy. Zapamiętała, kto śpiewa, a kto nie. Potem wyszła.

Wiedzieli, że nauczyciel będzie na pogrzebie. Meyer poszedł więc do mieszkania pogadać z jego żoną.

W środku dnia chodziła w wybrzuszonej białej koszuli nocnej i czarnym swetrze.

Nie zajęło mu dużo czasu nakłonienie jej do rozmowy na temat oskarżeń sprzed kilku lat.

– To głupia stara historia – powiedziała. – Nie ma o czym mówić.

– Dyrektor Koch napisał raport.

– Dziewczyna to zmyśliła. Sama przyznała.

– Rozmawialiśmy z mężczyzną z działek w Dragør. Z hydraulikiem.
Żona Kemala się skrzywiła.

– W ten piątek o wpół do dziesiątej widział, jak pani mąż odjeżdża.

– On nas nie znosi. Kosiarkę chętnie pożycza, a zawsze muszę prosić, żeby oddał.

Meyer zadał sobie pytanie: co zrobiłaby Lund?

– A pani mąż wychodził?

– Tak. Pojechał na stację.

– O której wrócił?

– Po kwadransie mniej więcej. Poszłam do łóżka, kiedy go nie było.

Byłam bardzo zmęczona.

– Wyobrażam sobie. Kiedy go pani znowu zobaczyła?

– Około trzeciej. Obudziłam się. Leżał obok mnie.

Meyer pomyślał o długich pauzach, którymi Lund oddzielała kolejne pytania. O jej nieustępliwym, błyszczącym spojrzeniu.

Zdjął stary zielony anorak. Kobieta utkwiała wzrok w pistolecie na jego biodrze.

– Nie widziała go więc pani od wpół do dziesiątej do trzeciej nad ranem?

– Nie. Ale na pewno ze mną był. On lubi czytać albo oglądać telewizję.

Uśmiechnęła się do niego.

– Ma pan żonę?

– Tak.

– Wie pan, kiedy jest w domu? Czuje pan...?

Meyer nie odpowiedział. Spytał natomiast:

– Byliście tam państwo cały weekend? Kiedy podłogi były cyklinowane?

– Mieliśmy kłopoty z fachowcami.

Wstał, przeszedł się po pokoju, oglądał materiały budowlane.

Patrzył.

– To znaczy?

– Nie przyszli. Rama sam musiał cyklinować. W niedzielę cały dzień kładł kafelki w łazience.

– Nie było go więc całą sobotę i niedzielę? Wychodził z samego rana?

Otoczyła się ramionami.

– Myślę, że powinien pan już iść.

– Wyszedł o szóstej rano i wrócił o ósmej wieczorem?

Kobieta wstała rozzłoszczona.

– Po co mi pan zadaje te wszystkie pytania, skoro nie wierzy pan w ani jedno moje słowo? Proszę wyjść.

Meyer wziął kurtkę.

– Dobrze – powiedział.

I odpuść nam nasze winy...

Pernille ledwie słyszała Modlitwę Pańską, tę, której słuchała i którą odmawiała od wczesnego dzieciństwa.

Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Widziała tylko lśniące białe drewno. Kwiaty, liściki. Trumnę, która skrywała prawdę. W środku...

I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

Anton trącił ją i spytał jasnym, dziecięcym głosem:

– Dlaczego tata nie ma złożonych rąk?

– Ćśś. – Położyła palec na ustach.

– A ty czemu nie masz? – spytał Emil, patrząc na jej dłonie.

Chłopcy mieli na sobie najlepsze ubrania, opuszki palców połączyli starannie.

Jej oczy wypełniły się łzami. W głowie miała tyle wspomnień.

Amen.

Najpierw pojawił się dźwięk. Niska, delikatna piszczałka organów. Potem powoli wokół niej podnosiły się kształty, jeden po drugim. Kwiaty w dłoni. Twarze nieruchome i otepiałe. Krewni. Ludzie, których ledwie znała. Obcy...

Róże składane na trumnie bladymi, drżącymi palcami.

– My coś mamy – powiedział Anton. – Mamo. My też coś mamy.

On pierwszy z rodziny wstał. Theis ostatni, podniesiony delikatnym dotykiem Antona. Razem, całą czwórka, poszli ku niej.

Ku trumnie.

Białe drewno i róże. Zapach, który miał przytłumić odór.

Chłopcy chwycili się za ręce, położyli na trumnie małą mapkę. Miasto. Rzeki i ulice.

– Co to za bzdury? – odezwał się Theis cichym, rozzłoszczonym głosem.

– Co to jest?

– To dla Nanny – wyjaśnił Emil. – Żeby jak będzie przelatywać, widziała, gdzie mieszkamy.

Stali przy trumnie, cała czwórka, połączona i podzielona zarazem emocjami, których nie umieli nazwać.

Anton spytał ze łzami:

– Jesteś zły, tatusiu?

Jesteś zły?

Nie należał do gniewnych ludzi. W każdym razie odkąd pojawiły się dzieci i sprawiły, że ich życie się dopełniło.

Ona o tym wiedziała. I on.

I chłopcy.

– Nie – odrzekł Birk Larsen, pochylając się, by ucałować ich główki, objąć swoimi szerokimi ramionami, przytulić.

Pernille ledwie to zauważyła. Widziała tylko trumnę. Łzy płynęły jej po twarzy, słone plamy pojawiały się na białym drewnie.

Jego ręka, palce szorstkie i poznaczone odciskami sięgnęły do jej palców i splotły się z nimi.

– Theis? – szepnęła.

Pochyliła głowę, zdumiona, ile to jedno słowo może zawierać treści, ile życia, bólu i krzywdy.

Spojrzała w jego surową twarz i spytała:

– Już?

Ściśnięcie palców, skinienie głowy.

Szli przez kościół, mijali rzędy żałobników. Mijali uczniów i nauczycieli, sąsiadów i przyjaciół. Mijali dociekliwą policjantkę, która przyglądała im się od drzwi błyszczącymi, smutnymi oczami.

I wyszli na blade światło dnia, zostawiając Nannę za sobą.

Hartmann słuchał właśnie codziennych wiadomości. Nie mógł się powstrzymać. Policja wydała kolejne oświadczenie, równie bez znaczenia jak większość pozostałych. Wszystkie dostępne siły skierowano do pracy nad tą sprawą. Wypowiedział się Buchard, wojowniczy nadinspektor, burkliwy i popędliwy.

– Mamy pewne tropy, ale nic więcej nie mogę powiedzieć.

I potem prognoza pogody.

Weszła Rie Skovgaard.

– Mój tata chce się z tobą widzieć – zakomunikowała zdenerwowana.

Za godzinę miała się odbyć debata z Bremerem. Troels wyjął z szuflady krawat, wstał i przymierzył go przed lustrem.

– Zajęty? – spytał Kim Skovgaard, siadając.

– Dla ciebie nigdy.

– Więc wybierasz się na debatę? Będziesz mówił o integracji? O cudzoziemcach? O wzorach osobowych?

– Zgadza się.

– Rie się o ciebie martwi, Troels.

– Tak, wiem.

– To bardzo bystra dziewczyna. I nie mówię tak dlatego, że to moja córka. – Wstał, podszedł i położył Hartmannowi dłoń na ramieniu. – Powinieneś jej uważniej słuchać. Ale w tej chwili powinieneś wysłuchać mnie. Nie mów o wzorach osobowych. Nie dzisiaj.

– Dlaczego?

Głos Skovgaarda się zmienił, stał się surowy i niecierpliwy.

– Wystarczy, że jeden z twoich samochodów wziął udział w sprawie Birk Larsen. Cokolwiek gazety mają na ciebie i imigrantów, zostanie wykopane z archiwów i rzucone ci w twarz. Odłóż na później swoją miłość do ciemnoskórych. Kiedy przysporzy ci to głosów zamiast ich pozbawić.

– A dzisiaj?

Poprawił Hartmannowi krawat.

– Dzisiaj skup się na mieszkaniach. Na środowisku.

– To nie wchodzi w grę.

Skovgaard już się nie uśmiechał, a to zdarzało się rzadko.

– A jednak. Ty chyba nie rozumiesz. Ja ci mówię, że masz to zrobić. Nie proszę. Obserwują cię różni ludzie, tutaj, w parlamencie. Zrobisz, co mówię.

Hartmann milczał.

– To w twoim interesie. Każdy...

– Ale...

– Staram się pomóc przyszłemu zięciowi, nic więcej.

Poklepał Hartmanna po ramieniu. Był to gest protekcyjny. I taki miał być.

– Doczekasz się nagrody, Troels. I to niekoniecznie dopiero w niebie.

Hartmann i Rie Skovgaard szli do studia telewizyjnego i kłócili się zawzięcie.

– Wiedziałaś, że on przyjdzie. Ustawiłaś to.

Patrzyła na niego, jakby oszalała.

– Nie! Za kogo ty mnie masz? Za Machiavellego? Tata był tutaj. Nagle stanął mi nad głową. Co miałam zrobić?

Hartmann zastanawiał się, czy jej uwierzyć.

– Ale zgadzasz się z nim?

– Oczywiście, że się zgadzam. To nie ulega wątpliwości. Tylko ty uważasz inaczej. Kiedy widzisz górę lodową, zmieniasz kurs i uciekasz. Ty nie...

– Nie jestem twoją marionetką – przerwał jej. – Ani twojego ojca.

Stała i zdesperowana rozłożyła ręce.

– Czy ty chcesz, żeby cię wybrali, czy nie? Tu nie ma nagród pocieszenia. Wszystkie twoje cudowne ideały nie będą nic warte, gdy Poul Bremer obejmie urząd.

– Są jeszcze inne kwestie.

– Jakie?

Szedł ku nim producent.

Skovgaard uśmiechnęła się do niego promiennie, w jednej chwili stała się łagodna i urocza.

– Nie teraz, Troels – syknęła.

Lund znalazła Meyera na Dziedzińcu Pamięci, na parterze Komendy Policji. Stał cichy i samotny. Przed nim posąg Wężobójcy, dobro

zwyciężające zło. Na jednej ścianie nazwiska stu pięćdziesięciu siedmiu duńskich policjantów zamordowanych przez nazistów. Na drugiej krótsza lista: zabitych na służbie wspólnie.

Patrzył na tę ścianę i palił nerwowo.

– Jaki on był? – spytała Lund.

Meyer podskoczył, zaskoczony.

– Kto?

– Schulz.

Ból w jego oczach. I oskarżenie.

– Sprawdzasz mnie?

– Szukałam w archiwum wiadomości o Hartmannie. Pomyślałam...

Mgliście przypominała sobie tę sprawę. Cztery lata wcześniej tajny agent z wydziału narkotyków w Aarhus został zamordowany przez członka gangu. Meyer był jego partnerem. Tamtego dnia chorował. Od tego czasu jego kariera wisiała na włosku.

– Był idiotą – powiedział Meyer. – Poszedł sam. Następnego dnia wracałem na służbę. Gdyby zaczekał...

Kiwnęła głową w stronę ściany.

– Wtedy może pojawiłoby się tam jedno nazwisko więcej.

– Może. – Wzruszył ramionami. – Nie w tym rzecz.

– A w czym?

– Byliśmy zespołem. Działaliśmy razem. Pilnowaliśmy się nawzajem. To była część umowy. On ją złamał.

Nic nie powiedziała.

– Tak jak ja, gdy zapomniałem ci kupić hot doga. Za co bardzo przepraszam.

– To niezupełnie to samo.

– Owszem, to samo.

Wyciągnął z kieszeni niedojedzonego banana, ugryzł go pomiędzy jednym sztachnięciem a drugim.

– Buchard chce nas widzieć – powiedziała.

Wrócili do swojego biura. Pusta paczka po chipsach leżała na biurku. Obok siedział sceptycznie nastawiony Buchard.

– Kemal zostawia żonę i idzie się spotkać z dziewczyną. Kłóca się w mieszkaniu – przedstawiał Meyer swoją wersję wydarzeń.

Lund rozmawiała przez telefon.

– On ją wiąże i oszłamia. I jedzie do domu.

Buchard oparł brodę na pięści, wpatrywał się w Meyera okrągłymi, paciorkowatymi oczami. Nic nie mówił.

– W sobotę rano twierdzi, że robotnik nie przyszedł. Ale tak naprawdę sam Kemal kazał mu nie przychodzić.

Buchard chciał coś powiedzieć.

– Robotnik to potwierdził – pospieszył Meyer. – Znalazłem go.

Po drugiej stronie biura Lund podniosła głos.

– Jest jeszcze czas, mamó. Przestań panikować. Powiedziałam, że będę. Dlaczego mi nie wierzysz?

Skończyła rozmowę. Wyciągnęła z kieszeni paczkę gum i zerknęła na papierosy na biurku.

– Więc – podjął Meyer – wraca do mieszkania i do dziewczyny. Czeka, aż się ściemni. Potem bierze samochód ze szkoły, wraca, niesie dziewczynę do samochodu i jedzie do lasu.

Lund podeszła, usiadła, słuchała.

Meyer zapalał się do swojej koncepcji.

– W niedzielę usuwa wszelkie ślady, cyklinoje podłogi i kładzie kafelki.

– Ja idę – powiedziała Lund do Bucharda. – Odezwę się wkrótce.

Meyer machnął ręką w powietrzu.

– Czekaaj, czekaaj – krzyknął. – Co ci się nie podoba? Podziel się tajemnicą z małym tępym Janem. Proszę.

Pozostała dwójka popatrzyła na niego.

– Proszę – powtórzył.

– Jak mógł prowadzić samochód Hartmanna? – spytała Lund.

Meyer się zastanowił.

– Pewnie w piątek znalazł kluczyki w szkole.

Meyer patrzył na Lund i czekał. Buchard też.

– Nie sądzę, żeby był taki głupi – powiedziała. – Wręcz myślę, że jest bardzo bystry.

– Właśnie – zgodził się Meyer.

– Ja na twoim miejscu nie mieszałabym go w to, dopóki bym nie zdobyła twardych dowodów.

Uśmiechnęła się.

– Ale to twoja sprawa. – Wyciągnęła rękę. – Dzięki za wszystko. To było naprawdę...

Wyglądało na to, że zabrakło jej słowa.

– Pouczające.

Ujął jej dłoń i potrząsnął nią z zapalem.

– Możesz to powtórzyć.

– Zostawiłam swój numer. Jeśli...

Wpatrywał się w nią.

– Na pewno nie będziesz go potrzebował. Ale...

Buchard siadł na biurku. Wyglądał żałośnie. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Lund i jemu uściśnęła dłoń i powiedziała „do widzenia”.

Następnie wyszła z Komendy Głównej Policji w Kopenhadze. Koniec kariery, robota wykonana.

Sprawa wciąż niezamknięta.

W taksówce był telewizor. Po jednej jej stronie siedział Mark, po drugiej Vibeke, a Lund oglądała wieczorne wiadomości. Debata między Hartmannem a Bremerem. Wszystkie sondaże mówiły, że walka o Ratusz toczy się między nimi dwoma. Jedno potknięcie mogło się skończyć klęską.

– Nie kupiliśmy piwa ani brandy – narzekała Vibeke.

– Mamy mnóstwo czasu.

– I czekoladek do kawy.

– W Szwecji chyba sprzedają czekoladki.

– Nie nasze!

Zadzwoił telefon Lund. Spojrzała na numer.

Skov. Detektyw, którego wysłała na poszukiwanie informacji o Theisie Birk Larsenie po tym, jak Buchard dostał cynk od emerytowanego gliniarza.

Czekała. Rozważała, czy odebrać. W końcu odebrała.

– Co tak długo? – usłyszała ekscytację w jego głosie. – Mam akta od tego emeryta.

– Aha.

– Chcesz wiedzieć, co w nich jest?

– Daj to Meyerowi.

Zawahał się.

– Meyerowi?

– Tak właśnie powiedziałam.

Prognoza pogody. Lund sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor.

– Co tam jest?

– To sprawa sprzed dwudziestu lat. Jakaś wendeta między handlarzami narkotyków. Sprawa nigdy nie trafiła do sądu.

Mark rozejrzył się po samochodzie.

– Zapomniałem czapki. Została w babci...

– Wydaje mi się...

– Mamo?

– Kupię ci nową.

Gliniarz dalej głądził.

– Chodzi o...

– Nie chcę szwedzkiej czapki.

– Nie wracamy, Mark.

Cisza w telefonie.

– Słucham – powiedziała Lund.

– Naprawdę? Dotyczyło to dealera z Christianshavn. Został pobity. Prawie na śmierć. Nigdy nie znaleźli sprawców. Theis Birk Larsen był głównym podejrzanym. Przesłuchiwali go.

– Mark!

Szperał na podłodze, szukając czegoś jeszcze.

– Zapomniałem...

– Nie obchodzi mnie, czego zapomniałeś – warknęła. – Jedziemy.

– Brandy, piwa i papierosów – mruknęła jej matka z drugiej strony.

– Birk Larsen miał motyw – mówił gliniarz. – Ten dealer groził, że ujawni coś, co go dotyczyło. Miał z nami gadać.

– O czym?

– Nie wiem. Potem zamilkł. Chyba naprawdę przestraszył się Birk Larsena. Facet miał renomę. Gwałtowny. Porywczy. Czekał... Jeszcze to czytam. Pod spodem jest druga teczka... Jezu! – krzyknął tak głośno, że odsunęła słuchawkę od ucha.

Mark się wiercił, jej matka ciągle jęczała.

– Co tam masz?

Cisza.

– Co tam masz?!

– Wrócili po miesiącu sprawdzić, czy dealer może zmienić zdanie. Pytali o niego wywiadowcy, naprawdę chcieli dopaść Birk Larsena.

– I?

– I nic. Znaleźli chłopca martwego. Mam tu zdjęcia. Jezu...

– Co?

– To o wiele gorsze. Gość wygląda jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa.

– Dobra – przerwała mu. – Musisz to powiedzieć Meyerowi.

– Meyer jest zajęty.

– Powiedz mu, żeby natychmiast do mnie zadzwonił.

– Dobra, cześć.

W garażu pełnym ludzi trwała cicha stypa. Żadnych mów. Żadnych pieśni. Tylko stoły nakryte białymi obrusami. Kwiaty, proste jedzenie, składane krzesła.

Theis Birk Larsen krążył między gośćmi, temu skinął głową, do tamtego zagadał. Patrzył, jak chłopcy, Emil i Anton, coraz mniej rozumieją, a coraz bardziej się nudzą.

Pernille przemykała od jednego stołu do drugiego. Słuchała, z rzadka się odzywała. Ciche pomruki działały otępiająco na jej obolały, posiniaczony umysł.

Ciągle dzwonili klienci. Nie mieli pojęcia, że firma dzisiaj nie działa.

Vagn Skærbæk stał przy drzwiach, smutnooki, w czarnym swetrze i czarnych dżinsach. Odebrał telefon.

Kawa i woda. Kanapki i ciasto.

Birk Larsen chodził jak duch między stołami, sprawdzał, czy kubki są pełne i czy nie brakuje jedzenia na talerzach. Kelner, który nie miał nic do powiedzenia.

W biurze, przy wielkim termosie z kawą zaczepił go Skærbæk.

- Theis. Właśnie miałem telefon.
- Dzisiaj żadnych interesów, Vagn. Robię kawę.
- Rozmawiałem z żoną Jannika. Tą kobietą ze szkoły.

Birk Larsen zakręcił kurek, odstawił niedopełnioną filiżankę.
Wszedł w kąt, z dala od uszu gości.

- Teraz nie czas...
- Nie. Właśnie teraz.
- Mówiłem już. To może poczekać.
- Mam coś.

Birk Larsen spojrzał na niego. Tę pospolitą bandycką mordę znał od dzieciństwa. Teraz była bardziej pomarszczona. Linia włosów cofnęła się. Ale twarz pozostała trochę przerażająca. I trochę głupia.

- Mówiłem, Vagn. Robię kawę.

Skærbæk wpatrywał się w niego. Wyzywająco. Może nawet był zły.

- On tu jest – powiedział.

Birk Larsen potrząsnął głową, podrapał się po brodzie, po policzku, zastanowił się, dlaczego w taki dzień nie ogolił się porządnie.

- Kto? – spytał.

– Mężczyzna, który zdaniem policji to zrobił. – Ciemne, szczwane oczka Skærbæka zalśniły. – Jest tutaj.

Nazwisko. Wypowiedziane z tym wściekłym obrzydzeniem, które Skærbæk rezerwował dla cudzoziemców.

Birk Larsen spojrzał przez szybę.

Stypa zbliżała się do końca, ludzie się rozchodzili. Theis wyszedł z biura, przeciął garaż powolnym, ciężkim krokiem, obmyślając, co należy powiedzieć. Co należy zrobić.

Pernille dziękowała nauczycielowi za wieniec.

Rama, elegancki i przystojny, w ciemnym garniturze, przyzwoity i akuratywny w sposób dla Birk Larsena całkowicie nieosiągalny, mówił:

– To od szkoły. Od nas wszystkich. Od uczniów i nauczycieli.

Spojrzał na Birk Larsena wyczekująco.

Theis musiał powiedzieć coś sensownego.

– Potrzebujemy kawy.

Pernille spojrzała na męża, dotknięta jego grubiaństwem.

– Chcesz, żebym zrobiła kawy?

Kiwnął głową.

Wyszła.

Szukał słów.

– Dziękuję, że zaprosili nas państwo do siebie – powiedział nauczyciel.

Birk Larsen spojrzał na stół. Kubki, kieliszki, talerze z niedojedzonymi potrawami.

Zapalił papierosa.

– Dla jej kolegów to wiele znaczy.

Mówił gładko i słodko. Z odrobiną egzotycznego akcentu. Nie jak większość z nich, niewyraźnie. Obcy. Cudzoziemcy.

– Dla mnie to wiele znaczy. – Rama wyciągnął rękę, by dotknąć jego ramienia.

Coś w spojrzeniu Birk Larsena go powstrzymało.

Parki i obiekty rekreacyjne. Czysta technologia i prace na rzecz środowiska. Rozmowa przebiegała dobrze. Hartmann zdawał sobie z tego sprawę. Zgromadzeni w studiu też. Świadczył o tym ton pytań, kiwnięcia głów za kamerami w mroku.

I sztywne odpowiedzi Poula Bremerera.

– Na pewno cieszy się pan z tych wszystkich pomysłów, panie burmistrzu?

Rozmowę prowadziła kobieta, którą Hartmann poznał już wcześniej. Bystra i atrakcyjna.

Skinienie siwej władczej głowy.

– Oczywiście. Ale porozmawiajmy o czymś innym. O imigracji. A zwłaszcza o wzorach osobowych.

Spojrzał w kamerę, a potem na Hartmanna.

– Tak naprawdę, Troels, ci ludzie to taki trik.

Hartmann zeszywniał.

– Spróbuj to powiedzieć w swoich gettach.

Przyjazny śmiech.

– Zbudowaliśmy dobre mieszkania w rozsądnej cenie dla ludzi, którzy w większości przybyli tu nieproszeni. Wydają się wdzięczni. Nie możemy im mówić, gdzie mają mieszkać.

W Hartmannie obudziła się złość.

– Możesz sobie mówić o nierówności społecznej jak o...

– Wróćmy do wzorów osobowych – przerwał mu Bremer. – Tak cię fascynują. To twój osobisty wynalazek. Po co to? Czemu oni są tacy ważni?

– Nierówność społeczna...

– Dlaczego mamy traktować imigrantów inaczej? Nie będę tolerował dyskryminacji mniejszości. Ale ty chcesz mniejszościom dać prawa, których one odmawiają nam. Ludziom tu urodzonym. Dlaczego nie mamy ich traktować jak wszystkich innych?

Troels Hartmann wziął głęboki oddech i przyjrzał się mężczyźnie po drugiej stronie stołu. Tyle razy już stosował te przebiegłe chwyt...

– Nie o to chodzi i wiesz o tym doskonale.

– Nie, nie wiem – odparował Bremer. – Oświeć mnie. O co chodzi?

Hartmann szukał odpowiednich słów. Bremer coś wyczuł.

– W tej chwili nie wydajesz się bardzo dumny ze swoich wzorów.
Dlaczego to?

Poul Bremer coś wiedział, świadczył o tym jego uśmiech.

Ręce Hartmanna wyczyniały jakieś wygibasy. Otworzył usta. Nic nie powiedział.

W ciemnościach usłyszał ciche instrukcje.

– Zostańcie na nim. Pierwsza kamera.

Kariera polityka może lec w gruzach w jednej chwili. Wystarczy jeden nieprzemyślany krok. Jedno nieuważne słowo.

– Bardzo jestem z nich dumny.

– Naprawdę? – spytał Bremer uprzejmie.

– Ci ludzie pracują społecznie, by Kopenhaga stała się lepsza. Powinniśmy im podziękować. Nie wykluczać ich jako obywateli trzeciej kategorii...

– To wspaniałe!

– Daj mi odpowiedzieć!

– Nie. Nie. To wspaniałe.

Zerknął w kamerę. Potem jego zimne oczy spoczęły na mężczyźnie po drugiej stronie stołu.

– Ale czy aby niektórzy z twoich wzorów sami nie są przestępcami?

– To bzdura...

– Bądź z nami szczerzy. Jeden z nich jest zamieszany w morderstwo.

Włączyła się prowadząca.

– Jakie morderstwo?

– Proszę spytać Troelsa Hartmanna – odrzekł Bremer. – On wie.

– To jakaś bieżąca sprawa? – spytała kobieta.

– Jak powiedziałem. Morderstwo. Ale... – Bremer skrzywił się, jakby zdegustowany nie chciał rozwijać tematu. Wiadomość poszła w eter, to mu

wystarczyło. – Hartmann jest zastępcą burmistrza do spraw edukacji. Jego prośbę spytać.

– Nie – prowadząca się rozzłościła. – To niedopuszczalne, panie Bremer. Jeśli nie chce pan mówić o konkretach, prośbę nie poruszać tego tematu.

– Niedopuszczalne? – Podniósł ręce. – Niedopuszczalne to jest...

– Dość!

Głos Hartmanna był tak głośny, że technik w pobliżu stołu zerwał słuchawki.

– Wyobraźmy sobie, że masz rację. Powiedzmy, że to prawda.

– Tak – zgodził się starszy mężczyzna. – Powiedzmy.

– I co? Jeśli jeden emigrant popełnia błąd, to skreśla wszystkich? To absurd i doskonale o tym wiesz. Gdyby tak było, to samo powinno dotyczyć polityków.

– Zmieniasz temat...

– Nie. – Hartmanna nie obchodziło już, jak wygląda jego wystąpienie. – Ci ludzie, wybrani przeze mnie jako osoby godne naśladowania, w ciągu czterech lat zrobili więcej dla integracji niż ty przez cały okres urzędowania. Bez wynagrodzenia, społecznie, nikt im nawet za to nie dziękuje. A ty nie zrobiłeś nic...

– Nieprawda...

– Prawda!

Hartmann usłyszał, że wściekłość w jego głosie odbija się od mrocznych wnętrzności studia.

Bremer odprężył się na swoim fotelu, skrzyżował ramiona, zadowolony z siebie, usatysfakcjonowany.

– Mam plany wobec Kopenhagi... – zaczął Hartmann.

– Jeszcze o tej sprawie usłyszymy – przerwał Bremer. – Usłyszymy o tym już niedługo, jak sądzę.

Kastrup. Piętnaście minut do odlotu. Mieli miejsca w połowie samolotu. Mark przy oknie. Vibeke między nimi. Lund przy przejściu, z telefonem w ręku.

Oddzwonił Meyer.

– Słyszałeś o Birk Larsenie? – spytała, wciskając torbę do schowka nad głową.

– Nie. Ale znaleźliśmy rower dziewczyny. Czego chciałaś?

– Jaki rower?

– Patrol zatrzymał dziewczynę za jazdę bez świateł. Okazało się, że to rower Nanny.

Stewardesa o srogim spojrzeniu podeszła do Lund i kazała jej wyłączyć telefon.

– Dziewczyna powiedziała, że ukradła rower spod domu Kemala. Zgarniamy go. Gdzie jesteś?

– W samolocie.

– Miłego lotu.

– Meyer. Nie spuszczaaj z oka Birk Larsena.

Usiadła. Stewardesa na przedzie samolotu prowadziła kazanie komuś innemu.

– Dlaczego?

– Przeczytaj akta starej sprawy, tak jak ci mówiłam. Nie dopuszczaj go do Kemala.

Słyszała, jak Meyer zaciąga się papierosem.

– Teraz mi mówisz? Oni właśnie wyszli razem ze stypy.

– Co?!

– Wysłałem ludzi po Kemala. Był na stypie po pogrzebie. Birk Larsen zaproponował mu, że go odwiezie. Co się stało?

– Kemal dotarł do domu?

– Słuchaj. – Meyer robił się zły. – Birk Larsen nic nie wie. Gdyby wiedział, czemu by zapraszał Kemala do siebie? Czemu...

– Dotarł do domu? – powtórzyła.

– Tak się składa, że nie. Nie mam na to czasu. Leć już.

– Meyer!

Rozłączył się.

Wróciła stewardesa, kazała jej zapiąć pas.

Nie zamknięto jeszcze drzwi, nie odczepiono rękawa. Jeszcze.

Lund walnęła pięścią w telefon.

– Już raz panią prosiłam – mówiła kobieta. – Proszę wyłączyć telefon i zapiąć pas. Ruszamy.

Lund wpatrywała się w klawiaturę. Wyłączyła aparat. Zauważyła, że Mark na nią patrzy. Matka też. Pewnie już od jakiegoś czasu.

Rozległ się głos pilota, mówiącego to samo co zwykle.

Witamy na pokładzie samolotu udającego się w rejs do Sztokholmu. Za chwilę rozpoczniemy przygotowanie do startu. Pogoda po drodze zapowiada się dobra. Do Sztokholmu powinniśmy przybyć zgodnie z planem...

Lund pomyślała o Nannie i nauczycielu. O Meyerze i Birk Larsenie.

Stewardesa chwyciła za klamkę. Mówiła coś do mężczyzny na zewnątrz. Za chwilę zamknie drzwi. Żegnała się.

– Bierzcie bagaż – powiedziała Lund, zrzucając pas.

– Co? – krzyknęła jej matka.

Mark wyrzucił pięść w powietrze.

– Yes!

Lund już ruszyła przejściem, machając odznaką policyjną jedną ręką, a drugą przyciskając telefon do ucha.

Theis Birk Larsen pędził w ciemnościach swoją furgonetką. Nauczyciel siedział na fotelu pasażera i mówił.

O szkole. O Nannie. O rodzinach i dzieciach.

Ani jedno słowo nie docierało do mężczyzny za kierownicą.

Z Vesterbro do centrum. Minęli Parlament i Nyhavn.

Woda. Pusty teren wokół twierdzy Kastellet.

Długie ciemne drogi stawały się wąskie i puste.

Nauczyciel zamilkł.

Potem powiedział:

– Chyba minęliśmy skręt.

Birk Larsen jechał i jechał w czarną noc, próbując myśleć. Żałował, że nie może znaleźć słów.

– To prawda – rzekł i jechał dalej.

W taksówce z lotniska Lund podawała szczegóły do centrali. Czerwona furgonetka o numerze rejestracyjnym UE 93 682. Z firmy przeprowadzkowej Birk Larsen. Zatrzymać i czekać na rozkazy.

Vibeke siedziała z tyłu i patrzyła na Marka spode łba.

– Oczywiście, że jedziemy do Szwecji. Nie sądzisz chyba, że jakieś głupie sztuczki twojej matki temu zapobiegną, prawda?

Kiedy Lund się rozłączyła, Vibeke dodała cicho, z westchnieniem:

– Biedny Bengt. Co ten miły człowiek sobie myśli?

– Bengt nie myśli o sobie. Rozumie mnie lepiej niż ty.

Matka spojrzała na nią wilkiem.

– Mam nadzieję. Dla twojego dobra. – Długie, osądzające spojrzenie. – Nie powinnaś do niego zadzwonić? Powiedzieć mu, że już nie ma sensu, by czekał na lotnisku?

Lund kiwnęła głową.

– Właśnie miałam to zrobić. Dzięki.

Svendsen dotarł pod dom nauczyciela przed Meyerem. Kemala ciągle nie było. Jego żona nic nie wiedziała. Theis Birk Larsen zniknął. Nie odbierał telefonu.

– Gdzie samochód Kemala?

– W garażu.

– Dobra. Przejeźdź jeszcze raz drogą z domu Birk Larsenów tutaj.

Detektyw się zachnął.

– Już to zrobiliśmy.

– Znasz słowa, których właśnie użyłem? „Jeszcze raz”?

Svendsen ani drgnął.

– Mam zgłosić zaginięcie Kemala?

– Czemu?

– Lund przed wyjazdem rozmawiała ze Skovem. Birk Larsen był kiedyś niebezpieczny.

Meyer wrzucił do ust gumę, podszedł do Svendsena i zaczął wołać.

– Lund! Luuuund!

Wzruszył ramionami. Spojrzał na policjanta i spytał:

– Widzisz tu gdzieś Lund?

Tamten patrzył na niego w milczeniu.

– Od tej chwili pracujemy po mojemu. Jasne? Lund wyjechała razem ze swoimi przywidzeniami. Dość krowy czy coś.

Zaskrzeczało radio. Wiadomość o ciężarówce Birk Larsena.

Meyer zadzwonił do centrali.

– Tu 80-15. Nie kazałem niczego szukać. O co chodzi?

– Podkomisarz Lund zarządziła poszukiwania.

Meyer próbował się roześmiać.

– Lund jest w Szwecji. To jakieś żarty.

– Lund dzwoniła pięć minut temu i zarządziła poszukiwania. – Przerwa.
– My tu nie żartujemy.

Rozmowa się zakończyła.

– Mówi Theis Birk Larsen. Zostaw swoje nazwisko i numer telefonu, a oddzwonię.

Pernille trzymała telefon, gdy komunikat się odtwarzał. Lund słuchała. Taksówka z Vibeke i Markiem odjechała do domu. Lund została sama z panią Birk Larsen pośród brudnych talerzy, brudnych kubków, brudnych szklanek, nieuprzątniętych stołów po stypie Nanny.

– I nie ma pani pojęcia, gdzie on może być? – spytała Lund.

– Odwiózł Ramę do domu.

Pernille była blada i wyczerpana. I zaciekawiona.

– Co się stało?

– Zdarzyło się coś, zanim wyszli? Doszło do czegoś między nimi dwoma?

– Rozmawiałam z nauczycielem. Podszedł Theis. Chciał, żebym dorobiła kawy. – Powiodła wzrokiem po resztkach stypy, pustym garażu. – Więc poszłam i dorobiłam. Dla gości. O co chodzi?

– Czy pani mąż sprawiał wrażenie zdenerwowanego albo przygnębionego? Albo....

– Przygnębionego?

Pernille Birk Larsen spojrzała na nią groźnie. Silna kobieta, pomyślała Lund. Pod niektórymi względami podobna do męża.

– Jak pani sądzi, jak Theis się dzisiaj czuje? Jak ja się czuję? Proszę się rozejrzeć. Była pani już wszędzie, prawda?

– Pernille...

– Wszędzie.

Z biura dobiegł je hałas. Cały czas był tam jeden z robotników. Znała jego nazwisko. Sprawdzili go. Drobne przestępstwa. Zupełnie jak Birk Larsen.

Vagn Skærbæk.

– Pani mąż może zrobić coś głupiego. – Bardzo uważnie przyglądała się kobiecie. – Musimy go znaleźć.

– Dlaczego? Co miałby zrobić głupiego?

Z góry dobiegł je dziecięcy głos. Jeden z chłopców wołał mamę.

– Syn mnie potrzebuje – powiedziała Pernille i zostawiła ją.

Lund weszła do biura, pokazała mężczyźnie wizytówkę.

– Pan jest jego przyjacielem?

Przekładał jakieś papiery. Nie patrzył na nią.

– Tak.

– Dokąd pojechał?

– Nie wiem. – Szybka odpowiedź.

Znowu papiery. Podeszła, wyjęła mu je z rąk.

– Proszę mnie posłuchać. To ważne. Jeśli to pański przyjaciel, powinien pan mu pomóc. Dokąd oni pojechali?

Miał srebrny naszyjnik i starzejącą się twarz młodego mężczyzny. Lund znała to pokolenie. Niewiele pieniędzy. Niewiele perspektyw. Wiedziała, czego się spodziewać.

– Nie mam pojęcia.

Ktoś chrząknął przy drzwiach. Już rozpoznała, kto to.

Zanim odwróciła się do Meyera, zaczęła dzwonić do centrali.

– Proszę o namierzenie dwóch komórek. Theisa Birk Larsena i Rahmana Al-Kemala. Podaję numery.

Podawała telefon Meyerowi i kiwnęła głową: zrób to.

– Boże, zapłacisz za to, Lund.

– Nie mamy czasu. Vagn?

Siedział w kącie, chował się.

– Gdzie są wasze magazyny?

Meyer podawał numery przez telefon.

– Vagn?

Nabrzeże, na północy miasta, opuszczone doki we Frihavnen. Deszcz niczym łyż bezkresnego czarnego nieba.

Czerwona ciężarówka powoli dojechała do końca drogi. Koniec betonu. Ścieżka nad wodą. Żadnych samochodów. Żadnych świateł. Żadnego znaku życia.

Theis Birk Larsen dobił przednimi kołami do murka przy ścieżce, zaciągnął hamulec.

Jeździli tak razem po mieście niemal od godziny. Na północ. Donikąd. Prawie nie zamienili słowa.

Teraz Theis wyłączył silnik. I światła. Została tylko słaba żaróweczka nad lusterkiem między nimi.

Znowu zadzwonił telefon w kieszeni marynarki Birk Larsena. Wyjął go. Wyłączył, nie odbierając. Odłożył. Patrzył przed siebie.

– Co się dzieje? – spytał nauczyciel. – Co...?

Birk Larsen sięgnął w dół, otworzył drzwi, wysiadł.

Naciągnął marynarkę od garnituru na swoje wielkie ciało. Przez porywisty wiatr i marznący deszcz poszedł nad wodę.

Odwrócił się i popatrzył na ciężarówkę. Ciemna twarz za szybą. Zmartwiona, szara w słabym świetle.

Birk Larsen wyjął paczkę papierosów, próbował zapalić, potężnym ramieniem osłonił papierosa przed ulewą.

Troels Hartmann, sam w swoim biurze, znowu się skupił na wiadomościach. Swego czasu bardzo chciał znaleźć się pośród najważniejszych. Teraz już nie. Nie tak.

„Walka o stołek burmistrza przyjęła dramatyczny obrót, gdy Bremer oskarżył jednego z uczestników projektu wzorów osobowych Hartmanna o związek ze sprawą morderstwa”.

Weszła Rie Skovgaard. Rzuciła do telefonu standardowe „bez komentarza” – kolejny dziennikarz prosił o wywiad. Rozłączyła się, podała Hartmannowi kartkę.

– Partia Centrum chce się spotkać. Musiałam obiecać.

Hartmann wyłączył telewizor. Rie wychodziła.

– Co powiedziała policja? – spytał.

Przystanęła w drzwiach.

– Nie mogę się do nikogo dodzwonić. Troels?

Nawet nie wyglądała na zmęczoną. Dorastała w burzliwym świecie polityki. To było jej środowisko naturalne....

– Zdajesz sobie sprawę, że musisz zawiesić Kemala i wydać oświadczenie? W przeciwnym razie...

– Najpierw muszę dostać informację z policji. Kiedy będę miał powód...

– Musisz to zrobić! To ważne, żebyśmy pokazali, że nie mamy nic do ukrycia. Chodzi o przejrzystość.

– Nieprawda. Chodzi o to, żebym ustąpił. O przyzwolenie, poddanie się naciskom. Żebym robił, co mi każą, a nie to, co jest właściwe.

Wstał z krzesła, znalazł swoją marynarkę. Czuł spokój, a nawet zadowolenie.

– Bremer wyciągnął to nie bez powodu...

Oparła się o drzwi, kręcąc głową na boki. Ciemne włosy się poruszały. Jak to powiedział Morten? Pogrzebowy image Jackie Kennedy? Jakoś tak.

– Powinieneś się trzymać scenariusza. Nie wspominać o wzorach.
Bremer zaczął, ale nie musiałeś połykać haczyka.

– Zrobiłem, co należało.

– Spartaczyłeś robotę.

– Tak mówi tatuś?

– Nie – warknęła. – Ja tak mówię. Chcę, żebyś wygrał. Nie żebyś niweczył swoje szanse bez powodu.

– Czyje szanse, Rie? Moje? Twoje? Twojego ojca?

Potrząsnęła głową, zmrużyła te jasne, przenikliwe oczy.

– Tak to widzisz?

– Spytałem...

– Wiesz, może nie jestem dla ciebie dobrym doradcą. I tak masz w nosie absolutnie wszystko, co mówię.

Przełom.

– Może nie jesteś – przyznał Hartmann.

– Prawda wygląda tak, Troels. Nauczyciel jest winny. Nieważne, czy go skażą, czy nie.

– Tak myślisz?

– Skoro tak mówi prasa. A oni...

Wziął płaszcz z wieszaka.

– Pogadaj z policją. Jeśli coś powiedzą... jeśli aresztują tego człowieka, jeśli mi powiedzą, że jest winien...

– Za późno.

– Wtedy będę działał.

Patrzyła, jak zbiera się do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – spytała. – Troels? Dokąd idziesz?

– Namierzyli już te telefony?

Meyer nie odpowiedział. Ciągle dzwonił.

Pod okiem milczącego, opryskliwego Skærbæka Lund przeglądała dokumenty, wyszukując firmowe magazyny.

Czytała adresy dyżurnemu w centrali. Magazyn w Sydhavnen. Skład w Valby. Magazyn we Frihavnen, bez adresu.

– Gdzie we Frihavnen? – spytała Skærbæka.

– Nigdy tam nie byłem.

Dotarła do szafki pełnej kluczy. Przejrzała je.

– Co z tym warsztatem? On może tam być?

– Mówiłem już. Nic nie wiem.

Meyer skończył rozmowę.

– Mamy zamiar z masztu. Kemal jest we Frihavnen.

Rejon portu. Nocą stosunkowo pusty. Łatwo się tam ukryć, pomyślała Lund.

– On jest we Frihavnen – powtórzyła centrali. – Wyślijcie radiowóz.

Już nie padało. W czarnych wodach Sundu, po drugiej stronie kanału odbijały się światła latarni. Gdzieś w oddali Szwecja. Fale migotały w światłach po drugiej stronie kanału. Birk Larsen stał na skraju nabrzeża, w świetle reflektorów furgonetki. Tyłem do świata.

Trzask drzwiczek. Odwrócił się. Nauczyciel ruszył w jego stronę. Nie uciekał. A mógłby. Był młodszy i sprawniejszy. Mógł pobiec aż do miasta. Uciec Birk Larsenowi i furgonetce.

Ale on podszedł do wody. Wpatrzył się w fale.

– Przykro mi...

Nigdy całkowicie nie pozbywali się akcentu. W pewnym stopniu na zawsze trochę zostawali tym, kim byli.

– Żona na mnie czeka.

Słowa. Gdzie się podziały słowa?

– Jest w ciąży. Nie chcę, żeby się martwiła. Może powinienem do niej zadzwonić...

Birk Larsen trzymał w garści kolejnego papierosa. Prawie go nie palił. Ale teraz podniósł go do ust, zaciągnął się gryzącym dymem. Chciałby, żeby ten dym ogarnął całe jego ciało. Obrócił go wniwecz. Uczynił go niewidocznym. Żeby zniknął.

Słowa.

Powinny dotyczyć jej. Nikogo innego. Już zawsze.

– Nanna była obserwatorem nieba. Wiedział pan o tym?

Nauczyciel pokręcił głową.

– Tak mówią, jak ktoś rodzi się z otwartymi oczami. Gdy widzi oczy matki. Widzi coś jeszcze. Niebo.

Tyle wspomnień. Mieszanina obrazów i dźwięków. Dziecko to dziecko. Jego życie płynie jak rzeka, nigdy się nie zatrzymuje, nigdy nie nieruchomieje.

– Powiedzieliśmy, że będzie astronautą. Rodzice mówią... – Znowu się zaciągnął papierosem. – Mówimy takie głupie rzeczy. Składamy głupie obietnice, których nie zamierzamy dotrzymać.

Nauczyciel kiwnął głową. Jakby wiedział.

Birk Larsen wrzucił papierosa do wody. Wzruszył ramionami. Obejrzał się na furgonetkę.

– Lubiła chodzić do szkoły, prawda?

– Bardzo.

Zatupał w wilgotnym zimnie.

– Ja w szkole nie uczyłem się dobrze. Ciągle miałem kłopoty. Ale Nanna była...

Wspomnienia.

– Nanna była inna. Lepsza niż ja.

Spojrzał w ciemne oblicze nauczyciela. To, które pokazywał rodzicom.

– Była bardzo zdolną uczennicą.

– Zdolną?

– Ciężko pracowała.

– I lubiła pana, prawda?

Wspomnienia. Paliły jak kwas.

Mężczyzna milczał.

– Mówiła nam o pańskich lekcjach.

Birk Larsen zrobił krok w jego stronę.

– Ludzie o panu gadają.

Kemal się pocił. Krople na twarzy to nie był deszcz.

– Nieważne, co pan słyszał... – Pokręcił głową. Nie ruszył się. –

Zapewniam pana. Nanna była moją uczennicą. Ja bym...

Birk Larsen czekał.

– Pan by co, panie nauczycielu?

– Ja bym jej nie skrzywdził.

Podszedł bliżej. Jego oddech pachniał słodko. Nie od miętówek.

Od czegoś egzotycznego.

– Więc dlaczego ludzie gadają?

– Nie wiem. – Jakoś szybko to powiedział.

Birk Larsen kiwnął głową.

Czekał.

Długo.

Nagle nauczyciel jakby stracił cierpliwość:

– Nie tknąłem jej. W życiu bym tego nie zrobił. To nieporozumienie.

– Nieporo...

– Będę ojcem!

Dwaj mężczyźni stali nad zimnym bezmiarem Sundu.

Jeden poszedł do furgonetki. Włączył silnik. Obejrzał się na wysoką przygarbioną postać znieruchomiałą w świetle reflektorów nad skrajem wody.

Meyer wisiał na telefonie, na próżno. Skærbæk wściekał się w kącie. Pernille Birk Larsen miała dość.

– Wyniesiecie się stąd? – naskoczyła na policjantów. – Przychodzicie na pogrzeb mojej córki. Nie wiem, co sobie myślicie, ale...

Bystre oczy skierowały się na Lund.

– Theis nic nie zrobił.

Skærbæk oparł się o drzwi biura, zapalił papierosa.

– Ja uważam, że zrobił – powiedziała Lund.

Meyer skończył rozmowę.

– W porcie nikogo nie ma. Szukali wszędzie.

– Niech sprawdzą inne magazyny.

– Co zrobił? – spytała Pernille Birk Larsen. – Wy...

Rozległ się jakiś dźwięk. Lund się obejrzała, pomyślała o broni Meyera. Zawsze ją miał przy sobie.

Drzwi zasuwane powędrowały w górę. Meyer ciągle rozmawiał.

Wszedł Theis Birk Larsen. Jaskrawoczarny garnitur. Odprasowana biała koszula. Czarny krawat.

Spojrzał na nich. Najpierw na gliniarzy. Potem na Skærbæka. I na Pernille.

– Dzieci śpią? – spytał.

Lund nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Gdzie jest Kemal?

Wielka głowa Birk Larsena kołysała się z boku na bok. W jego maleńkich chytrych oczkach widziała coś, czego nie umiała zinterpretować, chociaż bardzo się starała.

– Chyba wziął taksówkę.

Lund zerknęła na Meyera. Wskazała jego telefon.

Birk Larsen podszedł do schodów. Żona go zatrzymała.

– Gdzie byłeś, Theis? – spytała. – Dwie godziny...?

– Nie jest tak późno. – Kiwnął głową w stronę mieszkania. – Chciałbym poczytać im bajkę.

– Chwileczkę! – zawołała Lund.

Nie zareagował, zniknął na schodach.

Meyer skończył rozmowę.

– Kemal właśnie dzwonił do żony. Jedźcie do domu.

Pernille Birk Larsen popatrzyła na nich dwoje gniewnym wzrokiem, pokręciła głową, zaklęła, tupnęła nogą. Nagle okazało się, że został z nimi tylko Skærbæk. Srebrny łańcuch na szyi. Patrzył na nich z punkowym „pierdol się” w oczach, godnym nastolatka.

– Odwołajcie poszukiwania – ujął Meyer do telefonu. – Jak najszybciej przywieźcie Kemala na posterunek.

Wrzucił komórkę do kieszeni. Wyszedł za Lund na zewnątrz.

– No – powiedział. – O co chodzi, do cholery?

Lund zadzwoniła do Szwecji.

– Mówi Bengt Rosling. Nie mogę teraz odebrać. Zostaw nazwisko i numer telefonu, a oddzwonię.

Starła się nie wpaść w przeprasający ton, bo właściwie wcale nie czuła skruchy.

– Cześć, to ja. Pewnie jesteś zajęty witaniem gości.

Wszystko to mówiła, zdejmując kurtkę, rzucając ją na krzesło w kącie biura, przeglądając dokumenty na biurku.

Swoim biurku?

Meyera?

Nieważne. Liczyły się tylko te dokumenty. Tylko one.

– Szkoda, że mnie tam nie ma, Bengt.

Przez te parę godzin nie przybyło nic nowego.

– Problem w tym... że doszło do pewnych dramatycznych wydarzeń.

Wszedł Meyer.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Złóż wszystkim...

Zajęła miejsce przy biurku. Ciągle czuła, że to jej miejsce. Przegarnęła swoje długopisy, swoje dokumenty.

– Powiedz im...

Poprzesuwał jej rzeczy. Poczowała lekką irytację.

– Szkoda. Ale...

Meyer stał z rękoma na oparciu krzesła po drugiej stronie. Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

– Pogadam z tobą później. Cześć.

Rozłączyła się i dalej przeglądała papiery.

– Można go już przesłuchać? – spytała.

– Zaraz, zaraz. – Meyer wydawał się bardziej zdumiony niż wściekły. – Nie możesz tego zrobić. Nie wiem, co sobie myślisz...

– Myślę, że masz rację, Meyer.

– Naprawdę? – Rozjaśnił się. – To cudownie.

– To nie działa. Postanowiłam zostać do zakończenia sprawy.

– Co?

– Nie ma sensu jeździć między Szwecją a Kopenhagą. To absurd. Szwedzka policja mówi...

– Przestań, Lund.

Ze swoimi sterczącymi uszami i jasnymi, pełnymi urazy oczami Meyer o dziwo wyglądał bardzo młodo.

– To teraz moja sprawa. Nie zostajesz tu. Koniec śledztwa. Już po wszystkim. Dziewczyna była u niego w piątek w nocy. On się do tego przyznaje, ja stawiam mu zarzuty.

Lund po raz ostatni zerknęła na akta, wzięła część, wstała.

– Miejmy więc nadzieję, że się przyzna. Idziemy?

– O nie.

Meyer stanął na drodze.

– Ja prowadzę przesłuchanie.

– Nie każ mi rozmawiać z Buchardem.

Zjeżył się.

– Jestem miły. Możesz się przysłuchiwać, jeśli chcesz.

Kemal ściągnął czarny krawat. Siedział przy stole. Wyczerpany. Nerwowy.

Meyer siadł po jego lewej stronie. Lund naprzeciwko.

– Chce pan kawy albo herbaty? – spytał Meyer, rzucając akta na stół.

Umiał zastosować wszystkie policyjne sztuczki z głosem. Groził. Współczuł. Teraz miał głos neutralny i spokojny.

Nauczyciel nalał sobie wody do szklanki. Lund przechyliła się i podała mu rękę.

– Witam – powiedziała.

– Nie jest pan aresztowany – recytował Meyer z pamięci – ale ma pan te same prawa co osoba, której postawiono zarzuty. Ma pan prawo do adwokata.

– Nie potrzebuję adwokata. Odpowiem na wasze pytania.

Nauczyciel spojrzał na Lund.

– Powinniście coś wiedzieć.

Przyglądali mu się. Pocił się ze zdenerwowania. Próbował się zebrać na odwagę, by coś wyznać. Lund przypuszczała, że to mu się nieczęsto

zdarza.

– W zeszły piątek pilnowałem imprezy halloweenowej w szkole. Moja zmiana kończyła się o wpół do dziewiątej. Pojechałem do domu po żonę.

Zastanawiała się, co zaszło w furgonetce Birk Larsena. Co te wydarzenia zmieniły.

– Pojechaliśmy do domku na działkach. Mniej więcej o wpół do dziesiątej zdałem sobie sprawę, że nie wziąłem kawy. Pojechałem więc na stację benzynową.

Zmyślasz. Zmyślasz.

– W drodze powrotnej przypomniałem sobie, że w sobotę przychodzi fachowiec. Pojechałem do domu uprzątnąć rzeczy.

Meyer przesunął się bliżej.

– Chwilę po dziesiątej zadzwonił dzwonek. To była Nanna.

Czekali.

– Chciała mi oddać książki. Była jakieś dwie minuty.

Meyer opadł na oparcie swojego krzesła, założył ręce za głowę.

– I tyle – powiedział Kemal i dopił wodę.

– Przyjechała oddać książki? – powtórzył Meyer.

– Podręczniki? – dziwiła się Lund.

– Nie, moje książki. Karen Blixen. Wyglądało na to, że chce koniecznie mi je oddać właśnie wtedy. Nie wiem czemu. Byłem zaskoczony. – Wzruszył ramionami. – Wziąłem je po prostu.

– W piątek wieczorem? – pytał Meyer. – O dwudziestej drugiej?

– Zawsze szukała czegoś do czytania. – Zamknął na chwilę oczy. – Wiem, że powinienem był o tym powiedzieć wcześniej.

– A dlaczego pan nie powiedział? – pytała Lund.

Patrzył na swoje ręce, nie na nich.

– Kilka lat temu doszło do incydentu z inną uczennicą. Fałszywie mnie oskarżyła. Bałem się, że pomyślicie...

– Co pomyślimy?

– Że pomyślicie, że coś mnie z Nanną łączyło.

Ciemne oczy spojrzały prosto na nią.

– Nie łączyło – dodał.

– To wszystko? – spytała Lund.

– To wszystko. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Samochód Hartmanna od jakiegoś czasu krążył od baru do baru. On sam siedział z tyłu. Wyłączył telefon, radio też.

– To musi być gdzieś tutaj – powiedział do kierowcy.

Zobaczył zapamiętany sztyl.

– Jest! Tam!

Był to stary pub. Głośny. Tłoczny. Mnóstwo mężczyzn, którzy wypili o jedno piwo za dużo. Butelki na stole. W powietrzu kłęby dymu papierosowego.

Hartmann szedł przez ciemne wnętrza. Wreszcie znalazł Mortena Webera, który siedział z odchyloną głową, brudny i niechlujny.

Razem z nim siedziało sześciu mężczyzn. Równo i bez słowa obalali swoje drinki.

Hartmann stanął przed nimi, podniósł plastikową torbę. Weber jęknął, wstał, podszedł.

Insulinę dostarczono do sztabu wyborczego. Do miejsca, które było drugim domem Webera.

– Widziałem cię w telewizji – powiedział Morten, odbierając torebkę.

W dłoni trzymał szklanekę z whisky. Hartmann poczuł jej zapach. Pomyślał, że to na pewno nie pierwsza.

– Nie masz czasu zgrywać lekarza, Troels.

– Rie uważa, że jesteś chory. Nie zna cię tak dobrze. Jeszcze.

Morten Weber, zapuchnięty, próbował się uśmiechnąć.

– Mogę się upić raz w miesiącu. Taką mamy umowę, prawda?

– Dlaczego dziś?

– Bo na mnie nakrzyczałeś.

– Sam się o to prosiłeś.

– Muszę spędzić trochę czasu poza tym marmurowym więzieniem. Zebrać myśli z daleka od ciebie, od niej, od sługusów pętających się pod nosem. Poza tym...

Na smutnej, pomarszczonej twarzy Webera pojawił się wyraz, którego Hartmann nie rozpoznał. Gorycz – odkrył po chwili.

– To nieważne, prawda? I tak mnie już nie słuchasz. Ona wie, że tu jesteś? Twoja nowa żona?

Dopił drinka. Ze szklanką w dłoni usiadł przy pustym stole. Hartmann zajął miejsce naprzeciwko niego.

– Pewnie jeszcze nie zawiesiłeś nawet tego nauczyciela, co? – mówił Weber. – Z tego, co słyszałem, masz rację. Ale co myśli Kirsten Eller?

Hartmann milczał.

– Rzuciła cię już, Troels? Czy czeka do jutra? Co radzi Rie? Żebyś do niej biegł? Błagał ją? Dał jej to, czego chce? Głowę nauczyciela na talerzu?

– Chciałbym, żebyście pracowali razem.

– Och, doprawdy? To, że przywiozłeś mi insulinę, nie... – zaczął bełkotać, ale wyglądało na to, że myśli jasno – ...nie znaczy, że wszystko w porządku.

Hartmann włożył płaszcz, szykując się do wyjścia.

– Staralem się naprawić błąd. Przepraszam, jeśli niepotrzebnie zająłem ci czas.

– Biedny Troels. Zawsze stara się postępować właściwie. Ale słucha niewłaściwych ludzi. Biedny...

– Chcę, żebyś jutro stawił się w biurze. Żebyś do końca wyborów powstrzymał się od pijaństwa. I żebyś współpracował z Rie.

Weber kiwnął głową.

– Tak, na pewno chcesz. Teraz siedzisz po uszy w gównie.

Krótki, pijacki śmiech.

– Wiesz, że to dopiero początek, prawda? Ci wszyscy pieczeniarze, którym się zdaje, że widzą okazję... Przyjdą po ciebie, Troels. Kiedy uznają, że ich rozczarowałeś. Pilnuj urzędników. Pilnuj własnych ludzi. Biguma.

Henrik Bigum, szucha partyjna, drętwy wykładowca z uniwersytetu.

– Co z Bigumem?

– Nie cierpi cię, a kłopoty to jego specjalność. To on będzie trzymał sztylet. Ale oczywiście sięgnie po kogoś innego, żeby zrobił pierwszy ruch. Nie masz pojęcia...

Nigdy nie widział na twarzy Webera takiej ponurej wściekłości. W każdym razie skierowanej ku sobie.

– Kiedy umarła twoja żona, Troels – Weber walnął pięścią w stół – siedziałeś tutaj. I ja tu siedziałem. Pamiętasz?

Hartmann się nie ruszał, nie mówił, nie chciał o tym myśleć.

W tle leciała tania, głupia muzyka pop. Robiło się coraz głośniej. Mężczyźni gotowali się do walki.

– Powinieneś mnie słuchać, Troels. Zasługuję na to. Co innego mam?

Ostatnie pełne urazy spojrzenie, a potem Weber odszedł od stołu i chwiejnym krokiem wrócił do swoich pijaków.

Hartmann sprawdził telefon. Nieodebrane połączenie – Rie Skovgaard. Oddzwonił do niej.

– Znaleźli rower dziewczyny – powiedziała. – Był pod domem nauczyciela w tę noc, gdy zaginęła.

Muzyka zaczęła grać głośniej. Szykowało się mordobicie.

– Prasa już o tym wie. Jutro trafi to na pierwsze strony. Zdjęcia twoje z Kemalem. Nazywają go podejrzanym.

Hartmann milczał.

– Troels – mówiła. – Przygotowuję właśnie dokumenty o zawieszeniu Kemala. Za godzinę zwołuję konferencję prasową. Musisz tu przyjechać.

Buchard wpadł do biura.

– Skąd się wzięło w telewizji nazwisko naszego podejrzanego? Lund?

– To nie problem – odezwał się Meyer. Kiwnął głową w stronę postaci za szybą, w pokoju przesłuchań. – Siedzi tutaj. Mamy go.

– Skoro dzwoni do mnie komendant, to jest problem. Lund znika na dwie godziny i proszę, co się dzieje.

– To nie wina Meyera – wtrąciła.

– Co mówi nauczyciel? – spytał Buchard.

Meyer uśmiechnął się szyderczo.

– Coś pieprzył o spotkaniu z dziewczyną w domu. Że niby odwiozła mu jakieś książki.

Buchard skrzywił się skonsternowany.

– Książki?

Lund prawie ich nie słuchała, przeglądała ostatnie pliki w komputerze.

– Tak tylko chrzani – odparł Meyer. – Wycylinował podłogi. Usunął wszystkie ślady.

– Remontuje mieszkanie – przypomniała Lund. – I to akurat prawda.

– Niech mnie pan z nim zostawi na dwie godziny, szefie – poprosił Meyer. – A dowiem się wszystkiego.

Buchard wydawał się nieprzekonany.

– Tak jak z tamtymi chłopakami?

– Przesłucham go jako świadka. Mogę...

– On kłamie – przerwała im Lund.

Buchard skrzyżował ramiona, spojrzał na nią.

– On kłamie – powtórzyła.

– Przeszukajcie mieszkanie – rozkazał Buchard. – Piwnicę, działkę w Dragør, wszystko. Śmietnik. Załóżcie mu podsłuch.

Meyer jakby został wyłączony z rozmowy. Buchard patrzył, jak Lund wszystko zapisuje.

– Powiedzcie Hartmannowi, co robimy. Nie chcę znowu spieprzyć sprawy z prasą.

Skierował się do wyjścia.

– Skoro mówimy o pieprzeniu – odezwał się Meyer – chciałbym z panem porozmawiać na osobności.

– Jutro – warknął Buchard. – Teraz macie pracować, a nie jęczeć.

– Więc co z nim zrobimy? – spytał Meyer.

Buchard czekał, co powie Lund.

– Każemy mu zostać w domu żony. Albo w hotelu – powiedziała. – Niech się trzyma z daleka od swojego mieszkania i od działki. Przeszukamy je ponownie. Musimy mu zabrać paszport. I musimy obserwować go bez przerwy.

Coś jej nie dawało spokoju. Ale co?

– Mówi, że w piątek jeździł własnym samochodem. Musimy go powiązać z samochodem Hartmanna. Był jego wzorem osobowym, prawda?

Do konferencji prasowej zostało piętnaście minut. Skovgaard rozmawiała przez telefon.

– Zawieszenie ze skutkiem natychmiastowym. Tu masz papiery. Powiadomię administrację.

Hartmann zerknął na dokumenty, które przed nimi położyła.

– Musisz się od tego wszystkiego odciąć. Powiedzieć, że żałujesz swojego błędnego osądu. Że pomagasz policji.

Przejrzał oświadczenie napisane pełnym skruchy, asekuracyjnym językiem.

– Kiedy spytają o wzory osobowe, odmów komentarza. Jeśli...

Hartmann wstał od biurka i zaczął się kręcić po gabinecie, z rękoma w kieszeniach. Niebieską koszulę miał mokrą od potu.

– Jeśli osoba publiczna popełni błąd, musi natychmiast przeprosić. Zamknąć sprawę i iść dalej. W szafie masz świeże ubrania. Przydadzą ci się.

Spojrzał na poranne wydanie gazety leżące na biurku. Nauczyciel Kemal ściska mu dłoń po meczu koszykówki. Obaj uśmiechnięci.

– Nie pojmuję tego. Wydawał się takim miłym gościem. Nikt złego słowa nie może o nim powiedzieć. Przejrzałem niektóre sprawy. Jest taki dzieciak, teraz porządny i uczciwy, który siedziałby w więzieniu, gdyby nie on.

Pierwsze trzy strony były poświęcone sprawie Kemala.

– Więc grałem z nim w koszykówkę.

Skovgaard przyglądała mu się zmęczonymi, zmartwionymi oczami.

– A w poprzedni weekend podobno zgwałcił i zamordował jedną ze swoich uczennic.

Wyglądała na mocno znudzoną tą rozmową.

– Czekają na ciebie, Troels. Musimy ustawić światło, sprawdzić, jak wyglądasz.

– Myślisz, że on to zrobił?

– Nie wiem, nie obchodzi mnie to. Obchodzisz mnie ty. A tobie trzeba ratować skórę. Nie miałam pojęcia, że to się okaże takie trudne.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Na progu stała Lund. Czekwała.

– Co znowu? – warknęła Skovgaard.

Weszła. Ten sam stary płaszcz. Ten sam czarno-biały sweter. Ten sam koński ogon, długie proste brązowe włosy związane niestarannie.

Można by odnieść wrażenie, że ta kobieta uczepiła się jego życia jak rzep psiego ogona.

– Hartmann chciał, żeby mu składać raport – powiedziała Lund ze zdumionym wyrazem twarzy.

Wzruszyła ramionami i nie odrywała od niego spojrzenia jasnych oczu.

– Więc jestem.

– Nie powinna pani być w Szwecji? – zauważył Hartmann.

Uśmiechnęła się.

– Kiedyś tam dotrę. Kemal przyznaje, że spotkał się z dziewczyną w swoim mieszkaniu. Mówi, że ona wyszła, ale od tego czasu nikt jej nie widział. Jesteśmy...

– Poprosimy o wersję skróconą – przerwała jej Skovgaard. – Mamy konferencję prasową.

Znowu się uśmiechnęła, ale już nieco inaczej.

– Wersja skrócona. Mógł ją gdzieś przetrzymywać. Nie postawimy mu zarzutów, dopóki nie przeszukamy jego mieszkania. Wtedy może też nie.

– Czytamy gazety – zauważyła Skovgaard kąśliwie. – To wszystko już wiemy.

– Będzie mi potrzebny przebieg waszych wozów i spis wszystkich kierowców, którzy ich używali w ciągu ostatnich dwóch lat.

– Po co?

– Kemal musiałyby wziąć wóz, w którym znaleziono Nannę. Musimy to powiązać...

Hartmann jej przerwał.

– On nie jeździł tym samochodem.

– Tak mówią wasze rejestry – nie ustępowała Lund. – Ludzie z projektu wzorów osobowych mieli dostęp do samochodów.

– Nie do floty sztabu wyborczego. Wszystkie auta są całkowicie nowe. Wynajęte na kilka tygodni. Rie?

Przyglądała mu się, ze skrzyżowanymi ramionami, nie chciała się w to wciągnąć.

– Rie!

– Samochody sztabu wyborczego są nowiuteńkie – potwierdziła. – To dla nas ważne. Ludzie z projektu dostają graty, którymi nikt inny nie chce jeździć.

– Chwileczkę – odezwał się Hartmann. – Postawicie mu zarzuty?

– Powiedziałam, że jeśli znajdziemy więcej dowodów...

– Ale gdyby Kemal nie jeździł tym samochodem, skąd by w ogóle wiedział, że jest nasz?

– Może... – zgubiła się. Tego jeszcze nie grali. – Może... nie wiem.

Hartmann wyczuł jej zwątpienie.

– Mamy te samochody dopiero od kilku tygodni. Może on wcale nie jest winien. Za pięć minut zaczyna się konferencja prasowa w tej sprawie. Co, do cholery, powinienem powiedzieć?

– Ja nie prowadzę pańskich konferencji prasowych, panie Hartmann.

– Gdyby nie pani, nie musielibyśmy jej organizować! Wcześniej się pani myliła. Kto zagwarantuje, że teraz się pani nie myli? Myśli pani, że powinienem zawiesić tego człowieka, skoro nie macie żadnych dowodów?

– Potrzebuję jedynie odrobiny współpracy. Dajcie mi robić swoje, to ja nie będę wchodzić wam w drogę.

I z tymi słowami wyszła. Skovgaard patrzyła na Hartmanna wyczekująco. W sąsiednim pomieszczeniu zbierali się dziennikarze.

Wziął świeży garnitur, nową koszulę i zaczął się przebierać.

– Troels? – odezwała się Skovgaard. – Nawet nie myśl, żeby się wycofać. Mamy papiery o zawieszeniu. Dla twojego dobra...

– Kemal tego nie zrobił. – Uśmiechał się szeroko, wkładając czyste ubrania. – To nie on.

Theis pił piwo przy zlewie, zwrócony do niej plecami. Pernille siedziała przy stole i próbowała nakłonić go do rozmowy.

– Podejrzewają nauczyciela – powiedziała. – To jest w wiadomościach.

Wysączył jeszcze trochę piwa i zamknął oczy.

– Dokąd pojechałeś? Czemu cię tak długo nie było?

– Nie wiem.

Listy na stole. Rachunki. Wezwania do zapłaty.

– Jutro jadę do domu. Popracuję tam.

Zamrugła oczami.

– Do domu?

– Muszę go uporządkować. Nie dam rady go sprzedać, dopóki tego nie zrobię.

Podszedł do szuflady, którą zawsze zamykał na klucz. A klucza nigdy nie widziała na oczy. Zawsze tak było.

W środku leżały jakieś arkusze. Plany architektoniczne.

– To były takie plany. Przepraszam. Powinienem był ci powiedzieć.

– On tu był – mruknęła.

Szkice ołówkiem. Umarłe marzenia.

– Rozmawialiśmy o Nannie.

Rozłożył kolejny arkusz, wygładził go łokciem.

– Podziękowałam mu za kwiaty w kościele.

Przesunął palcami po projektach, nic nie mówił.

– Dotknął jej trumny.

Spojrzała na swoje dłonie. Stara obrączka. Zmarszczki. Zniszczona skóra.

– A ja go dotknęłam.

Szelest papieru. Nic więcej.

Spokojnym, błagalnym tonem spytała:

– Dlaczego ze mną nie porozmawiasz?

Oderwał wzrok od kreśleń, kątów i wyliczeń.

– Nie wiemy na pewno.

– Myślisz, że on to zrobił. Prawda?

Długi dzień. I tak nigdy nie golił się porządnie. A teraz wyglądał jak żalosny niedźwiedź, który uciekł z lasu.

– Zostawmy to policji.

Przesunęła rękami po stole, zgarnęła plany domu, którego nigdy nie zobaczą.

– Policji?

Łzy w jej oczach. Wściekłość na twarzy.

– Tak. Policji.

Pod numerem Bengta wciąż odzywała się tylko poczta głosowa. Vibeke wróciła do swojej maszyny do szycia i przygotowywała kolejną doskonałą suknię na kolejny doskonały ślub.

Trwała chwila pod tytułem: Od początku wiedziałam.

– Cześć. – Lund rzuciła torbę na najbliższe krzesło.

Jej matka wyłączyła maszynę, zwinęła kłęb białej tkaniny. Zsunęła okulary na koniec długiego ostrego nosa.

- Jeśli chcesz mieć rodzinę, Sarah, musisz na to zapracować.
- Próbowałam dzwonić do Bengta. Nie odbiera. Próbowałam.
- Ha! – powiedziała jej matka.
- To przez parapetówkę. Nie słyszy telefonu.

Vibeke podeszła i siadła obok niej. O dziwo, ze skruszonym wyrazem twarzy.

- Wiem, że myślisz, że przegnałam twojego ojca, zanim umarł.
- Nie, skąd.
- Wiem, że tak myślisz. Może nie byłam dla ciebie najlepszym

wzorcem...

- Nie zerwaliśmy, mamó.

– Nie. Ale nigdy nie dopuścisz go blisko, prawda? On jest jak my wszyscy. Nie ma dostępu do twojego życia, musi zostać na zewnątrz.

- To nieprawda. Nic o nas nie wiesz.

Vibeke zdjęła z manekina niedokończoną suknię, sprawdziła szwy.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. Nie chcę, żebyś była samotna na starość.

- Nie jesteś samotna, prawda?

Vibeke to pytanie jakby wytrąciło z równowagi.

- Nie mówiłam o sobie.

– I ja nie będę samotna. Nie byłam samotna przed Bengtem. Dlaczego miałabym...?

Teraz na twarzy matki pojawił się wyraz, którego nigdy wcześniej nie widziała. Można by go ująć jednym słowem: Właśnie.

Lund włączyła telewizor i patrzyła na wiadomości. Tylko jeden temat. Troels Hartmann na swojej konferencji prasowej mówi, że nie zawiesza nauczyciela Kemala.

- Dlaczego nie, na miłość boską? – wyszeptała.

Hartmann w telewizji odpowiedział:

„Rahmanowi Al-Kemalowi nie postawiono zarzutów. Nie skazano go. Nie wezmę udziału w nagonce. Może Bremer jest na tyle zdeterminowany. Niech się rozliczy w swoim sumieniu, czy też co tam ma zamiast niego”.

Podniósł prawą rękę w geście polityków całego świata.

„Zawieszenie weźmiemy pod uwagę dopiero w chwili, gdy pojawią się konkretne dowody”.

Pochylił się do przodu, kamery pokazały z bliska jego poważną twarz.

„Ściganie przestępców należy do policji. Nie do polityków. Powinniśmy schodzić policji z drogi i służyć jej wszelką pomocą. I tak zamierzam robić. Dziękuję”.

Tłum wstał, zasypując go pytaniami. Lund żałowała, że nie włączyła nagrywania. Mogłaby sobie puścić jeszcze raz każde słowo, przeanalizować modulację głosu, każdą zmianę wyrazu twarzy Hartmanna.

„A jeśli to on zamordował dziewczynę?” – wrzasnął jakiś dziennikarz.

„O ile wiem – odparł Hartmann – w tym kraju człowiek pozostaje niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. To wszystko...”.

– To wszystko? – mruknęła Lund.

I to był koniec. Pojawiły się inne wiadomości – Bliski Wschód. Gospodarka... Wyłączyła telewizor. Dotarło do niej, że pokój jest ciemny i pusty. Vibeke bez słowa poszła do łóżka.

Sarah była sama.

NIEDZIELA_ 9 LISTOPADA_

Ponury ranek. Lund dotarła do pracy i wysłuchiwała raportu szefa nocnej zmiany. Kamera przemysłowa na stacji benzynowej nagrała Kemala, jak

kupował kawę o 21.40 w piątek wieczorem, w dniu zaginięcia Nanny. Mniej więcej w tym samym czasie odebrał telefon z automatu w pralni samoobsługowej. Znajdującej się niedaleko jego mieszkania w mieście. Dwadzieścia minut przed wizytą Nanny.

Ale w domu nie znaleziono nic konkretnego. Gdyby mogli udowodnić, że on wszystko zaaranżował, żeby się z nią spotkać, to podważyłoby jego wersję. Kłamstwo.

Rozmawiał też z fachowcem, którego przyście odwołał. I z nikim więcej.

Lund myślała o tym, kiedy dotarła do swojego biura. Siedział tam Bengt.

Uśmiechnęła się przelotnie. Zamknęła drzwi, naląła sobie kawy z termosu.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała.

– Przyjechałem w nocy.

Podąła mu kubek, nadal zastanawiając się nad rozmowami telefonicznymi. Co Nanna miałyby robić w pralni? Dlaczego nie dzwoniła ze swojej komórki?

– Jak się udała parapetówka?

– Dobrze. – Wyglądał na zmęczonego i trochę był niechlujny po podróży. Po raz pierwszy w jego spokojnych szarych oczach pojawił się cień gniewu.
– O dziewiątej odprawiłem wszystkich do domu.

Miała na sobie czarno-biały sweter z Wysp Owczych. Ten sam, co poprzedniego dnia. Gdyby wiedziała, że Bengt tu będzie... Przegarnęła dłonią rozczochrane włosy i pomyślała: I tak bym go założyła.

Podszedł i położył jej dłonie na ramionach. Patrzył na nią bardzo poważnie, niemal po ojcowsku, niemal zawodowo.

– Posłuchaj, Sarah. To nie jest trudne. Wyjdź przez te drzwi, wsiądź do samochodu i pojedziemy do domu. Nie znasz tych ludzi. A masz

rodzinę. Co z Markiem? Powinien zacząć szkołę.

Lund podeszła do swojego biurka, chwyciła teczkę.

– Chciałabym, żebyś przeczytał te akta. Oto raport koronera. To znaleźliśmy nad kanałem...

– Nie!

Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby był tak bliski krzyku.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała spokojnie.

– Ty potrzebujesz? A co ze wszystkimi innymi?

Nie słuchała.

– Wykąpał ją i obciął jej paznokcie. Co to musi być za człowiek? Starannie usunął wszystkie ślady. A może jest jakiś inny powód, który mi jeszcze nie przyszedł do głowy. Popatrz...

Wyjęła kilka zdjęć zrobionych w kostnicy. Rany. Siniaki. Krew.

– Koroner uważa, że on prawdopodobnie robił to już wcześniej. Ale nie mogę znaleźć nic podobnego.

– Nie interesuje mnie twoja sprawa. Ty mnie interesujesz.

Wskazał na drzwi.

– Na zewnątrz stoi samochód.

Pukanie do drzwi. Wszedł Meyer. Podkoszulek w paski, rozpięta kamizelka. Wyglądał promiennie i porządnie niż zwykle.

– Idę się spotkać z Birk Larsenem – powiedział. – Ale nie musisz...

– Zaraz będę.

Chwyciła płaszcz.

Bengt Rosling był przystojnym mężczyzną. Nie dlatego go lubiła. Kochała. Był spokojny, inteligentny, cierpliwy.

– Zostań, Bengt. Proszę. – Podeszła i wzięła go za rękę, uśmiechnęła się, zajrzała mu w oczy. – To by wiele dla mnie znaczyło.

Wahał się.

Wzięła teczki i wcisnęła mu do rąk.

Potem szybko go pocałowała i wyszła z Meyerem.

Rie Skovgaard przejrzała dokumenty samochodów. Wzory osobowe nie korzystały z tych wozów.

– To dobre wieści – powiedział Hartmann.

– Potrzebny nam nowy szef kampanii. Jeśli Morten nie wróci...

– Nie wróci.

– Znajdę kogoś. Jest tu Knud Padde. Chce z tobą porozmawiać. Sam na sam. Siedzi w twoim pokoju.

Padde, szef komitetu partyjnego Stronnictwa, był bezgranicznie lojalnym członkiem partii średniej rangi. Wpływowy, niekiedy ważny. Nużący.

– Mogłabyś...?

– Nie. Idź z nim pogadać.

Typowy działacz związków zawodowych. Niedźwiedziowaty, powolny mężczyzna w źle skrojonym garniturze. W wielkich okularach i wiecznie roztrzepany.

– Widziałeś gazety? – jęknął, gdy Hartmann wszedł.

– Oczywiście, że widziałem.

– Partia się martwi, Troels. Stronnictwo żąda spotkania. Dzisiaj. O pierwszej.

– Knud, nie teraz. Kirsten Eller będzie tu za dwie minuty.

– Dlaczego nie zawiesiłeś tego nauczyciela? Wygląda, jakbyś go krył.

Hartmann zajrzał mu w oczy.

– Zdaniem policji nauczyciel jest prawdopodobnie niewinny.

– W gazetach piszą coś innego.

Hartmann pomyślał, że Padde czuje się wyjątkowo dzielny.

– Poradzę sobie z tym. Nie musimy się spotykać...

– Ale spotkanie jest już umówione – oznajmił Padde. – Lepiej, żebyś na nie przyszedł.

– Nie mówiłaś, że on jest lekarzem od czubków – odezwał się Meyer.

Znowu pozwoliła mu prowadzić. Dzięki temu nie napychał buzi chipsami, słodyczami i hot dogami. Na ogół.

Lund nie odpowiedziała.

– Nie żeby spotkanie się z własnym terapeutą było niewłaściwe.

Westchnęła.

– On jest kryminologiem.

Meyer podniósł brew, jakby chciał powiedzieć: I co z tego?

– To najmądrzejszy człowiek, jakiego znam.

– Poznałaś go w pracy?

Cisza.

– Czy aby twój były mąż nie był też gliniarzem?

I znowu cisza.

– Nie ty jedna umiesz zebrać wywiad, Lund.

Meyer pokręcił głową. Wpatrywał się w nią, skręcając za róg.

– Uważaj na drogę – napomniała go.

– Znasz kogoś spoza policji?

– Oczywiście! Bengta...

– Jest kryminologiem.

– Znam mnóstwo ludzi.

– Oczywiście. Poprosiłem Bucharda o spotkanie. W naszej sprawie.

Spojrzała na niego. Wielkie uszy. Wyłupiaste oczy. Zarost i szczeniacka fryzura.

Zaczął gwizdać. Skręcali już w ulicę, przy której mieszkali Birk Larsenowie.

– Gdzie jest pani mąż? – spytała Lund.

Pernille Birk Larsen wycierała kuchenny stół. W mieszkaniu wydawało się za czysto. Jakby kobieta chciała wyszorować wspomnienie o straconym dziecku.

Stół miał niecodzienny blat. Na jego powierzchni zalakierowano zdjęcia i świadectwa szkolne. Twarze i słowa. Mała Nanna, sama, w skrzynce na czerwonej christianii z maleńkim hinduskim chłopcem. Anton i Emil jako maluszki.

Przetała blat, który już i tak był nieskazitelny.

– W weekendy też pracuje.

– Potrzebujemy informacji – powiedziała Lund. – Musimy ustalić, czy Nanna знаła swojego mordercę, czy nie. Mogłaby pani...?

Obsesyjne ruchy ręki, ścierka, która niczego nie wycierała, bo nic już nie było to wytarcia.

– Mogłaby pani odłożyć to na później? – spytała Lund.

Pernille Birk Larsen nie spojrzała na nią. Tylko dalej wycierała stół.

Meyer wzniosł oczy do nieba.

– Może ona coś powiedziała – ciągnęła Lund. – Może coś o życiu poza domem. Cokolwiek. Prezenty, książki, które pożyczała...

Pernille Birk Larsen przestała wycierać, oparła się na dwóch rękach, spojrzała groźnie na policjantów.

– Wiedzieliście, że nauczyciel jest podejrzany. I pozwoliliście mu przyjść na pogrzeb. Pozwoliliście, żebym go zaprosiła do swojego domu.

Meyer kręcił głową.

– Trzymał mnie za rękę. A wyście nic nie powiedzieli!

Lund wzruszyła ramionami, wstała, rozejrzała się.

– A teraz przychodźcie zadawać pytania! – krzyczała Pernille. – Za późno.

Nie odezwali się.

– Co z nim robicie?

– Przeszukujemy jego dom – włączył się Meyer. – Gdy tylko się czegoś dowiemy, zadzwonimy do państwa.

W inteligentnych, badawczych oczach kobiety pojawił się wyraz niedowierzania. Takie powiązanie nie przyszło jej do głowy.

– Nanna tam była?

Bez odpowiedzi.

– Była u niego tamtej nocy?

Lund pokręciła głową.

– Nie możemy zdradzać szczegółów... – zaczęła.

– Tak – przerwał jej Meyer. – Była tam.

Lund, wściekła, zamknęła oczy.

– Od tego czasu nikt jej nie widział – dodał.

Lund, wciąż wściekła, wyjaśniła:

– To niczego nie dowodzi. Potrzebujemy informacji, które ich powiążą. Potrzebujemy...

Czego? Nie była pewna.

– Potrzebujemy motywu – dodała, trochę jakby do siebie.

Pernille Birk Larsen wzięła ścierkę i znowu zabrała się za wycieranie stołu.

– Ja wiem tylko, że Nanna lubiła go jako nauczyciela. – Machnęła w stronę pokoju córki. – Rozglądajcie się. Szukajcie. Nie krępujcie się. Już i tak wszędzie wtykaliście nos.

Patrzyła na nich wściekłym wzrokiem.

– Ale macie mnie informować na bieżąco. Słyszycie?

– Jasne – zgodził się Meyer.

Theis Birk Larsen i Vagn Skærbæk wzięli z podwórka kilka świeżych desek. W garażu wsadzili je do furgonetki. Mieli robotę do wykonania. Ale dom w Humleby był ważniejszy.

– Pomogę ci z pracą, Theis – obiecał Skærbæk. – Tylko mi powiedz, czego chcesz.

Birk Larsen wtaszczył jeszcze trochę drewna do samochodu. Milczał.

Skærbæk schylił się, przechodząc pod belką.

– Dobrze, że nie tknąłeś go przy tych wszystkich policjantach. – Chwycił kilka desek i wrzucił je na pakę. – Jak taka mała może być nauczycielem? Co za porąbany świat.

Birk Larsen zdjął czarną czapkę, spojrzał na drewno. Poszedł po kolejną partię.

– Wiesz co? – Skærbæk rozejrzał się, upewnił, czy nikt ich nie słucha. – Już po nim. Obiecuję ci. Słuchaj...

Położył dłoń na czarnym płaszczu Birk Larsena. Zatrzymał go.

– Czekamy – mówił Skærbæk. – Już to robiliśmy. Znamy się na tym.

Nagła wściekłość pojawiła się na kamiennej twarzy Birk Larsena. Złapał kumpla za kombinezon, rzucił nim o ciężarówkę. Chwycił go za gardło.

– Nigdy więcej tak nie mów. Nigdy.

Skærbæk stał nieruchomo, wyzywająco, niemal gotów do walki.

– Theis, to ja. Pamiętasz?

Kątem oka dostrzegł jakiś kształt. Pojawił się chudy, burkliwy gliniarz, rozmawiał z kimś przez telefon. Birk Larsen puścił Skærbæka.

– Mówi Meyer – powiedział gliniarz.

Była z nim Lund, chodziła dookoła, jak to ona. Rozglądała się, jakby miała nagrać wszystko tymi swoimi niewzruszonymi oczami.

Birk Larsen załadował ciężarówkę i zamknął drzwi. Vagn ulotnił się bezszelestnie, wykorzystując talent z czasów, gdy obaj byli dziećmi ulicy.

Lund podeszła do Birk Larsena.

– Jeśli mogę cokolwiek zrobić...

– Wie pani, co może zrobić – odparł.

Przybyła Kirsten Eller. Na jej nalanej twarzy malowała się umiarkowana wściekłość.

– Ten twój wzór osobowy jest pierwszym podejrzanym. O morderstwo.

– Może być niewinny.

– Niezawieszenie go to szaleństwo.

– Może takie jest twoje zdanie, ale ja myślę inaczej. Nie chciałbym, żeby to zniweczyło naszą umowę.

– Naszą umowę?

Czekał. Rie Skovgaard przyglądała się swoim paznokciom.

– To litery na papierze – powiedziała Eller. – Nic więcej. Nic.

Na stole stała kawa i croissanty. Ledwie tknięte.

– To znaczy, że chcesz się wycofać?

– To kwestia wiarygodności.

– To kwestia zasad.

– Twoich zasad. Nie naszych. Nie pójdę z tobą na dno. Nie dam się obarczyć odpowiedzialnością. Nie...

– Co ty mówisz? – przerwał jej.

– Jeśli tego nie rozwiązesz, odetnę się od ciebie. Musimy...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Wszedł Morten Weber. Wyglądał, jakby wracał z zakupów. Elegancka nowa marynarka, czerwony sweter, biała koszula.

Hartmann i Skovgaard wbili w niego wzrok.

– Oto dokument, który miałem znaleźć. – Weber podszedł do Hartmanna z kartką w ręku.

Nikt się nie odezwał.

– Jeszcze kawy? – spytał Weber.

Ponieważ nadal nikt się nie odzywał, uśmiechnął się i wyszedł.

Hartmann spojrział na kolorowy wydruk. Było to zrzut ekranu ze strony internetowej Kirsten Eller.

– Co to ma znaczyć, Troels?

Czytał uważnie kartkę.

– Dobra – podjęła Kirsten. – Nie będę się z tobą pokazywać. Wszystkie ustalenia koalicyjne odwołuję.

Eller uporządkowała papiery, wrzuciła je do teczki wraz z długopisem. Szykowała się do wyjścia.

– A co z twoją wiarygodnością?

– Co masz na myśli?

Hartmann podał jej kartkę.

– Przypisałaś sobie zasługi z mojego programu wzorów osobowych. Proszę. To jest na twojej stronie internetowej.

Wyrwała mu kartkę.

– Tak ci się spodobała nasza podobno wspólna inicjatywa, że o niej napisałaś. – Hartmann rozparł się na krześle, założył sobie ręce za głowę. – Bardzo chętnie dzielę się zasługami, Kirsten. Ale problem w tym, że jeśli trzeba obarczyć kogoś winą, to też należy się podzielić.

Wychylił się do przodu, uśmiechnął do niej i dodał:

– To właśnie znaczy być odpowiedzialnym.

– To szantaż.

– Ależ skąd. To twoja strona internetowa, nie moja. Twoja odpowiedzialność. Informacje ogólnie dostępne. Jeśli mnie rzucisz na pożarcie, okaże się, że leżymy na tym samym talerzu. Ale...

– Dziękuję za kawę – warknęła Eller.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Do zobaczenia wieczorem. Tak jak się umawialiśmy.

Patrzyli, jak wychodzi, po czym wrócili do głównego biura.

– To się jej nie spodobało – zauważyła Skovgaard.

– Gównu mnie obchodzi, co jej się podoba, a co nie. Nie będę słuchał wykładów o odpowiedzialności od jakiejś sprzedajnej baby, która włązi do łóżka każdemu, kto zechce ją wpuścić.

Morten Weber siedział przy swoim biurku. Hartmann podszedł do niego. Weber nie oderwał wzroku od monitora.

– Myślałem, że nas opuściłeś.

Weber przeglądał pocztę przychodzącą.

– Nudziłem się sam.

Hartmann położył przed nim wydruk ze strony Eller.

– Skąd wiedziałeś?

Weber spojrzał wzrokiem, który sugerował, że to oczywiste.

– Sam bym tak zrobił, gdybym prowadził kampanię. Czasami musisz myśleć jak inni. To się przydaje.

– Cieszę się, że wróciłeś, Morten – powiedziała Skovgaard.

Roześmiał się.

– Ja też.

Mieszkanie Kemala w Østerbro. Technicy przeczesali każdy cal każdego pomieszczenia. Znaleźli dwa odciski palców Nanny Birk Larsen na drzwiach wejściowych.

Meyerowi było mało. Kazał szukać dalej.

– Słuchaj – powiedział szef techników. – Sprawdziliśmy wszystko. Nic więcej nie ma.

Lund czytała wstępny raport.

– Co z butami? – spytał Meyer.

– Zbadaliśmy błoto. Nie pochodzi z miejsca zbrodni.

– A eter? Kto, do diabła, trzyma w domu eter?

– Faceci ze śmigłowcami.

Jeden z techników wyciągnął model śmigłowca.

– Chłopięce zabawki – wyjaśnił. – Lubi takie rzeczy. To lata na mieszaniu benzyny, parafiny i eteru.

– A sąsiedzi? – włączyła się Lund. – Co mówią?

– Na trzecim piętrze była impreza. Lokator widział, jak Kemal wyrzucał jakieś śmieci o pierwszej trzydzieści. Nic poza tym.

Lund wpatrywała się w niego. Mężczyzna oklapł.

– Śmieci? O pierwszej trzydzieści?

– Tak właśnie powiedział.

Dwadzieścia minut później Kemal przyjechał do domu. Nie wyglądał jak człowiek spodziewający się aresztowania. Elegancka kurtka, szary szalik – nauczyciel nawet w niedzielę.

– Nie weszła w ogóle za drzwi? – spytała Lund. – To chce pan powiedzieć?

– Otworzyłem jej na dole, zadzwoniła domofonem.

– A potem?

– Miała wyrzuty sumienia z powodu książek, które jej pożyczyłem.

– Nie weszliście do środka?

– Nie. Rozmawialiśmy tutaj. W drzwiach.

– Więc dlaczego jej odciski palców są na zdjęciu w salonie?

– Miałem cyklinować podłogę. Wszystkie rzeczy wyniosłem tutaj. To było zdjęcie klasowe. Oglądała je, zanim wyszła.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– A potem?

– Potem wyszła.

– Widział ją pan przed budynkiem?

– Nie. Zamknąłem tylko drzwi. Tu jest bezpiecznie. Nie miałem powodu... – Zamilkł. – Myślałem, że tu jest bezpiecznie.

– Dlaczego odwołał pan cykliniarza? – spytał Meyer.

– Okazało się, że to wyjdzie za drogo. Pomyślałem, że sam to zrobię.

– I zadzwonił pan do niego? O pierwszej trzydzieści w nocy?

– Ma automatyczną sekretarkę. Więc czemu nie?

Lund sprawdziła drzwi, weszła i wyszła.

– Odebrał pan jakiś telefon przed pojawieniem się Nanny?

Ciemne oczy mężczyzny patrzyły to na niego, to na nią.

– To była pomyłka. Byłem wtedy na stacji benzynowej.

– Co? – spytał Meyer. – Dziewięćdziesiąt sekund rozmawiał pan z pomyłką?

– Tak... – Siłowali się wzrokiem. – Ktoś chciał rozmawiać z osobą, która miała ten numer przede mną.

– Telefon z pralni, która się znajduje tuż za rogiem. Niezły zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

– Nie wiem.

– Wyrzucał pan śmieci – powiedziała Lund.

– W sobotę – przyznał.

– W sobotę o pierwszej trzydzieści w nocy. Co było w czarnej torbie?

– Stary dywan.

– Dywan?

– Wyrzuciłem go w drodze na działkę.

Cisza.

– Jeśli to wszystko...

Cisza.

- Moja żona niedługo wróci. Chciałbym, żebyście do tego czasu wyszli.
- Proszę nie uciekać – powiedział Meyer.

Po powrocie na komendę zdali relację Buchardowi.

- Więc nie macie, kurna, nic?
- Kemal kłamie – powiedziała Lund.
- W mieszkaniu nic nie znaleźliście.
- Posprzątał. Zabrał ją gdzie indziej.

Szef miotał się po gabinecie jak wściekły pies.

– Dokąd? Wszystko sprawdziliście. Mieszkanie, samochód, piwnicę, działkę, klub młodzieżowy...

– Jeśli czuje pan ciśnienie ze strony sztabu wyborczego Troelsa Hartmanna, szefie – wtrąciła Lund – proszę nam powiedzieć. Tylko grzecznie.

Buchard wyglądał, jakby miał wybuchnąć.

– Gównu mnie obchodzi polityka. Nie ma tu nic, co by zrobiło z niego gwałciciela i mordercę.

- Kemal kłamie – powtórzyła Lund. – Musi mieć jakiś lokal...
- Więc znajdźcie go – rozkazał Buchard.

Żona Kemala chodziła po mieszkaniu, patrząc na ściany pokryte czerwonym proszkiem daktyloskopijnym. Wszędzie zostały oznaczenia techników.

Rama stał w korytarzu, czekał, aż ona obejdzie wszystkie pomieszczenia, włączając po kolei światła. Trzymała się przy tym za swój wielki brzuch, a na twarzy jej malowała się wściekłość i konsternacja.

– Czego oni szukali?

Zero odpowiedzi.

– Co ty jej zrobiłeś ich zdaniem?

– Niedługo się przekonają, że są w błędzie.

– Nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałeś im wcześniej.

Oparł się o ścianę, nie patrząc jej w oczy.

– Nie chciałem ci przysparzać zmartwień.

Objął ją i nie puścił, nawet gdy próbowała się odsunąć.

– Mówiłem już, że mi przykro. Nie mogę odwrócić tego, co się stało.

Mu...

Wyrwała się. Nadal wściekła. Zadzwoił jego telefon.

– Słucham, mówi Rama.

Odszedł do świeżo wycyklinowanego pokoju z gołą podłogą i wszechobecnymi śladami po technikach.

Nie znosiła, kiedy mówił po arabsku. Nie rozumiała nic z tego języka.

Nie znosiła też, kiedy się wściekał. To się zdarzało bardzo rzadko. Był łagodnym, porządnym człowiekiem. Ale i tak słuchała, gdy jego głos wznosił się aż do furii w tym obcym języku, i zastanawiała się, jak dobrze go zna. Ile w jego życiu jest jeszcze tajemnic?

Podsłuch w telefonie Kemala zarejestrował głośną i wściekłą rozmowę. Czterdzieści minut później kobieta w kremowym czadorze siedziała przed komputerem i słuchała nagrania.

Dyżurny tłumacz. Zapisała oryginalną wersję i przejrzała ją.

– Co powiedział? – ponaglił ją Meyer.

– „Siedź cicho. Nie idź na policję, bo będziesz żałował do końca życia”.

– Namierzyliście go? – spytała Lund.

– Linia naziemna. Gdzieś w północno-zachodniej części miasta.

Odsłuchali nagranie raz jeszcze. W tle było słychać jakiś dźwięk. Długi płacz. Puścili ponownie, zwolnili, ale odtworzyli równie wiernie. I na pełną głośność.

Tłumaczka słuchała, kiwając głową.

– To isza – powiedziała. – Modlitwa wieczorna.

Meyer pracował przy komputerze.

– Telefon należy do Mustafy Akkada. Nienotowany. Prowadzi niewielką firmę wynajmującą garaże w pobliżu Dworca Nørreport.

– Powiedz Svendsenowi, żeby przywiózł tu tego Akkada – poleciła Lund, idąc po kurtkę.

Garaże stały pod estakadą, w brudnym, odludnym miejscu. Metalowe drzwi ginęły pod graffiti. Cały zaułek tonął w śmieciach i błocie.

Jansen stał na zewnątrz w niebieskich ochraniaczach na buty. Rude włosy miał mokre od deszczu. Trzech techników pracowało nad drzwiami.

– Tylko jeden z garaży nie jest wynajęty – zameldował Jansen. – Uznaliśmy, że zaczniemy od niego.

Założyli rękawiczki i niebieskie ochraniacze na buty. Technicy zdjęli kłódki i odsunęli drzwi.

Meyer wszedł pierwszy, Lund za nim. Latarki uniesione wysoko nad głową.

Wyglądało tu jak w sklepie ze starzyzną. Stoły, zdekompletowane silniki, szafki biurowe, namioty, wędkę, meble...

Lund przeszła w głąb. Po bokach stały rzędy obrazów w ramach, kilka modeli statków i gipsowe posągi.

Na tyłach garażu oparto o ścianę biegnącą równoległe do ulicy kilka wielkich płócien. Tanie obrazy, w rodzaju takich, którymi restauracje dopełniają wystrój wnętrza. Ustawiono je jakoś dziwnie, na zakładkę, pod kątem mniej więcej trzydziestu stopni do ściany.

Lund popatrzyła i zastanowiła się.

Podeszła blisko, odsunęła wszystkie cztery obrazy. Za nimi ukazały się drzwi. Niezamknięte na klucz otworzyły się bez trudu. Lund zatrzymała się

w progu i uważnie obejrzała wnętrze, jakby szukała postaci kryjącej się w ciemnościach.

To pomieszczenie było mniejsze. I bardziej uporządkowane. Stało tu kilka metalowych krzeseł, nic na nich nie leżało, jakby ostatnio ktoś z nich korzystał. Od lampy obok biegł kabel do gniazdka w ścianie.

Lund jeszcze raz omiotła ściany światłem latarki, po czym weszła do środka, kierując promień na podłogę.

Leżał tam zniszczony, poplamiony szeroki materac, na nim zmięty niebiesko-pomarańczowy śpiwór, a obok popielniczka.

Podeszła. Przy prowizorycznym legowisku zobaczyła dziecięcego misia. Pochyliła się i przyjrzała mu się z bliska.

– Lund?

Do środka wszedł Meyer, ale ona ledwie go zauważyła.

– Lund?

Podniosła wzrok. Trzymał w ręku żółtą dziewczęcą bluzkę zamykaną na zamek błyskawiczny. Z plamą krwi na przedzie. Zaschniętą, ciemną i dużą.

Żółta, pomyślała. Taką bluzkę mogłaby nosić licealistka. Nawet trochę dziecinna.

Godzina pierwsza. Członkowie komitetu partyjnego zbierali się w sali konferencyjnej.

– Sępy krążą, Troels – powiedział Weber. – Strzeż się.

– Jakież wieści z policji? – spytał Hartmann.

– Nic a nic.

– Więc miejmy to za sobą.

Kiedy wszedł, zebrani rozmawiali podzieleni na rozproszone grupki.

Koterie i kliki. Jak w każdej partii.

Dwie kobiety, reszta mężczyzn, głównie w średnim wieku, w strojach oficjalnych. Partyjniacy z długim stażem.

– To spotkanie zostało zwołane z niewystarczającym wyprzedzeniem – zaczął Hartmann, zajmując miejsce u szczytu stołu – więc dopilnujemy, by nie trwało długo.

Knud Padde nerwowo zwichrzył swoje kręcone włosy, zerknął na drugą stronę stołu i rzekł:

– Z małym wyprzedzeniem po prostu, Troels. Z drugiej strony... Sytuacja z prasą... Opinia publiczna...

– Doskonale, Knud. Moglibyśmy przejść do rzeczy?

– Słusznie.

Wprowadzenie Mortena Webera było jak zwykle konkretne. Po nim przemówił Henrik Bigum. Smukły, poważny wykładowca ekonomii na uniwersytecie, łysy, o poważnej, ascetycznej twarzy kapłana rozmiłowanego w krytykanctwie. Bigum kilkakrotnie wysuwał swoją kandydaturę w wyborach do rady miejskiej i Parlamentu. Nigdy nie dotarł wyżej niż na krótką listę. Inteligentny, zaangażowany, ale prywatnie zgryźliwy i uzależniony od knowań.

– Henrik. Jakże miło cię słyszeć.

Zapadła pełna napięcia cisza.

Hartmann odłożył długopis i rozsiadł się wygodnie.

– Okej, słuchamy.

– Mamy dla ciebie wiele sympatii – podjął Bigum, jakby miał obwieścić wyrok śmierci. – Doceniamy pracę, którą wykonałeś.

– Już słyszę „ale”, Henriku.

– Ale ostatnio twoja zdolność oceny sytuacji i twoja szczerść zostały podane w wątpliwość.

– Bzdura. Przez kogo? Przez ciebie?

– Przez wydarzenia. Po pierwsze, dowody sugerują winę nauczyciela. Nie zawieszając go, stwarzasz pozory, że chronisz niewinnego, gdy tymczasem chronisz siebie.

– Nie widzę tego w porządku obrad – zauważył Morten Weber.

– Nie musimy się trzymać porządku obrad. Po drugie, akta Kemala nie zostały przekazane policji.

Bigum powiódł wzrokiem po zebranych, zwracając się do nich, nie do Troelsa Hartmanna.

– Dlaczego nie? Czy Troels ma coś do ukrycia? Po trzecie, z tego biura wyciekają poufne informacje. Bardzo osobiste. Trafiają do ludzi, którzy mogą nam zaszkodzić. Tracimy głosy. Tracimy wiarygodność. Nasze poparcie w Parlamencie topnieje. Czy z tego opisu można wnosić, że kontrolujesz sytuację, Troels? Ja bym tak nie powiedział. Nikt by tak nie powiedział.

Hartmann popatrzył na niego ponad lśniącem stołem, roześmiał się i spytał:

– Tylko tyle?

– Co to znaczy?

– Nie sądzę, żebyś miał skrytobójcze umiejętności Poula Bremera, Henriku. Ale naprawdę... Porzuciłeś swoich studentów, żeby to powiedzieć?

– A to nieprawda? To o aktach, policji, przeciekach z tego biura?

– Nie. Wszystko, co powiedziałeś, zostało wyjęte z kontekstu. Te problemy zostały już rozwiązane. Nie musisz się martwić...

– Jeśli Troels nie wycofa dobrowolnie swojej kandydatury – przerwał mu Bigum – składam wniosek o głosowanie nad wotum nieufności.

– Mówisz poważnie? – spytał Hartmann.

– Tak.

– A kto zajmie moje miejsce? – Hartmann wpatrywał się w Biguma, czekając na odpowiedź. – Masz jakieś sugestie? Zastanawiam się...

– Z tym sobie poradzimy, kiedy będzie taka potrzeba. Niszczysz to, nad czym pracowaliśmy...

– Nie ty o tym decydujesz, Henriku! – krzyknął kobiecy głos. – To wcale nie zależy od ciebie.

Elisabeth Hedegaard, przedszkolanka z Østerbro.

Bigum odpowiedział dopiero po chwili.

– To się znajduje w statucie – rzekł. – Knud?

– Zgodnie z regulaminem – Padde wyciągnął z kieszeni egzemplarz statutu – decyzje w tej sprawie podejmuje się większością głosów.

– A co z elektoratem? – spytała Hedegaard. – Oni przede wszystkim wybierają Troelsa. Mają coś do powiedzenia.

Starszy pan, którego Hartmann słabo kojarzył, burknął do niej:

– Szukamy rozwiązania problemu, tu i teraz. Niektórzy z nas pracują dla partii od dziesięcioleci. Nie od wczoraj...

Hartmann opadł na oparcie i nic nie mówił.

– Elektorat też ma głos – ciągnęła kobieta. – Jeśli zrobimy tak, jak mówicie, sytuacja się wyłącznie pogorszy.

– A to w ogóle możliwe? – odparował Bigum. – Mamy kandydata na burmistrza, który jest uwikłany w śledztwo w sprawie morderstwa... Podejmuje liczne, wysoce wątpliwe decyzje... Są przecieki z biura...

– Wyborcy... – upierała się Hedegaard.

– Wyborcy decydują, czy Troels nadaje się na radnego – przerwał jej Padde. – Do nas należy decyzja, kto przewodzi kampanii.

– Składam wniosek... – zaczął Henrik Bigum.

Theis i Pernille pojawili się na komendzie tuż po drugiej. Lund wyciągnęła zdjęcia niektórych przedmiotów z garażu. Meyer stanął za nią

i przyglądał się uważnie.

– Chciałabym, żeby powiedzieli państwo, czy rozpoznają któreś z tych przedmiotów – powiedziała Lund.

Plecak khaki.

Nic.

Czerwony notes w okładce w charakterystyczne listki i mazak.

– Nie – odezwała się matka.

Materac z misiem i niebieskim śpiworem.

Theis Birk Larsen wpatrywał się w przedmioty.

Lund spojrzała na niego, spojrzała na zdjęcia. Obok materaca stał kubek częściowo wypełniony sokiem pomarańczowym. Niedojedzone ciastko na talerzu. Miska z resztkami czegoś, co wyglądało na curry. Popielniczka z niedopałkami.

– Nanna nie paliła – szepnęła. – Zawsze mnie nękała za papierosy.

Lund podała im fotografie misia i kluczy. Dwa klucze na plastikowym breloczku w listki koniczyny i kwiatki.

– Macie już jej klucze, prawda? – przypomniała Pernille.

– Pomyśleliśmy, że może w grę wchodzi jakiś drugi komplet.

– Żadnej z tych rzeczy nigdy nie widziałam.

Wreszcie żółta bluzka z krwawą plamą i logo marki.

Oczy Pernille Birk Larsen otworzyły się szeroko, nie odrywały się od zdjęcia.

– Wydaje mi się, że Nanna taką ma. – Wpatrywała się w żółtą tkaninę i plamę krwi po lewej, blisko zamka i talii.

– Jest pani pewna? – spytała szybko Lund. – Ma pani absolutną pewność?

– Tak – powiedziała Pernille, kiwając głową.

– Dziękuję.

Lund zabrała zdjęcia.

– Gdzie on teraz jest? – spytał Birk Larsen. – Ten nauczyciel?

– W areszcie – odparła Lund. – Został zatrzymany do wyjaśnienia.

Wstał. Czarna marynarka, czerwony kombinezon.

– Co wiecie? – nie rezygnowała Pernille.

– Nie wolno nam ujawniać szczegółów... – zaczął Meyer.

– Jestem jej matką – krzyknęła kobieta. – Mam prawo...

– Nie możemy...

Przerwała mu Lund.

– Najwyraźniej udała się po imprezie do jego mieszkania. Może coś ich łączyło. Nie jesteśmy pewni. Nanna została gdzieś zabrana. Może w to miejsce. Potem wywieziono ją do lasu.

Meyer gderał bezgłośnie za jej plecami.

– Dziękuję – powiedział Birk Larsen.

– Dziękuję – powtórzyła jego żona.

Spotkanie dobiegło końca. Birk Larsenowie wyszli. Meyer siadł w kącie biura i zapalił.

– Lund? – odezwał się po chwili.

Znowu patrzyła na zdjęcia. Mieli prawdopodobną identyfikację ubrania. To była najpoważniejsza informacja, jaką zdobyli.

– Lund?

Napotkała jego spojrzenie. Dwudniowy zarost, wielkie uszy, szkliste okrągłe oczy.

– To nie było okej – powiedział, kręcąc swoją groteskową głową.

Buchard wysłuchał raportu Lund i też pokręcił głową.

– Matka rozpoznała bluzkę – przypomniała Sarah.

– To zwykła dziecięca bluzka – utyskiwał Buchard. – Są miliony takich.

Technicy nie znaleźli niczego, co by sugerowało, że należała do Nanny.

– Krew...

– Nie mamy jeszcze wyników badań.

– Mamy wystarczające dowody.

Meyer w milczeniu przysłuchiwał się tej rozmowie.

– Na przykład? – spytał Buchard.

– Na przykład świadek, który widział, jak Kemal niósł coś do samochodu.

– Nie. Jedyne dowód, jaki macie, to ta rozmowa telefoniczna nie wiadomo o czym.

– I fakt, że on skłamał!

– Gdybyśmy stawiali zarzuty wszystkim, którzy nas okłamują, połowa Danii siedziałaby w więzieniu. Z takim głównym każdy sędzia rozedrze nas na strzępy. Znajdźcie Mustafę Akkada. Wyjaśnijcie to w taki czy inny sposób. Albo poszukam kogoś, kto zdoła to zrobić.

Theis Birk Larsen pojechał wycenić prace na nadchodzący tydzień. Pernille została pod arkadami przed kwaterą główną policji, a gdy odjechał, wróciła do środka.

Weszła do biura Lund.

– Dlaczego go nie aresztowaliście?

– Mamy za mało dowodów.

– Ile potrzebujecie? – krzyczała. – Powiedziała pani, że ona była w jego mieszkaniu. Na imprezie. W garażu.

– Ciągłe szukamy.

– A jeśli już nic nie znajdziecie? Po tym wszystkim...

– Mówiłam pani. Wciąż pracujemy nad sprawą. Robimy postępy. Rozumiem...

– Proszę mi nie opowiadać o swoim zrozumieniu. – Stała sztywna, zdeterminowana, z uniesioną prawą dłonią, machając palcem jak

nauczycielka, jak matka. – Proszę tego nie robić. Proszę mi nie opowiadać o zrozumieniu.

Pernille stała przy zlewie i maniakalnie myła naczynia niewymagające mycia, wycierała blaty wytarte już do czysta.

Theis właśnie wrócił i siadł przy stole, nic nie mówiąc. Tu w okolicy, w Vesterbro był swego rodzaju królem. Mężczyzną, do którego sąsiedzi przychodzą po pomoc, jeśli mają problemy z łobuzami. Nawet imigranci pukali czasami do jego drzwi i prosili o radę. Kiedy Nanna była malutka, miała pięć czy sześć lat, może siedem, dorwała hinduskiego chłopca i uczyniła małego przybłędę swoim pierwszym chłopakiem.

Amir.

Pernille pamiętała ich dwoje razem, nierozłącznych, jak chichotali, gdy wiozła ich ulicą w skrzynce christianii. Pamiętała, jak Theis policzył się z miejscowymi chuliganami, którzy znęcali się nad Amirem. Choć miał łagodną naturę, nie silił się wtedy na delikatność. Poskutkowało.

Bronił Amira. Zdjęcie chłopca w szkarłatnej skrzynce christianii zostało utrwalone na blacie.

Nanna...

– Dopadną go – rzekł w końcu. – W końcu go dopadną.

– Ty się na tym znasz?

Zgromiła go wzrokiem, układając talerze.

– Nigdy nie zbiorą tylu dowodów, żeby ci wystarczyło, prawda? Nie...

Twarz mu się zmieniła, odmalowała się na niej wściekłość.

Wstał od stołu, stanął przed nią.

– Czy ja cię zawiodłem? Jestem złym mężem? – Oczy miał znowu przebiegłe, ale pełne bólu. – Złym ojcem?

– Nie powiedziałam tego. Powiedziałam, że ty wiesz akurat doskonale, że policja nie znajduje wszystkiego, co powinna. Nie każ mi w nią wierzyć.

Próbował objąć ją w talii. Wykręciła mu się.

Birk Larsen zaklął, chwycił skórzaną kurtkę.

– Idę do domu.

– Idź.

Znowu zaczęła myć naczynia.

– Idź do swojego głupiego domu, schowaj się.

– Co?

– Tak właśnie robisz, gdy pojawiają się trudności. Prawda? Uciekasz?

Odstawiła naczynia, ściągnęła rękawice, obróciła się twarzą do niego. Z dreszczykiem okrutnej odwagi znalazła słowa, których nigdy wcześniej nie wypowiedziała.

– To samo robiłeś z Nanną.

– Co to ma znaczyć, do cholery?

– Gdy chciała rozmawiać. Nigdy nie miałeś czasu. A potem szedłeś. Do garażu. Pogadać z Vagnem. Dokądkolwiek. Nie mam racji?

– Nie. – Przysunął się do niej o krok. – Nie masz.

Pernille zebrała talerze ze stołu, usunęła z nich resztki jedzenia. Chłopcy wyszli z Lotte. To dobrze.

– Dlaczego ona miała tyle tajemnic? Dlaczego nic nie wiedzieliśmy o jej życiu?

– Bo miała dziewiętnaście lat! Czy ty w jej wieku chciałaś, żeby twoi rodzice wiedzieli, co robisz? Poza tym... wyście były nierozłączne...

– Bo ciebie nie było.

Ryknął jak ranny lew, wściekle i boleśnie.

– Pracowałem! Płaciłem za jej szkołę. Płaciłem za wszystko. To ty jej pozwalałaś robić, co chce. Wychodzić na noc, wracać Bóg wie kiedy, nie mówić z kim ani po co.

– Nie ja, nie.

– Tak, ty. W ogóle cię to nie obchodziło.

W jej oczach zabłyśły łzy gniewu.

– Jak możesz tak mówić? Jak śmiesz tak mówić? Nie mogłam zasnąć, dopóki nie wróciła do domu.

– I to coś zmieniało?

– Przynajmniej się na niej nie wyżywałam.

– I zobacz, do czego to nas doprowadziło.

Ręką zatoczył koło po pustej kuchni.

– Popatrz – powiedział. – Popatrz...

Ale jej już nie było. Pobiegła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jadł kanapki przy biurku. Nie wychodził z garażu. Nie chciało mu się pracować.

Wszedł Vagn Skærbæk. Czarna czapeczka, czerwony kombinezon, rażny krok jak zawsze, srebrny łańcuch na szyi.

– Idziemy z Rudim do domu. Idziesz z nami?

Birk Larsen skulił się nad biurkiem i nieskończonym jedzeniem, z papierosem w garści. Pokręcił głową.

– Mogę coś zrobić, Theis?

Birk Larsen zdusił papierosa w kanapce. Skærbæk przysunął sobie krzesło, oparł łokcie na stole.

– Wiesz, ile ona dla mnie znaczyła, prawda? – powiedział. – Ty i Pernille. Chłopcy. Nanna. Jesteście moją rodziną. Nie mogę na to patrzeć.

Birk Larsen patrzył na niego.

– To nie w porządku, Theis.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Dobra – odparł Skærbæk.

Nie wyszedł. Siedział i czekał.

– Co ja mam zrobić? – odezwał się wreszcie Birk Larsen.

– Nie mam pojęcia.

Birk Larsen wstał. Był o głowę wyższy do Skærbæka. Rok starszy. O wiele silniejszy. Król dzielnicy. W każdym razie kiedyś.

– To zostaje na zawsze – powiedział.

– Co?

– To, co zrobiłeś. Kim jesteś.

Birk Larsen kiwnął na kluczyki od ciężarówek na ścianie.

– Nie jedź do domu, Vagn – rzekł. – Niech Rudi jedzie sam.

– Dobra.

– Mam lepszy pomysł – rzekł wielki człowiek.

Ludzie Svendsena znaleźli Mustafę Akkada, gdy wracał do garaży przy Nørreport. Wpadł prosto w ręce pracującego tam zespołu. Już o piątej po południu siedział w pokoju przesłuchań z tłumaczką. Lund przyglądała się przez szybę. Rozmawiała przez telefon z Markiem, mówiła mu, żeby sobie znalazł coś do jedzenia. Wszedł Meyer i wtedy się rozłączyła.

– Nic nie powie – oznajmił.

– Jeszcze zobaczymy – mruknęła i ruszyła do pokoju.

Nie poszedł za nią.

Stanęła.

– Co się dzieje? – spytała.

– On na pewno jest w to wplątany?

– Tak. A co?

– Ma czystą kartotekę. Pracuje. Ma czwórkę dzieci. Modli się pięć razy dziennie.

– Co z tego?

– To, że coś tu nie pasuje.

– Och, na miłość boską! Skąd ty się urwałeś? Przestępcy mają nosić plakietki czy co?

– Coś nie pasuje! Gdyby chciał, mógłby te wszystkie rzeczy z garażu pousuwać.

– Ale nie usunął.

– I wrócił. Na miejsce zbrodni. No proszę cię...

– Patrz i podziwiał – powiedziała i zdecydowanym krokiem weszła do pokoju przesłuchań.

Akkad był śniadym mężczyzną w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat. Skórzana kurtka lotnicza. Niechlujne, błyszczące czarne włosy. Przerazona twarz, która wyglądała zbyt młodo.

Lund siadła i rzuciła jakieś papiery na biurko.

– Oto, jak sprawa wygląda – powiedziała. – Jeśli nie będziesz gadał, zamknę cię w celi. Z kilkoma harleyowcami, których zgarnęliśmy za handel prochami w Christianii. Nie należą do zwolenników integracji, Mustafo. Czy może o tym nie wiedziałeś?

Ewidentnie się przejął.

– Czyli nie mamy problemów językowych. – Wskazała na drzwi. – Więc jak będzie? Cela? Czy gadasz? Słucham.

Tłumaczka wciąż przekładała.

– On tego nie potrzebuje – oznajmiła Lund. – Proszę nie tłumaczyć. Mówi do mnie po duńsku albo idzie się zapoznać z nowymi nacjonalistycznymi kolegami. Słucham.

Akkad nie odrywał wzroku od stołu.

– Słucham! – wrzasnęła. – Sądzę ma w nosie, co obiecałeś Kemalowi. I ja też. W trzy dni mogę ci załatwić nakaz deportacji. Nie zobaczysz już rodziny. Zapewnimy ci bezpośredni lot do ojczyzny.

Wymierzyła palec w jego twarz. To wreszcie przyciągnęło uwagę Akkada.

– W minutę osiem, Mustafa. Dopilnujemy, żeby na lotnisku zgłosiła się po ciebie policja. – Odczekała chwilę. – Jak tam policja w ojczyźnie? Uśmiechają się do ciebie tak jak my? Są mili?

Tłumaczka i tak przekładała. Lund odczekała, aż kobieta wyśpiewa swoje. To poprawiało atmosferę.

– Potem – podjęła, nim kobieta w burce umilkła – odwiedzę twoją żonę i dzieci. Sprawdzę ich papiery. Może ich też da się odesłać do domu.

Schował twarz w dłoniach.

– W ojczyźnie dasz radę pomagać im z więzienia? Pójdą do szkoły? Do szpitala za darmo? Odbiorą zasiłek, kiedy im się spodoba, podczas gdy wszyscy inni pracują? Czy może będą żeбраć na ulicach jak każdy...

– Ja pracuję! – ryknął.

Uzbrojony mundurowy stojący w drzwiach zbliżył się o krok do stołu.

– Pracuję całą dobę na okrągło.

– I dobrze mówisz po duńsku. – Lund skrzyżowała ramiona i rozsiadła się wygodnie. – Skąd więc to milczenie?

– To nie jest to, co pani myśli.

Meyer przyniósł sobie krzesło.

– Więc co? – spytał.

Mustafa Akkad pokręcił głową.

– Rama to dobry człowiek. Musicie mi uwierzyć. – Wbił w Lund intensywnie spojrzenie. – On by nikogo nie skrzywdził.

Opadł na oparcie, zamknął oczy.

– Tylko zrobił coś głupiego.

– Co? – spytała.

– Poszedłem do niego w piątek wieczorem. Wiedział, że dziewczyna przyjedzie. Ja mówiłem, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. – Wzruszył ramionami. – Ale on gdzieś musiał z nią pójść. Przyjechałem i zobaczyłem,

że dziewczyna jest ranna. Bito ją. Ledwie mogła chodzić. Zanieśliśmy ją do samochodu i zawieźliśmy do mojego garażu. Żeby ją ukryć przed jej rodziną. Potem wyszedłem...

– Przed rodziną? – przerwała mu Lund. – O czym ty mówisz?

– O dziewczynie. Pytacie mnie ciągle o dziewczynę. Mówię... o tej dziewczynie, której Rama pomógł.

– Jakiej dziewczynie?

Mustafa Akkad powiedział bardzo powoli:

– O dziewczynie ze zgromadzenia jego ojca. Tej, o którą ciągle pytacie. Córka Abu Dżamala. Leyla. Chcieli, żeby wyszła za chłopaka z ojczyzny, tak żeby on mógł tu przyjechać. Próbowala uciec.

– Cholera – mruknął Meyer.

– Gdyby ją znaleźli, to nie wiem, co by zrobili. – Spojrzał na nich spod łba. – A na policję nie za bardzo można liczyć. Więc Rama ją ukrył. W moim garażu. A potem gdzieś ją wywiózł w niedzielę. Nie wiem gdzie.

Meyer znowu zaklął, po czym wstał i wyszedł z pokoju. W ciemnym korytarzu zapalił papierosa. Spojrzał przed siebie.

Na końcu korytarza stała żona Kemala. Wielka w starym anoraku khaki. Z telefonem w ręku.

– Rama nie wrócił do domu – powiedziała, nie witając się nawet. – Gdzie on jest?

– Nie wiem. Nie jestem jego niańką.

– Pojechał po zakupy. Nie odbiera telefonu.

Lund podeszła do drzwi i słuchała.

– Zostawiłam mnóstwo wiadomości. Ani razu nie oddzwonił. – Pokazała Meyerowi telefon. – Zawsze dzwoni.

Lund weszła do gabinetu Svendsena. Siedział nad kubkiem kawy i wyglądał na odprężonego.

- Gdzie jest Theis Birk Larsen? – spytała.
 - Ostatnio chyba był w domu.
 - Mówiłam, żebyś go śledził.
 - Daj mi milion ludzi, a może spełnię promil twoich życzeń.
 - Dowiedz się, gdzie on jest – poleciała.
- Podniósł kubek i wzniosł nim toast.

Piętnaście po szóstej czerwona furgonetka zajechała pod drzwi opuszczonego magazynu. Skærbæk wysiadł pierwszy, rozejrzał się.

W niedzielny wieczór nikt raczej nie zachodził do tej części miasta.

Vagn spojrzał w prawo, spojrzał w lewo. Pamiętał dawne czasy, gdy wraz z Theisem pracowali na ulicach. Dobry zespół. I dobrzy partnerzy, na ogół.

– Czysto – powiedział i załomotał do drzwi kierowcy. Wyjął kartę, otworzył zamki, podniósł drzwi żaluzjowe, po czym pomógł Theisowi wjechać. Cofnął się i patrzył, jak Birk Larsen wprowadza pojazd do pustawego wnętrza.

Przejechał pociąg. Zagwizdał. Gołębie rozpierzchły się po magazynie, łopocząc nerwowo skrzydłami.

Skærbæk włączył światło, po czym opuścił drzwi.

Dawne czasy.

Birk Larsen przyniósł ze sobą młot. Skærbæk kilof. Stanęli przy furgonetce i leniwie zakołysali narzędziami. Jak kiedyś.

– Theis...

– Cicho.

Skærbæk zamilkł. Patrzył. Myślał.

To Birk Larsen podszedł na tył samochodu, odblokował drzwi i otworzył je.

Nauczyciel kucał przy półce. Wciąż udawał białego.

Elegancka czarna kurtka, drogi szalik, lśniące buty.

Skærbæk miał latarkę. Poświecił mężczyźnie w oczy.

Kemal wstał, wysiadł z trudem, rozchylił ramiona i spojrzał na nich.

Wściekły i przerażony jednocześnie.

– Posłuchajcie – zaczął błagalnie. – Ja nic nie zrobiłem. Powiedziałem wszystko, co wiem. Powiedziałem policji...

Birk Larsen obrócił młot, chwycił go za obuch, zamachnął się i walnął Kemala w brzuch.

Ten padł z wrzaskiem. Birk Larsen kopnął go w głowę, patrzył, jak zwija się na podłodze, podciągnął go w górę za skórzaną kurtkę i cisnął nim o furgonetkę.

Stał obok Skærbæka i czekał.

– Pańska córka była u mnie przez minutę – wydyszał Kemal, ocierając krew z ust. – Odniosła mi książki. Potem wyszła.

Birk Larsen obrócił młot obuchem do dołu i kołysał nim jak wahadłem.

– Tamtej nocy była tam jeszcze jedna dziewczyna. Ktoś, komu pomagałem. Nie mogłem panu powiedzieć. Nie mogłem powiedzieć policji.

Skærbæk otarł nos rękawem, puknął trzonkiem kilofa w burtę furgonetki.

– Wiem, że powinienem panu powiedzieć, ale nie mogłem – krzyczał Kemal. – Nie kłamię.

Birk Larsen kiwnął głową. Spojrzał na Skærbæka.

– Daj mi jego telefon – powiedział.

– Theis... – zaczął Skærbæk.

– Dzwon do niej – rozkazał Birk Larsen, podając Kemalowi komórkę.

Ten stanął przy furgonetce, oparł się o nią plecami, sztywny, obolały i przerażony.

– No już! – rozkazał Birk Larsen. – Dzwon do dziewczyny.

Rahman Al-Kemal wciskał klawisze drżącymi palcami.

Gdy tylko się dowiedziała, ruszyła własnym wozem. Teraz jechała ulicą, słuchając radia.

– Mamy możliwe porwanie – mówiła centrala. – Poszukiwany pojazd o numerze rejestracyjnym PM 92 010. To czerwony dostawczak firmy Birk Larsen. Przeprowadzki. Wyjechał z garażu około osiemnastej.

Meyer kompletował ekipę. Ona lubiła być sama, zbierać myśli.

– Theis Birk Larsen ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Wiek z wyglądu czterdzieści pięć lat. Należy zachować ostrożność. Może być agresywny. Zatrzymać niezwłocznie.

Lund wstawiła telefon do uchwytu i zadzwoniła do Meyera.

– Co wiesz?

– Gdzie ty jesteś, do cholery? Nie możesz tak sobie wychodzić i mnie zostawiać.

– A jednak wyszłam.

– Mamy negocjatora od porwań.

– To nie jest porwanie, Meyer. On chce go zabić. Co wiesz?

– Znaleźliśmy samochód Kemala w pobliżu jego domu. Są ślady walki.

Birk Larsen wziął furgonetkę.

Jechała do Vesterbro. To był teren Birk Larsena. Pewnie...

– Adresy – powiedziała. – Daj mi adresy.

– Gdzie jesteś, do cholery?

– Adresy!

Westchnął.

– Sprawdziliśmy garaż i magazyn obok. Problem w tym, że on ma pakamery w całym mieście.

– Nie ma magazynu w Tegllholmen?

Na południe od Vesterbro rozciągał się wielki park przemysłowy. Spośród odludnych terenów ten leżał najbliżej domu Birk Larsena.

Usłyszała szelest wertowanych kartek.

– Ma, ale nie używał go od pół roku.

– Co mówi Pernille?

– Ściągnąłem ją tu. W ogóle się do mnie nie odzywa.

– Spytaj jego kompana Skærbæka. Gdyby Theis miał wziąć kogoś do pomocy, to jego.

– Tak – odparł Meyer. – Ja też kojarzę to i owo. Skærbæka nie ma w domu. Obaj mają wyłączone komórki.

– Cholera.

– Używał karty kredytowej na stacji na Enghavevej jakieś półtorej godziny temu. To w Vesterbro, trzy ulice od jego mieszkania.

Lund zjechała na prawy pas. Zbliżała się do skrętu na Vesterbro, przy centrum handlowym Fisketorvet. Zbiegało się tutaj kilka ulic. Mogła się skierować w dowolny punkt miasta.

– Czekał – poleciał. – Dobra. Mamy rozmowę z komórki Kemala, namierzoną na P. Knudsens Gade. Spojrzę na mapę...

Ona wiedziała, gdzie to jest.

– Jedzie na południowy wschód, do Valby.

– Nie. Nie jedzie. Sprawdziłam adres w Valby.

– Na miłość boską, Lund. Może wjeżdża na autostradę. A Avedore? Mają tam magazyn.

Wjechała w strumień samochodów.

– Użyłby własnego magazynu?

– Mnie się skończyły pomysły. Ty jakieś masz?

– Birk Larsen nie jest głupi. Wie, że mamy listę magazynów.

– Tak! – krzyknął Meyer. – I nie mamy nic poza tym. Wymyśl coś, dobra? Bo ja, kurna, nie daję rady.

– Skąd była rozmowa?

– P. Knudsens Gade.

– Zajrzę tam. Powiedz żonie, że lepiej, żeby zaczęła z tobą rozmawiać, jeśli chce jeszcze zobaczyć męża.

– Tak.

Do P. Knudsens Gade miała pięć minut drogi. Była to szeroka, dwujezdniowa droga obsadzona nagimi drzewami, biegnąca równoległe do autostrady.

Domy i biura. Jasno oświetlone.

Żadne miejsce zbrodni.

Birk Larsen zerknął na zegarek.

Kemal wciąż wybierał numer. Ani razu się nie połączył. Siadł w otwartych drzwiach furgonetki i wciskał guziki – bezskutecznie.

– Musiałem tej dziewczynie pomóc – mówił w rosnącej desperacji. – To było aranżowane małżeństwo. Rozumiecie? Wiecie, co to znaczy?

Vagn Skærbæk oparł się ścianę. Oczy miał zamknięte i wyglądał na znudzonego.

– Nie mogłem nikomu powiedzieć. Gdyby znaleźli ją rodzice, znowu by jej zrobili krzywdę. – Kemal się zawahał. – Może nawet by ją zabili.

– I? – Birk Larsen kołysał młotem jak wahadłem w zegarze zwalniającym do zera.

– Bałem się, że ją wyśledzą. Uciekła z domu.

Skærbæk otworzył oczy, spojrzał na niego i rzekł:

– Gadasz jak człowiek, który kopie sobie własny grób.

– Dlaczego nie oddzwoniła? – spytał Birk Larsen.

– Nie wiem! Skąd mam wiedzieć? Nanna przyszła oddać mi książki. Wtedy widziałem ją po raz ostatni....

– Powiedziałem, żebyś się zamknął – wrzasnął Skærbæk, a potem walnął go na odlew w głowę.

– Nie ma żadnej dziewczyny – powiedział Birk Larsen. – Kłamiesz.

– Nie! Zostawiłem jej wiadomość. Oddzwoni za chwilę.

– Długą chwilę – jęknął Skærbæk.

Nagle telefon zadzwonił. Kemal spojrział nerwowo na wyświetlacz „Leyla”. Numer.

Odebrał, wstał, pokazał im.

Birk Larsen podszedł do niego, wziął komórkę. Odebrał.

Głos.

Podał telefon Kemalowi. Wcisnął głośnomówiący. Słuchali we trzech.

– Leyla? Mówi Rama.

– Rama? – Wydawała się śpiąca. – To ty?

– Nie bój się – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. – Odchrząknął. – Bardzo potrzebuję twojej pomocy. Musisz powiedzieć, co się stało w piątek, jak do mnie przysłaś.

W słuchawce zapadła cisza.

– Halo? – powiedział.

– Skąd dzwonicz?

– Nieważne. Pamiętasz dziewczynę, którą widziałaś? Dziewczynę z mojej szkoły? Jest tu ze mną jej ojciec. Powiedz mu, co się wtedy stało. To ważne. Powiedz mu, że przyniosła mi książki...

– Nie mów jej, co ma mówić, kretynie! – wrzasnął Skærbæk.

Dziewczyna przeszła na arabski. Kemal też.

– Hej! Hej! Bin Laden! – krzyczał Skærbæk. – To Dania. Mów po duńsku. Jasne?

Birk Larsen chwycił telefon, przyłożył do ucha.

– Halo! – odezwał się. – Halo?

Spojrzął na telefon – rozmowa została zakończona. Przeniósł wzrok na Kemala, jego oczy błyskały złowrogo w półmroku.

Jedna chwila.

Jedna decyzja.

Nauczyciel pobiegł za drzwi furgonetki. Skærbæk krzyknął i pognął za nim. Opierając się ręką o czerwoną blachę, Kemal trzasnął nimi w twarz Vagna, chwycił trzonek kilofa i walnął nim mocno w klatkę piersiową Birk Larsena, gdy wielkolud podbiegł do niego.

Biegł po swoje życie.

Dyszał.

Przerażone gołębie trzepotały skrzydłami.

Poczuł, że coś podrywa mu nogi.

Leżał na ziemi, pierś unosiła się ciężko. Nad nim w bladym fluorescencyjnym świetle Birk Larsen robił zamach młotem. Obuch płynął powoli idealnym łukiem.

Siedziała naprzeciwko Meyera w słabym świetle biura.

– Pernille – powiedział. – Musi nam pani pomóc. Kemal nie zabił państwa córki. Nie miał z tym nic wspólnego. Theis go porwał. Rozumie pani...?

– Nie – krzyknęła. – Nie rozumiem! Najpierw to był ten chłopak, Schendorff. Potem nauczyciel. Nie rozumiem!

– Jeśli Theis robi krzywdę Kemalowi, pójdzie do więzienia. Rozumie to pani?

Milczała przez chwilę.

– Theis by go nie skrzywdził.

– Naprawdę?

Meyer wziął z biurka plik zdjęć. Zakrwawione ciało w Christianii.

– Dwadzieścia lat temu zamordowano handlarza narkotyków.

Spojrzała na ponure fotografie, nawet nie drgnęła.

– Uważano, że to robota Theisa. Domyślam się, że mniej więcej w tym czasie się poznaliście. Nic pani nie podejrzewała...?

– Wszyscy się z wiekiem zmieniamy. Za młodu byliśmy inni.

Wpatrywała się w Meyera.

– Pan nie?

– Może. Teraz jednak jest problem. On popełnia wielki błąd.

Wzięła do ręki zdjęcia, spojrzała na nie, obróciła.

– Już mówiłam. On by tego nie zrobił.

– Zawsze sądziłem, że to Vagn dostarcza alibi.

– Pieprz się pan.

– Vagn jest z nim. Nie wywiną się z tego. – Pochylił się do przodu. – Niech mi pani pomoże. Niech pani pomoże Theisowi.

– On by tego nie zrobił – powtórzyła bardzo powoli.

Zza okna dobiegł dźwięk syren. Radiowozy ruszały w noc.

– Wiem, że straciliście córkę. Ale Kemal jest niewinny. Jego żona spodziewa się dziecka. To dobry człowiek. Proszę nie pogarszać sytuacji. Musi mi pani pomóc. Muszę wiedzieć, gdzie jest Theis.

Obserwował ją.

Cisza.

– Możemy tu siedzieć całą noc – podjął. – Ja mam czasu w bród. A pani? Zgromiła go wzrokiem. Nienawidzą cię, nawet jak starasz się im pomóc, pomyślał.

– Per....

– Jest taki jeden magazyn. Opuszczony. Theis rzadko z niego korzysta.

– Jaki to adres?

– Nie pamiętam. To aż na Teglholmen. Gdzieś tam.

Lund jeździła w tę i z powrotem i patrzyła, patrzyła.

Wreszcie w ciemnościach na samym końcu drogi dojrzała czerwony sztyld, prawie niewidoczny zza płotu.

„Birk Larsen. Przeprowadzki”.

Zadzwoił telefon.

– Jedziemy do Tegllholmen – odezwał się Meyer. – On gdzieś tam jest. Wezwałem też grupę szybkiego reagowania.

– Ja już tu jestem – odparła.

– Co?

– Birk Larsen ma garaż na terenie przemysłowym. Światła się tam palą.

Podawała mu namiary.

– Jedzie ze mną Pernille – podjął Meyer. – Będziemy na miejscu za dwie minuty. Czekać na nas. Lund? Lund?

Wsadziła telefon do kieszeni, wysiadła z wozu i poświeciła latarką na bramę.

Otwarta.

Weszła.

Zimna, ciemna noc. Cienka warstwa chmur. Półksiężyc. Zero wiatru. Żadnych dźwięków, żadnych oznak życia.

Tylko światła w całym budynku.

Boczne drzwi pokryte graffiti. Otwarte. Weszła, świecąc latarką.

Krótki korytarz. Światło na końcu.

Krzyk mężczyzny. Wyraźny i głośny, pełny udręki i strachu.

Lund ruszyła biegiem.

Nie chciał go zabić. Jeszcze nie. Chciał usłyszeć. Teraz już nie trzymał młota, tylko trzonek kilofa Skærbæka. I uderzał nim w brzuch Kemala, jego klatkę piersiową i kończyny.

Na podłodze była krew. Jedno z ramion Kemala wisiało dziwnie, złamane w łokciu. Birk Larsen znowu wziął zamach, walnął go w tę

ciemną, przystojną twarz.

Kolejny krzyk i ani słowa.

– Theis – odezwał się Skærbæk.

Stał, przestępując z nogi na nogę, nic nie robił, tylko patrzył i pomrukiwał.

Birk Larsen obszedł krwawy stos na podłodze, myśląc, w co by go teraz uderzyć. Kopnął Kemala w głowę.

– Dobra, Theis – powiedział Skærbæk.

Kolejny cios drewnianym członkiem, kolejny krzyk.

– Theis, na Boga! On ma już dość. Może...

Birk Larsen spojrzał na niego strasznym wzrokiem, z twarzą zaciętą, zwierzęcą, przerażającą.

– Może co?

– Może mówi prawdę.

Birk Larsen zaklął, znowu zamachnął się trzonkiem, uderzył Kemala w żebra.

Poszedł po młot.

– Theis! – błagał Skærbæk.

Głos z ciemności.

– Theis Birk Larsen! Tu Sarah Lund.

Skærbæk zebrał się na odwagę, stanął między Birk Larsenem a mężczyzną.

– Daj spokój – powiedział. – Skończyliśmy.

– Uciekaj, Vagn! – ryknął wielkolud i jedną wielką ręką cisnął go jak szmacianą laleczkę. Skærbæk uderzył o bok furgonetki.

Młot się podniósł, popieścił kark Skærbæka, cofnął się na chwilę.

I nagle Vagn Skærbæk zniknął.

Ręka chwyciła Kemala za zakrwawioną szyję i dźwignęła go z ziemi.

– Do góry! – rozkazał Birk Larsen. – Do góry! Na kolana.

Tak jak w telewizji. W nagraniach egzekucji. Mężczyźni z zawiązanymi oczami, gdzieś w dalekich krajach. Czekaający na śmierć.

– Theis! – krzyk stawał się głośniejszy, wyższy, zbliżał się. – Przestań! Przestań!

Ale nim miotała gorączka i gniew. Zawsze miał problem z wyciszeniem.

Słyszał ją, jak biegnie po cementowej podłodze. Spojrzał. W ostrym fluorescencyjnym świetle zobaczył niebieskie džinsy i ten czarno-biały sweter.

– Kemal jest niewinny! – krzyknęła. – Posłuchaj mnie. On nie ma z tym nic wspólnego.

Nauczyciel dygotał na czworakach, krew z ust kapłała na ziemię. Birk Larsen kopnął go mocno w żebra, chwycił za włosy.

– Powiedziałem: wstawaj – warknął i spojrzał w posiniaczoną i krwawiącą twarz.

Młotem musnął go po karku. Jeden cios. Wymierzony klęczącemu mężczyźnie. Sprawiedliwość.

– Wstawaj! – wrzasnął.

W świetle reflektorów furgonetki na ścianę padały cienie postaci. To było właściwe miejsce, właściwa pozycja. Tu i teraz ból się skończy.

Od wejścia pędziła kolejna postać.

– Theis! Odłóż to! On tego nie zrobił.

Gadatliwy, wyłupiastooki gliniarz o wielkich uszach.

Młot. Jeden długi, silny zamach.

Usłyszał szcęk zamka pistoletu, zobaczył kątem oka, że gliniarz o nazwisku Meyer mierzy teraz do niego, gotów do akcji.

Strzał. W pustym magazynie zabrzmiał jak pęknięcie balonu. Birk Larsen zamrugał powiekami, zawahał się. Pogubił.

I trzecia postać. Płowy płaszcz. Długie włosy. I twarz, ta droga twarz.

Pernille stanęła obok nich, wpatrując się w niego z otwartymi ustami.

To ja, pomyślał Birk Larsen. Ten, o którego istnieniu wiedziałaś, chociaż nie miałaś śmiałości zapytać.

To ja.

Młot cofnął się po raz ostatni.

– Theis! – wrzasnął Meyer, celując w niego. – Posłuchaj. Odłóż to. Zastrzelę cię, zanim go dotkniesz. Przysięgam.

Pernille minęła ich, podeszła prosto do Birk Larsena i krwawego stosu na brudnej podłodze.

– Odłóż to! – wrzeszczał gliniarz. – Nie rób nic głupiego.

Zawahał się i to wystarczyło. Nim znowu był gotów, przybyli kolejni i teraz trzy czarne pistolety celowały w jego twarz.

Jakby to go mogło powstrzymać...

Ale była też Pernille, o krok, jej blada, zboląta twarz w ostrym świetle świetlówek. Pernille wpatrująca się w niego, jakby mówiła: Wiedziałam, ale nie chciałam wiedzieć.

– Theis – powiedziała. – Odłóż to.

Odłożył.

Rie Skovgaard i Morten Weber skończyli pracę z telefonami. Hartmann osobiście zadzwonił do jeszcze kilku osób. Porozmawiał z szefostwem policji, a potem, dokładnie o ósmej, wszedł na spotkanie.

Zaczął Knut Padde.

– Musimy, niestety, uchwalić wotum nieufności wobec Troelsa Hartmanna. Mogę...?

– Marnujemy czas – dodał ze znużeniem Henrik Bigum. – Wszyscy wiemy, do czego to zmierza.

– Nie martw się, Henriku – odezwał się Hartmann. – Głosowanie nie będzie konieczne.

– Przykro mi, Troels. Będzie. Podjęliśmy już decyzję.

– Jeśli chcecie, wycofam się. Nie musicie głosować. No chyba że... – uśmiechnął się do Biguma – ...nad tym, kto ma zająć moje miejsce.

– Nie, Troels! – zaprotestowała Elisabet Hedegaard. – Dlaczego? Po co to robić? Henrik mówi za siebie, zawsze...

– Wycofanie się też wchodzi w grę – przyznał Bigum. – Jeśli taki jest twój wybór.

Wyjął długopis z marynarki. Podał go Hartmannowi.

– Nie sprawdzałeś telefonu, Henrik? Nie masz wiadomości na sekretarce? Żadnych wskazówek z biura Bremera? Nawet żadnych newsów?

Bigum roześmiał się i pokręcił głową.

– Myślałem, że zachowasz odrobinę godności. Rezygnuj i miejmy to za sobą.

– Właśnie rozmawiałem z wysoko postawionym funkcjonariuszem policji odpowiedzialnym za śledztwo w sprawie Birk Larsen – ciągnął Hartmann. – Mają nowy dowód, który ostatecznie rozstrzyga o niewinności nauczyciela. Za kilka minut ten człowiek wystąpi w telewizji. Jeśli chcecie mnie wyrzucić za bronienie niewinnego człowieka, to wasze prawo. Jak to wpłynie na szanse mojego następcy...

– Powiedz coś, Knud! – ryknął Bigum.

Padde siedział z rozdziawionymi ustami, nie umiejąc zdecydować, po której stronie stanąć.

– Może powinniśmy się zastanowić – rzekł w końcu. – Jednak nie głosować. Jeśli to, co Troels mówi, jest prawdą, musimy poznać fakty.

– Fakty! – Bigum wpadł we wściekłość. – Fakty są takie, że Hartmann spieprzył sprawę od początku do końca. Jeśli się dacie nabrać na takie chwyt...

Hartmann trzymał filiżankę kawy. Spojrzał na nią. Kazał im czekać.

– Myślę – rzekł – że wszyscy powinniśmy się z tym przespać i wrócić do rozmowy rano. Co to jest kilka godzin? Zgadźcie się?

Długą ciszę przerwało tylko przekleństwo Henrika Biguma, który wstał i wypadł z sali. Elisabet Hedegaard ścisnęła Hartmannowi rękę, uśmiechnęła się do niego promiennie, przechyliła się i wyszeptwała:

– Dobra robota.

Dziesięć minut później Troels siedział sam w swoim biurze, przed telewizorem.

„Wiadomo już na pewno, że wzór osobowy Troelsa Hartmanna został oczyszczony z wszelkich podejrzeń” – mówił prezenter.

Reporter ścigał Poula Bremera korytarzem ratusza, podsuwając mu mikrofon pod nos.

„Cieszę się, że sprawa zakończyła się pomyślnie dla Hartmanna – mówił Bremer bez przekonania. – Ale widzieliście, jak on się zachowywał. Paraliżowało go niezdecydowanie. Przecież Troels Hartmann nie nadaje się na burmistrza. Nie sprosta temu zadaniu”.

Wszedł Weber, choć raz promiennie uśmiechnięty.

– Dzwonią tłumy ludzi, Troels. Prasa bardzo by chciała z tobą rozmawiać. Wszyscy się cieszą z takiego rozwoju wydarzeń.

Tuż za nim weszła Skovgaard.

– Nawet w parlamencie – dodała. – Ludzie lubią zwycięzców.

Na ekranie pojawiła się Kirsten Eller, zadowolona, przed swoim biurem.

„To cudowna chwila – powiedziała. – Dowodzi, że Troels Hartmann jest godną zaufania alternatywą dla Bremera. Dlatego właśnie od początku

pokładamy w nim wiarę”.

Hartmann odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

Potem wyłączył telewizor.

– Prasa... – zaczęła Skovgaard.

– Nie chcę z nimi teraz rozmawiać. Dopiero jutro. Wydadź oświadczenie, że cieszę się, że sprawiedliwości stało się zadość. Morten?

Weber sięgnął po notatnik.

– Nasilamy kampanię plakatową. Skupiamy się na polityce integracji. Dopilnuj, żeby wspominać o wzorach osobowych. Jakim są sukcesem. Och...

Sięgnął po płaszcz.

– Chcę zwołać jutro kolejne spotkanie komitetu. Teraz do nikogo nie dzwońcie. Powiadomcie ich dopiero rano. Każdemu, kto był tu dzisiaj, przekażcie, że ma się stawić.

– Krótki termin.

– Oni też nie dali mi dłuższego.

Weber odszedł powoli.

Troels Hartmann podał Rie Skovgaard jej płaszcz. Dawno nie wyglądała na tak szczęśliwą. I tak pięknie, choć jednocześnie znać było po niej zmęczenie. Wszystkich zmuszał do zbyt wielkiego wysiłku.

– Jestem głodny – powiedział. – I musimy pogadać.

Theis Birk Larsen siedział w pokoju z dwoma mundurowymi, którzy przeglądali dokumenty. Lund i Pernille przyglądali mu się zza szyby.

– Co teraz będzie?

– Postawimy mu zarzut – odrzekła Lund.

– Dokąd trafi?

– Do aresztu.

Mundurowi kiwnęli na wielkoluda w czarnej kurtce. On wstał, wyszedł z nimi.

– Kiedy będzie mógł wrócić do domu?

Lund nie odpowiedziała.

– Mamy dwóch synów. Kiedy on wróci do domu?

– To zależy od zarzutu.

– Pójdzie do więzienia?

Lund wzruszyła ramionami.

– To wszystko pani wina, Lund. Gdyby nie pani...

– Przepraszam.

– Przepraszam?

– Zamówię samochód, żeby odwiózł panią do domu. Ktoś się z panią skontaktuje po rozprawie.

– To wszystko?

– Pernille... – Zastanowiła się, czy warto to mówić. Czy to cokolwiek zmieni. – Nie jesteśmy wyjątkowi. Jesteśmy tacy sami jak pani. Jeśli ktoś nas okłamuje, myślimy o nim źle. Nie wiemy, czy robi to ze słusznych pobudek, czy z niesłusznych. My tylko wiemy... że kłamie.

Pernille Birk Larsen stała w jednym z pokoiów Komendy Głównej Policji sztywna z wściekłości.

– Myśli pani, że ja w tej chwili kłamię?

– Myślę, że jeszcze mnóstwa rzeczy nie wiemy.

Czekała.

– Świetnie – warknęła Pernille i wyszła.

Meyer przeglądał przy biurku ostatnie dokumenty.

– Muzułmanka złożyła zeznanie. – Wyglądał jak zmęczony uczeń w tej zapinanej na zamek kamizelce i T-shircie w paski. – Potwierdziła alibi

Kemala. Powiedziała, że to jej bluzkę znaleźliśmy. Rozmawiałem z Kemalem.

Słuchała jednym uchem. Wpatrywała się w zdjęcia na ścianie. Samochód. Kanał. Las Zielonoświątkowy.

– Lekarze mówią, że wyzdrowieje – dodał Meyer. – On nie chce składać skargi.

– To nie zależy od niego.

– Możesz tak więcej nie robić, Lund?

– Jak?

– Że znikasz bez słowa.

– Birk Larsen będzie oskarżony o bezprawne pozbawienie wolności i ciężkie uszkodzenie ciała. Na początek.

Meyer zapalił papierosa, wypuścił dym w sufit.

– Zrobiliśmy, co trzeba – upierała się Lund.

– Nic nie zrobiliśmy. Ojciec ofiary idzie do więzienia. Kemal jest w szpitalu. Jezu...

Pukanie do drzwi. Svendsen. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Buchard chce się z wami spotkać jutro rano.

– Dzięki za śledzenie Birk Larsena – zawołała za nim Lund. – Jak prosiłam.

Svendsen zgromił ją wzrokiem.

– Jeśli składasz za dużo próśb, Lund, realizujemy je w porządku alfabetycznym. Rozmawiałam już o tym z szefem. On się wyraża jasno na ten temat.

– W jakiej sprawie chce nas widzieć? – spytał Meyer.

Svendsen się roześmiał.

– Komendant rozerwie go dzisiaj na kawałki. Pewnie chce się z wami podzielić swoim bólem. Dobrej nocy, śpijcie słodko.

Zamknął za sobą drzwi.

Meyer siedział wstrząśnięty i zmartwiony. Żuł gumę, a jego wielkie uszy poruszały się w przód i w tył. W każdym innym momencie wyglądałoby to zabawnie.

Lund dalej patrzyła na zdjęcia na ścianie.

– Nie biorę za to odpowiedzialności – powiedział Meyer. – Wstał i sięgnął po kurtkę. – Odmawiam.

Cieszyła się, że poszedł. Samej było łatwiej.

Wróciła do zdjęć. Nanna Birk Larsen. Miała dziewiętnaście lat, choć spokojnie mogłaby uchodzić za dwudziestodwu- czy dwudziestotrzylatkę. Kręcone blond włosy. Ładnie umalowana. Swobodnie, pewnie uśmiecha się do obiektywu. Zupełnie nie jak nastolatka.

Nadal nie znali tej dziewczyny. Coś im umykało.

Lund poszła po swoje rzeczy, mruknęła „dobranoc” i wyszła na korytarz.

Usłyszała za sobą kroki. Meyer. Biegł zdyszany, z błędnym wzrokiem.

– Lund... – zaczął. – Tak mi przykro...

– Co się stało?

– Był wypadek.

6_

PONIEDZIAŁEK_
10 LISTOPADA_

Spała na krześle przy szpitalnym łóżku. Bengt miał opatrunek na głowie, kroplówkę w prawej ręce i gips na lewej.

Nie obudził się. Nawet kiedy pochyliła się nad nim nisko i wyszeptała jego imię.

Poranne światło zaczęło się sączyć przez zakurzone okna. Lund się rozejrzała. Przynieśli tu trochę rzeczy, które miał ze sobą w samochodzie w chwili wypadku. Gdy rozbił się w drodze na most do Malmö.

Płaszcz. Szalik i sweter.

Czarna aktówka. Wystawało z niej kilka dokumentów. Miały policyjne pieczęcie.

Lund zerknęła na Bengta. Ciągle spał. Zaczęła przeglądać dokumenty.

Akta były grube, pełne oficjalnych raportów. Sekcje zwłok i szczegóły zbrodni. Zdjęcia i materiały kryminalistyczne.

Siadła, rozłożyła je przed sobą na podłodze, przeglądała jeden po drugim.

Skupiona przerwała dopiero, gdy się odezwał.

– Masz rację – powiedział Bengt zbolalym, ochrypłym głosem. – Robił to już wcześniej.

Lund przesunęła dokumenty, wstała i podeszła do niego.

– Jak się czujesz?

Nie odpowiedział.

– Podobno masz wstrząśnienie mózgu i złamaną rękę. Samochód nadaje się do kasacji. Miałeś szczęście.

– Szczęście?

– Tak, szczęście. Nie spałeś całą dobę.

– Tak się na ciebie wkurzyłem.

Nic nie powiedziała.

– Postanowiłem jechać do domu. Miałem dość. Jezu...

Lund zastanawiała się, czy się rozplacze. Czowała, jak szczypią ją oczy. Odpłynęła gdzieś myślami.

– Nie wiem, czemu taka jestem – powiedziała łagodnie. – Przepraszam. Nie radzę sobie. Czasami...

Ręka Bengta wysunęła się i chwyciła jej dłoń. Palce się splotły. Ciepło. Bliskość.

– Czytałem akta. To nie była zbrodnia z namiętności. To nie było nic typowego.

– Porozmawiamy o tym później – powiedziała i zastanowiła się, czy mówi szczerze.

– Może on ma coś na kształt metody – ciągnął Bengt z zamkniętymi oczami.

– Szukaliśmy jej. Nie znaleźliśmy w archiwum żadnej zbrodni, która by przypominała tę.

– To nie znaczy, że takiej nie ma. Wrzucił Nannę do wody. Widziałaś, jakiej. Na pustkowiu. Z dala od ludzi. Pewnie jest więcej rzeczy, o których nie wiesz.

– Później, Bengt.

– Nie. – W jego głosie usłyszała złość, oczy miał otwarte i błyszczące. – Nie później. Ty nie znasz znaczenia tego słowa. Słuchaj mnie. Nakręca go

to, że tylko on i dziewczyna wiedzą, jak i gdzie to się skończy. Dla niego to jest intymność. Jak romans.

– Później – powtórzyła i włączyła telewizor.

Oglądali razem wiadomości. Buchard wydał oświadczenie oczyszczające Kemala. Wyjaśnił, że został on podejrzanym na skutek fatalnego zbiegu okoliczności. Ani słowa o wprowadzaniu policji w błąd.

Tak to bywa. Albo ktoś jest bohaterem, albo łotrem. Żadnych szarości, żadnych stadiów pośrednich. Nie w oczach mediów. Podział czarno-biały. I żaden inny.

To samo w polityce, pomyślała, oglądając powtórkę ze sprzeczki Hartmanna i Bremera w trakcie wcześniejszej debaty.

W ich słowach, gestach, minach nic się nie zmieniło. Ale wcześniej wydawało się, że to Bremer ma przewagę. Jego poczucie wyższości było oczywiste, podobnie jak cień zwycięstwa w oczach. Teraz ten sam wywiad miał inny, przeciwny wydźwięk. Bremer kreujący się na męża stanu wydawał się sztuczny. Nierozważność i pozornie nierozsądna obrona nauczyciela w wydaniu Hartmanna wyglądała na odważną i dalekowzroczną.

O różnicy zdecydował kontekst. Ale by zrozumieć kontekst, człowiek potrzebował faktów, punktów odniesienia, dzięki którym mógł zająć stanowisko.

Tego wszystkiego brakowało w sprawie Birk Larsen.

– Lekarze mówią, że mogę wyjść jeszcze dzisiaj. – Bengt wyłączył wiadomości.

– Porozmawiam z matką. Możemy się wprowadzić do niej.

– Dość masz kłopotów. Wracam do Szwecji.

Poczuła przyływ... paniki?

– Dlaczego? – spytała.

– Jesteś zajęta. Mamy w domu robotników. Twoja matka uzna, że to dziwne.

Zamknął na chwilę oczy. Patrzyła na siniaki na jego twarzy. Zastanawiała się, kiedy zejda.

– To nic złego się pomylić – powiedział.

– Chcesz trochę wody?

Wstała. Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

– Nie martw się. Znajdziecie go. Cierpliwości.

Lund siadła na skraju łóżka.

– A jeśli nie znajdziemy?

– Znajdziecie.

– Jesteśmy w ślepych zaułku. Nie mam już żadnych pomysłów.

– A powinnaś mieć. Szukaj. Co wiesz na pewno?

– Nic.

– Przestań, Sarah. Wiesz, że to nieprawda.

– Dobra. W piątek trzydziestego pierwszego października Nanna Birk Larsen idzie na imprezę do swojego liceum. Wcześniej tego samego dnia kierowca dostarcza do szkoły materiały wyborcze Troelsa Hartmanna.

Lund wstała, zaczęła chodzić po pokoju, próbując to wszystko sobie poukładać.

– Kierowca źle się czuje. Gubi kluczyki do samochodu i jedzie do szpitala. Około dwudziestej pierwszej trzydzieści Nanna wychodzi z imprezy i odjeżdża na swoim rowerze. Ktoś znajduje kluczyki i jedzie za nią.

– Czekał, czekał – przerwał jej Bengt. – Zaraz. To nie może być spontaniczne. Nie może być tak, że on się natknął na kluczyki i popełnił zbrodnię.

Potrząsnęła głową.

– Ale tak jest.

– On nie działa pod wpływem impulsu. Planuje swoje działania, a potem zaciera ślady.

– Bengt! Samochód stał pod szkołą. Nikt nie mógł wiedzieć, że kierowca się pochoruje.

– To nie pasuje do profilu, który stworzyłem.

– A jeśli twój profil jest błędny? Wiem, że starasz się pomóc, ale... jeśli wszystko jest błędne? I nasze spojrzenie, i pomysł, że jest jakiś wzorzec. Jakaś logika.

Wzięła sobie wody.

– Dziewiętnastolatkę porwano, uwięziono i wielokrotnie zgwałcono. Straszliwie. Zwykle jest jakaś logika. Ale to...

– Zapomnij, co wiesz. Zapomnij wszystko, co ci powiedziałem. Wróć do początku. Potem cofnij się jeszcze głębiej. Jest w tym metoda, Sarah. Sposób działania, który on sobie ustalił.

Czekała.

– Nożyczki, mydło, rytuał... – Pokręcił głową. – Nie wierzę, że Nanna była pierwsza. Cofnij się głębiej. Aż coś znajdziesz.

– Głębiej – wyszeptała Lund.

Zobaczyła jeszcze raz Kalvebod Fælled przy Lesie Zielonoświątkowym. Czarny kształt wyłaniający się z wody. Węgorz przemykający po nagich nogach martwej dziewczyny.

Te wydarzenia zdecydowały o wszystkim, co nastąpiło później. Wydarzenia zaćmiły jej umysł.

Delikatnie pocałowała go w policzek, omijając siniaki, i rzuciwszy krótkie „dziękuję”, wyszła.

Czarny ford stał w garażu użytkowanym przez techników, w podziemiach kwatery głównej. Prowadziła do niego rampa wychodząca

na podwórko przy areszcie, w którym przebywał obecnie Theis Birk Larsen.

Teraz, po wyschnięciu, samochód wydawał się bardziej brudny. Był poplamiony błotem i oblepiony liśćmi. Wszystkie drzwi miał otwarte i stał wysoko na podnośniku.

Technik dał jej aktualne raporty, a Lund włączyła wielkie światła otaczające samochód. Wszędzie poprzyklejano ponumerowane oznaczenia, na oknach, na drzwiach, na panelu podłogowym.

Zerknęła do dokumentów. Nic nowego.

Lund zdjęła kurtkę, obeszła z dyżurnym pojazdu.

Smutny kredowy obrys zaznaczał w bagażniku miejsce ułożenia ciała. Lund miała wrażenie, że patrzy na niego po raz tysięczny. Włożyła jednorazowe rękawiczki, siadła na fotelu kierowcy, na fotelu pasażera. Sprawdziła lusterka, schowek na rękawiczki i schowki w drzwiach. Przesiadła się na tył i zrobiła to samo.

Mężczyzna, który został na zewnątrz, przyglądał się jej znudzony.

Poprosiła go, by podniósł samochód, obejrzała podwozie. Błoto i patyki z kanału. Nic więcej.

– Jak mówiłem – powiedział dyżurny – nic w nim nie ma. Wyjął ze środka wszystko. Woda dokonała reszty.

Dopił kawę, wrzucił kubek do śmietnika.

– Szukałem całą noc. Marnujesz czas. Nic nowego tu nie ma.

Wróciła do dokumentacji.

– Obiecałem żonie, że przypomnę jej dzisiaj, jak wyglądam – zaśmiał się mężczyzna, wkładając kurtkę. – Mam szansę?

Lund trzymała przed sobą raport technika.

– Tu jest napisane, że w baku znajdowały się pięćdziesiąt dwa litry paliwa. Jesteście pewni?

Westchnął.

– Tak. Do pełna brakowało pięciu czy sześciu litrów.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien. Wyłącz światła, jak skończysz. Cześć.

– Jesteś pewien? – krzyknęła jeszcze.

– Ile razy...?

– To ważne. Mogłeś się pomylić? Samochód był w wodzie...

– Nie, nie mogłem. Sprawdziliśmy ten wóz tysiąc razy. Do pełna brakowało pięciu, sześciu litrów. W czym problem? Co zrobiliśmy źle?

– Nie powiedziałam, że coś zrobiliście źle. – Machnęła mu dokumentem z Ratusza. – Zgodnie z rejestrem poprzednio tankowano go tydzień wcześniej. W takim wypadku bak powinien być prawie pusty.

Podszedł i zerknął do dokumentu.

– Och, przepraszam. Powinniśmy...

– Więc kto go zatankował? – zastanowiła się Lund.

Pogoda była słoneczna, ale na niebie zbierały się szare chmury. Meyer czekał na nią na podwórku przed Laboratorium Kryminalistycznym. Miał na sobie lśniąca skórzaną kurtkę, której nigdy wcześniej nie widziała, i modne okulary przeciwsłoneczne.

Super, pomyślała. Pasował do wydziału narkotykowego, rabunków albo zorganizowanej przestępczości. Do zabójstw nie. Przejął się. To zawsze był błąd.

– Jak się czuje Bengt? – spytał, podając jej kubek kawy.

– Co?

– Jak...?

– Tak.

– A ty?

– Musimy poszukać młodych kobiet, które zniknęły w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Bo?

– W mieście. W całym kraju. Sprawdzić, czy coś je łączy z Kalvebod Fælled. Albo z jakimkolwiek miejscem w Vestamager.

Meyer zdjęł ciemne okulary i przyjrzał się jej.

– Jak się czuje Bengt? A ty?

– Już mówiłam.

– Nie, nie mówiłaś.

– Bengt dobrze. Możemy się zabrać do pracy?

W głównym gmachu centrali policji, nieopodal sądu zorganizowano pokój przeznaczony do spotkań z adwokatami. Kobieta nazywała się Lis Gamborg. Birk Larsen spojrzał na jej elegancki kostium, naszyjnik z pereł, nieskalanie porządne włosy i zastanowił się, jak za to zapłaci.

Sam był w niebieskim kombinezonie więziennym, nieogolony, brudny, głodny.

– Proszę usiąść.

Strażnik stał i patrzył, z bronią przy pasie.

Za zakratowanymi oknami było pogodnie.

– Sąd przydzielił panu adwokata w mojej osobie. Dzisiaj jest duży ruch. Rozprawa na pewno nie odbędzie się w ciągu kilku najbliższych godzin.

Siedział, kręcąc młynka kciukami, prawie jej nie słuchając. Dwadzieścia lat temu, po ślubie z Pernille, Birk Larsen obiecał sobie, że już nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji. Co prawda nie rozmawiał o tym z Pernille. To była część ich milczącej umowy. Miał być innym człowiekiem. Koniec konfliktów z prawem. Koniec z randkami odwołanymi z powodów, których nigdy jej nie ujawniał. Koniec z wściekłością i determinacją, by zaznaczyć swoją obecność w świecie, własną siłą i w razie potrzeby pięściami.

Potem pojawiła się rodzina i Theis próbował zapomnieć, kim kiedyś był. Dawny młody Theis. Oprych Theis. Theis bandzior, którego nigdy już nie będzie.

– Niemniej jednak – podjęła – to daje nam czas, by porozmawiać o pańskiej sprawie.

– O czym tu rozmawiać?

– Prokurator postawi panu zarzut usiłowania zabójstwa, bezprawnego pozbawienia wolności i spowodowania ciężkich uszkodzeń ciała.

Birk Larsen zamknął oczy.

Musiał coś powiedzieć. Musiał zapytać.

– Jak nauczyciel?

Ciągle patrzyła na niego jak na ciekawy okaz. Jakby siedział w zoo, zamknięty w klatce.

– Wyzdrowieje. Mówi, że nie wniesie skargi.

Spojrzał na nią.

– To nie wystarczy. Nie zostanie pan oczyszczony z zarzutów. Nie przy zarzutach tej rangi.

– Policja nam powiedziała, że to on. Gazety mówiły, że to on. Nikt nic nie zrobił.

Westchnęła głęboko.

– Sędzia może uznać, że występują pewne okoliczności łagodzące.

– Przyznam się do winy. Niech mi pani tylko powie, co mam mówić.

Bał się wypowiedzieć następne zdanie, przeczuwając odpowiedź.

– Chcę wrócić do domu, do rodziny.

Milczała.

– Muszę wrócić do domu.

– Rozumiem. W tych okolicznościach pozostaje nam mieć nadzieję na pobłażliwość sądu.

Złożyła smukłe ręce, pochyliła się nad stołem, spojrzała mu w twarz.

– Będę się starała przekonać sędziego, że nie musi pan przebywać w areszcie. Przyznał się pan. Nie stawiał pan oporu. Ma pan rodzinę. Firmę do prowadzenia...

– Chciałbym porozmawiać z żoną.

Adwokat pokręciła głową.

– Musi pan poczekać do rozprawy.

Zwiesił głowę.

– Przykro mi – dodała. – A pański przyjaciel? Vagn?

– Vagn nie miał z tym nic wspólnego. Próbował mnie powstrzymać. Niech go pani w to nie miesza.

– Już jest wmieszany. Postawiono mu zarzut współudziału.

– To nieprawda!

– To lepszy zarzut. Jest na wolności. Nie sędzę, żeby...

Czekał.

– Żeby co?

– Żeby poszedł do więzienia. Chciałabym móc panu obiecać to samo.

Milczał.

– Ma pan jakieś pytania? – spytała.

Skoro nie odpowiedział, adwokat spojrzała na strażnika.

Część procesu. Część systemu, który kiedyś już omal go nie wchłonął. Theis Birk Larsen wrócił do brzucha bestii, której nienawidził i która nienawidziła jego. A winić za to mógł tylko siebie.

Pernille odbierała telefony. Przyjechała Lotte, żeby pomóc. Oczywiście wszystko się waliło. Co chwilę dzwonił jakiś klient domagający się czegoś, i to natychmiast.

– Nie mogę tego teraz zrobić – powiedziała do ostatniego. – Oddzwonię do pana, obiecuję.

Lotte czekała, aż siostra odłoży słuchawkę, po czym spytała:

– O co zostanie oskarżony?

Kolejny telefon.

– Birk Larsen. Przeprowadzki. Proszę chwilę poczekać.

Zakryła dłonią mikrofon.

– Nie wiem. Możesz się trochę zająć chłopcami?

– Jasne. Co Theis zrobił?

Pernille wróciła do telefonu i przeprosiła.

Lotte czekała zniecierpliwiona.

– Zrobił coś temu nauczycielowi, prawda?

– To wszystko moja wina. Ja go naciskałam.

Przesunęła ręką po niesfornych włosach. Wyglądała jak straszdyło.

Spojrzała na zlecenia i zastanowiła się, jak to wszystko funkcjonuje.

Wszedł jeden z ludzi i spytał o instrukcje. Pernille starała się ze wszystkich sił. Zadzwoił telefon. Odebrała Lotte.

– Zrób najpierw to zlecenie w Østerbro – powiedziała Pernille do pracownika. – Rób wszystko tak, jak Theis by zrobił. Spytaj Vagna.

Patrzył na nią.

– Gdzie jest Vagn? – spytała.

– Nie wiem.

– Rób... – Machnęła ręką. – Rób, jak uważasz. Przepraszam...

– Pernille?

Lotte zaczęła, aż mężczyzna wyjdzie.

– Co?

– Dzwonili z banku. Mówili, że muszą z tobą porozmawiać.

Buchard miał na sobie najlepszą koszulę, świeżo wyprasowaną. Najlepszy garnitur. Strój na dywanik.

Właśnie wrócił od komendanta. I cierpiał.

W szarym świetle wpadającym przez okno w pokoju Lund czytał poranne gazety. Wykrzywił usta, potrząsał głową.

Mówił mnóstwo, nie mówiąc ani słowa.

Lund i Meyer siedzieli obok siebie, wierząc się niespokojnie, jak niegrzeczne dzieci odesłane do dyrektora.

Pierwszy odezwał się Meyer.

– Zdajemy sobie sprawę, że nie wszystko poszło dobrze.

Buchard nic nie powiedział, tylko pokazał im nagłówek: „Wzór osobowy Hartmanna oczyszczony z zarzutów”.

– Gdyby Kemal powiedział nam prawdę... – zaczęła Lund.

Buchard uciszył ją jednym znaczącym spojrzeniem.

– Mówiłem panu, że nasza współpraca nie jest najlepsza – dodał Meyer.

– Nie żebym lubił zwałać na kogoś winę...

– Kemal kłamał! – powtórzyła Lund. – Miał wiele okazji, żeby się oczyścić, i nie zrobił tego. Gdyby...

– Ludzie widzą to – warknął Buchard, machając gazetą. – Nie wasze wymówki. – Przerwał na chwilę. – Komendant chce, bym odsunął was od sprawy. Niepotrzebny nam taki rozgłos. W czasie kampanii wyborczej... to kłopotliwe. A teraz ojciec tej dziewczyny został oskarżony o usiłowanie zabójstwa...

– Kemal nie chce, żeby stawiano mu zarzuty! – krzyknął Meyer. – To nic nie znaczy?

– To zależy od sądu, nie od niego. A wyście spieprzyli sprawę.

Wpatrywali się w podłogę.

– Dajcie mi jeden dobry powód, żebym was nie wykopał już teraz.

– Tylko jeden? – spytała Lund. – Mogłabym ci dać...

– No to słucham.

– Wiemy o sprawie więcej niż ktokolwiek inny. Weźmiesz inny zespół, to przez tydzień będzie się zapoznawał z dokumentacją.

– Wolałbym poczekać tydzień i mieć to zrobione jak trzeba, niż żebyście mi znowu ściągali komendanta na głowę.

– Wiemy więcej niż wczoraj.

– Jestem umówiony w szkole – dodał Meyer. – Tam pewnie wyjaśnię parę rzeczy. Ogarniemy to. Lund ma rację. Weźmie pan kogoś innego, to będzie musiał zaczynać od początku.

Buchard zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Jeśli jutro ta sprawa dalej nie będzie miała rozwiązania, to wylatujecie. Oboje.

Wstał i ruszył do drzwi.

– Trzymajcie się z daleka od Ratusza. I od Troelsa Hartmanna. Nie chcę już żadnego gówna z tej strony. Jasne?

– Jasne – burknął Meyer.

Buchard wyszedł. Lund myślała, siedząc z rękoma skrzyżowanymi na przedzie czarno-białego swetra.

Meyer wyszedł na korytarz porozmawiać z ekipą dyżurną.

– Musimy zacząć od początku – powiedział. – Wróćcie do szkoły. Pogadajcie ze wszystkimi. Pracownikami, sprzątacami. Wszystkimi.

Lund przeglądała torebki dowodowe, szukając jednej właściwej.

– Pokażcie zdjęcie Nanny wszystkim taksówkarzom – mówił Meyer.

– Już to robiliśmy – jęknął Svendsen.

Meyer odwrócił się do niego.

– Każdemu kierowcy? Każdziusięńkiemu w Kopenhadze? Nie? Tak sądziłem. Sprawdźcie, kto pracował w pobliżu domu Kemala. Dowiedźcie się, czy wzięła stamtąd taksówkę. Cokolwiek!

Wrócił do biura, narzekając.

– Jezu! Czy to musi być takie trudne?

Przed Lund leżał otwarty rejestr pojazdu z Ratusza.

– Wyślij zdjęcie samochodu na wszystkie stacje benzynowe w mieście – powiedziała. – Spytaj, czy widzieli go wieczorem trzydziestego pierwszego października.

– Czemu?

– Coś pominęliśmy.

Pokazała mu rejestr.

– Zgodnie z tym, co tu jest napisane, w samochodzie powinno zostać niewiele benzyny. Bak był prawie pełny. Jeśli pojechał na stację benzynową....

– Będzie w nagraniach kamer. Tak. Wiem. Nie jestem głupi.

– Dobrze! Zacznijmy od stacji w pobliżu szkoły Nanny.

– Lund. Gdybyś ty jechała kradzionym samochodem z porwaną dziewczyną w bagażniku, tobyś tankowała? Może w tym rejestrze jest błąd.

Kiwnęła głową.

– No fakt, masz rację. Sprawdź to u ochrony w Ratuszu.

Meyer się zaśmiał.

– No, świetny żart! Słyszałaś, co Buchard powiedział. Obetnie mi jaja, jeśli się pojawię w okolicy.

Wpatrywała się w niego. Ręce na biodrach. Jasne wielkie oczy. Wyczekująca, zawzięta.

– Nie patrz tak na mnie – poskarżył się Meyer. – Nie lubię tego.

Nie ruszyła się nawet o centymetr.

– Nie jadę do ratusza, Lund. I tyle. Rób, co chcesz. Ja nie jadę.

Wrócił na korytarz.

– Powiedziałaś jej ojcu, że dowiesz się, kto to zrobił, Meyer.

Zatrzymał się, odwrócił, popatrzył na nią gniewnie.

– Czy to było tylko takie gadanie?

– Powiedziałem też żonie, że utrzymam się w pracy co najmniej trzy tygodnie. Jak sądzisz, co ważniejsze?

Zaczęła coś mówić.

– Nie – przerwał. – Ani słowa. Znam odpowiedź. Naprawdę. Nie musisz.

Ci sami ludzie, te same pokoje. A jednak wszystko było teraz inne. Zaczynało się spotkanie komitetu, już bez tego napięcia, które im towarzyszyło poprzedniego wieczoru. Wszyscy palili, żartowali, zachowywali się tak, jakby nic się nie wydarzyło, a Knut Padde uśmiechał się najpromienniejszym z wszystkich.

Już zdążył zadzwonić do Rie Skovgaard. Zastanawiał się, jakie są dostępne funkcje w komitecie. Promował się zawzięcie.

Troels Hartmann siadł u szczytu stołu obok Elisabet Hedegaard. Reszta skubała croissanty i paszteciki. On został przy filiżance kawy.

– Dzień dobry – zaczął Hartmann i przebrnął przez wszystkie grzecznościowe wstępy: podziękował im za uwagę, przeprosił za krótki termin powiadomienia.

Bigum siadł na drugim końcu stołu, bezwładnie rozwalony na krześle, i próbował się uśmiechać.

– Dzisiejsze spotkanie nie zajmie nam dużo czasu – rzekł Hartmann.

– Troels...

Bigum. Jego uśmiech wyglądał na jeszcze bardziej wymuszony.

– Chciałbym coś powiedzieć.

Hartmann udał zaskoczonego.

– Oczywiście, Henriku. Proszę bardzo.

Bigum głęboko wciągnął powietrze.

– Jestem ci winien przeprosiny. Za niefortunny zbieg okoliczności.

Nikt się nie odezwał.

– To było trudne dla nas wszystkich.

Padde usadowił się obok Elisabet Hedegaard, która wpatrywała się w Biguma z brodą opartą na dłoni.

– Wszyscy, mam nadzieję, zdajemy sobie sprawę, że nasze nieporozumienia wypływają z troski o dobro partii. – Henrik Bigum zerknął na Hartmanna. – Z niczego innego, Troels. To nic osobistego. Tak...

Sztuczny śmiech. Prawa dłoń wyciągnięta na znak szacunku.

– Chciałbym, abyśmy zakopali topór wojenny i wrócili do pracy.

– Dziękuję, Henriku – rzucił Hartmann lekkim tonem.

– To...

– Ale miałeś rację. Tak dalej być nie może.

Bigum skręcał się na krześle.

– Troels. Nie ma w tej chwili powodu, byś się wycofywał. Elektorat i partia cię wspierają. Kładziesz nacisk na wzory osobowe...

– Tak, tak. – Hartmann przerwał mu skinieniem ręki. – Nie martw się. Nie zamierzam się wycofywać. – Omiótł wzrokiem wszystkich po kolei, uśmiechnął się skromnie. – Nie panikuj. Naszym wspólnym celem jest zmiana systemu tutaj, w Ratuszu, prawda?

Kiwnęli głową. Bigum z największym zapalem.

Hartmann postukał palcem w stół.

– Nie zdołamy tego zrobić, jeśli będziemy walczyć między sobą.

Pełen aprobaty pomruk.

Hartmann grał pod publikę.

– Nie słyszę was! – zaśmiał się. – Mam rację?

Tym razem zareagowali głośniejsz. Henrik Bigum też się roześmiał i powiedział:

– Masz rację, Troels. Masz rację w całej rozciągłości.

Hartmann spojrzał na niego ponad długim lśniącym stołem.

– Wiem, Henriku. Daję ci więc ten sam wybór, który ty mi dałeś wczoraj. Uśmiech Biguma zamarł.

– Słucham?

Wyraz twarzy Hartmanna znowu się zmienił. Tak wyglądał, gdy stawiał czoło Bremerowi.

– Albo ustąpisz, albo będziemy nad tym głosować.

Bigum potrząsnął głową.

– Co takiego?

W sali zapadła cisza. Hartmann nie wciągnął w to Webera, który nie znosił konfliktów. Rie Skovgaard w pewnym oddaleniu uśmiechała się wyczekująco. Dzwoniła od szóstej rano. Wiedzieli doskonale, na czym Hartmann stoi.

Bigum się wściekł.

– To jakiś absurd. Pracuję dla tej partii od dwudziestu lat. Równie długo jak ty, Troels. Działalem wyłącznie z troski o nasz interes.

– Poszedłeś do Bremera, Henriku. Zaproponowałeś mu układ.

Koścista, ascetyczna twarz wykładowcy spłonęła rumieńcem.

– Chciałem zasięgnąć opinii. Nic poza tym. Nie wygramy całkowicie. Trzeba będzie pójść na niejeden kompromis...

– Więc jak będzie, Henriku? Rezygnacja czy głosowanie?

Bigum przyjrzał się wszystkim po kolei. Nikt nie patrzył mu w oczy. Nawet Padde.

– Rozumiem.

Wstał, oparł się o stół i spiorunował Hartmanna wzrokiem.

– Pierdol się, Troels. Nigdy nie będziesz burmistrzem. Nie masz... nie masz...

– Jaj? – podrzucił Hartmann.

Rie Skovgaard otworzyła drzwi, uśmiechając się promiennie.

– Wszyscy się pierdolcie – burknął Bigum i wyszedł.

Hartmann skrzyżował ramiona i siadł na krześle.

Wreszcie odezwał się Knud Padde:

– Cóż. To wszystko. Jako przewodniczący udzielam głosu Troelsowi.

Hartmann wziął dzbanek do kawy i dolał sobie.

– To dotyczy również ciebie, Knud. Wychodź.

Padde roześmiał się jak nerwowe dziecko.

– O, daj spokój, Troels. Wiem, że dałem ciała. Ale ciężko pracowałem na rzecz partii. Jestem lojalnym...

Hartmann upił kawy.

– Wylatujesz – powiedział. I nic więcej.

Nikt na niego nie patrzył. Nikt nie wydusił z siebie słowa.

Skovgaard znowu otworzyła drzwi, nadal się uśmiechając.

– Po to mnie tu ściągnęłaś? – spytał Padde. – Żeby mnie upokorzyć?

– Knud – zawołała Skovgaard, kłykciami pukając w drzwi. – Musimy zacząć spotkanie. Proszę...

Zaklął pod nosem – a Hartmann nigdy dotąd nie słyszał, żeby mu się coś takiego zdarzyło – i wyszedł, szurając nogami.

– No dobrze – podjął Hartmann pogodnie. – Bierzmy się do roboty.

Uśmiechał się promiennie do zebranych przy stole. Teraz należeli do niego. I do nikogo innego.

– Elisabet. Przejmiesz po Knudzie prowadzenie spotkania. Zgadzasz się?

Kiwnęła głową z uśmiechem.

– A teraz chciałbym wam przedstawić dwie osoby.

Skovgaard wychyliła się na korytarz.

– Sanjay? Deepika? – zawołała. – Moglibyście przyjść?

Młody mężczyzna i młoda kobieta. Azjaci. Elegancko ubrani, profesjonalni. Prosto z projektu wzorów osobowych.

– Może znacie Sanjaya i Deepikę z młodzieżówki – przedstawił ich Hartmann. – Usiądźcie. Witamy. To dwójka naszych nowych członków komitetu.

Zaczekał. Po chwili spytał:

– Są jakieś pytania?

Nie było żadnych.

W połowie spotkania Hartmann wyszedł poprosić o kserokopie. Morten Weber i Rie Skovgaard sprzeczekali się przy kopiarce.

– Nie powiedziałaś mi, że idzie na noże – narzekał Weber.

– Nie spodobałoby ci się to.

– To nie jest dobry moment na wyrzucanie ludzi.

– Oni się o to prosili, Morten – tłumaczyła Skovgaard. – Jak możemy pozwolić, żeby taka podstępna żmija jak Bigum siedział między nami?

– A Knud? – spytał Weber. – Co on zrobił poza tym, że zachowywał się jak zawsze? Ugiął się na wietrze?

– Knud wyleciał dla przykładu – wtrącił się Hartmann.

Weber rozdziawił usta w udawanych zdumieniu.

– Dla przykładu? Co ja słyszę z ust Świętego Troelsa? Od kiedy to dobywasz sztyletu nocą?

– Odkąd chcę pokonać Poula Bremera. Nie ma ich. I koniec.

Rzucił kilka papierów na kopiarke.

– Poproszę o ksero i kawy.

– Sam sobie weź tę cholerną kawę! Bigum tak tego nie zostawi. Narobi ci smrodu w partii.

– Posłuchaj, Morten. Za długo byliśmy mili. W defensywie. Muszę działać. Muszę pokazać, że umiem być silny.

– I pokazałeś. Mam nadzieję, że omówiłeś to z Kirsten Eller. Bigum jest z nią blisko, na wypadek gdybyś nie wiedział.

Cisza.

– Och – warknął Weber. – Nie wiedziałaś. Gdybyś spytał...

Hartmann starał się zachować zimną krew.

– Poradzę sobie z Kirsten. W ogóle się tym nie przejmuj.

– Problem w tym – powiedział facet z banku – że płacą państwo za dwa lokale.

Przyszedł do magazynu spotkać się z nią. Siadł w biurze, jednocześnie skrępowany i zły. Chciała go spytać: dlaczego teraz? Czy nie czytał gazet? Nie wiedział, że to nieodpowiedni moment?

Ale on był bankowcem. Człowiekiem w eleganckim garniturze. Niewątpliwie z wielkim domem na modniejszych przedmieściach. Do jego obowiązków należało pogonić małą, walczącą z trudnościami firmę w Vesterbro. Okoliczności nie miały znaczenia. Liczyła się tylko kasa na koncie.

– To nie potrwa długo.

– Nie może. Nie mają państwo zasobów, by utrzymać taki stan rzeczy.

Więc...

– Więc co?

– Kiedy będą państwo w stanie sprzedać dom?

Jeden z pracowników wszedł do biura.

– Zepsuła się wyciągarka na dużej ciężarówce.

Co zrobiłby Theis? Co powiedziałby Vagn?

– Zrób dwa kursy małą. Nie możemy tego odwołać.

– Wtedy opóźni się następna robota.

Spojrzała na niego bez słowa. Wyszedł.

– Mogę wam zawiesić spłatę – zaproponował facet z banku. – To oznacza, że w tym miesiącu rata nie zostanie pobrana. Ale...

Myślała o ciężarówkach, zleceniach, ustaleniach. Pracuj ciężko, a pieniądze same wpłyną. Tak zawsze mówił Theis.

– Pernille? Macie ogromny debet. Do tego dochodzą koszty pogrzebu. Potrzebujemy jakichś...

– Pieniędzy? – spytała. – Zabezpieczeń? – Rozejrzała się po biurze, po magazynie, po ludziach na zewnątrz. – To wszystko na swój sposób należy do was. Co jeszcze mogę zaproponować?

– Musicie zrobić plan naprawczy. W przeciwnym wypadku...

– Theis niedługo wróci do domu – powiedziała stanowczo. – On znajdzie rozwiązanie. Zawsze znajduje.

– Pernille...

– Możecie poczekać do powrotu Theisa, prawda? Czy też przyśle mi pan komornika na cmentarz, gdy będę chować urnę z prochami Nanny?

Poczuł się urażony. Sama wiedziała, że jej słowa były brutalne.

– Staram się pomóc.

Zadzwoił telefon.

– Dostaniecie swoje pieniądze. A teraz przepraszam, muszę odebrać.

To był Theis. Dzwonił z aresztu.

Przeszła w spokojny kąt garażu, żeby pogadać.

– Cześć.

– Nic ci nie jest, Theis?

– Nic.

Próbowała go sobie wyobrazić. Ubrali go w kombinezon więzienny? Ma co jeść? Czy tam dochodzi do bójek? Przy jego temperamencie...

– Jak chłopcy?

Mówił jak człowiek stary i załamany.

– Dobrze. Czekają, aż wrócisz.

Usłyszała po drugiej stronie długie, charczące westchnienie.

– Dzisiaj nie wrócę do domu – rzekł.

– Kiedy cię wypuszczą?

– Chcą mnie zatrzymać w areszcie.

Kilku pracowników skarżyło się na jedną z ciężarówek. Tam też był problem.

– Jak długo?

– Za tydzień znowu rozprawa. Może wtedy.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Przykro mi...

Nigdy nie widziała, jak Theis płacze. Nawet gdy umarła jego matka. Wszystko w Theisie rozgrywało się w środku, ukryte, w milczeniu. Tam były emocje. Nauczyła się je wyczuwać. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek zobaczy, jak wybuchają.

– Muszę kończyć, kochanie – powiedział.

Przełknęła łzy wylane nad nim, nad sobą, nad Nanną i chłopcami. Nad całym smutnym, szarym światem.

Zabrakło jej słów i to wydawało się najgorsze, po prostu największy grzech ze wszystkiego.

– Pa – dodał i rozłączył się.

Lund poszła do ceglanej twierdzy, czyli do ratusza, znalazła w podziemiu miejsce, gdzie zajmowano się samochodami. Stała tam w swoim czarnym płaszczu, dzinsach i wełnianym swetrze, i użerała się z popędliwym starszkiem w mundurze, który uważał, że ma lepsze rzeczy do roboty.

Za parking odpowiadało biuro ochroniarzy umieszczone przy wyjeździe. Od mężczyzny oddzielała ją szyba – z powodów, których Lund nie umiała zgłębić. Monitory telewizji przemysłowej przekazywały obrazy z budynku, z więziennych korytarzy siedziby rady miejskiej, biur urzędników, piwnic, garaży.

– Jesteśmy zajęci – powtórzył ochroniarz po raz kolejny.

– To nie potrwa długo. Muszę zrozumieć, jak działa wasz system.

Wyglądał, jakby pracował tu od początku istnienia budynku, czyli od co najmniej stu lat. Śmiertelnie poważny mężczyzna w wieku mniej więcej sześćdziesięciu pięciu lat, okulary połówki, którymi lubił się bawić, łysina z siwą grzywką. Ważniak w oficjalnej granatowej bluzie, jakby godło miasta, trzy złote wieże wynurzające się z wody, stanowiło insygnium urzędu. Bardziej zainteresowany swoimi kluczami, kamerami i przegródkami niż patrzeniem na ludzi dokoła.

– To garaż – powiedział. – Czego się pani spodziewa? Oddają klucze, jak zaparkują, pobierają, kiedy wychodzą.

Za nim wisiała tablica. Pełna kluczyków. Właśnie przyszedł kierowca i poprosił o auto. Ochroniarz wstał. Żeby odczytać numery, lewą ręką zsunął okulary. Daleka droga. Do końca ostro zakończonego nosa.

– Musi pan iść do okulisty – próbowała się zakolegować.

Podał kierowcy kluczyki, zgromił ją wzrokiem, siadł i nic nie mówił.

– A więc kluczyki skradzionego samochodu powinny wisieć tutaj?

– Gdyby nie został skradziony.

– Kto jest odpowiedzialny za tankowanie?

– Ten, kto akurat jeździ samochodem, jak się domyślam. Z tym nie mam nic wspólnego.

– I to zawsze jest wpisywane do rejestru?

Pytanie mu się nie spodobało.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu kandydatów na burmistrza. Niech pani rozmawia z nimi.

Lund zawahała się, spojrzała na ochroniarza. Nawet nie drgnęła.

– Rozmawiam z panem.

Po chwili weszła do jego biura i położyła przed nim dokument.

– To rejestr, który wzięliśmy stąd. Proszę mi to wyjaśnić. Czy to oznacza, że nikt nie tankował samochodu?

– Powinna pani zostać po drugiej stronie szyby.

– Jest pan pracownikiem miasta. Powinien pan pomagać policji. Proszę mi powiedzieć o rejestrze.

– To nic nie znaczy – odparł mężczyzna. – Kierowcy nie tankują samochodów od razu. Czekają do ostatniej chwili. Czasami wcale nie tankują.

Spojrzał na wpisy.

– Ten kierowca tu nie wrócił. Więc i nie zrobił wpisu. Co w tym dziwnego? Mogę już wrócić do pracy?

Znowu pogmerał przy okularach i spojrzał na nią.

– Chyba że ma pani jeszcze jakieś pytania.

Wyszła na zewnątrz. Popatrzyła na monochromatyczny zimowy dzień.

Nikt nie kwapił się do pomagania policjantom. Dla wszystkich byli wrogiem. Nawet w podziemiach ratusza.

Lund wyszła i stanęła przed szybą, tak jak powinna. On dalej się bawił okularami, jej zdaniem nerwowo.

– Jak kierowcy płacą za paliwo?

Wcisnął guzik swojego mikrofonu.

– Co?

– Jak kierowcy płacą za paliwo?

Zastanowił się.

– Mają w samochodzie kartę płatniczą. Proszę posłuchać. To zupełnie nie nasza działka...

– Nie znaleźliśmy żadnej karty płatniczej. Jak ona wygląda?

– Nie wiem. My tylko pilnujemy garażu. Nie mamy do czynienia z pieniędzmi. A teraz jeśli pani pozwoli...

– Rozumiem. Ale może pan to sprawdzić. Popatrzeć, z których stacji benzynowych zwykle korzystają kierowcy.

– Chce pani, żebym sprawdził.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – A potem pozwolę panu wrócić do pracy.

Siadł na stołku, smutna blada twarz, palce bawiące się okularami.

– Obiecuję – powiedziała.

Szczegóły znajdowały się w leżącej przed nim księdze. Zapisał coś na kartce i podał jej pod szybą.

– Coś jeszcze? – spytał.

– W tej chwili to już wszystko, dziękuję.

Meyer i jego ludzie byli w szkole. W kaskach na głowie oglądali plac budowy, na którym miało wyrosnąć nowe skrzydło.

– Porozmawiajcie ze wszystkimi robotnikami – rozkazał. – Dowiedźcie się, o której przyszli. O której wyszli. Wszystko, co widzieli. Potem weźcie się za sprzątaczy. Potem...

Zadzwoiła jego komórka.

Lund.

– Jedziesz do szkoły? Mamy tu mnóstwo roboty.

– W samochodzie była karta płatnicza. Nie mam karty, ale mam jej numer.

Chwila milczenia. Odgłosy ruchu ulicznego. Widział ją, jak manewruje telefonem, przekłada jakieś papiery, jak usiłuje prowadzić samochód, a wszystko naraz.

– W tamten piątek użyto jej o dziewiętnastej dwadzieścia jeden. Na stacji benzynowej na Nyropsgade.

– Gdzie?

– Dwie minuty od ratusza.

Meyer milczał.

– Zdobędziemy nagrania z kamer – dodała Lund.

– Powinniśmy robić to, co kazał Buchard.

Nie odpowiedziała.

– Nie możesz zrobić tego sama? – spytał i od razu poczuł się nie w porządku.

– Jasne – odparła tym melodyjnym tonem, który umiała włączać na zawołanie. – Jak chcesz.

I się rozłączyła.

Ludzie patrzyli na niego wyczekująco.

Meyer rzucił kask stojącemu najbliżej funkcjonariuszowi.

– Wiecie, co macie robić – powiedział.

– Idziesz gdzieś? – spytał jeden z nich.

– Wracam na komendę, dzwońcie, jak będziecie mnie potrzebować.

Dni stawały się coraz krótsze. Ściemniało się zaraz po czwartej.

Pernille Birk Larsen siedziała sama w biurze, odbierała telefony od wzburzonych klientów, mediów, obcych ludzi z dziwnymi propozycjami pomocy.

Facet z banku dzwonił z prośbą o informacje. Musiała znaleźć klucz do osobistych dokumentów Theisa, żeby poszukać brakujących papierów. Znalazła tam też zdjęcie Theisa i Nanny. Pewnie zrobione kilka tygodni temu. On w czarnej włóczkowej czapeczce, z tym swoim szczerym uśmiechem, który uwielbiała. Nanna była piękna, obejmowała ojca ramieniem, jakby go chroniła. Nie odwrotnie. Tak jak powinno być.

Odwróciła fotografię. Z tyłu Nanna napisała: „Kocham Cię!”.

Pernille nigdy nie widziała tego zdjęcia. Kolejna tajemnica Nanny. I jej ojca. Nanna zawsze grzebała w miejscach, do których nie wolno jej było zaglądać. Bez pytania brała rzeczy Pernille. Przetrzęsała cudze szuflady w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się jej przydać. Od czasu do czasu

wybuchały z tego powodu kłótnie. Nigdy poważne. Takich w ogóle nie mieli. A czy naprawdę mieli kontakt z Nanną? Może teraz Pernille czuła dystans, bo Nanna nie żyła. Może...

Nanna była ciekawskim dzieckiem, szukającym wciąż czegoś nowego. Może zajrzała też tutaj, do osobistych rzeczy Theisa.

Pernille pomyślała, że jemu by się to nie podobało. Niektóre sprawy chciał zachować dla siebie. Widziała to zeszłej nocy. Wielka, dzika bestia trzymała młot nad krwawiącym człowiekiem na podłodze tamtego magazynu. Kochała tego mężczyznę, a w tamtej chwili ledwie go rozpoznała.

Aż podskoczyła, gdy z garażu dobiegł jakiś hałas. Z cienia wyszedł Vagn Skærbæk. Wyglądał, jakby się czuł winny, jakby się skradał. Miał przeciętą skórę na twarzy i mnóstwo siniaków.

– Cześć – odezwał się.

Odłożyła zdjęcie i spojrzała na niego. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Stał zgarbiony w swoim czerwonym kombinezonie, we włóczkowej czapeczce. Młodszy brat. Znali się, odkąd zaczęła się spotykać z Theisem. Wcześniej bała się takich ludzi jak on. Na szyi Skærbæka połyskiwał srebrny łańcuch.

– To był mój pomysł – wyszeptał. – Moja wina. Nie jego.

Pernille na chwilę zamknęła oczy, wróciła do dokumentów.

– Ciągle siedzi?

Trafiła na stos faktur. Niektóre sformułowania wyróżniono czerwonym kolorem. Otworzyła szufladę i jedną ręką zgarnęła je do środka.

– Mogę to pozłatwić, Pernille. Jeśli pozwolisz, pomogę ci z firmą. Z chłopcami. Zrobię wszystko, co się da. Tylko...

Kolejne dokumenty. Kolejne rachunki. Zupełnie jakby wyrastały na jej oczach.

– Chcę tylko pomóc.

Pernille podeszła i otwartą dłońią uderzyła w rozcięty, posiniaczony policzek. Z całej siły.

Nawet nie drgnął. Przyłożył tylko rękę do twarzy. Rana się otworzyła, popłynęła z niej krew. Starł ją.

– Jak mogłeś to zrobić? – spytała. – Jak mogłeś?

Starł ręką jeszcze więcej krwi, spojrzał na nią dziwnie.

– Theis myślał, że robi to dla ciebie.

– Dla mnie?

– Gdyby to był on, Pernille, gdyby to był nauczyciel, czym Theis byłby teraz dla ciebie? Twoim bohaterem? Czy idiotą?

Znowu się zamierzyła. Vagn nie drgnął.

– Nie powinienem był mu mówić – podjął Skærbæk. – Staralem się go powstrzymać, naprawdę się starałem. Jak zobaczyłem... Gdyby nie ja, Kemal pewnie by nie żył.

– Pewnie nie.

Kiwnął głową. Podeszedł do biurka. Spojrzał na zlecenia na następny dzień.

Musiła spytać.

– Vagn... Kiedyś... dwadzieścia lat temu... zanim go poznałam...

– Tak?

– Jaki on był?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Niedokończony. Wyczekujący. Dzieciak. Wszyscy tacy byliśmy.

– Policja pokazała mi zdjęcia.

– Jakie zdjęcia?

– Ofiary morderstwa. Handlarza narkotyków.

– Och.

– Co się wtedy stało? Powiedz mi prawdę.

– Wszyscy czasami głupiejemy. Twój rodzice myśleli, że całkiem zgłupiałaś, jak się zaprzyjaźniłaś z Theisem. Prawda?

– Policja...

– Policja próbuje cię oszukać.

Podszedł i spojrzał jej w oczy. Ci dwaj byli sobie bliscy na długo, zanim ich poznała. Jeden drugiego znał jak zły szeląg.

– Theis nic nie zrobił, Pernille. Nic zupełnie. Jasne?

Kirsten Eller wyciągnęła sflaczałą, spoconą rękę.

– Tak się cieszę, że wszystko dobrze się dla ciebie skończyło. Wszystkie te nieprzyjemności były bardzo niepożądane.

– Tak. Siadaj.

Umościła swoje obfite kształty na jego kanapie.

– I zrobiłeś porządek w swojej partii, brawo.

Hartmann zajął krzesło naprzeciwko.

– Nie miałem wyboru, Kirsten. Musiałem coś zrobić.

Wysiliła się na coś w rodzaju stylizacji. Długi płaszcz miał zakrywać opasłe ciało. Przyklejony uśmiech. Sowie okulary zsunięte na farbowane brązowe włosy. Jakby wyszła z gorączkowego posiedzenia rady nadzorczej. Eller była w Ratuszu równie długo jak on. W pewnym sensie osiągnęła więcej. Środkami, które zaczynał doceniać.

– Przynajmniej już po wszystkim – powiedziała. – Sondaże prezentują się nieźle. Media powoli się orientują, którego konia obstawiać. Teraz więc czerpiemy korzyści.

– Z ust mi to wyjęłaś.

Wyjęła z aktówki teczkę i otworzyła ją.

– Mamy kilka sugestii co do przekonania niezdecydowanych wyborców. To oni przesądzą o naszym zwycięstwie, Troels. Nie zapominaj o tym.

Uśmiechnął się do niej szeroko, pokręcił głową szczerze ubawiony.

– O co chodzi? – spytała.

– Jesteś wspaniałą aktorką. Naprawdę masz talent.

Uśmiechał się nadal, chociaż z ust Kirsten nie padło ani jedno słowo.

– Bigum nigdy by nie spróbował takiej sztuczki, nie omówiwszy jej z tobą. Poszedł do Bremera. Poszedł do ciebie. I ty dałaś mu przyzwolenie.

Spoważniał.

– Troels...

– Nie. Proszę, nie obrażaj mojej inteligencji nieudolnymi zaprzeczeniami.

– To...

– To prawda – podrzucił. – Znam swoich ludzi, Kirsten. Znam Biguma. Nie jest na tyle wpływowy ani na tyle odważny, by zrobić to samodzielnie. Może ty poszłaś do niego. Nieważne.

Teraz widział to jasno i wyraźnie. Zastanawiał się, dlaczego tak długo tego nie dostrzegał.

– Kierował nim strach. Nie siła. Nie odwaga. Strach. Myślę, że ty to wyczułaś.

Uniosła rękę.

– Troels. Zanim powiesz kolejne słowo... zrozum...

– Daję ci dwie opcje do wyboru.

Kirsten Eller umilkła.

– Albo powiadomię prasę i oni z ciebie zrobią zdradziecką, nielojalną, intrygancką sukę, na co zresztą zasługujesz...

Czekał z przechyloną na bok głową.

– Albo?

– Ustąpisz. Oddasz stołek swojemu zastępcy.

Kirsten Eller obróciła się, by spojrzeć na Rie Skovgaard z zapalem sporządzającą notatki.

– Potrzebujesz mnie, Troels. Wszyscy mnie potrzebujecie. Pomyśl o...

– Nie, Kirsten. Ja cię zupełnie nie potrzebuję.

Nie padło już żadne słowo. Eller wściekła zebrała swoje rzeczy i wypadła przez drzwi. Odwróciła się jeszcze i spojrzała na niego.

– Chodziło o wygraną. Nie o ciebie. Nie pochlebiaj sobie.

– Dobrze, nie będę – obiecał.

W drodze do wyjścia Kirsten wpadła na Mortena Webera. Obejrzał się za nią.

– Co się stało? – spytał. – Myślałem, że mamy spotkanie.

Hartmann wstał.

– Rie! – zawołał. – Napisz mi kilka komunikatów prasowych.

– Co się dzieje, do diaska? – powtórzył Weber.

– Chciałem ci powiedzieć. Nie było czasu. Kirsten składa rezygnację.

– Jezu, Troels! Walczyliśmy o tę koalicję...

– To ona wciągnęła w to Biguma. Cały czas chciała się mnie pozbyć.

– Nie możesz tak rozrabiać.

– Morten. – Hartmann ujął go za wątle ramiona. – W każdej chwili tej kampanii Bremer był o krok przed nami. Czas, żebyśmy przejęli inicjatywę. Czas, żebyśmy ruszyli śmieiej niż on.

– Zwalniając wszystkich w zasięgu wzroku?

Hartmannowi w jednej chwili zepsuł się nastrój.

– Ona jechała na moich plecach. Próbowwała dobić targu z Bremerem. Potem z Bigumem. Musisz zmienić sposób myślenia. Damy radę zrzucić Bremera ze stołka bez tych fałszywych skurwysynów z Centrum.

– Nie, Troels! Nie damy. Sami nie zdobędziemy tylu głosów.

Hartmann pokręcił głową. Rie Skovgaard stała spokojna, uśmiechnięta.

– Od ilu lat gramy w tę grę, Morten? Od dwudziestu? Zawsze na tych samych zasadach. Ich zasadach. Od tej chwili będziemy grać na moich. Zwołaj na wieczór spotkanie szefów ugrupowań mniejszościowych. Powiedz, że mam dla nich ważną propozycję.

– Połowa z nich cię nienawidzi – zauważył Weber.

– Nie bardziej niż nienawidzą siebie nawzajem.

– Oni trzymają z Bremerem!

– Przesną, jak zobaczą sondaże. Z zasady trzymają z tym, kto ma wygrać.

Rozejrzył się po biurze. Wszędzie plakaty z jego twarzą. Skromny uśmiech. Niebieskie oczy szeroko otwarte. Nowa miotła, która chce wymieść to, co stare.

Hartmann wskazał swój portret.

– To ja.

– Zatankował samochód tego wieczoru, gdy zniknęła Nanna – powiedział Meyer.

Siedzieli w biurze i oglądali nagrania z kamer. Czarno-białe, rozdzielone na cztery okna. W rogu każdej ziarnistej ramki data i godzina.

– Kamery działają całą dobę na okrągło. Szanse na jakieś znalezisko po dziesięciu dniach są bardzo skąpe, Lund.

Siedziała wpatrzona w monitor. Numery. Zamazane postaci poruszające się między dystrybutorami.

Wszystko.

– I jeszcze – dodał Meyer – ci ludzie nagrywają w kółko na te same taśmy. Jeśli więc to te stare...

– To nie ta – przerwała Lund, wyciągając kasetę.

– Została nam tylko jedna.

– To zawsze jest ostatnia.

Wciągnął głęboko powietrze.

– To rzadko jest ostatnia.

– Spójrz na ekran. Zobacz coś, czego ja nie widzę. Błagam.

W jednej ręce miał banana, w drugiej papierosa. Zapalił.

Taśma ruszyła. Data w rogu wskazywała 7 listopada.

– Cholera – burknął Meyer. – Od ostatniego piątku. Tak jak mówiłem.

Nagrywają na te same taśmy. Dlatego są takie podrapane.

Napiła się chłodnej kawy. Wszyscy już poszli do domu. Sprzątaczką krzątała się po korytarzu.

– To nie znaczy, że reszta taśmy jest z siódmego, prawda? – spytała. – Kiedy mieliśmy w domu wideo...

Gdy Mark był mały, a ona jeszcze była mężatką. Wszystkie nagrania się mieszały. Różne miesiące, różne lata. Trudno było coś wyśledzić, jeśli się używało w kółko tych samych taśm.

– Przewiń do przodu – poleciła.

Meyer sięgnął po pilota.

Czarno-białe samochody, mgliste postaci.

– Stop! – krzyknął Meyer.

Po chwili klasnął w dłonie i krzyknął z radości. Spojrzała na niego. Wielkie uszy, wielkie oczy. Wielki dzieciak.

Twarz mu zmarkotniała.

– Myślałem, że się ucieszysz.

– To trzydziesty pierwszy – powiedziała.

– No właśnie.

Około dwudziestej. Przewiął z powrotem, za daleko, zaczął przewijać do przodu, wolniej.

Doszli do dziewiętnastej siedemnaście. Cztery ramki. Tylko jeden samochód.

Biały garbus.

– Cholera – mruknął Meyer.

– Zegar się myli. Po co miałyby być punktualny? Oglądamy dalej.

Garbus odjechał. Żadnego auta. Tylko pusty beton i światła nad dystrybutorami.

Nagle, dwadzieścia minut i trzydzieści siedem sekund po siódmej, wjechał na stację czarny samochód i stanął przy pompie ujętej w prawej górnej ramce.

Meyer zerknął na tablicę.

– To ten wóz – powiedział.

Padało. Dopiero teraz to zobaczyła. Wiedziała, co to znaczy. Co to musiało znaczyć. Takie już mieli pieskie szczęście w tej sprawie.

Drzwi się otworzyły. Wysiadł kierowca. Był ubrany w ciemny zimowy anorak. Kaptur miał naciągnięty na głowę. Podeszedł do bagażnika i do wlewu paliwa.

Przez chwilę jego twarz się nie pokazywała.

– Cho... – zaczął Meyer.

Nakryła ręką jego dłoń.

– Cierpliwości.

Człowiek w ciemnym anoraku obszedł tył samochodu, by dostać się do dystrybutora. Cały czas pochylał twarz.

– Dalej, na miłość boską – wyszeptał Meyer i nerwowo zaciągnął się papierosem.

Był to dystrybutor z czytnikiem kart przy nalewaku. Zobaczyli, jak wysuwa się dłoń kierowcy, jak coś wsadza i wyjmuje.

Ciągle nie było widać ani kawałeczka twarzy.

Skończył, wrócił do wlewu, i dalej do drzwi.

– Daj spokój, uśmiechnij się do kamery. Tylko na coś spójrz, dobra?

Niestety, siadł od razu za kółko. Pod tym kątem rysy twarzy były niewidoczne. Ford odjechał.

– Cholera! – jęknął Meyer.

– Czekać chwilę.

Cofnęła. Popatrzyła na mężczyznę przy pompie.

Jak wyciąga lewą rękę. Jak ją podnosi do głowy, a potem przytrzymuje ją coś, odczytując numer z karty.

– Wiem, kto to jest – powiedziała Lund.

Meyer spojrzał nerwowo.

– Nie gadaj.

– Jadę do ratusza. Jedziesz ze mną?

Droga – co prawda w deszczu, ale za to przy pustych nocą ulicach – zajęła im pięć minut. Ochroniarz miał właśnie zejść ze służby. Zaczął jęczeć, gdy Meyer machnął mu kajdankami.

– Ja nic nie zrobiłem. Nic nie zrobiłem.

– Dobry Boże – rzekł Meyer. – Nigdy wcześniej tego nie słyszałem. Idziesz z nami, kolego.

– Ja tylko zatankowałem samochód.

Lund szła za nimi. Myślała intensywnie. I słuchała.

– Przed porwaniem Nanny Birk Larsen czy później? – spytał Meyer.

Mężczyzna w granatowym służbowym swetrze spojrzał na niego osłupiały.

– Mam sześćdziesiąt cztery lata. O czym pan, do cholery, mówi? Nikogo nie tknąłem.

– Posadź go tam na ławce – poleciła Lund.

– Musimy go zgarnąć.

Lund zmierzyła mężczyznę wzrokiem. Pochylone plecy. Kiepski wzrok. Chyba miał trudności oddechowe.

– Niech nam pan powie prawdę – zaczęła Lund. – Niech nam pan powie, co się naprawdę wydarzyło. Wtedy może zachowa pan posadę.

– Posadę? Posadę?! To przez tę posadę muszę się z wami użerać.

Meyer cisnął nim na kamienną ławkę przy stojaku na rowery.

– Zawsze w cieniu, co, kolego? Powiedz nam, co się stało, albo przez szesnaście lat nie zobaczysz światła dziennego.

Ochroniarz wpatrywał się w nich przerażony i wściekły jednocześnie.

– Mam ci włączyć aparat słuchowy, dziadku? – wrzasnął Meyer.

– Gdzie karta płatnicza? – spytała Lund łagodniej.

Ochroniarz milczał.

– Musimy znać prawdę – dodała. – Jeśli nie będzie pan z nami teraz rozmawiał, zabierzemy pana na komendę.

– Wziąłem ją ze sobą. Chciałem ją odłożyć, kiedy przyjdę do pracy w poniedziałek. Ale wtedy...

– Wtedy co? – ponaglił go Meyer.

– Byliście wszędzie. Wszędzie.

– Dlaczego pojechałeś do szkoły?

– A czemu nie miałbym jechać? Mieszkam za rogiem. Poszedłem do domu i zobaczyłem samochód. Jeden z naszych wozów. Porzucony. Nie wiadomo czemu. Znam regulamin. Wszystkie powinny wrócić.

– I miałeś kluczyki? – spytał Meyer.

– Nie. Były w stacyjce. Pewnie kierowca ich zapomniał czy coś.

Potrząsnął głową.

– Nie mogłem go tam zostawić, prawda? Kluczyki w stacyjce. Jakiś bandzior mógł go zwinąć.

Lund traciła cierpliwość.

– Nie. Wcale mnie to nie przekonuje. Mógł pan zadzwonić do sztabu wyborczego. To był ich samochód.

– Próbowałem – odparł. – Powiedzieli, że sekretarz jest w Oslo. To miejski samochód, wiecie. Nie ich. Należy do nas. Nasze podatki...

– Wkurzasz mnie – parsknął Meyer. – Dziewczyna...

– Nie znałem tej dziewczyny. Nic nie zrobiłem. Poza przysługą.

– Co zrobiłeś z samochodem? – spytała Lund.

– Należy do grupy Hartmanna. To efekciarski dupek, ale to nie moja sprawa. Może go potrzebował. Więc podjechałem na stację, zatankowałem i odwiozłem. Odłożyłem kluczyki.

– Odłożyłeś? Gdzie?

– Tu. A gdzie? Naprzeciwko jest parking. Tam trzymamy wozy zmianowe. Więc tam go zostawiłem.

Czekała.

– W ogóle się nad tym nie zastanawiałem – podjął ochroniarz. – Dopiero jak przeczytałem o zabitej dziewczynie. A wtedy...

Siadła obok niego.

– A wtedy milczałeś.

Znowu bawił się okularami. Nerwowo oblizywał usta.

Meyer siadł po jego drugiej stronie, uśmiechnął się do niego złowieszczo.

– Dlaczego? – spytał.

– Pracownicy Ratusza muszą się trzymać z dala od polityki. To bardzo ważne. Nie możemy stawać po żadnej stronie. Nie angażujemy się.

– Teraz jest pan zaangażowany – zauważyła Lund. – Bardzo.

– Pomyślałem, że sprawdzę taśmy, żeby zobaczyć, kto wziął kluczyki. Miałem takie uprawnienia.

– I?

– Nie było taśmy. – Sprawiał wrażenie skonsternowanego. – Przychodzi mi tylko do głowy, że ktokolwiek wziął kluczyki, musiał też zabrać taśmę.

No bo jak...?

– Och, na miłość boską – syknął Meyer.

– To prawda. Mówię prawdę. Mam sześćdziesiąt cztery lata. Po co miałbym kłamać? Gdyby się dowiedzieli, że taśma zniknęła, wszyscy mielibyśmy kłopoty. Te gnojki na górze zawsze są wyrywne, żeby nam się dobrać do tyłka. Został mi tylko rok do emerytury. Po co miałbym za kogoś nadstawiać karku? Odprowadziłem samochód, chociaż byłem po służbie. A wy mi grozicie, jakbym był jakimś bandytą...

– Jesteś bandytą – przerwał mu Meyer. – Zmarnowaliśmy tydzień, podążając fałszywym tropem. Porządny człowiek leży w szpitalu, a ojciec tej dziewczyny siedzi w areszcie. Gdybyśmy to wszystko wiedzieli od początku... Lund? Lund?

Stała i patrzyła na ratusz. Eleganckie wyłożone kamieniem korytarze. Godła i kandelabry. Tabliczki i memoriały. Wszystkie te pułapki władzy.

Ktoś tu przyszedł, wziął kluczyki od wozu, w którym umarła Nanna Birk Larsen. I zabrał taśmę, która by zdradziła jego tożsamość.

Cały czas szukali w niewłaściwym miejscu.

– Niech mi pan pokaże. Niech mi pan pokaże, gdzie stał ten samochód. Meyer się zawahał.

– Buchard kazał nam zadzwonić, jeśli...

– Może poczekać – ucięła.

Rada miejska korzystała z wielopoziomowego parkingu po drugiej stronie ulicy. Nagie posadzki z szarego betonu. Stary ochroniarz bał się coraz bardziej.

– Zaparkowałem samochód tutaj w piątek o wpół do ósmej.

Trzeci poziom. Teraz nie było tu żadnego pojazdu.

– Jesteś pewien godziny? – spytał Meyer.

– Tak! Potem odwiesiłem kluczyki na tablicę za naszym biurkiem.
I poszedłem do domu.

Lund patrzyła na sufity, na ściany, na rozkład.

– Kto ma dostęp do waszej kanciapy? – dociekał Meyer.

– Niewiele osób. Jesteśmy ochroną, prawda? Ale tamtego wieczoru była impreza.

– W ratuszu?

– Tak – skrzywił się. – Jedna z ich imprez. Wy byście tego tak nie nazwali.

Próbował się uśmiechnąć do Meyera.

– Ja też nie. Zawracanie głowy i tani szampan. Zawsze świętują rozpoczęcie kampanii wyborczej. Mówią na to impreza plakatowa. Kiedy plakaty są gotowe, przychodzą i stawiają je, i żartują sobie, że wygrali.

– No i co, jeśli jest impreza? – przerwała Lund.

– Wtedy ludzie wchodzą i wychodzą. Nie da się nadążyć. Zostawiają kluczyki, mówią, że chcą kluczyki. Trzeba ludziom pokazywać, gdzie znajdą właściwy pokój, prowadzić ich na siku – zamilkł.

Czekała.

– Mnie tam nie było – podjął po chwili. – Gdybym był, próbowałbym nad tym zapanować. Ale to niełatwe. Nie siedzimy tu cały czas. Nie da rady.

– Więc każdy może wejść i wziąć kluczyki?

– I taśmę – dodał.

Meyer walnął się w czoło.

– Wspaniale – warknął.

– Trzymajmy się tego, co mamy – powiedziała.

Odwróciła się do ochroniarza.

– Czyja to była impreza? – spytała.

Jego mina sugerowała, że policja powinna to wiedzieć.

– Hartmanna. Tego, co to obnosi się dumnie, myśląc, że wykopie starego Bremera. Panie go uwielbiają, wiem. Robi sobie ładne zdjęcia. Ale szczerze... – zaśmiał się ponuro – ...gdzie takiemu szczeniakowi do dorosłego mężczyzny.

O wpół do dziewiątej byli już z powrotem na komendzie. Zanim odpalili komputer, żeby obejrzeć taśmy z kamer, zawołali Bucharda. Stał teraz koło nich, z rękoma w kieszeniach i wściekłą miną.

– Nie możemy się dowiedzieć, kto wziął kluczyki – zaczęła Lund. – Ktoś zabrał taśmę. Ale...

Cała szczęśliwa rozsiadła się przed monitorem i manewrując klawiszami przewijania, starała się trafić na właściwe miejsce nagrania.

– O dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć stało się to.

Dwa samochody zostały na trzecim piętrze garażu. Czarny ford w głębi i srebrne volvo blisko kamery.

Po prawej stronie ekranu, dwa miejsca od samochodu, w którym zginęła Nanna, otworzyły się drzwi klatki schodowej.

Zaczęli wychodzić ludzie. Rodzina. Świeżo z przyjęcia.

– Balony? – prychnął Buchard. – Sprowadziliście mnie tu, żebym pooglądał balony?

– Olej balony – odparła Lund. – Patrz, co się dzieje z tyłu.

Mężczyzna i dwójka dzieci z balonami. Volvo należało do nich. Idąc do niego, zasłaniali postać podążającą do drugiego pojazdu. Niemal cień. Plama na ekranie.

– Jakim cudem ty to wszystko widzisz, do cholery? – zżymał się Meyer.

– Patrz. To facet. Jakieś metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. W tej chwili Nanna jest jeszcze na imprezie w szkole.

Czarny ford wycofał się w czasie, gdy mężczyzna z volvo wraz z dziećmi wsiadali do swojego wozu. Zasłaniając widok.

– Potem zajęła do nauczyciela. A potem...

Ford skierował się do wyjazdu, wyjechał z kadru, za samochodem na pierwszym planie.

– A potem spotkała się z tym mężczyzną. – Lund nie mogła oderwać wzroku od ekranu, nieświadoma, że się uśmiecha. – Gdzieś.

Przełączyła się na inną kamerę. Czarny ford jadący po garażu. Potem kolejny obraz. Samochód skręca w dół. Na monochromatycznym ekranie widać wyraźnie numer rejestracyjny.

– To on – oświadczyła. – XU 24 919. To samochód, w którym znaleźliśmy Nannę.

Z papierosem w ustach, z oczami lśniącymi i zmęczonymi Meyer jej zasalutował.

– Dziękuję – rzuciła Lund z nutą sarkazmu.

– Nie, Lund. Ja na poważnie. Jezu...

– Marnowaliśmy czas w szkole. Tam się nic nie zdarzyło. Samochód wrócił do garażu ratusza i stał tam cały czas.

– Ktoś się wkurzy – stęknął Meyer.

– Możemy wykluczyć Hartmanna i jego ludzi – ciągnęła. – Już ich sprawdzaliśmy. Problem w tym...

Tamci dwaj czekali.

– Nanna gdzieś się wybierała. Przypomnijcie sobie, jak się zachowywała na imprezie. Kemal powiedział, że u niego z jakiegoś powodu wzięła do ręki zdjęcie klasowe. Zupełnie jakby...

– ...się zegnała? – dokończył Meyer.

– Może. – Lund wzruszyła ramionami i podciągnęła rękawy swetra. – Myślę, że ona miała romans. Rodzice też tak podejrzewają. Nie chcą nam

powiedzieć. Może sami nie chcą się z tym zmierzyć.

– Birk Larsen ma barwną przeszłość, szefie. Tamten nauczyciel mógł naprawdę umrzeć.

– Zapomnijcie o rodzicach – polecił Buchard. – Oni są z Vesterbro. Co by tacy ludzie robili w ratuszu?

Lund nie mogła oderwać wzroku od ekranu.

– To ktoś, kto zabiegał o jej względy, kształtował ją. Nanna była piękna. Dojrzała ponad swój wiek. Ktoś jej powiedział, że jest wyjątkowa. Dawał jej drogie podarunki. Mówił, żeby trzymała to w sekrecie. Żeby czekała.

Pomyślała o zagraconym pokoju nad garażem w Vesterbro, pełnym książek, pamiątek i karteczek. O ubraniach w szafie. Lekkim zapachu perfum, za drogich dla nastolatki.

– Nanna miała inne życie, o którym nikt nie miał pojęcia.

– No właśnie nie, Lund – zastopował ją Meyer. – Ktoś miał pojęcie.

– Nie Pernille. Ani Theis, chyba.

– Ktoś – upierał się Meyer.

– Z kim o tym rozmawialiście? – spytał Buchard. – O samochodzie i o tym, że wrócił do ratusza?

Pytanie ją zaskoczyło.

– Tylko z tobą. Zacznę wszystko od początku. Może są tam kamery na ulicy.

Buchard wyszedł z pokoju.

– Może... – zaczęła Lund.

Szef stał na korytarzu, widoczny przez szybę. Rozmawiał przez komórkę.

– Myślisz, że dzwoni do żony? – spytał Meyer. – Zamawia okolicznościową pizzę?

Lund znowu wpatrywała się w ekran.

– Co?

– Tak się zastanawiam. Pokazujesz mu coś takiego. On nic nie mówi.
Wychodzi. Dzwoni do kogoś.

Rozgoniła ręką dym.

– Wolałabym, żebyś z tym skończył.

– Przed tym całym gównem pracowałem w małym mieście na południu.
Tam nikt nie narzekał na dym.

– Może powinieneś tam wrócić.

Trochę posmutniał.

– Nie mogę – odparł i nie dodał nic więcej.

Wrócił Buchard.

– Sprawdźcie rozpiszę i rejestr ochroniarzy. Wsadźcie tego staruszka,
który miał kluczyki...

– On tego nie zrobił – warknął Meyer.

– Przynieście mi wszystko, co zdołacie znaleźć na personel.

– To nie był nikt z personelu – zaprotestowała Lund. – To nie są
mężczyźni, którzy by mogli oczarować śliczną dziewczynę w rodzaju
Nanny. Dawać jej rzeczy, o których jej się nie śniło. Wyciągać taśmy,
kluczyki i znajdować miejsca Bóg wie gdzie...

– Przyjrzyjcie się personelowi. Dajcie mi wszystko, co zdołacie znaleźć –
powtórzył Buchard.

Myślała na głos. Nie mogłaby przestać, nawet gdyby chciała.

– To musi być ktoś ważny. Ktoś, kto myśli, że się z tego wywinie. Bo my
stoimy poniżej. My...

– To już było sprawdzane – przerwał jej Buchard.

– Co? – spytał Meyer.

Lund zebrało się na śmiech.

– Sprawdzane? Kto to sprawdził? My pracujemy nad tą sprawą. Jeśli myśmy tego nie sprawdzili...

Buchard się wściekł.

– Jeśli ja ci mówię, że to zrobione, to jest zrobione. A teraz zabierajcie się za ochroniarzy.

Lund podleciała do niego, gdy ruszył do drzwi. Meyer też nie ustępował pola.

– Nie. To nie w wystarczy, Buchard. Do kogo dzwoniłeś?

Pędził w stronę swego pokoju.

– Nieważne – odparł i nawet się nie odwrócił.

– Czekaj, czekaj. – Meyer też był wściekły. – To jakiś absurd.

Buchard stanął, zerknął przez ramię.

– No to chyba czujesz się jak ryba w wodzie.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje – upomniała się Lund.

Odwrócił się. Wielki tors wypięty do przodu, na twarzy jakiś żalony wyraz.

– Do mnie! – rozkazał.

Ruszyli oboje.

– Lund! – warknął na Meyera. – Nie ty.

Spojrzała na kolegę. Próbowwała się uśmiechnąć.

Potem podążyła za Buchardem, ignorując biadolenie Meyera na korytarzu.

Szef zamknął drzwi. Wtedy się uśmiechnęła. Znała tego człowieka całe swoje życie. Uczyła się od niego. Czasami się z nim kłóciła. Jadała u niego obiady. Nawet w czwórkę, kiedy jeszcze miała męża.

– Mnie możesz powiedzieć – zaczęła. – Nie powtórzę dalej. Wiesz o tym.

Buchard spojrzał na nią.

– Temu kretynowi możesz. Wisi mi to.

– Meyer jest dobry. Lepszy, niż mu się wydaje.

Szef uniósł ręce. Przyjął tę arogancką, akademicką pozę, po którą sięgał w chwili wygłaszania pogadanki.

– Jeśli ja mówię, że oni nie mają z tym nic wspólnego – rzekł – to nie mają.

Pochyliła głowę, spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Posłuchaj, Sarah. Chcę, żeby ta sprawa została wyjaśniona, chcę tego równie mocno jak ty.

– Więc dlaczego wiążesz mi ręce?

Takich tekstów nie lubił.

– Jestem twoim szefem. Ja decyduję, co robisz. Wyraziłem się jasno. I wyszedł.

Meyer chciał wiedzieć, co szef powiedział.

– Nic ważnego – odparła. – Kiedy sprawdzaliśmy komórkę Nanny, jak daleko cofnęliśmy się z rozmowami?

– Nie wiem. Z tydzień. Nie pojawił się tam nikt z Ratusza. Tylko znajomi i dom.

– Możesz sprawdzić jeszcze raz? Cofnąć się bardziej?

W biurze zadzwonił telefon. Poszła go odebrać. Meyer podążył za nią, cały czas utyskując.

– Co powiedział Buchard? Lund! Lund!

Dzwonił dziennikarz z radia. Prosił o komentarz do sprawy i kampanii Hartmanna.

– Słyszeliśmy, że Ratusz znowu jest w kręgu zainteresowań policji. Dlaczego? Czy Hartmann jest podejrzany?

– Kto panu to powiedział?

– Źródło.

– No to niech pan spyta źródła, co się dzieje.

Podowała telefon Meyerowi.

– Co powiedział Buchard, Lund?

Piknął jej telefon. Esemes. Spojrzała na wyświetlacz. Złapała płaszcz i torebkę. W głowie miała chaos.

– Muszę iść.

– Dokąd?

– Informuj mnie na bieżąco – poleciła. Już z korytarza usłyszała, jak wrzeszczy na dziennikarza.

Porzuciła samochód na chodniku przed dworcem, z włączonymi światłami i niezamknięty. Zostawiła płaszcz na fotelu kierowcy. W samym czarno-białym swetrze i dżinsach pognęła schodami.

Znowu padało. Zero księżyca. Kilka osób umykało przed deszczem, a paru pijaków rwało się do bitki.

Pociąg do Sztokholmu szykował się do odjazdu. Do tej długiej podróży po moście nad wodami Sundu. Tej, w którą sama mogła wyruszyć. W każdej chwili. Gdyby tylko...

Za pięć godzin byłaby w Sztokholmie. Nowe życie. Z Bengtem i Markiem. Spokojniejsza praca. Inny świat.

Stał na peronie, z kawą w prawym ręku, z lewą na temblaku, z twarzą posiniaczoną i opuchniętą.

Lund przystanąła na chwilę. Zastanawiała się, co powiedzieć. Co zrobić.

Nie widział jej. Był odwrócony w stronę pociągu. Mogła teraz odejść i kto wie, czy tak nie byłoby najlepiej.

Ale podeszła i powiedziała do jego pleców:

– Bengt.

A gdy się odwrócił, w tej znajomej, wyrazistej twarzy zobaczyła ból nie tylko fizyczny.

Przede wszystkim najpierw się przeprosza. Zawsze.

– Znowu się coś pojawiło. Przepraszam...

Jej oczy wypełniły się łzami. Żadne słowa nie wydawały się odpowiednie.

– Tak bywa.

Ruchem kciuka wskazała przestrzeń za plecami.

– Możemy o tym porozmawiać w samochodzie?

W jego oczach pojawiło się coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Dystans. Litość?

– Proszę – ciągnęła. – Rozumiem, dlaczego nie chcesz się zatrzymać u mojej matki. Zresztą nie zostalibyśmy tam długo.

Nadzieja. Plan.

– Znajdźmy hotel – ciągnęła. – Możemy wziąć pokój rodzinny. To nie potrwa długo.

Kręcił głową, a ona starała się znaleźć słowa, które by go zatrzymały.

– Pospieszaliśmy się, Sarah – rzekł głosem, który wydawał się daleki i beznamiętny. – Może tak jest lepiej. Przeprowadzka do Szwecji...

Wrócił ostry, piekący ból oczu.

– Nie! Z niczym się nie pośpieszyliśmy. Co to ma znaczyć? – Samotna łza wymknęła się spod powieki i spłynęła po jej prawym policzku. – Chcę się przeprowadzić.

Podniosła rękaw do twarzy, jakby była jednym z nadąsanych dzieciaków ze szkoły Nanny Birk Larsen.

– Chcę być z tobą, Bengt. Zostań, proszę.

– Nie mogę już na to patrzeć. – I z kawą w dłoni objął ją jeszcze raz.

Krótkim uściskiem. Jak kumpla. Nawet to nie pasowało do pożegnania.

– Dbaj o siebie – powiedział zdawkowo. I wsiadł do pociągu.

Światła na dworcu rozmazały się jej przed oczami, gdy tak stała na peronie, patrząc, jak pociąg odjeżdża. I łkała tak, jak nie zdarzyło jej się

od lat.

Słowa nigdy nie przychodziły jej łatwo. W każdym razie wypowiedzenie ich. To, co znaczyły, co znaczyły wszystkie obce i nieprzeniknione oblicza... fascynowało ją wręcz obsesyjnie.

Mówiła Bengtowi, że go kocha. Nieczęsto. Może nawet rzadko. Mówienie o tym wydawało się jej niekonieczne. Nachalne.

A i tak niczego nie zmieniało. Była, jaka była, i czuła się szczęśliwa. Jakim kosztem?...

Przejechała po twarzy szorstkim wełnianym rękawem, srogim dla oczu i skóry.

Na chwilę światła wokół niej przygasły. Znowu stała w Lesie Zielonoświątkowym, pośród martwych drzew o liniejącej srebrnej korze. Znowu ściagała człowieka, który ściagał Nannę Birk Larsen. Znowu się zgubiła, tak jak musiała zgubić się Nanna w tych ostatnich okrutnych chwilach.

Ciemny las...

Nanna walczyła o życie pośród brzozowych pni. Ona sama wśród cieni potwornej śmierci dziewczyny walczyła o prawdę, Meyer walczył o utrzymanie się przy jej boku. Oni wszyscy też zniknęli w lesie. Stanęli na rozwidleniu dróg. Musieli podjąć decyzję. W prawo czy w lewo. W górę czy w dół. Ścieżki na wprost nie było widać.

Sama.

W pewien sposób tak było od początku.

Może to właśnie dostrzegł Bengt. Że kiedy znika z jej pola widzenia, znika też z jej myśli. Że nic się nie liczy oprócz tego, co Sarah widzi przed sobą tymi lśniąco-przenikliwymi oczami.

A nawet to wydawało się teraz kłamstwem, żartem, zjawą chichoczącą pośród cieni.

Bo dla niej nie było żadnej drogi. Nie było właściwego kierunku ani poprawnego kursu. Tylko poszukiwanie tej drogi. Pościg, a nie jego wynik.

Pociąg ruszył i wytoczył się na pewny i prosty szlak, który prowadził na most Øresund.

Nie wzięła tego zakrętu. Szlak niedługo się zagubi i zarośnie.

Oni wszyscy prowadzili jakiś pościg w ciemnościach. Meyer, który starał się zachować posadę. Birk Larsenowie, którzy walczyli, by pogrzebać swój ból. Nawet Troels Hartmann, chłopiec z plakatu. Atrakcyjny, inteligentny mężczyzna nękanym przez demony. Co do tego nie miała wątpliwości.

Więc może, pomyślała sobie Lund, wcale nie była sama.

Meyer zadzwonił, gdy już wróciła do samochodu.

– Halo? Mowę ci odjęło?

– Co tam?

– Poszedłem do techników i kazałem znowu spojrzeć na jej telefon. Na liście kontaktów miała pięćdziesiąt trzy numery. – Przerwał. – Myśmy dostali pięćdziesiąt dwa.

Nie miała siły z nim rozmawiać.

– To nie może poczekać do rana?

– Dostałem billing z kilku miesięcy. Porównałem go z danymi w telefonie. Ktoś nas okantował, Lund. Lista nie była kompletna. Ona prowadziła rozmowy, o których się nie dowiedzieliśmy.

– Gdzie jesteś?

– Na zewnątrz. Masz mnie za idiotę, tak?

– Nie, wcale nie. Naprawdę muszę ci to w kółko powtarzać?

– A teraz najgorsze. Pierwsza osoba, która widziała tę listę i sprawdzała telefon, to Buchard.

Lund ruszyła.

– To niemożliwe.

– A jednak, Lund. Nie podoba mi się to. Jeśli Buchard kogoś kryje, to na pewno Hartmanna. Wszystko na to wskazuje.

– Nie teraz – wyszeptała.

– Jeśli nie możemy rozmawiać z Buchardem, to z kim możemy? Co? Kto pociąga za sznurki? Jezu...

Odsunęła telefon od ucha.

– Lund? Lund!

Budynek Komendy Głównej majaczył przed nią w ciemnościach, bladoszary pałac z tyloma krętymi korytarzami, biurami i ukrytymi zakątkami, że jeszcze teraz potrafiła się w nim zgubić, jeśli była zmęczona.

Minęła go. Jechała do domu, a w każdym razie do miejsca, które w tej chwili służyło jej za dom.

W Radzie Miejskiej Kopenhagi zasiadały cztery ugrupowania mniejszościowe, prawicowe, lewicowe i gdzieś pomiędzy, pogrążone w nieustannych sporach i przypoehlebiające się Bremerowi, by wyrwać dla siebie przewodnictwo komisji czy inne synekury.

Hartmann zaprosił do siebie przywódców tych ugrupowań na dziewięć czterdzieści pięć.

Wziął czystą koszulę z garderoby, ogolił się, uczesał. Rie Skovgaard sprawdziła wszystko.

Ci ludzie nie lecieli na uśmiech. Uczestniczyli w grze.

– Reprezentujemy pięć partii i pięć różnych odmian polityki – zaczął spokojnym, wyćwiczonym tonem. – Gdybyśmy powtórzyli wynik z ostatnich wyborów i dodali wasze głosy do naszych, uzyskalibyśmy zdecydowaną większość.

Przerwał.

– Zdecydowaną większość. Z tego co widziałem w sondażach, tym razem jest tak samo. Może jeszcze lepiej.

Jens Holck, przewodniczący Ugrupowania Umiarkowanego, największy, najtwardszy orzech do zgryzienia, westchnął, wziął chusteczkę i zaczął czyścić okulary.

– Nie udawaj znudzonego, Jens – zwrócił się do niego Hartmann. – Szukamy różnic pomiędzy zwycięstwem a klęską. Bremer o tym wie. Jak myślisz, dlaczego tak pogrywa ze mną w telewizji?

– Ponieważ ty się ciągle o to prosisz, Troels.

– Nie. Nie proszę się. To co mi się przydarzyło, mogło spotkać każdego z nas. Każdego, w kim Bremer dopatrzyłby się zagrożenia. W takim stanie jest Ratusz. Dlatego potrzebujemy szerokiego sojuszu, który wykluczy Bremera na dobre.

Mai Juhl, drobna, emocjonalna kobieta, która założyła od zera Partię Zielonych. Cieszyła się ogromnym szacunkiem i miała niewiele dobrej woli. Nie liczyło się dla niej nic poza polityką, co wydawało się Hartmannowi dziwne, gdyż w swojej karierze osiągnęła bardzo niewiele.

– Wszystko świetnie, ale co my mamy z tym wspólnego? – spytała teraz.

– Jak byśmy...?

– Mamy mnóstwo, Mai. Edukacja, mieszkania, integracja. I środowisko. Nie tylko ciebie ono obchodzi. Mamy więcej wspólnych tematów, niż myślisz.

– A te wzory osobowe? – W najbardziej konwencjonalnych kwestiach Juhl raczej kierowała się na prawo. – Zrobiłbyś wszystko, żeby ich zatrzymać.

– Tak – przyznał. – Zrobiłbym.

– W tej sprawie dzielą nas tysiące kilometrów.

Ktoś przyznał jej rację.

Troels popatrzył na wszystkich po kolei, starannie dobierając tematy, zgodnie z rozpoznaniem, które zrobił Morten Weber.

– Leif. Pamiętasz, że ostatnim razem Bremer obiecał redukcję emisji dwutlenku węgla? Nic się nie zmieniło. Co zrobił dla starszych? Czy to nie jest też dla ciebie kluczowa kwestia? Bistrup? Czy stworzył miejsca pracy, tak jak obiecywał? Jens. Mawiałeś, że miasto musi przyciągnąć rodziny z dziećmi. Co się z tym wszystkim stało?

Nie odpowiedzieli.

– Bremer przyjął te zobowiązania, kiedy potrzebował waszego poparcia, a potem podtarł sobie nimi tyłek.

Przesunął po stole plik dokumentów.

– Gdybyśmy teraz siedzieli w studio telewizyjnym, rozerwałbym was na kawałki. Proście o głosy, a nigdy nie dotrzymujecie obietnic. Ponieważ Bremer nigdy nie wywiązuje się ze swoich. Ale nie musi tak być. Możemy pracować razem. Możemy znaleźć kompromis. – Wzruszył ramionami. – Każdy z nas w pewnych punktach może odpuścić. Ja też. – Podniósł swój program wyborczy. – To dokument, nie Biblia. Ważne jest to, żebyśmy wygrali. I żeby Bremer odszedł z pustymi rękami.

Hartmann wstał, rozdał zgromadzonym dokument przygotowany przez Mortena Webera.

– Nakreśliłem projekt współpracy pomiędzy naszą piątką. Oczywiście to tylko początek. Wszystko jest do dyskusji. Będziecie chcieli zmian, nie ma sprawy.

Wrócił na swoje miejsce, patrzył, jak podają sobie kopie dokumentu.

– Wiem, że to wielki krok. Razem mamy talent, energię i pomysły, które mogą uczynić to miasto lepszym. Jeśli czegoś nie zrobimy, on wróci. Administracja utknęła w miejscu. Pełen zastój. Zero wyobraźni. Żadnej świeżej krwi...

– Myślę, że Bremer wykonał dobrą robotę – przerwał mu Jens Holck.

– Ja również! – przyznał Hartmann. – Dwanaście lat temu był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Teraz...

– To Kopenhaga. Nie raj. Nie dostrzegłem u ciebie nic, co by sugerowało, że będziesz równie dobry jako burmistrz. Zwłaszcza ostatnio.

– Doskonale. Powinniśmy rozmawiać szczerze. Zobaczmy, co myślą wyborcy.

– I masz złe stosunki z Parlamentem – dodał Holck. – Burmistrz musi z nimi negocjować budżet. Jeśli nie zapewnimy sobie ich przychylności, wezmą nas głodem. Naprawdę nie widzę...

– Z Parlamentem ugodzimy się siłą. Jeśli będziemy mieli szeroką koalicję... – wskazał ręką ich wszystkich – to możemy więcej niż Bremer. Jeśli wkurzą nas, wkurzą wszystkich. Nie rozumiesz?

Jens Holck wstał.

– Nie, nie rozumiem. Przykro mi, Troels. Nie wierzę ci.

– Nie zerkniesz nawet na propozycje?

– Już zerknąłem. Dobranoc.

Mai Juhl też wychodziła.

– Bez Jensa nie możemy tego zrobić – powiedziała.

Pozostała trójka poszła w ich ślady.

Sam w biurze, w niebieskim świetle neonu Palace Hotel, Hartmann zastanawiał się, w którym momencie popełnił błąd.

Jeszcze nikt nigdy nie próbował stworzyć tak szerokiej koalicji. Może to było szaleństwo. Ale w polityce czasami i na szaleństwo znajdowało się miejsce. Kiedy ustępował stary porządek, można się było spodziewać małego chaosu. Wtedy właśnie uderzał śmiałek.

A on nie był jedynym śmiałkiem w okolicy.

Morten Weber przewidział, że Holck od razu odrzuci propozycję, a pozostali podążą za nim. Rzadko mu się zdarzało źle oszacować sytuację. Powiedział też, że każde z nich z osobna przemyśli sprawę. A więc niedługo ktoś powinien zadzwonić.

Hartmann nalał sobie brandy.

Czekał dokładnie siedem minut.

Na dziedzińcu ogrodowym ratusza, pomiędzy rdestówką a bluszczem przy fontannie, Jens palił papierosa.

– Wróciłeś do złych nawyków – zauważył Hartmann. – Wstyd.

– Tak. Wstyd.

Holck był o parę lat młodszy od Hartmanna, mniej więcej tej samej budowy i wzrostu. Niegdysiejszy przewodniczący organizacji studenckiej, na pierwszy rzut oka młodzieńczy, przy bliższym poznaniu ujawniał oblicze człowieka zniszczonego przez niezrealizowane ambicje. Miał ciemne włosy i czarne modne okulary, niewesołą twarz skostniałego belfra. Ostatnio nie uśmiechał się za często. Ani też nie golił. Wyglądał okropnie.

– Czy nie wyraziłem się jasno? – spytał.

– Bardzo. Więc dlaczego dzwoniłeś?

Holck rozglądał się na boki.

– Na wypadek gdybym mógł jednak jaśniej.

– Jens. Musimy coś zrobić. Miasto dryfuje. Administracja Bremera jest źle zorganizowana. Finanse to jeden wielki bajzel. On słucha tylko siebie.

Holck zaciągnął się papierosem i wypuścił dym w stronę fontanny.

– Jest jak umierający król – dodał Hartmann. – Wszyscy wiemy, że nie zostanie długo na tym świecie. Ale nikt nie chce o tym wspomnieć. Ani powiedzieć cokolwiek na głos, na wypadek gdyby staruszek słuchał.

– W takim razie może powinniśmy poczekać na pogrzeb. I wtedy ratować sytuację.

Hartmann rozejrzał się po dziedzińcu. Byli sami.

– Słyszałeś o jego podróży na Łotwę? – spytał.

Holck drgnął. Pracował w komisji audytowej. Rie Skovgaard i tam węszyła.

– Co z nią?

– Oficjalnie była to wizyta w firmie. Inwestycja wewnętrzna. Ale konto wydatków...

– Węszymy, co, Troels? Myślałem, że ty jesteś ten dobry.

– Nie zaglądam do publicznej kasy.

– Analizujemy wydatki. Nie dopatrzyliśmy się nieprawidłowości.

– To, co widziałeś, było już ubite. Tysiące...

– Och, na miłość boską. To jest twoja nowa polityka? Nie obchodzi mnie, czy Bremer sobie liźnie tu czy tam. To stary człowiek i haruje tu jak wół. Zawsze harował. Pomimo żalosnych zarobków i morderczych nadgodzin.

– A więc niczego nie zmienimy?

– Ktoś musi być burmistrzem. Rzeczywiście sądzisz, że ty jesteś inny?

– Daj mi szansę.

– Naprawdę masz fatalne stosunki z Parlamentem. To sedno sprawy. Oni cię nie lubią, Troels. Nie podoba im się, jak pysznisz się przed kamerami. Kobiety mdleją. To twoje świętoszkowate samozadowolenie. To, że uważasz się za lepszego od innych.

Holck się roześmiał, krótkim, ostrym śmiechem.

– Ode mnie nie. Ja nie mam tego problemu. Znam cię na tyle długo, żeby dojrzeć, jak jest naprawdę. Powiedz mi. Czy tobie zależy na Kopenhadze? Czy na Troelsie Hartmannie? Co się bardziej dla ciebie liczy?

– Dzwoniłeś, żeby mi to powiedzieć?

– Mniej więcej. – Holck wrzucił papierosa do fontanny i odszedł.

– Marnujesz czas na Jensa Holcka – powiedział Morten Weber dziesięć minut później. – To piesek pokojowy Bremera.

– Więc rzućmy mu odpowiednią kość. Byli zainteresowani, Morten. Wahali się. Gdybym miał po swojej stronie Holcka, wszyscy by poszli w jego ślady jak po sznurku. W jednej chwili. Mamy coś do jedzenia?

Weber skłonił się i rzekł:

– Do usług szanownego pana.

Po czym udał się na poszukiwania prowiantu.

– Jeśli nie udobruchamy Jensa Holcka, pójdziemy na dno? – spytała Skovgaard.

Siadła na biurku, z nogami na jego krześle, brodę oparła na rękach. Nie wyglądała na przerażoną tą wizją.

– Nie – odrzekł Hartmann. – Znamy swoją wartość. Jesteśmy silni.

Skovgaard wyciągnęła ramię, napięła biceps.

– Ja też jestem silna. Zobacz.

Hartmann roześmiał się, podszedł do niej i palcami sprawdził mięśnie.

– Nieźle. Jeszcze jedno.

Pochylił się. Ona zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałowali się. Palce we włosach. Szary garnitur i czarna sukienka.

Wtulona w niego powiedziała rozmarzona:

– Dawno tak nie było.

– Kiedy to się skończy, zabiorę cię gdzieś, gdzie jest największe, najbardziej miękkie i najcieplejsze łóżko...

– Kiedy się skończy?

– Albo wcześniej.

– To obietnica wyborcza?

Hartmann odsunął się od niej z uśmiechem.

– Nie. Moja osobista. Zadzwoń do swojego ojca i poproś, żeby porozmawiał z ministrem spraw wewnętrznych. Niech mi powie, co mam zrobić. Wystarczy jedno słowo z Parlamentu. Holck je usłyszy.

Wszedł Morten Weber z talerzem pełnym kanapek.

– Na parkingu jest pełno policji – powiedział.

– Czemu? – spytała Skovgaard.

Weber spojrzał niechętnie.

– Skąd mam wiedzieć?

Lotte Holst była o jedenaście lat młodsza od swojej siostry Pernille. Przez pięć ostatnich długich i bogatych w wydarzenia lat stała za barem klubu Heartbreak. Lokal był przeznaczony dla biznesmenów, młodych menedżerów, dla każdego, kto mógł sobie pozwolić na cienkiego drinka za dwieście koron. Znajdował się nieopodal Nyhavn, w pobliżu kłębiły się tłumy turystów kierujących się do łodzi na kanale i restauracji.

Włosy nosiła upięte wysoko, a na jej służbowy uniform składała się wydekoltowana sukienka bez pleców, błyszcząca szminka i stale znudzony uśmiech, gdy podawała butelki kruga i wódki w rytm ogłuszającej muzyki.

Zarabiała nieźle. Najwięcej na napiwkach. A czasami zdarzały się niespodzianki.

Około jedenastej jeden z barmanów powiedział jej, że ma gościa.

Lotte podeszła do recepcji. Zobaczyła Pernille w płowym gabardynowym płaszczu, z włosami w nieładzie. Poczula się zakłopotana, tak jak zawsze się czuła jako dziecko.

Pernille była śliczna. Ale to ona była rodzinną pięknnością. Wszyscy tak mówili. Nikt nie rozumiał, dlaczego to nie ona, lecz Pernille wyszła za mąż, choćby za takiego brutala jak Theis, co to dwóch zdań nie potrafił sklecić.

Jej siostra kołysała się w przód i w tył. Wyglądała potwornie. Przy szatni był niewielki magazynek. Weszły tam, siadły na skrzynkach z piwem. Lotte

słuchała.

– Nie chciałam ci zawracać głowy – powiedziała Pernille.

– Więc dlaczego... to znaczy... Nieważne. Chłopcy są u mamy. Nic im nie jest.

– Wiem, pytałam.

– Jestem w pracy, Pernille.

– To też wiem.

– Miałaś wieści od Theisa? Kiedy wraca do domu?

– Nie odzywał się. Jego adwokatka się stara.

Objęła się ramionami, chociaż w maleńkim pomieszczeniu panowały gorąc i zaduch.

– Czy Nanna mówiła ci coś o...

Zabrakło jej słów.

– O czym?

– Nie wiem. Byłyście sobie takie bliskie. Jak siostry. – W oczach Pernille pojawiło się jakieś oskarżenie. – Byłaś jej bliższa niż ja.

– Byłaś jej mamą.

Pernille zaczęła płakać.

– Tobie mówiła wszystko! A mnie nic.

Przez otwarte drzwi przyglądał im się jeden z ochroniarzy.

– Ona nie...

– Nanna prowadziła życie, o którym ja nie miałam pojęcia! Jestem tego pewna.

– Nie wiem, o czym mówisz, Pernille.

– Co powiedziała? W domu miała problemy? Ze mną? Z Theisem?

– Nie...

– Czasami się kłóciłyśmy. Ona była w ciągłym ruchu. Ciągłe wchodziła i wychodziła. Brała rzeczy. Nosila moje ubrania.

– Moje też nosiła. Bez pytania.

– Czy ona...? – Z zamkniętych oczu znowu popłynęły łzy. Udręka, której Lotte Holst nie chciała oglądać. – Czy ona nas nienawidziła?

Lotte położyła rękę na ramieniu siostry.

– Oczywiście, że nie. Kochała cię. Oboje was kochała. I chłopców. Nigdy nic nie mówiła.

– Nie?

– Nie.

– Więc to tylko o mnie chodzi?

Ochroniarz zaczął dawać znaki. Nie powinna robić sobie przerw w pracy dłuższych niż pięć minut co godzinę.

– Coś się wydarzyło ostatniego lata – opowiadała Pernille. – Pomiędzy nią a Theisem. – Kiwnęła głową, jakby próbowała sobie przypomnieć jakieś konkretne zajście. – Kiedy się nad tym zastanowię, widzę to wyraźnie. Zawsze była córeczką tatusia. Owijała sobie Theisa wokół palca. A nagle przestali robić razem cokolwiek. Nie powiedziała mi, o co chodzi.

– Theis uważał, że jest za wcześnie, żeby się wyprowadzała. Ona się trochę złościła. – Lotte wzruszyła ramionami. – To wszystko. Miała dziewiętnaście lat. Nie była dzieckiem. To nie było nic ważnego.

– Jesteś pewna?

– Musisz przestać tyle nad tym rozmyślać. Theis był dobrym ojcem. Nadal jest. Nawet jeśli robi coś głupiego.

Barman stanął w drzwiach i kiwnął na nią.

– Muszę iść. Nie chcę, żeby mnie wylali. Posłuchaj. – Ścisnęła jej rękę. – Przyjdę jutro i pomogę ci, jak tylko będę mogła. Zobaczysz, poradzisz sobie.

Podniosła siostrę ze skrzynki, objęła ją i odprowadziła do wyjścia.

Wróciła, przygotowała drinki dla bogatych biznesmenów, uśmiechała się, gdy łykali okiem pożądliwie.

Odczekała godzinę do następnej przerwy, weszła do toalety, wyjęła kokę i wciągnęła długą, drogą kreskę, starając się nie płakać.

WTOREK_ 11 LISTOPADA_

Ósma rano. Lund oglądała nagrania z garażu. Znowu. Rodzina, dzieci z balonami wsiadające do srebrnego volvo. Czarny ford odjeżdża.

Wszedł Meyer z newsami. Nie znalazł żadnych powiązań pomiędzy Nanną Birk Larsen a Ratuszem. Nigdy tam nie pracowała jako wolontariuszka przy wyborach. Nawet chyba się tam nie pojawiła w ramach szkolnej wycieczki.

– Przejrzałem znowu jej rzeczy – dodał. – To są klucze, które znaleźliśmy.

Pokazał jej torebkę dowodową.

– No i?

– To nie jej klucze. Nie do domu.

Lund jakoś o tym zapomniała.

Wzięła od niego torebkę. Były to klucze firmy Ruko. Używane powszechnie.

– Nie wyglądają jak klucze z ratusza – powiedział. – Oni tam wszędzie mają takie fikuśne zamki. Nie wiem...

– Później. – Machnęła ręką. – Możemy podkreślić obraz? Zrobić zbliżenie na kierowcę i zobaczyć, jak wygląda?

– Teoretycznie.

– Więc podkreśmy.

Meyer się zawahał.

– Buchard mówi, że to wszystko było sprawdzane.

Wskazała raporty.

– Nie widzę tu nic na ten temat.

– Słyszałaś, co mówił. Ja nie chcę brać w tym udziału.

Podszedł i siadł koło niej. Wyglądał niemal pokornie.

– Naprawdę nie chciałbym tego tłumaczyć. Ale to... – rozejrzył się po gabinecie – to moja ostatnia szansa. W kilku innych miejscach nie wiodło mi się najlepiej.

– Kilku? Dwóch? Trzech?

– Kilku. Nie mogę stracić tej pracy. Nie mogę.

– Dlatego nie odsunął nas od sprawy? – spytała. – Bo robimy, co on chce?

Meyer wpatrywał się w jej wielkie, smutne oczy.

– Ja na miejscu Bucharda już dawno bym nas odsunęła – dodała.

– Zanim następnym razem powiesz coś takiego, musisz mnie ostrzec. Żebym mógł zasłonić uszy.

– To są wielkie uszy. Nie dasz rady.

– Dziękuję. Jeśli Buchard mówi, że ktoś zbadał...

– Nikt nie zbadał. Też w to nie wierzysz.

Zasłonił uszy rękami. I natychmiast je odsłonił.

– On tu idzie – powiedział.

Wszedł szef.

– Chciałaś ze mną rozmawiać?

Lund się uśmiechnęła.

– Chciałam przeprosić za wczoraj. Oboje byliśmy zmęczeni.

Meyer kiwnął głową.

– Zmęczeni – potwierdził.

– Nie ma sprawy. Dopóki robicie postępy.

– Postępy. – Kiwnęła głową. – Robimy.

– Dobrze.

Już miał wyjść.

– Kto sprawdzał kontakty i listę połączeń z komórki Nanny? – rzuciła Lund.

Buchard zamarł w drzwiach.

– Nie wiem – odparł.

– Coś może wskazywać na jednego z ochroniarzy. Niewykluczone. Nie mam pewności.

– Zbadaj to.

Kolejny uśmiech.

– Zbadam – odparła.

Patrzyli za nim, jak wychodzi.

– Kim byś był – spytała Lund – gdybyś nie był gliną?

– Didżejem. Robiłem to jako student. Byłem bardzo dobry. Tylko do twarzy można by się przyczepić. – Przejechał dłonią po szczecinie i policzkach. – A gdybym jeszcze miał prezencję, to nie wiem...

Roześmiała się.

– A ty?

– Nikim – odparła. – Ja bym była nikim.

– Kiedyś brałem pod uwagę, żeby sprzedawać hot dogi w budce – dodał Meyer. – Wtedy jesteś własnym szefem. Może już niedługo mnie to czeka. Jeśli dalej pójdziemy tą drogą, Lund.

Ale ona myślami była gdzie indziej.

– Zupełnie nikim – powtórzyła.

W zapisach rozmów nie było co oglądać. Ale dwadzieścia minut później do ich pokoju wetknął głowę jeden z wywiadowców i oznajmił, że ma coś

nowego. Po tym jak nocna zmiana zrobiła kolejną rundkę ze zdjęciem Nanny, do komendy zgłosił się taksówkarz. Mówił, że chyba ją wiozł tej nocy, kiedy zaginęła.

– Nie wierzę – powiedział Meyer.

– W co?

– Pierwszy raz ktoś się sam zgłasza w sprawie tej biednej dziewczyny. Nie zauważyłaś, Lund? Wszyscy inni zakładają, że czytamy w myślach.

Potał swój nieogolony podbródek.

– Zależy im, żebyśmy znaleźli tego drania, prawda?

Taksówkarz nazywał się Leon Frevert. Był wysokim, chudym czterdziestoparolatkiem. Miał długą szarą twarz, która pasowała do taniego garnituru, pachniał papierosami i potem. Przyjechał prosto z nocnej zmiany.

– Nie jestem przekonany, że to ona – powiedział, patrząc na podane zdjęcie.

– Niech pan nie myśli o tym, czy to ona, czy nie – polecił Meyer. – Niech nam pan powie, co się działo.

W weekendy jeździł taksówką dla jednej z miejskich firm.

– Odebrałem ją w piątek. Jeśli to była ona. Rozmawialiśmy trochę. Chciała jechać od miasta. Podrzuciłem ją do Grønningen, w pobliże skrzyżowania ze Store Kongensgade.

Długa prosta ulica na skraju miasta. Obok twierdzy Kastellet. Nie sprawdzali żadnego adresu w pobliżu.

– Ma pan rachunek?

– Jasne. Kto nie chce mieć problemów, musi trzymać rachunki.

Z kieszeni wyświechtanego garnituru wyciągnął kłęb paragonów.

– To chyba ten. Wsiadła w pobliżu Ryparken. Widzicie? – Wskazał paragon. – Podróż zaczęła się o dwudziestej siedem. Skończyła o dwudziestej czterdzieści pięć.

– Co się stało, gdy dotarliście na Grønningen? – spytała Lund.

– Ona wysiadła. Od razu znalazłem następnego klienta. Nawet nie musiałem odjeżdżać. W piątki jest mnóstwo roboty.

Podrapał się po rzednących jasnych włosach.

– Problem w tym, że nie dojechaliśmy tam od razu. Zatrzymaliśmy się. Młodzi rzadko tak robią. Nie mają kasy na postoje.

– Gdzie się zatrzymaliście?

– Na Vester Voldgade. Na tyłach ratusza.

Meyer zamknął oczy i jęknął.

– Co się tam działo? – spytała Lund.

– Wysiadła i poprosiła, żebym zaczekał. Normalnie bym tak nie zrobił. Bo oni uciekają po prostu. Ale ona sprawiała miłe wrażenie. Nie była pijana ani nic.

– Co chciała z ratusza?

– Nie powiedziała. Weszła do środka na kilka minut.

– Widział pan z nią kogoś?

– Nie. Wyszła. I potem pojechaliśmy na Grønningen. Nie chcę marnować waszego czasu. Nie mogę przysiąc, że to była ona. – Zerknął znowu na zdjęcia. – Może, ale...

– Dziękujemy.

Ucisnęła mu dłoń, skinęła na Svendsena, który kręcił się po korytarzu, poprosiła, żeby spisał zeznania.

Potem siedli we dwójkę w biurze.

– W pobliżu jest mnóstwo hoteli – powiedziała.

– Sprawdzaliśmy hotele.

– Więc sprawdzimy jeszcze raz. Pytaj, czy widzieli polityka. Czy ktoś z Ratusza mieszka w pobliżu? Pracujesz nad ochroniarzami?

Meyer był coraz bardziej spięty i zły. Unikał jej wzroku.

– Tak, oczywiście.

– Taksówkarz zabrał ją spod domu Kemala do ratusza – ciągnęła Lund.

– Mówił, że nie jest pewien, czy to ona.

Nie chciała się spierać. Meyer bał się o swoją pracę. Był rozdarty pomiędzy tym, co jego zdaniem było słuszne, a tym, co jego zdaniem było rozsądne. Korzystne dla niego.

– Mam spotkanie – powiedziała, wstając i chwytając kurtkę. – Zadzwoń, jak się czegoś dowiesz.

Rie Skovgaard przez całą noc badała grunt w Parlamencie. Relacje Hartmanna z ministrem spraw wewnętrznych pozostały dobre.

– Problem jest z premierem. On uważa, że jesteś ambitny. Przyćmiewasz wszystkich. Boi się, że jeśli pokonasz Bremera, sięgniesz następnie po jego stołek.

Hartmann słuchał, kręcąc głową.

– Nie sięgnę po jego stołek. W każdym razie w ciągu najbliższych czterech lat.

Morten Weber czytał poranne gazety.

– Przynajmniej sondaże są nadal dla nas korzystne. Nikt nie uwierzył w te bzdury z dziewczyną.

– Jeśli będziemy mieli na pokładzie ministra spraw wewnętrznych, to wystarczy.

– Tylko jeśli pozwoli na to premier – zaznaczyła Skovgaard. – Nadal może cię pogrążyć.

– To śmieszne. Jesteśmy w tej samej partii i on wspiera Bremera?

Uśmiechnęła się.

– Do diabła z tym – powiedział.

– Jest jedna szansa. W tej chwili premier nie radzi sobie najlepiej. Mógłby ogrzać się w twoim blasku.

Hartmann na chwilę się pogubił. Skovgaard i Weber tak wprawnie pływali w tych mętnych wodach.

– O czym mówimy?

– Nigdy właściwie nie podjął kwestii integracji. Jeśli powiemy, że jego biuro pomogło ułożyć nasz program... Pomogło z wzorami. Niektórymi projektami szkolnymi...

Hartmann się roześmiał.

– Nie ma mowy. Sami do tego doszliśmy. Im się ten pomysł nie podobał.

– Zapomnij o przeszłości, Troels. Jeśli go docenimy...

– Za co?

– Za nic! W zamian za poparcie.

– To oszustwo!

Weber spoglądał to na jedno, to na drugie, kręcąc głową jak na meczu tenisowym.

– Oszustwo to bardzo mocne słowo. Żyjemy w świecie polityki. Co jest prawdą... co nią nie jest – po jakimś czasie to może być nieważne.

– Więc co jest ważne?

– To, co działa. – Weber patrzył na niego jak na głupka.

– Nie, to nie wchodzi w rachubę.

– Dobra – skwitowała Skovgaard i zajęła się kartkami leżącymi na biurku.

– Dobra – zgodził się Weber i wrócił do gazety.

Zapadła cisza.

– Cieszę się, widząc, że tacy jesteście zgodni – rzucił Hartmann.

– Jak zawsze – odparła Skovgaard.

– Odpowiedź nadal brzmi nie.

Minęła kolejna długa minuta.

Potem Hartmann westchnął głęboko, przesunął wzrok po boazerii na ścianach, po witrażowych oknach, godłach i złoceniach, po designerskiej lampie karczochowej.

Były tu wszystkie atrybuty urzędu. I żadnej władzy.

– Co zyskalibyśmy w zamian?

– Moglibyśmy go zaprosić na spotkania wyborcze – zaproponowała Skovgaard.

– Najważniejsze to wciągnąć do współpracy Holcka – dodał Weber. – Nienawidzę tego gówna jak mało kto.

Wzruszył ramionami.

– Ale jeśli dzięki temu będziemy mieli koalicję...

– Dowiedz się dokładnie, czego możemy oczekiwać w zamian. Nie chcę żadnych uników.

– Jeśli zadamy takie pytanie, to jakbyśmy się już zgodzili – ostrzegł Weber. – Nie ma odwrotu.

– Nie ma odwrotu – powtórzyła Skovgaard.

– Dopnijcie umowę, a potem umówcie mnie na spotkanie. Z premierem. Jeśli tą drogą zdobędziemy urząd, to gówno mnie obchodzi, kto na tym skorzysta.

Wstał od stołu i wyszedł.

Rie Skovgaard i Morten Weber siedzieli nadal. Niełatwi sprzymierzeńcy.

– Wiadomo już, co policja robiła na parkingu? – spytała Skovgaard.

– Co?

– Słyszałeś, Morten. Słyszysz wszystko, nawet jeśli udajesz, że nie.

– Ja o niczym nie wiem. Dzwonię do Parlamentu.

– Ja mogę to zrobić. To sprawa polityczna. Zostaw to mnie.

Z banku przyszedł nowy człowiek. Młodszy. Bardziej przyjazny. Pernille zadzwoniła do więzienia, próbowała rozmawiać z Theisem, nie udało się.

Miał tam zostać co najmniej jeszcze jeden dzień. Żadnych rozmów telefonicznych, ale przynajmniej może później będzie mogła się z nim zobaczyć.

– Przykro mi – powiedziała do bankowca. – Nie mogę się skontaktować z mężem.

– Nie ma sprawy. – Rozłożył przed nią dokumenty. – Przyjmijmy, że dom trafi do sprzedaży, gdy będą państwo kontynuować renowację.

– Dobrze.

– Przedłużymy państwu kredyt, tak że nie będziecie musieli przez pewien czas płacić rat. Miejmy nadzieję, że dom sprzeda się szybko, abyśmy mogli wyjść na czysto.

– Mnie by to odpowiadało.

– Pozostaje konto, które otworzyła państwa córka.

Wpatrywała się w niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Na Antona i Emila. Co zrobić z tymi pieniędzmi?

Pernille odgarnęła włosy.

– Jakie konto?

Podsunał jej wyciąg.

– Znajduje się na nim jedenaście tysięcy koron. Oszczędzała regularnie. To dużo pieniędzy...

– Co to za konto?

– To konto oszczędnościowe założone na chłopców.

– Mogę zobaczyć?

Chwyła dokument, zanim zdążył coś odpowiedzieć. Wpatrywała się w cyfry. Regularne wpłaty. Setki koron naraz. Ani jednej wypłaty.

– Skąd ona miała te pieniądze?

– Z pracy? – zasugerował bankowiec. Rumienił się, zakłopotany.

– Ona nie pracowała. Od czasu do czasu dorabiała u nas. Ale to było kieszonkowe. Nie to...

Wzruszył ramionami, nic nie mówiąc.

Konto zostało otwarte w styczniu. Co dwa tygodnie wpływały na nie pieniądze. Regularnie. Wpłaty ustały latem.

– Nie ma pośpiechu – powiedział mężczyzna. – Nie musi pani podejmować decyzji akurat w tej chwili. Cóż...

Uśmiechnął się nieśmiało.

– Jeśli to wszystko...

Pernille nie mogła oderwać wzroku od wyciągu. Leżał na stole, na zdjęciach rodziny zastygłej w czasie. Drwił z niej. Śmiał się.

Po wyjściu bankowca znowu zadzwoniła do więzienia. Trafiała na kogoś uczynnego.

– Zaraz przyjadę – powiedziała.

Strażnik wprowadził Pernille do maleńkiego pokoju widzeń i stanął przy drzwiach. Theis w jasnoniebieskim więziennym kombinezonie siedział przygarbiony nad podrapanym drewnianym stołem, wpatrzony w podłogę.

Moment niezdecydowania. Nagle Pernille podeszła, zarzuciła mu rękę na szyję, poczuła, jak ją przytula, poczuła, że łzy spływają jej po twarzy.

Zostali tak, kołysząc się lekko, jego wielka ręka przesuwała się po jej długich kasztanowych włosach, jakby szukała jakiejś zguby.

Potem siedli naprzeciwko siebie, Pernille ze łzami w oczach.

– Jak chłopcy? – spytał w końcu Theis.

– W porządku.

Nie patrzył na nią.

– Rozmawiałem z adwokatką. Robi, co może. Kiedy wyjdę, zajmę się bankiem i domem.

Odwróciła się, otarła łzy. Poczuła iskierkę gniewu i nie wiedziała, co ją wzbudziło.

– Wszystko pozałatwiam – dodał. – Będzie dobrze.

Patrząc przez okno, na monochromatyczny dzień, spytała:

– Co latem zaszło między tobą a Nanną?

Podniósł głowę. Oczy – podobały się jej w nim najmniej – utkwił w jej twarzy. Nie umiała nic z nich odczytać. Czasami tylko agresję.

– Co?

– Kiedyś...

Łzy znowu płynęły i nie mogła ich zatrzymać, choćby się nie wiadomo jak starała.

– Pokłóciliście się? Powiedziałaś jej coś?

Głos się jej łamał.

– Co masz na myśli?

Żyła z tym mężczyzną od dwudziestu lat. Ludzie zawsze mają jakieś sekrety. Może to nieuniknione.

– Nanna otworzyła konto bankowe na chłopców – powiedziała Pernille. – Regularnie wpłacała na nie pieniądze. Miała pracę? Na tym koncercie... – urwała, po czym dokończyła bardzo powoli: – na tym koncercie jest jedenaście tysięcy koron.

– Wiesz, że miała pracę! U nas.

– Nie zarabiała u nas takich pieniędzy.

– Może ja jej coś dodatkowo płaciłem. Albo oszczędzała.

– Więc czemu robiła z tego tajemnicę?

– Nie wiem.

Nie miała pojęcia, czy mu wierzyć, czy nie.

– Nanna nigdy ci nic nie powiedziała?

– Nie. – Potarł zarośniętą brodę, zamknął oczy. – Była na mnie zła. Uważałem, że jeszcze nie powinna się wyprowadzać z domu.

Sięgnął przez stół do jej rąk.

– Czasami dawałem jej pieniądze, żeby sprawić jej frajdę. Co z nimi...

– Tak – powiedziała Pernille.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Patrzyła, jak Theis próbuje się uśmiechać. Jak próbuje powiedzieć to, co zawsze.

– Załatwię to. Będzie lepiej.

Uśmiechnęła się więc, odwzajemniła uścisk, obeszła drewniany stół i pocałowała męża.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

Lund jechała do telewizji spotkać się z reporterką, która dokumentowała kampanię wyborczą. Kobieta od samego początku nie odstępowała na krok Hartmanna i Bremera.

– Interesuje mnie, co się działo podczas imprezy plakatowej – powiedziała Lund.

Usadzono je przed monitorem, kobieta przeskakiwała po surowym nagraniu.

– Co będę z tego miała?

– Nic.

Kobieta zamrugnęła powiekami.

– Uczciwie by było...

– Nie. Mogę w ciągu pięciu minut zdobyć nakaz. Jeśli to zrobię, nie wróci już pani dzisiaj do pracy. Biorę wszystko. – Lund uśmiechnęła się do niej. – Jeśli uznam, że znajduje się tu jakiś dowód, mogę nie dopuścić do jego wykorzystania.

– Więc dlaczego miałabym to pani pokazać?

– Bo nie ma pani wyboru.

– I tak chcę coś w zamian.

– Jeśli powstanie z tego materiał, zapewnię pani pierwszeństwo. Jeśli powstanie...

Lund siadła na skraju biurka i nie ruszyła się ani o centymetr.

– Potrzebny mi materiał od dziewiętnastej do dwudziestej.

– Impreza plakatowa odbyła się trzydziestego pierwszego października?

– Zgadza się.

– Dobra. Pamiętam. Byli w biurze Hartmanna.

Przebiegła palcami po klawiaturze, przesuwała nagranie. Na ekranie pojawił się Poul Bremer. Śmiał się, żartował ze szklanką w dłoni.

– Uwielbiam, jak oni udają, że darzą się szacunkiem. Powinna pani usłyszeć, co mówią na osobności.

– Na przykład?

– Rozpływają się w uśmiechach, a nienawidzą do żywego. I gotowi są sprzedać się każdemu, jeśli mogą w ten sposób zdobyć jakieś głosy.

Lund patrzyła na ekran, słuchając jednym uchem.

– Hartmann zaprosił do siebie wszystkich na drinka.

Skovgaard, przywódca partii mniejszościowych, Morten Weber, Bremer, wszyscy razem, roześmiani nad kieliszkami wina.

– Dzieje się coś ciekawego? – spytała Lund.

– Hartmann wygłasza krótką przemowę. Nic specjalnego. Nie ma co się wysilać przed tą bandą, prawda? Oni na niego nie głosują.

Lund pochyliła się do przodu, przyjrzała się uważniej. Z tyłu tłumu dostrzegła mężczyznę ubranego na czarno. Z nikim nie rozmawiał. Wyglądał na skrępowanego.

– Kto to jest?

– Jens Holck. Przywódca Umiarkowanych. Popiera Bremera.

– Był tam cały wieczór?

– Tak.

Hartmann brzdęknął kieliszkiem o butelkę. Podszedł Poul Bremer i stanął obok niego, rozpromieniony, przyjazny.

Lund nie patrzyła na nich. Patrzyła na postać w głębi.

– Więc dlaczego Holck wkłada płaszcz?

Kobieta nie odpowiedziała.

– Jest jeszcze gdzieś na nagraniu?

– Czemu pani pyta?

– Z ciekawości.

Lund kiwnęła głową w stronę klawiatury. Kobieta przewinęła nagranie szybciej.

Kamera filmowała pomieszczenie. Dziennikarka przejechała do przodu, cofnęła się, szybko przeglądała morze ludzi.

– Nie widzę go. Myślałam, że tam był. Przepraszam.

– Jaki on jest? – spytała Lund.

– Holck? Siedzi w polityce od lat. Poważny. Trochę nieudacznik. Bez Poula Bremera nic nie robi. – Rozsiadła się wygodnie, założyła ręce za głowę. – Jeśli mam być szczerą, nie epatuje urokiem osobistym. Krążyły plotki, że miał romans, wszystko się wydało. Do gazet to nigdy nie trafiło. Ale żona się z nim rozwiodła.

– Miał romans? To prawda?

Kobieta się roześmiała.

– Nie zna się pani na politykach, co?

– Proszę mnie oświecić.

– Oni się karmią plotkami. Jeden od drugiego. Żyją w swoim światku i nic innego się nie liczy. Coś pani powiem...

Lund czekała.

– Ktoś, kto miał romans z Jensem Holckiem, musiał być bardzo zdesperowany. Albo mieć wysoki próg odporności na nudę.

Po wyjściu z telewizji Lund zadzwoniła do Meyera.

– Samochód odjechał o dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć. Jens Holck piętnaście minut wcześniej wymknął się z imprezy plakatowej i już nikt go nie widział.

– Buchard pytał o ciebie – powiedział Meyer.

– Czy Holck mieszka w pobliżu Grønningen? To mógł być też pokój hotelowy.

– Zupełnie mnie to nie obchodzi, Lund.

– W Ratuszu mówiło się, że ma romans.

– Nie robimy śledztwa w Ratuszu. W każdym razie nie wśród polityków. Zostaw to. Nie wspomniałem, że Buchard pytał o ciebie?

– Wspomniałeś.

– Dotarło to może do ciebie?

Zerknęła na telefon. Próbowała sobie wyobrazić twarz Jana Meyera w tej chwili.

– Lund? – usłyszała cichy, niepewny głos ze słuchawki. – Lund?

Znalazła Troelsa Hartmanna w chwili, gdy opuszczał biuro.

– Musi mi pan poświęcić dwie minuty – powiedziała.

– Pani szef wie, że pani tu jest?

– To zajmie tylko chwilę. Chciałam tylko przeprosić.

– Musi pani wyjść – wtrąciła się Rie Skovgaard. – Przysporzyła nam pani mnóstwo problemów.

– Wiem, wiem. Przepraszam. To trudna sprawa. Dwie minuty...

Hartmann gestem zaprosił ją do środka i zamknął drzwi.

– Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Mam dyżur dla obywateli w poniedziałki. Może się pani umówić jak każdy inny.

– A gdybym powiedziała, że pański samochód w ogóle nie był w szkole?

– Odpowiedziałbym, że znowu pani coś spieprzyła.

– A gdybym powiedziała, że przyjechał tutaj? Na parking ratusza?

Milczał.

– W tamten piątkowy wieczór. Kiedy organizował pan imprezę plakatową. Wszyscy szefowie ugrupowań. Wszyscy pracownicy pańskiego sztabu.

– Do czego to zmierza, do cholery?

– Muszę wiedzieć, czy ktoś opuścił przyjęcie wcześniej.

– Chwila, moment. Nie rozumiem. Mówi pani, że samochód tu wrócił?

– Czy ktoś wyszedł wcześniej?

Weszła Skovgaard. Z telefonem przy uchu.

– Mogę rozmawiać z Buchardem? – pytała.

– Czy Jens Holck wyszedł przed czasem? – naciskała Lund.

– Holck?

Skovgaard już skarżyła się Buchardowi.

– Pamięta pan, czy widział go później tego wieczoru?

Hartmann pokręcił głową.

– Szef chce z panią rozmawiać – przerwała Skovgaard, podając Lund telefon.

Ta wpatrywała się w nią uważnie. Atrakcyjna w twarde, nieemocjonalny sposób. Można by odnieść wrażenie, że ci ludzie w ogóle nie przejęli się śmiercią dziewczyny. Tylko Hartmann się przejął, co zresztą ciągle ją nurtowało.

– Słucham – odezwała się do telefonu, wcale nie słuchając.

Po zakończeniu rozmowy oddała komórkę uśmiechniętej szefowej kampanii Hartmanna.

– Proszę stąd wyjść – powiedziała Skovgaard.

Lund spojrzała gdzieś poza nią. Na wyłożone boazerią ściany, na witraże, na piękne lampy, drogie meble.

– Tutaj człowiek musi się czuć jak w twierdzy – stwierdziła.

– Natychmiast – podkreśliła Skovgaard.

Lund zerknęła na nią i trochę dłużej popatrzyła na Hartmanna.

– Ale to nie jest twierdza – dokończyła.

W pustym biurze Lund wyjęła papierosa z paczki Meyera. Zrobiła z nim wszystko, co zabronione. Obróciła go, postawiła, požonglowała nim, powąchała. Podniosła do ust, poczuła suchość, gdy wsunęła go między wargi, zapaliła i zaciągnęła się dławiącym dymem.

Nie smakował dobrze. W niczym nie pomógł. Po prostu był.

Buchard robił odprawę zespołu. Wrzeszczał tak, że słyszała go aż u siebie.

– Jutro Lund zaczyna nową pracę w Szwecji – oznajmił. – Śledztwo przejmuje Meyer. Svendsen, jesteś jego pomocnikiem.

Już zdjął z drzwi jej nazwisko. Teraz wisiała na nich tabliczka: „Podkomisarz Jan Meyer”.

Od razu po odprawie Buchard przyszedł do nich i zobaczył Lund. Spojrzał na papierosa.

– Powiadomiłem policję szwedzką, że możesz zacząć pracę. Powstrzymałem się od powiadomienia ich o twoich działaniach.

– Wdzięczność moja nie zna granic.

Zaciągnęła się papierosem i spojrzała na Bucharda. Nie był dobry w kręceniu.

– Przykro mi, że tak to się skończyło – dodał.

– Tylko ty tutaj cenisz Svendsena.

Gniew zamigotał w mopsich oczach.

– To jedyne, co masz mi do powiedzenia?

– Nie. Mam coś jeszcze. – Papieros już jej smakował. – Ale pewnie musisz podzwonić.

Poszedł. Meyer stanął pod tabliczką ze swoim nazwiskiem. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Nie znaleźliśmy nic w pobliżu Grønningen. Nic, co by się wiązało z Holckiem.

W drzwiach pojawiła się głowa Svendsena. Uśmiechał się.

– Jest przesyłka ze Szwecji, Lund – zakomunikował. – Musisz pokwitować. Przed wyjściem.

Położył nacisk na ostatnie słowa i posłał jej promienny uśmiech.

– Pokwituję. – Wskazała na papierosa. – Jak skończę.

Odwróciła się do Meyera, wskazała wycofującego się Svendsena i ostrzegła:

– To ich człowiek, Meyer. Nie twój. Pamiętaj.

Podeszła do okna. Na dole stała żółta ciężarówka od przeprowadzek, przy jej drzwiach tkwił kierowca.

– U techników czeka na mnie jeden gość – mruknął Meyer. – Więc...

Wypuściła dym za okno, przypomniała sobie, ile razy go łajała za to, że robił to samo.

– Możesz zatrzymać paczkę.

Jeszcze raz się zaciągnęła, jeszcze raz wypuściła dym na wilgotne listopadowe powietrze.

– Lund?

– Dzięki – powiedziała, nie patrząc na niego.

Po jego odejściu podeszła do biurka, przeszukała torebki dowodowe, znalazła klucze Nanny, ruko na czerwonym plastikowym kółku, i wsunęła do kieszeni.

Zaczynało padać. Bengt odesłał ze Szwecji jej rzeczy. Otworzyła pierwszy karton. Ubrania i pościel, nic, co by się jej przydało.

Podpisała więc ich odbiór, zadzwoniła do firmy, zleciła przechowanie, a potem patrzyła, jak ciężarówka odjeżdża, uwożąc część jej życia. Musi poczekać, aż Sarah osiągnie taki moment w przyszłości, którego wciąż nie mogła sobie wyobrazić.

Adwokatka Lis Gamborg spotkała się z Birk Larsenem w jego celi.

– Przesłuchano Vagna. Potwierdził, że nakłaniał pana do zemsty na nauczycielu.

– Nie zrobił tego. Próbował mnie powstrzymać.

– Tak zeznał. To na pańską korzyść. Zostawmy to tak. Vagnowi zostanie postawiony zarzut współudziału. Nie grozi mu więzienie. – Przerwała na chwilę. – A panu tak.

Birk Larsen odetchnął głęboko. Wpatrywał się w szarą betonową podłogę, nic nie mówił.

– Zapewniłam, że nie będzie pan próbował uciekać. Że dość się już pan nacierpiał. Nie będzie pan manipulował świadkami, skoro przyznał się pan do winy.

– I?

Wzruszyła ramionami.

– Może pan wyjść.

Birk Larsen czuł się jak dziecko wystrychnięte na dudka przez artystę na scenie. Nie lubił sztuczek i prawniczka zdała sobie z tego sprawę ponieważ.

– Nie wolno panu opuszczać Kopenhagi – dodała szybko. – I pod żadnym pozorem nie może pan już utrudniać śledztwa. Nie żartuję, Theis. Jeśli zrobi pan coś jeszcze...

– Nic nie zrobię. Chcę jechać do domu.

– To dobrze. Ze względu na pana i na pańską rodzinę ważne, aby zachowywał się pan dyskretnie. Nie rozmawiał z mediami. W nic się nie angażował. Proszę wrócić do normalnego życia.

Wpatrywał się w nią.

– Na ile to możliwe. Przepraszam. To było niemądre z mojej strony. Może pan teraz uporządkować swoje sprawy. Theis...

Zastanowiła się nad czymś.

– Słucham?

– Ludzie bardzo panu współczują. I pańskiej żonie. Ale współczucie jest jak niedokręcony kran. Jeden mały ruch... – Wykonała sugestywny gest. – I się kończy. To, co przychodzi później, może nie być takie miłe. Niech się pan nie rzuca w oczy. Niech się pan uzbroi w cierpliwość. Dowiem się, kiedy zacznie się pański proces. Jeśli do tego czasu nikt o panu nie usłyszy, może uda się panu uniknąć więzienia.

Kiwnął głową.

Uśmiechnęła się i zostawiła go samego. Niebieski więzienny kombinezon i czarne robociarskie buty. Nieogolony, nieumyty. Pograżony w rozmyślaniach o dziwnym świecie za progiem.

Pernille odebrała telefon i krzyknęła z radości. Zadzwoiła do Lotte, żeby ta została z chłopcami, i pobiegła po płaszcz.

Siostra przyjechała natychmiast z całą torbą zakupów, przygotowana na wieczór. Miała słodycze i książkę.

Rodziny mają swoje codzienne rytuały, oczywiste, a tak bolesne, gdy nagle znika ich przyczyna.

Od razu zaczęła napełniać wodą do wanny i wsadziła do niej chłopców. Pernille poszła po kluczyki.

Tylko jedną paczkę cukierków, pomyślała i zajrzała do torby Lotte.

Pełno chipsów i innych łakoci. Jakiś szampon. Takie rzeczy, które samotna kobieta kupuje w ilościach tak małych, że aż śmiesznych.

Stos korespondencji. Lotte musiała ją odebrać, wychodząc, i przywiozła, żeby przejrzeć, gdy już położy dzieci spać.

Na wierzchu leżała kwadratowa przesyłka, jak kartka świąteczna w kopercie.

Widniało na niej nazwisko Nanny i adres Lotte.

Piski z łazienki, łajania Lotte.

Pernille bez zastanowienia sięgnęła po kopertę i otworzyła ją.

Kartka była srebrna, ozdobiona choinką. Zaproszenie na przyjęcie gwiazdkowe dla pracowników klubu nocnego w centrum. Za cztery tygodnie.

Pernille wpatrywała się w nią bezmyślnie. Zrobiło się jej zimno. Czuła się głupia i zdradzona.

– Gdzie kaczka? – spytała Lotte od drzwi łazienki. – O, jest.

Znalazła ją. A potem spojrzała. I zobaczyła.

– Nanna z tobą pracowała – powiedziała Pernille z kartką w ręku. – Dała im twój adres. Dlatego o niczym nie wiedzieliśmy.

Lotte podeszła, wpatrywała się w kartkę, wyciszona, z poczuciem winy widocznym na twarzy.

– Kiedy zaczęła?

Siostrzyczko, siostrzyczko, myślała Pernille. Nigdy ci nie ufałam.

– W styczniu. – Lotte unikała jej spojrzenia, jak niegrzeczne dziecko, którym kiedyś była. To był okres próbny. Odeszła latem.

Pernille czekała z kartką w ręku.

Lotte oblizwała wargi, próbowała wziąć się w garść. Wyglądać przekonująco.

– Nie planowała tego. Przyszła mnie kiedyś odwiedzić i uznała, że to... – Lotte wzruszyła ramionami – ekscytujące.

Pernille rozejrzała się po ich mieszkanku. Ciasne pokoje. Zdjęcia na ścianach. Stół, który same zrobiły. Książki. Telewizor. Dzieci. Bliskość i intymność zwana rodziną.

– Ekscytujące?

– Tak się po prostu stało. Nie widziałam w tym nic złego.

Nie wiedziała, czy płakać, czy krzyczeć. Czy doskoczyć do Lotte z pazurami, czy uciec.

Spytała tylko:

– Co się stało latem?

Lotte skrzyżowała ramiona. Znalazła drogę ewakuacyjną i odzyskała pewność siebie.

– Może powinnaś porozmawiać z Theisem.

– Charlotte. Jesteś moją siostrą. Powiedz mi, co się stało.

W łazience chłopcy chichotali i chlapali.

– Lubiła tę pracę. Potem zaczęła się z kimś spotykać. Z mężczyzną.

– Z kim?

– Z facetem, którego tam poznała. Nie wiem, kto to był. Nie mówiła mi.

– Dawał jej pieniądze?

Znowu dostrzegła przebiegłą minę Lotte.

– Czemu pytasz?

– Powiedz mi po prostu. Dawał jej pieniądze?

– Nie sądzę. To nie było tak. Zaczęła się spóźniać do pracy, aż pewnego dnia w ogóle się nie pojawiła. Niepokoiłam się.

Pernille wiedziała, co teraz nastąpi. Musiała tego wysłuchać.

– Zadzwońłam do Theisa – mówiła Lotte. – Przykro mi. Znaleźliśmy ją w pokoju hotelowym. Pijaną do nieprzytomności. Ty wtedy wyjechałaś z chłopcami na wycieczkę szkolną. Nanna obiecała, że przestanie się z nim spotykać. Obiecała Theisowi.

Pernille się roześmiała, odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się, i śmiała, aż jej jasne oczy wypełniły się łzami.

– Przykro mi – powtórzyła Lotte.

Pernille podeszła, wzięła od niej ręczniki i gumową kaczkę.

– Chcę, żebyś wyszła – powiedziała.

– Pernille...

– Wyjdź.

Debata odbyła się w Czarnym Diamencie, kanciastym szklanym budynku nad wodą, zajmowanym przez Duńską Bibliotekę Królewską.

Troelsowi Hartmannowi nadal nie dawała spokoju sprawa Nanny Birk Larsen. Rie Skovgaard i Morten Weber sprzeczali się w samochodzie w zasadzie cały czas na ten sam temat.

– Lund uważa, że samochód został odstawiony do ratusza – powiedział Hartmann, gdy wchodzili do biblioteki. – Po co? Po co by go ktoś odprowadzał?

– Jeśli to coś ważnego – przerwała mu Skovgaard – to na pewno się dowiemy. Lund już nie prowadzi tej sprawy. Mówiłam ci.

– A więc dlatego policja była na parkingu? – przypomniał sobie Weber.

– I co robili? – spytał Hartmann.

Weber wzruszył ramionami.

– Nie wiem. To, co zwykle robi policja.

– To wydarzenie dostępne dla publiczności, Troels – przypomniała Skovgaard. – Czas na uśmiech.

Nie miał nastroju.

– Dlaczego ona spytała mnie o Holcka?

Ruchomymi schodami wznosili się ku zebrany tłumom.

– Jedyna rzecz, która się liczy w związku z Holckiem, to czy jest po naszej stronie, czy nie.

– Nieprawda – upierał się Hartmann. – Musimy wiedzieć, co się dzieje. Nie chcę znowu wdepnąć w jakieś gówno.

– To gówno robiła Lund! – warknęła. – Lund już nie ma. Skup się na spotkaniu. To ważne.

– Muszę wiedzieć!

– Jezu, Troels... – mruknęła Skovgaard i odeszła.

Weber odprowadził ją wzrokiem, spojrzał na Hartmanna.

– Po raz pierwszy podzielałam jej zdanie. Myśl o spotkaniu. Z resztą poradzimy sobie później.

Skręcił w stronę widowni, a Hartmann ruszył ze swoją teczką na podium.

Bremer już tam był. Nieskalanie odziany. Uśmiechnięty jak zawsze. Nicco zarumieniony.

– Witaj, Troels – powiedział, ściskając mu dłoń. – Słyszałem, że łowisz w mętnej wodzie. Złapałeś coś?

Roześmiał się i mocno klepnął Hartmanna w ramię. Potem pomachał zebrany. Takie familiarne gesty wobec ludzi, których znał albo i nie, należały do arsenału charakterystycznych sztuczek i nawyków wszystkich polityków. Troels Hartmann też się ich nauczył, głównie od Bremera. Też umiał z nich korzystać. Ale...

Z prawej strony pojawiła się postać w zmiętym czarnym garniturze. Bremer zerwał się, wziął Jensa Holcka za rękę i donośnym głosem powiedział:

– Dobry wieczór, przyjacielu. Siadź przy mnie, Jens. Siadaj.

Podsunał krzesło. Holck spojrzał na niego.

– Nie, dziękuję.

Przeszedł dalej, spojrzął na puste miejsce obok Hartmanna.

– Wolne? Tak sobie myślałem...

– Jeśli chcesz, Jens.

– Chyba chcę – odrzekł Holck i usiadł.

Grønningen biegła wzdłuż terenów twierdzy Kastellet, miała jakieś pół kilometra. Budynki, rząd kamienic, stały tylko po jednej jej stronie. Klucze Nanny nie pasowały do żadnych drzwi wejściowych.

Lund zmarnowała pół godziny na wypróbowywanie kolejnych zamków, po czym zajrzała na krótką ulicę na południowym końcu Grønningen – Esplanaden. Też bez skutku.

Zadzwoiła do Meyera.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała.

– Myliłaś się co do Holcka. Odjechał wtedy własnym samochodem.

– Sprawdzaliście, czy którykolwiek z członków partii ma mieszkanie przy Grønningen?

– Tak. Nikt nie ma. I w ogóle w pobliżu nie mieszka żaden polityk. Liberałowie mają mieszkanie na Store Kongensgade.

– Gdzie mniej więcej?

– Co ty wyrabiasz?

– Gdzie?

– Numer sto trzydzieści.

Lund pokonała krótką odległość dzielącą ją od Store Kongensgade, sprawdziła numery. Musiała wrócić na północny kraniec, zbliżający się do Grønningen. Długa i ruchliwa Store Kongensgade biegła od Dworca Østerport aż do centrum. Taksówkarz Leon Frevert powiedział, że wysadził Nannę na rozwidleniu tych dwóch ulic. Powinna była wcześniej o tym pomyśleć.

Po lewej stronie ciągnęły się jeden za drugim rzędy niskich starych budynków w kolorze ochry. Marynarskie domki Nyboder, ustawione w długie szeregowce, wyglądały w ciemnościach niczym żołnierze zamarli na baczność.

– Na czwartym piętrze – dodał Meyer. – Gdzie jesteś?

Numer sto trzydzieści – potężny budynek. Czerwona cegła, białe stiuki połyskujące w świetle latarni. Wielkie wspólne wejście. Mnóstwo dzwonek. Zamek firmy Ruko.

– To nieistotne – dorzucił jeszcze. – Sprawdzaliśmy Hartmanna. Lund?

– Co?

– Gdzie jesteś? Co się dzieje?

– Nic – odparła, po czym wrzuciła telefon do kieszeni.

Dwa klucze. Jeden do wejścia. Jeden do mieszkania.

Lund podeszła do dwuskrzydłowych drzwi, wsadziła do zamka pierwszy klucz. Obróciła.

Nic.

Spróbowała z drugim.

Drzwi się otworzyły.

Winda była błyszcząca i zabytkowa, miała podwójne harmonijkowe drzwi, w środku mieściły najwyżej cztery osoby.

Wsiadła, wcisnęła guzik z czwórką. Słuchała, jak maszyna terkocze i szumi.

Wydawało się tu pusto. Wznosiła się, mijając biura, gabinet stomatologiczny, mieszkania prywatne i lokale nieoznaczone.

Nagle winda się zatrzymała. Lund wysiadła i zaczęła się rozglądać.

Meyer wrócił do techników, znowu przeglądał nagranie z parkingu. Czarny samochód odjeżdżał. Kierowcy nie było widać.

– Zatrzymaj – poprosił technika. – Co to było? Wyglądało jak błysk.

– To świetlówka. Na wyjeździe. Miga.

– Wróć jeszcze. Puść klatka po klatce.

Siedem klatek. Ledwie widoczna przez szybę, oświetlona przez jeden krótki błysk światła, ukazała się twarz mężczyzny.

– Kto to, do diabła? – Meyer próbował zdusić niecierpliwość. – Możesz to podkreślić?

– Spróbuję.

Zadzwonił telefon.

– Mówi Lund.

– Niezłe wyczucie. Zaraz się dowiemy, kto siedzi w samochodzie.

– To Troels Hartmann – powiedziała Lund.

– O czym ty mówisz?

Cisza.

– Lund? Lund? Gdzie ty jesteś? Co się dzieje? Odezwij się. Proszę.

– Jestem w mieszkaniu liberałów na Store Kongensgade. Klucze Nanny pasują do obojga drzwi: do kamienicy i do mieszkania. Wezwij techników. Spotkamy się tutaj.

– Hartmann?

– Tak właśnie powiedziałam.

Na ekranie podkreślony obraz nabierał ostrości. Z szarego mroku wyłaniała się twarz. Koścista i przystojna. Posępna i znajoma.

Mam cię, chłopcze z plakatu, pomyślał Meyer. Mam cię.

– Już jedziemy – rzucił do słuchawki.

W ciągu godziny na miejsce dotarła cała ekipa. Dziesięciu ludzi w granatowych mundurach techników kryminalistyki, białe kombinezony ochronne, białe rękawiczki w gotowości. Reflektory. Kamery. Chemikalia...

Lund miała drugą ekipę na podwórku na tyłach budynku. Krążyła między nimi i sprawdzała, jak pracują, służąc radami i opinią. Niektórzy

przyjmowali je dobrze, inni wyraźnie ignorowali.

Meyer przyniósł jej kawę. Buchard milczał.

Wprowadziła ich obu przez drzwi frontowe, do hałaśliwej starej windy.

– Taksówkarz wysadził ją na Grønningen o dwudziestej drugiej czterdzieści pięć. Pewnie nie chciała, żeby ktoś wiedział, dokąd idzie. W mieszkaniu mogła być cztery, pięć minut później. Należy do Liberalów. Darowizna od zwolennika. Organizują tu robocze lunche, spotkania, nocują tu gości.

– Kto mieszka w tym budynku? – spytał Meyer.

– Większość lokali to biura albo mieszkania służbowe. Przez cały weekend było tu w zasadzie pusto.

Dotarli na czwarte piętro. W środku pracowało sześciu techników w kombinezonach ochronnych i niebieskich czepkach. Mieszkanie urządzone jak luksusowy apartament w hotelu. Czerwona welwetowa tapeta, stare, stylowe meble.

– Już znaleźliśmy jej odciski palców – powiedziała Lund, podając im rękawiczki i ochraniacze na buty.

Kiedy się przygotowali, poprowadziła ich dalej.

W całym pokoju walały się plakaty Hartmanna. Na podłodze leżały okruchy z potłuczonego szklanego stolika i chyba ze szklanki.

Lund podeszła do stolika, pokazała im znaki na dywanie.

– Krew z grupy Nanny. Posłałam ją do badania dla potwierdzenia, że to jej. Doszło tu do jakiejś walki.

Przy stole stało ciężkie biurko z orzecha.

– Tu mamy odciski palców na przycisku do papieru. Z jakiegoś powodu rzuciła nim w lustro.

Lund obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, lustrując pokój. Stłuczone szkło. Bałagan.

– Ona się z nim nie biła. Ona się wściekła. Tak myślę. Straciła panowanie nad sobą. To nie był przypadek. Znała go. To była kłótnia. Sprzeczka zakochanych, która wymknęła się spod kontroli.

– Mamy dużo materiału do badania – wtrącił się Meyer. – Przy odrobinie szczęścia jutro po południu dostaniemy wyniki DNA.

Lund weszła do sypialni. Drzwi były otwarte, pokryte oznaczeniami i nalepkami techników.

– Nanna tu wbiegła i próbowała zablokować drzwi. Otworzył je kopniakiem.

Pościel była lekko zmięta, jakby ktoś na niej usiadł, nic więcej.

– Nie sądzę, żeby ją zgwałcił. Ani pobił. To dopiero miało nastąpić. Gdzie indziej.

Lund próbowała sobie wyobrazić, co się wydarzyło. Kłótnia. Walka. Ale Nanna żyła jeszcze dwa dni. Ciągle brakowało im ogromnego kawałka układanki.

Wyszła na balkon.

Meyer i Buchard podążyli za nią.

Buchard stał nieruchomo, Lund taksowała go spojrzeniem.

– Gdybyś poszedł do techników i obejrzał wideo, wiedziałbyś doskonale, że to Hartmann jest na nagraniu – dodał Meyer. – Ja do tego doszedłem w dwie minuty, Buchard. Nie jesteś głupcem.

– Chcę porozmawiać z Lund sam na sam – powiedział szef.

– Koniec z tym pieprzeniem! – krzyknął Meyer. – Mam tego dość.

Walnął rękoma w żelazną balustradę.

– Buchard! Buchard! Spójrz na mnie. Chcę wiedzieć, co się dzieje. Jesteś nam to winien. Nam obojgu.

Stary spuścił wzrok, przegrany, jakby pokonany.

– To nie jest tak, jak myślicie.

– Więc jak to jest? – spytała Lund. – Wykasowałeś nazwisko z kontaktów. Wykasowałeś rozmowę z listy połączeń.

– Nie. – To był słaby, żaloszny jęk. – To nie ja.

– Więc kto?

Nie odpowiedział.

– Ściągniemy Hartmanna na przesłuchanie – stwierdziła Lund.

– I chcemy mieć te informacje – dodał Meyer.

Stał na zimnym balkonie i dyszał. Sługus. Kupa nieszczęścia.

– Więc? – ponagliła Lund.

– Dam ci je.

– Dobrze – powiedziała i wyszli, zostawiając go tam, z wytrzeszczonymi oczami mopsa, ciężko dyszącego w ciemności.

Cała trójka wróciła do biura Hartmanna. Usatysfakcjonowana. Debata przebiegła dobrze. Morten Weber zakomunikował, że przywódcy ugrupowań mniejszościowych spotkają się rano, by omówić warunki koalicji.

– Jeśli mamy Holcka – mówiła Skovgaard, biegnąc do komputera – reszta też przyjdzie. Czemu zmienił zdanie?

Tylko Hartmann nie tryskał entuzjazmem.

– Nie wiem, nie powiedział. Dlaczego Lund o niego pytała? O co chodzi z tym samochodem?

Skovgaard machnęła na niego dłonią.

– Jeśli Holck jest w to wplątany, muszę wiedzieć.

– Zostawiłam wiadomość Meyerowi.

– To nie wystarczy.

Weber brał już wino z kredensu, wykladał przyniesione kanapki.

– Żadnych niespodzianek, Morten. Tobie też powinno na tym zależeć.

– Żadnych niespodzianek. – Weber odkorkował wino, napełnił trzy kieliszki, wzniosł toast. – Jens Holck słucha intuicji, Troels. Wie, że wygrasz. Nie komplikuj niepotrzebnie.

Zadzwoił telefon Skovgaard.

– Bremer chyba martwi się jak diabli – dodał Weber. – Czuje, że grunt usuwa mu się spod nóg.

Skovgaard rozmawiała cicho, a teraz się rozłączyła i spojrzała na Hartmanna.

– To była policja – powiedziała.

– I?

– Chcą z tobą rozmawiać.

– No, na miłość boską!

– Troels. Chcą, żebyś przyjechał na komendę. Natychmiast.

– Chodzi o Holcka i samochód?

– Nie sędzę.

– Więc o co?

– Nie wiem. Powiedzieli wprost. Albo przyjedziesz, albo oni przyjadą po ciebie. Tego zdecydowanie sobie nie życzymy.

Kieliszek Hartmanna zatrzymał się w połowie drogi do ust. On sam uderzył dłonią w stół. Ciemny burgund rozlał się na orzechowy fornir.

Potem wziął płaszcz. Skovgaard też. W końcu Morten Weber, ponaglany twardym wzrokiem Skovgaard, opychając się kanapką.

Dziesięć minut później przecinali dziedziniec, kierując się ku spiralnym klatkom schodowym, by dotrzeć do Wydziału Zabójstw.

Lund wraz z Meyerem i Svendsenem czekali przed pokojem przesłuchań.

– Zapraszaliśmy tylko pana, Hartmann – powiedziała, patrząc na Skovgaard i Webera.

– Naprawdę, nie sędzę, by to był odpowiedni moment.

– Chcemy rozmawiać tylko z panem.

– O co chodzi?

Lund wskazała drzwi.

– Proszę usiąść.

Skovgaard się wściekła.

– Jeśli to przesłuchanie, proszę to powiedzieć. Za dużo już nam pani nabruździła, Lund.

– To tylko kilka pytań – odpowiedział jej Meyer z uśmiechem. – Polityk niewątpliwie powinien pomagać policji.

– Jeśli chce adwokata, może go wezwać – dodała Lund.

Hartmann zgromił ją wzrokiem.

– Dlaczego, na miłość boską, miałbym chcieć adwokata?

Nie odpowiedzieli.

Hartmann zaklął, wszedł do pokoju, dał znak swoim współpracownikom, żeby zostali na zewnątrz.

Lund i Meyer siedli naprzeciwko niego, pokazali mu nagranie z samochodem wyjeżdżającym z parkingu.

– Orientuje się pan, kto prowadzi? – spytała Lund.

Wzruszył ramionami.

– Nie. Dlaczego miałbym się orientować? Jeśli to ważne, mogę poprosić naszych ludzi, żeby to sprawdzili.

– Nie musi pan – odezwał się Meyer. – Jesteśmy z policji, jak pan może pamiętać.

Kliknął w kilka klawiszy. Zrobił zbliżenie. Twarz na ekranie.

Hartmann wpatrywał się w nią.

– Zgadza się – powiedział. – To zaraz po imprezie plakatowej. Dałem kierowcy wolne. Więc wziąłem samochód sztabu.

Lund się uśmiechnęła. Wszedł Svendsen z kawą. Hartmann się trochę odprężył.

– Wszedł pan z przyjęcia przed końcem? – spytała.

– Bolała mnie głowa. I miałem mowę do napisania.

Lund naląła mu kawy do kubka.

– Dokąd pan pojechał?

– Mamy mieszkanie na Store Kongensgade. Pomyślałem, że pojedę tam pisać. A co?

– Kto ma klucze do mieszkania? – chciał wiedzieć Meyer.

– Ja. I jeszcze kilku urzędników, jak sądzę. I w biurze są zapasowe klucze. Nie wiem dokładnie.

– Ale to pan korzysta z mieszkania?

– Już mówiłem – zniecierpliwił się. – O co chodzi?

Lund rozłożyła kilka zdjęć na stole, żeby je obejrzał.

– W samochodzie, którym pan jechał, znaleziono ciało Nanny Birk Larsen. Tamtego wieczoru ten wóz odprowadzono do ratusza. A pan nim odjechał.

Pokręcił głową i nic nie powiedział.

– Co się stało w mieszkaniu?

– To nie może być ten samochód – odparł Hartmann.

– Co się stało w mieszkaniu? – powtórzył Meyer.

– Nic. Spędziłem tam kilka godzin.

– Nanna Birk Larsen również. – Lund sięgnęła po kolejne zdjęcia. – Miała klucze. Została tam zaatakowana. Potem wywieziono ją w samochodzie, którym pan tam dotarł.

Lund przesunęła po biurku zdjęcia ze Store Kongensgade. Potrzaskany stół, stłuczone lustro. Szkło na podłodze. Oznaczenia odcisków palców.

– W naszym mieszkaniu? – wyjąkał Hartmann wreszcie.

– Jak długo ją pan znał?

Hartmann nie mógł oderwać oczu od zdjęć. Powoli je przeglądał, z otwartymi ustami i zamarłą twarzą.

– Nie znałem jej. Nigdy nie spotkałem tej dziewczyny.

Meyer parsknął.

– Samochód. Mieszkanie. Fakt, że ani o jednym, ani o drugim pan nie wspomniał.

– Nie miałem o czym wspominać! Wziąłem samochód. Pojechałem do mieszkania. Wypiłem kilka piw. I poszedłem na piechotę do domu.

Milczeli.

– W poniedziałek rano przyszedłem odebrać auto, ale go nie było. Uznałem, że ktoś ze sztabu przyjechał i znalazł kluczyki. Zostawiłem je na stoliku.

Meyer westchnął.

– Dlaczego zabrał pan nagranie z ochrony? Żebyśmy nie mogli zobaczyć pana w samochodzie?

– Co? Nie zabrałem żadnego nagrania.

– Pański numer został wykasowany z komórki Nanny – dodała Lund.

– To niemożliwe. Ja nie znałem tej dziewczyny.

– Co pan robił przez resztę weekendu? – spytał Meyer.

Hartmann zaklął i wstał. Lund stanęła mu na drodze do wyjścia. Spojrzała na niego. Był wzburzony i wściekły.

– Powie nam pan czy nie, Hartmann?

– Dlaczego, do cholery, miałbym mówić? Moje życie prywatne to moja sprawa. Nie wasza.

– Nie chodzi o życie prywatne – zaczął Meyer.

Drzwi, pchnięte, otworzyły się szeroko. Wszedł Lennart Brix.

Brix.

Nowy zastępca Bucharda. Świeża dostawa z sił okręgowych. Wysoki i atrakcyjny mężczyzna o kościstej, poważnej twarzy. Przybył przed dwoma tygodniami i raczej się nie afiszował. Teraz wyglądał, jakby wydział należał do niego.

– Jestem tu zastępcą komendanta – przedstawił się. – Dobry wieczór.

Wszedł pewnie, uścisnął dłoń Hartmannowi. Staął obok niego, odwrócił się do Lund, Meyera i Svendsena.

– Rozumiem, że mamy problem – rzekł.

Pięć minut później Lund zapaliła drugiego papierosa w tym miesiącu, patrząc, jak Hartmann wychodzi ze Skovgaard i Weberem u boku. Jan Meyer stał obok niej i żuł gumę.

Brix wyprowadził całą trójkę, po czym wrócił do biura.

Czarna koszula. Czarny garnitur. Lśniące czarne włoskie pantofle. Sam wyglądał jak polityk.

– Hartmann powiedział mi, że wziął samochód w dobrej wierze. Najwyraźniej opuścił mieszkanie przed pojawieniem się dziewczyny. Jest skłonny rozmawiać o mieszkaniu. Możecie przepytąć jego pracowników, o ile zachodzi taka potrzeba. Nawet nie macie dowodu, że została tam zgwałcona. Mogła się tam po prostu pokłócić, z kimkolwiek.

– Nie chcemy rozmawiać z pracownikami – powiedziała Lund.

Brix oparł się o framugę i przyglądał się jej. Skupiony, zdecydowany mężczyzna.

– Gdybyście spytali grzecznie, dowiedzielibyście się, że ma alibi. Szukacie kogoś, kto przetrzymywał Nannę Birk Larsen przez cały weekend. Hartmann opuścił mieszkanie mniej więcej o dwudziestą drugą trzydzieści i pojechał do Rie Skovgaard.

– Mówił, że poszedł do domu.

– Jego związek ze Skovgaard to kwestia prywatna. Wolałby tego nie ujawniać.

– Gdyby ci cholerni ludzie nie kłamali... – zaczął Meyer.

– Nazajutrz rano pojechali do centrum konferencyjnego, gdzie przez cały dzień uczestniczyli w spotkaniach.

– Możemy to sprawdzić? – spytał Meyer.

– Nie musicie. – Wycelował w nich palec. – Zanim następnym razem zatrzymacie kogoś w rodzaju Hartmanna, sugeruję, żebyście się lepiej przygotowali.

Wyszedł. Lund przekazała Meyerowi do połowy wypalonego papierosa.

– Sprawdźmy alibi. Sprawdźmy, czy ktoś inny z Ratusza korzysta z tego mieszkania. Wszyscy z biura Hartmanna mają się stawić na przesłuchanie.

Spojrzała na Meyera.

– Co ty na to?

– Jestem za.

Wrócił Svendsen z wiadomością. Przyszła Pernille Birk Larsen. Chciała pilnie spotkać się z Lund.

– Nie mamy czasu. Jeśli chodzi o areszt jej męża...

– Na pewno nie. – Svendsen pokręcił głową. – Właśnie go wypuścili. – Zaśmiał się. – Nawet nie poszła się z nim zobaczyć, Lund. To dla ciebie komplement.

Theis Birk Larsen dotarł do domu w Vesterbro. Szedł dwadzieścia minut w deszczu pustymi ulicami.

Pernille nie było. Chłopców też nie. Siedząc w kuchni, przy doniczkach z kwiatami i fotografiach, zadzwonił do niej, ale połączył się tylko z pocztą głosową. Odczekał pięć minut i zadzwonił ponownie.

Tuż po jedenastej na dole trzasnęły drzwi. Theis zbiegł do garażu. Światła włączone. To Vagn w czerwonym kombinezonie i włóczkowej

czapeczce, przeglądał kalendarz.

Widok Theisa ewidentnie go zaskoczył.

– Widziałeś Pernille, Vagn?

– Kiedy wyszedłeś?

– Dopiero co.

– To dobrze. Co się stało z nauczycielką...

– Widziałeś ją?

Skærbæk wyglądał na zdeglustowanego.

– Przyjechała tu Lotte popilnować dzieciaków. Nie została długo, a potem wszyscy wyszli.

Birk Larsen stał z rękoma w kieszeniach i starał się pojąć to wszystko.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Dokąd?

– Jezu, Theis! Nie wiem.

Birk Larsen spiorunował go wzrokiem.

– Rozmawiałaś z nią?

– Myślałem, że pojechała po ciebie. – Skærbæk się zawahał. – Nie pojechała?

Birk Larsen poszedł na górę. Zawołał raz jeszcze. I nic.

Pernille Birk Larsen przyprowadziła na policję swoją siostrę Lotte. W zasadzie ją zaciągnęła.

Lund jej wysłuchała, po czym poprosiła:

– Niech mi pani powie więcej o tym klubie, Lotte. Heartbreak.

– Prywatny klub dla członków. Wstęp tylko za zaproszeniem.

Meyer siedział milczący, robiąc notatki.

– Co Nanna tam robiła?

– Czekwała przy stolikach. Zawsze miałam na nią oko.

– Nannie się tam podobało?

– Jasne. To było ekscytujące. Inne.

– Inne? – Meyer nie zrozumiał.

– Inne niż odbieranie telefonów w firmie transportowej.

Pernille siedziała na korytarzu, za szybą. Nie chciała wyjść.

– Skąd pani wiedziała, że ona się z kimś spotyka?

– Nie przyszła kilka razy do pracy i ciągle prosiła o wolne. To wydawało się...

Była śliczną kobietą, ale o smutnej i ziemistej twarzy, która zdradzała nieprzespane noce i może coś jeszcze.

– Wydawało się niewinne.

– Potem coś się stało?

– Pewnego wieczoru się nie pojawiła. Zadzwoiłam do Theisa i powiedziałam mu o tym. Jeździliśmy i szukaliśmy jej. Zadzwonili do mnie z hotelu w pobliżu dworca. Dała im mój numer.

Lund przyglądała się jej w zamyśleniu.

– Po co wynajęła pokój?

– Za dużo wypila. Była wściekła. Myślę, że ten koleś ją rzucił. Nie było go tam. Była tylko Nanna.

– Brała narkotyki? – spytał Meyer.

– Nie sądzę.

– Opowiadała o tym mężczyźnie?

– Myślę, że był żonaty czy coś takiego. Była bardzo tajemnicza. Nie podała mi jego imienia. Nanna...

Długa przerwa.

– Przychodzi taki czas, kiedy dzieciaki co tydzień zakochują się w kimś innym.

– Ale nie ona – powiedziała Lund. – To trwało kilka miesięcy.

- Tym razem. Zawsze mówiła o nim Faust.
- Faust? – upewniła się Lund, zapisując coś.
- To nie jest prawdziwe nazwisko.
- Raczej nie. Dlaczego tak go nazywała?
- Nie wiem.

Wtrącił się Meyer.

- To była wiosna i lato. Potem o nim nie mówiła?
- Nie. – Jej wzrok powędrował w stronę postaci na korytarzu. – Pernille uznała, że to może być ważne.
- Miała rację – przyznał Meyer i nic więcej nie dodał.
- Czy Nanna mówiła, gdzie się spotykała z tym Faustem? – spytała Lund.

- Chyba w hotelach.
- Wie pani, w których?

Lotte Holst walczyła z pamięcią.

- Na początku to były hotele. Później chyba jeździli do mieszkania.
 - Mieszkania?
 - Tak. Pamiętam, jak mówiła, że jest fajne. Stare meble. Bardzo drogie.
 - Gdzie mniej więcej?
 - Nie wiem. – Znów chwila zastanowienia. – Mówiła tylko, że w pobliżu starych domków marynarskich. Takich żółtych, co to się je ogląda na wycieczkach szkolnych.
 - Nyboder? – Lund zerknęła na Meyera.
 - Tak myślę.
 - Może Store Kongensgade?
- Lotte zamrugnęła powiekami.
- Tak! Właśnie! – Spojrzała na nich. – Skąd wiecie?

Lund wróciła do mieszkania matki tuż po dziesiątej. Meyer zadzwonił, gdy wspinała się po schodach.

– Na liście członków klubu Heartbreak nie ma żadnego Fausta. Ludzie Hartmanna przekazali, że od tej chwili możemy z nim rozmawiać wyłącznie przez adwokata.

– Ktoś z jego biura jest członkiem klubu?

– Z tego, co widzę, to nie.

W mieszkaniu panowała cisza i ciemność. I pustka.

– To przydomek, Meyer. Pamiętasz Fausta? Dobrego człowieka kuszonego przez diabła? Idź do klubu i popytaj.

– Nie słyszysz muzyki? Jak sądzisz, do cholery, gdzie ja jestem?

Faktycznie, w tle coś szumiało. Ciche disco i tysiące głosów.

Lund zrzuciła buty i włączyła światło w kuchni, a potem otworzyła lodówkę.

Pustka.

Na kuchence stał garnuszek z gulaszem.

– Nie widzę, żeby tu balował jakiś polityk – mówił Meyer. – Ludzie by wiedzieli. Ale może on tu nie przychodzi.

Włączyła system głośnomówiący, położyła telefon na blacie i zapaliła mały gaz pod gulaszem.

– Co masz na myśli?

– Klub ma chat room randkowy w Internecie. Ludzie się poznają on line. Może o to chodzi.

Gulasz nie rokował poprawy smaku wskutek podgrzewania. Lund wzięła więc łyżkę i spróbowała letni, prosto z garnuszka.

– Poproszę jakiegoś specjalistę, żeby na to spojrzął – ciągnął Meyer.

W lodówce stał carlsberg. Lund zdjęła kapsel i napiła się z gwinta.

– Dobra. – Zapakowała do ust drugą łyżkę. – Daj mi znać, jak coś będziesz wiedział.

– Och, szczęściaro – jęknął Meyer. – Już coś jesz. Ja nie miałem nic w ustach od lunchu.

Lund spojrzała na garnuszek.

– Tak. Szczęściara ze mnie.

Poszła z gulaszem na kanapę, dostrzegła, że ciągle ma na sobie płaszcz, zrzuciła go na podłogę.

Włączyła laptop i siadła przy nim z garnkiem i piwem.

Meyer miał rację. Heartbreak prowadził dział randkowy. Dostępny dla wszystkich, nie tylko dla członków klubu.

Kliknęła, że chce założyć nowy profil. Wypełniła formularz jako Janne Meyer. Kobieta. Heteroseksualna. Hasło: banany.

Kiedy czekała na mail z potwierdzeniem, weszła jej matka.

– Gdzie Mark? – spytała Sarah.

– Pojechaliśmy do kina z Magnusem. Kupiłam im potem pizzę. Chciał zostać u Magnusa na noc. A ja się zgodziłam.

Vibeke uśmiechnęła się do niej kwaśno.

– Nie miałam kogo spytać.

Przyszedł mail z potwierdzeniem. Lund kliknęła na link akceptujący i weszła na forum randkowe klubu Heartbreak.

– Dobrze, że tam został.

Matka krzątała się po pokoju, nic właściwie nie robiąc.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Właśnie jadłam. Zajęta byłam cały dzień.

– Macie już coś?

– Tak. Jeszcze muszę popracować. Przepraszam.

U dołu strony znalazła okienko wyszukiwarki. Wpisała tam „Faust”.

– Mark rozmawiał dzisiaj z ojcem.

Strona ładowała się powoli. Lund wzięła kolejny łyk piwa.

– O czym?

– Przyjeżdża do Kopenhagi. Chciałby się z nim zobaczyć. Mały nie wiedział, czy będziecie w Szwecji, czy tutaj.

– Mogą się spotkać. Wyjazd się przeciąga.

– Tak. Zauważyliśmy.

Vibeke podeszła do drzwi i stanęła tam, wpatrując się w córkę z gniewem, współczuciem i konsternacją, że to jej własne dziecko.

– Dzwoniła firma magazynowa w sprawie rzeczy, które Bengt odesłał ze Szwecji. Nie przyjmą twoich kartonów na przechowanie, jeśli nie podasz im numeru konta. Powiedziałam, że mogą je zostawić tutaj. Stoją w piwnicy.

I już bez słowa poszła do łazienki.

Lund się cieszyła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Bengt.

Dziwne pożegnanie na dworcu wydawało się odległe o całe wieki.

Spojrzała na ekran laptopa. Jeden wynik wyszukiwania.

Lund kliknęła na link.

Bez zdjęcia. Tylko rysunek postaci. A obok cytata.

„Najtrudniej kierować sercem”.

7_

**ŚRODA_
12 LISTOPADA_**

O ósmej rano Weber zebrał wszystkich współpracujących z biurem. Hartmann stanął przed nimi.

– To niezwykle, ale policja potrzebuje naszej pomocy. Dzisiaj będą wszystkich przesłuchiwać. Zostaniecie po kolei wezwani na komendę. Chcę, byście rozmawiali z nimi szczerze. Odpowiedzieli na wszystkie ich pytania. Nie mamy nic do ukrycia.

Wśród zebranych był Olav Christensen.

– O co chodzi? – spytał.

– Nie mnie o tym mówić. Nie mogę się wdawać w szczegóły. Muszę jeszcze podkreślić, że wszystko, co usłyszycie, jest poufne. Liczę na waszą pełną dyskrecję.

Hartmann popatrzył po zebranych.

– Zwłaszcza poza tym biurem. I tak toniemy w plotkach. Nie trzeba nam ich więcej.

Weber wyprowadził wszystkich.

– Co tu robiła ta menda Christensen? – spytał Hartmann, gdy zamknęły się drzwi.

– Powiedziałeś, że mam zwołać wszystkich, którzy mają dostęp do biura. On siedzi tu cały czas.

- Krąży jak smród. Daliście Lund materiały, o które prosiła?
- Wszystkie rezerwacje mieszkania. Kiedy było używane. I przez kogo.
- Troels?

Głos Skovgaard miał ten jedwabisty pochlebny ton, który czasami zgrzytał.

- Słucham?
- Idą tu szefowie ugrupowań. Nie musisz tego robić.
- Wpuść ich.
- Troels!

Wszedł do biura i czekał.

Holck wszedł pierwszy.

Znaleźli najlepszego specja od informatyki – młodą kobietę, która wyglądała na najwyżej dziewiętnaście lat.

- Możesz zhakować stronę? – spytał Meyer.
- Hakowanie jest nielegalne. Jesteśmy z policji. Nie wierzę, że to powiedziałaś.
- Więc jak się dostajemy do środka?
- Grzecznie proszę. Jeśli to nie skutkuje, mówię, że wpadnę sprawdzić wszystkie zdjęcia na serwerze.

Była blondynką o przyjemnej twarzy i uśmiechu.

W rękę trzymała kartkę z wypisanym rzędem liter i cyfr.

- Voilà – oznajmiła. – Proszę. Grzecznie nie poskutkowało, tak swoją drogą.

I weszła do takiej części witryny, której Lund nigdy nie widziała na swoim laptopie w domu.

- Takie serwisy mają różne poziomy. Jeden dla przypadkowych osób postronnych, takich jak wy. Dla nielicznych uprzywilejowanych jest coś jeszcze. Coś ekskluzywnego, tylko że trzeba za to zapłacić.

Pisała na klawiaturze z płynnością i szybkością, jakich Lund jeszcze nigdy w życiu nie widziała. Światło z monitora padało na jej spokojną, skupioną twarz.

Pojawiła się lista nazwisk. Lund przebiegła ją wzrokiem.

– Widzisz jakieś powiązania z Hartmannem? – spytał Meyer.

– Daj mi szansę.

Informatyczka się skrzywiła.

– Te nazwiska to fejki. To spelunka i plugawi ludzie. Gdyby chodziło o...

– machnęła rękoma w powietrzu – cele matrymonialne, nie musieliby się tak ukrywać.

Kolejny pokaz tańca na klawiaturze.

– Faust to jeden z bardziej konwencjonalnych nicków. Niektóre są bardziej opisowe, że tak to ujmę.

U dołu ekranu pojawiły się wpisy ujęte w coś na kształt arkusza kalkulacyjnego.

– Nie można powiedzieć, że nasz kolega narzekał na brak zajęcia.

Kolejne wpisy wyskakiwały u dołu ekranu.

– Utworzył konto rok temu. Rozmawiał z mnóstwem kobiet.

Otworzyła niektóre wiadomości.

– Och, jaki czaruś. Zna drogie hotele. – Mruknęła do Meyera. – Może apartament w Hiltonie?

– Nie w tej chwili. Gdzie są informacje osobiste?

– A jak sądzisz? W jego portfelu.

Ekran wciąż się wypełniał.

– O, to niezłe. W kwietniu Faust kontaktuje się z kimś o nicku NBL. Ach, te dzieci. Może by od razu wpisać prawdziwe nazwisko, Nanno?

Kilka uderzeń w klawisze i wiadomości ograniczyły się do tego jednego kontaktu.

– Spotkali się. Wiosną kontaktują się regularnie. Przystają latem. – Przewinęła do dołu ekranu. – On ciągle próbuje się z nią skontaktować, ale ona nie odpowiada.

Podrapała się po policzku.

– Ze mną zwykle jest odwrotnie.

– Możemy zobaczyć, kim jest Faust? – spytała Lund.

– Nie tędy. Takie witryny są za sprytne, żeby przechowywać dane kart kredytowych. Mogłabym nacisnąć administratora.

– Zrób to – poprosił Meyer.

– Jeśli chcecie znać moje zdanie, to nic nie da. Ci ludzie nie są debilami. Nie robią serwisów, dzięki którym można wysledzić użytkowników. Stąd właśnie problemy. Oni naprawdę nie wiedzą, kim są ci użytkownicy.

– Więc nie dowiemy się, kim on jest? – spytała Lund.

– Tego nie powiedziałam, prawda?

Kolejny ekran. Daty, godziny, długie rzędy cyfr.

– To są pliki z informacjami o odwiedzinach. Mamy tu adresy IP, z których korzystał, kiedy wchodził na stronę.

Lund zauważyła, że jej palce wciąż wędrują po klawiaturze.

– Coś nie tak?

– Te adresy. Korzysta tylko z dwóch sieci. Większość ludzi dzisiaj się przemieszcza. On się logował tylko z dwóch miejsc, to dziwne...

Wpisała kilka cyfr do formularza.

– Na ogół korzystał z wewnętrznej sieci Wi-Fi ratusza. Poza tym... chwileczkę...

Kolejne ekrany, szybsze pisanie. Strona firmy telekomunikacyjnej. Wers tekstu i cyfr.

– Reszta to router w mieszkaniu na Store Kongensgade.

– Ale nie wiemy, kto to jest? – upewnił się Meyer.

Polizała palec, wystawiła w górę, odczekała chwilę i powiedziała:

– Niestety, nie.

Umysł Lund pracował intensywnie.

– A inne kobiety, z którymi się umawiał? Możesz je namierzyć?

Napiła się coli z puszkii i pomyślała.

– Mogę spróbować.

W drzwiach pojawił się Svendsen.

– Sprawdziliśmy alibi Hartmanna. Solidne jak skała. Cały weekend był w centrum konferencyjnym. Aha. Lennart Brix jest w waszym pokoju.

– Buchard sobie z nim poradzi.

Svendsen pokręcił głową z chytrym wyrazem twarzy.

– Bucharda już tu nie ma.

Brix bawił się samochodzikiem na biurku Meyera. Nakręcał kółka i pękał ze śmiechu, gdy włączało się światelko na dachu.

– Siadajcie – powiedział. – Góra chce, żebym z wami pogadał.

– O czym? – spytała Lund.

Nie usiadła. Meyer ustawił się pod oknem.

– O zaniedbaniu obowiązków w sprawie Birk Larsen.

– Jeśli kogoś okłamują i wprowadzają w błąd, to nie oznacza, że on zaniedbuje obowiązki! – warknął Meyer.

– Kilka pozycji billingu zniknęło z systemu – zakomunikował Brix. – Nie musicie się za bardzo w to wczytywać.

Z czarnej marynarki wyciągnął kopertę.

– Oto nakaz sądowy na zarekwirowanie nowych billingów.

Lund nie wzięła papieru.

– Buchard powiedział, że to zrobi.

Brix wsadził ręce do kieszeni spodni.

– Bucharda nie ma. Powiedzmy, że na razie jest na urlopie. – Zerknął na deszcz za szybą. – Chociaż to nie sezon urlopowy.

Spojrzał na nich.

– Nie spodziewajcie się jego powrotu. – Podniósł rękę, rozjaśniając się w uśmiechu. Nie był ładny. – Teraz macie mnie. I nie martwcie się. Damy radę.

Po czym skierował się do drzwi.

– Nie sędzę, żeby Buchard działał sam – powiedziała Lund.

Brix przystanął, spojrzał na nią i rzekł:

– Chodź ze mną na chwilę, dobrze?

Wyszli na korytarz.

– Masz etat w szwedzkiej policji, Lund – przypomniał. – Chcę, żebyś skończyła pracę tutaj już bez mączenia. A potem...

Długimi dłońmi wykonał gest przeganiania.

– Wypad. Do tego czasu jestem twoim zwierzchnikiem. I nikt inny.

W pokoju zastała Meyera wpatrującego się żałośnie w papiery na biurku.

– Nie sądziłem, że to powiem, Lund – burknął. – Ale chyba wolałem tamtego.

Theis Birk Larsen siedział naprzeciwko niej przy stole, pod żyrandolem. Pernille i chłopcy spędzili noc u jej rodziców. Anton i Emil byli w tej chwili w szkole. Zostali sami w pustym mieszkaniu. W garażu na dole Vagn Skærbæk wykrzykiwał polecenia.

Theis wpatrywał się w swoje ręce. Z wysiłkiem dobierał słowa.

– Rozmawiałem z Lotte – przyznał się, a ona odwróciła się od niego, wstała i przeszła przez kuchnię. – Powinienem być coś powiedzieć. Wiem.

Pernille stanęła i spojrzała na niego od drzwi sypialni.

– Działo się coś złego, a ty to przede mną zataiłeś. Wiedziałeś, gdzie ona pracuje. Wiedziałeś, że ma kłopoty. I milczałeś.

Wykręcał sobie ręce, jakby w nich leżała odpowiedź.

– Dlaczego?

– Bo mnie o to błagała. Nie chciała cię denerwować.

Pernille potrząsnęła głową, oczy jej płonęły.

– Nie chciała mnie denerwować?!

– Właśnie.

– Mogła mi powiedzieć wszystko. – Wymachiwała rękami, głos jej zadrżał. – Wszystko!

Birk Larsen mocno zacisnął powieki.

– Obiecała, że to się już nigdy nie zdarzy. Pracowała dla nas. Obiecała, że nadrobi braki w szkole. Chociaż miała jej dość.

Pernille stała odwrócona plecami do niego, plecami do wszystkiego.

– Nanna powiedziała, że wzięła się w garść. Musiałem jej zaufać. Jakie miałem wyjście?

Wróciła do stołu, pełna spokojnej, zimnej furii.

– Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

– To wszystko.

Wziął swoją czapkę i kluczyki.

– To wszystko! – wrzasnęła. – I teraz idziesz do pracy? Na pewno było więcej kłamstw. Więcej rzeczy, o których nie wiem.

Piorunowała go wzrokiem.

– Dalej, Theis. Wyrzuć to z siebie.

– Nie ma nic innego – zapewnił łagodnie. Kamienny wyraz jej twarzy bolał go bardziej niż te wszystkie samotne godziny w celi. – Nanna wiedziała, że narozrabiała. Nie uważałem, że musi to usłyszeć również od ciebie.

W jej oczach pojawiły się łzy. Chciałby je zetrzeć.

– Ja chciałam tylko, żeby się dobrze uczyła!

– Wiem. Ale nie chodziło tylko o szkołę. Miała jakiś powód, żeby rozmawiać ze mną. Nie rozumiesz?

– Czego nie rozumiem?

– Nie chciałaś, żeby popełniła te błędy, co ty. Co my. Chciałaś, żeby była doskonała, bo myśmy nie byli.

– Nie mów mi o błędach, Theis. Nie tobie o tym mówić.

Znowu odwróciła się do niego plecami. Ruszyła w stronę łazienki. Minęła pralkę i suszarkę. Kosz na pranie. Proszki.

Nagle jakby coś w niej pękło. Wrzasnęła i już tak krzyczała, chwytając wszystko, co się jej nawinęło pod rękę. Ubrania latały w powietrzu, szkło trzaskało, proszek do prania uniósł się wokół niej białą chmurą.

Birk Larsen podszedł do niej, próbował ją wziąć w ramiona. Odpychała go, płakała, przeklinała, kopała, wrzeszczała.

Wreszcie furia przycichła. Ale jej powód został żywy i bolesny.

Pernille weszła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi. Powoli, swoimi nieporadnymi, wielkimi łapami, Theis zaczął zbierać rzeczy z podłogi. Pościel. Dziecięce koszulki i bieliznę, drobiazgi, które kiedyś składały się na więź zwaną rodziną, przymierze, które teraz leżało roztrzaskane jak potłuczone szkło na podłodze.

Olav Christensen w swoim szarym urzędniczym garniturze siedział naprzeciwko Lund. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nigdy pan nie był w tym mieszkaniu? – spytała.

– Nie. Czemu miałbym być? To mieszkanie partii. Ja pracuję dla Ratusza. Milczała.

– O co chodzi? – zaniepokoił się Christensen.

– Mógł pan po prostu powiedzieć „nie”.

Zanotowała coś.

– Czy ktoś inny korzystał z niego po imprezie plakatowej?

– Dlaczego mnie pani o to pyta? Ja i tak bym o tym nie wiedział.

– Dlaczego?

– Pracuję dla Wydziału Edukacji.

– Podobno ciągle się pan kręci po biurze Hartmanna.

– On jest szefem Wydziału Edukacji. Muszę tam chodzić.

– Lubi go pan?

Christensen się zawahał.

– Próbuję pamiętać o jego zaletach. – I znowu, trochę bardziej nerwowo:

– O co chodzi?

– Czy nazwisko Faust z czymś się panu kojarzy?

– Tak.

Podniosła głowę znad notatnika.

– Sprzedał duszę diabłu.

Christensen przez chwilę wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Zna pan kogoś, kto używa takiego przydomka?

– Nie. Ale pewnie pasuje do wielu osób, więc wiele może go używać.

Meyer zastukał w szybę. Wyszła na zewnątrz. Informatyczka znalazła wiadomość od kobiety, która pisała do Fausta na witrynie Heartbreaka. Mieli jej nazwisko.

Lund wróciła do pokoju.

– Skończyliśmy? – ucieszył się Christensen.

– Nie. Kolega będzie kontynuował. Ja muszę wyjść.

Wyszła. Christensen siedział przy stole, pocąc się w swoim garniturze.

Nagle wszedł Meyer, otaksował go wzrokiem. Wyjął paczkę papierosów i banana. Na zmianę odgryzał kawałek owocu i zaciągał się papierosem.

– Muszę wracać do pracy – dopomniął się Christensen.

– Naprawdę?

Meyer znowu ugryzł banana, a potem zakasał rękawy.

– Mam wyjątkowo gówniany dzień. – Zerknął w papiery zostawione przez Lund. – Zobaczmy, czy da się go choć trochę poprawić, dobra, Olavie?

Birk Larsen siedział samotnie w czerwonej ciężarówce zaparkowanej na poboczu drogi okrążającej Valby od południa. Zgrzewka tuborga leżała na fotelu pasażera. Dwóch puszek już nie było, a trzecia zniknęła szybko.

Patrzył na osobówki i ciężarówki. Palił. Pił. I próbował myśleć.

Przez zielone pola szedł po ścieżce mężczyzna z dziećmi. Trójką dzieci i psem.

Chłopcy nigdy nie mieli psa. A bardzo chcieli. W mieszkaniu nie było warunków. Dom...

Pomyślał o Humleby i tamtejszej ruinie. Wszystkie pieniądze utopione w grzybie i pokruszonej cegle.

Marzenia go nie kusiły. Były dla głupców. Birk Larsen postrzegał siebie jako człowieka praktycznego, który żyje w teraźniejszości, nie myśli o przeszłości, nie boi się przyszłości.

Mężczyznę, który troszczy się o swoją rodzinę. Który się stara, jak może, i to jest dobre, bo musi być dobre.

A jednak wszystko się rozpadło. Jednego dnia niebiańskie szczęście i nadzieja. Następnego ruchome piaski, pęknięcia w ścianach, które wydawały się takie solidne.

Nie rozmawiał z Pernille od porannej kłótni. O ile wiedział, cały czas była w sypialni, wściekle wypłakując oczy. Vagn przejął władzę, z harmonogramem w rękę przydzielał zadania.

Dzięki Vagnowi jakoś się trzymali. Dzięki Vagnowi on czasami w ogóle się trzymał, o czym Pernille nie wiedziała.

Mały Vagn ze swoim głupim srebrnym naszyjnikiem. Żałosny Vagn, który pętał się koło nich, bo nie miał dokąd iść.

Trzy lata temu, kiedy miał problemy finansowe, Birk Larsen pozwolił mu nocować w garażu przez dobre sześć miesięcy. Vagn czuł wdzięczność i zakłopotanie. Przynosił pizze, których nie chcieli. Zaczął rozpuszczać chłopców, kupował Nannie prezenty, których ona nie potrzebowała.

Wujek Vagn. Krew ich nie łączyła. Ale miłość?

Kiedy wszyscy inni odejdą, Vagn Skærbæk zostanie do samego końca. Był samotnikiem, nie miał nikogo oprócz Birk Larsenów i chorego wujka. Zasadniczo nieudacznik. Nie miał dokąd iść.

Birk Larsen poderwał puszkę, opróżnił i wyrzucił przez okno.

Wściekły był na siebie za tę ostatnią myśl. Myśl godną dawnego Theisa, wrednego, sadystycznego zbira, który ciągle czaił się w środku, wyrrywając się na wolność.

Tamtej nocy z nauczycielem miał swoje pięć minut. Gdyby nie Vagn Skærbæk, całkowicie by nim zawładnął. Kemal by nie żył. A on by siedział w celi w niebieskim kombinezonie, z perspektywą wieloletniej odsiadki.

Stary Theis ciągle czekał w uśpieniu, gadał do niego we śnie.

Nie wiedział, co to wielkoduszność, wybaczenie, ból. Znał tylko gniew, przemoc i palącą, naglącą potrzebę, by zaspokoić jedno i drugie.

Starego Theisa trzeba pogrzebać. Dla dobra Pernille. Dla dobra chłopców.

I dla własnego dobra. Nawet w złych dniach, kiedy zdarzały się rzeczy, których wolał nie pamiętać, Theis Birk Larsen czuł obecność tego nieporadnego upierdliwca zwanego sumieniem. Kąsał go, nękał i dręczył po nocach.

Nadal to robił.

Spojrzał na trzy ostatnie puszki, zaklął, wrzucił je na tył, zawrócił i ruszył z powrotem do miasta, do szpitala.

Nowe skrzydło Rigshospitalet wydawało się zrobione ze szkła. Przezroczyste ściany pomnażały anemiczne listopadowe światło, tak że dzień wyglądał jak letni. Jasny, nieugięty, bezlitosny.

Birk Larsen czekał, aż kobieta z recepcji zadzwoni na oddział. Patrzył na jej twarz. Wiedziała.

– Zobaczy się z panem – powiedziała wreszcie.

Spiorunowała go wzrokiem. Była cudzoziemką z Bliskiego Wschodu. Libanką? Turczynką? Nie miał pojęcia.

– Bóg raczy wiedzieć dlaczego – dodała.

Kemal siedział na wózku w świetlicy piętro niżej. Twarz miał pokrytą siniakami, ranami i plastrami. Prawa noga, w gipsie, sterczała poziomo. Lewa ręka spoczywała na temblaku.

– Jak się pan czuje? – Birk Larsen nie znalazł innych słów.

Nauczyciel wpatrywał się w niego z kamienną twarzą. Nie wyglądał na cierpiącego.

– Jutro wychodzę.

Długa cisza.

– Mogę coś panu przynieść? Kawę? Kanapkę?

Kemal spojrzał za okno, potem znowu na Theisa i podziękował.

– Wiadomo w tej sprawie coś nowego? – spytał.

Birk Larsen pokręcił głową.

– Nie sędzę. I tak by mi nie powiedzieli, nie w tej chwili.

Nauczyciele nigdy mu nie imponowali. Za bardzo byli zarozumiali. Jakby wiedzieli coś, co dla innych było niedostępną tajemnicą. Ale nie wiedzieli. Nie mieli pojęcia o dorastaniu w dawnym Vesterbro, o chodzeniu do szkoły pośród kurew, dealerów i wczorajskich pijaków. O usilnym trzymaniu się życia. Walce, by się utrzymać na powierzchni.

Birk Larsen umiał walczyć i miał dość siły. Później pomyślał, że nauczy się walczyć innymi, subtelniejszymi sposobami. Dla dobra Pernille. Dla Nanny i chłopców. Ale tu się mylił. Był głupcem.

Kemal patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

– Podobno nie wniesie pan skargi.

Nauczyciel nic nie mówił.

– Dlaczego?

– Bo okłamałem pana. Nanna była u mnie tamtego wieczoru. Na chwilę. Ale była. Powinienem był powiedzieć.

Spojrzał na telefon.

– Czekam na wiadomość. Moja żona może urodzić w każdej chwili.

Birk Larsen spojrzał na nagą białą ścianę, potem na mężczyznę na wózku.

– Przepraszam.

Nauczyciel kiwnął głową.

– Jeśli mogę coś dla pana zrobić, Kemal, proszę dać mi znać.

Mężczyzna na wózku nadal się nie odzywał.

– Dziecko zmienia człowieka – mruknął Birk Larsen. – Może pan nie potrzebuje zmian. Ja...

Kemal wychylił się do przodu.

– Nic pan nie musi robić – powiedział.

Znaleźli kobietę przy lodowisku na Kongens Nytorv. Mnóstwo czteropiętrowych kamienic z brązowej cegły, zamieszkałych przez klasę średnią, brązowa cegła, cztery piętra. Pełno dzieci klasy średniej w kolorowych, drogich ciuchach.

Stała w objęciach mężczyzny, który na pewno był jej mężem, śmiejąc się do chłopca mniej więcej w wieku Marka, śmigającego na łyżwach.

Atrakcyjna kobieta. Jakieś trzydzieści pięć lat. Długie kręcone włosy, jasna szczęśliwa twarz. Starszy od niej, siwowłosy mąż. Nie wyglądał na szczęśliwego.

Chłopak podjechał, a mężczyzna zabrał go do kiosku z kawą i ciastkami. Jedynak, pomyślała Lund. Jak Mark. To było oczywiste.

Kobieta została sama. Podszedł do niej Meyer.

– Nethe Stjernfeldt? – spytał.

Pokazali jej odznaki.

– W biurze powiedziano nam, że tu panią znajdziemy.

– O co chodzi?

– Chcielibyśmy zadać kilka pytań na temat pani znajomego. – Rozejrzał się. Mąż miał już kawę. – Z portalu randkowego.

Nic nie powiedziała. Mężczyzna podszedł.

– Jestem mężem Nethe. O co chodzi?

Lund wyjaśniła, siłąc się na uprzejmość:

– Jesteśmy z policji. Musimy porozmawiać z pańską żoną.

Zjeżył się. Zaborczy typ. Wyniosły.

– Co się stało?

– Nic. To nic ważnego. Możliwe, że pańska żona kogoś widziała, to wszystko.

– Gdyby zechciał pan tu zostać – dodał Meyer. – Musimy zamienić słowo na osobności.

Odeszli na skraj lodowiska. Nethe Stjernfeldt nie wyglądała na zadowoloną.

– Nie wiem, o czym mówicie – powiedziała, gdy Lund spytała o witrynę klubu Heartbreak.

– Nigdy nie korzystała pani z serwisu randkowego?

Zarumieniła się.

– Nie. Po co miałabym korzystać?

– Nigdy nie kontaktowała się pani z mężczyzną o nicku Faust? – włączył się Meyer.

Chłopiec wrócił na lód. Kobieta spojrzała na niego, uśmiechnęła się i pomachała.

– Ktoś o nicku Fanny Hill umawiał się z Faustem – mówiła Lund. – Ten ktoś korzystał z pani adresu mailowego.

Nethe Stjernfeldt zerknęła na męża.

– To nie jest przestępstwo – podjął Meyer. – Musimy tylko wiedzieć, czy to pani.

– To nie ja. Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Nastrój Meyera się zmienił.

– Czternastego grudnia Fanny napisała do Fausta, że chce się z nim spotkać. O tej samej godzinie i w tym samym miejscu. Co pani o tym wie?

– Nic. Zupełnie nic. Mój syn ma dzisiaj urodziny!

Chciała odejść. Lund ruszyła za nią.

– Chodziła pani do mieszkania na Store Kongensgade?

Kręcone włosy zakołysały się na boki, gdy kobieta pokręciła głową.

– Nic nie wiem o żadnym mieszkaniu.

– Musimy wiedzieć, kim jest Faust – powiedziała Lund.

– Tym się zajmuje policja? Przetrzęsa ludziom wiadomości?

– Skoro to nie były pani wiadomości, Nethe... – zaczął Meyer.

– Zostawcie mnie w spokoju.

Rzuciła się do przodu. Podszedł mąż, gromiąc ich wzrokiem.

– Jeśli chcecie z nią porozmawiać, zadzwońcie najpierw do mojego biura. Nie możecie się tak zjawiać i psuć dziecku urodziny. Co z was za ludzie?

– Zajęci – odparł Meyer. – Zajęci wysłuchiowaniem kłamstw.

Puścił oko do mężczyzny.

– Pan pewnie wie, jak to jest.

Odeszli żegnani przekleństwami.

– Niech ją śledzą – zarządziła Lund. – Musimy z nią porozmawiać, kiedy będzie sama.

Minęła szósta, gdy Birk Larsen wrócił do domu. Garaż był pusty. Na górze zastał Pernille, która pomagała chłopcom w pakowaniu.

– Cześć, tato – powiedział Anton. – Nie możesz jechać.

– Mama mówi, że musisz pracować – dodał Emil.

Pernille patrzyła na nich – ubrana w płaszcz zimowy, z walizką w dłoni.

– Sprawdźcie, czy macie wszystko do szkoły – powiedziała.

Ale chłopcy podbiegli do ojca. Porwał ich w ramiona. Małe, ciepłe ciała w silnych, starych ramionach.

Pachnieli mydłem i szamponem. Prosto z kąpieli. Niedługo powinien im poczytać książkę.

– Dlaczego musisz pracować? – spytał Anton.

– Bo muszę.

Odstawił ich, zmierzwił im włosy.

– Możemy porozmawiać, Pernille?

– Musimy zdążyć do moich rodziców na kolację.

– To nie potrwa długo.

Anton miał plastikowy mieczyk, Emil pistolet.

Wzięła od nich zabawki, wsadziła do torby.

– Idźcie się pobawić – poleciła, a oni pobiegli.

W kuchni, pod wyłączonym żyrandolem, przy fotografiach, pośród doniczek, przy stole zrobionym przez Pernille i Nanę.

– Odkąd cię pierwszy raz zobaczyłem – zaczął Birk Larsen, z rękoma w kieszeniach, starannie odmierzając każde słowo. – By...

Słowa się nie pojawiły. Nie takie, jak chciał.

– Nikt mnie nie zna tak, jak ty.

– Naprawdę, Theis? Znam cię?

Siadł, zaczął zaciskać pięści, nie patrząc na nią.

– Wiem, że dałem ciała. Wiem...

Nie ruszała się, nie odzywała.

– Musimy spróbować. Musimy. Straciliśmy Nannę. – Wąskie oczy przymknięte w bólu. – Nie chcę już nic więcej tracić. Bez ciebie... bez chłopców...

Wreszcie je znalazł, trafił na słowa, które należało teraz wypowiedzieć.

– Ty sprawiasz... że jestem taki, jak mam być. Jaki chcę być. Zrobię wszystko, jeśli tylko zostaniesz.

Nerwowo spojrział w jej oczy.

– Nie opuszczaj mnie.

Wyciągnął do niej rękę, wielkie i zrogowaciałe, twarde i poznaczone wieloletnią pracą.

– Nie opuszczaj mnie, Pernille – powtórzył.

Meyer znowu wypełnił pokój dymem.

– Musimy namierzyć jeszcze jakieś kobiety, który spotykały się z Faustem – powiedziała Lund. – Ktoś musi wiedzieć, kim on jest.

Niska postać szybko podążyła korytarzem. Lund zastanowiła się chwilę i ruszyła za nią.

Zanim go dogoniła, dotarł pod kolumnadę owalnego dziedzińca. Z kartonem w ramionach, mknął do wyjścia.

– Buchard! – zawołała Lund.

Szedł dalej, do biura ochrony. Pognał przez środkowy krąg marmurowych płyt, pomiędzy którymi rosła trawa. Wyprzedziła go i zastąpiła mu drogę.

– Biling z firmy telekomunikacyjnej masz na biurku, Lund.

Podniósł na nią wzrok.

– Wchodzisz mi w drogę. Znowu.

Odsunęła się i ruszyła z nim do wyjścia.

– To telefon prepaidowy, ale numer nie jest już używany.

– A wykasowane nazwisko?

– Nigdy go nie widziałem.

Stary szef zerknął na nią. Opuścił go cały upór, ulotniły się złość i arogancja.

– Wierz albo nie. To prawda.

– Dlaczego się na to zgadzasz?

– Żartujesz?

– Ani trochę.

Minęli Dziedziniec Pamięci, przeszli pod wysokimi żółtymi światłami i żelaznymi gwiazdami na ścianach.

– Albo zostanę na lodzie, pójdę liczyć spinacze na posterunku gdzieś na zadupiu, albo odejdę. Na przymusową emeryturę. Po trzydziestu sześciu latach zwalili to gównem na mnie.

Odwrócił się do niej.

– Powodzenia, Lund.

Patrzyła, jak odchodzi.

– Kto cię prosił o ukrycie informacji? – zawołała.

Nie obejrzał się.

W biurze zerknęła na to, co zostawił. Kartki z billingiem. Żadnej wskazówki, czyj numer został usunięty.

– Co z mieszkaniem?

– Wszędzie są odciski palców Hartmanna – powiedział Meyer.

– To pasuje do jego opowieści. Hartmann ma alibi. Co jeszcze?

– Mamy ślinę, włosy i odciski palców.

– DNA?

– Nie pasuje do nikogo z naszej bazy.

Meyer pokręcił głową.

– Trudno nawet mówić o jakiejś krwi. To mógł być wypadek.

Wzruszył ramionami. Lund zauważyła, że się zmienił, odkąd się poznali. Nie pędził już na oślep do wniosków. Teraz starał się zobaczyć jak najwięcej. Zrozumieć.

– O co chodzi? – spytała.

– Kojarzysz tego zadowolonego drania Olava Christensena? Pizdusia z Ratusza?

– Tak?

– Coś mamy.

Rzucił na biurko teczkę Christensena. Lund wpatrywała się w zdjęcie: młoda, szczupła twarz, uważne oczy. Chojrak.

– Jakiś czas temu Hartmann go nie awansował. Ktoś ze sztabu mówi, że to on zabrał akta nauczyciela, o które prosiliśmy. Nienawidzi Hartmanna. Będzie śledztwo. Christensen może stracić pracę.

Meyer wyciągnął bochenek chleba, masło i szynkę. Lund wyjęła plastikowy nóż, byle jak połączyła te elementy w całość, wykonując coś zbliżonego do kanapki i wgryzła się w swoje dzieło.

– Ratuszowa szuja – wybełkotała z pełnymi ustami. – To nie on.

Meyer chwycił jedzenie, nóż i zrobił kanapkę dla siebie. Lund spojrzała – jego kanapka wyglądała o wiele lepiej.

– Czemu nie?

– Po co ktoś by kasował rozmowy jakiegoś smarkatego urzędnika? Christensen nie ma klasy. Nanna poznała przez klub kogoś ważnego. Nie jakiegoś gryzipiórka.

Westchnął.

– Może. Nie wiem. Kiedy z nim rozmawiałem, wiercił się jak na rozżarzonych węglach. Gdybym coś miał na niego...

– Ale nie miałeś.

W drzwiach stanął jeden z nocnych wywiadowców.

– Co? – spytała.

– Sprawdziliśmy sprawy z archiwum X, jak prosiłaś.

– I?

– Mamy parę nazwisk.

Korytarzem szła kobieta. Na głowie szopa kręconych włosów. Ładna twarz. Już nieuśmiechnięta.

– Później się tym zajmiemy – powiedziała Lund i wyszła jej na spotkanie.

– Kocham mojego męża.

Lund i Meyer siedli obok siebie. On nie palił.

– W zeszłym roku w podróżach służbowych spędził dwieście dni. A ja sama z synem. Tydzień po tygodniu.

Lund przesunęła po blacie wydruk ze strony Heartbreak.

– Ma pani tam profil, prawda?

Nethe Stjernfeldt spojrzała na logo. Serce rozcięte na dwoje przez strzałę.

– To była zabawa. I tyle. Nic poważnego.

Zerknęła na notatnik Meyera.

– Musi pan to zapisywać?

Odłożył długopis.

– To było zabawne. Wstawiłam zdjęcie. – Poprawiła włosy. – Z półprofilu. Nikt by nie zgadł, że to ja. To było jak... Pojawiał się tam milion samotnych mężczyzn. Wszyscy bogaci i przystojni. Sami single. Rzekomo.

– Sprawdziała pani? – spytał.

– Nie.

W jej głosie zabrzmiała nuta rozdrażnienia. Lund kopnęła Meyera pod stołem.

– Tylko jeden wyglądał interesująco. Był inny.

– Pod jakim względem? – zaintrygowała się Lund.

– Był uważny. Interesował się mną. Kiedy coś napisałam, czytał to. Nadawaliśmy na tych samych falach. To się czuło. Tego się nie da udawać.

– I spotkaliście się?

– Nie szukałam romansu. Byłam po prostu samotna.

– Spotkaliście się kilka razy?

Spiorunowała go wzrokiem.

– Chcecie znać szczegóły? Gdzie i kiedy?

– Niekoniecznie.

– Myślałam, że dam radę nad tym panować. Ale...

Uśmiechnęła się na jakieś wspomnienie.

– Przez chwilę czułam, że... Byłam szalona. Myślałam, żeby rzucić wszystko. Męża. Syna. Pracę. I pobiec do niego. Żeby z nim być. I nagle...

Ton gorzki.

– Za bardzo się zbliżyłam. On nie chciał związku. Tylko imion na stronie internetowej. Nocy w hotelu. Przestał odpowiadać na moje wiadomości. I chyba oprzytomniałam.

– Widziała go pani od tego czasu? – spytała Lund.

Kobieta gdzieś odpłynęła myślami.

– Może to zabrzmiało głupio, ale on chyba uratował moje małżeństwo. Zdałam sobie sprawę, co jest naprawdę ważne.

– Dobra, dobra – warknął Meyer. – Nie obchodzi nas, czy on niszczy, czy ratuje małżeństwa. Chcemy tylko wiedzieć, kim jest.

– Teraz rozumiem – przyglądała im się. – Dlaczego? Dlaczego musicie to wiedzieć?

– To nie targ, słoneczko – warknął Meyer. – Powiedz po prostu.

– Nie chcę wieszać na nim psów. Rzucił mnie. Ale to był dobry człowiek. Troskliwy.

– Na miłość boską, niech nam pani poda to cholerne nazwisko. Zanim papież go wyświęci czy coś.

Lund spojrzała na nią.

– Musimy je poznać, Nethe. I poznamy je. Tak czy inaczej.

Spojrzała na drzwi.

– Nie chcę czekać, aż pani mąż pojawi się tu z adwokatem, ale jeśli będę musiała... Kim jest Faust?

Godzinę i dziesięć minut później Hartmann siedział w pokoju przesłuchań i słuchał adwokata, którego znalazła Rie Skovgaard. Była to poważna kobieta w średnim wieku z jednej z większych kancelarii w mieście. Zwolenniczka partii. Przekazywała darowizny. Powinien pamiętać jej nazwisko.

– Mamy trochę czasu, zanim pana przesłuchają – powiedziała, zdejmując płaszcz i wskazując mu, żeby usiadł. – Omówmy to.

– Muszę stąd wyjść. To śmieszne.

– Nigdzie pan nie pójdzie, dopóki pana nie przepytają.

– Ale...

– Mają maile, co do których można stwierdzić, że to pan je napisał.

– Co ich obchodzą moje maile?

Zajrzała do notatek.

– Niejaka Nethe Stjernfeldt złożyła zeznanie. Twierdzi, że łączyła ją z panem relacja o charakterze intymnym. Rozpoznała pana jako osobę

występującą pod przydomkiem Faust. Ten mężczyzna spotykał się również z Nanną Birk Larsen.

Hartmann wstał, zaczął chodzić po pokoju jak zwierzę w klatce.

– Chce pan coś powiedzieć, Troels?

– Już im mówiłem. Nigdy nie poznałem tej Birk Larsen. Nie mam nic do dodania. Ani nic do zeznania.

Na jej pomarszczonej, poważnej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

– Może porozmawiamy o ograniczeniu ewentualnych strat?

– Jakich strat? Jestem niewinny.

– Nie zwracajmy sobie głowy niewinnością, dobrze? Na policji spoczywa obowiązek przedstawienia dowodu, ale...

Pokręcił głową zdumiony.

– Obowiązek przedstawienia dowodu?

– Oni mają wyłącznie poszlaki. To ważne, żeby poznali pańską wersję wydarzeń.

– Moją wersję? – roześmiał się Hartmann. – Pani nie widzi, co tu się dzieje? Za każdym razem, gdy jeden spreparowany przez nich wymysł się rozlatuje, próbują z następnym. To robota Bremera.

– Poul Bremer nie wymyślił pani Stjernfeldt.

Zamilkł.

– I nie wymyślił też pańskich wiadomości.

– Nigdy nie rozmawiałem, nie spotkałem się ani w żaden sposób nie komunikowałem się z Nanną Birk Larsen. I oni o tym wiedzą.

Zapisała coś w notatniku.

– Porozmawiam z Rie Skovgaard, żeby sprawdziła, czy możemy podjąć jakieś kroki cywilne przeciwko nim. Zgadzam się z panem. Ich sposób działania jest oburzający.

– Właśnie.

– A to tylko kolejny powód, by z nimi rozmawiać. Musi pan...

– Nie.

Skrzyżowała ramiona.

– Musi pan, Troels. Jeśli pan tego nie zrobi, to co oni pomyślą? Co ludzie pomyślą?

Meyer stanął na korytarzu i ziewnął. Lund oparła się o ścianę.

– Co to ma niby znaczyć, Lund? Mamy tu czekać całą noc?

Zerknęła na zegarek.

– Im się nie spieszy.

Pojawiła się wysoka, szczupła postać. Lennart Brix szedł długim krokiem przez korytarz, z telefonem przy uchu, rozmawiając, zdaje się, z mediami.

Lund czekała. Brix stanął przed nią.

– To było właściwe posunięcie – powiedziała. – Mieliśmy dobry powód.

– Zgarnięcie kandydata na burmistrza? Bez mojej wiedzy?

– A czy zwykle organizujemy spotkania z podejrzanymi o morderstwo? – spytał Meyer.

– To mogło poczekać.

– Hartmann to Faust – punktował Meyer. – Jechał samochodem. Był w mieszkaniu. To musi być on.

– Tyle że on ma alibi – przypomniał Brix.

– Pracujemy nad tym – odparła Lund.

Otworzyły się drzwi. Wyszła adwokat.

– Porozmawia z wami – powiedziała.

Siedzieli w pokoju w szóstkę. Adwokat Hartmanna i funkcjonariusz, który miał robić notatki. Lund, Meyer i Brix.

I Troels Hartmann, blady, zmęczony, wściekły i zdeterminowany.

– Dwa lata temu zmarła moja żona. Nagle. – Napił się kawy. – Przez jakiś czas dusiłem to w sobie. Pracowałem. Udawałem, że nie ma nic poza pracą.

Przerwał.

– Dalej, Troels – ponagliła go adwokat.

– Pewnego dnia znalazłem w drzwiach ulotki klubu nocnego. Nie chadzam do klubów, ale ten reklamował chat room randkowy. Można tam było rozmawiać z ludźmi. I tylko o to chodziło. O rozmawianie.

Meyer zakasłał w kułak.

– Utworzyłem profil. Pod nazwiskiem Faust.

– Z iloma kobietami pan się spotykał?

– To nie jest istotne.

Meyer przechylił głowę na bok.

– Więcej niż dziesięć, mniej niż dwadzieścia – warknął Hartmann. – Coś koło tego.

Nikt nic nie mówił.

– Nie jestem z tego dumny.

– Jest pan osobą publiczną – odezwała się Lund. – Dokąd pan chodził?

– Tylko raz byłem w miejscu publicznym. Za pierwszym razem. Potem...
Jeśli się umawiałem, zamawiałem taksówkę i jeździłem po nie.

– I potem dokąd?

– Głównie do mieszkania na Store Kongensgade.

– I co się działo potem? – spytał Meyer.

Hartmann spojrział na niego gniewnie.

– To nie pańska sprawa.

– Owszem, moja. Była tam Nanna Birk Larsen. Trzy dni później znaleziono ją zgwałconą i zamordowaną. Nie wiem, jaką rolę odgrywa w polityce zbieg okoliczności, panie Hartmann, ale tutaj...

– Ja jej nie znałem! W ogóle nie wiedziałem o jej istnieniu!

– Pozwolę sobie odświeżyć pańską pamięć.

Przejrzał stos dokumentów na biurku.

– Mamy wydruki pańskich maili. I maili Nanny. Proszę spojrzeć.

Podał mu kilka kartek. Hartmann zaczął je czytać.

– W kwietniu – powiedziała Lund – skontaktował się pan z nią po raz pierwszy. Odpowiedziała panu przez witrynę randkową. Korespondencja ustała kilka tygodni przed morderstwem.

– Nie – odezwał się Hartmann. – Ja nie napisałem żadnego z tych maili. Proszę spojrzeć na moje. To nie mój styl.

– Pański styl? – Meyer się roześmiał.

Hartmann wskazał daty wiadomości.

– Ja wtedy już od kilku miesięcy nie korzystałem z tej witryny. Zacząłem się z kimś spotykać. Z Rie. Nie chciałem już tego kontynuować.

Złożył kartki i oddał je.

– Skończyłem z tym. Nie pisałem tych wiadomości.

– Ktoś włamał się na pańskie konto pocztowe – powiedziała adwokatka.

– W Ratuszu? – zdziwiła się Lund.

– Już mówiłem, że mam pewne obawy – dodał Hartmann.

– Każdy mógł mieć dostęp do mieszkania – podjęła adwokat. – Klucze trzymano w biurku. Gość, ktoś inny z Ratusza, mógł sobie zrobić duplikaty.

– Och, litości... – zaczął Meyer.

– Proszę posłuchać! Przyznaję, że utworzyłem profil. Nie wiem, kto pisał te wiadomości ani jak się dostał do mieszkania. Musieli mieć moje hasło. Podszywali się pode mnie.

– Mój klient ma alibi – dodała adwokat. – Był z Rie Skovgaard tego wieczoru. Spędzili weekend na konferencji.

Brix wpatrywał się w Lund tak, by Hartmann i jego adwokat to widzieli.

– I jak? – naciskała kobieta. – Jak to możliwe, żeby w tych okolicznościach Troels Hartmann był podejrzany?

– Jeśli choćby jedno słowo przeczytam o tym głównie w prasie – rzucił jeszcze Hartmann – pozwę wszystkich w zasięgu wzroku. Ten wydział. Was osobiście. Nie pozwolę, żeby mnie zniesławiły marionetki Poula Bremera.

– Dość – powiedział Brix. – Musimy to omówić.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że on mówi prawdę? – spytał Brix, kiedy wyszli na korytarz. – Że ktoś używał jego profilu randkowego?

– To bzdury – odrzekł Meyer. – Musiałby mieć hasło. A komputer, z którego ten ktoś korzystał, znajdował się w mieszkaniu partyjnym.

Lund przez żaluzje patrzyła na Hartmanna.

– A jak ty myślisz? – zwrócił się do niej Brix.

– Dzisiaj nic więcej z niego nie wyciągniemy. Potrzebny nam nakaz sądowy, żeby się dostać do jego telefonu. Dlaczego on uważa, że Bremer bierze w tym udział?

– To paranoja – odparł Brix. – Puśćmy go. Nie chcę, żeby to trafiło do...

– My tego nie robimy – przerwała mu Lund.

– Nie chcę, żeby to wyciekło. Informujcie mnie na bieżąco. Cokolwiek zrobicie, najpierw wyjaśnijcie to ze mną. Powiem Hartmannowi, że może iść.

Po wyjściu Brixa Lund powiedziała:

– Musimy porozmawiać z Rie Skovgaard. I z centrum konferencyjnym. Kto potwierdzał, że oni tam byli?

Meyer wskazał raporty.

– Svendsen. Według danych w recepcji zgłosili się o dziewiątej w sobotę. Wynajęli pokój i dużą salę konferencyjną. Wymeldowali się w niedzielę po południu.

– Svendsen to leniwy gnojek. Jak zapłacili?

Przewertował papiery.

– Kartą kredytową Skovgaard.

Patrzyli, jak Hartmann idzie korytarzem ku spiralnej klatce schodowej.

– Więc chłopiec z plakatu okazał się nałogowym kobieciarzem – westchnął Meyer. – A ja myślałem, że to dżentelmen bez skazy.

– Kto widział tam Hartmanna poza Skovgaard? Sprawdźmy to.

– Ściągnę kogoś, żeby to sprawdził. Wiesz, że to wycieknie. Ktoś pogada z prasą. Nie ty. Nie ja. – Wymierzył kciuk w stronę gabinetu Brixa. – Ale ktoś tak.

Zadzwoił jej telefon. Vibeke.

– Cześć, mamó. Oddzwonię do ciebie. I spóźnię się. Nie mów Markowi o Bengcie i Szwecji. Sama to zrobię.

– Jest tu ojciec Marka – powiedziała Vibeke.

Lund próbowała uporządkować myśli.

Hartmann.

Mark.

Theis Birk Larsen.

Carsten.

– Jeśli chcesz się z nim zobaczyć – ciągnęła jej matka – lepiej się pośpiesz.

Theis Birk Larsen i Pernille siedzieli obok siebie przy stole, pod żyrandolem ze szkła Murano. Pracownica socjalna, do której ich wysłano, miała około czterdziestki, była dobrze ubrana i profesjonalna. Mogliby uznać ją za adwokata.

– Nie mieliście jeszcze państwo takich doświadczeń? – spytała.

– Nie – odparł Theis.

Pernille patrzyła w okno, ledwo słuchając.

– Żadne z was nie spotykało się z psychoterapeutą ani doradcą?

Pokręcił głową.

– Dziecko tworzy bardzo silną więź rodziców. Strata dziecka przynosi konsekwencje również dla związku.

Można było odnieść wrażenie, że czyta tekst z podręcznika.

Pernille wstała, oparła się o wyłożoną kafelkami ścianę kuchni i skrzyżowała ramiona.

– W tej chwili martwię się o coś innego niż nasz związek – powiedziała.

– Co mianowicie?

Kobieta miała przenikliwe niebieskie oczy i zbyt młodzieżową jak na jej wiek fryzurę.

– Ma pani dzieci? – spytała Pernille.

– To nie ma nic do rzeczy. Nic nie może pani zrobić, żeby rozwiązać sprawę. Macie siebie nawzajem. Macie swoją rodzinę.

– Niepotrzebne mi pani porady w kwestii moich synów! – warknęła Pernille.

Pracownica socjalna sięgnęła do torby i wyjęła kilka ulotek.

– Te broszury pozwolą państwu zrozumieć, jakie korzyści może przynieść terapia.

Położyła je na stole. Wstała i włożyła płaszcz.

– Polecałabym państwu grupy terapeutyczne dla osób w żałobie. Rozmowa z innymi może pomóc.

– Mamy lepsze zajęcia – odparła Pernille.

Niebieskie oczy wpatrywały się w nią przez chwilę.

– To nie jest propozycja. To warunek zwolnienia za kaucją pani męża. Jeśli nie rozpoczniecie terapii, on wróci do aresztu. Ma szczęście, że po zajściu z nauczycielem w ogóle chodzi po ulicach.

Theis odprowadził ją i podziękował.

Wrócił na górę. Pernille opierała się o zlew, patrząc za okno.

– Powiedziała, że jutro jest spotkanie takiej grupy terapeutycznej.

Telefon z gazety zadzwonił tuż przed wizytą kobiety z poradni. On odebrał, nic nie powiedział. Wiedział, że długo to nie potrwa.

– Gazety znowu chcą pisać o polityku – ciągnął.

– Co teraz chcą napisać?

– Nie wiem.

Sięgnęła po telefon.

– Policja nic ci nie powie, Pernille. Nie rozumiesz? To nie jest nasza sprawa. Ich zdaniem.

Pod numerem Lund odezwała się poczta głosowa.

Pernille włączyła telewizor, zaczęła szukać wiadomości. Znalazła. Śledczy prowadzili Hartmanna na komendę. Po przepytaniu został zwolniony.

Pernille zrobiła głośniejsze, słuchała spięta, z błyszczącymi oczami.

– Mamusiu? – zawołał senny głosik. – Nie mogę spać.

W drzwiach pojawiła się drobna postać w piżamie.

Theis Birk Larsen zerwał się natychmiast, porwał Emila w ramiona. Pocałował go, wyszeptał coś bzdurnego w ciepłe ucho.

„Ciało Nanny znaleziono w jednym z wozów sztabu wyborczego – mówił dziennikarz. – Została wielokrotnie zgwałcona, a z raportów wynika...”.

Pognał z chłopcem do sypialni, tuląc mocno drżące ciało.

Kiedy dotarli do ratusza, Weber oglądał wiadomości.

– Mogę spytać, jak poszło?

Hartmann usiadł.

– Sprawa jest poważna. Musimy się dowiedzieć, kto korzystał z mieszkania.

Weber sprawiał wrażenie odprężonego. Nie miał krawata. Trzymał filiżankę kawy. Znowu był gotów spać w biurze.

– Sprawdziłem zapisy. Głównie to byli ludzie, których znamy. Ludzie, którym ufamy. Policja to wszystko ma.

– Nie, nie, nie. Ten urzędnik, Olav. On łąził po całym biurze. To musi być on.

– Lund przesłuchała go wraz ze wszystkimi.

Skovgaard słuchała ich z posępną miną. Zgarnęła włosy i związała gumką. Poważna. Rzeczowa. Zdystansowana.

– Co mam powiedzieć prasie? – spytała.

– Jak oni się, do cholery, dowiedzieli? W chwili gdy stamtąd wyszedłem? Lund...

– Prasa tak działa, Troels – tłumaczyła. – Ktoś przy wejściu mógł ich powiadomić, tu albo na komendzie. Nie da się ukryć takiej historii...

– Ktoś miał moje hasło. Ktoś użył mojego profilu randkowego, żeby pisać do tej dziewczyny. A Nethe Stjernfeldt powiedziała o mnie policji. Jezu...

W nagłym przypływie gniewu zrzucił papiery z biurka, po czym stanął przy oknie, w świetle niebieskiego neonu.

– Jakiego profilu randkowego? – spytała zimnym głosem, w którym pobrzmiwała ciekawość. – Kto to jest Nethe Stjernfeldt?

Weber wstał, mruknął coś o zaglądaniu do akt, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Dobra – westchnęła, skoro Hartmann się nie odzywał. – Zero odpowiedzi. Podejmiemy kroki prawne. Zdobędziemy zakaz publikacji. Nie chcemy już żadnych nagłówków. Jutro dotrą do gazet.

– Nie podejmiemy kroków prawnych. Zapomnij. Jakie mam szanse zostać burmistrzem Kopenhagi, skoro toczę batalię prawną z policją?

– Czy to jedyny powód?

To trwało już prawie sześć miesięcy. Sześć na ogół szczęśliwych miesięcy. Ona była dobra w swojej pracy, szybka, ostra, bystra i pomysłowa. Ale praca połączyła ich za mocno. On potrzebował dystansu. Ona też.

– Policja szuka mężczyzny, który kontaktował się z Nanną Birk Larsen przez portal randkowy – powiedział, starając się używać słów jak najprostszych, jak najjaśniejszych i jak najnudniejszych. – Okazuje się, że poprzez profil utworzony przeze mnie. Dawno temu. Zanim myśmy...

Twarz bez wyrazu, w ciemnych oczach nie pojawiło się ani ciepło, ani wstrząs.

– Nie wiem, jak to się stało. Kiedy ja przestałem z tego profilu korzystać, przejął go ktoś inny. Napisał do dziewczyny. Wysyłał jej wiadomości. Spotykał się z nią w mieszkaniu na Store Kongensgade.

Podszedł do niej.

– Nie patrz tak na mnie, Rie. Wiedziałaś, jaki jestem, kiedy mnie poznałaś.

Zamknął oczy. Pod powiekami nadal widział niebieski neon.

– Kiedy przestałaś?

– Kiedy cię poznałem.

Przysunął się bliżej, wyciągnął ramiona. Nie wiedzieć czemu, ona podeszła do biurka.

– Więc teraz mamy dwie sprawy – podsumowała. – Mieszkanie i profil randkowy. Zrób listę ludzi, którzy mogli znać twoje hasło. Pomyśl, co jutro powiesz koalicjantom. – Wzięła kalendarz. – Poproszę Mortena, żeby przełożył twoje spotkania. Poradzę sobie z prasą. Idź do domu, Troels. Nie rzucaj się w oczy. Ludzie nie powinni cię oglądać w tym stanie.

– W jakim stanie?

– Kiedy jesteś żaloszny i użalasz się nad sobą.

Kiwnął głową z pokorą. Opuścił ramiona. Wsadził dłonie do kieszeni.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

– Nie. Czy to wszystko, co ty masz mi do powiedzenia? Czy jeszcze coś się pojawi? Jeszcze coś, o czym nie wiem?

– Nie – obiecał.

– Mam nadzieję.

Lund dotarła wreszcie do mieszkania swojej matki. Już od drzwi usłyszała Carstena, ojca Marka, jak mówi o hokeju. Zdjęła płaszcz, weszła do sypialni, wzięła czysty sweter, nie czarno-biały, lecz biało-czarny, i włożyła go.

Weszła do salonu.

Carsten.

Wysportowany, czarujący mężczyzna. Przeintelektualizowany, nadmiernie ambitny, zbyt niechętny codzienności, by pozostać w policji. Opowiadał Markowi o przepisach hokejowych, wywijając nowym kijem, który mu kupił.

Mark patrzył. Zaabsorbowany. Pochłonięty. Podobnie jak Vibeke. Carsten miał wciąż ten dar.

– Czyli teraz łatwiej zdobyć punkt? – upewnił się Mark.

– Właśnie. Dasz radę. Będziemy czasami chodzili poćwiczyć.

Lund stała w cieniu i przysłuchiwała się tej rozmowie. Zazdrościła. Bała się.

Carsten się odwrócił. Włosy miał jaśniejsze, niż zapamiętała. I dłuższe. Nosił nowe modne okulary w plastikowych oprawkach i świetny brązowy garnitur. Nikt by się nie ośmielił chodzić tak po komendzie.

– Cześć! – powiedziała żywo, wychodząc z cienia i uśmiechając się do niego.

– Sarah! – zawołał, zbyt głośno.

Bez uścisków.

Mark też się uśmiechał. Przez krótką chwilę czuła między nimi kruche poczucie więzi rodzinnej.

Podeszła do syna, pogłaskała go po głowie, nie zauważyła, kiedy się skrzywił i wywinął.

– Jak tam, Carsten? Kiedy przyjechałeś?

Trzymał kij do hokeja, lekko, jak zawodowiec. Dla Marka.

– Dzisiaj po południu. To wyszło tak nagle.

– Wynajęli dom w Klampenborg – wtrąciła Vibeke. – Chcesz kolację?

Lund kiwnęła głową. Vibeke ochoczo ruszyła do garnków.

– W zeszłym tygodniu przyszła propozycja pracy – ciągnął Carsten. – Szansa na powrót do domu... Nie sposób było odrzucić ofertę. Bruksela i dwie małe dziewczynki... w kółko tylko praca.

Mark wstał, wziął od ojca kij i przećwiczył kilka ruchów.

– I stęskniłem się za tym gościem – dodał Carsten, kładąc synowi dłoń na ramieniu.

Stali ramię w ramię, jakby pozowali do fotografii.

I znowu Lund zmusiła się do uśmiechu.

– A jak tam twoja Szwecja? – spytał.

– Na razie się opóźnia – odparła szybko.

– Słyszałem, że Bengt miał wypadek.

Lund obejrzała się na matkę.

– Nic strasznego.

– Złamał rękę! – krzyknęła Vibeke.

Podawała Lund talerz z gulaszem.

– Odwołano parapetówkę – ciągnęła matka. – I moją podróż do Løgumkloster.

– Pracuję nad sprawą – tłumaczyła Lund. – To nie tak jak w Brukseli, od dziewiątej do siedemnastej.

Carsten obejmował Marka. Teraz ten gest wyglądał na zaborczy, nie opiekuńczy czy serdeczny.

– Tak się zdarza – powiedział. – Ale pewnie nie ma pośpiechu.

– Ha! – znowu Vibeke. – Skądże znowu. Bengt odesłał ich rzeczy. Leżą w mojej piwnicy. Nietknięte.

Mark znowu się rozjaśnił.

– To znaczy, że się nie przeprowadzamy?

Carsten zdjął z niego ramię.

– Muszę już iść do domu, obowiązki wzywają. Dziękuję za drinka.

Uściskał Vibeke, ucałował ją. W nagrodę dostał najcieplejszy z uśmiechów.

– Zawsze jesteś tu mile widziany, Carsten – zastrzegła. – Przychodź, kiedy chcesz.

Uściskał Marka. Postukał knykциями w kij hokejowy.

– Odprowadzę cię – zaproponowała Lund.

Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze. Wcisnęła guzik windy.

– Nie chcę się wtrącać. Ale mam nadzieję, że nie macie z Bengtem problemów.

– Damy radę.

– Karen pyta, czy chciałabyś zjeść z nami jutro obiad. Byłoby miło. Dziewczynki poznają się z Markiem.

– Nie mogę.

Uśmiech zniknął. Nigdy nie lubił, gdy mu się odmawiało.

– A Mark może przyjść?

Winda jechała powoli. Wcisnęła ponownie guzik.

– Mam się zgodzić, a ty odwołasz spotkanie? Tak jak zwykle?

Skrzyżował ramiona. Drogi prochowiec. Drogie okulary. Miękko opadające akademickie blond włosy. Carsten zmienił image, żeby zostać mężczyzną, jakim nie był.

– Schudłaś – zauważył. – Poza tym nic się nie zmieniło.

– Nic mi nie jest.

Zadzwoił jej telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko „Meyer”.

– Zostawiłem Vibeke mój numer telefonu i adres.

– Świetnie.

Wracała do mieszkania, słuchając. Carsten zrezygnował z windy i ruszył na schody.

– Rozmawiałem z centrum konferencyjnym – meldował Meyer.

– I?

– Do sobotniego popołudnia nikt Hartmanna nie widział. Miał grypę. To Rie Skovgaard prowadziła spotkania ze sponsorami.

Usłyszała trzask drzwi na parterze. Carsten wychodził.

– Pogadamy o tym rano, Meyer. Dobranoc.

CZWARTEK_ 13 LISTOPADA_

Tuż po ósmej Lund i Meyer oglądali w biurze poranne wiadomości. Rie Skovgaard mówiła do lasu mikrofonów.

„Zastępca burmistrza do spraw edukacji rozmawiał wczoraj wieczorem z policją – powiedziała. – W pełni współpracował i zdołał policji dostarczyć informacji, których nie zebrali wcześniej. Nie mogę się wdawać w szczegóły, ale pozwolę sobie podkreślić, że Troels Hartmann nie ma – powtarzam: nie ma – nic wspólnego z morderstwem Nanny Birk Larsen. Pomoże...”.

– Pieprzy, byle pieprzyć – prychnął Meyer. – Machnął zapisaną na maszynie kartką. – Sprawdziłem go. Czterdzieści dwa lata. Urodzony w Kopenhadze. Syn polityka, Regnera Hartmanna. Ojciec był zagorzałym wrogiem Poula Bremerera. Zawsze przegrywał. Załamał się. Niedawno umarł.

Skovgaard odpowiadała na pytania.

„To godne ubolewania, jeśli przeciwnicy polityczni posuwają się do niegodnych spekulacji” – mówiła.

Lund kubkiem z kawą wskazała ekran.

– Więc teraz syn przejmuje po ojcu pałeczkę?

– Nie takie teraz – sprostował Meyer. – Jako dziewiętnastolatek wstąpił do młodzieżówki liberałów. W wieku dwudziestu czterech lat trafił do rady miejskiej. Pracował w różnych komisjach. Cztery lata temu stanął na czele partii w regionie. W rezultacie dostał Wydział Edukacji.

Lund znowu zrobiła kanapki z chleba, masła i szynki. Jedną dla Meyera. Zatopił w niej zęby.

– Zdajesz sobie sprawę, że ten człowiek nigdy nie wykonywał żadnej prawdziwej pracy? Całe życie rozgrywa w tym ich zakłamanym świecie w Ratuszu. Nic dziwnego, że świruje, gdy tylko coś pęka w jego szklanym pałacyku.

„Koalicja odniesie sukces” – podkreśliła Skovgaard przed kamerami.

– Halo?

Machnął kanapką, rozrzucając okruchy w powietrzu.

– Słuchasz?

– Słucham.

– Rok przed objęciem funkcji szefa partii poślubił miłość z dzieciństwa. Umarła dwa lata temu. Na raka. Była w szóstym miesiącu ciąży.

– To musiało być brutalne zetknięcie z rzeczywistością – zauważyła Lund. – Notowany?

– Nie. Bielszy od bieli. Czytałaś maile?

– Tak. Nie łykam pomysłu, że zostały napisane przed dwie różne osoby. Wyglądają tak samo. Zawsze się podpisuje inicjałem „F”.

Meyer spojrział na wydruki.

– Widzisz jakieś różnice? – spytała.

– Nie. I co z tego? Na ile sposobów można pisać... spotkamy się w Hiltonie o ósmej trzydzieści, kochanie? Teraz ja przynoszę gumki. Masz jakieś życzenia, skarbie?

Wszedł Svendsen i rzucił na biurko kilka teczek.

– Co to jest?

– Zaginione kobiety z ostatnich dziesięciu lat. Prosiłaś o to.

– Zauważyłeś coś?

– Nie. Zdaniem Brixa to strata czasu.

– A szukałeś w ogóle?

– Brix mówi, że błędzisz w mroku. Jeśli chcesz błędzić dalej, masz to robić po godzinach pracy.

– Ile tych zamordowanych kobiet?

Svendsen postukał w niebieską teczkę

– Teraz jestem zajęty – odparł. – Poczytaj.

Kawa na stole, paszteciki. Pod bladym światłem różowej lampy karczochowej zaczęło się spotkanie czworga przywódców ugrupowań mniejszościowych z Hartmannem.

Jens Holck wyglądał trochę lepiej. Ogolił się. Włożył marynarkę.

– Co się dzieje, Troels? – spytał. – Ta dziewczyna była w waszym mieszkaniu? Tak czy nie?

– Tak. W każdym razie tak twierdzi policja.

Holck westchnął.

– To wspaniale. I ty też tam byłeś?

Skovgaard siadła obok Hartmanna i zaczęła notować.

– Ja byłem w mieszkaniu niedługo przed nią.

Popatrzył na każdego z nich po kolei.

– To wywołało nieporozumienie z policją. Ale zostało już ono wyjaśnione.

– I prowadziłeś ten samochód? – pytał Holck. – Co to jest, do cholery? Jeśli mamy w ogóle pomyśleć...

– Och, na miłość boską, Jens! – krzyknął Hartmann. – Spuść trochę z tonu. Nie mam nic wspólnego z tą dziewczyną. W życiu jej nie widziałem. Nigdy z nią nie rozmawiałem. Jestem równie wstrząśnięty, równie zaskoczony jak ty.

– To niczego nie zmienia.

– Szukają w Ratuszu. Czy to nie jest oczywiste? Już nie mnie. Ale szukają tutaj. Ktoś miał dostęp do mojego komputera. Do mojego hasła. – Wskazał na drzwi. – Ktoś tutaj. Będę współpracował z policją. Co jeszcze mogę zrobić?

– Mogłeś nam o tym powiedzieć, zanim przeczytaliśmy w gazetach – odezwała się Mai Juhl.

– Nie wiedziałem! W tamten weekend byłem na konferencji ze sponsorami. Myślisz, że rozmawiałbym teraz z wami, gdyby uważali, że jestem winien?

Holck milczał. Mai Juhl też.

Morten Weber podszedł do drzwi i postukał palcem w zegarek.

– Zachowajmy spokój – ciągnął Hartmann. – Może tak być? Nadal jesteśmy razem czy nie?

To Mai Juhl odezwała się pierwsza.

– Mówiłeś, że to koniec sensacji?

– Koniec.

Spojrzała na Holcka.

– W takim razie ja zostaję.

– Jaki mamy wybór? – westchnął Holck. – Jeśli ta koalicja nie przetrwa, wszyscy jesteście skończeni.

Wstał, spojrzał groźnie na Hartmanna.

– Postawiłeś nas pod ścianą, Troels. Możesz nas z tego wyciągnąć. Porozmawiaj z prasą. Niedobrze, że się chowasz za Rie. To twój problem. Skończ z tym albo wszyscy będziemy skończeni.

Morten Weber odprowadzał ich wzrokiem.

– Co się stało? Mamy jeszcze koalicję?

– Tak. Znalazłeś coś?

– Tylko my troje jesteśmy użytkownikami peceta w mieszkaniu. Ty, ja i Rie. Kto mógł mieć twoje hasło?

– Nie wiem.

– Może zapomniałeś się wylogować?

– To nie tak. Ktoś tu węszył. Rozpytywał. Zaglądał.

– To niełatwe. Ufamy tym ludziom. A w każdym razie powinniśmy.

Hartmann spojrzał na Webera. Człowieka, którego znał całe swoje dorosłe życie. Samotny kawaler, bez skargi noszący ze sobą insulinę i strzykawkę. Wykonywał swoją służebną pracę, morderczą. A w razie potrzeby brudną robotę.

– Przykro mi, Morten.

– Z jakiego powodu?

– Że cię nie posłuchałem.

Weber się roześmiał.

– Stare dzieje! To jest polityka! Liczy się tylko dzisiaj i jutro.

– Naprawisz to?

– Jeśli zdołam.

Podeszła Skovgaard. W ręku trzymała swój płaszcz.

– Lund znowu chce z tobą rozmawiać – powiedziała.

– Nie...

– Adwokat mówi, że nie masz wyboru. Wyjdź bocznym wyjściem.

Umówiłam tam prywatny wóz.

Spojrzała mu w oczy.

– Zabierają cię do mieszkania na Store Kongensgade. – Podała mu rękawiczki. – Lund chce ci tam zadać kilka pytań.

Anton i Emil mieli już na sobie zimowe kurtki. Pernille sprawdzała, czy spakowali wszystko do szkoły. W biurze Theis Birk Larsen rozmawiał przez telefon z bankiem. Mówił spokojnie, uważnie słuchał wyjaśnień.

Burza, która rozpętała się nad ich głowami poprzedniego wieczoru, nie rozładowała atmosfery. Spali w jednym łóżku, nie dotykając się. W zasadzie nie spali. W środku nocy przyszedł zapłakany Emil. Anton zsiakał się w łóżko po raz pierwszy od miesiący.

Burza nie minęła. Po prostu się przyczaiła.

– Może nam przyznają sto tysięcy debetu – powiedział, gdy weszła Pernille. – Zapłacilibyśmy ludziom i przygotowalibyśmy dom do sprzedaży.

Zapalił papierosa i patrzył, jak dym zwija się, unosząc się w górę.

– Widziałeś czapkę Emila? – spytała.

Zamknął oczy.

– Nie ma jej na półce? Tam gdzie zwykle?

– Gdyby była, pytałabym cię?

Zgasił papierosa.

– Dobra, znajdę ją.

Po jego wyjściu obeszła biuro, spojrzała na wyciągi z banku. O czym jeszcze jej nie powiedział? Kupił gazetę. Z pierwszej strony patrzyła twarz polityka. Nie został aresztowany. Tylko go przesłuchano i wypuszczono.

– Mamo? – zawołał któryś z chłopców.

Wbiegł Anton.

– Ktoś chce z tobą rozmawiać.

W drzwiach garażu stał wysoki mężczyzna około trzydziestki. Ciemna modna kurtka narciarska. Szeroki uśmiech.

– Chciałbym porozmawiać z Theisem Birk Larsenem – powiedział.

– Jeśli chodzi o przeprowadzkę, to mąż zaraz zejdzie.

– Pernille?

Nie czekał na odpowiedź.

– Nazywam się Kim Hogsted. – Podał jej wizytówkę. – Jestem dziennikarzem telewizyjnym. Dzwoniłem kilka razy. Wiem, że nie chce pani rozmawiać z takimi jak ja.

– To prawda.

– Chodzi o policję. – Wydawał się szczery. – Przygotowuję materiały o zbrodni. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej fuszerki. To musi być dla pani straszne. Nawet sobie nie wyobrażam jak.

– Nie. Nie wyobraża pan sobie.

– I jeszcze ten polityk...

Wzruszył ramionami.

– Co? – spytała.

– Ciągłe coś ukrywają. Przed panią też.

– Czego pan chce?

– Chcemy pomóc. Chcemy dać pani możliwość opowiedzenia o wszystkim. Własnymi słowami. Nie ich. Nie naszymi.

Zastanowiła się.

– Chce pan, żebym opowiedziała o Nannie?

Nie odpowiedział.

– Co z pana za człowiek? Lepiej niech pan już sobie idzie. Jak mój mąż tu zejdzie...

– Trzy lata temu w Helsingborg zaginął pięcioletni chłopiec. Policja nie miała żadnego tropu. Przeprowadziliśmy wywiad. Wyznaczyliśmy nagrodę. Znaleźli go. Żywego. Pamięta pani?

– Naprawdę powinien pan iść.

– Nie zwrócimy pani Nanny. Ale możemy wyznaczyć nagrodę za informacje. Wiem, że chce się pani dowiedzieć, co się stało. Proszę to przemyśleć.

– Wynocha! – wrzasnęła.

Reporter wyszedł. Wrzuciła jego wizytówkę do kosza.

Wrócił Theis z czapką.

– Mam ich zawieźć do szkoły?

– Nie! Już o tym rozmawialiśmy. Czemu ja muszę wszystko dwa razy powtarzać?

Stał w progu sztywny i niezdamny.

– Spotkamy się na terapii.

– Emil! – zawołała wysokim i łamliwym głosem. – Mówiłam, żebyś tego nie przynosił. Czemu ty mnie nigdy nie słuchasz?

Birk Larsen delikatnie wyjął zabawkę z paluszków synka.

– Miłego dnia, chłopcy – powiedział i poklepał ich po głowie.

Mieszkanie liberałów pokrywały oznaczenia techników. Nalepki i strzałki. Cyfry i obrysy.

Troels Hartmann stał w salonie obok fortepianu. Towarzyszyła mu adwokat.

– Zaparkowałem przed budynkiem i wszedłem do środka.

- Spotkał pan kogoś w drodze na górę? – spytała Lund.
- Nikogo znajomego. Nie rozglądałem się zresztą. To był po prostu...
- Po prostu...?
- Zwyczajny wieczór.

Lund czekała. Zastanawiała się, czy on jeszcze coś powie.

Hartmann spojrział na roztrzaskany stolik. Stłuczone lustro. Zmiętą pościel na łóżku w sąsiednim pokoju.

- Co tu się stało? – spytał.
- Proszę powiedzieć, co pan zrobił po wejściu.
- Odwiesiłem marynarkę. Pamiętam, że bolała mnie głowa. Miałem za sobą gorący tydzień.

Podszedł do biurka przy oknie. Meyer podążył za nim.

- Usiadłem tutaj. Napisałem część mowy, którą miałem wygłosić.
- Jakiej mowy? – włączył się Meyer.
- Do sponsorów i biznesmenów. Staraliśmy się o wsparcie.

Lund spytała, co zrobił z kluczykami do auta.

Spojrział na strzaskany stolik.

- Zostawiłem tam. Nie potrzebowałem ich już.
- Nie kupuję tego – zaproponował Meyer. – Po co miał pan tu przychodzić, żeby napisać mowę? Czemu nie do domu?

Hartmann zawahał się, nim odpowiedział.

- W różnych miejscach inaczej mi się myśli. W domu się rozpraszam. Tutaj... – Rozejrzał się po pokoju. Biały fortepian. Żyrandol. Aksamitna tapeta i drogie meble. Strzaskane szkło. – Tutaj czułem się jak na wyspie. Mogłem myśleć.

- Dlaczego dał pan kierowcy wolne na weekend? – spytał Meyer.
- Nie potrzebowałem go. Rie miała prowadzić. Nie było sensu go zatrzymywać.

– Więc zwolnił go pan i wziął samochód sztabu z ratusza? I zostawił go pan tutaj?

– To przestępstwo? Napisałem mowę. Około dwudziestej drugiej trzydzieści poszedłem do Rie. I tyle. Co jeszcze mam powiedzieć?

– To wystarczy – zdecydowała adwokat. – Mój klient pomógł wam, jak mógł. Jeśli tu skończyliśmy...

Lund podeszła do okna, wyjrzała. Meyer wpadał w rozpacz.

– Jak się udała mowa, Troels? – spytał.

– Dość dobrze. Dziękuję.

– Proszę uprzejmie. Więc cały weekend spędził pan ze sponsorami i biznesmenami?

– Zgadza się.

Przez chwilę sprawiał wrażenie pogubionego. Jakby Meyer go przyszpilił.

– Prawdę mówiąc, zajmowała się nimi głównie Rie. Mnie powaliła grypa. Do niedzieli leżałem w łóżku.

Lund wróciła do niego.

– Ile pan tu wypił?

– To nie ma związku ze sprawą – wtrąciła się adwokat.

– Zabezpieczyliśmy pustą butelkę po brandy i szklanę z pańskimi odciskami palców.

– Tak. Napiłem się. Brandy pomaga na grypę.

– Butelka brandy?

– I tak była prawie pusta.

Lund przejrzała notatki.

– Gospodyni tego dnia robiła zakupy. Powiedziała, że uzupełniła wszystkie zapasy.

Hartmann zerknął na adwokatkę.

– Nie wyrzuciłaby butelki z alkoholem, prawda? Napilem się, okej?

Lund czekała.

– To była rocznica naszego ślubu. Moja żona i ja...

– A więc to był taki wyjątkowy dzień? – spytał Meyer.

– To nie pański interes!

– Bierze pan środki uspokajające. – Lund uniosła w górę torebkę dowodową. – Znaleźliśmy pańskie lekarstwa.

– Do czego wy się jeszcze zniżycie? Bremer obiecał wam awans po wszystkim?

– Alkohol i leki – wtrącił Meyer. – Jestem wstrząśnięty. Pan jest politykiem. Rozkłada pan te wszystkie plakaty po mieszkaniu. To jest niebezpieczne połączenie, prawda?

– Wypiłem drinka. Nie brałem lekarstw od miesiący.

– A więc miał pan prawdziwie kiepski dzień? – Meyer wytrzeszczył oczy.

– Tak pan powiedział?

Hartmann chodził po pokoju w tę i z powrotem, patrząc na oznaczenia na ścianach.

– Wypił pan flaszkę gorzały – ciągnął Meyer. – Wziął pan parę zabawnych pigułek. Jedną, może dwie.

– To się staje nużące.

– Nużące to jest gadanie, że przyjechał pan tu, zalał się w trzy dupy, a i tak pan pamięta, że wyszedł około dwudziestej drugiej trzydzieści.

– Tak! Tak się składa, że pamiętam. Pamiętam też, których włączników dotknąłem. Ile razy poszedłem do toalety. Interesuje to pana? Może wezmę pana za rękę i pójdziemy sprawdzić przycisk windy. Co pan na to?

– Jechał pan windą? – spytała Lund.

– Tak, niewiarygodne, prawda? Jechałem windą.

Lund pokręciła głową.

– Zgodnie ze słowami administratora, winda w tamten piątek nie działała.

Hartmann rozłożył ramiona.

– W takim razie poszedłem schodami. To coś zmienia?

– Hartmann właśnie powiedział, co robił w mieszkaniu – odezwała się adwokat. – Rie Skovgaard potwierdziła, że potem przyszedł do niej, i podała, o której to było godzinie.

Adwokat ruszyła do drzwi wejściowych, prowadząc polityka.

– Mój klient współpracował aż nadto. Nie mamy już nic do dodania.

– Dlaczego ten fałszywy gnojek nas okłamuje? – spytał Meyer po ich wyjściu.

Lund zajrzała do sypialni, popatrzyła na zmiętą pościel. Nikt tam nie spał. Wyglądało, jakby ktoś po prostu siadł na łóżku. Może nawet rozmawiał.

– Co się stało z Nanną? – mruknęła.

Hartmann mijał długie rzędy ochrowych domków Nyboder, gdy zadzwonił Morten Weber.

– Jak poszło?

Wydawało się, że to dziwne pytanie. Na które mogła paść tylko jedna odpowiedź.

– Poszło dobrze, Morten. Co się dzieje?

– Pamiętasz Dorte? Dorywczą pracownicę?

– Niezupełnie.

– Miła kobieta z chorymi plecami. Poszła do mojego akupunkturzysty.

– Tak, tak, pamiętam. Co z nią?

Długi spacer Store Kongensgade. Kawiarnie i sklepy. Po lewej wielka kopuła Kościoła Marmurowego.

– Powiedziała mi coś interesującego.

Hartmann czekał. A ponieważ Weber milczał, odezwał się w końcu:

– Co?

– Nie lubię gadać przez telefon.

– Jezu, Morten! Myślisz, że teraz podsłuchują moje rozmowy?

Minęła dłuższa chwila, nim Weber odrzekł:

– Może podsłuchują. Nie wiem. Musimy pogadać o Olavie. Miałeś rację.

Grupa terapeutyczna spotykała się w zimnej, szarej sali koło kościoła. Dziesięć osób wokół plastikowego stołu w nagim, ponurym pomieszczeniu.

Birk Larsenowie siedli obok siebie.

Prowadzący wysłuchiwał kolejnych historii.

Rak i wypadki drogowe. Ataki serca i samobójstwo.

Łzy żyjących. Milczenie umarłych.

Pernille nie słuchała. Theis kiwał głową i nic nie mówił.

Na zewnątrz, na nagich gałęziach drzew, skręcał się i wił na wietrze postrzępiony biały szalik, jak zagubiona modlitwa.

Gdy nadeszła ich kolej, ledwie mogli mówić. Nikt ich nie naciskał. Tylko jeden szczupły mężczyzna, który trzymał głowę wysoko i dumnie, nawet gdy opowiadał o utracie syna, poświęcił im trochę uwagi.

Może to zakłopotanie, pomyślał Birk Larsen. Nieważne. Pracownica socjalna powiedziała, że ma tu przyjść albo wróci do aresztu. Przyszedł więc i miał nadzieję, że to pomoże. Choć kiedy patrzył na nieruchomą, zamarłą twarz Pernille, wątpił.

Nie pomogło. Dowiedział się, że przyjdzie ulga. Wiedza. Że miną punkt krytyczny. A to wydawało się jeszcze bardziej odległe niż wcześniej.

Kiedy wyszli, zaproponował, że wrzuci jej rower na pakę i zawiezie ją do domu.

– Muszę się przewietrzyć – odparła.

– Na pewno?

– Zobaczymy się później.

Przejeżdżała rowerem przez parking, by ruszyć do Vesterbro.

Zatrzymał ją szczupły mężczyzna z terapii. Nazywał się Peter Lassen.

– Nie miałem okazji się tam przywitać.

Uścisnęła mu dłoń.

– Mam nadzieję, że na coś się państwu to spotkanie przydało.

– Było okej.

Spojrzał na nią bacznie.

– Chyba nie mówi pani szczerze.

Chciała iść dalej, ale nie poszła.

– Pamiętam, jak niezręcznie czułem się za pierwszym razem – ciągnął Lassen. – Nie da się w pełni zrozumieć drugiej osoby. Człowiek myśli, że jego ból jest inny niż wszystkich. A nie jest.

– Jeśli będę chciała poznać pańskie zdanie, poproszę – warknęła Pernille z nagłą wściekłością.

Po czym odjechała. Jej oczy napełniły się łzami.

Po chwili stanęła zawstydzona. On był miły i uprzejmy. A ona niegrzeczna i wredna.

Wróciła.

– Przepraszam – powiedziała.

Lassen uśmiechnął się powoli i łagodnie.

– Nie trzeba. Może pójdziemy na kawę?

Chwila wahania i powiedziała „tak”.

Kawiarnia była mała i pusta. Zamówili cappuccino i cantucci.

– W styczniu minie pięć lat. Ja zrobiłem lasagne. Siedliśmy do stołu i czekaliśmy, aż wróci do domu.

Za oknem przeszły dzieci, długi rząd kierujący się na jakąś wycieczkę. Lassen uśmiechnął się, gdy zniknęły.

– Właśnie wymieniliśmy mu baterie w lampkach na rowerze. Znał drogę. Czasami jeździliśmy razem.

Zamieszał kawę, której nie tknął.

– Ale on nie przyszedł.

Znowu zamieszał. Patrzyła, jak pianka znika.

– Powiedzieli, że to był czerwony samochód. Policja znalazła lakier na pedale.

Potrząsnął głową i ku jej zdumieniu zaśmiał się.

– Siadałem tam przy zakręcie i szukałem zadrapanego czerwonego samochodu. Co wieczór mniej więcej o tej porze, gdy to się stało.

Machnął delikatną, bladą dłonią.

– Samochód nigdy nie nadjechał. Więc zacząłem tam siadywać w ciągu dnia. Wtedy też nie przyjechał.

Przelotne rozbawienie znikło z jego twarzy.

– W końcu nie mogłem robić nic innego, tylko siedzieć i czekać. Dniem i nocą. Patrzyłem na samochody. Myślałem, że nadjedzie. A kiedy nadjedzie, wyciągnę tego drania i...

Lassen na chwilę przymknął oczy i zobaczyła na jego twarzy ból, który ciągle próbował ukryć.

– Żona próbowała mnie nakłonić, żebym przestał. Jak mogłem przestać? Jak? Straciłem pracę. Straciłem przyjaciół.

Odsunął kawę i cantucci.

– Aż pewnego dnia wróciłem do domu z ulicy, a jej też nie było.

Na dworze matka trzymała dziecko za rękę, czekając na przejście przez jezdnię. Codziennosc była wyjątkowa. Dla takich ludzi jak ona, jak Lassen,

nie było nic ważniejszego ani też oni niczego innego nie potrzebowali. Codziennosc była święta, najcenniejsza ze wszystkiego.

– W każdej chwili swojego życia żałuję, że pozwoliłem odejść moim ukochanym. Czerwony samochód zabrał mi nie tylko syna. Zabrał mi wszystko, co miałem. I ciągle go nie znalazłem. Pernille?

Odwróciła się od okna, spojrzała mu w oczy.

– Rozumie pani, co mówię?

– Ale ciągle pan szuka, prawda? Nie można zapomnieć. Co by się stało, gdyby pan zrezygnował?

Lassen pokręcił głową. Wydawał się rozczarowany.

– Nie może pani tak o tym myśleć.

– Ale pan myśli. Myśli pan... gdzie jest ten człowiek? Gdzie jest samochód? Nie daje to panu spokoju. Może się pan łudzić, jeśli pan chce. Może pan próbować to ukryć.

– Musi pani zapomnieć.

Zaczynał ją denerwować.

– Więc niech mi pan powie, że pan zapomniał. Niech mi pan powie, że to w porządku, że ten łajdak, który panu zabił syna, ciągle chodzi po tym świecie.

Spojrzała za okno.

– Może ciągle jest gotów znowu to zrobić czyjemuś synowi.

– A jeśli go nie znajdą? – spytał Lassen. – Zamknie się pani w tym piekle na zawsze?

– Znajdą go. A jeśli nie, to ja go znajdę.

Zamrugał powiekami. Znowu ten cień rozczarowania.

– A potem?

– Bardzo pana przepraszam, ale muszę odebrać synów ze szkoły.

Wstała od stolika.

– Dziękuję za kawę.

Weber przygotował kolejne kanapki i kawę. W drzwiach biura stanęła kobieta, a Hartmann dopiero po chwili przypomniał sobie jej imię.

Nethe Stjernfeldt.

Wstał szybko, podszedł do drzwi. Zobaczył, że Skovgaard podnosi głowę.

Była piękna, tak jak ją zapamiętał, smukła i elegancka. Z tym samym niespokojnym, złaknionym spojrzeniem w iskrzących się oczach.

– Przepraszam, Troels – szepnęła. – Nie chciałam przeszkadzać.

– To nie jest dobry moment.

– Przepraszam, jeśli powiedziałam coś złego.

– To nie twoja wina. Wiem, jaka jest policja.

– Przyszli i zarzucili mnie pytaniami. Mieli maile i... wyglądało na to, że wszystko wiedzą.

– Rozmawiałem z nimi. Nie przejmuj się. To się nie rozwinie. Wszystko w porządku.

Była blisko. Dłonią dotykała klapy jego marynarki.

– Dziękuję, że przyszaś. Ale mam mnóstwo roboty.

Musnęła go palcami.

– Wiem. Zadzwoń, jeśli będę mogła jakoś pomóc. – Uśmiechnęła się do niego. – Jakkolwiek.

Przyłożyła dłoń do jego białej wyprasowanej koszuli. Hartmann cofnął się o krok. Spojrzała na niego gniewnie.

– No to idę – powiedziała.

– Tak będzie najlepiej.

Wrócił do biura, stanął obok Skovgaard, która czytała dokumenty. Weber się ulotnił.

– Chciała... chciała przeprosić.

Głowa Skovgaard nie uniosła się znad dokumentów.

– Nie ufasz mi? – spytał.

Nic.

Siadł na biurku, tak żeby musiała na niego spojrzeć.

– Nie odsuwaj się ode mnie, Rie. To wszystko przeszłość. Mówiłem ci.

Skrzyżowała ramiona, spojrzała na sufit oczami wilgotnymi i niewidzącymi.

– Rie!

Ktoś zapukał do drzwi.

Olav Christensen wszedł, nie czekając zaproszenie.

– Słyszałem, że chce pan ze mną rozmawiać.

– Morten! – zawołał Hartmann.

Kazali urzędnikowi usiąść naprzeciwko. Weber przeglądał zgromadzone materiały.

– Bardzo się interesowałeś mieszkaniem, Olavie – zauważył.

– Nie. Wcale nie. Kilka razy ulokowałem tam gości. Za pozwoleniem pana burmistrza. – Wskazał Hartmanna.

– Hartmann tylko podpisał zgodę. Twoi goście nigdy się nie pojawiali.

Kruchy pokaz arogancji zaczął się sypać.

– Co to ja jestem? Recepcjonista? Robię, co mi się każe. Potrzebuję adwokata czy coś?

– Korzystałeś z mieszkania osobiście? – spytał Hartmann.

– Nie wiem, co pan ma na myśli.

Weber położył przed nim kartkę.

– Sześć miesięcy temu spytałeś Dorte, czy ma wolny weekend.

Christensen wziął dokument i przeczytał go.

– O ile dobrze pamiętam, chodziło o Polaków, którzy przygotowywali raport o systemie opieki społecznej.

– Polacy zatrzymali się w hotelu! – warknął Weber. – Jadłem z nimi kolację. Nie wciskaj nam kitu.

– Naprawdę? Pomyliło mi się.

Kolejny dokument.

– Kilka razy w tygodniu rezerwowałeś mieszkanie dla gości, którzy się nie pojawili. Nigdy nie wypełniłeś formularza. Jeśli nie chodziło o Dorte...

– Dorte tu nie ma. Ludzie zmieniają plany. Czasami...

– Czy my wyglądamy na idiotów? – Hartmann wskazał Webera, potem Skovgaard, która nagrywała rozmowę. – Wyglądamy, jakbyśmy się urodzili wczoraj?

– To nie moja wina, że tkwi pan w gównie po uszy. Nie moja.

– Jeszcze raz. Rezerwowałeś mieszkanie dla siebie?

– Niech pan uważa, o co mnie oskarża...

– Nie, nie, Olavie. To ty musisz uważać.

Hartmann odczekał chwilę.

– Przyprowadziłeś tam dziewczynę?

– Oczywiście, że nie.

– Zrobiłeś jej duplikat kluczy? Korzystałeś z mojego komputera?

Śmiał się.

– A więc w Stronnictwie Liberalnym nastał czas na kozły ofiarne?

Rie Skovgaard podsunęła mu dokument.

– Dzisiaj rano administratorzy przeskanowali nam sprzęt. Znaleźli keylogery na naszych komputerach. Na każdym. Ktoś śledził wszystko, co piszemy, każde naciśnięcie klawisza. Hasła. Każde słowo wypisane na klawiaturze. Mógł się logować jako dowolna osoba i podszywać pod nią.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Masz dyplom z informatyki. Ty to zrobiłeś.

– Ja? Zwykły urzędnik? Nie. – Uśmiechnął do mężczyzny po drugiej stronie stołu. – To on musi się tłumaczyć. Czytałem gazety.

– Osobiście odwożę cię na komendę – zapowiedział Troels Hartmann.

– On nie zabił dziewczyny, Troels! – krzyknęła Skovgaard. – Był z nami na imprezie plakatowej. Nie mógł być w mieszkaniu.

Olav Christensen uśmiechnął się z wyższością.

– Wiecie co? – powiedział, wstając. – Zostawię to w waszych rękach. Wy... – Pokręcił głową i roześmiał się. – Właśnie tak, jak mówił Poul Bremer. Wy się kończycie, prawda?

– Jeśli to nie byłś ty, to kto? – wrzasnął Hartmann.

W pudełku przy drzwiach stały dekoracje choinkowe. Christensen wyjął trochę lamety i pomachał im.

– Święty Mikołaj? – zasugerował.

Meyer analizował, co mają.

– Hartmann spotykał się w tym mieszkaniu z mnóstwem kobiet. Przestał na kilka miesięcy. Potem znowu zaczął.

Przez okna wpadały błyski niebieskich kogutów z podwórka komendy.

– Próbował zatrzymać Nannę Birk Larsen. Był zazdrosny. Poszedł się z nią spotkać. I się pochrzaniło.

– Ktoś musiał coś widzieć – upierała się Lund. – Gazeciarz. Parkingowy.

– Nikt nic nie widział. Ściągnijmy znowu Skovgaard.

– Ona nic nie powie.

– Skąd, do diabła, wiesz? Ostatnio ty z nią rozmawiałaś. – Pogłaskał klapę swojej wełnianej kurtki. – Mam sposób na kobiety.

Lund spojrzała na niego, westchnęła i pokręciła głową.

– On nie dzwonił do Nanny. Jego telefon został wyłączony o dwudziestej drugiej dwadzieścia dziewięć.

– Sposób na kobiety – powtórzył bardzo powoli.

Pomacała się po głowie. Nadciągała solidna migrena.

– Dobra. – Rzuciła dokumenty na biurko.

– No i świetnie.

Wyszedł swoim zawadiackim punkowym krokiem. Lund uznała, że na sto procent aresztowała kiedyś kogoś bardzo podobnego do Jana Meyera.

Wzięła do ręki billing. Ktoś dzwonił do Hartmanna o dwudziestej drugiej dwadzieścia siedem, tuż przed wyłączeniem telefonu. Gdzieś była lista dzwoniących. Znalazła. Spojrzała. Pomyślała, że powie Meyerowi. Ale sięgnęła po płaszczy.

Dotarła na Store Kongensgade, stanęła na podwórku i spojrzała na okrągłe stalowe schody ewakuacyjne biegnące po ścianie.

Nethe Stjernfeldt przyjechała dziesięć minut po jej telefonie.

– O co chodzi? – spytała. – Powiedziałam pani wszystko...

– Powiedziała pani, że od dawna nie rozmawiała z Hartmannem.

– Bo nie rozmawiałam. Muszę odebrać syna z klubu.

– Dzwoniła pani do niego w tamten piątek wieczorem. Trzydziestego pierwszego października. O dwudziestej drugiej dwadzieścia siedem. Mogę to udowodnić. Mogę udowodnić, że pani skłamała.

Kobieta bawiła się skórzanymi rękawiczkami.

– To nie wszystko, prawda? – dodała Lund.

Rozejrzała się, upewniła, że są same.

– Obiecałam mężowi, że nigdy się już z nim nie zobaczę.

Lund czekała.

– Tęskniłam za nim. Chciałam się z nim spotkać.

– Co powiedział, kiedy pani zadzwoniła?

– Że to skończone. Że mam więcej nie dzwonić.

– A co pani potem zrobiła?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i odeszła.

– Ma pani mandat za parkowanie z tamtego wieczoru. Stąd, ze Store Kongensgade. Stała pani za blisko skrzyżowania.

Lund ją dogoniła.

– Pech – ciągnęła. – Mnie też czasami dopada.

– Mój mąż musi wiedzieć?

– Niech mi pani powie, co się stało.

Stjernfeldt podniosła wzrok i popatrzyła na długą, pustą ulicę.

– Nie podobało mi się, że mnie tak po prostu spławił. Byłam w domu.

Znowu sama. Wariowałam.

– Więc przyjechała tu pani do niego. O której, Nethe? To ważne.

– Na mandacie nie ma godziny?

– Chcę to usłyszeć od pani.

– Była prawie północ. W oknach się świeciło. Więc zadzwoniłam domofonem.

Lund spojrzała na lśniącą mosiężną tabliczkę na drzwiach.

– Wpuścił panią?

– Nie – powiedziała z goryczą. – W ogóle nie reagował. Trzymałam palec na dzwonku, aż w końcu ktoś odebrał.

– Wtedy rozmawiała pani z Hartmannem?

– Nie rozmawiałam z nikim. Ktokolwiek to był... – wzruszyła ramionami
– nie odezwał się.

– Nic pani nie słyszała?

– Próbowałam ich zmusić, żeby mnie wpuścili. Ale wtedy się rozłączyli.

Lund podniosła wzrok na wielki ceglany budynek.

– Pojechała pani do domu?

– Nie. Byłam na niego wściekła. Wyszłam na podwórko i wołałam go.

Przeszły z powrotem pod łukiem, stanęły na podwórku.

– Zobaczyłam sylwetkę.

Podniosła wzrok na okna czwartego piętra.

– To nie był on.

– Jak to?

– To nie był on! Nie wyglądał jak on.

– Skąd może pani wiedzieć? Było ciemno. – Lund wskazała ręką budynek. – To wysoko. Skąd ma pani pewność?

– Bardzo chce pani przygwoździć Troelsa, co?

– Chcę prawdy. Skąd pani wie?

– Wydawał się niższy. Troels jest wysoki. Postawny. Mężczyzna, którego widziałam... – Wzruszyła ramionami i wyjrzała na ulicę. – To nie był Troels Hartmann.

Lund nic nie powiedziała.

– Zobaczył mnie – dodała Stjernfeldt. – Patrzył prosto na mnie. Poczułam się nieswojo. Chciałam stąd odejść. Zresztą Troelsa nie było w mieszkaniu, więc po co miałabym zostawać?

Pernille jechała z chłopcami do domu, słuchając ich sprzeczki. Nigdy do niej nie docierało, o co się kłóca.

A teraz...

– To moje – mówił Anton. – Dawaj. Trzeba było wziąć swój.

– Mamo, powiedz mu, żeby przestał!

Ruch był duży. Wieczór mokry. Dźwięk ich głosów wypełniał jej głowę, ale nie na tyle, żeby zatopić mroczne myśli.

– Chytrus!

– Powiedz mu, mamo! Nie bawiłem się cały dzień.

– Nie możecie się zamieniać?

Rodzice mówią takie głupie rzeczy. Dzielcie się. Bądźcie cicho. Bądźcie grzeczni i posłuszni. Mówcie nam, co myślicie, dokąd idziecie, co robicie.

I z kim.

– Mamo! Powiedz mu!

– Zamknij się! – zawodził Anton.

Albo Emil.

Kiedy wrzeszczeli, mieli identyczne głosy.

– Moja zabawka! Moja! Moja!

Jak dwa małe gwizdzące czajniki.

Zobaczyła przy krawężniku wolne miejsce. Wjechała na nie gwałtownie, wiedząc, że szarpnie chłopcami w fotelikach. Wcisnęła hamulec. Usłyszała pisk opon. Wpadła na chodnik. Ludzie rozbiegli się, krzycząc na nią.

Wtedy się zamknęli. Czekali, podczas gdy ona siedziała na swoim fotelu, i wpatrywali się w postacie kłębiące się wokół samochodu. Nikomu nie stała się żadna krzywda. Tylko krótki i szalony wyskok z miarowego strumienia, jakim było życie.

– Mamo? – spytał cichy, przerażony głos z tyłu.

Spojrzała na ich buzie we wstecznym lusterku. W szoku, że to zrobiła. Że tak nastraszyła te delikatne istoty.

– Emil może wziąć zabawkę – powiedział Anton. – Jest okej. I będziemy się zamieniać.

Znowu płakała. Łzy spływały jej po policzkach, noc się zamazała. Kierownica wydawała się tak ciężka, że nie była w stanie nią poruszyć. Samochód cuchnął dziećmi, paliwem i papierosami Theisa.

– Mamo? Mamo?

Theis Birk Larsen gotował kolację, kiedy chłopcy stanęli w drzwiach.

– Późno już – powiedział. – Co się stało?

– Odebrałam chłopców. Mówiłam ci.

– Wiem, ale ta godzina... Dzwoniłem. Dzwoniłem do Lotte...

– Mówiłam ci.

Odpuścił.

– Zrobiłem spaghetti bolognese.

Nie wyglądała dobrze.

– Dzwoniłam do dziennikarza, który był tu dzisiaj rano – oznajmiła.

Przestał mieszać sos.

– Umówiłam się. Niedługo tu będzie.

– Dlaczego to zrobiłaś, do diabła? Nie uzgadniając ze mną? Policja powiedziała, że powinienem siedzieć cicho i nie zbliżać się do sprawy.

Roześmiała się.

– Policja? Teraz robisz to, co ci każą?

– Pernille...

– Potrzebujemy pomocy. Musimy popchnąć sprawę. Ktoś na pewno coś widział. Oni zaoferują nagrodę.

Zamknął oczy i odchylił głowę.

– Jeśli to nie Troels Hartmann, to ktoś inny.

Wrócił do kuchenki i zamieszał sos.

– Nie podoba mi się to.

– Ale tak będzie.

– Pernille...

– Zgodziłam się i koniec! – krzyknęła. – Zostań tu i gotuj, jeśli chcesz. Ja to załatwię.

Meyer po raz kolejny przerabiał z Rie Skovgaard te same punkty.

– Więc nikt ze sponsorów nie widział Hartmanna aż do niedzieli?

– Mówiłam już milion razy: był chory.

Meyer wzruszył ramionami.

– Ale powiedział, że przemówienie poszło mu dobrze. Nie rozumiem tego. Dlaczego pani go kryje? Pani ojciec jest parlamentarzystą. Jak on się poczuje, jeśli postawimy panią przed sądem za współudział?

Wyglądała, jakby przebrała się przed tą rozmową. Elegancka bluzka w prążki. Błyszczące, wyszczotkowane włosy. Śliczna kobieta. Wręcz piękna, jeśli już zdecydowała się uśmiechnąć.

– Czy człowiek pokroju Hartmanna jest ważniejszy niż pani kariera?

– Pan nie zna Troelsa Hartmanna. A ja go nie kryję.

– A pani go zna, Rie? Nie powiedział pani, że nazwał się Faustem. Nie powiedział, że pieprzył się z kim popadnie, wyszukując kontakty przez portal randkowy.

Uśmiechnęła się.

– Było, minęło. Każdy robi coś, czego żałuje. Pan nie?

– Zawsze wszystko mówię żonie. Tak jest najbezpieczniej. I tak należy robić.

– Odkąd jesteśmy razem, nic się nie wydarzyło.

Wstał, siadł na biurku obok niej. Przeczytał jeden z maili.

– „Pragnę cię. Nie mogę się powstrzymać. Muszę cię dotknąć. Poczuć cię”.

Następna strona.

– „Jadę do mieszkania. Czekaj na mnie. Nie ubieraj się”.

Położył je przed nią.

– Każdy podpisany F jak Faust. Skąd pani wie, że nie pisał też do Nanny Birk Larsen?

Westchnęła, uśmiech nie schodził z jej ust.

– Skąd, Rie? Niech mi pani powie.

Żadnej odpowiedzi. Wrócił do konferencji.

– Co się stało Hartmannowi? Że aż musiał zostać w pokoju?

Zapalił papierosa.

– Grypa. Ta sama, co wcześniej.

– Męska grypa? To nie jest prawdziwa choroba, wie pani? Prawdziwa grypa to jak człowiek leży w łóżku, poci się jak świnia, kaszle i dyszy. Tak to było?

– Tak.

– Dużo smarków, jak się domyślam.

– Mniej więcej.

– Syf, malaria, co?

– Syf, malaria.

– Nie, nieprawda. – Zajrzał do notatnika. – Rozmawiałem z pokojówką, która sprzątała pokój. Powiedziała, że wyglądało na to, że w pokoju mieszka tylko jedna osoba, a nie dwie. I żadnych zasmarkanych chusteczek. Żadnych.

– Musiały się jej pomylić pokoje.

– Nie. Nie pomyliły się. Pani kryje podejrzanego o morderstwo. To czyni z pani współniczkę. – Zaciągnął się mocno. – Tatuś odwiedzi panią w więzieniu? Myśli pani, że załatwi jakieś fory?

Nic.

– Tak to działa? Jedno prawo dla was? Inne dla motłochu, który panią opłaca?

– Pan ma dużo kompleksów.

Meyer rozgonił dłonią dym.

– I skąd one się biorą, tak się zastanawiam.

– Jeśli to wszystko, chciałabym już iść.

W drzwiach stanął funkcjonariusz z nocnej zmiany. W rękę trzymał notatkę.

– Jeszcze chwila – powiedział.

Wiadomość od żony. Lista zakupów. Ogórek, mleko, chleb, cukier, oliwki, feta. I banany.

Wzięła torbę i płaszcz.

– Więc spędziła pani z Hartmannem cały weekend.

– Setki razy...

Meyer wbił w nią wzrok.

– Więc dlaczego w sobotę dzwoniła pani na jego komórkę? Kiedy była wyłączona? – Stała. – Była pani z nim, Rie? I nie wiedziała pani? Czy ludzie uprawiają seks przez telefon, jeśli się znajdują w jednym łóżku?

– Nie pamiętam...

– Nie, nie. Niech sobie pani nie myśli, że się z tego wykręci.

Machnął jej listą zakupów, tak żeby nie widziała, co jest na niej napisane.

– Mam billing pani komórki. Próbowала pani do niego dzwonić. Kilka razy. Bez powodzenia.

Po raz pierwszy sprawiała wrażenie słabej.

– Zupełnie jakby się pani o niego martwiła. Co zapewne nie miałyby miejsca, gdybyście się znajdowali w tym samym pokoju hotelowym. – Meyer pokręcił głową. – Jakoś tego nie widzę. Z którejkolwiek strony nie spojrzę.

Podszedł do niej.

– Proszę po raz ostatni. Kłamała pani i kłamała, ale jestem skłonny to puścić w niepamięć. Ale to nie jest stała oferta. Następnym razem przesłucham panią jako oskarżoną o współudział. Nie jako świadka.

Wskazał jej krzesło.

– Pani wybór.

Ani drgnęła.

– Czy Hartmann przyszedł do pani w piątek wieczorem? Niech się pani zastanowi.

Podeszła do drzwi.

– Ostatnia szansa, Rie...

Lund stała pod domem Hartmanna. W wysokich oknach na pierwszym piętrze paliły się światła. Zadbany ogródek od frontu. Na tyłach pewnie obszerny trawnik. Mieszkał w willi na otwartej, jasno oświetlonej Svanemøllevej, w północnym Østerbro, w pobliżu ambasad. Co najmniej dziesięć milionów koron.

Polityka oznaczała pieniądze.

Krążyła po ogródku, szukając śladów. Świeżo rozkopanej ziemi. Przeszła po wysokiej, gęstej trawie, sprawdziła na tyłach. Znalazła piwnice, stare drzwi z obłazującą białą farbą. Kupa liści zakrywała je na wysokość prawie pół metra. Nieużywane od wieków. Spojrzała na samotne światło na parterze. To był dom przeznaczony dla rodziny. Może nawet dla dynastii. A mieszkał w nim tylko smutny, przystojny Troels Hartmann.

Obeszła wszystko i nic nie znalazła. Przez boczną furtkę trafiła na kamienne schodki prowadzące na ulicę.

Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Ani telewizor. Ani muzyka.

Zadzwoiła do drzwi.

I jeszcze raz zadzwoniła, i zapukała pięć razy. Głośno.

Otworzyła kobieta. Cudzoziemka. Może Filipinka.

– Dzień dobry. Sarah Lund. Policja. Czy Troels Hartmann jest w domu?

Wpuściła ją bez sprzeciwu.

Kuchnia była nowoczesna, idealna. Droga kuchenka. Modna wyspa. Nieskazitelna.

Środki czyszczące, pomyślała Lund.

Przez szybę piekarnika widać było piekącą się pizzę.

Lund stała w swoim płaszczu i biało-czarnym swetrze, kołysząc się na stopach.

Mógł być w dowolnym miejscu domu. Czekala więc, siląc się na cierpliwość.

Zszedł schodami, niebieska koszula, spodnie od garnituru. Wycierał włosy ręcznikiem.

Spojrzał na nią z rozdziawionymi ustami.

Rzucił ręcznik na stół.

– Odpowiedziałem na pani pytania, Lund. Nie będę już z panią rozmawiał bez adwokata.

– Zeznał pan, że w mieszkaniu na Kongensgade nie odebrał pan żadnych telefonów.

Zamknął oczy i potrząsnął głową.

– Pani w ogóle słucha, co się do niej mówi?

– Nieustannie. Zeznał pan, że nie odebrał żadnych telefonów.

Spojrzał na pizzę. Walnął się dłonią w czoło.

– Dobra. Nethe Stjernfeldt.

– Powiedziała mi.

– Rozmawialiśmy jakieś trzydzieści sekund. Wyłożyłem bez ogródek, że nie jestem zainteresowany.

Wziął rękawice kuchenne, wyjął pizzę i zsunął ją na talerz.

Lund patrzyła. Mężczyzna przyzwyczajony do życia w pojedynkę.

– Ciągle do mnie dzwoniła. Wysyłała wiadomości. To się stało nużące.

– Jest pan pewien?

– Po raz ostatni: jestem pewien. Napisałem tę cholerną przemowę. Wypiłem za dużo gorzały. Potem poszedłem do Rie, około dwudziestej drugiej trzydzieści. Cały czas to pani mówię. Nie mogę tego w kółko powtarzać.

Otworzył tylne drzwi.

– Muszę teraz zjeść. Proszę.

– Powiedzmy, że ktoś inny skorzystał z pańskiego komputera. Pańskiego samochodu. Pańskiego mieszkania. Kto mógł znać pańskie hasło?

– Już mówiłem. Ktoś się dostał do naszej sieci.

Wróciła gospoia, wzięła śmieci, powiedziała do Hartmanna, że zobaczą się w następnym tygodniu, po czym wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Chcę pomóc – oświadczyła Lund. Jego jasne brwi uniosły się. – Słowo daję. Naprawdę.

– Proszę porozmawiać z Rie. Ona znalazła coś w systemie. Każdy mógł mieć nasze hasła. W każdym razie ja używam wszędzie tego samego. Rie przygotowała dla pani listę. Ludzi, którym naszym zdaniem powinna się pani przyjrzeć. Pewien urzędnik...

– Chciałabym dostać taką listę.

– Mam kopię na górze. Przyniosę.

Zatrzymał się na schodach.

– Proszę się poczęstować pizzą. Dla mnie to za dużo.

– Ograniczę się do listy. Ale dziękuję.

Odprowadziła go wzrokiem.

To był stary dom. Słyszała, jak skrzypią nad głową deski podłogowe, gdy Hartmann chodził, szukając czegoś.

Lund weszła do sąsiedniego pokoju. Gabinet wychodzący na ogródek. W biblioteczce stały głównie książki związane z polityką. Autobiografia Billa Clintona. Kilka pozycji o JFK. Zdjęcie nieszczęsnego prezydenta i Jackie. Uderzyło ją podobieństwo – Rie Skovgaard charakteryzowała ta sama chłodna uroda. Hartmann natomiast ani trochę nie wyglądał jak Jack. Ale był przystojny, zawsze wpatrywał się w obiektyw z pewną arogancką pewnością siebie. Kennedy też był, jeśli użyć słów Meyera, nałogowym kobieciarzem. Nie umiał zwalczyć tej słabości. A Clinton...

Przejrzała półkę. Wyciągnęła jedyną książkę, która nie była literaturą faktu, jaką zauważyła. Duński przekład *Fausta* Goethego.

Wszystko tutaj było uporządkowane, ciche i osobiste. Zupełnie inaczej niż w biurze w ratuszu, gdzie był pod ciągłym ostrzałem personelu, machinacji Bremera. I jej.

Na biurku przy oknie ogrodowym leżał dziennik. Zaczęła wertować kartki. Kilka lakonicznych, jednowersowych wpisów. Nic interesującego. Miała sprawdzić tamten piątek, gdy zadzwoniła jej komórka.

Szybko zamknęła dziennik.

– Lund.

– Tu Meyer.

Słyszała, jak Hartmann schodzi po schodach.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię.

– On nie ma alibi.

Weszła do kuchni. Stał tam, krojąc pizzę. Otwierał butelkę wina.

Troels Hartmann uśmiechał się do niej.

Politycy i kobiety. Nierozłączni. Był interesującym, przystojnym, inteligentnym mężczyzną. Widziała już, dlaczego. Niemal mogła sobie wyobrazić...

– Nakłoniłem Rie Skovgaard do gadania – meldował z dumą Meyer. – Nie ma pojęcia, gdzie on był cały weekend. Absolutnie, zielonego. Okłamała sponsorów. Zmyśliła historię o chorobie.

Hartmann wiązał serwetkę na szyjce butelki. Nalał sobie do kieliszka.

– Co się dzieje, Lund? Gdzie ty jesteś, do cholery?

– W porządku – odparła lekko i rozłączyła się.

– Coś się stało? – spytał Hartmann.

– Nie. Przyniósł mi pan listę?

– Proszę bardzo. Christensen. Na samej górze. Zacząłbym od niego.

– Dziękuję.

Hartmann usiadł, spojrział na zegarek i zabrał się za pizzę.

– Może się jednak poczęstuję – powiedziała Lund.

Nie trwało długo, a Hartmann się rozgadał, o polityce, taktyce, o wszystkim, byle nie o sobie.

Lund popijała drogie czerwone wino, zastanawiała się, czy to dobry pomysł. Została, żeby go znęcić, podejść. Ale on robił to samo z nią. Robił to z wieloma kobietami, pomyślała. Jego osobowość, wygląd, energia i pozorna szczerość... Miał w sobie magnetyzm, z którym nie spotykała się w policji.

Bengt Rosling był dobrym, miłym, inteligentnym mężczyzną. Ale Troels Hartmann podczas takiego sam na sam, bez policji, bez pułapek Ratusza, stawał się inny. Charyzmatyczny i ogarnięty wyraźną pasją, która większość znanych jej ludzi w Kopenhadze na pewno by zaskoczyła.

– Bremer... To koszmar, że ktoś taki jest u władzy. Przez dwanaście lat! Myśli, że jesteśmy jego własnością.

– W polityce chodzi o utrzymanie się u władzy, prawda? Nie o samo jej zdobycie.

Hartmann przepił do niej.

– Trzeba być pierwszym. Jasne. Ale my chcemy władzy, by ją oddać.

Spojrzał na Lund.

– Na przykład pani. Chcemy, by wszyscy ciężko harowali i brali udział w tym, co wspólnie tworzymy. Kopenhaga nie należy do Poula Bremera. Ani do klasy politycznej. Należy do wszystkich. To właśnie jest polityka.

Kiwnął głową i uśmiechnął się. Uświadomił sobie chyba, że właśnie wygłosił mowę, najwyraźniej niechcący.

– W każdym razie według mnie. Przepraszam. Mówię, jakbym zabiegał o pani głos.

– A nie zabiega pan?

– Oczywiście, że tak. – Wzniósł kieliszek. – Każdy głos jest mi potrzebny. Dlaczego pani tak na mnie patrzy?

– Jak?

– Jakbym był... dziwny.

Lund wzruszyła ramionami.

– Większość ludzi uważa, że polityka jest nudna. Odnoszę wrażenie, że pan niewiele myśli o czymkolwiek innym.

– W ogóle o niczym innym nie myślę. Potrzebujemy zmiany. Ja chcę jej przeprowadzić. Zawsze to czułem. To cały ja, tak mi się zdaje.

– A pańskie życie osobiste?

– Jest na drugim miejscu – odrzekł cicho, niepewnie.

Niezręczny moment. Lund się uśmiechała, z zakłopotania i dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Uważa pani, że to zabawne? – spytał Hartmann. – Dlaczego? Spotykałem się z połową Kopenhagi, prawda? A w każdym razie pani tak myśli.

– Tylko z połową?

Mógł to źle odebrać. Ale uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową.

– Jest pani niezwykle policjantką.

– Nieprawda. Jak pan poznał swoją żonę?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

– W liceum. Chodziliśmy razem do klasy. Z początku się nie znosiliśmy. Potem uzgodniliśmy, że nie możemy razem żyć. I że choćby nie wiadomo co... – podniósł lewą rękę, jakby się przed czymś wzbraniał – ...nie pobierzemy się. – Zaśmiał się. – Ale na niektóre sprawy człowiek nie ma wpływu. Choćby nie wiadomo jak się starał.

Dolał sobie wina. Wyglądał, jakby mógł wypić całą butelkę.

– Musiało być panu ciężko.

– Było. Gdybym nie miał tej pracy... nie wiem...

Zamilkł.

– Nie wie pan czego?

– Czasami życie rozpada się na kawałki. Człowiek robi coś durnego. Czasami nie jest sobą. Nigdy nie jest. A jednak... – Znowu chwycił za wino.

– To się dzieje.

– Jak przybieranie imienia Faust na portalu randkowym?

– Właśnie! – Zadzwonił telefon. – Gdybym trzeźwo myślał, przybrałbym miano Kaczor Donald. Przepraszam na chwilę.

– Troels? Gdzie jesteś?

To był Morten Weber.

– W domu.

– Wiedzą o twoim fałszywym alibi.

Hartmann uśmiechnął się do policjantki. Wstał od stołu, wyszedł do holu.

– Co to znaczy?

Zapadła długa cisza, po czym Weber podjął:

– Rie właśnie wraca z komendy. Mocno ją przycisnęli.

– Mów dalej.

– Dowiedzieli się, że próbowała się do ciebie dodzwonić, kiedy podobno byliście razem.

– Od kiedy to wiedzą?

– Od pewnego czasu. Zabrali Rie kilka godzin temu. Troels? Nie możesz z nimi rozmawiać. To ważne. Przyjedź tu. Ściągnij adwokatkę. Musimy to przemyśleć.

Lund miała co prawda na sobie ten sam czarno-biały sweter, ale po raz pierwszy się pomalowała, zrobiła coś z włosami. Wyglądała dobrze. Przygotowała się na to spotkanie.

Poczuł się jak głupiec.

– Troels?

Hartmann wszedł do kuchni.

– Co zrobimy, Troels?

Rozłączył się i wsadził telefon do kieszeni.

– Na czym stanęliśmy?

– Miał mi pan opowiedzieć o sobie.

– Właśnie.

– Nie musi pan iść?

– Jeszcze nie. Możemy chwilę porozmawiać.

Przełknął wielki łyk wina. Rozlało mu się na przód niebieskiej koszuli.

Lund podała mu serwetkę.

– Mam niedługo konferencję prasową. Myśli pani, że ktoś to zauważy?

Roześmiała się.

– Na pewno.

– Lepiej... przepraszam.

Poszedł na górę i zostawił ją samą.

Samą.

Wspiął się dwa piętra, sądząc po odgłosach.

Lund wstała. Wróciła do gabinetu. Znalazła dziennik, który wcześniej przeglądała. Przeskoczyła na koniec poprzedniego miesiąca.

Jeden wpis.

„Tęsknię za tobą. Jestem samotny. Nie mogę spać”.

Następne strony puste.

Potem dwie pokryte nerwowymi bągrolami. Nic konkretnego, tylko niepowiązane myśli i krzyki. Ktoś w udręce krzyczący do siebie.

– Może włączę światło? – odezwał się Hartmann kilka centymetrów od jej szyi.

Lund podskoczyła, wymamrotała coś i odwróciła się.

Stał tuż za nią w koszuli z plamą wina na przedzie.

Nie był niezdarą. Mogła się domyślić.

Nie odezwała się.

– Co to było? – spytał spokojnym, zimnym głosem. – Mieliśmy pić cały wieczór, aż staniemy się najlepszymi przyjaciółmi? A potem co? Przyznanie się do winy? O to chodzi?

Nie odrywał od niej twardych niebieskich oczu.

– Naprawdę nie cofnie się pani przed niczym?

Wskazał palcem w górę.

– Pójdziemy do sypialni i powiem pani wszystko potem?

– Nie ma pan alibi. Okłamał nas pan. Rie Skovgaard...

– I co z tego? Czy to daje pani prawo zagadywać mnie i czytać za plecami mój dziennik?

Patrzyła i zastanawiała się, co on zrobi.

– Spróbuję to podsumować – podjął. – Biorę własny samochód, ze swojego sztabu, jadę do mieszkania należącego do partii. Tam gwałcę dziewiętnastoletnią dziewczynę i morduję ją. Potem wywożę ciało do lasu i wpycham samochód i ciało dziewczyny do wody. Zgadza się?

– Okłamał nas pan. Te wszystkie piękne gadki. O Poulu Bremerze. O polityce...

– To, co robię publicznie, i to, co robię prywatnie, to dwie różne sprawy.

– Dla mnie nie. Porozmawiajmy o tym na komendzie.

– Nie. Porozmawiamy tutaj. Czyli robię to wszystko i nawet mi przez myśl nie przejdzie, żeby pozacierać ślady. Dlaczego?

– Pozacierał pan. Zabrał pan taśmę od ochroniarzy.

– Nie mam o tym zielonego pojęcia.

– Ona poszła do pańskiego mieszkania. Maile. Może...

Zbliżył się jeszcze, coraz bardziej wściekły.

– Może, może, może. Nie zrobiłem tego. Może pani choćby wziąć pod uwagę taką opcję?

– Chętnie to zrobię. Jeśli mi pan powie, gdzie pan był w tamten weekend.

Był tak blisko, że czuła zapach jego wody kolońskiej i przesiąkniętego winem oddechu. Patrzył na nią gniewnie płonącymi oczami. Lund ani drgnęła.

Rozległo się ostre pukanie do drzwi. I znajomy głos:

– Policja!

– Tylko tyle musi pan zrobić – powiedziała Lund.

– Troels Hartmann! – ktoś wrzasnął.

Meyer.

– Policja! Otwierać drzwi!

Na zewnątrz Meyer i Svendsen tracili cierpliwość. Widzieli światła. Wiedzieli od Skovgaard, że on tu jest, zdobyli nakaz aresztowania potwierdzony przez Brixa po wielkiej awanturze.

– Do diabła! – zaklął Meyer. – Zajrzę od tyłu. Zadzwoń po posiłki. Wyłamiemy drzwi, jeśli on zaraz nie wyjdzie.

Usłyszeli kroki. Nad ich głowami rozbłysło światło.

Drzwi się otworzyły. Wyszła Lund, przekładając przez głowę pasek od torebki. Minęła ich, zeszła po schodkach, a za nią podążał Hartmann z poważną miną, milczący.

– Idziemy – powiedziała.

Meyer i Svendsen gapili się na nich z otwartymi ustami.

Lund klasnęła w dłoń.

– Idziemy – powtórzyła.

Dziennikarz przyjechał z kamerzystą. Ustawili sprzęt w zabałaganionym garażu. Theis Birk Larsen został na górze.

Pernille zapisała to, co chce powiedzieć, na jednej kartce papieru.

– Okej – kiwnął głową, kiedy mu to przeczytała.

– Czy to coś da?

– Na pewno. Jak tutaj skończymy, pójdziemy na górę, do mieszkania...

– Nie pójdziemy do mieszkania.

Dziennikarz wyglądał tak, jakby się szykował do kłótni. To była jego praca. Zdobywanie historii, które uznał za ciekawe. Ona powinna o tym wiedzieć.

– Chcemy zrobić wszystko, co się da, Pernille.

– Nie pójdziemy do mieszkania.

Włączył się reflektor. Pomieszczenie wyglądało teraz jeszcze gorzej.

– Doskonale. – Sprawiał wrażenie zadowolonego. – A co z pani mężem?

– A co ma być?

– Lepiej by było, gdyby mówili państwo razem.

– Ja decyduję, jak to robimy. Nie pan. I nie Theis.

Bez odpowiedzi.

– Wóz albo przewóz – dodała.

Czekała.

– Dobra – zdecydował. – Tylko pani.

Na górze chłopcy kończyli kolację. Lody z supermarketu, na ich specjalnych talerzykach.

Twarz Nanny wciąż patrzyła na nich z blatu.

– Mama nie je deseru? – spytał Anton.

– Musi z kimś porozmawiać.

– Jutro jedziemy do lasu – powiedział Emil.

– Nieprawda – odparował Anton.

– Tak, jedziemy.

– Zamknij się.

Chłopcy spojrzeli na siebie gniewnie.

– Dlaczego nie jedziecie do lasu? – spytał Theis.

Anton grzebał w swoich lodach.

– Mama nie czuje się dobrze.

– Oczywiście, że jedziecie do lasu. Mama też tak uważa.

Na górę weszła Pernille.

– Oferują nagrodę – powiedziała. – Ludzie z telewizji. I była zbiórka w okolicy.

Theis dołożył chłopcom lodów.

– Anton i Emil chcą jechać jutro do lasu.

– Wiem. Obiecałam, że z nimi pojedę.

Nie mógł oderwać wzroku od zdjęć wtopionych w blat tyle lat temu. Nanna miała... naście lat? Chłopcy ledwie chodzili. Fragment ich życia uwięziony w czasie.

Stół. Gdyby to od niej zależało, zostałyby z nimi na zawsze.

– Na tej terapii – przypomniał – mówili, że powinniśmy myśleć o tym, co mamy.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Wiem, co robię.

Jego twarz skamieniała z gniewu.

– Więc dlaczego nie ma cię tu z nami? Tylko gadasz z tym facetem na dole?

Długa cisza. Pernille uśmiechnęła się do Antona i Emila.

– Chodźcie, chłopcy. Czas do łóżek.

Nie skończyli lodów, ale się nie spierali.

Birk Larsen rzucił swoją łyżeczkę na talerzyk, patrząc, jak Pernille wyprowadza ich z kuchni.

Brudne sztućce i naczynia. Rachunki i spotkania. Obowiązki i troski.

Wszystkie te rzeczy zalewały go stale, jak bezustanna fala przeciwności. Podszedł do lodówki, wziął butelkę piwa, siadł na krześle i zaczął pić.

W pokoju przesłuchań na komendzie adwokat Hartmanna sprawiała wrażenie, jakby nic się nie zmieniło.

– Mój klient przyznaje, że jego alibi było sfabrykowane – powiedziała pewnie. – Nie był z Rie Skovgaard.

Hartmann siadł tymczasem obok niej. Lund i Meyer naprzeciwko, Lennart Brix u szczytu stołu.

– Okłamał nas z jakiegoś konkretnego powodu? – chciał wiedzieć Meyer.

– Każdy ma prawo do prywatności. Zwłaszcza polityk w trakcie kampanii wyborczej.

– To nie ma związku ze sprawą. Co pan robił w piątek, panie Hartmann?

Hartmann milczał. Odpowiedziała natomiast adwokat.

– Jak podkreślamy cały czas, mój klient twierdzi, że jest niewinny. Nie znał Nanny Birk Larsen i nigdy nie miał z nią do czynienia. Udał się w inne miejsce, ponieważ potrzebował spokoju. Poprosił Skovgaard, by go kryła.

– Za mało...

– Bierze pełną odpowiedzialność za sfabrykowane alibi. Było to konieczne, ponieważ mój klient jest osobą publiczną.

Meyer zaczynał się wściekać.

– Pozwolę sobie podsumować. Twierdzi pan, że pił do upadłego cały weekend z powodu zmarłej żony?

– Mój klient...

– Nie skończyłem. Gdzie pan był, Hartmann?

– Mój klient nie chce tego komentować. To jego życie prywatne.

– Pójdzie pan do telewizji i opowie nam, jak chce pan kierować tym miastem. Ale nie powie nam pan tej jednej małej rzeczy, by pomóc w rozwiązaniu sprawy morderstwa?

– Hartmann – włączył się Lennart Brix. – Czterdzieści osiem godzin temu oświadczył pan, że ma alibi. Teraz pan go nie ma. Jeśli nie złoży pan zeznań, pozostaje mi jedno.

Czekał. Hartmann nie powiedział ani słowa.

– Postawić panu zarzuty i aresztować pana.

– Nie ma do tego podstaw – krzyknęła adwokat. – Nie macie absolutnie żadnych dowodów, które sugerowałyby powiązanie Hartmanna z dziewczyną. On próbował współpracować na tyle, na ile pozwalały jego uczucia.

Jej głos przybrał na sile.

– Na każdym etapie był nękanym przez pańskich funkcjonariuszy, którzy się potykali o własne błędy. Nękanym w domu, który został przeszukany bez nakazu. Potajemnie. Pod pretekstem osobistej rozmowy.

Odwróciła się do Brixa.

– Niech nam pan nie grozi. Nielegalne najście. Nielegalne przeszukanie. Jeśli zechcę, wytoczę przeciwko wam te działa. Znajdźcie człowieka, który korzystał z konta Hartmanna. Samochodu, mieszkania...

Meyer przesunął palcem po swoich notatkach.

– Olav Christensen ma alibi. Prawdziwe. Zweryfikowaliśmy je. Jeśli Hartmann zechce nam powiedzieć prawdę o miejscu swojego pobytu, też je zweryfikujemy.

– Christensen na pewno maczał w tym palce – Hartmann przerwał milczenie. – Jeśli się nim zajmiecie...

– Dlaczego nam pan nie powie, gdzie pan był? – Lund wpatrywała się w niego ponad stołem. Tak samo jak w domu, gdy byli sami, pijąc wino i jedząc pizzę.

Hartmann odwrócił wzrok.

– Christensen jest wolny od podejrzeń – upierał się Meyer. – Urzędnicy potwierdzają jego alibi.

– Oczywiście, że potwierdzają! – ryknął Hartmann. – Oni wszyscy należą do Bremera. To ich Olav musi...

Przerwał, jakby coś mu przyszło do głowy.

– Co musi? – ponagliła go Lund.

– Nie mam nic do dodania. Jeśli to wszystko, chciałbym już iść.

– Nie – zaprotestował Brix. – Miał pan szansę. Trzeba ją było wykorzystać.

Cała trójka weszła do biura Lund. Brix chciał spisać zarzuty i od razu dostarczyć je prokuratorowi.

Lund usiłowała myśleć.

– Prokurator będzie chciał do tego krew, ślinę i nasienie. Nie mamy ich. Myślę, że powinniśmy poczekać. Sprawdźmy, czy jeszcze czegoś nie znajdziemy. On przecież nie ucieknie.

– Możemy go wsadzić do więzienia Vestre – zasugerował Brix. – To powinno rozwiązać mu język.

– Nie. To nie jest dobry pomysł – upierała się Lund. – Kiedy z nim rozmawiałam, myślał, że dziewczyna zginęła w mieszkaniu.

– I?

– Nie zginęła. Dwa dni później ścigano ją w lesie. Utonęła w samochodzie. Ktokolwiek to zrobił, musiał słyszeć jej krzyki. Związał ją. Wsadził do bagażnika.

– Hartmann jest sprytny – zauważył Meyer.

– Musimy pamiętać o prasie – dodała Lund.

Meyer sięgnął po telefon i poprosił o połączenie z prokuratorem.

– Nie możemy popełnić kolejnego błędu, Brix. Przypomnij sobie nauczyciela. Słyszałeś, co mówiła ta adwokat. Jeśli popełnimy błąd, ona

nas rozerwie na kawałki. – Przerwała, upewniając się, że jej słowa do niego dotarły. – A wtedy okaże się, że nie tylko Buchard ma zimą urlop.

Wrócili do pokoju przesłuchań.

– Dostaniemy nakaz przeszukania domu – powiedział Meyer. – Jeśli coś tam jest, znajdziemy to. Chcemy mieć dostęp do pańskiego samochodu i biura. Do pańskich billingów. Kont bankowych. Poczty elektronicznej.

Wyszczrzył się w uśmiechu.

– Nie może pan wrócić do domu. Może prześpi się pan na ulicy? Bliżej elektoratu, co?

– Bardzo śmieszne – mruknął Hartmann.

– W ogrodzie jest piwnica i domek – ciągnął Meyer. – Poproszę klucze do jednego i drugiego, żebyśmy nie musieli wyłamywać drzwi. I poproszę pański paszport.

– Rozumiem z tego, że Troels jest wolny? – upewniła się adwokat.

– Przecież może chodzić, prawda?

Hartmann sięgnął do kieszeni, rzucił na stół klucze.

– Za pół godziny dostaniecie mój paszport.

Lund spojrzała na klucze.

– To musi być bardzo ważne.

– Co?

– To coś, co zasługuje... – wzięła klucze i potrząsnęła nimi – ...na to wszystko.

– To moje życie. Nie wasze. Ani niczyje inne. Moje.

Po czym wyszedł z adwokatką i Brixem.

Lund wyciągnęła teczkę mieszkania partyjnego.

– Wracam na Store Kongensgade. Masz numer dozorczy?

Po raz pierwszy tego wieczoru została z Meyerem sama.

– Co tam się, do cholery, stało u Hartmanna? – spytał. – Jezu, Lund. Coś ty sobie myślała?

Zaczęła wertować akta, sama szukając numeru.

– Cały czas gadasz tylko o Hartmannie. Jaki jest popieprzony. I nagle pięć minut później odpuszczasz.

Lund znalazła numer.

– Co ty wyrabiasz, do cholery? Czego mi nie mówisz?

Wsadziła teczkę do torebki i wyszła.

– Prasa wie, że znowu cię przesłuchiowano – powiedział Weber.

– Holck i koalicjanci? – spytał Hartmann.

– Dyskutują – odparła Skovgaard.

Hartmann zdjął płaszcz.

– Bremer chce wiedzieć, czy odwołujemy jutrzejszą debatę. Co mam powiedzieć?

– Niczego nie odwołujemy.

Ciągle miał na sobie koszulę poplamioną winem.

– Rie?

Nie patrzyła mu w oczy.

– Mam czystą koszulę? Może mi ktoś przywieźć?

Nie ruszyła się.

– Przepraszam, że nie wytrzymałam, Troels. Wzięli skądś moje billingi. Nie mogłam...

Próbował czytać z jej twarzy. Smutek? Zakłopotanie? Gniew, że to ją poprosił o alibi?

– Nie musisz przepraszać. To moja wina. Dopilnuję, żeby zrozumieli. To mój problem, nie twój.

Weber wyczarował skądś koszulę. Hartmann wyszedł do swojego gabinetu, żeby się przebrać. Skovgaard poszła za nim.

– Poza tym – powiedziała – to nie ma znaczenia. Teraz kiedy policja wie, gdzie byłeś, odczepią się. Może powinniśmy...

– Nie odczepią się. Nie powiedziałem im. Przeszukają mój dom.

Wszedł Weber i słuchał.

– Wleżą wszędzie – dodał Hartmann. – Tutaj też. Musimy jeszcze raz sprawdzić Olava. Oni nie chcą.

– Sprawdziłem, co się dało.

– A jeśli Olav nie korzystał z tego mieszkania osobiście? Może komuś pożyczał klucze?

– Komu?

– A jak myślisz? Kto na tym zyskuje? Kto na tym wszystkim zyskuje?

Weber wpatrywał się w niego zdumiony.

– Bremer? Poul Bremer to starzec. On i dziewiętnastolatka... Nie mogę...

– Bremer, Olav. Olav, Bremer. – Skovgaard najwyraźniej się wściekła. – Jesteś podejrzany o morderstwo, Troels. A gadasz tylko o nich.

– Sprawdźmy, kto na tym zyskuje...

– Musisz powiedzieć policji! – krzyknęła.

– Niczego nie jestem winien tym draniom.

– Jakie to ma znaczenie, że poszedłeś w tango? To są wybory. Musimy się wydostać z tego szamba.

Zakładał czystą koszulę. Rozległo się pukanie do drzwi. Weszło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach.

– Policja – powiedział pierwszy. – Muszą państwo opuścić pomieszczenie.

Pojawiło się czterech następnych, z metalowym walizkami, dwóch miało niebieskie kombinezony.

– Nie krępujcie się – zaprosił ich Hartmann.

Przeszedł do głównego biura. Skovgaard podążyła za nim.

– Mówiłeś mi, że piłeś sam. Bo data. Żona...

– Tak! Zgadza się.

– Więc dlaczego im nie powiesz, gdzie byłeś?!

Zamknął oczy rozdrażniony.

– Bo to nie jest ich sprawa, do cholery.

Położyła mu rękę na piersi, żeby nie szedł dalej.

– Ale moja jest, Troels. Gdzie byłeś?

– Nie martw się. Mam wszystko pod kontrolą.

Na dole w eleganckiej piwnicy o łukowatych sklepieniach znajdowała się stołówka. Siedział w niej samotnie Jens Holck i czytał przy jedzeniu gazetę, jednocześnie oglądając wiadomości w telewizji.

Tam znalazł go Hartmann.

– Smakuje, Jens?

– Jak zwykle.

Hartmann podsunął krzesło, siadł naprzeciwko niego i z uśmiechem spojrzał Holckowi w oczy.

– No i co człowiek ma myśleć? – zagaił. – Zrobił to Troels Hartmann czy nie? Mówią, że teraz to nawet nie ma alibi. Co jeszcze?

Holck odcinał kawałek mięsa.

– Dobre pytanie. Co jeszcze?

– Co jeszcze znajdzie ten łajdak, który za to wszystko odpowiada.

Holck jadł.

– Jens. Nie odchodź teraz. Kiedy mnie oczyszczą, będziesz żałował.

Chyba nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Doprawdy, Troels? A to ważne? Obiecałeś, że to koniec. Cóż... wygląda na to, że końca nie widać.

– To nieporozumienie.

Holck potrząsnął głową.

– Jens. Zaufaj mi. Czy ja cię kiedyś zawiodłem?

Zaczęły się wiadomości. Hartmann usłyszał nazwisko dziewczyny. Wszyscy w stołówce przerwali swoje zajęcia, odwrócili się do telewizora, i zobaczyli rozmowę z Pernille Birk Larsen. Niebieska bluzka w kratkę, notatki w ręku, blada, spięta twarz wpatrzona w kamerę. Nie przestraszona, ale zdeterminowana.

Zaczęła czytać.

„Mam nadzieję, że ktoś coś widział. Ktoś musi coś wiedzieć. Potrzebujemy pomocy. Wygląda na to, że policja... Nie wiem, co oni robią. Może nie traktują sprawy poważnie”.

„Co pani sądzi o tym, że Troels Hartmann jest podejrzany?” – spytał dziennikarz.

Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w kamerę.

„Nic o tym nie wiem. Ale jeśli ktoś coś widział, mam nadzieję, że się z tym zgłosi. Wszystko może się okazać ważne. Proszę”...

– Partia na razie przy tobie zostaje – powiedział Jens Holck.

Hartmann z wdzięcznością kiwnął głową.

– Ale ja nie mogę się z tobą pokazywać. Przykro mi, Troels.

Wziął swoją tacę i ruszył w stronę schodów.

Na Store Kongensgade Lund czekała w salonie mieszkania Stronnictwa Liberalnego. Znowu patrzyła na potłuczone szkło. Roztrzaskany stół.

Kłótnia? Wypadek? Drobną przepychanką?

Przeszła do sypialni.

Wreszcie przyszedł dozorca. Zajmował się kilkoma budynkami w okolicy i mieszkał nieopodal.

– Widział już pan tu kiedyś Hartmanna? – spytała Lund.

– Zgadza się.

– Z kobietami?

Skrzywił się.

– Jestem dozorcą. Dużo widzę.

– Widział pan tę kobietę?

Pokazała mu zdjęcie Nanny.

Rozejrzał się, otaksował zniszczenia. Kalkulował.

– Widziałem różne damy, jak dzwoniły domofonem. Widziałem, jak z nimi wchodził.

– Ale jej pan nie widział? – Jeszcze raz pokazała mu zdjęcie.

– Nie. Myślę, że musiała mieć swoje klucze. Wchodziła sama i czekała na niego.

Lund chciała to wyjaśnić.

– Była z Hartmannem?

– Tak właśnie powiedziałem. Kilka miesięcy temu. Właśnie zmieniałem uszczelkę w mieszkaniu obok. Widziałem ją przed drzwiami. Słyszałem, jak rozmawiają.

– Nie widział pan tego mężczyzny?

– A kto by to mógł być, jak nie on?

Schowała zdjęcie do torby.

– Kiedy ją otrzymam? – spytał dozorca.

– Co?

– Widziałem w wiadomościach. Że jest nagroda. Pięćdziesiąt tysięcy koron. Kiedy ją otrzymam?

Westchnęła.

– To był on – upierał się mężczyzna. – Przysięgam.

Dwadzieścia pięć minut później stała pod drzwiami Birk Larsenów i rozmawiała z Pernille.

– Musicie odwołać nagrodę.

Kobieta jej nie wpuściła.

– Myśmy jej nie proponowali.

– Pernille, ludzie z telewizji zrobią, co im pani każe. Wiem, że to trudne...

– Nie wie pani. Nie ma pani pojęcia.

Jej mąż trzymał się z tyłu, ale słuchał uważnie.

– Nie otaczają pani jej rzeczy. Nie odbiera pani jej poczty. Ludzie nie patrzą na panią na ulicy, jakby to wszystko była poniekąd pani wina...

– Jedyne efekty będą takie, że mnóstwo ludzi, dla pieniędzy, skontaktuje się z nami, podając bezużyteczne informacje. A my będziemy musieli każdą z nich potraktować poważnie.

– I dobrze.

– Nie mamy tylu ludzi. A ważne rzeczy na tym ucierpią.

– Jakie rzeczy?

– Nie mogę pani powiedzieć. Wiem, że pani zdaniem powinniśmy przekazywać wam więcej informacji. Ale nie możemy. – Zerknęła na mężczyznę w głębi. – Już i tak za dużo powiedzieliśmy. Myślałam, że pan to doceni.

Pernille wróciła do salonu. Theis Birk Larsen stał na miejscu, wpatrując się w Lund złowrogo.

– Musi pan przekonać Pernille, że to błąd, Theis. Proszę.

Podszedł do drzwi i zamknął je policjantce przed nosem.

PIĄTEK_
14 LISTOPADA_

Meyer zadzwonił, gdy właśnie wyszła spod prysznic. Od razu zaczął się skarżyć na zalew telefonów, które odbierają po wyznaczeniu nagrody.

– Rozmawiałam z rodzicami – odrzekła Lund. – Nie pomogą. Przykro mi. Będziemy musieli sobie z nimi radzić.

– Cudownie. Coś jeszcze?

– Potrzebuję czegoś więcej na Olava Christensena.

– Weź sobie do tego kogoś innego, Lund. Nie mnie.

Wszedł Mark, szukając śniadania.

– Wcześniej wstałeś – zauważyła.

W milczeniu przemknął do stołu.

– Ściągnę znowu Mortena Webera – powiedział Meyer. – Do zobaczenia.

Mark nasypał sobie płatków kukurydzianych.

– Jak tam obiad u ojca?

Długa cisza i potem:

– Okej.

– A jego córeczki? Ładne?

Lund wyjęła z opakowania nowy sweter, który kupiła w sprzedaży wysyłkowej. Gruba wełna, ciemny brąz, czarno-białe romby.

Mark wpatrywał się w niego.

– Mają mnóstwo różnych ubrań – powiedział.

Przechylił karton mleka nad miską, ale okazało się, że jest pusty.

Lund westchnęła, siadła przy stole i próbowała wziąć syna za rękę, ale ją wyrwał.

– Posłuchaj. Wiem, że straszny się zrobił bałagan. Bengt niedługo przyjeżdża do Kopenhagi. Porozmawiamy. Damy radę.

Zaczął jeść suche płatki.

– Przynajmniej pójdziesz do szkoły na koncert świąteczny.

Mark przez sekundę bawił się kolczykiem, a potem dał sobie spokój z płatkami.

– Mamy jeszcze mleko?

Zajrzała do lodówki.

– Nie. Babcia poszła po zakupy. Niedługo wróci.

Siadł nad swoim śniadaniem, głowę oparł na rękę, nieszczęśliwy.

Lund związała włosy i szykowała się do wyjścia.

– Mamo?

– Tak?

Wyglądał na zakłopotanego.

– Nieważne.

– Nie. Powiedz mi.

– Nie musisz czekać, aż babcia wróci. Jeśli musisz iść...

Uśmiechnęła się do niego i dotknęła jego ramienia.

– Jesteś taki kochany.

Patrzył na nią jakoś tak inaczej.

– Co się dzieje?

– Nic. Idź do pracy.

Meyer siedział w biurze z Mortenem Weberem.

– Więc pan też nie wie, co Hartmann robił w tamten weekend? A pan jest kim u niego?

– Szefem kampanii. Nie niańką.

Meyerowi nie podobał się ten człowiek. Wydawał się jakiś podejrzany.

– A mnie on wygląda na faceta, który potrzebuje niańki.

Weber jęknął.

– Ile razy mam to panu powtarzać? Przeszukaliście nasze biura. Skonfiskowaliście komputery. Już przecież mówiłem. Ktoś je szpiegował.

– Niech pan zapomni o komputerach. Kto odwiedził Hartmanna w domu w sobotę rano?

Bez odpowiedzi.

– Nie wie pan? Ktoś, kto wyglądał jak pan, Morten. Wszedł pan do jego domu.

– Tak, zgadza się.

– Dlaczego?

– Martwiłem się. Nie miałem od niego wiadomości. Więc pojechałem tam.

Żona Meyera wysłała go do pracy z dwoma jabłkami i surowym przykazaniem, że ma oba zjeść. Rozkroił pierwsze i chrupiąc, pochłaniał kolejne kawałki.

– Co pan tam robił?

Weber skrzyżował ramiona.

– Szukałem Troelsa – powiedział. – Miałem zapasowe klucze. A co?

– A potem poszedł pan do pralni chemicznej. Sprzątaczką potwierdziła, że przyniósł pan jego ubrania w poniedziałek. Te, które on miał na sobie w piątek. Po co je pan oddał do pralni?

– Były w domu. Nosi je często w trakcie...

– Dlaczego potrzebowały czyszczenia?

– Bo były brudne?

Meyer dokończył pół jabłka.

– Więc nie jest pan jego niańką. Jest pan jego pokojówką.

– Poszedłem do jego domu, bo się martwiłem. I na tym koniec. – Wstał od stołu. – Wychodzę. Mamy wybory do wygrania.

– Dlaczego pan do niego nie zadzwonił, Morten? Skoro tak się pan martwił?

– Hartmann nie miał nic wspólnego z tą dziewczyną. Marnujecie czas. Nasz też.

– Rie Skovgaard dzwoniła do Hartmanna w tamten weekend. Raz za razem. Mam pański billing. Pan nie dzwonił ani razu.

– Może miałem co innego do roboty.

– Nie miał pan. Jest pan kawalerem. Żyje pan dla partii. Zawsze tak było.

I zawsze będzie.

Meyer uśmiechnął się szeroko.

– Pan przez cały czas wiedział, gdzie jest Troels Hartmann. Wiedział pan, co robi. Mieliście swój mały sekret. A kiedy się dowiem...

Morten Weber roześmiał mu się w twarz.

– Powodzenia – rzekł. – Wychodzę.

W ratuszu Skovgaard i Hartmann planowali następny dzień.

– Musi być powiązanie pomiędzy Bremerem a Olavem – upierał się Troels. – Konferencja? Coś...

– Ja nic nie znalazłam. Odwołaj debatę.

– Nie ma mowy. Ludzie pomyślą, że siedzę w więzieniu.

– Gdybyś powiedział prawdę, nie znaleźlibyśmy się w tej sytuacji.

Nie odpowiedział.

– Musisz odwołać debatę. Niektórzy członkowie zgromadzenia gadają. Mówią, że może nie nadajesz się na urząd. Mogą zablokować twoją nominację.

– Nie ośmielą się.

– To decyzja Bremera. On może to zrobić, Troels. Jeśli chce się ciebie pozbyć...

Oczy Hartmanna zalśniły.

– Jeśli? Co masz na myśli, mówiąc „jeśli”?

Wszedł Weber, psiocząc na policję.

– Olav? – spytał Hartmann.

– Ludzie mówią, że Bremer go nie zna.

– A co mieliby mówić?

– Będę sprawdzał dalej. Ale to naprawdę nie wygląda dobrze.

– Cudownie – jęknął Hartmann. – Umieram z głodu.

Wrócił do głównego biura po ciasto.

Weber spojrzał na Rie Skovgaard.

– Policja ciągle go podejrzewa – zakomunikował.

– Oczywiście. Nie powie im, gdzie był. Proszę. – Podała mu kartkę papieru. – Informatycy znaleźli to w sieci. Keylogger. Zapisuje każde uderzenie w klawisze na każdym koncie. Powiedziałam, żeby to zostawili. Nie tylko wychwytywał nasze hasła. Hasło Olava też wychwycił. Zmienił je wczoraj w nocy. Oto nowe.

– Co ja, do cholery, mam zrobić z...

Wszedł Hartmann, krusząc wokół kawałkami croissanta.

– Mam spotkanie z komitetem – powiedział. – Zadzwońcie, jak się czegoś dowiedziecie.

Na dole, w kącie rozbrzmiewającego echem holu pocił się Olav Christensen. Dzisiaj rano dzwonił sześć razy. Ani razu się nie dodzwonił.

– Nie, nie. Muszę porozmawiać z nim osobiście. Kiedy będzie wolny?

Słuchał. Z ciemnej wnęki widział, jak do budynku wchodzi policjantka Lund. Christensen cofnął się bardziej w cień.

– To ważne – naciskał. – Proszę mu przekazać, żeby jak najszybciej do mnie oddzwonił. W pilnej sprawie. Dobrze?

Szła w jego stronę. Christensen ruszył schodami do piwnicy. Do stołówki. Do biura ochrony. Na parking drogą od tyłu. Gdziekolwiek.

– Olav? – zawołała.

Za późno.

Stanął. Próbował się uśmiechnąć.

– Ma pan chwilę?

Lund poprosiła urzędnika, żeby znalazł wolne biurko w bibliotece. Siadł nad poranną gazetą, z telefonem na blacie, masując sobie skronie.

Zmartwiony człowiek.

Ona zajęła krzesło naprzeciwko i uśmiechnęła się.

– O co chodzi? – spytał. – Rozmawiałem już z wami.

– Jeszcze kilka pytań.

– Naprawdę chętnie bym pomógł. Ale mam dzisiaj wolne.

– Więc co pan tu robi?

– Przyszedłem na spotkanie. Zaczyna się za kilka minut.

– Jakie spotkanie?

– Po prostu spotkanie.

– Właśnie je odwołano – powiedziała. Wyjęła notes, zajrzała do środka i znowu spojrzała na Christensena. – Powiedział pan, że nic nie wie o kluczach do mieszkania liberałów.

Z dłonią przy twarzy starał się wyglądać na pewnego siebie.

– Zgadza się.

– Ale rezerwował je pan dla różnych ludzi. Mnóstwo razy. Mamy szczegóły z rejestru w szufladzie Mortena Webera. – Kolejny przelotny uśmiech. – Z tej samej szuflady, gdzie przechowywane są klucze. Wiedział pan o mieszkaniu. I o kluczach.

– Nigdy nie dotykałem tych kluczy.

Rozejrzała się po bibliotece. Regały pełne starych książek. Puste biurka i krzesła.

– Ciężko musi być w takim miejscu. Ciągłe czekanie na okazję. A Hartmann nie dał panu pracy, której pan chciał.

– Ambicja jest karalna?

– Zarabia pan dość pieniędzy?

Uśmiechnął się szeroko.

– A pani?

– Cwaniaczek z pana.

Ironiczny uśmiech.

– Dziękuję.

– Powinnam mieć poczucie winy, kiedy pana kopię. Nie mam. Ale
powinnam.

Sięgnęła do torebki i coś wyciągnęła. Na lakierowanym orzechowym
blacie rozłożyła ostatni odcinek wypłaty Olava Christensena.

– Co miesiąc dostaje pan dodatkowe pięć tysięcy koron za usługi
doradcze. – Lund obserwowała go bacznie. – Jakie usługi?

Pociągnął nosem, zamilkł na chwilę.

– Robię różne rzeczy dla ludzi z Wydziału Środowiska. Po godzinach.

– A więc i pracowity szczeniak. Ale pan pracuje dla Wydziału Edukacji,
prawda?

Christensen się roześmiał, pokręcił głową i mruknął:

– Nie do wiary.

Lund podsunęła mu odcinek pod nos.

– Co nie do wiary? Wszystko tu jest. Oprócz tego, kto panu wypłaca
pieniądze.

Wziął papier i nic nie powiedział.

– Musi być jakaś dokumentacja na sumy i tytuły wypłat.

– Proszę spytać w księgowości.

– Pytałam. Nie mają pojęcia.

Wzięła od niego odcinek i schowała do torebki.

– Odezwią się do mnie dzisiaj. Obiecali, że się dowiedzą. Dla nich to też
zagadka, jak się okazuje.

Zaczekała chwilę.

– Pieniądze publiczne, Olavie. Jedno można powiedzieć o takim miejscu jak to... – Spojrzała znowu na rzędy książek. – Tu wszystko jest gdzieś odnotowane.

Kiwnął głową.

– Więc czemu nie opowie mi pan o tym teraz?

– Nie ma o czym mówić. Wykonuję zlecenia. Dostaję za to wynagrodzenie.

– Mógłby się pan bardziej postarać.

– Jestem zajęty.

Wstał i wyszedł.

Lund schowała notatnik, podeszła do drzwi i stamtąd śledziła go wzrokiem. Oddalał się w cieniu arkad. Znowu z telefonem przy uchu. Drżał.

Skærbæk odbierał telefony. Theis Birk Larsen nie zbliżał się do aparatu.

– Na miłość boską – warknął Vagn, gdy zakończył kolejną rozmowę. – Ale świry wydzwanają.

– Wyrwij kabel – polecił Birk Larsen.

– A jeśli to klient?

Wielki człowiek podszedł i wyszarpnął kabel ze ściany.

– Dwie ciężarówki do Valby, jedną ty jedziesz.

Zeszła Pernille. Dzisiaj rano ledwie się do siebie odzywali.

– Nie mogę jechać na wycieczkę – powiedziała.

– Dlaczego?

– Dzwonili z zakładu pogrzebowego. Muszę obejrzeć kamień. Sprawdzić, czy jest gotowy.

Birk Larsen zamknął oczy i nic nie powiedział.

– Nie wiem, jak długo... – zaczęła.

– Chłopcom bardzo zależy...

– Nie mogę!

Zerknął na Skærbæka.

– Dam radę, Theis. Nie ma sprawy.

– Jasne – westchnął Birk Larsen. – Ja zabiorę chłopców. Oczywiście.

Podał mu kluczyki do ciężarówki.

– Znajdź kogoś, Vagn. Zapłać podwójnie, jeśli będziesz musiał. Pernille?

Rozejrzał się po garażu. Już wychodziła.

Na placu zabaw, gdzie zbierała się wycieczka zuchów, było mroźno i pusto. Nikt się nie huśtał na oponach. Żadne dziecko nie zjeżdżało na ślizgawce.

Tylko jedna kobieta, której prawie nie znał, stała, uśmiechając się do chłopców, gdy biegli w granatowych mundurkach, podnieceni, gotowi do drogi.

Wskoczyli na opony i zaczęli się huśtać.

Birk Larsen podszedł do kobiety.

– Spóźniliśmy się. Przepraszam.

– Nie szkodzi. Próbowałam się dodzwonić, ale nikt nie odbierał.

Rozglądał się po pustym placu.

– Tu mieliśmy się spotkać, tak?

– Tak, ale...

Widział już wcześniej to spojrzenie. Zaczynał je rozpoznawać. W szkole. W sklepie. Był to zdystansowany, zakłopotany rodzaj współczucia.

– Nie odebrał pan mojej wiadomości?

Czegoś nie chciała powiedzieć. Chciała uciec, znaleźć się gdziekolwiek indziej niż tu, z nim i chłopcami.

– Nie. Nie odebrałem.

– Dzisiaj rano wycieczka została odwołana.

– Odwołana?

– Próbowałam to panu przekazać.

Stał w swojej czarnej czapeczce i czarnej kurtce, i czuł się głupi i ociężały. Chłopcy krzyczeli, zaczęli się kłócić.

– Dlaczego została odwołana?

Odpowiedziała z wyraźnym trudem.

– Zbyt wiele osób się wycofało.

Czekał.

– Wiele z nich wczoraj oglądało telewizję. Uznali, że to nie najlepsze posunięcie.

Birk Larsen popatrzył na synów, jak się huśtają na oponach, i krzyknął na Antona, żeby uważał.

– Dlaczego? – spytał. – Co zrobiliśmy?

– Naprawdę mi przykro – powiedziała kobieta. – Wszyscy państwu współczują. Po prostu...

– Chłopcy nie mogli się doczekać tej wycieczki.

Wyglądała, jakby czuła się winna. On czuł się paskudnie, że ją do tego doprowadził. Przynajmniej miała odwagę przyjść i mu to powiedzieć.

– Wiem. I jeszcze na nią pojedziemy. Obiecuję.

– Kiedy?

– Za kilka tygodni. Nie wiem. Kiedy sprawy...

– Chłopcy! – krzyknął. – Anton! Emil!

Przerwali zabawę i spojrzeli na niego z opon.

– Zbieramy się!

– Naprawdę mi przykro – powtórzyła kobieta.

– Tak.

Anton podbiegł, zawsze pierwszy z pytaniami.

– Kiedy przyjdzie reszta dzieci, tatusiu?

– Wycieczka jest odwołana – powiedział mu Birk Larsen. – Babcia i dziadek na was czekają. Jedziemy.

Zostawił ich z rodzicami Pernille i pojechał do domu. Vagn Skærbæk zamówił pracownika dorywczego. Tak bywało. Zawsze znalazł się ktoś, kto popracował przez dzień w razie potrzeby. Birk Larsen nie lubił korzystać z takich, co to nigdzie nie zagrzewali miejsca. Wolał ludzi, których znał. Ale czasami nie miał wyboru.

Skærbæk ciągle ładował pudła w magazynie.

Pernille nie wróciła.

– Co z wycieczką do lasu?

– Odwołana. Chłopcy są u dziadków.

Myślał. Zastanawiał się, jak długo Pernille nie będzie.

– Możesz mi pomóc, Vagn?

– Jasne. W czym?

Birk Larsen wziął kilka kartonów, których używali do pakowania mniejszych rzeczy.

– Chodźmy na górę.

Pokój Nanny. Zignorował policyjne oznaczenia. Widział tylko bałagan. Książki. Długopisy. Doniczki z kwiatami, świece zapachowe. Kosmetyki i kremy.

I łóżko z reniferową narzutą, kolorową pościelą, poduszkami we wzorki.

Te rzeczy wydawały się należeć do niej od zawsze. On – idiota – wierzył, że nigdy nie znikną.

Podszedł do jej tablicy korkowej, rzucił okiem na przypięte tam zdjęcia. Skrót dziesięciu lat życia mniej więcej. Z chłopcami, z rodzicami. Z przyjaciółmi i nauczycielami.

Nanna uśmiechnięta, zawsze. Nanna malutka. Nanna, ostatnio nastoletnia, wyraźnie wyzwalająca się z dzieciństwa i podążająca prosto

w dorosły świat, którego pragnęła, nie wiedząc, co się tam czai. Jaką cenę może zapłacić.

– Wszystko pakujemy. Wszystko.

– Theis...

– Wszystko. Ubrania do worków. Tak jak zawsze.

– Rozmawiałeś o tym z Pernille?

– Uważaj, żeby nic nie zniszczyć, dobra?

Skærbæk wszedł do sypialni, stanął przy nim.

– Jeśli tego chcesz.

Złożył jeden z kartonów.

Birk Larsen się nie ruszał. Stał w pokoju swojej nieżyjącej córki i wpatrywał się w to, co zostało.

– Nie. – Wziął karton. – Sam to zrobię.

Weber znalazł w miarę pusty pokój w Wydziale Edukacji. Jeden człowiek stukał tam coś leniwie na komputerze.

– Potrzebuję statystyk dla Hartmanna – oznajmił Morten. – Ale mogę to sam zrobić.

– Siadaj. Wszyscy idą na lunch, to ja też pójdę.

Weber został sam.

Wybrał biurko najdalej od drzwi. Wpisał login i hasło, które mu dała Rie Skovgaard. Po sekundzie był zalogowany.

Ten sam serwer pocztowy, z którego korzystało biuro sztabu wyborczego, inna podsieć. Skrzynka pocztowa Olava Christensena stała przed nim otworem. Przeglądał wiadomości.

Przejrzał połowę, gdy wszedł Christensen ze stosem teczek.

Weber myślał gorączkowo.

– Pomóc w czymś? – spytał Christensen. – Na co dzień polityczni do nas nie zachodzą.

– Nie, nie trzeba. – Plątał się. – Ktoś mi powiedział, że tu jest wirus.

Pospiesznie wstał od biurka. Cholera. Nie wylogował się z konta Christensena.

Młody urzędnik podszedł do niego błyskawicznie.

– Teraz pracujesz w helpdesku, Morten?

Spojrzał na ekran, zaklął i wylogował się.

Zacisnął dłoń w pięść, mocno walnął Webera w klatkę piersiową i pchnął go na biurka.

– Przysłali cię, żebyś zrobił ze mnie kozła ofiarnego?

Zadzwoił telefon Christensena. Wyjął go z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz.

– Hartmann cię przysłał?

– To wirus – powtórzył Weber i próbował się wycofać.

Kolejny cios w zębra, kopniak w goleń. Christensen chwycił go za klapy i wpychał w cień pod ścianą.

Weber spojrzał na drzwi.

Żywej duszy.

– Nie wciskaj mi kitu, do jasnej cholery! – krzyknął Christensen.

Ktoś przeszedł korytarzem.

Weber się wyrwał, dotarł do drzwi i wypadł z pokoju. Oddalał się szybkim krokiem, prawie biegiem.

Nagle stanął jak wryty. Udając się do Wydziału Edukacji, jako pretekst zabrał ze sobą teczkę. A w niej ważne dokumenty. Poufne. Zostawił ją tam.

A Christensen był aroganckim, ambitnym szczeniakiem.

Tyranem podwórkowym. Czyjąś marionetką.

Powoli, po cichu Weber wrócił do Wydziału Edukacji i wśliznął się przez drzwi, nasłuchując.

Christensen wycofał się w kąt, stał plecami do drzwi. Sądząc po głosie, był przerażony.

– Musimy pogadać. Na miłość boską! Co ja mam mówić?

Weber posuwał się do przodu, słysząc każde słowo.

– Sprawdzają moje paski wypłat. Chcą wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze. Musisz coś zrobić.

Teczka wciąż leżała na biurku. Na pewno zdołałby ją wynieść niepostrzeżenie.

– Pierdolić to! – piszczał Christensen. – Potrzebuję pomocy. Nie, nie. Albo porozmawiasz z nim osobiście, albo wszystko powiem. Nie dam się za to udupić. Nie pójdę dla niego na dno.

Morten Weber wziął teczkę i stał w miejscu. Olav Christensen obrócił się, zobaczył go i zamilkł.

Wsadził telefon do kieszeni.

Weber zastanawiał się, czy kiedykolwiek w imponujących wnętrzach ratusza widział kogoś tak przerażonego.

– Z kim rozmawiałeś?

Christensen stał osłupiały.

– Olav. Jeśli zrobiłeś coś złego...

Christensen wziął swoją aktówkę. Był jak ogłuszony.

– Możemy ci pomóc – powiedział Weber. – Chodź...

Tamten przetrząsał biuro, otwierał szafki, wyciągał dokumenty.

Skierował się do drzwi, ale Weber stanął mu na drodze.

– Porozmawiaj ze mną, a jakoś ci pomogę.

– Nie – odrzekł Olav Christensen. – Nie pomożesz.

Lund wróciła do domu Hartmanna. Meyer, Svendsen i trzech innych policjantów przetrząsali jeden pokój po drugim.

Odebrała telefon z komendy w sprawie paska wypłat.

– Ktoś w Ratuszu musi wiedzieć, kto nakazał wypłatę pieniędzy – powiedziała oficerowi, który zajmował się sprawą. – Sprawdź akta Christensena. Sprawdź logi. To ważne. Kto, kiedy i jak.

Kiedy się rozłączyła, Svendsen wyjrzał z kuchni i oznajmił wrednie ubawiony:

– Ten Szwed, twój były, próbował cię dopaść.

Zignorowała go.

– Interesujący dziennik – odezwał się Meyer.

Ten sam, który ona krótko przeglądała.

Meyer wertował kartki.

– Prowadzi go od śmierci żony. Nagle w tamten piątek przestał. Dlaczego?

– Jak myślisz?

Meyer polizał palce i przewrócił jeszcze kilka kartek.

– Coś się wydarzyło i on nie jest z tego dumny. Albo zrobił coś, czego nie chciał zapisać. Posłuchaj tego: „Wychodzę z siebie. Muszę to skończyć, zanim mnie zabije”.

– To strata czasu – orzekła.

– Lund!

To znowu Svendsen, z telefonem w ręku.

– Nie – wciął się Meyer. – Ona nie chce gadać ze swoim byłym.

– Musisz zadzwonić do Mortena Webera. Przyłapał Olava Christensena, jak z kimś rozmawiał o swoich wypłatach. Potem koleś wybiegł z ratusza.

– Każ zatrzymać Christensena. I niech wyjaśnią te wypłaty.

– Marnujemy czas – burknął Meyer.

– Olav Christensen wie, kto na boku korzystał z mieszkania. Wyświadczył komuś parę razy przysługę.

Meyer skrzyżował ramiona i westchnął.

– Kto to mówi?

– Chyba Morten Weber. Namierzcie telefon Christensena.

Wzięła swoją torbę i ruszyła do drzwi.

– Nie ma tu czego szukać.

– Nie skończyliśmy, Lund!

Na zewnątrz było zimno i sucho. Wrzuciła do ust gumę i ruszyła do centrum.

Theis Birk Larsen siedział przy kuchennym stole, postukując kluczykami od ciężarówki i czekając na kroki żony na schodach.

Nie przebrał się po pracy. Nie czuł się dobrze. Ale czuł się na swoim miejscu. Mieszkanie, ich dom, się zmieniało, i oni zmieniali się wraz z nim.

– Przepraszam, że tak późno – powiedziała Pernille w progu. – Dzwonił ktoś do mnie?

– Nie.

Miała ożywioną twarz, która pojawiała się zawsze wraz z myślami o Nannie. Tylko wtedy wyglądała jak dawniej. Zaczynał tego nienawidzić.

– Cieszę się, że poszłam. Użyli niewłaściwej czcionki. Nie wyglądałoby to dobrze. – Nadstawiła ucha. – Gdzie są chłopcy?

– U twoich rodziców.

– Dlaczego?

Birk Larsen spojrzał na twarze zastygłe na stole.

– Musimy o tym pogadać, Pernille. Musimy...

Słuchała. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się ponad nim w otwarte drzwi pokoju Nanny. Ruszyła w tamtą stronę, weszła do środka.

Nagie ściany, puste szafki. Nie było biurka ani dywanu. Zniknęły zdjęcia. Ubrania. Zostało łóżko, bez pościeli, z nagim materacem. W oknie nic. Nawet roślinki.

On siedział przy stole, plecami do niej.

– Gdzie są jej rzeczy? – spytała zimnym, ponurym głosem.

– Anton nasikał do łóżka trzy razy z rzędu. Emil wygaduje jakieś szaleństwa. Gdybyś słuchała chłopców, zrozumiałabyś.

Wróciła do stołu.

– Gdzie są jej rzeczy? – powtórzyła.

– W ciężarówce. Dzisiaj odwiozę je do magazynu w Valby. Zachowamy wszystko, nie musimy ich trzymać tutaj.

Gwałtownym ruchem sięgnęła po kluczyki leżące na stole.

Birk Larsen zamknął na nich dłoń.

– Daj mi je.

– Nie. Nie możemy tak żyć. Tak utknąć. Nie zgadzam się na to.

Na jej twarzy pojawiło się coś, czego przez chwilę nie rozpoznawał. Potem dopiero znalazł określenie: nienawiść.

– Nie zgadzasz się na to?

Runęła przez drzwi i na dół do garażu. Zanim ją dogonił, dopadła półki z zapasowymi kluczykami w biurze.

– Posłuchaj mnie, Pernille.

Przeszukiwała komplety kluczyków.

– Posłuchaj mnie! Zuchy odwołały wycieczkę z powodu tego gówna w telewizji! Czy ty rozumiesz, co się dzieje?

Minęła go bez słowa, podeszła do ciężarówki, spróbowała otworzyć drzwi.

– Wyładuj się na mnie. Nie na chłopcach. Oni sobie na to nie zasłużyli...

– Otworzysz je?

Zawahał się.

– Nie mów tak do mnie. Ja też na to nie zasłużyłem.

– Otwieraj!

Wyciągnął kluczyki, wcisnął guzik w pilocie. Sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi.

Wszystkie zdjęcia i meble. Wszystko, co zostało z życia Nanny, patrzyło na nią z brudnej skrzyni czerwonej ciężarówki.

– Zawiozę to do magazynu. Nic im się nie stanie. Nic się nie zgubi.

Wspięła się na pakę.

Birk Larsen przetarł oczy wierzchem dłoni.

– Pernille...

Najpierw wzięła zdjęcia. Potem wolną ręką lampkę nocną. Wyszła z ciężarówki i spojrzała na niego.

– Zaniosem to na górę. A potem odbiorę chłopców.

– Pernille...

– Czy mnie tu nie ma? – spytała. – Czy jestem tylko kimś, z kim sypiasz? Służącą do sprzątanania i zajmowania się dziećmi? Nie trzeba ze mną rozmawiać? Nie trzeba pytać o... o...

Zabrakło słów, tym razem im obojgu. Ludzie ze służb socjalnych powiedzieli, żeby zapomnieć o śmierci Nanny. Opróżnienie jej pokoju wydawało mu się sensowne. W ten sposób robił to, co mu kazano. A odkąd się ożenił, uważał, że tego właśnie ludzie chcą. Nowego, posłusznego Theisa. Nie tamtego wcześniejszego.

– Kiedy wrócę... – powiedziała z twarzą wściekłą i kamienną.

Długa chwila. Tak długa, aż wydało mu się, że jego serce stanęło. Nigdy nie kłócili się tak otwarcie. Nigdy tyle nie mówili. Nie było potrzeby. Teraz ugrzęźli w straszliwej otchłani, wszystko się zmieniło. Myśli, które nie zostały wypowiedziane, teraz wybuchły z całą siłą i domagały się wysłuchania.

– Kiedy wrócę, ma cię tu nie być. – I to był koniec.

Stał sztywny i nieruchomy jak słup, walcząc z płaczącymi się myślami. Zastanawiając się, czy w ogóle było możliwe inne wyjście. Inne zachowania. Drugi szlak na rozstaju dróg.

Tylko jedna odpowiedź przyszła mu do głowy:

– Okej – mruknął i patrzył, jak Pernille odchodzi.

Lund siedziała za kierownicą, słuchała Lennarta Brixa w słuchawce.

– Co ty, na miłość boską, wyprawiasz?

– Sprawdzalam dom Olava. Nie ma go tam. Mam adres jego siostry.

– Dlaczego go szukamy?

– Bo ma związek ze sprawą. Namierzyliśmy już jego komórkę?

– Nie, Lund. Odwołałem to.

Zdjęła stopę z gazu. Samochód toczył się przez chwilę.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Mamy świadka, który w sobotę rano widział Hartmanna w zakrwawionym ubraniu.

– Przez tę idiotyczną nagrodę mamy już pięćdziesiąt osób, które widziały wszystko.

– Chcę, żebyś się na nich skoncentrowała.

– Skoro coś wiedzą, dlaczego nie zgłosili się wcześniej, zanim pojawiły się pieniądze? Christensen wie, kto był z Nanną.

Długie westchnienie w słuchawce.

– Naprawdę nie mam na to czasu. Znasz rozkazy.

– Olav brał łapówki, żeby udostępnić komuś mieszkanie. Co miesiąc dostawał stałą sumę prosto z Ratusza. Brix? Brix?

Myślała, że się rozłączył, ale nagle usłyszała:

– Kto zlecał wypłaty?

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Potrzebny mi namiar jego telefonu. On jest spanikowany. Dzwonił do kogoś. Zdobądź mi nazwisko.

Znowu cisza.

– Jakieś pół godziny temu dzwonił z Vester Voldgade.

Długa ulica za ratuszem. Niedaleko.

– Dzięki – powiedziała. – Do kogo?

– Do linii lotniczych.

Skovgaard zakończyła rozmowę.

– Bremer przechodzi do ofensywy. Zwołał wszystkich przewodniczących. Wieczorem odbędzie się spotkanie.

– Wcześniej dopadną Olava. Zadzwoń do Lund i się dowiedz.

Weber patrzył za nią, jak wychodzi do sąsiedniego gabinetu.

– Troels. Jeśli go nie znajdą, będziesz musiał powiedzieć prawdę. Wiesz o tym, prawda?

– Już to omawialiśmy.

– Bremer zamierza oznajmić, że nie możesz brać udziału w wyborach. Od tego nie ma odwrotu. Żadnych układów, żadnych sojuszy. Jesteś skończony. Na dobre. Będziesz musiał odejść z partii. Zapomnieć o polityce. Koniec.

– Znajdą go!

– A jeśli nie? – Morten Weber rozejrzył się po niewielkim gabinecie. Spojrzył na plakaty uśmiechniętego Hartmanna. – Wszystko to pójdzie w diabły, bo nie masz odwagi się...

Hartmann zerwał się wściekły na równe nogi.

– Znajdą go! – wrzasnął.

Poul Bremer szedł przez parking ratusza z aktówką w dłoni i asystentką u boku.

W cieniu czaił się Olav Christensen, milczący, pogrążony w myślach.

– Trzeba coś powiedzieć prasie – mówił Bremer. – Nie miałem informacji od Hartmanna ani policji. Zwołałem zebranie przewodniczących. Musimy zdecydować, czy Hartmann ma kwalifikacje, by ubiegać się o urząd. Ten skandal niszczy nas wszystkich. Ta sprawa rzuca cień na całą klasę polityczną.

Kobieta kiwnęła głową.

– Zakładam, że zdecydujemy, że Hartmann się nie nadaje – dodał Bremer. – To chyba nieuniknione. Ale ważne, żebyśmy się wszyscy co do tego zgodzili. Jednomyślnie. Jeśli ktoś zgłosi odrębną opinię, problem tylko narodzi się.

Christensen wyszedł z ciemności, wprost na Bremera.

– Musimy porozmawiać – oznajmił.

– A kim pan jest, u diabła? Dziennikarzem? Nie teraz.

Oczy Christensena płonęły z wściekłości.

– Wie pan, kim jestem! Olav. Próbowałem się z panem skontaktować.

Bremer się nie zatrzymał.

– Olav?

– Tak. Christensen. Z wydziału Hartmanna.

Bremer pokręcił siwą głową.

– Przykro mi. Nie wiem, o co chodzi, a spieszę się. Nie znam pana.

– Tak!

Wrzask Christensena odbił się echem w garażu.

– To ja panu pomagałem. Pamięta pan? Beze mnie siedzi pan po uszy w gównie.

Bremer stanął. Poleciał asystentce, żeby poczekała na niego przy samochodzie.

– W czym mi pan pomagał?

– Doskonale pan wie.

– Nie, nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Potrzebował pan mieszkania.

– Mieszkania? Jakiego mieszkania?

– Załatwiałem panu klucze. Kiedy chciał pan...

– Nie, nie, nie. Proszę się uspokoić. Nie prosiłem o żadne klucze.

Christensen stał w zimnym garażu z rozdziawionymi ustami.

– Kto pana prosił, żeby pan to zrobił? – spytał Bremer. – Hartmann?

– To znaczy, że on nigdy panu o mnie nie mówił?

Bremer przymknął oczy.

– Po raz ostatni powtarzam: nie mam pojęcia, o co panu chodzi. Jeśli pan coś wie, powinien pan zadzwonić na policję.

Wyjął telefon.

– Może pan powtórzyć swoje nazwisko?

Bremer po omacku wybierał klawisze.

Kiedy podniósł wzrok, stwierdził, że jest sam.

Dwie minuty od ratusza Lund odebrała telefon od Meyera.

– Ktoś tu chce z tobą rozmawiać – usłyszała.

– Nie mam czasu.

– Powiedz mu to sama.

W pierwszej chwili nie rozpoznała jego głosu.

– Mówi Carsten.

– Przepraszam, oddzwonię do ciebie później.

– Chodzi o Marka.

– Słyszałam, że mu się u ciebie podobało.

– Mark przez cały tydzień nie był w szkole. Rozmawiałem z jego wychowawczynią. Myśla, że się przeprowadził do Szwecji.

– Porozmawiam z nim – odparła.

– Mamy to już za sobą, Sarah. Kiedy znajdziesz czas, by omówić sprawy swojej rodziny, zadzwoń do mnie. I nie zwlekaj zbyt długo, do cholery. Nie chcę, żebyś zmarnowała mi syna.

Cisza.

Potem wrócił Meyer.

– Jesteś tam jeszcze, Lund?

– Tak.

– Znaleźliśmy Olava.

Mark i Carsten natychmiast wylecieli jej z głowy.

– Gdzie?

– Jeśli jesteś w pobliżu ratusza, powinnaś go zobaczyć. Wypatruj niebieskich świateł.

Trzy karetki, dwa radiowozy. Nosze na ziemi. Krew na lśniącej czarnej ulicy.

Mundurowy, z którym rozmawiała, powiedział, że Christensen przechodził przez ulicę, gdy uderzył go szybko jadący samochód, który następnie się oddalił. Nikt nie widział kierowcy. Nikt nie zauważył numeru rejestracyjnego.

Lund podeszła do karetek. Olav Christensen miał na sobie ten sam urzędniczy garnitur co zawsze. Zmasakrowana głowa. Kark chyba złamany. Krew płynęła z ust i nosa.

Oczy miał otwarte. Arogancja zniknęła. Został tylko strach, ostry i prawdziwy.

Patrzył na nią, gdy się pochylila.

– Oddychaj powoli – powiedział sanitariusz.

– Co się dzieje, Olav? – spytała Lund.

Wstrząsały nim straszliwe drgawki. Plamy krwi pojawiały się z każdym oddechem. Nie mógł mówić.

– Olav. Powiedz mi.

Ktoś zawołał o tlen.

– Olav...

W jednej chwili jego oczy zrobiły się szkliste, po czym się zamknęły. Napięcie w szyi ustąpiło. Z twarzy zniknęły emocje. Głowa opadła na bok.

– Olav?

Odepchnęli ją ratownicy. Patrzyła na znajomy taniec wokół umierającego. Przeszła na chodnik. Wyprosiła papierosa od jednego z policjantów. Zapaliła w cieniu ratusza, pod złotym posągami Absalona.

W oknach budynku się świeciło. Zawsze chyba się świeciło. Ale nikt nie wyszedł zobaczyć, jak Olav Christensen umiera na czarnym, mokrym bruku Vester Voldgade. Za bardzo byli zajęci sobą.

Olava zabiło białe kombi. Tylko tyle wiedzieli. Lund od razu wypuściła komunikat. Potworne obrażenia Christensena wskazywały, że w chwili zderzenia samochód jechał z wielką prędkością. Musiał mieć uszkodzenia.

Najlepszy świadek, jakiego miała, parkingowy z ratusza, po służbie, powtarzał nieugięcie, że wypadek nie był przypadkowy. Christensen przechodził przez pustą jezdnię, gdy z boku wyjechał samochód i wpadł prosto na niego.

Byli tam Meyer, Svendsen i jacyś ludzie z nocnej zmiany.

– Niech technicy zabiorą komputer Christensena – mówiła. – Trzeba przeszukać jego biuro i przesłuchać wszystkich w wydziale. Sprawdźcie, czy ktoś z jego kręgu jeździ białym kombi.

Svendsen ruszył do ratusza.

– Jesteś pewna, że to nie był wypadek? – spytał Meyer.

– Gdzie ślady hamowania? On przyspieszał i jechał prosto w Christensena. Chciał go zabić.

Lund obejrzała się w stronę ratusza.

– Parkingowy kończył pracę. Powiedział, że widział wcześniej Christensena. W garażu. Rozmawiał z Poulem Bremerem.

Meyer stanął na jezdni.

– Bremerem?

– Bremerem. Chodźmy. Czas pogadać z panem burmistrzem.

Ratusz huczał od plotek. Skovgaard powiedziała, co mogła, policji. W drodze na spotkanie relacjonowała sprawę Hartmannowi.

– Umarł na ulicy.

– Na pewno to był on?

– Absolutnie. Lund tam była. Próbowwała z nim rozmawiać.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Musisz im powiedzieć, gdzie byłś.

Doszli już do szczytu głównych schodów. Na górę wchodzili Lund i Meyer.

Hartmann rzucił się do niej.

– Nie teraz – rzuciła. – Nie mam czasu.

– On nie żyje?

Lund nawet nie zwolniła.

– Tak.

– Morten podsłuchał jego rozmowę. Olav rozmawiał z kimś o pieniądzach.

– Wiem, wiem.

Szli długim korytarzem, wśród złocień i mozaik.

– Niech pani przestanie! – krzyknął. – Wie pani, że nie mam z tym nic wspólnego. Czemu pani tego nie powie?

Lund i Meyer odrobinę przyspieszyli.

– Nie mamy czasu – warknął Meyer.

Skovgaard z trudem trzymała nerwy na wodzy.

– Troels może stracić stanowisko przez to gówno!

Meyer stanął i wbił w nich wzrok.

– Okłamał nas pan, Hartmann. A pani.... – wymierzył palec w twarz Skovgaard – dała mu fałszywe alibi. Nie udawajcie, że jesteśmy wam coś winni.

– Jestem poza podejrzeniami? – nacisnął go Hartmann. – Badacie Olava, nie mnie. Tylko tyle muszę wiedzieć.

Lund ruszyła dalej. Meyer stał chwilę.

– Wiecie co? Ja już wiem, co wy tu robicie. Gadacie, gadacie i gadacie. Ale do słuchania chętnych nie ma.

I odszedł.

Po chwili zniknęli w głębi korytarza, zmierzając ku wydziałowi Bremera.

– Zapamiętam to! – krzyknął za nimi Hartmann.

Poul Bremer wyglądał na odprężonego i pewnego siebie. Zaskoczonego.

– Spotkał się pan z Olavem Christensenem przed jego wypadkiem? – spytała Lund.

– O ile pamiętam, w ogóle tego człowieka nie znam. Siedział w garażu i wyskoczył, żeby wygłosić mi kazanie.

Meyer położył stopy na polerowanym stoliku kawowym, robiąc notatki.

– Mówi pan, że to było nieplanowane?

Bremer utkwiał w niej wzrok.

– Jestem burmistrzem Kopenhagi. Nie odbywam spotkań na parkingach. Mówiłem już. Nigdy w życiu z nim nie rozmawiałem.

– Co powiedział? – spytał Meyer.

– Zaczął gadać jakieś bzdury. Coś... że mi pomagał.

– W czym?

– Nie zrozumiałem. Wspomniał o kluczach do mieszkania.

– Jakiego mieszkania?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że mnie z kimś pomylił.

– Pan jest burmistrzem Kopenhagi – przypomniała Lund.

– Nie znałem tego człowieka. Nie miałem pojęcia, o czym gadał.
Phillip...

Do pokoju wszedł wysoki, brodaty mężczyzna. Garnitur i krawat z emblematem Ratusza.

– To mój osobisty sekretarz, Phillip Bressau – przedstawił go burmistrz.

– Ponieważ waszym zdaniem to chyba ważne, chciałbym, żeby tego słuchał. – Potrząsnął głową. – Nie rozumiem. Po co te wszystkie pytania związane z wypadkiem samochodowym?

– To nie był wypadek – odezwał się Bressau. – Państwo pracują nad sprawą Nanny, o ile się nie mylę?

– To prawda? On został zabity?

– Sprawdzamy to – odrzekła Lund.

– Do diabła. Nie przyjmuję takich wykrętów od swoich ludzi i od was też nie przyjmę. Co tu się dzieje?

– Kiedy Christensen mówił do pana, czy wspomniał jakieś nazwiska?

– Nie! Zdał sobie sprawę, że się pomylił. I odszedł.

Lund czekała, ale burmistrz nie dodał nic więcej.

– Co miesiąc – powiedziała – wraz z pensją wypłacano mu pięć tysięcy koron. Dodatkowe. Bremer odwrócił się do Bressaua osłupiały.

– Nikt nie umie mi powiedzieć, za co dostawał te pieniądze – ciągnęła Lund.

– Burmistrz nie ma nic wspólnego ze służbą cywilną – wtrącił Bressau. – On pracował dla Wydziału Edukacji...

– Ktoś mu wmówił, że wyświadcza panu przysługi, panie Bremer. I że to ma coś wspólnego z mieszkaniem na Store Kongensgade i dziewczyną.

– Co?!

Starszy mężczyzna siadł w wygodnym skórzanym fotelu osłupiały.

– Czy to oskarżenie? – spytał Bressau.

Meyer klął, schowawszy głowę w dłoniach.

– To pytanie – wyjaśniła Lund. – Próbuję znaleźć powiązanie.

Potrzebujemy waszej pomocy...

Poul Bremer myślał.

– Czy on wspomniał jakieś nazwisko? – spytała ponownie.

– Czy to chodzi o nas albo o Troelsa Hartmanna?

Meyer opadł na oparcie krzesła i zawył przeciągle.

Po czym wrzasnął.

– Chodzi o morderstwo! O dziewiętnastoletnią dziewczynę, którą zgwałcono, wrzucono do bagażnika samochodu i utopiono.

Bremer i jego urzędnik milczeli.

– Chodzi o to, żeby się dowiedzieć, co się stało, podczas gdy wy, tacy świetni i ważni... – ruchem ręki Meyer wskazał wielkie biuro – ...chronicie tylko własne tyłki. Nic więcej was nie obchodzi.

– Pomóżcie nam – poprosiła Lund.

Meyer wyciągnął papierosa, zapalił pomimo wściekłych protestów Bremera.

Po czym wypuścił dym w stronę mozaik i złocień na suficie.

– Róbcie, co Lund mówi – rzekł już spokojnie – albo zostanę tu całą noc.

Poul Bremer wyglądał inaczej niż na swoich fotosach wyborczych. Wydawał się starszy. Cerę miał bardziej rumianą. Oczy bardziej zmęczone.

– Powiedzcie Bressauowi, czego potrzebujecie, a on się tym zajmie – powiedział. – Informujcie mnie na bieżąco. Tego się stanowczo domagam.

Nie ruszyli się.

– To wystarczy? – spytał.

Meyer zdjął nogi ze stolika, wsadził papierosa w zęby i wstał.

– Zobaczymy.

Pernille Birk Larsen siedziała sama w kuchni i słuchała wiadomości w radiu. Ściszyła je tak, żeby chłopcy w swoim pokoju nic nie słyszeli.

„Po apelu matki zgłosiło się kilku świadków w sprawie Nanny. Policja przeszukała biuro Liberałów i dom Troelsa Hartmanna. Samego Hartmanna przesłuchano”.

Weszła Lotte z jedzeniem z knajpy za rogiem.

Pernille patrzyła, jak otwiera pudełka. W gruncie rzeczy nie chciała mieć z siostrą do czynienia. Po kłamstwie w sprawie klubu. Ale Theis odszedł. Nie wyobrażała sobie, że poprosi rodziców o kolejną przysługę. Nigdy nie lubili Theisa i na zawsze przyrósł im do twarzy wyraz „a nie mówiliśmy”.

– Jutro spotkamy się z kierownikiem cmentarza przy grobie – wyszeptała.

– Dobra.

Lotte sięgnęła po talerze, widelce i łyżki.

– A co z mamą i tatą?

– Będziemy sami.

– Sami?

– Ty i ja. I chłopcy.

– A Theis?

Nie odpowiedziała.

– Wiem, że jesteś na niego wściekła, Pernille. Ale musicie rozmawiać. Nie możesz go odtrącić.

Nic.

– Może nie powinien bez pytania pakować jej rzeczy. Ale na miłość boską...

– To nie twoja sprawa.

– Nie zrobił tego, żeby cię wkurzyć! Zrobił, bo chciał pomóc!

– Pomóc?

– Musisz o tym zapomnieć. Nie widzisz? Jeśli pozwolisz, żeby ta sprawa wyrządziła jeszcze większe zniszczenia...

– Ta sprawa...

– Chciałam...

– Ktoś zabił Nannę! – powiedziała Pernille z naciskiem. – To się nie stało wczoraj. W zeszłym tygodniu. W zeszłym roku. – Dźgnęła się palcem w głowę. – To się dzieje teraz. Każdego dnia. Ty nie...

Nie czuła głodu, nie mogłaby przełknąć ani kęsa.

– Wiem, że muszą go znaleźć – tłumaczyła Lotte. – Ale to nie jest ważniejsze niż ty, Theis i chłopcy.

Pernille poczuła, jak wzrasta w niej furia, i zauważyła, że coraz bardziej się jej to podoba. Patrzyła na siostrę gniewnie. Lotte ciągle była piękna. Nie miała dzieci, nigdy nie miała trosk tego rodzaju. Nie miała męża ani nikogo na stałe.

– Kim ty jesteś, żeby mnie pouczać? – wysyczała. – Kim jesteś, żeby mi mówić, co mam robić?

Lotte zaczęła płakać, ale to nie było ważne.

– Jestem twoją siostrą...

– Nic nie jest ważniejsze. Ani ja. Ani Theis. Ani chłopcy. Ani ty...

– Pernille...

– Gdybyś mi powiedziała, co Nanna wyczynia, powstrzymałabym ją!

Lotte siadła przy stole, skulona i we łzach, cicha, ze spuszczonego wzrokiem.

– Nie ufam ci bardziej niż jemu. Jak mogłabym wam ufać?

Chichoty z pokoju chłopców. Zastanawiała się, czy Anton w końcu rano będzie miał suche łóżko.

– Anton! Emil! – zawołała. – Kolacja!

Chłopcy wrzasnęli radośnie.

– Nie powinni widzieć, jak płaczesz – powiedziała do siostry. – Albo przestaniesz, albo wyjdź.

Lotte poszła do łazienki, osuszyła oczy. Miała trochę kokainy w torebce... Nienawidziła się za to, że w ogóle jej to przyszło do głowy.

Potem wróciła do kuchni i skubała jedzenie, słuchała, jak chłopcy się śmieją, patrzyła na Pernille, która nie mogła się oderwać od telewizora.

O dwudziestej trzydziści zeszła na dół do garażu. Zastała tam zaniepokojonego Vagna Skærbæka, który obdzwaniał różnych ludzi.

Nie mógł znaleźć Theisa. Nie miał pojęcia, gdzie on może być.

– Do kogo dzwoniłeś?

– Do wszystkich, którym mogę ufać. Powiedziałem, żeby nie robili hałasu. Nie chcemy, żeby się to rozeszło po całym Vesterbro.

On i Theis byli jak bracia. Theis zawsze dominował, ale byli sobie bliscy. Jeśli ktokolwiek mógł go znaleźć...

– Pojeżdżę trochę – powiedział Skærbæk. – Przychodzi mi na myśl kilka miejsc...

– Co mówił, jak przyszedł do ciebie?

Skærbæk wkładał marynarkę. Czarną jak marynarka Theisa, tylko tańszą.

– Nic.

– Musiał coś mówić.

– Nic nie mówił! Oglądałem telewizję, a on zadzwonił do drzwi. Burknął coś, że to wszystko jego wina.

– A ty go puściłeś?

– A co miałem zrobić? Natrzaskać mu po łbie? Ty byś tak zrobiła?

– Vagn...

– Nie wiedziałem, że ona odgryzła mu jaja. Poszedłem po piwo dla niego, a jego już nie było.

W garażu było zimno. Lotte miała na sobie kusą bluzeczkę, którą nosiła w klubie. Dygotała.

– Wie, że jutro zostanie pochowana urna?

– Tak. Chyba tak. Jeśli Pernille mu powiedziała.

Nic jej nie przychodziło do głowy.

Vagn Skærbæk wyjął kluczyki do auta.

– Pojeżdżę. Znajdę go.

I dorzucił jeszcze smętnie, do siebie bardziej niż do niej:

– No bo to nie pierwszy raz przecież.

Poul Bremer siedział przed grupą przewodniczących, posiadaczy kluczy do Ratusza, i opowiadał się za oficjalnym postępowaniem w sprawie Hartmanna.

– Zawsze podziwiałem Troelsa, który jest pracowitym i byстрыm politykiem. Ale dowody świadczą przeciwko niemu, on zaś nie jest najwyraźniej w stanie złożyć wiarygodnych wyjaśnień. To smutna okazja...

Bremer spojrział po zebranych. Na Jensie Holcku zatrzymał się dłużej.

– Nie mamy wyboru. Musimy głosować nad postawieniem go przed Komisją Wyborczą. Niech złoży wyjaśnienia.

– Hartmannowi nie postawiono zarzutów – wtrącił się Holck. – Może zostawmy to policji?

– Wszyscy znamy Troelsa. Wszyscy go lubimy.

– Cała rada mogłaby być pozwana, gdyby postawił pod pręgierzem nauczyciela, tak jak chciałeś – dodał Holck. – Teraz mamy ryzykować, że tak samo postąpimy z nim?

– Znam Troelsa dłużej niż ktokolwiek z was. Rozumiem, co czujecie.

Uśmiech męża stanu.

– Zwłaszcza że mieliście utworzyć z nim koalicję.

Przeszedł się po sali, poklepał Holcka po plecach.

– Zgadza się, Jens? Ale pomijając interes partyjny, naszym obowiązkiem jest utrzymać ufność społeczeństwa w system polityczny. Musimy postawić sobie pytanie, jak długo będziemy wiarygodni, jeśli tak znaczny członek naszego zgromadzenia będzie codziennie przesłuchiwany jako podejrzany o morderstwo. Jeśli mamy...

Otworzyły się drzwi. Do środka wpadł Hartmann.

– Przepraszam. Przeszkadzam może?

– Nie byłeś zaproszony, Troels.

– Nie – warknął Hartmann. – To prawda. Mówiłeś już wszystkim, że policja teraz prowadzi śledztwo tutaj, w Ratuszu? Że przepytują urzędników? Że rozmawiali z tobą?

Bremer się nie dawał.

– To prywatne spotkanie. W twojej sprawie. Dlatego nie zostałeś zaproszony.

Hartmann spojrział na zebranych.

– Jeśli macie pytania, zadajcie je! Nie słuchajcie tego kręckiego starego drania! Pytajcie mnie!

Bremer się roześmiał.

– Jeśli takie jest życzenie ogółu... Mów, co masz do powiedzenia. O ile...

Hartmann stanął przed nimi.

– Wiem, że niepokoją was ewentualne szkody. Postawienie mnie przed Komisją Wyborczą niczego nie rozwiąże. Nie mam nic wspólnego z tą sprawą.

– Już niedługo się o tym dowiecie – rzekł Bremer.

Zadzwoiła jego komórka. Oddalił się, żeby ją odebrać, po czym podszedł do faksu stojącego w rogu pomieszczenia.

– Ktoś kupił usługi Olava i jego milczenie – ciągnął Hartmann. – Za pomocą funduszy pochodzących z kasy miejskiej. Nie pytajcie mnie jak.

Policja prowadzi śledztwo.

Bremer już wracał z faksem. Czytał go uważnie.

Hartmann perorował.

– Burmistrz jakoś o tym nie wspominał, choć wie o sprawie. Chce się mnie pozbyć, by wspomóc własną kampanię.

– Och, Troels – odezwał się Bremer. – Tak chętnie rzucasz oskarżenia na innych, a milczysz, kiedy w grę wchodzi twoje sprawki.

– Nie...

– Wyśledziliśmy pieniądze, które otrzymywał Olav Christensen.

Pomachał dokumentem.

– Phillip Bressau znalazł je w księgowości. Przekazał księgi policji. Już są w drodze. Proszę. Czy teraz jesteś zadowolony? Czy należycie powiadamiam o faktach?

Puścił dokument w obieg.

– To prawda, że pieniądze pochodziły z kasy miasta – dodał. – Zapewne było to powiązane z raportami w sprawie środowiska. Raportami przygotowywanymi dla służb szkolnych. Pieniądze za tak zwane konsultacje, wypłacane bezpośrednio z budżetu zastępcy burmistrza do spraw edukacji.

Hartmann porwał dokument, który właśnie czytał Jens Holck.

– Nie bądź śmieszny. Nie znam każdego, kto jest na mojej liście płac, do cholery! Podobnie jak ty. To jakiś kolejny absurd. – Hartmann się plątał.

– To pomyłka. Policja na pewno to wyjaśni.

Ludzie wokół stołu milczeli, nie patrzyli na niego.

– Gdybym ja korzystał z usług tego człowieka – ciągnął Hartmann – czy płaciłbym mu z własnej kasy? To sfabrykowane...

Bremer zajął swoje miejsce u szczytu stołu i patrzył, jak Hartmann gardłuje.

– To sfabrykowane – powtórzył tamten ciszej. – Jak wszystko inne.
Od początku. Jens...

Chwycił Holcka za ramię.

– Wiesz, że ja bym tego nie zrobił.

Holck ani drgnął.

– Ktoś pozmieniał te cholerne rekordy. Ktoś stąd...

Otworzyły się drzwi. Stanął w nich Meyer ze swoimi wielkimi uszami i żałośnie zarośniętą twarzą.

Wszyscy odwrócili się do niego i czekali.

– Na miłość boską... – zaczął Hartmann.

Meyer zastukał w lśniące drewno.

– Czas na spacer, Troels – powiedział.

Zdążył już zapanować zwykły w podobnych sytuacjach rozgardiasz. Flesze, kamery, krzyki reporterów. Meyer powiedział kamerzyście, żeby się odpierdolił. Svendsen położył dłoń na głowie Hartmanna, gdy wpychali go do radiowozu zaparkowanego na brukowanym podwórku pod złotym posągami biskupa Absalona.

Rie Skovgaard i Morten Weber przyglądali się temu wszystkiemu od strony bramy. Wataha pomknęła za niebieskim radiowozem z białym napisem „Politi” na boku. Hartmann siedział w nim przygarbiony, jadąc po raz kolejny na komendę.

– Tym razem, Hartmann – odezwał się Meyer z przedniego fotela – powiesz nam prawdę albo całą noc będziesz się pocił pod celą.

W sali zebrania Bremer podszedł do Holcka, który został sam i palił przy oknie, oglądając zamieszanie na dole.

– Jeśli chcesz przeżyć w polityce, Jens – wyszeptał – głosuj ze mną.

Holck był blady i wydawał się zmartwiony. Zagryzał papierosa. Milczał.

– I jeśli jesteś bystry, przekonasz resztę piesków Hartmanna, żeby zrobili to samo. W tej chwili mogę się was wszystkich pozbyć i rządzić tu sam.

– Poul...

– Nie, Jens. Bez gadania.

Starszy mężczyzna wyglądał teraz na mściwego okrutnika. Nie zamierzał przepuścić takiej okazji.

– Już z tego wychodził – zauważył jednak Holck.

– Nie tym razem. Ale to twój wybór. – Jego głos przybrał na sile. Pozostali spojrzeli na niego tak jak zawsze. Potulnie i posłusznie. – Wy wszyscy musicie dokonać wyboru. I dla odmiany wybierzcie mądrze.

Lund patrzyła z korytarza, jak Svendsen radzi sobie z Hartmannem w areszcie.

Standardowa procedura. Przeprowadzano ją codziennie. Ale nigdy z udziałem człowieka w drogim garniturze biznesmena, polityka rangi Hartmanna.

Svendsen wyliczał jego rzeczy. Siedemset koron i trochę drobnych. Dwadzieścia euro. Dwie karty kredytowe i telefon.

– Teraz proszę zdjąć marynarkę i odłożyć ją na krzesło.

Funkcjonariusz w mundurze zapisywał wszystkie rzeczy.

– Pański krawat – powiedział Svendsen.

Patrzyli.

– Buty na stół.

Hartmann wykonał polecenie.

– Teraz proszę podnieść ręce. Muszę pana przeszukać.

Mundurowy wstał i zamknął żaluzje. Lund nic już nie widziała.

W biurze zastała Brixa przeglądającego dokumenty.

– Więc możemy udowodnić, że Hartmann stoi za wypłatami dla urzędnika? – spytał.

– To trochę skomplikowane – stwierdził Meyer. – Ale tak wynika z tego, co znalazł ten Bressau.

– Powiedział coś?

– Ani słowa.

Brix spojrzał na Lund.

– Powinniśmy się skupić na tym wypadku – upierała się. – Wiemy, że to nie mógł być Hartmann.

– Macie prowadzić sprawę Nanny. To Hartmann. Nie urzędnik.

Lund wzięła dokument od rzecznika Bremera.

– Rozmawiałam z ludźmi w wydziale Hartmanna. Nikt nawet nie słyszał o takiej umowie. A Bressau wyciągnął to z akt w pięć minut.

– Więc trzymali to w tajemnicy – uznał Meyer.

– Hartmann próbował zwolnić Olava! Podał nam jego nazwisko!

Brix obstawał przy swoim.

– Jeśli jest niewinny, dlaczego tego nie powie?

– Nie wiem! Ale to się nie trzyma kupy.

– Więc ściągajmy prokuratora – zaproponował Brix. – Może to mu rozwiąże język. Tak czy inaczej ten nadęty gnojek przemówi.

Lund bawiła się samochodziem Meyera, słuchając syreny.

– Czy my mamy znaleźć mordercę Nanny Birk Larsen? Czy też wyświadczyć przysługę polityczną człowiekowi rządzącemu Ratuszem?

Brix się uśmiechnął. Rzadki widok.

– Ten jeden raz zapomnę, co powiedziałaś, Lund. Może jeśli chodzi o Hartmanna, brakuje ci zwykłej bezstronności.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

Brix odwrócił się do Meyera po wsparcie. Meyer wbił wzrok w biurko.

– Dzięki – rzuciła do niego Lund. – Świetny zespół.

Po czym wzięła swoją torebkę i wyszła, trzaskając drzwiami.

Brix patrzył, jak wychodzi.

– Sam sobie z tym poradzisz, Meyer. Pracuj dalej. – Znowu uśmiech. –

Dobra robota.

– Może powinniśmy jej posłuchać, szefie.

– Dlaczego?

– Kiedy Lund ma jakiś pomysł...

Brix czekał.

– ...zwykle coś w tym jest. Nie zauważył pan?

Lennart Brix patrzył na niego przygnębionym wzrokiem.

– O, mój drogi – powiedział. – Ty też to robisz.

– Co?

– Dwa kroki naprzód. Jeden w tył. Nie potykaj się już. Nie stać cię na to.

W drodze do wyjścia Lund zatrzymała się, by pogonić nocną ekipę.

– Obdzwońcie wszystkie naprawy powypadkowe. Kaźcie im szukać białego kombi. Uszkodzony przód i lewy błotnik. I dajcie mi znać.

Na korytarzu czekał Morten Weber.

– Musi mnie pani wysłuchać, Lund. To się wymknęło spod kontroli.

– Niech pan porozmawia z Janem Meyerem. On jest na służbie. Ja nie.

– Hartmann nie zabił tej dziewczyny. To absurd.

– Więc powinien nam powiedzieć, gdzie był. To nie jest trudne.

Weber wyraźnie z czymś walczył. To ją zainteresowało.

– To jest trudne.

– Dlaczego?

– To dumny człowiek. Zależy mu na zachowaniu godności. Wiem, że to żalosne, ale tak jest. Nie staje się przez to mordercą.

Czekała.

– Troels nie jest tak silny i pewny siebie, jak się wydaje. Wie pani o tym, Lund. Pani zna się na ludziach.

- To nie jest kwestia psychologii.
- Czasami zachowuje się jak głupek.
- Powinien pan to powiedzieć sędziemu. Nie sądzę, żeby to w czymś pomogło. Moim zdaniem nie pomoże.

Ruszyła do wyjścia. Weber podążył za nią.

- Niech mi pani pozwoli z nim porozmawiać – poprosił.
- Chyba pan żartuje.
- Jezu, Lund. On może odpaść z wyborów! To jedyna ważna dla niego rzecz.

Zatrzymała się.

- Czy to jest dla was jakiś żart? Nie żyje młoda dziewczyna. Zgwałcona. Zamordowana. A za każdym razem gdy pytamy was, co się dzieje, wy kręcicie, kombinujecie i kłamiecie?

O dziwo, Weber sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- No? – podjęła. – To żart? Kawał? Pobita, wrzucona do bagażnika i utopiona. Chce pan zobaczyć zdjęcia, Morten?

Wzięła go za ramię.

- Chodźmy. Popatrzymy sobie i pośmiejemy się.

Wzbierała w niej złość. To nie zdarzało się często. Ale przyniosło coś w rodzaju ulgi.

- Możemy sobie też wziąć takie z sekcji zwłok, jeśli pan woli...

- Niech pani przestanie. To poniżej pani godności.

Jasne oczy wpatrywały się w niego, ręka dotykała jego marynarki.

- Poniżej mojej godności? Nic nie jest poniżej mojej godności. Nic, jeśli mogę się dowiedzieć, kto zabił Nannę Birk Larsen. Jeśli pan wie, gdzie Hartmann był, niech mi pan powie. Albo proszę stąd wyjść. Szkoda mojego czasu.

Weber przez chwilę stał bez ruchu, aż wreszcie pokręcił głową.

- Nie mogę, przykro mi.
- Dobrej nocy – odparła i odprowadziła go do drzwi.

Lund odebrała Marka z imprezy i wiozła do Vibeke, słuchając radia. Hartmanna aresztowano jako podejrzanego o zamordowanie Nanny Birk Larsen. Musiał stanąć przed Komisją Wyborczą, która miała go pozbawić prawa do startowania w wyborach.

- Nie można ciszej? – spytał Mark.

Wyłączyła radio.

- Fajnie było na imprezie?

Sprawa Birk Larsen wrosła w jej myśli.

Po długiej, bardzo długiej chwili odpowiedział, boleśnie przeciągając samogłoski:

- Było w porządku.

- Wiem, że przez cały tydzień nie byłeś w szkole.

Odwróciła się, by wysłuchać odpowiedzi, ale nie doczekała się.

– Wiem, że trudno wrócić, jak się już ze wszystkimi pożegnało. Przykro mi. Ale nie możesz opuszczać lekcji.

Wyglądał przez okno, patrząc na deszczową noc.

- Nie zgodzę się na to. Rozumiesz?

Zastanawiał się chwilę.

- Masz coś przeciw temu, żebym pobył kilka dni u taty?

Wpatrywała się w czarną, wilgotną drogę przed sobą.

- Kiedy rozmawiałeś o tym z Carstenem?

- Masz coś przeciwko?

- Tak, mam. Kiedy z nim rozmawiałeś?

- Jakie to ma znaczenie? I tak cały czas siedzę z babcią. Nie z tobą.

- Wiesz, jaki jest ojciec. Obiecuje coś, a potem... zapomina.

Westchnął i wbił wzrok w tablicę rozdzielczą.

– Wiesz, jak się denerwujesz, kiedy tak się dzieje. Nie chcę tego. Oni się dopiero tu sprowadzili. Mają mnóstwo roboty.

– On się zgodził.

– Kiedy z tobą o tym rozmawiał? Kiedy?

– Ja nie jestem jednym z twoich podejrzanych, mamó.

– I gdzie byłeś ten cały tydzień? Co robiłeś?

Znów odwrócił się twarzą do okna.

– U taty jest okej. I mają dla mnie pokój.

– To i tak nie wchodzi w grę.

Gwałtownym ruchem wyrzucił nogi przed siebie, skrzyżował ramiona. Rozdarty pomiędzy byciem dzieckiem a nastolatkiem.

– Wiem, że było trudno, Mark. Ale nie martw się. Naprawię to. Nic się nie zmieniło. Jesteśmy tacy sami.

– To nie to samo. I doskonale o tym wiesz.

– Mark...

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Mark...

– To moje życie! – wrzasnął. – Nie jestem twoją własnością.

8_

SOBOTA_ 15 LISTOPADA_

O dziewiątej rano Mark postawił swoje rzeczy przed domem babci. Narty i sprzęt hokejowy. Torby sportowe i mała walizka.

Ręce w kieszeniach. Wyglądał na więcej niż dwanaście lat. Lund nie mogła się powstrzymać, żeby nie sprawdzić, czy ma zapiętą kurtkę, nie poprawić mu kołnierzyka.

– Wszystko w porządku, mamo.

– Nie, nieprawda. Jest zimno.

Nadchodziła zima. Wiatr stawał się przenikliwy. Mijał kolejny rok. Mark rósł, i coraz bardziej się od niej oddalał.

Nie wzdrygnął się pod jej dotykiem. To ją ucieszyło.

Oczy wpatrzone w dal. Nie mógł doczekać się odjazdu.

– Tata jedzie.

Lśniący czerwony saab. Sportowe koła. Przyciemniane szyby. Męska zabawka.

Mark spojrzał na wóz z uśmiechem.

– Nara – powiedział i chwycił rzeczy, by wrzucić je na tylne siedzenie. Sam siadł z przodu.

Carsten opuścił szybę. Dobrze wyglądał. Ciemny elegancki płaszcz, inne okulary. Włosy za długie jak na policjanta, ale policję opuścił dawno temu.

I ją. Carsten był ambitny na sposób, którego ona nigdy do końca nie rozumiała. Chodziło mu o pieniądze i pozycję. Nie o osiągnięcia. Tak jak jej.

Mężczyzna, którego kiedyś poślubiła, z którym kiedyś sypiała i którego kochała, uśmiechnął się do niej zdawkowo, z nutą żalu, nawet wstydu na spokojnej, menedżerskiej twarzy.

Raz mnie uderzyłeś, przypomniała sobie Lund. Tylko raz. I nie, nie prosiłam się o to.

Lśniący czerwony saab potoczył się po jezdni.

Lund machała i uśmiechała się do nich obu. Aż zniknęli za rogiem.

– Halo?

Za nią stał Meyer. A jego samochód kilka metrów dalej. Nie zauważyła.

– On się wyprowadza?

– Tylko na kilka dni – powiedziała nieco za ostro.

– Najpierw Szwed. Teraz młody. Mam nadzieję, że matka zostaje.

Wpatrywała się w niego. Okrucieństwo jakoś nie pasowało do dziwnego charakteru Meyera. Był jednocześnie prosty i skomplikowany. W pewien sposób podobało się jej to.

– Jakież wieści o samochodzie?

– Nie.

– Musimy znowu sprawdzić garaż w ratuszu.

– Może. Brix do czegoś doszedł. Nie wiem do czego.

Milczała.

– To szef, Lund. Nie możesz się z nim kłócić. Jemu się nie rozkazuje.

– Brixowi nie trzeba rozkazywać. On wie, czego oni chcą.

Znowu skórzana kurtka harleyowca. Trochę już niechlujna.

– Co to ma znaczyć?

– Tak to działa. Nie sądzisz chyba, że Poul Bremer dzwoni do Bixa i mówi mu, co ma robić. Nie musi. Brix wie.

Ona też wiedziała.

– Udupić Hartmanna. Wszelkimi sposobami.

Przemyślała to wszystko, przeanalizowała, uwzględniając każde najdrobniejsze wydarzenie w komendzie, które ją zaskoczyło.

– To się nazywa władza. A my wszyscy... – i Theis, i Pernille Birk Larsen – ...my się nie liczymy.

– Brix znalazł informacje o jakiejś posiadłości Hartmanna. Ma domek, o którym nam nie powiedział. Wyjął z kieszeni kartkę. Lund na nią spojrzała. U góry widniała pieczęć Wydziału Nieruchomości.

– Ciekawe, jak do tego doszliśmy.

– Musimy tam zajrzeć. Brix już tam jest. Chcesz jechać?

Domek znajdował się w Dragør, dziesięć kilometrów od centrum, niedaleko skromniejszej działki Kemala. Przy podjeździe stało sześć radiowozów, w tym dwa nieoznakowane. Czerwona taśma wyznaczała granicę ogrodu. Parterowy, drewniany domek, skromny i zaniedbany, niemal ginął w bezładnym lesie choinek.

Svendsen dowodził zespołem. Lund weszła do środka z Meyerem i przysłuchiwała mu się.

– Hartmann odziedziczył tę nieruchomość po żonie. Wygląda na to, że zaczęli coś tu inwestować, ale po jej śmierci on zrezygnował.

W kuchni panował bałagan. Brudne talerze zaschły na nowoczesnej kuchence. Jedyne światło dawały otwarte drzwi i reflektory ustawione przez techników.

Lund spojrzała na okna. Wszystkie były zasłonięte. Prześcieradłami. Narzutami. Obrusami.

– W weekend, gdy zniknęła Nanna, dwoje sąsiadów widziało na podjeździe czarny samochód. W końcu wiemy, gdzie był.

W salonie dwóch funkcjonariuszy w białych kombinezonach oznaczało interesujące ich przedmioty, robiło zdjęcia.

– Opis pasuje do samochodu, w którym znaleziono Nannę.

Ktoś ustawił pionowo materace na oknach.

– Ktoś go widział? – spytał Meyer.

– Nie. Ale mamy świeże odciski palców. Należą do niego. I to.

Podniósł torebkę dowodową ze stołu. Popołudniowa gazeta z piątku trzydziestego pierwszego października.

– Była przyklejona do wybitego okna.

Lund spojrzała na stłuczone szkło u góry jednej z wysokich ram okiennych po słonecznej stronie pawilonu. Na kilku odłamkach leżących na błyszczących drewnianych deskach podłogowych widać było krew.

Pewnym krokiem wszedł Brix.

– Hartmann potrzebował jakiegoś odosobnionego miejsca – oznajmił. – I tu je znalazł. Nie miał przy sobie klucza, więc wybił szybę, by dostać się do środka.

Lund wzięła poduszkę z kanapy i powąchała ją. W powietrzu unosiły się resztki jakiegoś szczególnego zapachu. Silniejsze na miękkiej powłoczce poduszki.

– Potem pozasłaniał okna, żeby nikt nie widział, co tu wyrabia – dodał Brix.

Svendsen wskazał kuchnię.

– W pomieszczeniu gospodarczym jest cementowa podłoga. Tam ją trzymał. Znaleźliśmy tam krew.

Przeszła do następnego pomieszczenia. Podwójne łóżko. Zmiętolona pościel. Tutaj też krew, ale niewiele.

– Co tam znaleźliście? – spytała.

Svendsen zerknął na Brixą.

– Ciągłe szukamy, Lund.

Brix spojrzał na zegarek.

– Ja wracam. Jak znajdziecie jakieś twarde dowody, dajcie mi znać.

Przedstawię je sędziemu.

Podszedł do Lund, która właśnie lustrowała pokój.

– Mogę liczyć na ciebie?

– Zawsze – odparła.

Wyszli ze Svendsenem i rozmawiali przyciszonymi głosami.

Meyer został i za przykładem Lund też lustrował bacznie pomieszczenie.

Pod drzwiami łazienki wepchnięto zwinięty ciasno fioletowy ręcznik.

Lund skinieniem głowy wskazała wylot wentylacji na ścianie. W kratkę wciśnięto kulę z gazety.

– Technicy nie wspomnieli o gazie – powiedział. – A tu cuchnie gazem.

Jeśli Nanna tu była, znajdą ślady.

Lund pokręciła głową.

– Zostawiłbyś samochód na podjeździe, gdzie każdy mógłby go zobaczyć?

– To się nie zgadza – przyznał Meyer. – Gównu mnie obchodzi, co sobie myśli Brix. Sprawdzamy tego zbiegłego kierowcę.

Wyszła na zewnątrz i odetchnęła głęboko. Drzewa skojarzyły się jej z pobliskim Lasem Zielonoświątkowym.

– Co powiemy Brixowi? – spytał.

– On jest zajęty rozmową z sędzią. Nie przeszkadzajmy mu.

Pernille Birk Larsen siedziała w kuchni, w płowym płaszczu, błędząc gdzieś myślami. Telefon dzwonił.

W końcu Lotte go odebrała.

– Pernille, przedsiębiorca pogrzebowy chce z tobą rozmawiać.

Nie mogła oderwać wzroku od rzeczy, które ją otaczały. Stołu, zdjęć, przedmiotów na ścianie. I od widocznego przez otwarte drzwi pokoju Nanny, który przywróciła do poprzedniego stanu. Był opuszczony, ale zachowany, jak sanktuarium.

– Powiedz, że już jadę – rzuciła w drodze do drzwi.

Na dole jak zawsze pracowali ludzie. Vagn Skærbæk nadzorował wózki i podnośniki, skrzynie i pudła.

Odprowadził ją do drzwi.

– Miałaś wiadomości od Theisa?

– Nie.

– Więc nie wiesz, co, do cholery...?

Głos mu zamarł pod siłą jej spojrzenia.

– Jest przeprowadzka biura z Brøndby do Enighedden. Robicie to?

– Wysłałem tam Franza i Rudiego.

Przytrzymał drzwi, gdy wsiadała do auta.

– Może powinnaś do niego zadzwonić, Pernille.

Położyła ręce na kierownicy. Nie spojrzała na niego.

– Jestem ci wdzięczna, że zajmujesz się firmą, Vagn. I na tym poprzestań.

Ta żalosna, blada twarz za szybą. Srebrny łańcuch. Stroskana mina na dziwnie młodszej, dojrzałej twarzy.

– Tak, jasne. Postaram się go złapać. Jeśli wy...

Za nią zatrzymał się samochód. Głowa Pernille Birk Larsen opadła na kierownicę.

To była Lund.

– Powiedziano mi, że była tu pani siostra.

– Po co to pani?

– Chcę jej zadać jeszcze kilka pytań.

Ruszyła do garażu i mieszkania.

– Jesteście pewni, że to Hartmann?

Lund nie odpowiedziała.

– Nagroda pomogła, prawda?

W głosie Pernille Birk Larsen brzmiała nuta desperacji, poczucia winy.

Lund spojrzała na nią uważniej:

– Nie mogę rozmawiać o sprawie. Przykro mi.

I weszła do środka.

Lotte Holst robiła pranie. Wydawała się równie buntowniczo nastawiona i nieskora do pomocy jak siostra.

– Wszystko już powiedziałam.

– Tylko pani wiedziała o tym romansie. Nadal nie rozumiem...

– To był Hartmann, prawda? – spytała Lotte, przeglądając ubrania chłopców i wpychając je do pralki.

– Co się wydarzyło latem?

Lotte dalej w milczeniu sortowała pranie.

– Czytałam maile na portalu randkowym klubu. – Lund wyciągnęła z torebki wydruki.

– Ja już tam nie pracuję.

– Maile są dziwne. On nadal chce się z nią widywać, ale jej odpowiedzi stają się coraz rzadsze. Nanna mówiła, że z nim zerwała?

Lotte się zawahała.

– Nie. Ale zniechęciła się do niego. Widziałam to. Może pojawił się ktoś inny. Nie wiem.

Wsyłała proszek, zamknęła drzwiczki i włączyła pralkę.

– Nanna była romantyczką. Jak to nastolatki. Nie żeby uważała się za nastolatkę. Myślę, że ona przeskakiwała z jednej wielkiej miłości

do drugiej. Choćby co tydzień.

– Hartmann poznał ją w klubie?

– Nigdy go tam nie widziałam.

– A pierwszy tydzień sierpnia? To ważne.

Lotte w milczeniu ruszyła do salonu.

– W piątek – ciągnęła Lund – on pisze, że wyjeżdża nazajutrz. Bardzo chce się z nią spotkać. Dzwoni do niej. Ale...

– Ale co?

– Nie ma w billingach żadnych telefonów Hartmanna. I w tamten weekend on nigdzie nie wyjeżdżał.

Lotte sięgnęła po torbę, wyciągnęła kalendarz i zajrzała do niego.

– Mieliśmy wówczas imprezę dla vipów. Wtedy są duże napiwki.

– Co się stało?

– Rzeczywiście, coś pamiętam. Musiałam ją poprosić, żeby wyciszyła telefon. Cały czas przychodziły wiadomości.

– Od kogo?

– Nie wiem. Nie odbierała ich.

Lotte zamilkła.

– I co? – naciskała Lund.

– Pamiętam, że prosiła, żebym zrealizowała jej zamówienia. Musiała porozmawiać z kimś na zewnątrz. Byłam wściekła. Wiecznie prosiła, żebym ją zastępowała. We wszystko wścibiała nos. I brała moje rzeczy. – Ogarnęła ją nagła fala gniewu. – Nanna nie była aniołkiem. Wiem, że nie powinnam tak mówić...

– Widziała pani mężczyznę, z którym się spotykała?

– Wyrzałam na ulicę i zobaczyłam samochód. Chciałam wiedzieć, co jest takie ważne, że muszę odwalać za Nannę robotę.

– Jaki samochód?

– Nie wiem... Zwyczajny.

– Sedan? Kombi? Jaki kolor?

– Nie wiem.

– Widziała pani kierowcę?

– Nie.

– Marka? Coś charakterystycznego? Coś...

Głos po prostu wypływał z Lund, nie mogła go powstrzymać.

Lotte potrząsnęła głową.

– Nic zupełnie? – pytała Lund. – Jest pani pewna?

Chwila namysłu.

– Chyba był biały.

Rie Skovgaard przeczytała list.

– To nie trwało długo – powiedziała.

– Co to jest?

Pokazała Weberowi. Oficjalne powiadomienie z Ratusza, że do następnego ranka mają opuścić pomieszczenia biurowe.

– Nie mogą tego zrobić! – Weber machnął listem w powietrzu. – Nie mogą! Komisja Wyborcza zbierze się dopiero wieczorem.

– Och, na miłość boską. On siedzi w więzieniu, grozi mu oskarżenie o morderstwo. Czego się spodziewasz?

– Adwokatka z nim porozmawia. Znajdziemy jakieś wyjście.

Wyglądała na przemęczoną, u kresu wytrzymałości. Włosy w nieładzie. Zero makijażu. Zmęczone, wściekłe oczy.

– Dopóki Troels nic nie powie, nie będzie żadnego wyjścia.

Do otwartych drzwi zapukało dwóch techników kryminalistyki w białych kombinezonach. Weszli i zaczęli czegoś szukać. Skovgaard przeszła do gabinetu Hartmanna. Weber podążył za nią.

– Mógłbym zamienić słowo z twoim ojcem, Rie? On ma koneksje.

- Koneksje?
- Tak.
- Powiedz mi, co się stało. Co Troels robił w tamten weekend?
- Nie wiem...
- Nie kłam! Zadzwoiłam powiedzieć ci, że zniknął. Nie miałam pojęcia gdzie. Ty sugerowałeś, że poszedł pić.
- Rie...
- Nie martwiłeś się, bo wiedziałeś, gdzie on jest.
- To nie...
- Powiedział ci. Nie mógł powiedzieć mnie. Wiesz, jakie to uczucie? Nie znalazł odpowiedzi.
- Co on robił? – spytała znowu.
- Weber westchnął, siadł. Wyglądał jak stary i zmęczony człowiek.
- Troels jest moim najdawniejszym przyjacielem.
- A ja kim jestem właściwie?
- Obiecałem mu, że nikomu nic nie powiem! – Spojrzał na nią. – Nikomu.
- Więc co jest tym wielkim sekretem? Inna kobieta? Przechodzimy przez to wszystko, bo on nie ma odwagi powiedzieć mi w oczy, że znowu pieprzy, co popadnie?
- Nie. – Pokręcił głową. – Oczywiście, że nie.
- Więc znowu jego żona? Coś wspólnego z nią?
- Nie patrzył w jej wściekłe oczy.
- Odpowiedz mi. Wiem, że była ta rocznica. Co on zrobił?
- Weber trząsł się i pocił. Potrzebował zastrzyku. I drinka.
- Co on zrobił? – spytała raz jeszcze.

Lund czekała na Hartmanna w tym samym pokoju widzeń, w którym niedawno rozmawiała z Theisem Birk Larsenem. Pojawił się w niebieskim

kombinezonie więziennym, musiał zdjąć buty, obserwowany uważnie przez strażnika.

Siadła, opierając dłonie na udach. W wełnianym swetrze było jej za gorąco. Czarne na białym, przeplatające się łańcuchy śnieżynek.

Nie ogolił się. Wyglądał na załamane, jak cień śmiałego i przystojnego polityka z Ratusza.

Chwilę to trwało, ale w końcu Troels Hartmann przyciągnął sobie krzesło i usiadł.

Lund spojrzała na niego desperacko błyszczącymi oczami.

– Potrzebuję pańskiej pomocy – powiedziała. – Tamtego wieczoru w mieszkaniu... zauważył pan białe kombi?

Hartmann wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Stało na podwórku po pańskim wyjściu? Albo na ulicy?

Spojrzał za okno, na blade zimowe słońce. Nie wiedziała, czy jej słucha, czy nie.

– Czy ktoś z Ratusza jeździ białym kombi?

– O ile wiem, Lund, zostałem aresztowany za jeżdżenie czarnym samochodem. Po co mnie pani drażni tymi bzdurami?

– To ważne.

– Skoro szuka pani białego wozu, to dlaczego, do cholery, ja siedzę w więzieniu?

– Ponieważ sam się pan tu wsadził. Znaleźliśmy domek pańskiej żony. Wiem, co pan robił tamtej nocy.

Hartmann skrzyżował ramiona na klatce piersiowej.

– Zrolowany ręcznik pod drzwiami, materace na oknach. Gazety we wszystkich szczelinach i otwarty piekarnik gazowy.

Siedział milczący i ponury.

– Może ktoś panu przeszkodził. Może pan stchórzył. Nie wiem.

Znowu skierował twarz do okna.

– Czy to dla mężczyzny takie poniżające powiedzieć, że się upił i próbował się zabić? Czy straciłby pan głosy? Albo Rie Skovgaard? Czy ucierpiałoby tylko poczucie własnej wartości?

Mężczyzna w niebieskim więziennym kombinezonie myślami był gdzie indziej.

– Czy to jest warte ceny, którą pan płaci?

Milczenie.

– W sumie mnie to nie obchodzi, Hartmann. Chcę, żeby mi pan pomógł. Potem może pan stąd wyjść i rozgrywać swoje sprawy w Ratuszu. A my dalej będziemy rozpracowywać, kto z was zamordował Nannę Birk Larsen.

– Nic pani nie wie – burknął.

– Naprawdę? To było w pańskim dzienniku. Kiedy żona zachorowała, lekarze powiedzieli, że potrzebuje leczenia. Odmówiła. Była w ciąży. Wiedziała, że to może zaszkodzić dziecku. Więc...

Patrzył teraz na nią i po raz pierwszy dostrzegła na twarzy Troelsa Hartmanna przerażenie.

– Myślę, że ma pan poczucie winy. I ono nie daje panu spokoju. Gdybyśmy się zgodzili? Może by żyła. Może dziecko też by żyło. Jeśli nie, zawsze jest szansa na następne.

Jego niebieskie oczy zalśniły gniewem.

– Myślę, że czuje się pan winny – powtórzyła. – I że tamtej nocy zdał pan sobie sprawę, że jakkolwiek ciężko będzie pan pracował w tym pięknym, pustym świecie Ratusza, pańskie życie, to, które pan kochał, nie wróci. Więc się pan poddał.

Lund kiwnęła głową.

– Silny, nieustraszony, porządny Troels Hartmann pozwolił wygrać demonom. I ta świadomość tak pana przeraża, że woli pan zgnieć

w więzieniu niż przyznać się do tego. Więc...

Opadła na oparcie i uśmiechnęła się do niego. Poczowała ulgę, że wreszcie w tym długim kłębie splątanych wątków jedna zbłąkana nić zbliża się do czegoś na kształt końca.

– Pomoże mi pan?

Czekała, ale on milczał.

– Pochlebia pan sobie, że ma tyle do stracenia. Nieprawda, Troels. Szczerze, nie ma pan.

Meyer dostał listę białych samochodów korzystających z garażu Ratusza.

Lund wzięła jakieś pigułki na ból głowy i nawet na nie nie spojrzała. Tak bardzo się starała przy Hartmannie. Połączyła punkty i powiedziała mu o tym. A jednak nic się nie zmieniło. Nadal trasa mordercy Nanny kryła się w mroku.

Jeśli nie zacznie mówić, niech sobie gnije w więzieniu.

– Sprawdziłem wyjazd – ciągnął Meyer. – Zaraz po rozmowie Olava z Bremerem z garażu wyjechał samochód.

Sięgnęła po kartkę.

– Który?

– Drugi od dołu.

– Phillip Bressau. Osobisty sekretarz Bremera. Co o nim wiemy?

– Żona, dwoje dzieci. Prawa ręka Bremera.

– A samochód?

– Od tego czasu nie pojawił się w garażu. Wczoraj Bressau przyjechał do pracy wozem żony.

– Bressau.

Wstała i sięgnęła po torebkę.

Pięć postaci nad wykopany dołem, brązowa ziemia rzucona na zieloną trawę. Zimny i słoneczny dzień. Gołębie trzepoczące skrzydłami pośród nagich drzew. Anton i Emil w czarnych zimowych ubraniach. Pernille blada i poważna w swoim płowym gabardynowym płaszczu. Lotte ubrana zbyt jaskrawo.

Nadzorca cmentarza miał na sobie zielony uniform i gumiaki. Podał Pernille turkusową urnę.

Taka mała. A w środku tylko proch.

– Chce pani ją sama złożyć? – spytał.

Pernille wzięła urnę, schyliła się, drżącymi rękoma umieściła ją w ziemi.

Cofnęła się. Popatrzyła. Czuła się jak w jakimś śnie.

– To Nanna? – spytał Anton.

– Tak – odpowiedziała Lotte. – Teraz zamieniła się w proch.

– Dlaczego?

Lotte się zawahała.

– Tak łatwiej się dostać do nieba.

Chłopcy spojrzeli po sobie i skrzywili się. Nigdy nie lubili opowieści Lotte.

– Prawda, Pernille?

– Co?

Lotte próbowała się do niej uśmiechnąć.

– Tak – odparła Pernille. – To prawda.

– Kiedy tata przyjdzie? – spytał Emil.

Grabarz niósł wielki wieniec z różami.

– Będzie tu później – odparła Lotte.

– Czemu teraz go nie ma?

Pernille wpatrywała się w wieniec.

– Co to? Ja tego nie zamawiałam.

Wzruszył ramionami.

– Przyjechał dzisiaj rano.

– Kto go przysłał?

– Nie znalazłem biletu.

– Jest piękny – wtrąciła Lotte.

Pernille kręciła głową.

– Musicie wiedzieć, skąd on jest.

Lotte miała pojedyncze białe róże. Podała po jednej chłopcom i kazała im położyć je przy urnie. Drobne czarne postacie w słońcu. Mogliby się bawić na jakiejś chłodnej plaży nad Sundem.

– Bardzo ładnie – pochwaliła ich.

Pernille rozglądała się dokoła. Niewielki kwadratowy staw pełen gnijących gałęzi i glonów. Pomniki porośnięte mchem i grzybem... Cuchnęło tu rozkładem. Zrobiło się jej niedobrze.

Nagle schyliła się, podniosła wielki wieniec i podała go grabarzowi.

– Proszę to zabrać. Nie chcę tu tego.

Lotte wpatrywała się w trawę. Chłopcy wyglądali na przestraszonych.

– Nie chcę tej kwatery – dodała Pernille. – Nie podoba mi się. Musicie znaleźć inną.

Mężczyzna w zielonym uniformie stał zakłopotany, z wieńcem w ramionach.

– Pani ją wybrała.

– Nie chcę jej tu pochować. Niech pan znajdzie inne miejsce.

– Pernille – odezwała się Lotte. – Tu jest ślicznie. Wszyscy tak uważamy. Jest doskonale.

– Nie chcę tego wieńca – mówiła Pernille coraz wyższym głosem, patrząc na nich straszonym wzrokiem. – Nie chcę tej kwatery.

– Nic nie poradzę – odezwał się mężczyzna. – Jeśli chce pani inne miejsce, musi pani rozmawiać w administracji.

– Pan niech rozmawia w administracji! Ja panu płacę, prawda?

Odeszła i spojrzała na mały staw.

Gnijące drzewo. Glony.

Ścieżką zbliżała się postać w czerwieni.

Vagn Skærbæk tylko spojrzał na Pernille i od razu podszedł do Lotte.

– Mieliście od niego wiadomości? – spytał.

– Nie. Gdzie on jest?

Obejrzał się na kobietę nad wodą.

– Wieniec dostarczono bez karteczki – wyszeptała Lotte. – Ona sobie Bóg wie co wyobraża. Nie wiem...

Skærbæk wziął wieniec i poszedł nad wodę.

– Pernille. To myśmy go kupili. Zrobiliśmy z Rudim zrzutkę w pracy. Przepraszam. Nie wiedzieliśmy, co napisać, więc tylko poprosiliśmy, żeby go tu dostarczono.

Spojrzała na niego nieruchomym wzrokiem.

Wyciągnął rękę z laurowym wieńcem z koroną róż.

– To od nas.

Potrząsnęła głową i wróciła do wpatrywania się w martwą wodę.

– Kiedy tata przyjdzie? – spytał Emil.

Po drugiej stronie Vesterbro Theis Birk Larsen siedział w jednej z najbardziej niebezpiecznych, najbiedniejszych i najbrudniejszych spelunek, w których bywał jako młody ambitny zbir, i pił. Mocnego lagera z Vesterbro Bryghus. I wódkę.

Jak kiedyś. Tak mijały mu długie dni, zanim poznał Pernille. Szukanie zarobku na ulicy. Praca z dealerami i gangami. Chwywanie się każdej okazji.

Swego czasu wchodził do baru i uciszał wszystkich jednym spojrzeniem. Ale to było dawno temu. Teraz nikt go tu nie znał. Dawny bandzior przycichł i zamienił się w pracowitego, porządnego ojca z małą firmą siedem przecnic stąd, który trzymał się z daleka od starych żerowisk i starych nawyków.

Wielką ręką chwycił zimną szklankę. Piwo spływało gładko. Tłumiło ból, choć go nie zabijało. To musiało mu jednak wystarczyć.

Za sobą słyszał stukot kul bilardowych, wulgarne teksty smarkaczy robiących to samo, co on kiedyś robił.

Może i robił coś gorszego.

To były złe czasy, chociaż udawał, że jest inaczej. Pogoń za pieniędzmi i okazją. Desperacka walka o przetrwanie. Tamto życie było najtrudniejsze ze wszystkiego i choćby nie wiadomo jaką sobie zbudował skorupę, ta świadomość pozostała. I potrzeba chronienia rodziny.

Theis Birk Larsen palił, pił i próbował uspokoić myśli, słuchając młodzieńczej, za głośniejszej muzyki w radiu i stukotu bil na stołach.

Gdzieś tam znikła w ziemi urna z tym, co zostało z Nanny. Nie mógł powiedzieć ani zrobić nic, co zmieniłoby ten fakt. Zawiódł ją. Zawiódł ich wszystkich.

Dopił piwo, kręciło mu się w głowie. Kiedyś królował w takich miejscach. Rządził tubalnym głosem i silną pięści. Ten drugi Theis. Inny, twardszy mężczyzna.

Czy on by uratował Nannę? Czy taką właśnie lekcję miał wyciągnąć? Że człowiek jest, jaki jest, choćby nie wiadomo jak się starał zmienić, podporządkować, posłuchać, zbliżyć do tego bezkształtnego, nieosiągalnego czegoś zwanego dobrem.

Nauczyciel, Kemal, też zapomniał o swoich korzeniach. I zapłacił za to.

Gdyby tylko...

Zachwiał się na nogach, zatoczył w stronę wyjścia, potknął o smarkacza przy stole bilardowym.

Odepchnął go brutalnie na bok, tak jak robił to dawno temu. Z ostrzeżeniem i przekleństwem.

Potknął się. Nie zauważył wyciągniętej nogi następnego smarkacza. Padł ciężko na ziemię.

Wspomnienia.

Tyle walk i żadnej nie przegrał. Niektóre posunęły się aż do...

Przetoczył się po brudach i petach na podłodze, słuchając ich śmiechu. Ze stęknieniem wstał na nogi. Wyrwał kij smarkaczowi, który mu podstawił haka, uniósł go jak miecz, jak broń. Jak młot, który dzierżył nad krzyczącym, krwawiącym cudzoziemcem w magazynie, słysząc skamlenia Vagna Skærbæka.

Chłopak miał czarną kurtkę i czarną włóczkową czapkę. I twarz przerażoną i wyzywającą zarazem.

Theis Birk Larsen znał tę twarz. Towarzyszyła mu przez całe życie.

Przeklął więc i rzucił kij na stół, po czym wytoczył się na dwór, zastanawiając się, dokąd pójść.

Te ulice, kiedyś jego dom, teraz były mu obce. Stanął w cieniu pustego wejścia do budynku, żeby się wysikać. Ledwie skończył, gdy zaatakowali. Pięciu. W kapturach. Wymachiwali pięściami, kijem bilardowym walili po głowie.

– Trzymaj go – krzyknął któryś i dwoje słabych ramion próbowało przyszpilić Birk Larsena do ściany, na którą wcześniej nasikał. Bucior poleciał w stronę jego krocza.

Szczeniaki.

Dwóch zrzucił, trzeciego chwycił za kark, cisnął nim przez wąską ulicę, przygwoździł słabą, chudą postać do pokruszonej ściany. Wielka pięść

cofnęła się, gotowa do ciosu. Jedno mocne, wściekłe uderzenie i chłopak nigdy nie zapomni tego dnia, tyle zostawi mu szkód na resztę jego miłego życia.

Birk Larsen wstrzymał cios i patrzył.

Kaptur spadł. Twarz, która na niego spojrzała, pełna nienawiści, należała do dziewczyny. Najwyżej szesnastoletniej. Kolczyk w nosie, tatuaże wokół oczu.

Dziewczyna.

W tej samej chwili spadli na niego z furją – od razu wiedział, że przegrał.

Buciory, ręce, kolana. Kij i młóćące pięści. Zabrali mu portfel, klucze. Skłękli go, opluli, obsikali. Birk Larsen zrobił coś, czego nie robił jeszcze nigdy – zwinął się w kłęb jak ofiara, skulił na ziemi. W pozycji, którą tak często oglądał, ale nigdy w swoim wykonaniu.

Jeden mocny cios w głowę i dzień zamienił się w noc.

Potem głos starszy, bardziej gniewny i krzykliwy.

– Co pan robi? Co...

Leżał w rynsztoku, pijany i obolały.

A oni zniknęli.

Krwawiącą ręką dosięgnął ściany. Z trudem wstał na nogi.

Kobieta. W średnim wieku. Z rowerem.

– Nic panu nie jest?

Oparł głowę o zimne cegły i zaczął wymiotować. Krwią i piwem. I jakąś czernią ze środka.

– Dzwonię na policję – powiedziała kobieta.

Znowu zwymiotował. Położył jej rękę na ramieniu. Cofnęła się przed nim, wykręciła z jego uchwytu.

– Żadnej policji – wydyszał, krztusząc się, a potem potykając się, ruszył ku światłu.

Zostawiła go. A gdy został znowu sam, stwierdził, że nie może ustać. Jak powalone drzewo Theis Birk Larsen padł na poniszczone kamienie Vesterbro, ukląkł tam i w końcu się przewrócił, a ciemność otoczyła go jak czarne błotniste wody Kalvebod Fælled.

Hartmann spotkał się ze swoją adwokatką w tym samym pokoju widzeń.

– Dowody są poszlakowe, Troels. Nie sądzę więc, żeby sędzia przedłużył panu areszt. Ale jeśli znajdą coś w pańskim domku...

Siedział w niebieskim kombinezonie, cichy i żałosny.

– Im więcej mi pan powie, tym bardziej zdołam panu pomóc.

Cisza.

– Rozumie pan?

Cisza.

Uporządkowała dokumenty, westchnęła z dezaprobatą.

– W takim razie przyjdę jutro. Może wtedy będzie pan w nastroju do rozmów.

Patrzył, jak układa dokumenty w stos i wsadza je do teczki.

– Co się dzieje w Ratuszu?

Podniosła na niego wzrok.

– A jak pan sądzi? Komisja Wyborcza posłuchała Bremera. Podjęli ostateczną decyzję.

– Ostateczną? Na pewno?

– Jestem adwokatem od spraw karnych – powiedziała z kamienną twarzą.

– Nie zajmuję się polityką. O ile rozumiem, ta decyzja już zapadła. Dzisiaj musi ją jeszcze zatwierdzić rada.

Patrzyła na niego.

– To pański koniec, Troels. Wstyd. Wpłaciłam pieniądze na pańską kampanię. Co ja sobie, na Boga, myślałam?

Nie słuchał jej.

– O której jest spotkanie?

Kobieta skrzyżowała ramiona.

– Cieszę się, że postanowił pan ze mną rozmawiać. Może byśmy omówili pańską linię obrony?

– Może mi pani załatwić statut rady?

Chwila milczenia.

– Po co?

– Muszę coś sprawdzić na temat Komisji Wyborczej. Potrzebny mi szczegół...

– Troels! Panu grozi oskarżenie o morderstwo! Czy pan postradał rozum?

Uśmiechnął się ponuro, przelotnie.

– Nie, nie postradałem. Niech mi pani ściągnie Brixa. Proszę mu przekazać, że chcę mówić. Powiem, co robiłem w tamten weekend.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła notes.

– Nareszcie. Słucham.

Znowu uśmiech. Tym razem dłuższy, i pewniejszy.

– Przykro mi. Nie mam czasu.

Wyrwał jej notes i zaczął pisać.

– Proszę się skontaktować z prokuratorem. Umówić spotkanie jak najszybciej. To ważne, żeby policja wycofała zarzuty jeszcze po południu.

– Nie da rady pan stąd wyjść co najmniej do jutra.

Skończył pisać.

– To proszę dać Mortenowi.

– Nie mogę.

– Napisałem tylko, że ma powiedzieć prawdę. Oni tego chcą, prawda?

Pani tego chce.

Zawahała się.

– Muszę stąd wyjść przed wieczorem. Proszę mi pomóc. – Podał jej liścik. – I dziękuję za darowiznę.

Phillip Bressau rozmawiał przez telefon, gdy Meyer i Lund weszli do jego gabinetu.

Zakrył dłonią mikrofon.

– Burmistrza nie ma.

– Nie szkodzi – odparł Meyer. – My do pana.

– To nie może poczekać do jutra?

– Pięć minut. Najwyżej.

Siedli przy stoliku kawowym, Lund robiła notatki, potulnie i posłusznie jak sekretarka.

– Przed imprezą plakatową u Hartmanna w tamten piątek – zaczął Meyer – odbyło się zebranie w jego gabinecie. Czy pan w nim uczestniczył?

Jak na sobotę Bressau był ubrany elegancko. Odprasowany garnitur, niebieska koszula, krawat.

– Tak, przez chwilę.

– Widział pan tam Hartmanna?

– Nie, nie zostałem długo. Miałem robotę. O co chodzi?

– To rutynowe pytania – wtrąciła Lund. – Kiedy spotkał się pan z Hartmannem trzeciego sierpnia...

– Słucham?

– Hartmann mówi, że spotkaliście się w tamten weekend.

– Nie spotkałem się z Hartmannem.

Meyer spojrzał na Lund.

– Na pewno? – naciskała.

– Absolutnie. On tak powiedział?

– Tak.

– To niemożliwe.

Bressau wyciągnął kalendarz.

– Nie. Trzeciego sierpnia byłem na Łotwie z oficjalną wizytą z burmistrzem. Wyjechaliśmy w sobotę rano. Hartmann nie wchodził w skład delegacji.

– Ach, no i proszę! – Lund zapisała coś pieczołowicie.

– To wszystko?

Bressau wstał od stolika.

– Nie do końca – zatrzymał go Meyer. – Mogę prosić kluczyki do pańskiego auta?

– Co?

– Pożyczymy je sobie.

– Nie ma go tutaj.

– A gdzie jest?

– Po co wam mój samochód?

– Taki jestem wścibski – wyjaśnił Meyer.

Do pokoju wszedł Poul Bremer i zgromił ich wzrokiem.

– Co tu się, u diabła, dzieje?

Bressau wzruszył ramionami.

– Teraz mnie przesłuchują.

– Ach, tacy jesteście wrażliwi – zadrwił Meyer. – Mamy po prostu trochę problemów z ustaleniem poczynań Hartmanna. I tyle. Naprawdę.

– Dlatego pytaliście ochronę o samochód Bressaua?

Poul Bremer wyraźnie się wściekł. Policjanci zamilkli.

– Tu nic nie dzieje się bez mojej wiedzy – oświadczył starszy mężczyzna.

– Wygląda na to, że znowu będę musiał porozmawiać z waszym szefem.

Skinieniem głowy wskazał im drzwi.

– Proszę je zamknąć z drugiej strony.

W drodze na komendę Lund zarządziła poszukiwania samochodu Bressaua. Białe kombi, numer rejestracyjny YJ 23 585.

– Proszę zabezpieczyć pojazd do badań kryminalistycznych.

Meyer prowadził. Już nie tak szybko. Bez papierosów. Bez banana.

– Jeśli dzwonił do Nanny z Łotwy dwadzieścia jeden razy, ktoś musiał to zauważyć – powiedziała Lund.

Meyer kiwnął głową.

– Na tej imprezce było dziesięć osób – przypomniał. – Z czego siedem to biznesmeni.

– A był ktoś spoza obozu Bremera?

– Tylko jedna osoba. Jens Holck z Umiarkowanych.

Przypomniała sobie postać w czerni, wychodzącą pośpiesznie z przyjęcia Hartmanna.

– Ustalmy jego adres – zaproponowała.

Theis Birk Larsen się obudził. Leżał na twardej pryczy w małym, pobielonym wapnem pomieszczeniu, które cuchnęło przetrawioną wodą, ciałami, potem. Na podłodze zalegały śpiwory i plecaki. Wokół niego spali inni ludzie. Półnadzy pod cienkimi prześcieradłami, chrapali i stękali.

Wszystko go bolało. Wszędzie miał rany i siniaki.

Otworzyły się drzwi. Ktoś wszedł.

– Widzę, że się ocknąłeś – usłyszał.

Rozbłysło światło. Jakiś człowiek przykucnął przy pryczy Theisa. Miał staromodny brązowy kardigan i długie siwe włosy. I pomarszczoną twarz upadłego świętego, okoloną bokobrodami.

– Jak się czujesz?

– Gdzie moje rzeczy?

– Zostałeś pobity. Większość twoich rzeczy zniknęła.

Birk Larsen dźwignął się na pościeli do pozycji prawie siedzącej. Górna prycza znajdowała się tak nisko, że bardziej prosto usiąść nie mógł.

– Gdzie jestem?

– W Przytułku Świętego Krzyża. Ja jestem dyżurnym opiekunem. Leżałeś przy wejściu do Skydebanegade. Nie chciałeś iść do szpitala. Nie chciałeś zadzwonić do domu. Więc przywieźliśmy cię tutaj. Nie masz złamań. Sprawdziliśmy.

Usiłował wstać z łóżka, ale nie dał rady.

– Mówiłeś o swojej córce.

Padł na materac i wpatrywał się w stalową ramę.

– Ty jesteś Theis Birk Larsen – ciągnął opiekun. – Paru gości z Vesterbro cię zna. Pewnie byłeś sławny.

Birk Larsen otarł dłonią twarz, spojrzał na krew.

– W porządku, nie ruszaj się. Przyniosę ci trochę zupy.

Jeszcze jedna próba. Chwycił się stalowej ramy.

– Nie, nie mogę zostać.

Siadł na skraju łóżka. Nie miał butów. Nie miał płaszcza. Zniszczony mężczyzna w średnim wieku, niegdysiejszy król dzielnicy, teraz stary dureń.

– Noc tutaj dobrze ci zrobi – powiedział mężczyzna.

Birk Larsen próbował się ruszyć i nie mógł. Z długim, bolesnym jękiem padł na pościel.

– Może zdołamy ci pomóc, Theis.

– Nie zdołacie.

– Może...

– Powiedziałem, że nie.

Potężna dłoń Birk Larsena, pocięta na kłykciach, z posiniaczonymi nadgarstkami, wskazała krucyfik w rogu.

– Ani wy mi nie pomożecie, ani on.

Jakiś grymas przemknął po szarej, anemicznej twarzy mężczyzny. Nie było to nic miłego.

– A więc przyniosę ci zupy – zakończył rozmowę.

Dyskusje na cmentarzu ciągnęły się bez końca i nic nie dały. Gdy wychodzili, było już ciemno. Lotte prowadziła. Chłopcy siedzieli z tyłu przerażeni i milczący.

Pernille patrzyła na światła miasta, gdy mknęli po pustawych sobotnich ulicach. Nie odezwała się od gwałtownej awantury w administracji cmentarza. Vagn wrócił do magazynu zająć się zamówieniami. Na Lotte spadł obowiązek opieki nad dziećmi.

– Co dwóch głodnych chłopców chciałoby na kolację? – spytała jak najpogodniej.

Po drodze będą mijali Tivoli. Lunapark będzie oświetlony. Gdyby miała pieniądze, zabrałaby ich tam w desperacji.

– Nie wiem – odparł Emil powolnym, znudzonym, melodyjnym głosem.

– Wielkie placki taty z dżemem! – zawołał Anton.

Emil go za to uderzył. A Lotte to usłyszała.

Pernille siedziała na fotelu pasażera ciągle nabuzowana.

– Dobra – zgodziła się Lotte. – Niech będą placki.

Światła. Grupy mężczyzn i kobiet zdążających do knajp. Sobotnia noc w mieście.

– W takim razie – Lotte uśmiechnęła się do nich w lusterku – będziemy potrzebowali mleka i jajek.

Odwróciła się do siostry.

– Pernille?

Lotte zdążyła już znienawidzić to spojrzenie oszalałych oczu.

– W porządku – dodała szybko. – Ja je zrobię.

– Lotte.

Pernille chwyciła drzwi. Wyglądało to tak, jakby zamierzała wysiąść w biegu.

– Możesz dzisiaj popilnować chłopców?

– Jasne. Nie ma sprawy. A co?

Pernille nie odpowiedziała. Odwróciła się do synów.

– Pojedziecie dzisiaj do cici Lotte i zjecie placki, dobra?

Po chwili ciszy Anton spytał:

– A ty nie jedziesz?

Ona już znowu patrzyła na ulicę, na światła i przechodniów.

– Nie.

Skrzyżowanie. Bary. Neony. Ludzie. Anonimowość nocy.

– Wysadź mnie tu.

Lotte się nie zatrzymała.

– Jedźmy do domu. Vagn na pewno już znalazł Theisa.

Pernille chwyciła torebkę.

– Wysadź mnie tu – powtórzyła.

Samochód ciągle jechał.

Zaczęła krzyczeć.

– Powiedziałam: wysadź mnie! Wypuść mnie, wypuść, wypuść!!!

Oczy jej zaszkły mgłą, serce łomotało, Lotte zjechała z jezdni.

Jej siostra zniknęła w jednej chwili, bez słowa.

Hartmann znowu siedział w pokoju widzeń ze swoją adwokatką, strażnikiem i z Brixem po drugiej stronie stołu. Był spokojny, trochę już podobny do dawnego siebie. Opowiadał o piątku, o przyjęciu, kolejnych zebraniach, spotkaniach w krętym labiryncie korytarzy ratusza.

– Wierzy pan w Boga? – spytał Brixa.

– Po to tu przyszedłem? – burknął szczupły policjant.

– Nie, przyszedł pan dla uciechy. Żeby popatrzeć, jak się wiję.

– Troels... – Adwokatka wyglądała na zmartwioną. – Brix wyświadcza ci przysługę.

– Przysługę – mruknął Hartmann.

Brix westchnął i zerknął na zegarek.

– Ja nie wierzę w Boga – podjął Hartmann. – Nigdy nie wierzyłem. Ale czasami się zastanawiam, czy to nie jest jakiś rodzaj... tchórzostwa. Bo najgorsze ze wszystkiego byłoby, gdyby człowiek wierzył i wszystko, co ma, pchał w tę wiarę. A potem pewnego ranka by się obudził i odkrył, że to jeden wielki, okrutny żart.

– Troels – napomniała go znowu adwokatka.

– Nie rozumie pan? – spytał Brixa. – Tamtego wieczoru w ratuszu... To była nasza rocznica. Otaczali mnie ci wszyscy uśmiechnięci wspaniali ludzie. Na plakatach widziałem swoją twarz. Wszyscy kochali Troelsa Hartmanna.

Brix posłał mu zimne i ostre spojrzenie.

– Człowieka, który miał zakończyć epokę Bremera.

Hartmann zaśmiał się. Z siebie, ze swojej głupoty.

– A to nic nie znaczyło. Wiedziałem to już wtedy. Cały ten szampan, jedzenie i gratulacje. Myślałem tylko o niej. O tym, jak bardzo za nią tęsknię. O tym, co straciłem. Na zawsze...

Zamknął oczy i przypominał sobie.

– Oni nic nie widzieli. Tylko Troelsa Hartmanna, który zajmuje się swoimi interesami, śmieje się, żartuje, uśmiecha. A ja cały czas zadawałem sobie pytanie, dlaczego.

Hartmann uderzył się w pierś.

– Co ja takiego zrobiłem, żeby na to wszystko zasłużyć? Całe to... bezwartościowe gówno.

Wzruszył ramionami.

– Byłem jak kapłan, który otrzymał list do Boga, a w tym liście przeczytał: Ty frajerze. Zrobiłem więc to, co by zrobił porządny, dzielny człowiek. Wyszedłem i spiłem się do nieprzytomności. Proszę... – kiwnął głową na Brixa – oto moje wyznanie.

– A potem?

– Nie mogłem spojrzeć w oczy Rie. Wziąłem taksówkę i pojechałem do domku.

Spojrzał na okno i na ciemną noc na dworze.

– Moja żona uwielbiała to miejsce. Należało do niej.

– Okno? – rzucił Brix.

– Na miejscu zdałem sobie sprawę, że nie mam klucza. Więc wybiłem szybę. Trochę się pociąłem. Jak to pijak.

– I był pan sam?

– Z mnóstwem wspomnień.

– Hartmann...

– Proszę mnie nie pytać, jak to się stało. Nie umiem wyjaśnić. Proszę mi wierzyć. Może dlatego, że byłem pijany, głupi i żałosny. I słaby.

Postukał w stół i podjął głóśniej:

– Słaby. I ten słaby człowiek powiedział, że jeśli mam skończyć z tym głównem, to najlepiej, żeby to się stało w tym domku.

Suchy, pusty śmiech.

– Wyobrażacie sobie, jakie to idiotyczne? Ona kochała to miejsce. – W bólu zamknął oczy. – Co by sobie pomyślała...

Brix i adwokat czekali.

– Zapchałem więc materacami okna, wepchnąłem ręczniki pod drzwi. Potem odkręciłem gaz, położyłem się na łóżku i czekałem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Meyer, spojrzał na Brixa.

– Mogę na chwilę? – spytał.

– Nie teraz.

– To ważne.

– Nie teraz!

Meyer stęknął i wyszedł.

Hartmann podjął opowieść.

– Kiedy się obudziłem rano, drzwi stały otworem. Pewnie ich nie zamknąłem dokładnie. Może dlatego, że byłem zalany w trupa. A może... może ona przyszła i powiedziała: dość tego, Troels, dość. Nie umiem tego wyjaśnić, więc nie pytajcie. Potem przyjechał Morten, znalazł mnie i zawiózł do domu.

– Morten Weber potwierdzi tę historię – dodała szybko adwokat.

Brix milczał.

– I tyle – zakończył Hartmann.

– I nie mówił nam pan tego z powodu wyborów? Bał się pan o swoją reputację?

Troels Hartmann spojrzał mu w oczy.

– Każda rzecz, którą powiedziałem wam w zaufaniu, trafiała następnego dnia do gazet. Przejmowałem się tym, przyznaję. I martwiłem się też o Rie. Nie chciałem jej do tego mieszać.

Westchnął i potoczył po nich wzrokiem.

– Ale przede wszystkim się wstydzilem. Bałem. Myślałem, że jeśli się do tego przyznam, ten demon wróci i wyjdę na jeszcze większego głupca, niż mi się wydaje. Bo tak naprawdę...

Roześmiał się.

– Przegnałem go. – Patrzył w oczy Brixowi. – Rozumie pan to?

– Tak – odparł policjant. – Rozumiem.

– To wszystko.

Zawahał się.

– A teraz pojawi się to we wszystkich gazetach?

– Nie sądzę. – Brix kiwnął głową na strażnika. – Odprowadzić go do celi. Mundurowy ruszył wypełnić rozkaz. Hartmann mu się wywinął.

– Powiedziałem prawdę! O co chodzi?

Adwokat się ożywiła.

– Morten Weber potwierdza tę historię – zapewniła.

– Nie wątpię – odparł Brix. – Może oskarżę go o współudział.

Gestem ponaglił strażnika.

Hartmann zerwał się z uniesionymi rękoma, nadal się opierając.

– Muszę być w ratuszu! Już teraz!

Strażnik go chwycił. Hartmann przytrzymał go za rękę.

– Zadzwońcie do Mortena! Czy to znowu Bremer?

– Zabrać go! – rozkazał Brix i patrzył, jak wyciągają Hartmanna z pokoju.

Obok Meyer przeglądał kolejne raporty od techników. Wszedł Brix, zobaczył pieczętkę na okładce i rzekł:

– Mam nadzieję, że znaleźli jakieś twarde dowody, że Nanna Birk Larsen była w tym domku.

Meyer pokręcił głową.

– Nic. Ani jednej cebulki włosowej. Żadnych śladów seksu. Żadnych śladów przemocy. Lund powiedziała...

Brix wyrwał mu raport i przedzierał się przez kolejne kartki.

– Zapomnij o Lund. W pomieszczeniu gospodarczym były ślady krwi.

– Owszem, rybiej. Bardzo starej. – Meyer odchylił się na krześle. – Czy rybobójstwo jest karalne? Nie przypominam...

Zadzwoił telefon Brix. Słuchał.

– Nie, do cholery – warknął – oczywiście, że nie. Zaraz to wyjaśnię. – Spiorunował Meyera wzrokiem. – Czy Lund zarządziła poszukiwania samochodu Phillipa Bressaua?

– Masz na myśli biały samochód, którego braku on nie może wyjaśnić? Biały samochód, który przed nami ukrywa? Tak. Zarządziła. To Bressau prawdopodobnie jest tym zbiegłym kierowcą.

– Żona i dzieci Bressaua znajdują się na posterunku w Soro. Zostali zatrzymani przez patrol. Na samochodzie nie ma ani jednej rysy.

– To biały samochód z Ratusza. Biały samochód wyjeżdżający z parkingu zabił Olava Christensena. – Meyer trochę gonił w piętę. – Za każdym razem gdy wkraczamy do ratusza, te dranie wychodzą z siebie, żeby nas okłamać. Dlaczego cię to nie martwi? Z kim rozmawiałeś?

– Czasami mnie rozczarowujesz. Gdzie jest Lund?

Meyer przebiegł palcem po liście adresów i spisie białych samochodów. Życie było za krótkie, żeby się w nią zagłębiać. Nie sprawdził nawet dwóch trzecich spisu. Dopiero teraz.

– O cholera – mruknął i chwycił telefon.

Lund nie odebrała telefonu od Meyera. Znalazła Jensa Holcka w niedokończonym budynku w Valby i słuchała, jak opowiada o wycieczce na Łotwę.

– Widział pan Phillipa Bressaua?

– Tylko w samolocie tam i z powrotem. Nie mówił dużo. Bremer i Bressau pojechali na jakieś spotkania do Rygi. Cała reszta została w Saldus.

Wyglądał na zmęczonego, był nieogolony. Może pił.

– Czy Bressau dużo dzwonił?

– Nie pamiętam. Muszę już iść.

– Ma pan jeszcze plan podróży? Hotele? Takie rzeczy. Bardzo by mi to pomogło.

Zerknął na zegarek.

– Sprawdzę – powiedział. – Proszę zaczekać.

Patrzyła, jak wraca do budynku. Na górze włączyły się światła. Lund podeszła do garażu i powoli zeszła po podjeździe.

Kiedyś znajdował się tu magazyn. Piwnica wydawała się ogromna, pewnie dawniej coś tu wytwarzano.

Wyciągnęła latarkę. Poświeciła w czarną paszczę przed sobą.

Nic.

Podeszła dalej. Na samym końcu stało coś zawiniętego w czarny brezent. Lund zerknęła na telefon. Zero zasięgu. Podeszła do brezentu, odsunęła kawałek od frontu.

Cofnęła się i patrzyła.

Białe kombi. Przednia szyba spękana, zakrwawiona. Przód rozbity. I zakrwawiony. Lusterko po stronie kierowcy zwisało na drzwiach.

Wystarczy.

Wyłączyła latarkę, szybkim krokiem wyszła na zimną, posępną noc, wróciła do nieoznakowanego radiowozu.

Nie było kluczyków.

Sprawdziła na desce rozdzielczej, na podłodze. I ciągle patrzyła.

Otworzyła schowek na rękawiczki. Wyrwała glocka spod paczek nicotinell i chusteczek.

Trzymała go nisko. Rozejrzała się.

– Holck? – zawołała. – Holck?

Meyer pędził jak szalony, błyskając niebieskimi światłami. Sam. I prowadził głupią rozmowę telefoniczną z szefem.

– Lund dzwoniła?

– Nigdy tak ode mnie nie wychodź! – wrzasnął Brix. – Wracaj tu natychmiast!

– Jadę do domu Holcka. To on miał romans z Nanną. Dostawał od Olava klucze do mieszkania.

– Z ksiąg wynika, że to Hartmann wypłacał mu pieniądze.

– Och, ocknij się, człowieku! Holck je sfałszował. Cały czas wrabiał Hartmanna. Holck ma białe kombi. Nikt nie widział tego auta, odkąd zabito Olava.

– To niczego nie dowodzi.

– Dałem Lund adres Holcka! Jest tam teraz sama. Wyślij tam radiowozy.

– A co z Hartmannem?

– Hartmann nie ma z tym nic wspólnego! Musimy teraz znaleźć Lund! Wiesz, jaka ona jest. Pójdzie sama na oślep.

Długa cisza. Meyer o włos ominął powolnego dostawczaka, wcisnął klakson, przegonił kilka pojazdów na krawężnik.

– Wyślę jeden wóz – powiedział Brix. – Melduj mi na bieżąco.

Lennart Brix wezwał ponownie Hartmanna do pokoju widzeń i kazał mu usiąść.

– Dostał pan wiadomość od mojej adwokat?

– Chcę pana zapytać o Jensa Holcka.

– Och, na miłość boską! Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Odbywa się ważne głosowanie...

– Czy Holck mógł sfałszować pańskie księgi?

– O czym pan mówi? Jakie księgi?

– Księgowość, z której wynika, że to pan zlecił wypłaty dla Olava.

– Więc teraz uważacie, że Jens to zrobił?

– Proszę odpowiedzieć.

– Może. Kieruję całym wydziałem. Nie zajmuję się buchalterią.

Zerknąwszy do notatek, Brix spytał:

– Czy Holck zachowywał się dziwnie?

– Co to za pytanie?

Zadzwoił telefon Brixa.

– Nie ma jej pod adresem, który ode mnie dostała – zameldował Meyer. –

Dom jest na sprzedaż.

– Ona jest w ratuszu?

– Nie. Dzwoniłem. Musisz zarządzić poszukiwania.

– Nie po raz pierwszy Lund wyprawia się gdzieś w pojedynkę.

– Posłuchaj mnie, Brix! Dzieje się tu coś naprawdę złego. Ona jest sama, a ja jestem pewien jak cholera, że to Holcka szukamy.

– Już bywałeś taki pewien.

– Pomożesz mi czy nie?

Brix odsunął telefon od ucha i spojrzał na Hartmanna.

– Gdzie teraz mieszka Jens Holck?

– Co się dzieje?

– Nie ma go w domu. Ma pan jego inny adres?

– Nie wiem. Rozwiódł się kilka miesięcy temu. Wydaje mi się, że mieszka u krewnych.

– Jakich krewnych?

– Nie wiem. Co się dzieje?

Brix podniósł telefon.

– Hartmann mówi, że on mieszka u krewnych. Nie wie gdzie.

Rozłączył się. Hartmann wpatrywał się w zegar na ścianie. Dwudziesta dwadzieścia.

– Jeśli uważacie, że zrobił to Holck, to czemu ja tu siedzę?

Brix machnął na strażnika.

– Odprowadźcie go do celi.

– Och, na miłość boską – jęknął Hartmann. – Spotkanie zaraz się zacznie. Siłował się, gdy strażnik chwycił go za ramię, walczył trochę, nie za mocno.

– Wiecie, że tego nie zrobiłem. Myślicie, że dacie radę to wszystko zatuszować, kiedy wyjdę na wolność? Tak pan myśli, Brix?

Wysoki gliniarz stanął przy drzwiach.

– Oto moja propozycja. – Hartmann pochylił się nad stołem. – Wychodzę stąd. Nie robię nic w sprawie nękania. Nieuzasadnionego aresztowania. Nielegalnego najścia i przeszukania. Tylu problemów mógłbym panu przysporzyć... i wszystko zapomnę.

Brix słuchał.

– W zamian pan zachowa dla siebie wszystko, co powiedziałem. Naprawdę dla siebie. Żadnych przecieków do prasy. Żadnych wzmianek o próbach samobójczych. Nic. Mówi pan, że Hartmann został przesłuchany z powodu nieporozumienia. Został uznany za niewinnego i zwolniony. Cześć pieśni.

Brix westchnął głęboko, przyłożył długi palec do policzka.

– Za tydzień mogę być burmistrzem. Lepiej, żebyśmy żyli w dobrych relacjach. Moglibyśmy zacząć od zaraz. – Wyciągnął rękę. – Nie sądzi pan?

– Proszę tu zostać – polecił Brix.

Wyszedł na korytarz i skontaktował się z centralą.

– Zarządźcie poszukiwania Lund.

Holcka nigdzie nie było widać. Zeszła znowu do piwnicy.

Z latarką w lewej ręce, glockiem w prawej, posuwała się do przodu.

Pachniało tu wilgocią, pyłem i rozlanym olejem. Na ścianach wisiały półki z narzędziami. Stos drewnianych palet. Silnik w kawałkach. Nieskończony mebel, może szafa, gołe drewno z młotkami, wkrętakami, gwoździami i piłą.

Nigdzie śladu Holcka.

Szła dalej. Minęła worki cementu, kafelki i cegłę.

Glock drżał jej w dłoni. Nigdy z niego nie strzelała, poza strzelnicą. Biały strumień światła latarki podskakiwał, gdy szła. Niczego nie znalazła.

Idiotka, pomyślała. Że idzie sama. Że nie wezwała Meyera. Nie ściągnęła posiłków, jakiejś pomocy.

Dlaczego to zrobiła?

Nie miała pojęcia. Taka właśnie była. Cała ona.

Kobieta, która wywalczyła sobie drogę do rangi podkomisarza Wydziału Zabójstw. Zdobyła tę pozycję dzięki wynikom, nie dzięki polityce czy jakiejś koncepcji równouprawnienia, którą w głębi duszy pogardzała.

Była dobrym gliną. I dobrą matką. Przejmowała się, dbała.

Ale i tak była sama. Może zawsze będzie. Outsiderka. Niepasująca do świata, ze swoimi zwyczajnymi ciuchami, końskim ogonem, błyszczącymi oczami, które szukają niestrudzenie.

Poszła sama, bo uznała to za stosowne. Chciała być pierwsza. Zobaczyć ich twarze, jak przyjeżdżają później, po niej.

Zwykle to się sprawdzało.

Jeszcze snop latarki w róg. Rząd ceramicznych przedmiotów, wanny, umywalki, sedesy i bidety.

Lund zaklęła, odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Postanowiła zadzwonić do Meyera, wściekła na siebie, że jest taką impulsywną idiotką.

Jakaś postać przemknęła w ciemności, z lewej na prawą.

Pistolet został tam, gdzie był. Opuszczony. Sięganie po spluwę nigdy nie było jej naturalną reakcją. I nigdy nie będzie.

Chciała najpierw rozmawiać. Chciała wiedzieć.

– Holck...

Znowu ta postać. Z czymś ciężkim w ręku. Klucz do kół. Cztery stalowe odnogi, jak jakaś średniowieczna broń.

Bliżej.

Za blisko.

Słyszała go, czuła, że się zamachnął.

Pistolet się poruszył, ale zbyt wolno.

Napastnik się uchylił i w tym momencie zobaczyła coś połyskującego w promieniu latarki. Twarda stal spadła na głowę Lund, a ona osunęła się na twardą podłogę.

Był to niedrogi hotel w Bredgade, obok handlowej ulicy Strøget. Sto koron za szkocką. Trochę mniej za piwo.

Pernille siadła przy barze, torebkę postawiła obok. Trzeci przystanek tej nocy. W każdej knajpie mocne trunki.

Tak jak kiedyś, gdy była młoda i w zasadzie nic się nie liczyło. Kiedy mogła się wymknąć rodzicom, wałęsać po niebezpiecznych dzielnicach, zakazanych miejscach, patrzeć, jak pochłania ją noc.

U jej boku siedział mężczyzna, którego wtedy by wyśmiała. Korpulentny, zadowolony z siebie, opalony, w odrobinę za ciasnym garniturze. Ale stawał.

– Mam własną firmę – opowiadał, zamawiając kolejne drinki. – Zacząłem od zera.

Był to bar hotelowy. A oni byli w nim jedynymi gośćmi. Miejscowi tu nie zachodzili. Tylko goście zagubieni w mieście, samotni nocą.

– Zajęło mi to pięć lat. – Był Norwegiem. – Mam trzydziestu pracowników, filię w Danii i produkcję w Wietnamie.

W telewizji leciał materiał o kolejnym zwrocie w wyborach do Ratusza.

Przysunął bliżej swój stołek, zauważył, że ona ogląda wiadomości.

– Paskudna sprawa. W Oslo piszą o niej w gazetach.

„Rada będzie głosować nad wykluczeniem Hartmanna – mówił reporter.
– Mają być mu postawione zarzuty, chociaż z niektórych doniesień wynika, że może tak się nie stanie...”.

Dotknął jej ramienia.

– Dużo podróżujesz? – Roześmiał się. – Ktoś powiedział, że podróże nadają życiu sens. Widać nie podróżował w interesach. Dwadzieścia nocy w miesiącu...

Wzniósł toast.

– Ale czasami człowiek może porozmawiać z miłą damą, w miłym barze. Nie jest tak źle...

Uśmiechał się i patrzył na nią pożądliwie.

Ona upiła wielki łyk drinka. Nie za bardzo jej smakował.

Nic jej już za bardzo nie smakowało, nic się nie podobało. Chłopcy. Lotte. Theis. Uwięzione w nieskończonym poszukiwaniu, w pogoni za wyjaśnieniem, jej życie wpadło w dziwną otchłań. Nie mogła spać, nie mogła czuć, nie mogła się śmiać, jasno myśleć.

Pernille pomyślała o dawnej sobie, ślicznej dziewczynie, która flirtowała w kolejnych barach w mrocznym i brudnym Vesterbro, kusząc młodych chojraków, aż znalazła tego właściwego.

Nic się nie liczyło.

Ani wtedy, ani teraz.

Spojrzała na mężczyznę. Zastanawiała się, jaki on był w tym wieku. Pewny siebie. Przystojny. Słaby i posłuszny.

– Chodźmy do twojego pokoju – powiedziała.

Norweg wpatrywał się w nią jak ogłuszony.

Pernille wstała, wzięła torebkę z podłogi.

On nieco drżącymi palcami chwycił klucz.

– Proszę wszystko dopisać do mojego rachunku – polecił barmanowi, a potem podążył za nią do drzwi.

Pokój nie był duży. Podwójne łóżko, lśniący stolik. Laptop na biurku. Meble w złym guście, których nie kupował nikt oprócz hoteli.

Norweg był podenerwowany, spięty, bawił się kluczami, macał po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła.

Na łóżku leżały ubrania. Koszula. Majtki.

Zgarnął je z pościeli, wrzucił do szafy.

– Nie wiedziałem, że będę miał towarzystwo. Chcesz drinka?

Tej samej wielkości był pokój Nanny. Nie dostrzegła tu nic osobistego. Nic, co mogłaby zapamiętać.

– Jako student pracowałem za barem w Grand Hotelu w Oslo.

Powiedział to, jakby się chwalił wielkim osiągnięciem. Tak jak o zakładaniu firmy i zakładu produkcyjnego w Wietnamie.

Dwa džiny z minibaru. Jedna butelka toniku. Sprawnie i pokazowo rozlał napoje do szklanek.

– Ha! Proszę! Jeszcze pamiętam, jak to się robi.

Nie. Mniejszy od pokoju Nanny. Pudełko dla anonimowego człowieka. Miejsce poza życiem, które znała.

– Dżin z tonikiem. Bez lodu, bez cytryny.

Wzruszył ramionami. Był bardziej pijany, niż sądziła. Może ona też, chociaż zachowała jasność myśli. Czy nawet celu.

Trzymała drinka w ręku. Nie tknęła go. Nie chciała.

Pomyślała o Theisie. Brutalnym, twardym Theisie. Nie miał ogłady, nie znał pięknych słów.

Żadnych delikatnych, wymyślnych pieszczot, tylko bezpośredni kontakt fizyczny.

A jednak było w nim coś zmysłowego, nawet czułego. Musiało być. Bo dlaczego by go pokochała, poślubiła, urodziła mu trójkę dzieci?

Norweg był inny.

Alkohol w rękę, alkohol w oddechu, stał obok, głaskał ją po kasztanowych włosach, wilgotnych od deszczu. Bładymi palcami gładził policzek.

Próbował ją pocałować.

Szklanka wypadła mu z palców. Alkohol rozlał się po miękkiej wykładzinie hotelowej.

– Przepraszam. – W jego głosie słychać było więcej troski niż rozczarowania. – Nie jestem w tym najlepszy.

Uznała, że to kłamstwo.

– Tak sobie myślałem... – Wzruszył ramionami. – Nieważne.

Podniósł szklankę, odstawił ją na minibar. Gdy się odwrócił, ona leżała w łóżku.

Widziała na jego twarzy zdumienie i nadzieję. Przystojny mężczyzna. Bez imienia.

Zupełnie inny niż Theis, który tylko marzył o podróży w takie miejsca jak Wietnam. Który z trudem opłacał dziesięciu pracowników, a co tu mówić o trzydziestu.

– Jeszcze drinka? – spytał.

Z jej ust wypłynęły słowa, których nie wypowiedziała od lat, a i wtedy tylko do jednego mężczyzny.

– Rozbierz mnie.

Roześmiał się głupawo.

– Na pewno...? Bo wiesz... chyba jesteś trochę...

Zamknęła oczy. Głowa opadła do tyłu, usta się rozchyliły. Uśmiechnęła się.

Nagle ją pocałował. Już na niej leżał, szukał, macał. Pijackimi ustami przesuwał się po jej szyi. Dyszał za szybko, jakby sam siebie musiał przekonać.

Pernille leżała na twardym łóżku, w jego ramionach, a on szarpał granatową sukienkę.

To ubranie miała na sobie, gdy składała urnę Nanny w brązowej ziemi. Nie chciała go już, nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Theis Birk Larsen wypił zupę, pozbierał rzeczy, które mu jeszcze zostały, obejrzał rany i poprosił o plastry. Ubrał się w swój czerwony kombinezon, czarną skórzaną marynarkę.

Siwy mężczyzna ze schroniska przyglądał mu się uważnie.

– Na pewno nie chcesz zostać? Wiem, że to nie Radisson...

– Dziękuję za pomoc. Muszę iść.

Uścisk dłoni. Silny, zdecydowany.

– Zawsze możesz wrócić.

Theis uporządkował poślanie.

– Straciłem kiedyś coś ważnego – powiedział mężczyzna. – Nieistotne, jak i dlaczego. Ale tak się stało.

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Theis włożył włóczkową czapeczkę.

– Życie straciło wartość. Z poczucia winy robiłem straszne rzeczy. Znienawidziłem siebie. Znienawidziłem to, czym się stałem.

Podał Birk Larsenowi zapalniczkę i paczkę papierosów.

– Proszę je zatrzymać. Nienawidziłem samego życia. Ale dzisiaj widzę, że za tym wszystkim jest plan.

Powiedział to, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Birk Larsen zapalił papierosa.

– To, co wydawało się końcem, okazało się początkiem.

Dym rozsnuł się w niewielkim pomieszczeniu cuchnącym wodą, potem i ciałami.

– Bóg zsyła na nas cierpienia z jakiegoś powodu. Co prawda nie jesteśmy w stanie ich zrozumieć w chwili, gdy tkwimy w gównie po uszy.

– Plan? – Birk Larsen jakoś nie mógł powstrzymać drwiącego uśmiechu.

– O, tak. Jest plan, Theis. Dla ciebie. Dla mnie. Dla każdego. Idziemy wyznaczoną nam drogą, bez względu na to, czy o tym wiemy, czy nie. Co czeka na końcu...

Birk Larsen mocno zaciągnął się papierosem. Nie chciał już oglądać tego człowieka. Nie podobało mu się, jak na niego patrzył, domagając się odpowiedzi.

– Powiedz coś, Theis.

– Co mam powiedzieć? – warknął Birk Larsen i zawstydził się nagłą zaciekłością w głosie. – Zanim poznałem żonę, zanim przyszły na świat moje dzieci, wyrzuciłem dużo zła.

Patrzył na mężczyznę spode łba.

– Nie takiego jak pan. Zła, o którym pan by nie umiał mówić. Krzywdziłem ludzi, bo uważałem, że na to zasłużyli. I...

Wąskie oczy zamknęły się z bólu.

– Dość tego gówna.

Na każdej ścianie wisiał krucyfiks, smukła złamana postać patrząca na każde ciało, które przechodziło pod nią, powłócząc nogami.

– To było dawno temu. – Wskazał udreconą postać Chrystusa. – Ale nie sądzę, żeby o tym gościu zapomniano. Miałem więc tylko zwolnienie warunkowe. Odrobinę czasu z rodziną. A teraz już i tego nie mam.

Za dużo słów. Wrócił do papierosa, oczy szczypały go od dymu, gdy przyglądał się mężczyźnie ze schroniska.

– Jestem pewien, że coś jest, Theis. Jakaś pomoc, pokrzepienie, które da nadzieję tobie i twojej rodzinie.

– Tak – odrzekł Birk Larsen. – Możliwe.

Popatrzył na mężczyznę.

– Nie sędzę tylko, żeby pan to uznał za mocno chrześcijańskie.

Siwemu mężczyźnie chyba wreszcie zabrakło słów.

– Dobranoc – mruknął Birk Larsen i wyszedł na mokrą, zimną ulicę.

Ostry, palący ból w potylicy. Lund ocknęła się na podłodze garażu, spróbowała wstać, ale ledwie zdołała się ruszyć. Ręce miała skrępowane, nogi w kostkach również. Teraz świeciło się tu światło. Leżała obok białego kombi. Niedaleko niedokończonej szafy i narzędzi.

Próbowała się przemieścić po podłodze. Wdychała pył, opary oleju, zapach trocin.

I dym papierosowy.

Jakoś się obróciła i zobaczyła maleńki czerwony punkcik migoczący w rogu.

Oczy chwilę przyzwyczajają się do światła.

Holck siedział na beczce z olejem, wydmuchiwał dym. Wyglądał tak, jakby podejmował decyzję, co robić.

Mów, pomyślała Lund. Pistolet zniknął. Nic nie zostało.

– Rozwiąż mnie, Holck. Wiesz, że to niczego nie załatwi.

Nie odpowiedział.

– Daj spokój.

Cisza.

– Możemy coś wymyślić.

To zabrzmiało żałośnie. Błąd.

– Co ty na to?

Dalej palił, patrząc na nią. Rozglądając się po garażu.

– Namierzą mnie.

Rzucił w mroku jakiś przedmiot, który wylądował przed nią. Telefon, zmiądzony i potrzaskany.

– Pewnie chciałabyś wiedzieć – rzekł.

– Rozwiąż mnie.

Zaśmiał się.

– Jak to ma być? Jeśli ci powiem...

Milczała.

– Nie, naprawdę. – Wydawał się ubawiony. – Interesuje mnie to. Jeśli ci powiem, zabiję cię. Jeśli nie powiem...

Rzucił papierosem w jej stronę. Ten, gasnąc, wpadł w płamę oleju.

– O. I tak cię zabiję. W takim wypadku...

– Rozwiąż mnie, Holck.

Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał.

– Jaka cisza. Nie podoba ci się?

– Holck...

Wstał i podszedł do niej.

– Uprzedziłam centralę, dokąd się wybieram – powiedziała szybko. – Już jadą.

Wyjął portfel i patrzył na coś.

– Masz dzieci?

Dygotała. Z zimna. Ze strachu.

– Masz dzieci? To są moje.

Dziewczynka i chłopiec, radośni, z kobietą, która uśmiechała się do aparatu.

Palce Holcka przesunęły się po każdej z postaci.

– Moja żona. – Pokręcił głową. – Moja była żona. Nie pozwala im się za często ze mną widywać.

– Holck...

– Chciałaś wiedzieć. Ty ciągle pytasz, nigdy nie przestajesz. I zobacz, jak wyglądasz.

Postukał się w klatkę piersiową.

– I teraz winisz mnie? Nigdy nie chciałem nikogo zabić. Kto by chciał. Nigdy. Nawet tej plugawej kurewki.

– Jens...

– Tamten obleśny gnojek, ten Christensen by nie odpuścił. Chciał pieniędzy. Posady. Chciał...

Dziki, szalony gniew wykrzywił żalosną, szarą twarz.

– To gówno już i tak mnie za dużo kosztowało.

– Wiem. – Próbowła obniżyć ciśnienie. – Dlatego musimy porozmawiać. Rozwiąż mnie. Wyjaśnimy to.

– Tak.

Dostrzegła cień nadziei.

– Naprawdę bym chciał.

– Więc zrób to. Rozwiąż mnie.

– Ale to nie takie proste, prawda?

– Holck...

Rozejrzał się.

– Wiedziałaś, że zrozumiesz.

Podszedł, podniósł klapę białego kombi.

Lund miotała się, bez efektu, próbowała myśleć.

Nagle wrócił, chwycił ją za kurtkę i pociągnął po brudnej podłodze.

Roztrzaskany aparat na podłodze.

– To mój telefon, Holck! – krzyknęła.

Znajdowali się przy samochodzie. On czegoś szukał. Broni. Żeby ją stłuc do nieprzytomności. W bagażniku. Do rzeki. Tak jak Nanę.

– To mój telefon. Nie policyjny.

Zatrzymał się.

– Mówiłam. Oni już jadą. Policyjny telefon jest w samochodzie.

– Gdzie?

Milczała.

Wziął klucz do kół, uniósł nad nią i powtórzył pytanie głośniej:

– Gdzie?

– W mojej torebce.

– Nie odchodź nigdzie. – Zaśmiał się.

Minuta. Może dwie. Lund wlokła się po podłodze w stronę niedokończonej szafy i narzędzi.

Nie było drugiego telefonu. Żadnego magicznego drogowskazu, który by sprowadził policję do tej zagubionej, półprzemysłowej części miasta, gdzie Holck mieszkał sam, w niedokończonym budynku należącym do krewnych, którzy na zimę przenosili się do Kapsztadu.

Tylko torebka pełna gum do żucia i chusteczek, miętówek i śmieci.

Zaczął ją przeszukiwać. Z każdą bezowocną sekundą coraz bardziej się złościł. Gwałtownym ruchem otworzył schowek na rękawiczki. Tam znalazł tylko paczki nicotinell i mandaty za parkowanie.

Nie wiedział, dlaczego pokazał jej zdjęcie swojej żony i dzieci. Nie wiedział, dlaczego nie zabił jej od razu i nie wsadził jej krwawiącego ciała do bagażnika białego samochodu. Mógłby pojechać do jakiegoś opuszczonego lasu, znaleźć rzekę, kanał. Wepchnąć Lund i białe kombi do cuchnącej wody, gdzie zostaliby na zawsze.

Zaginieni. Niewidoczni. Zapomniani.

Nie chciał przejeżdżać Olava Christensena. Menda nie zostawiła mu wyboru. Takie życie. Żadnych wyborów. Tylko długa droga, coraz marniejsza, węższa z każdym mijającym dniem,

– Dziwka – warknął, zatraskując drzwi samochodu. Potem wszedł w czarną dziurę, która prowadziła do garażu i do Lund.

Rozpaczliwie pełzła po podłodze, w stronę trocin i narzędzi, krzywej sylwetki niedokończonej szafy.

Młotek. Dłuto. Kilka gwoździ, wkrętów i kołków.

I piła.

Ze związanymi rękoma drżące palce zacisnęła na uchwycie, przysunęła piłę do swoich nóg, unieruchomiła brzeszczot kolanami. I zaczęła przecinać plastikową opaskę.

Holck wracał. Coś robił w ciemności przy wejściu.

W głowie Lund pojawiły się obrazy.

Dźwięk. Szelest plastiku.

Czarna torba, żeby ukryć ciało w bagażniku.

Brzęk metalu, zderzające się ostrza.

Noże albo kosy, albo jeszcze coś innego, co przecina, broń do kompletu z kluczem do kół, narzędzia do zadań specjalnych.

Kroki.

Kiedy wszedł w krąg światła, zobaczyła, że pod prawym ramieniem niesie czarny worek na śmieci, a dłońmi rozciąga pasek srebrnej taśmy.

Nanna trafiła do kanału żywa, ale przynajmniej nie miała zaklejonych ust i mogła krzyczeć.

Holck dotarł na tył samochodu.

Rozejrzał się.

– Dziwka! – krzyknął.

Rozejrzał się raz jeszcze, nie dowierzając, że mógł być tak głupi.

Chwycił latarkę z bagażnika, włączył ją.

Jasny snop rozpoczął poszukiwania. Jak myśliwy ścigający rannego jelenia. Biały strumień światła polował. Samotny. Oślepiający promień.

Pięć minut, dziesięć.

W piwnicznym garażu czas stanął. Byli tam tylko mężczyzna, broń i kobieta, której szukał w ciemności.

Lund czaiła się za betonowym słupem, starając się uspokoić oddech, nie wydawać żadnego dźwięku. Wmawiała sobie, że jej groźby nie były tak puste, jak się wydawało. Że ktoś się zjawi. Mimo że przyjechała tu sama. Nikomu nie powiedziała. Nawet Meyerowi.

Znajdą ją jakoś.

Może.

Może.

Holck zbliżył się do stosu worków z cementem, światło latarki wędrowało po podłodze. Nagle go zobaczyła. Glock leżał tam, gdzie go upuściła, gdy Holck walnął ją kluczem do kół. Szary kształt lśniący blado, niedaleko białego kombi.

Czekać i mieć nadzieję.

Albo działać i zwyciężyć.

Zastanawiała się, po co zadaje sobie te pytania. Naprawdę nie miała wyboru.

On był w tej chwili po drugiej stronie piwnicy. Pistolet leżał cztery długie kroki od niej, nie więcej. Może go nie widział. Może czuł się tak potężny, tak zwycięski, że nie potrzebował żadnej broni prócz własnej siły.

Pobiegła.

Nie cztery susy, pięć. Schylała się po broń, gdy zobaczyła go w ciemnościach. Cały czas czekał.

Pistolet to przynęta dla głupców, pomyślała, gdy Holck porwał go z ziemi lewą ręką, prawą walnął ją w głowę, a ona z krzykiem padła na podłogę.

Pył w ustach. Gorycz i strach. Walczyła, pełzała, prawie dźwignęła się przed nim na klęczki.

Podniosła wzrok i zobaczyła glocka wycelowanego w swoją twarz.

Jakiś dźwięk z innej strony.

Drugi promień światła.

– Stój, Holck!

Inny głos. Rozpoznała go.

Próbowała się ruszyć. Zobaczyła but Holcka i poczuła kopnięcie w brzuch.

Boleśnie chwytając oddech.

Odwróciła się, by go widzieć. Robił to, czego się nauczył podczas niezliczonych ćwiczeń.

Postawa Weavera. Oburącz, łokieć ręki strzelającej wyprostowany, ręki wspomagającej – lekko zgięty. Ustabilizuj broń, celuj spokojnie.

– Odłóż broń – rozkazał Meyer.

Holck stał nad nią niepewnie, mierząc w jej głowę.

– Rzuć broń, Holck. Na miłość boską.

Lund przykucnęła, nie patrzyła na niego. Myślała o Marku. I Bengcie. I Nannie Birk Larsen.

– Odłóż, kurwa, broń! – wrzasnął Meyer.

Holck się nie ruszał. Ani myślał. Śmierć z ręki gliniarza. A może zdoła zapewnić sobie towarzysza.

– Daj spokój, Holck! Opuść broń. Na ziemię. Już.

Wpatrywał się w nią, a ona to czuła. Więc spojrzała na niego.

Glock zsunął się po nodze Holcka. On dygotał. Oczy szeroko otwarte i przerażone. Zagubione.

– Powiedz moim dzieciom... – zaczął i powoli uniósł broń do jej głowy.

Trzy szybkie wystrzały poniosły się po pustym, zapyłonym garażu.

Widziała, jak Holck przy każdym podskakuje, widziała ból i szok w jego oczach.

Odrzuciło go do tyłu, zwałił się na ziemię.

Objęła się ramionami i czekała.

Zbliżał się Meyer. Przestrzegał procedur. Światło skierowane na postrzelonego, broń w gotowości.

Lund patrzyła na kształt na podłodze.

Czekała na ruch. Nic.

Dziesięć minut później ratownicy zakładali szwy na potylicy Lund. Ciało leżało w torbie, krew sączyła się przez szczeliny.

W zalewie niebieskich świateł błyskowych, pośród kakofonii syren. Jan Meyer oparł się o swój wóz i palił zaciekle, trzymając papierosa drżącą dłonią.

Patrzył na Lund. Myślał. Zastanawiał się, ile różnych zakończeń mogła mieć ta akcja. Istniały jakieś inne słowa? Inne wybiegi? Czy może droga prowadziła tylko jednym szlakiem, prosto do nieuniknionego końca?

Podszedł Lennart Brix. Granatowy prochowiec. Szalik burberry zawiązany starannie pod szyją. Można by pomyśleć, że wraca z opery.

Rozejrzał się i zapytał:

– Skąd wiedziałeś, dokąd jechać?

Meyer patrzył na Lund siedzącą w karetce, jak z kamienną twarzą poddaje się zabiegom ratowników.

– Zrobiłem to samo co Lund. Zadzwoiłem do byłej żony.

Brix wyciągnął prawą rękę, dłonią do góry. Jego skórzane rękawiczki też pasowałyby do opery.

Meyer dokończył papierosa, rzucił go w ciemność, wstał i wyciągnął broń z kabury. Sprawdził magazynek, wyjął go. Podniósł broń za kolbę, lufą w dół i położył Brixowi na dłoni. Potem magazynek.

- Przeprowadzimy postępowanie. Musimy.
- Jasne.
- Zostaniesz powiadomiony. Trzeba powiedzieć rodzicom dziewczyny. Poklepał Meyera po plecach.
- Dobra robota – dodał. – Teraz się prześpij.

Wypuścili Hartmanna o dziesiątej. Lund po drugiej stronie korytarza patrzyła, jak odbiera swoje rzeczy.

– Jest mi pan winien wyjaśnienia? – spytał Hartmann Brixą.

– Nie sądzę. Chce pan podpisać odbiór rzeczy czy nie?

Hartmann wziął krawat i zegarek. Podpisał się na formularzu.

– Mamy umowę? – spytał niepewnie.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie... no, tak jak mówiłem.

Na szarej, nieruchomej twarzy Brixą nie odbijało się żadne uczucie.

– Ujawniamy zeznania dopiero, gdy sprawa trafia do sądu – powiedział.

– Ponieważ ta nie trafi...

– Dziękuję.

– Proszę mi nie dziękować.

Hartmann wpatrywał się w zegarek. Czas.

– Nie ma za co – dodał Brix z uśmiechem.

Znowu latarka. Tym razem świecił jej w oczy lekarz policyjny.

– Masz lekkie wstrząśnienie mózgu. Idź do domu odpocząć.

– Nic mi nie jest. – Ostrożnie przeciągnęła przez głowę czarno-biały sweter. Zauważyła rozdarcia, których się nie da naprawić, i zdała sobie sprawę, że musi kupić nowy.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Bengt z ręką na temblaku. Wyglądał na bardziej wstrząśniętego niż po swoim wypadku.

– Jeszcze nie skończyłem – powiedział lekarz.

Bengt go zignorował.

– Gdyby szwy puściły, trzeba będzie założyć nowe.

Podszedł i objął ją.

Lund cały czas wyglądała na korytarz. Widziała Hartmanna, jak wkłada swój szary płaszcz i rusza do drzwi.

Lekarz zakasłał.

– Powiedziałem, że nie skończyłem.

Lund delikatnie odsunęła się od Bengta. Znowu wyjrzała na korytarz.

– Powiedziałam, że nic mi nie jest.

Ale Hartmanna już nie było.

Na zewnątrz czekał Morten Weber z samochodem.

– To był Holck. Uwięził Sarah Lund. Miała szczęście, że uszła z życiem.

Hartmann patrzył na światła miasta i myślami wybiegał do przodu.

– Kto ci powiedział?

– Twoja adwokatka. Wszystkie zarzuty zostały wycofane. Mówi, że możesz ich pozwać. W piąty im pójdzie.

– Nie będę nikogo pozywał. Gdzie Rie?

Morten milczał dłuższą chwilę.

– Nie można już było nic poradzić, Troels. Głosowali. Wykluczyli cię z wyborów. Przykro mi.

– Jeszcze zobaczymy. Gdzie ona jest?

– Bremer zwołał konferencję prasową.

Hartmann wyglądał przez okno. Zimowa noc. Ktoś, kogo znał, może go nie lubił, ale znał, umarł. A wcześniej prowadził życie, które zatajał przed wszystkimi dokoła.

Troels Hartmann zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Nie bał się już. Uwolnił się od demonów.

– Nikt nigdy się nie dowie o tym, co się stało w domku – powiedział.

– Zeznałeś policji.

– Nikt nigdy się o tym nie dowie. Wracamy do walki, Morten.

– Troels!

– Zostałem skrzywdzony! – ryknął Hartmann. – Nie rozumiesz?

Weber milczał.

– Jestem ofiarą. Tak samo jak ta Birk Larsen...

– Nie tak samo – przerwał mu Morten. – Jeśli chcesz grać na współczuciu, rób to uważnie.

– Racja. – Hartmann wyjął telefon i zastanowił się, do kogo zadzwonić w pierwszej kolejności. – Zabierajmy się do roboty.

Pokój hotelowy zamienił się w ruinę. Potłuczone lustra. Brzydkie obrazy na podłodze. Vagn Skærbæk patrzył na milczącą Pernille, która siedziała rozneglizowana na łóżku.

Pijany Norweg był przerażony.

– Nie spodziewałem się, że ona wpadnie w szal! Wziąłem numer z jej telefonu. To ja po pana zadzwoniłem.

Skærbæk ciągle miał na sobie robocze ciuchy. Ręce trzymał w kieszeniach. Czarna czapeczka. Pochylił się nad nią.

– Pernille.

Wpatrywała się w niego i nic nie mówiła.

– Już w porządku? – jęczał Norweg. – Ja nic nie zrobiłem. Do niczego nie doszło. Myślałem, że ona tego chce i...

Spojrzał na Skærbæka porozumiewawczo.

– Wściekła się. To znaczy... Nie wiedziałem, że ona jest mężatką. Myślałem, że szuka towarzystwa...

– Wynocha stąd! – wrzasnął Skærbæk i wypchnął go za drzwi.

Wrócił do niej. Ukląkł przy łóżku.

– Pernille. Chyba powinnaś się ubrać.

Siadł wyprostowany na krześle. Chwycił z łóżka jej rajstopy.

Nie wzięła ich.

– Och, na miłość boską.

Próbował je na nią naciągnąć. Poddał się.

– Gdzie twoje buty?

Bez odpowiedzi. Rozejrzał się. Znalazł czarne buty.

– Szukałem cię. Dzwonili z policji.

Z butami wcale nie poszło mu łatwiej.

– Pernille! Nie mogę cię ubrać!

Spojrzała na niego bez słowa.

– Znalezli tego, co ją zabił.

Nie poruszy się. Nie pomoże mu. Znowu buty.

– Rozumiesz, co mówię? Dopadli go. Nie żyje.

Na jej nieruchomej twarzy nie pojawił się żaden grymas. Nie wypowiedziała ani słowa.

– Nie żyje – powtórzył Skærbæk.

Wzięła od niego buty, powoli wciągnęła je na nogi. Vagn Skærbæk rozejrzał się po pokoju. Posprzątał trochę. Poprawił kwiaty, postawił stłuczoną lampę.

Zabrał ją z hotelu.

Przyjechał małą ciężarówką. Pachniała zatęchłymi dywanami.

– Lotte z chłopcami jest u twoich rodziców. Miałaś wiadomości od Theisa?

Nic, tylko światła i ruch uliczny. Ani słowa.

– Na miłość boską, Pernille! Powiesz coś?

Minęli ratusz, stadion, jechali długą prostą Vesterbrogade. Wjechali do Vesterbro, mijali kafejki i bary, ulice z melinami dealerów, kurwy

i imprezowiczów, ludzi nocy.

– Kiedyś na plaży – zaczęła – chciałam nauczyć Nannę pływać.

Minęli szkołę, do której chodzili chłopcy, kościół, w którym stała jej biała trumna.

– Wyszliśmy w morze. Powiedziałam: najpierw musisz się nauczyć unosić na wodzie.

Jechali w stronę domu.

– Nanna się bała. Ale ja powiedziałam, że będę ją trzymać. Zawsze. Choćby nie wiem co. Będę ją trzymać.

Podniosła rękę do ust. Wstrząsnął nią paroksyzm bólu. Zalała się łzami.

– Nigdy nie puszczę – łkała. – Nigdy.

W mieszkaniu matki Lund oglądała wiadomości. Głowa nie bolała za mocno. Piwo pomogło.

Brix stał przed magazynem, patrzył poważnie w kamerę. Lubił być w telewizji.

„Jens Holck został zastrzelony w obronie koniecznej, ponieważ groził użyciem broni palnej oficerowi policji. Został zabity przez innego oficera obecnego na miejscu. Dowody wskazują, że to Holck jest człowiekiem, którego szukaliśmy w sprawie Birk Larsen”.

Reporter próbował przycisnąć go o Hartmanna. Brix się nie dał.

Do pokoju wszedł Bengt i siadł obok niej.

„Mieliśmy poważne powody, by wiązać sprawę Nanny Birk Larsen z Ratuszem. Niestety, Holck podrabiał księgi tak, żeby zrzucić odpowiedzialność na Troelsa Hartmanna. Z radością oświadczam, że Hartmann był niewinną ofiarą w tej sprawie i cały czas bardzo się starał pomagać policji”.

– Sarah...

– Chwilę.

Sięgnął po pilota i wyłączył telewizor.

– Powinniśmy porozmawiać.

– O czym?

– O tym, jak się czujesz.

– Jak mam się czuć?

– Winna.

– Nie – odparła bez wahania.

– Przerazona?

Wpatrywała się w ekran. Pokręciła głową. Upiła łyk piwa.

– Na pewno coś czujesz – nie ustępował.

Wciąż patrzyła w ciemny ekran.

– Czy to profesjonalna diagnoza?

– Możesz tak uznać.

– Nie w tym problem.

Kolejny łyk piwa.

– A w czym?

Spojrzała na niego w milczeniu.

Bengt westchnął.

– Dobra. Wiem, co powiedziałem o profilu sprawcy. Że mogło być więcej ofiar.

– Niemożliwe, żeby to był Holck. Gdyby miał za sobą takie coś, nie mógłby normalnie żyć.

– No i proszę. Myliłem się. Tak bywa.

Patrzyła na niego w milczeniu.

– Nie jestem taki bystry, jak ty.

Ścisnął jej dłoń. Nie odwzajemniła uścisku.

– Ja nie dostrzegam różnych rzeczy. Nie wyobrażam sobie. Nie mogę.

Ani słowa.

– Wolałbym, żebyś ty też czasami nie mogła. A ty?

Lund dopiła piwo, zastanowiła się, czy nie sięgnąć po następne.

– To nie my decydujemy, kim jesteśmy, prawda? – powiedziała.

– Pod pewnymi względami. Ciesz się, że to już koniec.

Wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął jej włosy z czoła.

– Ciesz się, że masz to już za sobą.

Wpatrywała się w wyłączony telewizor. Sięgnęła po pilota.

– Chodź do łóżka, Sarah. Na miłość boską, zostaw to.

**NIEDZIELA_
16 LISTOPADA_**

Rano Komisja Wyborcza spotkała się na posiedzeniu nadzwyczajnym i unieważniła swoją decyzję z poprzedniego wieczoru. Troels Hartmann wrócił do gry oczyszczony, uznany za ofiarę okoliczności. Nikt nie wiedział o próbie samobójczej. Nawet Poul Bremer, w każdym razie taką Hartmann miał nadzieję.

Dwie godziny później w biurze liberałów Morten Weber usiłował tchnąć optymizm w szeregowych bojowników.

– Mamy robotę do wykonania. Musimy wyjaśnić wyborcom, że Troels jest niewinny. My o tym wiemy. Wie o tym policja. Ale wyborcy dopiero muszą to zrozumieć.

Ośmiu członków sztabu i Hartmann.

– Wielu naszych zwolenników wycofało wsparcie finansowe – ciągnął Weber. – Bez pieniędzy nie ma kampanii. Musimy więc ponownie ich pozyskać.

– A co z koalicją? – spytała Elisabet Hedegaard.

– Zapomnijcie o koalicji – odrzekł Hartmann. – Jeśli zdobędziemy głosy, koalicjanci sami się zgłoszą. Bo dokąd pójdą?

Hedegaard nie wyglądała na przekonaną.

– Wybory od wtorku za tydzień. Wszyscy wiemy, co to oznacza. Do soboty ludzie muszą podjąć decyzję. Nie ma czasu.

Morten Weber skrzywił się i wlepił wzrok w stół.

Hartmann wstał, rozejrzał się po kolegach z partii. Każdemu patrzył w oczy, tak aby właśnie on poczuł się wyjątkowy.

– Elisabet ma rację. Czas działa na naszą niekorzyść. Media także nam nie sprzyjają. Niewykluczone, że Bremer ma jeszcze coś w rękawie. – Hartmann wzruszył ramionami. – Wiem tylko jedno: jeśli nie spróbujemy, na pewno przegramy. Więc dlaczego nie iść na całość? Nie walczyć? Nie marzyć?

Roześmiał się. Podobała mu się ta kameralna scena, małe publiczne.

– Nie polecam celi w areszcie do rozmyślań o polityce. Ale w pewien sposób ona też się przydała. Kiedy tam siedziałem... – Powędrował wzrokiem gdzieś w dal. Wszyscy, nawet Weber, byli pod wrażeniem tej chwili. – W tym niebieskim kombinezonie więziennym... zastanawiałem się, kim jesteśmy. – Wskazał ich ruchem głowy. – Pomyślałem o was. O co walczycie. Nic się w tej sprawie nie zmieniło. Nasze idee, ambicje są takie same. Czy dzisiaj znaczą dla nas mniej niż wczoraj?

Uderzył pięścią w stół.

– Nie. Dla mnie znaczą więcej. Ja chcę, żeby Ratusz nie zwodził policji tylko dlatego, że komuś tutaj tak się podoba.

W sali rozległ się pomruk aprobaty. Napięcie się rozładowało.

– Postaramy się ze wszystkich sił? Czy po prostu damy Poulowi Bremerowi to, o co on i jego ludzie od dawna zabiegają? Kolejne cztery zmarnowane lata?

Weber zaklaskał. Elisabet Hedegaard również. Potem reszta.

Hartmann się uśmiechnął, patrząc po zebranych. Przypominał sobie ich nazwiska. Jeszcze przed chwilą niemal wszyscy byli gotowi postawić na nim krzyżyk. Każdemu z osobna podziękuje teraz wylewnie za okazane wsparcie.

– A więc do dzieła.

Patrzył, jak wychodzą.

– Rozmawiałeś z Rie? – spytał Weber. – Mamy dużo pracy.

– Wiem, wiem. Zostawiłem jej setki wiadomości. Nie oddzwania.

Ktoś zastukał do drzwi. Poul Bremer, w zimowym płaszczu, z czerwonym szalikiem i promiennym uśmiechem. Wyglądał, jakby szedł na rozmowę kwalifikacyjną, by starać się o posadę Świętego Mikołaja.

– Troels! – zakrzyknął radośnie. – Przepraszam, że przeszkadzam. Musiałem przyjść i powiedzieć...

Wszedł i zdjął szalik. Pięknie pachniał.

Szczerłość.

– Powiedzieć „witaj”.

– To bardzo miło z twojej strony.

Weber burknął coś gniewnie i wycofał się do swojego biurka. Bremer wszedł do gabinetu Hartmanna, poczęstował się kawą, po czym siadł na kanapie, kręcąc głową.

– Holck, Holck. Wieczny samotnik. Ale żeby aż tak... Nie rozumiem. Dlaczego? Pojechaliśmy razem na Łotwę. Może był trochę markotny, ale...

Wziął ciasteczko i ugryzł kawałek.

– Kompetentny facet, choć bez polotu. Umiarkowanym w ostatecznym rozrachunku lepiej będzie bez niego. Może następnym razem. Jeśli o te wybory chodzi, są przegrani. Podobnie jak ludzie Kirsten i te wszystkie pchły, które żerują na innych.

Znowu szeroki uśmiech.

– Tak czy inaczej, wszystkich ich rozwaliłeś w drzazgi. Teraz zostaliśmy tylko ty i ja. Pogratulowałbym ci, gdybym sądził, że to zamierzone.

– Masz coś do powiedzenia?

Jeszcze jeden łyk kawy i żywe szare oczy obróciły się na Hartmanna.

– Mam. Przykro mi bardzo z powodu tego, co się stało. Wierz mi. Wczoraj wieczorem myślałem, że w tych okolicznościach zrobiliśmy to, co należało. Nasz obraz okoliczności co prawda był błędny, ale o tym nie wiedzieliśmy.

Czekał. Polityczna chwila, tyle Hartmann już wiedział.

– I ja przepraszam, Poul, jeśli w chwili uniesienia niesprawiedliwie cię oskarżyłem.

Bremer wzruszył ramionami.

– Nie ma za co. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Teraz musimy patrzeć w przyszłość. Wszystkich nas to dotknęło. Nie tylko ciebie.

Hartmann zajął krzesło naprzeciwko niego.

– I?

– Osiągnęliśmy konsensus. To rzadkość. Rozmawiałem z resztą po tym, jak zmieniliśmy decyzję o wykluczeniu cię z wyborów. A przyszło nam to z łatwością, muszę dodać. Wszyscy się zgodziliśmy, że to dobry moment, by zapomnieć o animozjach i odzyskać sympatię społeczeństwa. Cynizm. Wstrząs. Wrażenie chaosu. Wszystko zrozumiałe, ale bardzo niekorzystne, jak doskonale wiesz. Naszym najważniejszym celem jest odzyskanie zaufania wyborców, naprawienie szkód, które wyrządziła sprawa Jensa Holcka. Musimy odnowić swoją umowę ze społeczeństwem. Musimy przekonać o naszej wartości. Dołączysz do mnie?

– Zawsze byłeś świetnym mówcą.

– Nie chodzi o mnie. Ani o ciebie. Chodzi o... – ruchem ręki wskazał eleganckie pomieszczenie, mozaiki, rzeźby, obrazy – ...o to miejsce. Nasz

zamek, twierdzą. Nasz dom. Ratusz. Dzisiaj mamy konferencję prasową. Obwieszczę, że wszystkie partie chcą zgodnie pracować na rzecz wspólnego dobra i posprzątać bałagan, który zostawił nam Holck. Dołączysz do mnie?

– O czym ty mówisz?

– Ustaliliśmy *borg fred*. Rozejm. Kończymy z atakami personalnymi. Zaciętą debatą. Wrogim klimatem. Umowa dżentelmeńska. Przestrzegamy zasad.

– Rozejm...

– Pokój w zamku. Tak się już zdarzało w nadzwyczajnych okolicznościach. Trwają wybory. Przywołujemy się po prostu do porządku. Obniżamy temperaturę.

Szare oczy nie odrywały się od niego.

– Rozmawiajmy o polityce, nie o politykach. Jestem pewien, że na to przystaniesz.

Bremer wstał z kanapy.

– Tak to teraz wygląda. Sugeruję, żebyś też trochę odpuścił. Jestem wspaniałomyślny. Troels. To niezdrowo walczyć ze wszystkim. Nie w tej chwili.

Uśmiechnął się, wyciągnął rękę.

– Mogę na ciebie liczyć?

Hartmann się zawahał.

– Muszę to przemyśleć.

– A o czym tu myśleć? Jest konsensus. Dzwoń do nich, jeśli chcesz. Daję ci szansę powrotu na łono swoich. Jeśli zostaniesz poza tym kręgiem, wyjdiesz na głupca. Ale jeśli tego chcesz...

– Niech będzie.

Poul Bremer spojrzał spode łba.

– Przyjmuję to za odpowiedź twierdzącą. O ósmej odbędzie się wspólna konferencja prasowa. Oczekujemy, że się na niej stawisz.

Do południa zespół Svendsena zebrał wyciągi z kont bankowych i kart kredytowych Holcka. Wykazały one szereg zakupów w drogich sklepach odzieżowych i z biżuterią.

– Możemy teraz namierzyć jej buty – powiedział Meyer.

Lennart Brix siedział w biurze i z kamiennym wyrazem twarzy patrzył na zdjęcia.

– Co z wisiorkiem? – spytała Lund. – Tym czarnym serduszkem?

Meyer położył przed Brixem zdjęcia z laboratorium.

– Miała przy sobie to serduszko, gdy ją znaleźliśmy – wyjaśnił. – Zakładamy, że to on kazał jej je nosić. Nanna zerwała je z szyi, gdy tonęła.

Lund naciskała.

– Holck kupił jej ten wisior?

– Pewnie tego nie znajdziemy w wyciągach. Jeśli to on, raczej zapłacił za nie gotówką na straganie w Christianii czy na innym targowisku.

– Czemu tak mówisz? – spytała.

Meyer poprawił się na krześle. Wyglądał blado. Rzadko się zdarza, by ktoś zginął z rąk duńskiego oficera policji. Media były zafascynowane. Postępowanie wyjaśniające wydawało się nieuniknione.

– Ponieważ doszliśmy do wniosku, że ten wisior jest stary. Że ma ze dwadzieścia lat. To ręczna robota. Tani pozłacany łańcuszek. Szkiełko...

Wpatrywał się w nią i teraz już znała to spojrzenie. Mówiło ono: czemu nie odpuścisz? Dlaczego nie przyjmiesz, że niektórych rzeczy nigdy się nie dowiemy?

– Co oznacza czarne serce, Meyer?

– Hipisów w Christianii... Kiedyś było wśród nich modne. To był taki symbol gangów narkotykowych. A teraz handluje się nimi na straganach

ze starzyzną.

Głos zabrał Brix, po raz pierwszy.

– Nie możemy marnować czasu na cofanie się o dwadzieścia lat.

Lund wyciągnęła rękę i przegarnęła stos dowodów. Podniosła torebkę z wisiorkiem. Spojrzała na pozłacany łańcuszek. Niezniszczony. Nawet niezmatowiały.

– Tego nie noszono przez dwadzieścia lat. Jeśli Holck go kupił...

– Jens Holck – przerwał jej Meyer – osobiście przelewał pieniądze na konto Olava. Nie tylko te pięć tysięcy, które przekazywał przez księgowość Ratusza. Musiał być szantażowany. Jego odciski palców też znaleźliśmy na Store Kongensgade. To mamy z jego domu.

Rozłożył na stole zdjęcia. Lund przysunęła się z krzesłem. Holck i Nanna gdzieś na wsi. Szczęśliwi, zakochani. Holck się uśmiechał. Aż trudno go było poznać.

– To oczywiste, że mieli romans. Jego żona to potwierdziła. Nie wiedziała, z kim się spotyka. Tylko że ma na jej punkcie obsesję. I że jest młoda.

Meyer podrapał się po głowie.

– Zawsze się to podkreśla, no nie? Pewnie był dumny.

– I szczęśliwy – dodała Lund.

Brixa ewidentnie znudziły ich rozważania.

– Co wiemy o jego poczynaniach w tamten piątek?

– Był na imprezie plakatowej. Później do ratusza przyjechała Nanna. Pewnie po klucze, żeby wejść do mieszkania.

Lund wróciła do zdjęć Holcka. Inny zestaw. Oboje mieli już na sobie zimowe płaszcze. Śmiali się. Nanna wyglądająca zbyt dojrzałe. Holck – zupełnie inny człowiek, przytula ją. Zakochany. To było takie oczywiste.

Wspomnienie z ostatniej nocy.

„Tej plugawej kurewki”.

– Czy ktoś w tamten weekend widział Holcka? – spytał Brix.

– Nie. Była żona zabrała dzieci i nie dopuszczała go do nich. Nieźle mu dała popalić. Nikt go nie widział.

Brix kiwnął głową.

– A samochód, który znaleźliśmy u Holcka?

– Nie ma wątpliwości – odrzekł Meyer – że ten samochód zabił Olava.

Lund dalej przeglądała zdjęcia. Holck i Nanna, para. Dwadzieścia lat różnicy. Szczęśliwi.

– I jak myślisz, Lund?

Zaskoczyło ją pytanie Brix. Rzuciła zdjęcia na stół.

– Wygląda to przekonująco – mruknęła bez przekonania.

– Twój entuzjazm mnie powala.

Nie odpowiedziała.

– Dobra robota – uznał Brix. Wstał, poklepał Meyera po ramieniu i wyszedł.

Lund znowu pakowała swoje rzeczy. Teraz był to gabinet Meyera.

Przyglądał się jej. Stroskanym wzrokiem.

– Co zrobisz?

– Nie wiem. Muszę pogadać z Bengtem. I z Markiem. Coś uzgodnimy.

Meyer pobawił się chwilę radiowozikiem. Potem przeszedł się po biurze z papierosem w dłoni.

– Co z tobą? – spytała.

– Ze mną? Będzie postępowanie w sprawie użycia broni. Potrwa kilka tygodni.

– Nie masz się czym martwić. Zrobiłeś, co trzeba...

– Czemu ten kretyn nie rzucił broni, do cholery? Naprawdę się starałem...

– Meyer...

– Co ja, u diabła, miałem zrobić?

Był wstrząśnięty, przerażony i bezbronny. I taki młody, ze swoimi wielkimi uszami i szczerą twarzą.

Lund przerwała pakowanie, podeszła i stanęła przed nim.

– Nic innego nie mogłeś zrobić. Nie miałeś wyboru.

Z bliska było widać, że jego oczy błyszczą. Zastanawiała się, czy to od łez.

Zaciągnął się papierosem, rozejrzał nerwowo po gabinecie.

Przypomniała sobie, jak znalazła go na Dziedzińcu Pamięci, gdzie wpatrywał się w nazwisko nieżyjącego kolegi. Tamta śmierć odcisnęła na nim piętno. Nie mógł się z tego otrząsnąć.

– Cieszę się, że to zrobiłeś. Jakże by inaczej? Uratowałeś mi życie.

Znowu wziął do ręki samochodzik, rozpędził kółka o biurko. Nie śmiał się, gdy włączyło się niebieskie światelko.

– I co teraz? – spytał. – Sprawa zamknięta, tak?

Do kartonu Lund trafiła popielniczka, po niej odznaczenie.

– Co masz na myśli?

– Och, daj spokój. Widzę, co sobie myślisz. Teraz już umiem cię rozpracować.

– I co sobie myślę?

– Ty mi powiedz.

– Jestem po prostu zmęczona. I tyle.

Wrócił Brix. Wydział prawny podjął decyzję. Dowody były wystarczające, by uznać, że to Holck zamordował Nannę Birk Larsen. Meyer zgodził się powiadomić rodziców.

– Co ze Szwecją, Lund? – spytał. – Wiesz coś?

Chwyciła karton.

– Jeszcze nie.

Brix podrapał się po uchu, wyraźnie skrępowany.

– Mam w pokoju flaszkę bardzo dobrej whisky. Powinniśmy to uczcić, z tobą i wszystkimi. To była długa i trudna droga. Zwłaszcza dla waszej dwójki. Może...

Zakaszał. Spojrzał na nich. Uśmiechnął się bez sarkazmu.

– Może czasami nie ułatwiałem. Życie zawsze się komplikuje, kiedy w grę wchodzi polityka.

– Ja się napiję – zdecydował Meyer i wyszedł z pokoju.

– Za chwilę – powiedziała Lund.

Brix wyszedł na korytarz. Usłyszała śmiech. Nie rozpoznawała żadnych głosów.

Została sama. Wyciągnęła teczkę z aktami zaginionych kobiet. Dziesięć lat. Garstka. Nic obiecującego. Człowiek, który nad tym pracował, był starym gliniarzem, nie najlepszym. Kiedyś sprawny oficer, dobry w terenie. Teraz skazany na przeglądanie starych papierów, szukanie zaginionego złota.

Dziesięć lat nie wystarczyło. Więc cofnął się dalej. Dwadzieścia trzy lata, zanim Brix przydzielił mu inne zadanie.

Trzyście zaginionych kobiet. Młodych. Żadnego powiązania z Ratuszem ani polityką. Nic, co by je wiązało z Holckiem. Nic też, co by je wiązało z jednym seryjnym mordercą. Co nie oznaczało, że takiego nie ma.

Przeszła do ostatniej, najstarszej. Sprzed dwudziestu jeden lat.

Kolory na zdjęciu wyblakły. Mette Hauge. Studentka. Dwadzieścia dwa lata. Długie brązowe włosy. Nieobecny, przyjazny uśmiech. Wielkie białe kolczyki.

Lund spojrzała na teczki ze starymi sprawami i usiadła.

Telefon nie milkł ani na chwilę, a tylko Vagn Skærbæk go odbierał. Lotte kręciła się wokół niego w krótkiej bluzeczce z dużym dekoltem. Wiedział

dlaczego.

– Gównu mnie obchodzi pański termin – wrzasnął i trzasnął słuchawką. –
Jebani dziennikarze.

Spojrzał na nią gniewnie.

– Nie zimno ci tak?

Wrócił do grzebania w silniku.

– Miałeś wieści od Theisa? – spytała.

– Już tu jedzie. Diabli wiedzą, gdzie się podziewał.

Lotte uśmiechnęła się do niego i zatrzepotała rzęsami. Już się rozpędził,
żeby się na to nabrać.

– Vagn. Nie musimy mówić Theisowi o tym, co się stało wczoraj. To
w niczym nie pomoże. Możemy to zachować dla siebie.

– Teraz mam jeszcze kłamać? Jezu. Pracuję w niedzielę. Próbuję ogarnąć
ciężarówkę. Czegoś jeszcze tu nie robię?

Kroki na posadzce. Do garażu wszedł Theis Birk Larsen. Z obitą twarzą
i niechlujnym zarostem wyglądał okropnie.

Lotte uśmiechnęła się nerwowo.

– Cześć, Theis. Słyszałeś, że go znaleźli? Policja ma tu przyjechać
w ciągu godziny.

Na żadne z nich nie spojrzał. Wszedł do biura i zaczął przeglądać
rozpiskę na bieżący tydzień.

– Słyszałem. Gdzie Pernille?

– A jak sądzisz, do cholery? – wrzasnął Skærbæk.

Lotte wbiła wzrok w podłogę. Birk Larsen skierował swoje wąskie,
zimne oczy na człowieczka w czerwonym kombinezonie, drżącego
nerwowo kilka kroków od niego.

– O co ci chodzi?

Skærbæk przestał panować nad sobą.

– Przestań pieprzyć, do cholery! – Wskazał palcem schody. – Jest tam, gdzie ty powinienes być. Tutaj. Co jest z tobą?!

Birk Larsen odwrócił się do niego, przechylił na bok wielką głowę i wbił w niego nieruchome spojrzenie. Nic nie mówił.

– Nawet nie przyszedłeś na cmentarz! Nie znalazłeś czasu, co? Ty pijusie! My wszystkiego pilnujemy. Byliśmy tam z Pernille i chłopcami. A gdzie ty, kurwa, byłeś?

Lotte cofnęła się w oczekiwaniu wybuchu.

Skærbæk przysunął się o krok, spojrzał na wielkoluda w czarnej kurtce.

– Spaprałeś to, ty durny fiucie. Wszystko tu leży rozpierdalone, a ja nie będę tego dla ciebie zgarniał. Już nie.

Zdjął rękawice i walnął nimi o silnik ciężarówki.

– Sam sobie naprawiaj ten szmelc.

Zgarnął narzędzia i puszki ze stołu warsztatowego i poleciał dalej, kopiąc jeszcze po drodze puszkę z olejem.

Birk Larsen patrzył za nim, po czym spojrzał na Lotte.

– Co się stało?

Milczała. Przestraszona.

Położył wielką dłoń na jej ramieniu.

– Masz mi powiedzieć, co się stało, Lotte. Natychmiast.

W kuchni zimowe słońce wdzierało się przez okna. Doniczki z roślinami. Zdjęcia. Plany zajęć na ścianie... Otwarte drzwi do pokoju Nanny. Wszystko po staremu.

Pernille siedziała przy stole, wpatrując się w blat. Tyłem do wejścia.

Podszedł do kuchenki i nalał sobie kawy do kubka.

– Zeszłej nocy byłem w domu w Humleby – powiedział, nie patrząc na nią. – Nie wygląda tam najgorzej. Więcej jest zrobione, niż myślałem.

Na stole leżała poranna gazeta. Na pierwszej stronie nic, tylko wielkie zdjęcie Jensa Holcka i mniejsze Nanny.

Pernille wyglądała blado. Miała kaca. Może się wstydziła. Nie chciał o tym myśleć. I nie myślał.

Wziął do ręki gazetę.

Na fotografii Holck wyglądał jak rasowy polityk. Porządny, przyjazny, solidny człowiek. Filar kopenhaskiej społeczności. Uwielbiany, żona, dzieci.

– Podobno nie żyje – mruknął Birk Larsen.

Jeszcze nigdy nie widział, żeby miała tak szeroko otwarte oczy. Teraz połyskiwały wzbierającymi łzami.

– Theis. Muszę ci coś...

– Nieważne.

Jedna wielka łza spadła na prawy policzek.

Theis Birk Larsen wyciągnął wielką szorstką rękę i otarł ją.

– W ogóle nieważne.

Kolejne łzy. Dlaczego nie umie płakać razem z nią? Przecież ma uczucia. Dlaczego nie znajduje słów?

– Strasznie za tobą tęskniłem – powiedział. – Jeden dzień, a jakby cała wieczność.

Wtedy się roześmiała, a z oczu trysnęły dwa połyskliwe strumienie, tak obfite, że nie mógł ich powstrzymać, choć bardzo chciał.

Pernille wyciągnęła rękę, dotknęła jego twarzy, posiwiałej rudej brody. Pogładziła go po policzku, po ranach, siniakach. Pocałowała go.

Usta miała ciepłe i wilgotne, skórę też. Ponad stołem, ponad mozaiką zastygłych twarzy on tulił ją, a ona jego.

Wreszcie było tak, jak być powinno.

Hartmann dopiero po południu przyznał się do ugody z Bremerem. A i tak Weber się wściekł.

– Rozejm? I ty się na to zgodziłeś, Troels? Nie do wiary. Na rozejmie zyskuje wyłącznie Bremer. Chce cię w ten sposób uciszyć. Traktuje nas jak niegrzeczne dzieci. Jeśli weźmiesz udział w tym spotkaniu, już po nas.

Hartmann trzymał w dłoni filiżankę, spoglądał w okno, marzył o kilku dniach poza małym, zamkniętym światem Ratusza. Z Rie. I tylko z nią.

– Nie mamy wyboru.

– Och! Więc teraz nam się podoba, że Bremer zostanie na stanowisku.

– Nie, nie podoba się. Ale przyparł nas do muru.

Hartmann zaklął pod nosem.

– Boże, ależ on ma wyczucie. Jeśli zrobię to co chce, nie będę mógł go krytykować. Jeśli nie zrobię, wyjdę na samotnego wicherzyciela z kontrowersyjną przeszłością. Mamy przerąbane. Prawda?

Nie usłyszał odpowiedzi.

– Prawda, Morten? Chyba że masz jakieś pomysły?

Weber wciągnął powietrze. Nie zdążył się odezwać, gdy drzwi się otworzyły i weszła Rie Skovgaard z twarzą tak bladą i wściekłą, że pędem wycofał się do pokoju obok.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić – powiedział Hartmann. – Nie było cię w domu.

– Nie. – Rzuciła torebkę na biurko i usiadła. – Byłam u koleżanki.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałem.

– A dlaczego mi nie powiedziałaś?

– No... przeprosiłem przecież.

Podeszła do niego.

– Trzy dni po swoim tajemniczym weekendzie poprosiłeś, żebym się do ciebie wprowadziła.

– Mówiłem poważnie.

– Więc dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Bo... bo byłem pijany. To było głupie.

– Mortenowi mogłeś powiedzieć. A mnie nie. To trafi do prasy?

– Nie. Brix dał mi słowo.

– To wiele znaczy.

– Myślę, że tym razem tak. Gdyby to wypłynęło, oni też nie wyglądaliby dobrze. Zapomnij o policji, Rie. Nie chciałem, żeby między nami coś się popsuło. Czasami... Nie wiem, czego ty chcesz. To ja mówię, że powinniśmy założyć rodzinę. Mieć dzieci.

– Teraz to moja wina?

– Nie to miałem na myśli.

– Więc po co to mówisz? A, do diabła z tym, i tak gównu mnie to obchodzi.

Wyjęła jakieś dokumenty z teczki i zaczęła je przeglądać.

– Przynajmniej daj mi szansę wyjaśnić.

– Nie chcę tego słuchać.

Spojrzała na niego. Wzrokiem bez wyrazu. Tak samo mogłaby patrzeć na zebraniu komitetu.

– Troels, to koniec. Ciągłe mamy kampanię. Wsadziłam w nią całe serce. Nie odejdę teraz. Powiedz mi prawdę. Rzeczywiście zgodziłeś się na rozejm z Bremerem? Wiesz, co to oznacza?

– Powiedziałem mu, że się postaram. Nie zostawił mi wyboru.

– No to już go masz. Nie będzie żadnego rozejmu.

– To moja decyzja. Nie twoja.

Rie Skovgaard wzięła z biurka jego kalendarz.

– Kiedy ty wszystkich doprowadzałeś do szału i zgrywałeś męczennika przed policją, ja pracowałam. Masz dzisiaj spotkanie. I po tym spotkaniu

powiesz mi, czy nadal chcesz tańczyć, jak ci Poul Bremer zagra.

Ojciec Mette Hauge mieszkał w gospodarstwie na obrzeżach miasta, nieopodal Køge. Lund pojechała tam sama. Nigdy nie widziała tak zaniedbanego miejsca. Szyby pustej szklarni popękały, niektórych brakowało. Nie widziała nigdzie samochodu, tylko tani motorower zaparkowany przy tylnym wejściu.

Jorgen Hauge wyszedł dopiero po chwili. Szczupły, siwy mężczyzna w granatowym kombinezonie, dość podobnym do tego, który nosił ostatnio Theis Birk Larsen. Miał chyba z siedemdziesiąt lat.

Wydawał się zdziwiony, gdy pokazała mu odznakę i spytała o córkę.

– Czemu pani przyjechała? Po tylu latach?

– Tylko kilka pytań – obiecała Lund. – To nie potrwa długo.

Hauge mieszkał sam z kilkoma kurami i wiekowym owczarkiem. W domu było porządnie i czysto. Gospodarz sprawiał wrażenie pedantycznego, uważnego człowieka.

Gdy on robił kawę, ona się rozejrzała. Zdjęcie dziewczynki bawiącej się na plaży. Potem późniejsze o kilka lat – dziewczyna na kanapie. Na innym pozuje z nagrodami za bydło i trzodę.

– To było dwadzieścia jeden lat temu – powiedział Hauge. – Zniknęła siódmego listopada. W środę.

Spojrzał na nią.

– Padało. Martwiłem się o studzienki.

Przyniósł do stołu więcej zdjęć.

– Właśnie przeprowadziła się do Christianshavn. W ogóle pierwszy raz wyprowadziła się z domu. Podobno wracała z treningu, z piłki ręcznej. Zadzwoniliśmy na policję.

Wycinki prasowe z tamtego czasu. Wszędzie to samo zdjęcie Mette. Śliczna.

– Dwa, trzy tygodnie później nad sprawą pracowało już tylko kilku policjantów. Nigdy jej nie znaleźli.

Kolejny wycinek. Wieńce. Nagrobek.

– Więc pochowaliśmy pustą trumnę.

– Czy to możliwe, żeby popełniła samobójstwo?

To pytanie chyba nie wzbudziło jego sprzeciwu.

– Mette chodziła czasami przygnębiona. Była studentką, trochę naiwną. Myślę, że przez pewien czas zadawała się z jakimiś hipisami. Christiania, te rzeczy. Nam o tym nie mówiła.

– Może został jakiś list?

– Nie. Ona się nie zabiła. Wiem... – Przesunął palcem po wycinkach. – Policja mówiła, że każdy ojciec zawsze tak powie. Ale ona się nie zabiła.

– Miała chłopaka?

– Myśmy o żadnym nie wiedzieli. Jak wspominałem, właśnie wyprowadziła się do miasta. – Hauge rozejrzał się po pokoju. – Dla młodego człowieka tu jest trochę nudno. To było dawno temu. Nie pamiętam. Miała swoje życie...

– Czy coś pana wtedy zdziwiło?

Żachnął się.

– O tak, jednego dnia człowiek ma córkę, którą kocha najbardziej na świecie. A następnego dnia ona znika na zawsze. To mnie zdziwiło.

Wstała.

– Przepraszam, że zawracałam panu głowę – powiedziała.

– Jeszcze jedno. Jak to możliwe, że po tylu latach w jednym tygodniu policja przychodzi do mnie dwa razy?

Lund się zawahała.

– Co to znaczy?

– Był tu jeden oficer i zadawał mi te same pytania.

– Jak się nazywał?

– Napisałem gdzieś. Śmiesznie mówił. I chyba wcale nie słuchał, co mówiłem.

Hauge przeglądał jakieś papiery na starym biurku pod oknem.

– Może zostawiłem w jadalnym. Zaraz pani przyniosę.

Podążyła za nim, rozglądając się po ścianach.

Wszędzie zdjęcia i obrazy. Rodzina i pejzaże.

I nagle zdjęcie Mette. Czarno-białe. Włosy rozczochrane, tani T-shirt.

Wisiołek z czarnym serduszkim.

Lund na chwilę przestała oddychać. Spojrzała jeszcze raz.

Ręczna robota hipisów z Christianii, powiedział Meyer. Niewiele pozostało takich przedmiotów.

To był ten sam wisiołek. Wiedziała to od razu, tak samo jak wiedziała, jak się nazywa.

Wrócił Hauge.

– Skąd córka miała ten wisiołek? – spytała.

– Nie wiem. Wtedy była już w mieście. Może dostała od kogoś.

– Kto jej go dał?

– Myśli pani, że powiedziałaaby ojcu?

– A widział go pan jeszcze kiedyś? W jej rzeczach, po śmierci.

– Nie sądzę.

Podał jej nazwisko mężczyzny, z którym rozmawiał. Zastanawiała się, czemu nie czuje się zaskoczona.

– Mogłabym wziąć to zdjęcie? – spytała Lund. – Zwrócę je, obiecuję.

Meyer pojechał porozmawiać z rodziną Birk Larsenów. Siadł przy ich dziwnym kuchennym stole. Powiedział, co wie. Holck poznał Nannę przez portal randkowy. Skorzystał z tożsamości Hartmanna, by ukryć, co robią. Romans się skończył.

– Dlaczego on to zrobił? – spytała Pernille.

Trzymali się za ręce jak nastolatki.

– Wygląda na to, że był w niej zakochany. Do szaleństwa. Ona zerwała. Holck przekonał Nannę, by się z nim spotkała po raz ostatni w mieszkaniu Liberałów. Potem... w sumie nie wiemy.

Birk Larsen nie odrywał spojrzenia od gościa.

– Jak dokładnie zginął?

– Gro... Groził śmiercią koleżance – prawie wyjąkał Meyer. – Nie mieliśmy wyboru. Został zastrzelony.

– Powiedział coś? – spytała Pernille.

– Nie. Nic.

– I jesteście pewni, że to on?

– Tak.

Ich palce poruszały się razem, splecione. Spojrzeli po sobie. Kiwnęli głowami. Przez twarze przemknął im cień uśmiechu.

– Chcielibyśmy odzyskać rzeczy Nanny – powiedziała Pernille.

– Oczywiście. Moja koleżanka Sarah Lund już nie pracuje nad sprawą. Gdyby państwo czegoś potrzebowali, proszę dzwonić do mnie.

Położył na stole wizytówkę.

– W każdej chwili. W dowolnej sprawie.

Wstał. Theis Birk Larsen też.

Wielki mężczyzna wyciągnął rękę. Meyer ją uścisnął.

– Dziękuję – powiedział Birk Larsen. Zerknął na żonę. – Oboje dziękujemy.

Bengt Rosling gotował w kuchni, jedną ręką. Vibeke patrzyła na to z uśmiechem.

– Kiedy się stąd wyprowadzimy, będzie fajnie – powiedział.

Butelka amarone. Makaron i sos.

Vibeke wzniosła toast.

– Chciałabym znowu sama mieszkać. Sarah...

Otworzyły się drzwi. Ściszyła głos.

– Jej ktoś musi pilnować.

Weszła Lund. W kurtce przemoczonej od mżawki na dworze. Włosy w nieładzie.

– Cześć! – Bengt sięgnął po trzeci kieliszek, by napełnić go winem.

– Możemy pogadać? – spytała.

– Teraz? Robimy lunch. Twoja mama mi pomaga.

Lund czekała w milczeniu.

– Znowu to samo – stęknęła Vibeke i wyszła do salonu, zamykając za sobą drzwi.

Lund wyjęła z torebki teczkę. Rzuciła ją na stół. Próbowwała nad sobą panować, ale nie za bardzo.

– O co chodzi? – spytał.

– Rozmawiałeś z ojcem jednej z zaginionych kobiet.

Siadł i wziął łyk wina.

– Udawałeś oficera policji. Mogłabym cię za to wsadzić.

– Nie, nie mogłabyś.

– Czemu?

– Bo to twój szef Brix zadzwonił do mnie trzy dni temu. Słyszał o moich pomysłach. Że może ten człowiek już wcześniej zabił.

Wziął teczkę Mette Hauge i otworzył ją.

Ładna dziewczyna. Rozczochrane włosy. To było zdjęcie z kartoteki. Lund sprawdziła, że Mette udzielono pouczenia za miękkie narkotyki.

– Powiedziałem Brixowi, co sądzę. Zlekceważył to. Jakby był zdecydowany udupić Hartmanna.

– Naprawdę?

– Zachowywał się wobec mnie bardzo arogancko. Zirykowało mnie to.

– Nie miałam pojęcia, że masz takie wrażliwe ego.

– To było nie na miejscu. Chciałem udowodnić, że mam rację. Te akta Hauge były stare, ale wyglądały najbardziej obiecująco. Jej rower znaleziono niedaleko miejsca śmierci Nanny. Więc pojechałem do ojca. – Znowu się napił. – I tyle – zakończył.

– I czego się dowiedziałeś?

Milczał.

– Czego się dowiedziałeś, Bengt?

Podał jej drugi kieliszek. Nie przyjęła go.

– Wczoraj wieczorem powiedziałeś, że się myliłeś. Że nie ma powiązania z żadną z tych zamkniętych spraw. Ale wiesz, że to nieprawda. Pojechałeś tam.

– To tylko jedna sprawa. Niepewna.

– Niepewna? – Wyciągnęła z kieszeni czarno-białe zdjęcie. – Spójrz mi w oczy i powiedz, że nigdy go nie widziałeś. Chcę wiedzieć, jak to jest, gdy kłamiesz. Jeszcze nigdy nie miałam okazji się o tym przekonać.

Spojrzał na zdjęcie i skrzywił się.

– To pewnie zbieg okoliczności. Takich wisiorków mogły być tysiące.

– No – powiedziała. – To teraz już się przekonałam.

Stała nad zlewem, starając się myśleć logicznie, uspokoić się.

– Sarah...

Stał za nią. Na chwilę dotknął jej ramienia. Po zastanowieniu zmienił zdanie.

– Kocham cię. Martwię się o ciebie. Nie chciałem, żeby to wiecznie nad nami wisało...

Odwróciła się twarzą do niego.

– Co zrobiłeś potem?

– Sporządziłem notatkę i dałem ją Brixowi.

Na chwilę zamknęła oczy.

– Brixowi? Nie mnie?

– Nie rozmawialiśmy. Byłem na ciebie wściekły. Jak mogłem dać ją tobie?

Lund kiwnęła głową.

– Jak mogłeś?

Wzięła teczkę i zdjęcie, wcisnęła je z powrotem do torebki.

– Sarah...

Zostawiła go biadolącego w kuchni, z jego winem i makaronem, i ze swoją matką.

Okazało się, że Rie zorganizowała spotkanie Hartmanna z Gertem Stokke, kierownikiem działu u Holcka. I została posłuchać.

Stokke był wysokim mężczyzną przed sześćdziesiątką. Urzędniczy garnitur. Delikatna, inteligentna twarz. Łysy jak kolano i szczwany.

Siadł, spojrzawszy najpierw na Skovgaard, potem na Hartmanna i zaczął:

– Chciałbym, żeby to zostało między nami. Nie lubię przychodzić w niedziele. Ludzie gadają.

– Dzięki, że przyszedłeś, Gert. – Zaprowadziła go do kanapy.

– Zdajecie sobie sprawę, jakie podejmuję ryzyko?

– Tak. – Zerknęła na Hartmanna. – Zdajemy. I doceniamy to.

– Cóż...

Stokke pracował w Ratuszu od ponad dwudziestu lat. Trzy lata temu został kierownikiem w departamencie Holcka.

– Oczywiście – zaczął – mam dostęp do wszystkich kont i budżetów. To są pieniądze publiczne. Bardzo ważna praca, i bardzo niedoceniana, pozwolę sobie zauważyć.

Hartmann zerknął na zegarek, a potem groźnie na Skovgaard.

– Spieszycie się gdzieś? – zdziwił się Stokke.

– Opowiedz nam o Holcku – zachęciła go.

– Zimny człowiek. Latem się zmienił. Wcześniej był taki skrupulatny. Niesympatyczny. Ale z pracą zawsze akuratywny. – Wzruszył ramionami. – Nagle zaczęły się pojawiać zaniedbania.

– Jakże? – spytał Hartmann.

– Wziął dzień wolnego i powiedział mi, że jest chory. Potem zadzwoniła jego żona i spytała, gdzie on jest. Ludzie miewają romanse. To nie moja sprawa.

– Po co ja tego wysłuchuję, Rie? – zirytował się Hartmann. – To żadne nowości. Holck nie żyje. Mam konferencję prasową.

Wstał.

– Gert – powiedziała Skovgaard. – Wiedziałeś, że Holck ma romans i że korzysta z naszego mieszkania?

Hartmann przystanął w drodze do drzwi.

– Wiedziałem o romansie – przyznał Stokke. – Co do mieszkania nie miałem pewności. Takiej całkowitej. Słyszałem na ten temat plotki. Raz chciałem mu przekazać jakieś dokumenty, a on powiedział, że bym je wysłał taksówką na Store Kongensgade.

– Jezu – mruknął Hartmann.

– Mogło chodzić o spotkanie z tobą.

– Wiedziałeś, że on korzysta z naszego mieszkania? – Pokręcił głową. – Masz pojęcie, czego mogłeś mi oszczędzić? Dlaczego, do cholery, nic nie powiedziałeś? Wtrącili mnie do więzienia...

– Powiedziałem Bremerowi – wtrącił szybko Stokke. – On o wszystkim wiedział. Jest burmistrzem. Jeśli z kimś miałem rozmawiać...

– Co?

– Kilka miesięcy temu. Kiedy tylko się dowiedziałem. Poprosiłem o spotkanie. Bremer zapewnił, że się tym zajmie. Wziął Holcka na słówko.

– Kiedy to się działo?

– W maju, czerwcu. To Bremer. Burmistrz! Jeśli on mówi, że się czymś zajmie, to co ja się będę kłócił. Nie patrz tak na mnie, Hartmann. Przyszedłem, prawda?

Zamieszanie w drzwiach. Wpadł Morten Weber.

– Troels. Spóźniasz się na kastrację. Zbiera się konferencja prasowa. Bremer chce się spotkać ze wszystkimi wcześniej. – Nagle zauważył, że coś jest nie tak. – Gert? Co ty tu, u diabła, robisz?

Jan Meyer siedział w biurze ze swoją żoną i dziećmi. Trzy dziewczynki. Siedem, pięć i dwa latka. Przyniosły mu dwa nowe radiowoziki. Robiły nimi „brum, brum” po blacie.

– Wyjdźmy w niedzielę na obiad – mówiła żona.

Trzymał na kolanach najstarszą córkę i obejmował ją w pasie.

– Najchętniej posiedziałbym w domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Dobra – zgodziła się. – Niech będzie w domu.

– W domu jest jakieś jedzenie, prawda? – Jego głos stał się donośny i śmiały, jak u olbrzyma z kreskówek. – Mam ochotę na wielkie steki i mnóstwo lodów. I cukierki, i colę. A potem... dokładkę wielkich steków!

– Możemy zamówić pizzę.

Za szybą pojawiła się Lund z poważną twarzą, zdenerwowana. Zatrzymała się w drzwiach.

– Zaczekajcie – powiedział Meyer. – Muszę pogadać. To nie potrwa długo.

Wyszedł na korytarz.

– Co się dzieje, Lund?

– Nie wiem.

Dotknęła głowy. Spojrzał na jej palce.

– Krwawisz. Lekarz mówił, że jeśli szwy puszczą, trzeba będzie założyć nowe.

– Musimy wrócić do kanałów. Myślę, że tam jeszcze coś jest.

– Lund...

Dzieci machały mu z pokoju. Wykonywały gesty, jakby coś jadły. Żona nie wyglądała na szczęśliwą.

– Powiem ci po drodze.

– Nie. Powiedz mi teraz.

– Nie zwariowałam, Meyer.

Milczał.

– Tam coś jest – upierała się. – Jedziemy?

Lund prowadziła, Meyer czytał akta. W radiu leciały wiadomości. Śmierć Holcka. Policjantka wzięta jako zakładniczka. Brix mówił, że sprawa Nanny Birk Larsen jest zamknięta. W Ratuszu plotkowano o rozejmie, a politycy spuścili z tonu i próbowali przeczekać chaos, który nagle ogarnął ich życie.

Patrzył na zdjęcia wisiorka. W ręku Nanny. Na szyi Mette Hauge dwadzieścia jeden lat wcześniej.

– To ten sam – powiedziała Lund. – Nie sądzisz?

– Tak wygląda. Czym się ta dziewczyna wyróżnia?

– Znaleziono jej rower. To jest na końcu raportu.

Meyer sięgnął we wskazane miejsce.

– Frieslandsvej?

– Przecina Kalvebod Fælled. Przy głównym kanale. Blisko Lasu Zielonoświątkowego. Przejeżdżasz kanał i jesteś w lesie. Rower leżał jakies siedemset metrów od miejsca, gdzie znaleźliśmy samochód.

Miejscowa fundacja ochrony środowiska naturalnego dostarczyła mapkę, którą dołączono do akt. Nad nią teraz ślęczał Meyer.

– Na całym terenie aż do morza gęsto tam od siatki kanałów. Możesz w nich utopić pół Kopenhagi i nikt nic nigdy nie znajdzie.

– Holck studiował w Stanach, gdy zaginęła Mette Hauge.

Podawała mu zdjęcie dyplomu z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Cruz.

– Nie przyjeżdżał przez cały rok. To nie mógł być on.

– Masz tylko wisiołek.

– I rower. Wiem, że to ten sam człowiek. Na pewno.

– Już przeszukiwaliśmy kanał.

– W to samo miejsce by nie wrócił.

Meyer machnął ku niej mapką.

– To może potrwać całe lata.

Minęli stację Vestamager, ostatni przystanek metra. Dalej droga biegła prosto na południe, do Sundu.

Niski, płaski teren. Tylko po prawej widać było linię martwych drzew.

– Musimy po prostu znaleźć kogoś do pomocy – powiedziała Lund. – Nie martw się.

Przepompownia. Dwaj funkcjonariusze z nocnej zmiany wraz z Lund i Meyerem przeszli przez drzwi, podążyli schodami w dół i dalej w mroczne wnętrza brzdąkających maszyn i pomp. Przedsiębiorstwo wodno-kanalizacyjne przysłało swojego inżyniera. Przyzwyczajony był do gości. Lubił im opowiadać historie. Kiedy Niemcy okupowali Danię, szukali pretekstu, by zaciągnąć okoliczną ludność do nazistowskich obozów pracy.

Więc rząd w Kopenhadze wymyślał lipne projekty, żeby z kolei zatrzymać ich w domu. Należała do nich rekultywacja terenów. Projekt ten

nie miał żadnego celu praktycznego. Ale dzięki niemu przez jakiś czas niemieckie łapy trzymały się z dala od setek Duńczyków.

– A teraz – powiedział, przekrzykując hałas maszynerii – ciągle pompujemy. Osiemdziesiąt procent okolicznych terenów leży poniżej poziomu morza. Gdybyśmy nie pompowali, Sund dawno by się o nie upomniał.

Miał lepszą mapę. Meyer spojrzał na nią i westchnął. Sieć melioracji była jeszcze bardziej złożona, niż się wydawało na pierwszy rzut oka, rozciągała się na całym terenie niczym wodny system nerwowy na chaotycznym szlaku do morza.

– To mostek, przy którym znaleźliśmy Nannę. – Lund wskazała punkt na mapie. – Dokąd ten kanał biegnie?

– Wszystkie kanały niosą odprowadzoną wodę do zbiornika wody morskiej. Po to tam są.

Jej palec przebiegł z powrotem od miejsca śmierci Nanny do rowu, przy którym znaleziono rower Mette Hauge.

– To niewykonalne, Lund – utyskiwał Meyer. – Skąd mamy, do cholery, zacząć?

Wpatrywała się w niego zdumiona. Wydawało się, że to dziwnie pokreślane pytanie.

– Najpierw spróbujemy myśleć tak jak on. – Pokazała znowu mapę inżynierowi. – Co to jest?

– Spust, który wypływał na starą drogę.

– Jaką drogę?

– Starą. – Jego ton sugerował, że powinna widzieć. – Zamknęliśmy ją jakieś dwadzieścia lat temu. Nie była nam potrzebna. Nikt tamtędy nie jeździł. Bo i po co?

– Tam poszukamy. – Lund postukała palcem w mapę. – Wpuścimy nurków do wszystkich kanałów i spustów, które stąd odchodzą. Musimy przeszukać jezioro.

– Oj, nie. – Inżynier zaśmiał się nerwowo. – Nie możecie tego zrobić. Musielibyśmy wszystko pozamykać, gdyby ludzie się dowiedzieli, że szukacie ciała.

– Zamknięcie to najlepsze wyjście – upierała się Lund. – Powiedzmy, że na czterdzieści osiem godzin. – Spojrzała na ludzi z nocnej zmiany. – Ściągnijcie posiłki.

– Nie możecie! Tam jest pięćdziesiąt tysięcy gospodarstw. Szpitale. Domy starców.

– Postaramy się pospieszyć.

Na stalowych schodach zadzwoniły kroki. Brix.

Lund podeszła do niego.

– Ciało Mette Hauge nigdy nie odnaleziono – wyjaśniła szybko. – Jej rower leżał blisko miejsca, w którym znaleźliśmy ciało Nanny. Czarny wisiołek należał do Mette. Musimy przeszukać kanały. To ten sam człowiek.

– Dobra – powiedział Brix. – Wyślij nurków.

Nie wierzyła, że tak łatwo poszło.

– I wystąpimy do sił powietrznych o kilka F16 – dodał. – Powiadom NATO. Co jeszcze? Może sprowadzimy okręt podwodny?

– Posłuchaj. Holcka nie było wtedy w kraju.

– Więc nie zabił Mette Hauge. To ci niespodzianka. Zamordował jednak Nannę. I to jest ważne. Przeczytałem notatkę twojego chłopaka. To tylko teoria. Sprawa jest zamknięta. Holck miał romans z Nanną. Jego odciski palców są w całym mieszkaniu.

– Mogły być stare. Dokąd Holck ją zabrał? Nadal nie wiemy. To nie był ten magazyn, w którym mieszkał. Nic tam...

– Idź do domu, dobra? Pogadaj ze swoim chłopakiem. A potem wsiądźcie w samolot do Szwecji. Proszę.

Ruszył do wyjścia.

Lund się wściekła, choć próbowała się opanować.

– Tego właśnie chcesz, prawda? Żebym się zamknęła. O to też Bremer prosił? To część umowy?

Brix się odwrócił.

– Jestem cierpliwym człowiekiem. Ale wszystko się kiedyś kończy. Nie zauważyłaś?

– Posłuchaj mnie, Brix.

Wyciągnął rękę.

– Oddaj mi odznakę.

Próbowała się spierać. Nie słuchał. Oddała odznakę.

– I kluczyki do wozu.

Podszedł do nich Meyer.

– Zmobilizuj wszelką możliwą pomoc, Lund – powiedział Brix. – Dzięki Bogu, że nie obciążasz już mojego budżetu, bo nie muszę za to płacić.

Rzucił kluczyki Meyerowi.

– Odwołajcie wszystkie jej zarządzenia. Niech kto inny się teraz z nią użera.

Meyer odwiózł ją do domu, próbował pocieszyć po swojemu.

– Moglibyśmy się tam pierdzielić do końca życia, a i tak nic nie znaleźć. Daj spokój.

Znowu głowa jej krwawiła. Otarła ją chusteczką. Krwawy skrawek papieru przylepił się jej do potylicy.

– A tak czy owak ten koleś od wody mówił, że codziennie sprawdzają poziom bakterii. Ten punkt, o którym mówiłaś, jest nieopodal ujęcia wody pitnej. Coś by wyłapali.

– To było dwadzieścia jeden lat temu. Zapomnij teraz o kanale. Dlaczego Nanna pojechała do mieszkania? Ona na coś czekała, pamiętasz? Te jej zdjęcia w szkole. Była szczęśliwa.

– Lubiła Holcka. Dlatego była szczęśliwa.

Lund spojrzała na niego i zamrużyła powiekami.

– Dobra, może to mało przekonujące – przyznał. – Ale nigdy nie wiadomo.

– Dlaczego nie pojechali do mieszkania razem?

– Bo on jest politykiem. Nie pokazuje się publicznie z dziewiętnastolatką. A może...

– Och, na miłość boską. Też myślisz, że zwariowałam?

– Oczywiście, że nie. Odwożę cię do domu, prawda?

– Zawsze sobie żartujesz, jak się robi niezręcznie.

– Nie sądzę, że zwariowałaś, Lund. Jasne?

– Musisz sprawdzić akta Mette Hauge. To wtedy była wielka sprawa. Przeprowadzili tysiąc siedemset przesłuchań. Musi być ktoś, kto prowadzi do Nanny.

Meyer jęknął.

– Muszę to zrobić?

– Tak. Brix mi zabrał odznakę. Nie mogę wejść do archiwum. Zrób to dziś w nocy. Szukaj powtarzających się nazwisk. Adresów.

– Nie.

– Zobacz, czy są jakieś...

– Nie! – wrzasnął Meyer.

Cisza.

– To się musi skończyć – powiedział w końcu. – Ta sprawa stała się twoją obsesją.

Wyrzała za okno.

– Rozumiem, że poczujesz się źle, jeśli się okaże, że to nie Holck.

Zdjął ręce z kierownicy. Klasnął, a potem zajął się na powrót prowadzeniem.

– Na wypadek gdybyś nie zauważyła, zastrzeliłem Holcka ze względu na ciebie. Nie na Nannę. Ona już nie żyła.

Cisza.

– Dlaczego ty się tak przejmujesz wszystkim dokoła? A sobą nie?

Zawahał się.

– Ani swoją rodziną.

– Postąpiłeś właściwie, Meyer.

– Wiem, że postąpiłem właściwie. Nie o to chodzi. Sprawa jest zamknięta. Zakończona.

Nie patrzyła na niego.

– Tylko ty jedna nie możesz tego zrozumieć. Musisz pogadać z psychologiem czy coś.

– Więc zwariowałam?

– Tak bym nie powiedział.

– A jak?

– No na miłość boską...

Odpięła pas i chwyciła swój płaszcz.

– Zatrzymaj się. Wysadź mnie tutaj.

– Nie bądź dzieckiem.

Wsadziła teczki do torby. Położyła dłoń na klamce, zaczęła otwierać drzwi, chociaż samochód wciąż jechał.

– Uspokój się! – krzyknął Meyer.

– Zatrzymaj się i mnie wypuść.

– A wiesz w ogóle, gdzie jesteś?

Lund spojrzała za okno. Gdzieś w pobliżu Vesterbro. Po przeciwnej stronie miasta, jeśli chciała dotrzeć do mieszkania matki.

– Tak, wiem.

Hartmann wszedł na konferencję prasową ze Skovgaard u boku.

– Po co w ogóle przyszliśmy? – spytała ostrym, lodowatym szeptem. – Słyszałeś, co powiedział Stokke. Bremer mógł cię oczyścić...

Kolejny wyłożony boazerią pokój. Na ścianach obrazy, stare i nowe. Dziennikarze już się schodzili. Kamerzyści ustawiali sprzęt. Przywódcy partii zebrali się na podium.

Weber poparł ją bez wahania.

– Nie możesz ignorować faktów – powiedział. – To jakaś parodia.

Mai Juhl podeszła uścisnąć mu dłoń.

– Dobrze, że jesteś, Troels. Po tym wszystkim, co przeszedłeś.

– Po tym wszystkim, w co cię wrobiono – mruknął Weber.

– Dziękuję, Mai – odrzekł Hartmann. – Poświęcisz mi chwilę?

Właśnie wszedł Poul Bremer, czytając jakieś dokumenty. Zobaczył, że zbliża się do niego Hartmann.

– Cieszę się, że jesteś. Zaczynamy.

– Musimy pogadać.

Dziennikarze zajmowali miejsca.

– Nie, Troels, nie teraz.

– Ty wiedziałeś, że to Holck przekazywał pieniądze Olavowi Christensenowi.

Bremer wcisnął pięści do kieszeni spodni, patrzył na niego spod zmrużonych powiek, z rozchylonymi ustami.

– Wiedziałem? Kto tak twierdzi?

Hartmann nie odpowiedział.

- Ach, niech no zgadnę. Któryś z urzędników? – Bremer się uśmiechnął.
- To ma sens. Oni zawsze przede wszystkim dbają o własnej tyłki.
- Wiedziałeś. Nie próbuj się wykręcić.
- Oczywiście, że nie wiedziałem! – Poklepał Hartmanna po ramieniu. – Troels... dużo przeszedłeś. To widać. Musisz się nauczyć kontrolować emocje.

Hartmann nie dał się sprowokować.

- Słuchaj – ciągnął Bremer. – Urzędnicy Holcka wyklócają się między sobą. Wiedzą, że przeprowadzę postępowanie w sprawie tego bajzlu. Zmyślą każdy nonsens, żeby się wykręcić od odpowiedzialności.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

- Przeszedłeś przez piekło. Rozumiem, że masz powody do podejrzliwości. Holck i może niektórzy z jego ludzi oszukali nas wszystkich. Musimy razem posprzątać ten bajzel. I posprzątamy. Zgoda?

Milczenie.

- Czy też wolisz wierzyć im niż mnie? – ciągnął Bremer. Następne klepięcie. Następny uśmiech. – Dobrze. Zaczynamy.

Do sali wchodzili kolejni dziennikarze. Bremer uśmiechał się promiennie z podwyższenia. Wygłosił perfekcyjnie przygotowaną mowę, jak to zdemaskowanie Holcka wstrząsnęło wszystkimi. Jak to jeden z członków rady miasta niezasłużenie ucierpiał.

- Wszyscy byliśmy świadkami nieuzasadnionych oskarżeń, których ofiarą padł Troels Hartmann – mówił Bremer, kładąc dłoń na ramieniu rywala. – Ja nie wierzyłem w nie ani przez chwilę. Ale politycy muszą się odnosić do wydarzeń, i myśmy tak zrobili, w dobrej wierze, acz błędnie. Teraz tu, w ratuszu, obwieszczamy *borg fred*, rozejm. Zapomnimy o dzielących nas różnicach, dla dobra Kopenhagi.

Hartmann odwrócił się do niego i odezwał się na tyle głośno, by mikrofon to wychwytał:

– Jesteś szefem komisji finansowej.

Starszy mężczyzna zamilkł i zgromił go wzrokiem.

– Co?

– Jesteś szefem komisji finansowej.

Zero uśmiechu. Zero ciepła.

– Pogadamy o tym później – powiedział Bremer cicho i stanowczo.

Hartmann ani myślał zamilknąć.

– Jak to możliwe, że komisja nie wiedziała, że to Holck zatwierdzał wypłaty, a nie ja? Jak? Okłamałeś mnie...

Bremer zaczął się jąkać, w pułapce pomiędzy audytorium a Hartmannem.

– Jak... jak już uzgodniliśmy...

Hartmann zabrał mu mikrofon.

– Liberałowie nie wezmą udziału w tej farsie – oznajmił, patrząc, jak dziennikarze notują gorączkowo. – Jeśli zrobimy to, czego sobie życzy Poul Bremer, nigdy nie poznamy prawdy o działaniach Holcka, nie dowiemy się, kto maczał w tym palce.

– Co to ma znaczyć, panie Hartmann? – krzyknął jeden z dziennikarzy politycznych z telewizji. – Proszę powiedzieć.

– To ma znaczyć, że pan burmistrz wie o tej sprawie więcej, niż nam mówi. I więcej, niż powiedział policji.

Bremer wściekłym wzrokiem patrzył to na Hartmanna, to na innych przywódców.

– W tej chwili nie mam nic do dodania – dorzucił Hartmann. – Z punktu widzenia Liberałów te wybory będą wyglądały jak każde inne. Będziemy walczyć o każdy mandat i będziemy walczyć o zwycięstwo.

Zszedł z podwyższenia. Dziennikarze się podzielili – połowa rzuciła się ku niemu, połowa ku Bremerowi, domagając się odpowiedzi.

Po powrocie do biura Hartmann kazał swojemu sztabowi porozmawiać raz jeszcze ze wszystkimi sponsorami, którzy się wycofali. Zapoznać ich z sytuacją. Znaleźć nowych.

Skovgaard wisiła na telefonie. Weber rwał włosy z głowy.

– Media zaraz rzucą się nam do gardeł, domagając się wyjaśnień, Troels. Co ja mam im mówić?

– Kiedy wyjaśnimy wszystko ze Stokkem, wydamy oświadczenie. Umów spotkanie z nim.

– Stokke jest urzędnikiem. Nie będzie się wychylał. Nie będzie dla nas ryzykował swojej kariery.

– Ma obowiązek mówić prawdę – nie ustępował Hartmann. – Spotkam się z nim. Rozwiążemy to. Na Boga, Morten. Nie rób takiej miny. Przecież nie chciałeś tego rozejmu, prawda?

– Prawda. Ale ty się niczego nie uczysz, co? Rzuć w Bremera kamieniem, a odrzuci ci głaz. Spróbuję...

Wyszedł do głównego pokoju.

Hartmann został sam ze Skovgaard. Ręce w kieszeniach. Zapomniał języka w gębie. Ona właśnie skończyła rozmowę.

– Czy ja ci w ogóle podziękowałem? – spytał. – Za całą twoją pracę?

– Płacisz mi za nią.

Włosy miała związane. Atrakcyjną twarz zmęczoną i poznaczoną zmarszczkami. Ale ciśnienie jej służyło. Lubiała napięcie. Wyścig.

– Przepraszam za wszystko, Rie.

– Ja też.

A więc nie odeszła, choć mogła.

Zaśmiała się.

– Ależ to było imponujące. Na oczach wszystkich ukradłeś mi show. Już zapomniałam, że tak potrafisz.

– Co miałem robić? Bremer wiedział. Miał to wypisane na twarzy. Wiedział i chyba nawet się nie przejmował, czy to widzę. – Spojrzał za okno. Kopenhaska noc. Niebieski neon hotelu. – On naprawdę uważa, że to wszystko należy do niego.

– Morten ma rację. To się obróci przeciwko nam.

Hartmann zrobił krok ku niej.

– Myślisz, że jest szansa... może byśmy dzisiaj wyszli na kolację? Ciągle usiłuję zmyć z ust smak więziennego wikt.

Uśmiechnął się skruszony. I widać było, że nie miał nic przeciwko błaganiom.

– Nie dzisiaj. Zaczę pisać oświadczenie dla prasy.

– Może jutro...

– Naprawdę musisz się zastanowić, co powiesz Stokkemu. Jeśli on nie dołączy do gry, już po nas.

Theis Birk Larsen zadzwonił w parę miejsc. Do ludzi, z którymi od dawna nie rozmawiał. I do tych, z którymi już nie chciał mieć do czynienia. Ale życie się zmieniło. Powiedział, co należało, i odłożył słuchawkę.

Siadł naprzeciwko niej. Pernille patrzyła na zdjęcie na pierwszej stronie. Jens Holck.

– Podobno miał żonę i dzieci – odezwała się. – Był w naszym wieku.

Odsunął gazetę na bok.

– Cieszę się, że nie żyje. To pewnie niedobrze, Theis, ale się cieszę. Mamy wybaczyć. – Spojrzała na niego, jakby szukając odpowiedzi. – Jak można wybaczyć? Jak? – Pauza. – Dlaczego?

Skrzywił się, przez chwilę patrzył za okno.

– Podzwoniłem trochę w sprawie domu. W biurze nieruchomości mówią, że dokumenty mają prawie gotowe. Jutro się spotkam z agentką.

Zapalił papierosa i czekał. Ona ciągle patrzyła na gazetę. Wreszcie położyła mu dłonie na ramieniu i uśmiechnęła się.

– Przepraszam. Co mówiłeś?

– Im szybciej sprzedamy dom, tym lepiej.

– Może do świąt?

– Dostanę dobrą cenę. Te łajdaki z banku wiszą nam u gardeł.

Przesunęła dłonią po jego silnym ramieniu. Przyłożyła palce do zarosniętego policzka.

– Będzie dobrze – powiedział. – Nie sądziłaś, że wychodzisz za milionera, co?

Roześmiała się, po raz pierwszy, odkąd spadła na nich ciemność na Kalvebod Fælled, tamtej ciemnej, mokrej nocy całe życie temu.

– Byłam młoda. Nigdy nie wiadomo, za kogo wychodzisz. – Znowu dotknęła palcami jego skóry. – Wyszłam za tego, za kogo chciałam.

Na stole leżały dokumenty dotyczące domu. Spojrzała na plany. Trzy kondygnacje. Ogród.

– Humleby – westchnęła.

Theis Birk Larsen patrzył na nią, czuł, jak przepływa przez niego ciepła fala nadziei i miłości.

Usłyszeli jak na dole otwierają się duże drzwi.

– Ja się tym zajmę – powiedział.

Wydawało się, że w garażu nikogo nie ma. Tylko towary, które odbierali i wozili. Wartościowe.

Birk Larsen zawołał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Pomyślał o włamywaczach i o tym, ile zależy od tego małego Skærbæka. Starego

przyjaciela, którego tyle razy tak źle traktował. Chwycił klucz nastawny i poszedł do biura. Włączył światło.

Z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Drobną i młodą. Hindusa, w okularach kujonkach, z czarującą okrągłą buzią. Bliski płaczu.

– Dzień dobry – powiedział i podszedł uścisnąć dłoń Birk Larsenowi. – Drzwi były otwarte. Nie poznaje mnie pan, prawda?

Birk Larsen wzruszył ramionami.

– Nie poznaję. Już późno. Mamy zamknięte. Mogę...

– Jestem Amir. Amir El' Namen.

Wskazał drzwi.

– Pamięta pan mojego tatę? Tego od restauracji?

Przebłysk wspomnień, nagły ból.

Dwójka dzieci, sześciolletnich najwyżej, jadących do szkoły ręka w rękę, ściśniętych w czerwonej skrzynce trójkołowca Christiania. Mała Nanna i jej hinduski narzeczony, Pernille na siodełku, szczęśliwa i piękna. Vagnowi się to nie podobało. Birk Larsen też nie był do końca przekonany. Pernille myślała, że to słodkie, takie słodkie, że zaprasza Amira na przyjęcia, że ubiera go w zachodnie ubrania. Wozila go z Nanną, a oni chichotali, gdy skrzynka podskakiwała na bruku.

Tak wyglądało jedno ze zdjęć uwiecznionych na stole.

Ledwie zauważyli, jak Amir z cudzoziemca, który nie mówi po duńsku, zamienia się w jeszcze jedno miejscowe dziecko. Z inną skórą, ale poza tym takie samo.

Nanna go kochała, przypomniał sobie Birk Larsen. Amir był jej pierwszym chłopcem. Przez dwa lata, może trzy. A potem...

– Jesteś najmłodszym dzieckiem Karima – powiedział i stwierdził, że z tym wspomnieniem wiąże się więcej uśmiechów niż bólu, i oto jeden z nich pojawił się na jego twarzy.

– Byłem w Londynie. Studiowałem.

– Pamiętam. Karim mi mówił. Żenisz się, co?

Miał na ramieniu torbę, modną kurtkę khaki. Majętny student. Jakoś niełatwo mu było mówić. Wydawał się – i to było wręcz śmieszne – przerażony.

– Amir. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Przewiozłby mi pan kilka rzeczy? Jutro?

– Co?

Chwila ciszy.

– Rzeczy na ślub. Parę stołów i krzesel.

– Jutro? Nie. Jest środek nocy, niedziela. Nie możemy tak wszystkiego rzucić. No wiesz...

Twarz Amira posmutniała. Wyglądał na zawstydzonego.

– Przepraszam. Nie chciałem pana obrazić. Ja tylko... Dobrze, umówię się inaczej.

Birk Larsen westchnął głęboko, podszedł do biurka, wziął do ręki rozpiszkę.

– Słuchaj, postaram się coś dla ciebie znaleźć.

– Panie Birk Larsen...

– Tak?

Podszedł, z nadzieją w oczach.

– Bardzo bym chciał, żeby to pan przyjechał.

– Ja? A co to za różnica?

– To musi być pan. Proszę.

Dwójka dzieciaków w skrzynce christianii. Pierwszy chłopak Nanny. Taki słodki, potulny, pełen poważania. I taki pozostał.

– Przyjadę po ciebie koło południa – obiecał Birk Larsen. – O pierwszej w restauracji. Będziesz musiał mi pomóc.

– Oczywiście.

Wyciągnął rękę.

– Dziękuję panu.

Vibeke szalała z wściekłości, że Bengt wyjechał.

– Coś ty mu powiedziała, na miłość boską?! Że tak nagle uciekł.

Lund zajęła biurko. Rozłożyła na nim raporty zabrane z komendy. Zdjęła z manekina białą niedokończoną suknię ślubną i przypięła do bezgłowej postaci zdjęcia Nanny i Mette Hauge.

– Powiedziała, że musi się zatrzymać w hotelu.

W telewizorze leciały wiadomości. Usłyszała nazwisko Hartmanna. Nadawali materiał o konflikcie z Bremerem i zapowiedź rewelacji na temat Holcka.

Vibeke, ubrana w granatowy szlafrok, skrzyżowała na piersi chude ramiona i patrzyła na córkę wzrokiem sędziego z dramatu antycznego.

„Hartmann zarzucił Bremerowi, że ten zataił swoją wiedzę na temat poczyznań Holcka” – informował reporter.

– Mówiłaś, że sprawa jest zamknięta.

Lund patrzyła z bliska na ekran, pochłonięta słowami Hartmanna.

– Mark wprowadził się do ojca, Sarah. Wykopałaś Bengta. Traktujesz mnie, jakbym tu była tylko dla twojej wygody.

Lund zrobiła głośniej.

– Wyjaśnij mi! – krzyknęła Vibeke. – Dlaczego?

– Bo to ważne, na miłość boską! Ważne. Wiesz, co to znaczy?

Vibeke posłała córce surowe spojrzenie bazyliuszka.

– Rozmawiałam z twoją ciotką Birgit – powiedziała. – Pojadę do niej na kilka dni.

Wiadomości stały się mniej interesujące.

– Pojedziesz pociągiem? Bo potrzebny mi twój samochód.

Vibeke zamknęła oczy i odchyliła głowę.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Matka ani drgnęła, więc Lund zostawiła telewizor i podbiegła otworzyć.

Nikogo nie było. Wyszła na korytarz, spojrzała w górę schodów, w dół. Usłyszała trzaśnięcie drzwi na dole.

Uciekł. A w tym cholernym domu – pomyślała w pierwszej chwili – nie ma monitoringu.

Zawróciła do mieszkania, potknęła się o coś i spojrzała w dół. Na wycieracze leżała koperta bąbelkowa. Bez nazwiska. Podniosła ją. Od razu rozpoznała kształt. Kasetę wideo.

Jej matka poszła do łóżka. Lund ostrożnie rozcięła kopertę. Nie miała rękawiczek, więc osłoniła palce skrawkami satyny Vibeke.

Stara taśma, ze zdrapaną nalepką. Tak jak taśmy u ochroniarzy w ratuszu.

Wrzuciła ją do odtwarzacza i obejrzała.

Sięgnęła po telefon.

– Meyer?

Przyjechał pół godziny później, z czerwoną twarzą, miotając przekleństwa.

– Czy ty mnie kiedyś zostawisz w spokoju?

– Ale przyszedłeś, co? Siadaj.

– To jest jak romans z koszmarne go snu. Wszystkie minusy, a zero seksu.

Lund sięgnęła po pilota.

– Nie żeby m się dopominał – zapewnił szybko.

– Ty w życiu nie miałaś romansu, Meyer. Nie wiedziałbyś, jak się za to zabrać.

Siadł jak posłuszny chłopczyk.

Włączyło się wideo.

– Więc po co tu jestem?

– To zaginiona taśma. Z kamer przemysłowych w ratuszu.

Na ekranie pojawiła się dyżurka. Ludzie wychodzili do domu.

Meyer pociągnął się za prawe ucho.

– Skąd ją wzięłaś, u diabła?

– Ktoś mi ją zostawił na wycieracze.

Podawała mu kopertę. Teraz zapakowaną w torebkę do mrożonek.

Nagle na ekranie pojawiła się Nanna, piękna nawet na czarno-białej taśmie. Włosy trochę w nieładzie. Nie wyglądała na nastolatkę. Ani trochę. Uśmiechała się. Nerwowo, ale i czule.

Spojrzała w górę, na boki. Wyraz jej twarzy był jednoznaczny: do widzenia.

Z lewej strony wyłonił się mężczyzna. Jens Holck. Wyjął coś z kieszeni. Wyglądało to jak klucze. Nanna podeszła i przytuliła się do niego.

Lund wyjęła z listka kolejny kawałek nicotinell i wrzuciła do ust.

– Widziano Holcka, jak opuszcza ratusz? – spytał Meyer.

– Pół godziny później.

– Tu nie ma nic dla nas nowego.

– Musisz nauczyć się patrzeć, Meyer. Ile razy mam to powtarzać?

Cofnęła taśmę.

– Patrzyłem! Widziałem, jak dał jej klucze. Mają randkę. A potem ona idzie do mieszkania.

– Wiem, że nic nie poradzisz, że jesteś mężczyzną. Ale bez przesady. Oni nie mają randki. Popatrz!

Wyłupiaste oczy Meyera wpatrywały się w ekran.

– Nie widzisz? Twarz Holcka. On nie jest szczęśliwy. Jeśli Nanna do niego wróciła, to dlaczego ma taką żalostną minę?

Ostatni uścisk, pocałunek – przyjacielski, nie namiętny. Holck wyglądał jak człowiek, który stracił wszystko. A Nanna jak szczęśliwe dziecko,

którym już nie chciała być.

Meyer kiwnął głową.

– Dobra. To jeszcze nie znaczy, że nie spotkał się z nią w mieszkaniu.

Wstał i zaczął krążyć dokoła. Spojrzał na raporty na biurku. Zdjęcia na manekinie.

– Gdzie twoja matka?

Lund zatrzymała taśmę.

– Meyer. Musisz mi pomóc.

Nic.

– Jeśli masz choć cień wątpliwości... – zaczęła.

Machnął torebką na mrożonki.

– Nie podoba mi się to. Ktoś podrzuca taśmę i znowu siedzimy w tym ratuszowym gównie.

– Nieważne, czy ratuszowe, czy nie.

– Dostajesz takie rzeczy wtedy, kiedy oni mają coś do ugrania.

– Czasami jesteś cyniczny. Może chcą po prostu pomóc.

Meyer patrzył smętnie na stopklatkę. Żaloszny Holck całuje radosną Nannę.

– Przesrane – powiedział.

PONIEDZIAŁEK_ 17 LISTOPADA_

Z samego rana Hartmann ściągnął do siebie Gerta Stokkego. Nie ufał temu urzędnikowi.

– Proszę tylko, żeby powiedział pan prawdę. Przecież mówił pan Bremerowi, że Holck korzysta z mieszkania.

– Niewiele pan chce, co?

Stokke miał długą, szarą twarz posokowca i zaczerwienione, wodniste oczy.

– Nie mogę się angażować w spór pomiędzy panem a Bremerem.

– Już się pan zaangażował – zauważyła Rie Skovgaard.

Włączył się Morten Weber.

– Myślisz, że za milczenie doczekasz się nagrody, Gert? Znasz go. Jesteś urzędnikiem. On już nie może przypieprzać się do Holcka, więc będzie się czepiał całego wydziału. Ty pójdziesz pod nóż w pierwszej kolejności.

Stokke patrzył na nich niezadowolony. Bystry człowiek, przyparty do muru.

– A wy stoicie po mojej stronie? Nagle jesteśmy przyjaciółmi, co? Jeśli chcecie, możecie się nawet powyrzynać. Ale mnie do tego nie mieszajcie.

– Jeśli Bremer z tego wyjdzie, będzie po tobie – ostrzegł Weber.

Urzędnik pokręcił głową.

– Bremer nigdy w życiu nie przyzna, że rozmawialiśmy.

– Na pewno są protokoły – stwierdziła Skovgaard.

Chwila wahania.

– Bremer nie chciał, żeby protokołować – odparł. – Powiedział, że załatwi to z Holckiem po cichu. I że to się skończy.

Weber zaklął i trzasnął o stół dokumentami.

– Przykro mi. Jeśli się wychylę, będę skończony. Zawsze uważałem, że będzie z pana dobry burmistrz, panie Hartmann. Może następnym razem.

– Nie będzie następnego razu – burknął Hartmann. – Jesteś nam potrzebny, Gert.

– Kto mnie zatrudni, jeśli będę gadał? Mam pięćdziesiąt osiem lat. Co z moją emeryturą?

Skovgaard pobladła z wściekłości.

– Więc Troels ma za to zapłacić? Chociaż nic nie zrobił?

– Dajmy spokój – przerwał Hartmann. – Nie naciskajmy już na Gerta. Jeśli nie chce, to nie. To jego decyzja.

Wyciągnął rękę. Stokke ją uścisnął.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedział Hartmann i patrzył, jak urzędnik zapina marynarkę i wychodzi.

Weber miał kopię protokołu Stokkego z pierwszego spotkania.

– To tam jest? – spytał Hartmann.

– Nie. Sam poszukaj.

Podał mu kartki.

– Powinniśmy go bardziej przycisnąć – stwierdziła Skovgaard.

Morten Weber pokręcił głową.

– Bez sensu. On się straszliwie boi Bremera. To by nic nie dało.

Hartmann zatrzymał się na drugiej stronie.

– Tu jest napisane, że istnieje załącznik. Gdzie on jest?

– To pewnie jakaś dokumentacja techniczna – zasugerował Weber.

Hartmann nie wyglądał na przekonanego.

– Stokke jest porządnym, skrupulatnym urzędnikiem. Nie wierzę, że czegoś by nie odnotował. To nieprawidłowości finansowe, na miłość boską. Nie ryzykowałby.

– Boi się Bremera, mówiłem ci.

– Może. Kumplujemy się z kimś z wydziału Holcka? Ta duża kobieta...

– Rita? – podrzuciła Skovgaard.

– Jeśli tak ma na imię.

– Tak. Znam Ritę.

– Cóż. – Podał jej protokół. – Wiesz, co robić.

Rie zaczęła coś mówić na temat strategii medialnej. Hartmann nie słuchał. Weber znowu wisiał na telefonie. I wyraźnie się gorączkował.

– O co chodzi? – spytał Hartmann, gdy Weber skończył rozmowę.

- Będziesz musiał znowu pogadać z tą swoją adwokat, Troels.
- No, na miłość boską. Tylko nie Lund.
- Nie Lund. Bremer chce cię pozwać o zniesławienie.

Vibeke miała dziesięcioletniego zielonego garbusa. Lund nawet nie starała się prowadzić go ostrożnie.

Jechała do pralni w rejonie Islands Brygge. Korzystała już z niej wcześniej, gdy policja nie mogła sobie poradzić.

Instytucja charytatywna. Dofinansowywana przez miasto. Większość pracujących tu osób była w jakiś sposób niepełnosprawna. Kilka – głuchych od urodzenia.

Kierownik ją pamiętał.

– Dlaczego ludzie myślą, że jak ktoś jest głuchy, to czyta z ruchu warg? – jęknął na jej widok. – To nieprawda. Nawet jeśli czytają, to najwyżej jedną trzecią tego, co się mówi.

Firma obsługiwała mnóstwo największych kopenhaskich hoteli. Lund minęła przemysłowe pralki, stopy pościeli i poduszek. Było tu gorąco i wilgotno, mdliło od zapachu prasowania i detergentów.

– Jedna trzecia mi wystarczy – powiedziała.

– Musi pani znać temat, kontekst.

– Oczywiście.

– Jeśli ktoś może pani pomóc, to Ditte. To spryrciula. Głuchoniema. I zadziwiająco bystra.

Wyglądała na jakieś dwadzieścia lat. Długie jasne włosy i nieruchoma twarz. Pracowała przy maglownicy, spokojnie i z wprawą.

Lund mówiła, a kierownik migał. Dziewczyna patrzyła głównie na Lund. Zadziwiająco bystra.

Ditte zamigła.

– Chce zobaczyć pani odznakę.

Lund przeszukała kieszenie. Dziewczyna nie odrywała od niej wzroku.

– Zapomniałam. Powinłam mieć dzisiaj wolne. Musiałam ją zostawić w domu. – Uśmiechnęła się do kierownika. – Ale ja już tu byłam. On mnie zna.

Zero reakcji.

– Mam wizytówkę!

Wizytówek Brix nie zabrał.

Ditte uważnie przeczytała wizytówkę, a potem poszła z nimi usiąść w magazynie.

Lund puściła nagranie na laptopie, cofając w razie potrzeby. Czyli nieczęsto.

Dziewczyna migiała, a kierownik mówił.

– Przyszła, bo obiecał dać jej klucze.

Nanna patrzyła na Jensa Holcka. Błagała.

– Chce wziąć coś, czego zapomniała.

Palce Ditte pracowały bez wytchnienia.

– Nie chce, żeby on poszedł z nią.

Dziewczyna urwała, utkwiała wzrok w monitorze.

– Co się dzieje? – spytała Lund.

Mężczyzna przekazał pytanie. Ditte odpowiedziała. Powoli.

– Ditte mówi, że to bardzo smutne. Dziewczyna mówi, że przecież z nimi koniec.

– Mówi, czego zapomniała?

– Przyszła po...

Ręce znieruchomiły.

– Po co?

Nic.

– Mam przewinąć?

Ditte wydała cichy, niezrozumiały dźwięk, ni to samogłoskę, ni spółgłoskę.

– Mówi, że nie, niech leci.

– Wyjechali gdzieś na weekend.

Ditte kiwnęła głową, z czegoś zadowolona. Odwróciła się i spojrzała na Lund. Palce migają bardzo zdecydowanie.

– Mówi, że potem zostawiła paszport w szufladzie w mieszkaniu.

Lund głośno wciągnęła powietrze.

– Swój paszport? Na pewno?

Ditte znowu nie odrywała się od monitora.

– Jej samolot odlatuje w nocy – powiedział kierownik.

– Jej samolot? Dokąd?

Dziewczyna z pralni wyglądała na zdumioną. Lund zatrzymała nagranie. Pozwoliła jej odetchnąć.

– Powoli, nie ma pośpiechu.

– Ona chce, żeby pani puściła dalej – powiedział kierownik.

Więc Lund puściła dalej.

– Mężczyzna ją pyta, dokąd ona leci. Ale ona tylko prosi o klucze. Mówi, że poznała kogoś innego. Kogoś, kogo bardzo kocha. Z kim wyjeżdża.

Dwie twarze na ekranie, miłość i nienawiść, w jednej chwili. Oboje już nie żyją.

– On znowu pyta, dokąd.

Lund zamknęła oczy.

– A ona mówi, że do Paryża. Ale Paryż...

Ditte przerwała. Wyglądała na rozgniewaną.

– Co z Paryżem?

Miganie.

– To nie Paryż. Ona kłamie.

– Skąd wiesz?

Wskazała nagranie.

– Kiedy dziewczyna mówi, nie patrzy mu w oczy.

Lund kiwnęła głową. Ręce znowu się rozbiegały.

– Tak jak pani, kiedy powiedziała, że nie ma odznaki. I że to pani wolny dzień.

Dziewczyna siedziała i uśmiechała się do Lund. Dumna z siebie.

– Nie będę miał z tego powodu problemów, prawda? – spytał kierownik.

– Nie – odparła. – Obiecuję.

W drodze do centrum, siedząc na twardym fotelu w garbusie Vibeke, Lund zadzwoniła do Meyera.

– Tamtej nocy odlatywał samolot Nanny. Skłamała co do celu podróży.

Usłyszała, jak ktoś wali papierami w biurko. Meyer przełączył rozmowę na głośnomówiący. Pewnie teraz wykonywał wulgarnie gesty do telefonu.

– Nigdy nie trafiliśmy na nic, co by wskazywało, że się wybiera w podróż.

– Pożegnała się z rodzicami. Pożegnała się z przyjaciółmi w szkole. Z Kemalem. Z Holckiem. Też to widziałeś.

– Naprawdę? Z kim wyjeżdżała?

– Zdobądź listy pasażerów. Obdzwoń linie lotnicze.

– Nie ma sprawy. Nie mam nic innego do roboty.

– Sprawdzaleś stare sprawy?

– Patrzę na nie w tej chwili. I nie widzę żadnego powiązania. Poza rowerem Mette Hauge i...

– Sprawdź odloty i dowiedz się, z kim podróżowała. Hauge...

Usłyszała kliknięcie.

– Meyer? – powiedziała do mikrofonu na szyi. – Meyer?

Pokój Nanny znowu się zmienił. Pernille ustąpiła. Wzięła kartony. Zaczęła ostrożnie układać w nich rzeczy córki.

Na biurku Nanny stał globus. Z gwiazdkami na każdym mieście, które chciała odwiedzić pewnego dnia. Londyn i Rzym. Nowy Jork i Pekin.

Pernille spojrzała na ten kawałek plastiku. Wstawiła go do kartonu i wróciła do salonu. Rozejrzała się.

Było tu całe ich życie. Cała miłość, wszystkie sprzeczki. Cały ból i radość.

Na framudze kredkami zaznaczali wzrost dzieci. Czerwoną Nanny, zieloną Antona, niebieską Emila. Wszystkie śmieci, które ponaklejała policja, zniknęły. Znowu miała przed oczami swoje mieszkanie i nie musiała sobie przypominać o płynącym życiu, świecie zewnętrznym i wszystkim, co się w nim działo.

Życie nie stało w miejscu. Nieustannie się zmieniało. Inaczej nie byłoby życiem. Zapomniała o tym w tej straszliwej otchłani, która ich wciągnęła. Może i zapomniała wcześniej, w wygodzie zagraconego mieszkania nad brudnym, tętniącym życiem magazynem. Wychowując dzieci. Karmiąc Theisa. Ciesząc się uściskiem jego silnych ramion, gdy zostawali sami.

Nigdy w miejscu. Albo płyniesz do przodu, albo porwie cię prąd i uniesie, dokąd chce. Wyrzuci cię na nagi, zimny piasek.

Zeszła na dół. Siedziała tu kobieta z agencji. Theis z nią rozmawiał. Kłękcie go ciągle bolały po wydarzeniach sprzed dwóch nocy. Twarz miał ponurą i mroczną.

Pernille zapukała do drzwi, weszła, usiadła.

– Myślę, że powinni państwo przyjąć tę ofertę – mówiła. – Wiem, że nie jest oszałamiająca. Ale rynek jest teraz niekorzystny. Przy państwa sytuacji finansowej, gdy bank oczekuje pieniędzy...

– Bank – burknął.

Uśmiechnęła się i zwróciła do Pernille:

– Teraz, kiedy jest po wszystkim, przyda się uporządkować sprawy.

Pernille zamarła.

– Źle się wyraziłam, przepraszam – dodała szybko agentka – nie miałam na myśli, że wszystko wróciło do...

– Kiedy oni by się wprowadzili? – spytał.

– Bardzo szybko. Pieniądze...

– Chcielibyśmy to jeszcze omówić – przerwała jej Pernille. – Mogłaby pani poczekać na zewnątrz?

Kobieta wyszła, chyba zszokowana.

– Parszywe banki – mruknął.

Plany leżały na biurku. Kilka szkiców. Zdjęcia agencji.

– Nie zdążyłam go obejrzeć.

– Nie...

– Jaki jest? Ładny? Jest tam ogródek?

– To Humleby. Dwa piętra...

– Chłopcom by się podobało, Theis?

– Osobne pokoje? Mogliby mieć kolejkę. Pewnie, że by im się podobało.

– A szkoła jest niedaleko...

– Pernille. – Spojrzał na kobietę za szybą. – Ta wiedźma właśnie powiedziała, że znalazła kupca. Za marną cenę, ale...

Milczała.

– Bankowi się spodoba.

Przebiegła palcami po zdjęciach. Szara zabudowa Humleby. Ogródek.

– Ale jeśli się namyśliłaś...

– Nie, nie. Przyjmij ofertę.

Spojrzała na niego.

– Potrzebujemy pieniędzy, prawda?

– Pieniędzy – powtórzył.

Lund znalazła taksówkarza, Leona Freverta, gdy polerował swojego mercedesa na postoju przy przystanku promu turystycznego w Nyhavn.

Nie chciał rozmawiać.

Po trzech monosylabicznych odpowiedziach rzekł:

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Wziąłem pasażerkę, zawiozłem ją gdzieś. Co tu jeszcze jest do gadania?

– Miała torbę?

Wbił wzrok w przednią szybę. Pomyślała o Ditte z pralni. Frevert nie spojrzał jej w oczy.

– To było prawie trzy tygodnie temu. Pani żartuje.

– Miała torbę?

Odłożył ścierkę i spojrzał na nią.

– Może miała portfel w torbie, nie wiem.

– Miałam na myśli torbę podróżną. Walizkę. Plecak.

– Nie, nie miała.

– Na pewno?

– Gdyby miała, wsadziłbym ją do bagażnika.

Samochód z przodu odjechał. Frevert był teraz drugi w kolejce. Na pewno najchętniej odjechałby przy pierwszej okazji.

– Mówiła panu, dokąd jedzie później?

Wyglądał teraz na chudsze niż poprzednio. Na bardziej znękanego.

– Już mówiłem. Ratusz, a potem Grønningen. Nic więcej nie wiem.

Odjechał pierwszy samochód. Frevert był następny.

– Nie wspomniała nic o lotnisku?

– Na pewno nie. Zawiozłbym ją. To dobry kurs. – Podrapał się po rzednących włosach. – Ale jak tak pani teraz spytała...

– Co?

– Prosiła, żebym poczekał.

– Poczekał?

– Tak, teraz pamiętam. Mówiła, że musi pójść za róg, a potem od razu wraca. Więc czy mógłbym poczekać.

Roześmiał się.

– W piątek wieczorem? Miło było zawieźć młodą do ratusza. Ale klientów było mnóstwo. Nie mogłem tam stać. – Spuścił głowę smętny i zawstydzony. – Jezu. A gdybym zaczekał?

– Gdzie Nanna chciała jechać potem?

Frevert myślał.

– Chyba na Dworzec Główny.

Dworzec znajdował się naprzeciwko Tivoli. Lund przychodził na myśl tylko jeden powód, dla którego Nanna miałaby tu przyjeżdżać.

Skierowała się prosto do przechowalni bagażu. Za ladą siedział usłużny młodzieniec w granatowym uniformie. Wyjaśnił, że po trzech dniach wszystkie schowki są opróżniane, a nieodebrane rzeczy trafiają do magazynu.

– Jeśli da mi pani kluczyk, znajdę ten bagaż – dodał. – I trzeba będzie uiścić opłatę.

– Nie mam kluczyka.

– A jaki to był numer?

– Nie znam numeru.

– W takim razie – odparł pogodnie – żadnego bagażu pani nie odbierze.

– To torba podróżna. Zostawiona w ostatnich dniach października.

Wyglądał na jakieś osiemnaście lat. W głębi za ladą widziała magazyn. Całe rzędy toreb.

– Czy ta torba przypadkiem należy do pani?

– Jeśli mnie pan wpuści i powie, gdzie szukać, to ją znajdę.

Skrzyżował ramiona.

– Jeszcze jakieś życzenia? Darmowy bilet, pierwsza klasa do Helsingør?
Cheeseburgera?

Wyciągnęła wizytówkę i podała mu.

– Sarah Lund. Wzywano nas w sprawie podejrzanej walizki.

Wsadził wizytówkę do kieszeni.

– Jeszcze poproszę dowód tożsamości.

Już przelażała przez stalową bramkę.

– Sama znajdę.

Minęła go zdecydowanym krokiem, ignorując jego okrzyki, przeszła na tył, wyciągnęła torbę z półki. Data niedawna. Torba Nanny musiała być gdzie indziej.

– Proszę przestać. Jestem pracownikiem kolei!

– Staram się pomóc – powiedziała Lund, biegnąc szybko wzdłuż półek.

– Będę zły.

Stał, krzyżując chude ramiona.

– Ty się robisz zły? – wrzasnęła. – Ja przychodzę w wolny dzień, bo ktoś z transportu prosił mnie o przysługę. I trafiam na przyszczatego nastolatka. Zejdź mi z oczu, idź się pobujać na huśtawce, synku. Dorośli muszą pracować.

Twarz mu poczerwieniała, zaczął biadolić i wymachiwać rękami.

– Pani... och... proszę pani...

– Myszka Miki czeka – dodała, wskazując Tivoli.

– Proszę tu zostać! – pisnął. – Idę po szefa.

Lund przyspieszyła.

Tyle toreb. Większość czarna. Takie kupują mężczyźni.

Nanna była ładna i lubiła ładne rzeczy.

Słyszała, że ktoś się zbliża. Głosy przybierały na sile.

Lund prawie biegła, aż ją zobaczyła. Różowa i modna. Markowa. Jens Holck mógłby taką kupić na koszt Ratusza.

Spojrzała na przywieszkę z nazwiskiem. Po jednej stronie Liceum Frederiksholm. Po drugiej Vesterbrogade 95, adres Lotte.

Oczywiście, że Nanna ją tam trzymała. Nie chciała, żeby Theis i Pernille się dowiedzieli.

Lund chwyciła torbę i pobiegła z nią, ignorując wymachującego rękoma, piszczącego nastolatka przy kontuarze.

Meyer odebrał jej telefon.

– Masz listy pasażerów? – spytała.

– Nie.

Odniosła wrażenie, że niechętnie z nią rozmawia.

– Jedziesz gdzieś, Meyer?

– SAS strajkuje. Jadę na lotnisko. Dobra?

– Dobrze. Mam jej torbę.

Znowu siedziała w zielonym garbusie, przetrząsając rzeczy Nanny w walizce leżącej na fotelu pasażera.

– Masz jakieś wskazówki, dokąd jechała? – spytał.

Szkicownik. Tenisówki. Kostium kąpielowy. Ciepłe ubrania. Na większości metki. Wyliczała to wszystko Meyerowi.

– A coś sugeruje, z kim jechała?

– Nie.

Lund wzięła z domu zapasowe rękawiczki ochronne. Zębami otworzyła paczkę i naciągnęła je na dłonie.

– Jadę spytać Birk Larsenów – rzuciła.

– Na miłość boską, nie rób tego. Wczoraj im powiedziałem, że zamknęliśmy sprawę. Oni muszą mieć trochę wytchnienia.

– Tak, rzeczywiście. No to coś wymyślę.

– Lund!

Birk Larsen punktualnie stawił się pod indyjską restauracją. Zadzwoiła Pernille.

– Bank nam nie pomoże, Theis.

– O czym mówisz?

– Nie pomogą nam z domem. Może byśmy wzięli pożyczkę na firmę?

– Na firmę mamy już pełno pożyczek. Sprzedajemy dom, prawda?

Wydawała się spokojna. Prawie szczęśliwa.

– Jestem tu teraz. W Humleby. Nie powiesiłeś zasłonek.

– Zasłonek! Dlaczego kobiety zawsze myślą o zasłonkach! Tam jest hydraulika, elektryka i...

– Nawet bez zasłonek wygląda pięknie.

Birk Larsen zatrzymał się na ulicy. Uśmiechnął się szeroko. Roześmiał się w ponure zimowe niebo.

– Kobiety – westchnął.

Słyszał w słuchawce jej szczęśliwy głos. W myślach widział jej twarz.

– Mała?

Nie nazywał jej tak od wieków.

– Mała? – powtórzyła Pernille. – Czy ja reaguję na Małą?

– Kiedyś reagowałam. Czemu nie? Przede wszystkim zadzwonię do agencji. Powiem, że nie sprzedajemy. I żeby w chudą dupę wsadzili sobie prowizję.

Cisza.

– Jeśli tak będzie okej.

Cisza.

– Jeśli – powtórzył – tak będzie okej.

– To dom, Theis. Nigdy nie mieliśmy domu. A co z pieniędzmi?

– Znajdę jakiś sposób, żeby je zdobyć.

– Skąd weźmiemy pieniądze?

– Nigdy o to nie pytałaś. Czemu miałybyś teraz zacząć?

– Mogę dzisiaj po południu przywieźć tu chłopców? Przyjedziesz? Pokazalibyśmy im wszystko.

W oknie restauracji zobaczył Amira, smutnego i zdenerwowanego jak poprzedniego wieczoru. Towarzyszył mu ojciec, który nie wyglądał ani trochę radośniej.

– No pewnie – powiedział Theis.

Wsadził telefon do kieszeni. Klasnął w wielkie dłonie. Uśmiechnął się do cudzoziemców. Znów poczuł się... silny.

Pieniądze można zarobić. Nie po raz pierwszy wyruszy na burzliwe wody, by utrzymać się na powierzchni. Rozmowy, które przeprowadzał, tym bardziej się teraz przydadzą.

Po drugiej stronie drogi Amir i jego ojciec stali przed restauracją, kłócąc się. Starszy pan wymachiwał oskarżycielsko palcem, krzycząc tak głośno, że Birk Larsen go słyszał. Bełkot obcego języka.

Ojciec położył Amirowi rękę na ramieniu. Młody się wyrwał, wściekle przeklinając po duńsku.

Dwójka dzieciaków w skrzynce czerwonej christianii. W drodze do szkoły. Utrwaleni na fotografii na stole.

Wszyscy dorośli. Wszyscy dokądś pojechali, niektórzy w bezkresną noc.

Amir przeszedł przez jezdnię i stanął przed nim.

– Coś się stało? – spytał Birk Larsen.

– Zabierajmy się stąd.

I pomaszerował do czerwonej ciężarówki.

Skovgaard telefonicznie usiłowała odszukać zaginiony dokument z protokołu Stokkego. Morten Weber spędził godzinę z ludźmi Bremera,

próbując oczyścić atmosferę. Mai Juhl czekała w biurze Hartmanna i niecierpliwiła się.

– Co ten staruszek ma do powiedzenia?

– Bremer ma zacząć postępowanie w wydziale Holcka. Czeka na ciebie. Albo wygłosisz sprostowanie i cofniesz swoje słowa, albo on cię pozwie.

Hartmann machnął ręką do Juhl. W odpowiedzi uzyskał cień uśmiechu.

– Więc mam się wycofać i wyjść na kretyna?

Weber pokręcił głową.

– Zawsze są jakieś rozwiązania polubowne, Troels. Moglibyśmy powiedzieć, że działałeś w stanie silnego napięcia po aresztowaniu. Bremer odpowie współczującym przesłaniem, jeśli dasz mu, czego chce.

– Zapomnij.

Mai Juhl miała mniej więcej podobne pomysły. I te zapewne pochodziły od Bremera.

– Nie zapędzaj się w kozi róg, Troels.

– Bremer wiedział, że jestem niewinny. Pozwolił, żebym siedział w więzieniu, oskarżony o morderstwo. Wystarczyłoby zaś, żeby podniósł słuchawkę...

– Tak mówisz. A możesz to udowodnić?

– On uważa nas za swoją własność, Mai. I może ma rację.

– Bądź pragmatyczny. Wszystkim nam przykro, że tak się stało. Ale potrzebujesz przyjaciół. Nie odcinaj się od...

– Co dokładnie miałbym zrobić?

Weszła Skovgaard.

– Nie teraz – rzucił Hartmann, nie patrząc na nią.

– Owszem, teraz.

Uśmiechała się. W ręku miała jakieś wydruki. Coś w jej oczach...

– Słucham, Mai.

– Jeśli zmienisz zdanie, wycofamy pozew o zniesławienie.

Hartmann wziął dokumenty i zaczął je czytać.

– Jest sześciu zastępców burmistrza i on sam – ciągnęła Juhl. – Nie zostawi ci edukacji. Chce, żebym ja się zajęła tym działem. Ale ty dostaniesz inny. Może... środowisko.

– Ostatni człowiek, który piastował to stanowisko, zrobił oszałamiającą karierę, prawda? – wtrącił Hartmann, ciągle czytając.

– Staram się pomóc. Niektórzy uważają, że nie jesteś tego wart. Udowodnij mi, że się nie mylę. Udowodnij im, że oni się mylą. Zróbmy to, jak należy. Napisz list, dobra?

Poruszył się prawie niedostrzegalnie. To nie było nawet kiwnięcie głową. Ale Mai Juhl uchwyciła się tego. Wzięła żakiet i powiedziała radośnie:

– Dzięki Bogu. Zobaczymy się niedługo.

I wyszła.

Hartmann patrzył na świat za oknem. Myślał o możliwościach i kierunkach. O wyborach, których należało dokonać.

– Troels?

Wszedł Weber, a Hartmann ledwie to zauważył.

– Niedługo postępowanie. Musimy sklecić plan.

Żadnej reakcji.

– Halo! Ziemia do Troelsa!

– Jestem – ocknął się Hartmann. – Mam plan. Powiedz Bremerowi, że potem wystosujemy dementi.

Weber zerknął podejrzliwie.

– Wycofasz oskarżenie?

– Potem.

– Dobra...

Przeszła przez garaż, zignorowała ciężkie spojrzenia mężczyzn w czerwonych kombinezonach, wspięła się po schodach i zadzwoniła.

– Witam, Pernille.

Lund uśmiechnęła się i starała się sprawić przyjazne wrażenie.

– Przeszkadzam?

– Wychodzimy. Chcę zobaczyć dom.

– Potrzebujemy paru dowodów. To czysta formalność.

– Co mianowicie?

Lund weszła do środka i stanęła w kuchni. Tyle rzeczy. Wazony i rośliny, w oknie figurki zwierząt, z boku naczynia. Ona nigdy nie stworzyła takiego domu.

– Muszę jeszcze raz przejrzeć rzeczy Nanny. Ostatni raz, obiecuję.

– Meyer powiedział, że sprawa jest zamknięta.

– Jutro. To mój ostatni dzień w pracy. Nie wspominał?

Nie wiedziała, czy Pernille jej wierzy, czy nie.

– To tylko szczegół. Przyszłam nie w porę? Nie musi pani być przy tym. Jeśli chce pani wyjść...?

– Muszę wyjść, rzeczywiście. Większość jej rzeczy jest w kartonach. Zamknie pani za sobą drzwi?

– Oczywiście.

Lund rozejrzała się po uroczej kuchni.

– Nowe mieszkanie jest większe?

– To dom.

– Będzie piękny.

Pernille popatrzyła na nią.

– Proszę pamiętać, żeby zamknąć drzwi na klucz – powiedziała i wyszła.

Lund słuchała jej oddalających się kroków.

Zdjęła kurtkę i zajęła się pierwszym kartonem. Na zniszczony dywan wyrzuciła pudełka świecidełek, książki i zeszyty.

Przejrzała wszystko. W sumie sześć kartonów.

Półtorej godziny później siedziała sama w pokoju Nanny, pośród rozłożonych rzeczy. Wyglądało tu jak po ataku szału wściekłego dziecka. I nic. Ani śladu tajemnej schadzki. Żadnej wzmianki o podróży.

Lund schowała twarz w dłoniach. Chciało się jej krzyczeć.

Potem podniosła wzrok, rozejrzała się swoimi wielkimi oczami.

Myśl.

Myśl jak Nanna.

Patrz.

Wyobrażaj sobie.

W rogu stał niebieski plastikowy globus. Widziała go już wcześniej. Na słynnych miastach krzyżyki. Miejsca, które Nanna pewnie chciała odwiedzić.

Globus był zarazem lampką. Z tyłu wychodził przewód elektryczny. Lund wyjęła globus z kartonu, postawiła na biurku, znalazła gniazdko i wsunęła do niego wtyczkę. Żarówka podświetliła wszystkie barwy krajów i kontynentów. Lund powoli obracała go wokół osi. Ameryka, Australia, Azja, Afryka...

Pomiędzy dwoma przyłódkami na południowym Atlantyku, u podstawy, coś przyciemniało błękit morza.

Papier. Listy. Dokumenty.

Skrytka dziecka, które chciało dokądś pojechać.

Lund potrząsnęła globusem.

Wyjęła przewód, poszukała dojszcia. Nanna na pewno wiedziała, jak otworzyć globus i zamknąć go z powrotem, nie zostawiając śladu. Ale ona miała dziewiętnaście lat, zwinniejsze palce. Zniecierpliwiona Lund

podniosła globus, rozbiła go o biurko, rozbiła podstawę i oprawkę żarówki i rozwaliała je pięścią.

Plastik ustąpił. Świat podzielił się wzdłuż równika. Dwie części, południowa półkula jako tajny skład dokumentów.

Włożyła ostatnią parę rękawiczek ochronnych. Wyrzuciła zawartość globusa na podłogę, siadła z rozłożonymi nogami i zaczęła wszystko przeglądać.

Listy i kartki. Walentynkowe serce. Kwiatek. Zdjęcie. Takie stare.

Blondwłosa dziewczynka, najwyżej pięcioletnia. Obok ciemnowłosego dzieciaka nieśmiało trzymający ją za rękę. Z tyłu plac zabaw. Ta sama dwójka w skrzynce trójkołowca christiana.

Lund patrzyła. Nie usłyszała kroków za plecami. Nie zauważyła z początku, że Pernille Birk Larsen zagląda jej przez ramię.

A gdy już zauważyła, spytała:

– Kto jest na tym zdjęciu?

Lund wstała i pokazała Pernille fotografię.

– To Nanna, prawda?

Bałagan, wywrócone kartony. Wrócił chaos.

– Kim jest ten chłopiec, Pernille?

– Powiedziała pani, że sprawa jest zamknięta?

– Kto to jest?

Pernille wzięła zdjęcie, wpatrywała się w nie.

– Amir. Mały Azjata z za rogu. Przez jakiś czas był Nanny miłością.

Byli...

Uleciały jej słowa.

– Byli wtedy mali.

– Gdzie jest teraz Amir?

Meyer zadzwonił, gdy wsiadła do samochodu.

– Nanna nie leciała z Kastrup, Lund. Miała bilet na tanie linie, z Malmö. Lot do Berlina. Piątek o pierwszej pięćdziesiąt. I był drugi pasażer. Nie poleciał.

– Amir – powiedziała.

Długa cisza.

– Bardzo bym chciał, żebyś przestała mi to robić. On mieszka dwie ulice od Nanny. Ale pewnie o tym wiesz.

– Amir El' Namen. Wczoraj wieczorem przyszedł do Theisa. Przeprowadzał się i chciał skorzystać z usług jego firmy. Prosił Theisa, żeby osobiście zajął się zleceniem.

– Gdzie jesteś?

– Koło dworca. Spotkajmy się.

Meyer spojrzał na długi korytarz, ciemne marmurowe ściany, światła. Nie mógł wyjść, nie mijając gabinetu Brixa. Wyglądał na pusty...

– Co się dzieje?

Brix pojawił się za jego plecami, a Meyer podskoczył.

– Jeśli chodzi o Lund, to ja jej nie widziałem. Przysięgam.

– Dzwoniła właśnie pani Birk Larsen. Gdzie jest Lund?

– Mam zaraz spotkanie. Zadzwoń później i wyjaśnię.

Brix zastąpił mu drogę.

– Teraz wyjaśnij.

– Nanna leciała z kimś do Berlina...

– Sram na Berlin. Z dworca zgłoszono kradzież bagażu. Ukradła go Lund. Skończ z tą opacznie pojętą lojalnością i powiedz mi, gdzie ona jest.

Meyerowi to się nie spodobało.

– Nie chodzi o żadną lojalność, tylko o fakty. Holck nie wiedział, że Nanna odlatuje z Malmö. Więc pojechał na Kastrup. Proszę.

Otworzył teczkę, którą niósł dla Lund.

– To zdjęcia monitoringu na Kastrup z tamtej nocy. Jest na nich Holck. Doskonałej jakości. Wyraźny.

Posepny polityk siedział oklapły pod informacją w hali odlotów. Przecierał oczy przy odprawie biletowej. Wyglądał staro i smętnie na lśniąącym krześle przy ruchomych schodach.

– Został tam do drugiej w nocy. Z nikim się nie spotkał.

Brix wpatrywał się w zdjęcia.

– On nie zabił Nanny – powiedział Meyer. – Zadzwoń do pana później, dobrze?

Zero odpowiedzi. Więc wyszedł.

Amir poprosił Birk Larsena, żeby pojechał pod adres w rejonie przemysłowym na Amager. Nie chciał rozmawiać. Ścisnął swoją studencką torbę i patrzył ponuro, jak za oknami przesuwały się niskie domy i zabudowania przemysłowe.

Birk Larsen lubił z kolei pogadać w szoferce. Wręcz miał taką silną potrzebę.

– Londyn, powiadasz? Ja nigdy tam nie byłem. Pewnego dnia...

– Wyjechałem do college'u. To był pomysł mojego ojca.

– I dopiero co wróciłeś?

Nie rozumiał, dlaczego Amir trzyma tu rzeczy. Jego zdaniem było to dziwne miejsce na przechowywanie stołów i krzeseł.

– Nie. Wróciłem zeszłego lata.

– Jakoś cię nie widziałem.

– Nie.

– Trzeba było zajść, Amir. Nanna by się ucieszyła. Pamiętam, jak się razem bawiliście.

Roześmiał się.

– Boże, ależ ona ci dawała popalić. Nie znosiła lalek, wiesz. Zawsze uważałem, że to dlatego, że ma ciebie i nie potrzebuje lalek.

Wydawać by się mogło, że to dobry dowcip. Że w sam raz. Na Amira nie podziałał.

– Rozmawiałaś z nią po powrocie?

Chłopak znowu patrzył przez okno, wpatrując się w wyludnione tereny w oddali. Birk Larsen zerknął na adres, który Amir mu podał, patrzył na drogowskazy i numery.

– No to prawie jesteście.

Zamknięta brama, za nią opuszczony zakład produkcyjny.

Birk Larsen raz jeszcze spojrział na kartkę.

– Numer siedemdziesiąt cztery. To tu?

Amir zamarł na swoim fotelu, ściskając torbę, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.

– Amir? To tutaj? Stąd zabieramy rzeczy na twoje wesele? Co...

Chłopak płakał. Tak samo jak w dzieciństwie, gdy Nanna posunęła się za daleko. Spod czarnych okularów spływały na policzki wielkie łzy.

– Nie będzie ślubu. Jest odwołany.

Birk Larsen zastanawiał się, co robić.

– Amir... Co my tu robimy?

Chłopak otworzył torbę.

– Chciałbym... – wymamrotał i urwał

– Co byś chciał? Co?

– Zawsze się pana bałem – mówił Amir. – Kiedy byliśmy mali i Nanna zabierała mnie do waszego domu. Bałem się pana, gdy wróciłem latem. Nie ośmieliłem się przyjść, myślałem, co pan powie, co pan zrobi, kiedy... się pan dowie.

Birk Larsen patrzył na niego podejrzliwie.

– O czym?

– O mnie. I Nannie. O nas. Zawsze mówiła, że mam się nie bać. Że pan się przekona. Że pan z jej mamą kiedyś byliście tacy sami. Głupi. Zakochani. Ale... – Otarł oczy rękawem kurtki, zupełnie jak dziecko. – Ja i tak się bałem i myślałem... że to tylko pogorszy sprawę, prawda? Kiedy się pan dowie...

– O czym?

– Że to mnie kochała. Imigranta zza rogu. Mieliśmy razem uciec. A potem...

Wcisnął torbę w rękę Birk Larsenowi. W środku leżała biała bąbelkowa koperta. I coś jeszcze.

– Potem coś... Nie wiem...

Odpiął pas. Wysiadł. Podszedł do bramy zamkniętej na kłódkę i patrzył na opuszczoną fabrykę, która nic nie znaczyła, nic. Teraz dopiero Birk Larsen to pojął.

Koperta była zaadresowana na niego i Pernille. W środku znajdowała się cyfrowa kasetka wideo. Birk Larsen zajrzał do torby. Zobaczył kamerę. Kasetka do niej pasowała.

Znalazł guzik play.

Wcisnął go.

Poczuł, że serce przestaje mu bić.

Zimny dzień. Niedawno. Nanna w ciepłym płaszczu, włosy w nieładzie. W ogóle nie wygląda na dziewiętnaście lat.

„To się nagrywa?” – pyta.

Głos skądś. Amira. Trochę humorzasty, kiedy próbuje sobie poradzić z nagraniem.

„Tak”.

Ona mówi, że dobrze. Bierze głęboki oddech, uśmiecha się. Jak kobieta.

Patrzy w obiektyw, a w żyłach Birk Larsena zastyga krew, gdy słucha tego głosu. Bo wie, że już nigdy go nie usłyszy.

Taka bystra, słodka, pełna nadziei. Jak strasznie bolało to rozpaczliwe poczucie utraty.

Głos mówi roześmianym, nieposłusznym tonem:

„Cześć, mamó, cześć, tato”.

Mrugnięcie oka.

„Cześć, Anton i Emil, najlepsze teletubisie świata”.

Po chwili jej twarz staje się tak poważna, że stary Theis Birk Larsen czuje, jak łyżki szczypią go w oczy.

„Kiedy oglądacie to nagranie, jest poniedziałek. Myślicie, że jestem w szkole. Ale mnie tam nie ma”.

Przechyla głowę na bok, w taki zawadiacki sposób, tak jak zawsze robiła, gdy chciała postawić na swoim.

„Wiem, że będziecie się na mnie złościć. Ale nie martwcie się. Strasznie was wszystkich kocham. I nic mi nie jest. Jestem z Amirem. Małym Amirem”.

Obraz podskakuje.

„Jeszcze nie. Mój pierwszy chłopak. Wrócił latem. Spotkaliśmy się...”.

Przenosi wzrok na mężczyznę za kamerą. Wygląda na zakłopotaną. Zbывa to śmiechem.

„Cóż. Nie widzieliśmy się trzy lata. A czuliśmy się, jakby to był jeden dzień. Zawsze mi mówiłaś, mamó. Że jak to się dzieje, to człowiek wie. Nieważne, co ludzie myślą. Nieważne, co myśli świat. Kiedy to się dzieje, kiedy człowiek znajduje właściwą osobę, nic nie może go powstrzymać. I wyście też nie mogli”.

Niski, głęboki jęk rodzi się w płucach Birk Larsena.

Nie odrywa niebieskich oczu od kamery, od nich.

„W sumie kochaliśmy się od zawsze. Tylko trochę nam zajęło, żeby się do tego przyznać. Mamo, myślę, że ty zawsze wiedziałaś. Amir ma przyjaciela, u którego możemy się zatrzymać. Nie wiem, jak długo. Aż się wszystko uspokoi”.

Przysuwa kamerę bliżej, jakby jakąś irracjonalną częścią umysłu wierzył, że to ona. Nanna żywa. Cała i zdrowa.

„Chcę, żebyście wszyscy wiedzieli – mówi – że nigdy nie byłam szczęśliwsza. Więc proszę... Mam nadzieję, że mi wybaczycie. Myślę, że tak. Wyście też uciekli, prawda? Pamiętam spojrzenie twoich oczu, kiedy mi o tym mówiłaś, mamo. Tyle miłości”.

Wyciąga rękę, dotyka niewidocznego mężczyzny za kamerą.

„Jeśli my z Amirem będziemy tak szczęśliwi i tak dobrzy jak wy...”.

Teraz płacze, a na to Theis nigdy nie mógł patrzeć.

„Do zobaczenia, mamo i tato”.

Posyła całusa.

„Kocham was, teletubisie. Niedługo do was zadzwonię. Zawsze będę was kochać”.

Łzy i śmiech. Kamera się rusza. Ściana z graffiti. Rowery. Dwie ulice od ich domu w Vesterbro. Rozpoznaje cegły.

Teraz Nanna i Amir. Ona tryskająca nadzieją. On spokojny i nieśmiały, i patrzy tylko na nią.

Drżącymi palcami Birk Larsen odkłada kamerę na fotel pasażera, chowa twarz w dłoniach i płacze.

Postępowanie prowadził Poul Bremer. Niebieska koszula. Marynarka zdjęta, krawat też. Człowiek czynu.

– Teraz wysłuchamy kierownika Gerta Stokke z wydziału Holcka. Gert?

Szary człowiek w szarym garniturze wszedł do sali i zajął miejsce.

– Znasz procedurę – powiedział Bremer. – Prowadzimy śledztwo w wydziale Holcka. Musimy wyjaśnić pewne sprawy.

Stokke kiwnął głową, spojrzął na osoby siedzące przy stole.

– Jak wiecie państwo z dokumentów, przeprowadziłem rozmowę z Holckiem. Chciałem mu uświadomić, że dzieje się coś niewłaściwego. Ale on nie chciał wiedzieć. Nie byłem w stanie go przekonać.

– A potem? – spytał Bremer.

Stokke nadął policzki i rzekł w końcu:

– Poruszyłem tę kwestię jeszcze raz. Nie był bardziej skłonny do współpracy. Po fakcie zdałem sobie sprawę, że powinienem był kogoś powiadomić. Przepraszam za to. Teraz wszystko jest w porządku...

– A sam Holck... – zachęcił Bremer – miał skłonności do tyranizowania, o czym większość z nas zapewne nie wie.

– Był prostolinijny – przyznał Stokke. – I przekonujący. Powiedział mi, że niezwłocznie rozwiąże sprawę. Przyjąłem, że mówi prawdę. Co miałem zrobić?

Bremer złożył dłonie, jak kapłan wysłuchujący spowiedzi.

– Myślę, że wszyscy wyciągniemy lekcję z tego smutnego wydarzenia. Z tego, co widzę, zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. Nie widzę potrzeby zadawania dalszych pytań. Więc dziękuję...

Hartmann podniósł lewą rękę.

– Ja mam pytanie, jeśli wolno.

Bremer odczekał chwilę, nim się odezwał:

– Śmiało, Troels.

– Abyśmy mieli pełną jasność: powiedział pan komuś o działaniach Holcka?

– Nikomu.

Hartmann podniósł leżącą przed nim teczkę.

– Chciałbym zaprezentować kilka dokumentów.

Obszedł zgromadzenie, kładąc przed każdym plik kartek. Najpierw przed Stokkem.

– Jest to protokół ze spotkania Gerta Stokke z Bremerem. Omawiają sadzenie drzew. W protokole znajdują się odnośniki do załącznika, który nie został dołączony do akt. Zapewne się zapodział, prawda, Gert?

– Musiałbym sprawdzić...

– Nie ma potrzeby. – Hartmann wziął do ręki kolejny zestaw dokumentów. – I tak zdołałem odzyskać załącznik.

Stokke zamrugał powiekami.

– Znajdował się w bezpiecznym miejscu, ukryty przez kierownika z wydziału Holcka. – Wskazał Stokkego. – Przez ciebie, Gert.

Urzędnik utkwiał wzrok w leżącym przed nim dokumencie.

– Pozwolę sobie odświeżyć ci pamięć – ciągnął Hartmann. – To są twoje notatki z raportu, który złożyłeś panu burmistrzowi na temat tego, co nazwałeś niepokojącym stanem administracji Holcka. Wymieniasz tu, na przykład, wypłaty po pięć tysięcy koron miesięcznie urzędnikowi o nazwisku Olav Christensen, który pracował w moim wydziale, przy czym nikt z mojej księgowości ani mojej administracji o tym powiązaniu nie wiedział. Ani że jest wyraźny trop, za co Christensen to wynagrodzenie otrzymywał.

Bremer spąsował, ale milczał.

Hartmann zwrócił się do członków rady.

– Ten załącznik nigdy nie wszedł w skład oficjalnego protokołu. Było to zabezpieczenie Gerta Stokke. Chciał mieć pewność, że w razie katastrofy będzie mógł przynajmniej powiedzieć, że nas ostrzegął.

Hartmann wskazał dokument.

– I proszę bardzo. Oto dowód, że pan burmistrz wiedział o rozmyślnym i nielegalnym nadużyciu na długo przed nami. Dowód, że pan burmistrz zataił przed policją informacje, które mogły doprowadzić do dużo wcześniejszego zdemaskowania prawdziwego mordercy Nanny Birk Larsen.

Spojrzał na Bremera.

– Czy pan burmistrz zechciałby to skomentować?

Cisza.

– Nie?

– Cóż – Hartmann wstał od stołu, zostawiając zgromadzenie z dokumentami – dziękuję za uwagę.

Lund i Meyer szukali Amira. Po spotkaniu z Theisem Birk Larsenem wrócił do miasta. Wziął swój samochód. Od tego czasu go nie widziano.

Sprawdzali w restauracji jego ojca. Na cmentarzu.

Nic.

Gdy Meyer krążył po Vesterbro, zadzwonił jego telefon.

– Jego telefon łączył się z masztem w pobliżu Tarnby. Niedaleko lotniska. Może próbuje uciec...

Zawrócił i ruszył w stronę drogi prowadzącej na Kastrup.

Lund myślała intensywnie. Przypomniała sobie zdjęcie. Dwójka maluchów i czerwona christiana.

– On nie jedzie na lotnisko.

– Komórka...

– Wiem, gdzie on jest.

Na ulicach panował umiarkowany ruch. Dojechali na miejsce po dwudziestu pięciu minutach.

Meyer sposepniał, odkąd zrozumiał, dokąd się udają.

Jechali wąskimi szlakami, mijając rowy i kanały. Minęli ciemny las, w którym martwe, nagie drzewa nie dawały schronienia.

W świetle reflektorów ukazał się niski żelazny mostek. I na środku jakiś kształt.

Meyer sięgnął po broń, ale zdał sobie sprawę, że nadal ma ją Brix. Lund spojrzała na niego gniewnie, wysiadła i ruszyła prosto do postaci nad kanałem.

Za jego plecami leżał bukiet kwiatów. Amir siedział na skraju, patrząc w czarną wodę. Rękoma obejmował poręcz i majtał nogami w powietrzu.

Jak dziecko.

Drugi radiowóz zatrzymał się po przeciwnej stronie, błyskając niebieskim światłem. Dwóch ludzi ruszyło biegiem w stronę mostku. Lund powstrzymała ich stanowczym ruchem dłoni.

Podeszła.

– Amir El' Namen?

Gestem dała znać Meyerowi, by wyjął odznakę, po czym pochyliła się, by porozmawiać z chłopakiem.

– Jesteśmy z policji, Amirze. Wszystko w porządku. Nie jesteś podejrzany.

Ciągle patrzył na wodę.

– Świadkowie widzieli cię na lotnisku w Malmö.

Podeszła do balustrady i oparła się o nią, bo chciała zajrzeć w te oczy za grubymi okularami w czarnych oprawkach.

– Powiedz mi – poprosiła. – Kto wiedział? Komu Nanna o tym mówiła?

Wreszcie podniósł na nią wzrok.

– Kto wiedział, Amirze?

– Nikt nie wiedział. Nie byliśmy głupi.

– Ktoś musiał wiedzieć. Ktoś, kto obserwował Nannę. Albo zobaczył was razem. Może jakiś były chłopak. Pomyśl.

Zastanowił się.

– Ktoś nas widział. Ale on nie mógł się domyślić. To wykluczone.

Lund się nachyliła.

– Kto was widział?

– To było wtedy, kiedy po nią przyjechałem, żeby zawiozła walizkę na dworzec. Ten człowiek wysiadł z furgonetki. Ja go w sumie nie widziałem. Nie wiem, kto to był.

Meyer westchnął.

– Więc co wtedy widziałeś? – spytał zmęczonym głosem.

Amir spojrzał na niego spode łba.

– Czerwony kombinezon. Ale on na pewno się nie domyślił.

Meyer pokręcił głową.

– Jaki czerwony kombinezon?

– No, czerwony kombinezon. Taki jak oni noszą.

– Kto?

– Jego ludzie. Ich ludzie. Od Birk Larsena.

Pół godziny później przyjechał Brix, bez słowa dał jej legitymację i odznakę.

– Nurkowie już jadą, tak jak chciałaś. Spodziewam się, że coś znajdziesz.

– A co z dostawą wody? – spytał Meyer.

– Zamkną na dwadzieścia cztery godziny. Nie więcej. Co powiedział ten mały Hindus?

– Szukamy jednego z ludzi od przeprowadzek. Kogoś, kto pracuje dla Birk Larsena. To powiązanie.

Brix patrzył na nadjeżdżające samochody.

– Powiązanie z czym?

– Z Mette Hauge. Niedługo przed zniknięciem ona przeprowadziła się od taty do miasta.

Przerwała, zaczekała, aż ta myśl wyklaruje się w jej głowie.

– Kiedy zmieniasz dom – podjęła – pojawiają się w twoim życiu obcy ludzie. Mette się przeprowadzała. Nanna...

Vagn Skærbæk spojrział na zamówienia, rozpiski, należności. Nocą robili trochę na czarno, żeby związać koniec z końcem.

To nie było łatwe.

Theis Birk Larsen właśnie wrócił z kursu do portu za gotówkę i wyglądał na odrobinę spokojniejszego niż ostatnio.

– Wiesz, że ściągam dodatkowych ludzi – powiedział Skærbæk. – Co z robotą? Mamy za mało.

– Na razie wystarcza.

Skærbæk kiwnął głową.

– No dobra. Nie martw się. Ja wszystkiego przypilnuję.

– Świetnie.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Idź na górę, Theis. Złachany jesteś.

Patrzył, jak odchodzi.

Mężczyzna był chudy, mniej więcej w ich wieku. Błada twarz, niezdrowy wygląd.

– Mogłeś przyjść wcześniej.

– Nie mogłem. Zajęty byłem. Szef od taxi daje mi straszny wycisk. Chce, żebym brał więcej zmian.

– Tak, jasne. Theis bardziej cię potrzebuje. I jesteś mu to winny. Więc już nas nie przewalaj. Wkładaj kombinezon. Mamy robotę.

– Gotówka?

– Tak, gotówka.

– Nic... no wiesz...

– Co nic?

– Nie chcę kłopotów, Vagn.

Skærbæk pogonił go do pomieszczenia z szafkami.

– Ty tylko pracuj. Jest jeszcze kombinezon z twoim nazwiskiem. Chociaż tak narozrabiałeś. To rodzinna firma, pamiętasz?

– Rodzinna. Wiem.

Czerwony kombinezon leżał tam, gdzie go zostawił dwa tygodnie temu, kiedy tu ostatnio pracował. Wziął czerwony ciuch i na wszelki wypadek sprawdził naszywkę z nazwiskiem: „Leon Frevert”.

Lund rozglądała się po pustkowiach, zastanawiała się, jaki sekret kryją kanały. Nurkowie pracowali od dwóch godzin, wskakiwali do wody z pontonów. Inni funkcjonariusze przeczesywali zarośnięte brzegi i sitowie. Wszędzie stały reflektory.

Nawet w Jansenie, rudowłosym techniku kryminalistyki, który nigdy chyba nie kwestionował rozkazów Lund, zaczynały się rodzić wątpliwości.

Podszedł do niej wreszcie koło ósmej, w trakcie przerwy na przeniesienie nurków na kolejny odcinek.

– Przeszukaliśmy dwa z mniejszych kanałów – westchnął. – Bóg raczy wiedzieć, ile zostało.

– Spróbujcie w starym spuście. Dwadzieścia lat temu większość tego terenu była zamknięta. On o tym wiedział i skorzystał z tego.

– Dwadzieścia lat temu cały ten teren był zamknięty. Wojsko miało tu strzelnicę. Nikt tu nie przychodził. Zatopić samochód...

Nie słuchała. Próbowwała sobie wyobrazić, co się mogło stać.

– Nie zakładaj, że ona była w samochodzie. – Pomyślała o Bengcie, jak idzie po jej śladach, tropi Mette Hauge, przekonany, że ma rację. – Niczego nie zakładaj.

Meyer jeszcze raz rozmawiał z ojcem Mette. Przy przenosinach do miasta skorzystała z usług firmy przeprowadzkowej. Nie miał pojęcia, której. Ale z raportu policyjnego wynikało, że jej rzeczy trafiły do magazynu zarejestrowanego na firmę o nazwie Merkury. Dawno już nie działała.

– Ostatnia osoba, na którą była zarejestrowana, to Edel Lonstrup – dodał Meyer. – Mam adres. Może jutro...

Dochodziła dwudziesta druga.

– Jedziemy – zdecydowała Lund.

– Nie jest trochę za późno? – spytał Meyer.

– Tak. Dwadzieścia lat za późno.

Firma Lonstrup znajdowała się kiedyś w Søborg, na obrzeżach terenów przemysłowych. Wyglądało to raczej na opuszczony magazyn niż na dom. Stalowe bramy nie były zamknięte na klucz. Podobnie jak drzwi do obdrapanego metalowego baraku na końcu podjazdu. Meyer wszedł do środka. Wszędzie pudła i zakurzone graty. Na kilku widniał napis „Merkury”. W głębi zobaczyli długie okno, w którym się świeciło. Dojrzeli kuchnię. Kilka doniczek.

Ktoś tu również mieszkał.

Do szyby zbliżyła się blada twarz kobiety, która przyłożyła rękę do policzków i wyjrzała na zewnątrz. W szarym szlafroku, z rzadkimi brudnymi włosami wyglądała, jakby nieczęsto przyjmowała gości. Siedli w kuchni i patrzyli, jak je. Mieszkanie sprawiało wrażenie urządzonego gratami, które zbierała pewnie całe życie: naczynia stołowe każde inne, rozklekotany piecyk, przedpotopowe radio. Merkury przestał działać dziesięć lat temu, po śmierci jej męża. Powiedziała, że nie ma listy pracowników ani w ogóle żadnych dokumentów.

– Co się z nimi stało? – spytał Meyer.

– Wyrzuciłam wszystko. Po co to trzymać? Jeśli chodzi wam o jakieś podatki czy coś, idźcie na cmentarz pogadać sobie z nim.

– Czy któryś z pracowników przeszedł do firmy Birk Larsena?

– Pracowników? To były przeprowadzki. Same włóczęgi tu się najmowały. Pracowali dla nas przez chwilę. Raz tu, raz tam. Diabli wiedzą, czym oni się jeszcze zajmowali. – Twarz jej stwardniała. – Dlatego się z nimi szwendał zamiast siedzieć z rodziną. Latał za kobietami, za wódą i diabli wiedzą czym jeszcze.

– Birk Larsen?

– Kto to jest Birk Larsen?

Kobieta chyba nie miała telewizji. Na stole nie leżała żadna gazeta. Nic nie łączyło tego przybytku ze światem zewnętrznym.

– Mówi pani coś nazwisko Mette Hauge? – spytała Lund.

– Jak?

– Mette Hauge. Miała rzeczy w magazynie.

– Jak Aage szedł w tango, sprzedawał wszystko, co się da. Cudze rzeczy też. Gdyby nie umarł, siedziałby w więzieniu. Wszystko, żeby się tylko upić i zadawać z szumowinami.

– Więc nic pani nie zachowała?

– Pani się rozejrzy. To, co widać, to nasze. Niczyje więcej.

Z ciemności za nimi dobiegł głos, młodszy, słabszy:

– Mamy jeszcze jakieś rzeczy w garażu.

Kobieta wyglądała na czterdzieści lat, ale ubrana była jak nastolatka. Z innej epoki. Długi, rozpinany sweter, pod spodem kolorowa, niechlujna koszulka. Dżinsy. Włosy miała zaplecione w warkoczyki, brązowo-siwe. Miała twarz dziecka, przestraszoną i zbuntowaną jednocześnie. – Idź do swojego pokoju – rozkazała Edel Lonstrup.

– Jakie rzeczy? – spytała Lund.

– Taty. Całe mnóstwo.

– To są tylko stare pudła! – wydarła się jej matka. – Wracaj do swojego pokoju!

– Musimy na nie rzucić okiem – powiedział Meyer. – Proszę nas zaprowadzić.

Pudła papierów stały w zapyłonym garażu pełnym gratów i pajęczyn. Na kilku skrzynkach widniało logo firmy. Słowo „Merkury” granatowymi literami, ze skrzydełkiem sterczącym po lewej.

Lund przeglądała stare wydruki z komputera. Meyer opróżniał na podłogę kolejne pudła.

– Czego dokładnie szukamy?

– Mężczyzny.

Kopnął skrzynkę. Po pomieszczeniu rozleciały się kolejne papiery i kolejne kłęby pyłu.

– Nic – orzekł Meyer. – Nic nie ma.

Córka przyglądała się im z cienia.

– Ile lat miała pani dwadzieścia jeden lat temu? – spytała Lund.

– Siedemnaście.

– Jacy oni byli? Mężczyźni, których zatrudniał pani ojciec?

– Brutalni. Straszni. Wielcy. Silni.

Miętoszyła brudny sweter.

– Matka mówiła, że mam się trzymać z daleka. Oni nie byli jak my.

Byli...

Urwała.

– Jacy byli? – ponaglił ją Meyer.

– To były włóczęgi. Wszyscy tacy sami.

– Wszyscy?

Lund zostawiła pudła i podeszła do kobiety.

– Mężczyzna, którego szukamy, mógł być inny. Niewiele starszy od pani. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Może pracował dorywczo.

– Oni przychodzili i odchodzili...

Lund uruchomiła wyobraźnię. Jeśli Bengt miał rację, ten człowiek był zorganizowany, bystry i wytrwały. Nie porywał kobiet nocą. Śledził je, osaczał. Czasami czarował.

– Pewnie był inny niż pozostali. Może lepszy. Bystrzejszy.

Nie odezwała się.

– Lubił rozmawiać z dziewczynami. Myślę, że mówił z większym szacunkiem niż inni. Z większym zrozumieniem.

W głowie Lund krystalizował się wizerunek.

– Był atrakcyjny. A nie brutalny, niemiły. Przy nich mógł wydawał się czarujący. Był tu ktoś taki?

Cisza.

Lund wyjęła zdjęcie wisiorka z czarnym serduszkciem.

– Widziała pani kiedyś ten przedmiot?

Kobieta wyszła z ciemności, do światła, po raz pierwszy. Lund pomyślała, że jest śliczna, ale zniszczona. Izolacją. Samotnością.

Nic nie powiedziała.

– Chodźmy, Lund – zawołał Meyer. – Mogę gdzieś zmyć to gównno z rąk?

Córka wskazała drzwi. Zaczekała, aż odszedł. Popatrzyła na Lund.

Kiedy Meyer już się oddalił, szepnęła:

– Może ktoś taki był. – Nerwowo odwróciła głowę, by upewnić się, że Meyer nie słyszy. – Ja pani tego nie powiedziałam, dobrze? Matka by...

– Nikt nie musi wiedzieć.

– Oni chcą tylko jednego. Mężczyźni.

– On też?

Wspomnienie.

– Nie. Reszta nie za bardzo go lubiła. Oni rozrabiali. Pili. Palili. Nie garnęli się do żadnej roboty. On pracował. Jak mógł, pilnował, żeby się trzymali grafiku. Nie podobało im się to.

– Jak on wyglądał? – spytała Lund.

Wzruszyła ramionami.

– Tak zwyczajnie. Miał zdjęcie z moim ojcem. Ale mama je wyrzuciła. Miał zostać kierownikiem, ale nie wiem... coś się stało.

– Co?

– Mówiłam. Nie wiem. Z dnia na dzień zniknął, a potem już nigdy nie wrócił.

Lund przyglądała się jej twarzy.

– Tęskniła pani za nim?

Prawie czterdzieści lat, ubrana jak nastolatka, długie, siwiejące włosy. Zmarnowane życie.

Milczenie.

– Gdyby chodziło o mnie – ciągnęła Lund – nie pozwoliłabym nikomu wyrzucić takiego zdjęcia. Zabrałabym je. Schowała przed matką. Po to są zdjęcia, prawda? Żeby mieć wspomnienia. – Przysunęła się bliżej. Od kobiety bił ten sam zatechły zapach, co z garażu i z mieszkania. Zapach wilgoci, kurzu i pajęczyn. – Potrzebujemy tego zdjęcia.

Z przetartego swetra wyłoniło się długie, chude ramię i chwyciło ją mocno.

– Nie może pani zdradzić...

Obejrzała się na okna kuchni. Nikogo tam nie było. Przeszła w głąb garażu, ostrożnie przesunęła półki. Pod spodem coś znalazła. Zaczęła to przeglądać.

Wrócił Meyer. Ruszył ku nim. Lund powstrzymała go gestem. Kciukiem machnęła w stronę drzwi i bezgłośnie poleciła: „Wyjdź”.

Znalazła zdjęcie tak szybko, że Lund się zastanowiła, czy aby nie ogląda go codziennie. Było czyściutkie, niezakurzone. Dobra, ostra fotografia.

– To mój ojciec. A to mężczyzna, o którym mówiłam. – Lund przyglądała się twarzom. – Minęło dwadzieścia lat – westchnęła kobieta. – Po co go szukacie? Co on zrobił?

Lund milczała.

– Na pewno nic złego – dodała czterdziestolatka z siwiejącymi warkoczykami. – On nie był taki.

Pernille siedziała w kuchni, oglądając nagranie na kamerze Amira, i mrugała powiekami, by powstrzymać łzy.

Theis siedział przy niej, nakrył jej dłonie swoimi.

– Amir ma z tym coś wspólnego? – spytała, gdy Nanna posłała im pożegnalnego całusa.

– Nie. Policja mówi, że czekał na nią na lotnisku w Malmö.

Otarła oczy i policzki rękawami koszuli.

– Dlaczego nam nie powiedziała? Po co ta tajemnica?

On ciągle wpatrywał się w ostatni obraz Amira i Nanny, zatrzymanych w czasie, uśmiechniętych. Nie mógł mówić.

– Ta Lund znowu tu przyszła i przejrzała wszystkie jej rzeczy.

Pokręciła głową. Znowu się czuła pokonana, przybita, tak jak wcześniej.

– Coś jest nie tak, Theis.

Ujął w palce jej dłoń.

– Nie zaczynaj tego znowu. Powiedzieli, że sprawa jest zamknięta.

– Więc dlaczego Lund tu przyszła?

Milczenie.

– Nie znaleźli go – wyszeptała. – Wiesz o tym. Nie znaleźli go.

Ktoś zapukał do drzwi. Na progu stanął Leon Frevert w czerwonym kombinezonie, z czarną czapeczką w dłoniach.

– Tak?

– Przepraszam, ale... Vagn chce, żebyś zszedł na dół.

– Nie teraz.

Wysoki chudy mężczyzna wyglądał na przestraszonego, ale się nie ruszył.

– Myślę, że musisz zejść, Theis. Proszę.

– Okej – burknął Birk Larsen.

Na dole zebrali się wszyscy ludzie: etatowi, tymczasowi, niektórych ledwie rozpoznawał. W swoich czerwonych kombinezonach stali rzędem w biurze. Rozmawiali między sobą, nie uśmiechali się, nie patrzyli na niego, gdy wszedł przez drzwi.

Na czele grupy stał Vagn Skærbæk, ramiona miał skrzyżowane, mówił coś i kiwał głową.

Przywódca, jak zawsze.

Czasami się kłócili. Ludzie odchodzili. Nie zawsze wracali.

Jak to w firmie, zdaniem Birk Larsena.

Jego firmie.

Podszedł więc bez wahania i rzekł:

– Co jest, do cholery? Albo pracujecie, albo idźcie do domu.

Skærbæk odwrócił się do niego. Niepewny, zerkał na podłogę.

– Theis...

– Nie teraz.

– Teraz, Theis. Mamy problem.

Wreszcie spojrzał mu w oczy. Srebrny łańcuch połyskiwał. Twarz poważna, zrezygnowana.

– Co jest?

– Ten wasz dom w Humleby. Przychodzimy tu pracować dla klientów. A ciągle robimy przerwy, żeby przewieźć cegły, drewno i całe to gówno do Humleby. Tak nie może być...

Birk Larsen zamknął oczy, szukał słów.

– Prawda jest taka, Theis, że wcale nie skończysz tego domu do świąt, jak tak dalej pójdzie. Więc postanowiliśmy. Wybacz. Ale to ostateczna decyzja. – Kiwnięcie małej głowy. – My go dla ciebie zrobimy.

Pełen ciepła ryk śmiechu, ktoś klepnął go po plecach. Birk Larsen patrzył na ich rozpromienione twarze.

– Paru nas będzie pracowało co wieczór, a paru w weekendy.

– Dranie... – mruknął Birk Larsen, kręcąc głową i ocierając oczy.

– Najpierw piwnica. Potem kuchnia i łazienka. – Wyciągnął listę materiałów. – Kuzyn Rudiego jest hydraulikiem, więc to zrobi po kosztach i trochę na czarno. Niedługo sam się będzie przeprowadzał, to się rozliczymy. Reszta będzie cię kosztować piwo. – Trącił Birk Larsena łokciem. – Lepiej wyciągnij zaskórniaki, Theis. Ci goście lubią wypić. I...

Zamilkł. Wszyscy podążyli za jego zdumionym spojrzeniem.

Lund i Meyer weszli do garażu i robili to, co zawsze. Rozglądali się.

Birk Larsen zaklął i wyszedł im na spotkanie.

– Mamy nowe informacje – powiedział Meyer. – Dużo zmieniają.

Birk Larsen stał przed swoimi ludźmi.

– Ostatnim razem nam pan powiedział, że skończyliście.

– Wiem. Myliłem się. Musimy wznowić śledztwo.

– Wyjdźcie stąd.

– Nie możemy.

– Jak chcecie znowu ze mną pogadać, to przed adwokata.

– Nie z panem chcemy rozmawiać – włączyła się Lund. – Z jednym z pańskich ludzi. Vagnem Skærbækiem.

– Och, do kurwy nędzy – wrzasnął Birk Larsen. – Co takiego?!

Lund minęła go, weszła do biura, zauważyła szczupłą postać, która chowała się w głębi, naciągając na twarz czapeczkę. Przypomniała sobie, co powiedziała córka Lonstrup: to wszystko włóczęgi.

Ale to nie był Skærbæk. Ten nie ruszył się z miejsca i patrzył na nią gniewnym wzrokiem.

– Powinniście zostawić Theisa w spokoju – warknął. – Mało przeszedł?

– Możesz na słowo, Vagn?

Szeroko otwarte oczy, srebrny wisiołek połyskujący w świetle. Wyszedł i stanął obok Birk Larsena.

– O co chodzi, Theis?

– Oni chcą rozmawiać z tobą.

– O czym?

– Pójdzie pan z nami – odezwał się Meyer.

– Czemu?

– Proszę wsiadać do radiowozu albo pana aresztujemy. Co pan wybiera?

Skærbæk obejrzał się na Birk Larsena, z głową przechyloną, ubawiony.

– To żart?

– Nie żart – odpowiedział mu Meyer. Zerknął na zegarek. – Jest dwudziesta trzecia siedem. Jest pan aresztowany. – Sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął kajdanki i zaprezentował je Vagnowi. – Tego pan chce?

– Spokojnie, na miłość boską.

Na dół zeszła Pernille.

– Co się dzieje? – spytała.

– Skąd mam wiedzieć. – Vagn Skærbæk widząc, że kajdanki znowu się ku niemu zbliżają, dodał: – Idę, idę.

Wysoka postać w głębi biura ciągle się kryła w cieniu, naciągając na oczy czapeczkę bejsbolową. Lund chciała zerknąć, ale Meyer się

niecierpliwiał.

– Zadzwonimy, jak coś będziemy wiedzieć – zwróciła się do Pernille Birk Larsen.

Hartmann stał przed zebranymi na konferencji prasowej. Czarny garnitur, czarna koszula i krawat.

– Trudno sobie wyobrazić poważniejsze zarzuty obciążające pana burmistrza. Wiedział o przestępczej działalności Jensa Holcka. Gert Stokke sporządził protokół ze spotkania. – Podniósł dokumenty, które znalazła Skovgaard. – Oto dowód. Rozdamy państwu kopie. Ponieważ Bremer nigdy tej wiedzy nie ujawnił, ja zostałem skompromitowany. Co ważniejsze, miasto Kopenhaga zostało zdradzone przez człowieka wybranego na jego przywódcę. Bremer z premedytacją wprowadził w błąd policję i utrudnił jej śledztwo. Zmarnował mnóstwo jej czasu i naszych pieniędzy, kryjąc mordercę. A to wszystko wyłącznie dla politycznej korzyści. – Potoczył wzrokiem po pomieszczeniu. – Zaslugujemy na coś więcej. Żądamy czegoś więcej. Złożyłem na policję doniesienie na Poula Bremera.

– Co powiedzieli? – zawołał jeden z reporterów.

– Przeprowadzą śledztwo. Żałuję, że po raz kolejny nasza uwaga jest odciągana od wyborów.

– Czy zostaną mu postawione zarzuty?

– To zależy od policji.

W pierwszym rzędzie stał Erik Salin. Łysa głowa. Uśmiezek.

– Pięć dni do wyborów, panie Hartmann. Czy to nie desperacja?

Wszyscy czekali.

– Niech zdecydują obywatele – odrzekł Hartmann. – Dziękuję.

Pół godziny później w swoim gabinecie oglądał telewizję. Transmitowano odpowiedź Bremera. Mógł przewidzieć taką reakcję.

„To wszystko kłamstwo – mówił burmistrz. – Nigdy nie przeprowadziłem tej rozmowy ze Stokkem. Ten tak zwany protokół jest sfalszowany”.

„Przez Troelsa Hartmanna?” – spytał prowadzący.

„Wątpię. Raczej widzę w tym próbę umycia rąk przez urzędnika, który sam dopuścił się zaniedbań. Ja jestem ofiarą. Hartmann, świadomie czy nie, stał się rzecznikiem tego człowieka. Miałem nadzieję na coś więcej...”.

Weber wcisnął guzik.

– Bremer zwała wszystko na Stokkego. Czego oczekiwałeś?

– Stokke jest dorosły – zauważyła Skovgaard. – Ty też powinieneś dorosnąć.

– Doprawdy?

– Tak. Bremer się z tego nie podniesie.

Weber wkładał płaszcz.

– Myślałem, że jesteśmy tu po to, by pokonać go lepszymi pomysłami. A nie pogrywając w jego zasrane gierki, wręcz bardziej zasrane niż jego. Do diabła z tym. Rzygać mi się chce od smaku gówna.

– Co to ma być? – warknął Hartmann.

– Słyszałeś, Troels! Od dwudziestu lat pracuję, żebyś był tym, kim jesteś.

– To znaczy?

Weber otaksował go wzrokiem.

– No właśnie. Nowy strażnik. Czysty i uczciwy. Szczery i nieustraszony. A teraz próbujesz gonić resztkami jak oni, albo i gorzej. Jezu... Myślisz, że ci się uda? – Palcem wskazał na Skovgaard. – Myślisz, że jej się uda? Przedstawienie *Jack i Jackie* się rozpada, a wy tego nawet nie widzicie.

– Dość tego, Morten.

Weber spojrzał groźnie.

– Jeszcze nawet nie zacząłem. Nie miałeś przechodzić na ciemną stronę, Troels. To moje zadanie. Zostaw to zawodowcom.

Wyszedł, zanim Hartmann zdołał odpowiedzieć. Rie Skovgaard siedziała wściekła na krześle.

Hartmann przysiadł na skraju biurka.

– Przepraszam. W chwili napięcia Morten staje się trochę nadwrażliwy.

– To była nadwrażliwość?

– Tak mi się wydaje. Znam go od dawna. I tak to się chyba przejawia.

Skovgaard uporządkowała papiery. Włosy podpięte, twarz poważna. Niestrudzone ciemne oczy patrzyły wszędzie, tylko nie na niego.

– Tak się zastanawiałem, czy byś się nie napiła.

Przechyliła głowę na bok, przyglądała mu się teraz bacznie. Milczała.

– Dobra. – Hartmann wzruszył ramionami. – To była tylko propozycja.

Wszedł Morten Weber. Trzymał w ramionach wielki bukiet lilii.

– Proszę. – Wepchnął go jej w objęcia. – Dostarczono je dla ciebie. Może masz je przerobić na wieniec czy coś.

I wyszedł.

– Kwiaty – powiedział Hartmann.

– Czasami jesteś bardzo spostrzegawczy, Troels.

– Ktoś musi cię bardzo cenić.

Uśmiechnęła się. Wreszcie.

– Możesz teraz zadzwonić na policję? – spytał.

Następne było spotkanie okręgowej organizacji partyjnej. Weber odpuścił i teraz jechał w samochodzie z Hartmannem. Słuchali w radiu oświadczenia Bremera. W połowie Weber poprosił kierowcę, by to wyłączył.

– Co miałeś na myśli, Morten, z tym przedstawieniem *Jack i Jackie*?

– Och, daj spokój. Ty tak siebie postrzegasz. I Rie też. Nie wiesz, że to też była gra?

– Ja nie gram.

– Jesteś politykiem. Nie bądź głupi.

Hartmann pokręcił głową.

– Dlaczego ty mnie tak ciągle obrażasz?

– Bo jesteśmy świetną parą. Lepszą niż ty i Rie. W każdym razie bardziej szczerą. – Weber poklepał go po kolanie. – Nie obrażaj się. Chcę dla ciebie jak najlepiej. Dla was obojga. Ona będzie niezłym pomagierem, kiedy już pozna swoje słabości.

– To samo dotyczy pewnie mnie.

– Ty robisz postępy.

– Dlaczego uważasz, że źle robię w sprawie Bremera? Jakie to ma znaczenie? Jeśli wynik jest korzystny, jakie znaczenie mają podejmowane środki?

– To nie tak.

– Muszę wiedzieć, czy mogę na tobie polegać, Morten. Muszę wiedzieć, że nie odejdiesz. Że ci nie odwali na punkcie Rie.

Morten milczał.

– Wiem, co robię – dorzucił Hartmann.

– Wierzę w to.

Hartmann podał mu rękę.

– Daj spokój, gderliwy stary łajdaku. Jedziemy na tym samym wózku.

Weber uściskał podaną dłoń.

– Zawsze jechaliśmy, Troels. I wcale nie jestem gderliwy, tak swoją drogą. Problem w tym...

Zadzwoił telefon Hartmanna. Skovgaard. Przełączył na głośnomówiący, żeby i Weber ją słyszał.

– Rozmawiałam z policją. Zastanowią się nad zarzutami wobec Bremera.

– Kiedy?

– Kiedy znajdą na to czas. Teraz wznowiają śledztwo w sprawie Birk Larsen.

Hartmann opadł na oparcie. Chciało mu się krzyczeć.

– Co?!

– Szukają kogoś innego. Uważają, że Jens Holck jej jednak nie zabił. Lund i Meyer znowu prowadzą sprawę. Właśnie są w Vestmager. Zamknęli wodociągi i przeszukują kanały.

– Dowiedz się więcej. Mamy prawo wiedzieć.

– To sprawa o morderstwo, Troels. Niczego nie mamy prawa wiedzieć.

– Jeśli Holck był niewinny, to tylko czekać, aż znowu zapukają do moich drzwi. Dowiedz się, czego się da.

Długa cisza.

– Wykluczili cię z kręgu podejrzanych, pamiętasz?

– Od kiedy to cokolwiek znaczy?

Zakończył rozmowę.

– Nie mogą ci nic zrobić, Troels – powiedział Weber. – Daj spokój.

Hartmann patrzył na miasto przemykające za oknem.

– Pięć dni. Jeszcze jeden ruch. Jeszcze jeden cios poniżej pasa. To wszystko, czego trzeba Bremerowi. Zanim my się oczyścimy, on wróci na tron. Ty jesteś strategiem. Gdybyś jemu doradzał, co byś teraz zrobił?

– Gdybym ja był strategiem?

– Tak.

Morten Weber się roześmiał.

– To dawno byś już nie żył.

Vagn Skærbæk siedział w ich biurze, nerwowo obgryzając plastikowy kubek z kawą. Lund zaczęła przesłuchanie.

– Czy dwadzieścia lat temu pracował pan dla Merkurego?

– Dla mnóstwa ludzi pracowałem. Człowiek się chwyta, czego się da.
A co?

Pokazała mu zdjęcie, które znalazła dla niej córka Aagego Lonstrupa.

– Boże, ale byłem wtedy piękny. – Skærbæk podrapał się po brodzie. –
Nadal jestem, nie sądzicie?

– Jak długo pan tam pracował?

– Trzy, cztery miesiące. To był miły gość, ale inni to raczej kretyni. Dużo
się tam wody lało. A ja za piciem nie przepadam.

– Znał pan Mette Hauge? – spytał Meyer.

– Kogo?

– Młodą kobietę, Mette Hauge. Merkury przeprowadzał ją do miasta.
Ciemne włosy. Jakieś dwadzieścia lat.

– Żartujecie sobie? My codziennie kogoś przeprowadzamy. Albo i dwie
osoby dziennie. Nie pamiętam. Myślicie...

– Jak dobrze znał pan Nannę? – przerwała mu Lund.

Wpatrywał się w nią.

– Pierwszy raz wziąłem ją na ręce, gdy miała tydzień. To wystarczy
za odpowiedź?

– Niezupełnie. Znał pan jej chłopaków?

– Tego polityka nie. Przychodził się tam ślinić taki bogaty szczeniak
ze szkoły. Dobrze, że go pognała.

Lund przypatrywała mu się uważnie.

– Wiedział pan, że w tamten weekend planowała podróż?

– Podróż? Dokąd?

– Proszę nam opowiedzieć o piątku, Vagn – włączył się Meyer. –
Wieczorem w domu zajmował się pan wujkiem, zgadza się?

– Już to mówiłem.

– Jest pan samotny. Piątkowy wieczór spędza pan z wujkiem?

– Tak, każdy.

– A reszta weekendu? Próba chóru? Karmienie kaczek? Szydełkowanie?

Skærbæk odchylił głowę i spojrział na sufit.

– Ha, ha – powiedział.

– Pobił pan nauczyciela.

Spojrział na nią spode łba.

– Nie trzeba było mówić Pernille, że on to zrobił. Bez was by do tego nigdy nie doszło, idioci.

– Gdzie pan był?

– W pracy! Już mówiłem! Theis i Pernille zabrali chłopców na weekend. Zaproponowałem, że popilnuję interesu. Znam Theisa od zawsze. Oni są dla mnie jak rodzina. Zrobię dla nich wszystko.

– Widział pan kiedyś ten przedmiot?

Lund podała mu zdjęcie wisiora.

– Nie. Mogę już iść? Mam za sobą ciężki dzień.

– Wróćmy do firmy Merkury. Ma pan z nimi kontakt?

– Po dwudziestu latach? Żartujecie. Stary Lonstrup umarł. Reszta to hołota, jak mówiłem. Wiecie, skoro wam się nie udaje wyjaśnić, kto zabił Nannę, to może by szefowie znaleźli kogoś, kto da radę.

Zamknął oczy na chwilę. Wyglądał, jakby go coś zabolalo.

– Nie możecie tak dręczyć Theisa i Pernille. Czy wy nie macie uczuć? Jezu...

Lund zerknął na Meyera.

– Proszę tu zostać – rzuciła do Skærbæka.

W pokoju obok wprowadzili Brixa w ostatnie wydarzenia, patrząc przez szybę na Vagna Skærbæka.

– On znał Nannę – powiedział Meyer. – Niewykluczone, że pomagał Mette Hauge w przeprowadzce. Zgodził się na pobranie odcisków palców

i próbki DNA. Już je sprawdzamy.

Brix wstał i uważniej przyjrzał się mężczyźnie za szybą. Skærbæk obgryzał pusty kubek, wypływając jego kawałki. Był znudzony i zmęczony.

– W lesie coś nowego?

– Nie, ale będą pracować całą noc.

– Sprawdźcie jeszcze raz alibi Skærbæka. Przyjrzyjcie się jego rodzinie, przyjaciołom.

– Musimy sprawdzić, czy któraś z pozostałych zaginionych kobiet miała kontakt z firmami od przeprowadzek – zasugerowała Lund. – Wyobraźcie to sobie: wpuszczacie tych ludzi do swojego życia. Widzą wasz dom. Wasze zwyczaje. Ufacie im...

– O księdzu to samo można powiedzieć. I o lekarzu. O listonoszu...

– Mówię o Vagnie Skærbæku. Merkury...

– Czekał – przerwał jej. – Pracujemy nad morderstwem Nanny Birk Larsen. Może jest ono powiązane ze zniknięciem dziewczyny sprzed dwudziestu lat. Nie wiem. Mamy tylko wisiorek. Nie zgadzam się, żebyście wykopali każdą sprawę z archiwum...

– Brix...

– Spójrzcie na niego!

Skærbæk pogryzł już pół kubka, i nie robił nic innego, odkąd od niego wyszli.

– Ten koleś nawet żarówki nie zmieni. Pomysł, że od dwudziestu lat robi w konia policję... Nie uwierzyłbym, że robi to od dwudziestu dni.

Lund obejrzała się na Meyera i nic nie powiedziała.

– W lesie zostało wam siedemnaście godzin. Potem wznawiają dostawę wody. Jeśli prócz wisiorka nie ma nic, co by łączyło Nannę i tę Hauge, odpuście ten trop. Zrozumiano?

Meyer zasalutował.

- I żadnych przecieków. Nawet do Hartmanna.
 - Kiedy odzyskam broń? – spytał Meyer.
 - Kiedy skończą z nią technicy.
 - Są pewnie inne pistolety, szefie...
 - Dopiero co postrzeliłeś człowieka, Meyer. Trzema pociskami. Żadnych błędów. Może to najlepszy sposób, żeby przez jakiś czas trzymać cię z dala od broni palnej. W sprawie Holcka popełniliśmy błąd. Nie chcę więcej takich błędów. – Brix wyszedł.
 - Przynajmniej mówił „my” – zauważył Meyer.
- Lund przyglądała się przez szybę Vagnowi Skærbækowi.
- Nie jest idiotą – odparła.

Wypuścili Skærbæka, a on wrócił prosto do garażu w Vesterbro. Rozmawiał z Birk Larsenami nad kawą w ich kuchni.

– Nic nie wiedzą. Wiecie, co ja myślę? Że oni są tacy zdesperowani, że próbują ze wszystkimi. Z każdym, kto tu pracuje. Theis. Co robiłeś cały weekend? Weźmiemy odciski palców, o tu, proszę polizać. I usiąść. Jezu...

- O co pytali?
- Tylko o to. Co robił pan cały weekend? Czemu nie ma pan dziewczyny? Same głupoty.
- Jakie głupoty? – dociekała Pernille.
- Na przykład co wiedziałem o chłopakach Nanny. Czy wiedziałem, że się spotykała z politykiem. Najgorsze bzdury. To jakieś żarty.

Birk Larsen ściągnął brwi i spojrzał na niego.

– Wiedziałeś o Nannie i Amirze?

Skærbæk zmrużył oczy i pokręcił głową.

– Tym Hindusie? Co to się z nią woził, jak była malutka?

– Tak.

– Co miałem wiedzieć?

– Chcieli razem wyjechać.

Skærbæk namyślał się chwilę.

– Ale... że teraz?

– Teraz – warknął Birk Larsen.

– Nic o tym nie wiem. Od lat tego Hindusa nie widziałem. Co to ma być?

Cały weekend pilnowałem interesu.

Pernille spytała nie wiedzieć kogo:

– Dlaczego oni sądzą, że to jeden z naszych ludzi?

Birk Larsen potrząsnął głową.

– Oni nic, kurna, nikomu nie mówią – Skærbæk podniósł głos. – Powiedziałem im, żeby przestali was zwodzić. Ich to nie obchodzi. Gównu ich obchodzą czyjeś uczucia. Jezu... Nanna. – Oczy mu się zaszklily. – Pytali... odkąd ją znam. Nannę? Była maleńka. To obrzydliwe...

Birk Larsen położył mu dłoń na ramieniu.

– Uspokój się, Vagn. Tak jak mówiłeś. Sprawdzają każdego. Wezwę adwokata. Potrzebujemy trochę spokoju. Nie pozwolę, żeby te gnojki tu wpadały za każdym razem, jak im się zachce. Zadręczając...

– Dzięki – powiedział Skærbæk.

Lund wracała do pustego mieszkania w Østerbro; odsłuchiwała wiadomości z poczty głosowej. A dokładnie jedną wiadomość. Od Bengta.

„Cześć, to ja. Wiem, że byłem głupi, ale chciałbym wyjaśnić. Jestem jeszcze w Kopenhadze. Twojej matki nie ma w domu. Mam nadzieję, że wszystko w porządku”.

Wchodziła schodami, wydało jej się, że na jej piętrze coś się dzieje. Rozejrzała się. Nic.

„Zadzwoń do mnie” – powiedział jeszcze Bengt.

Nagle z ciemności wyłoniła się wysoka postać.

Lund oparła się plecami o ścianę, zerkając na wszystkie strony i próbując pojąć, co się dzieje.

– Wpuścił mnie pani sąsiad – odezwał się Troels Hartmann.

– Zaskoczył mnie pan.

– Przepraszam.

– Co pan tu robi?

Wyszedł w krąg światła.

– Wie pani, co tu robię.

– Jeśli chodzi o raport, który złożyliście w sprawie Bremera, to musi poczekać. Ktoś się do was zgłosi.

Patrzył, jak Lund wkłada klucz do zamka.

– Jeszcze się nie zgłosił.

– Teraz jesteśmy zajęci. Nie mogę panu pomóc. Nie prowadzę tej sprawy.

Otworzyła drzwi. On wysunął się przed nią i ramieniem zablokował jej przejście.

– Co robicie w lesie?

Lund zanurkowała pod jego ramieniem i weszła do środka.

– To tylko ćwiczenia. Nic. Dobranoc.

I zatrzasnęła drzwi.

– Super! – krzyknął Hartmann z drugiej strony. – A więc mogę powiedzieć mediom, że to, co się tam dzieje, nie ma nic wspólnego ze mną? Ani z Nanną Birk Larsen?

Był w połowie schodów, gdy stanęła w progu.

– Niech pan wejdzie.

Lund na jego oczach zmieniała sweter. Z czarno-białego na biało-czarny.

– Wychodzę zaraz. Niech się pan pospieszy.

– To od pani zależy. Proszę o prostą odpowiedź.

Zajrzała do lodówki. Piwo zdąży wypić.

– Mam tylko jedno, Hartmann. Chce pan?

Wpatrywał się w carlsberga.

– To czerwone wino, którym panią poczęstowałem, kosztowało pięćset koron.

Lund wzruszyła ramionami, otworzyła butelkę i napiła się z gwinta.

– Dzisiaj powiedziałem, że Bremer krył zabójcę.

– Na pańskim miejscu bym tego nie powtarzała.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź.

– Christensen...

– Mógł zginąć w wypadku drogowym. Trudno udowodnić winę komuś, kto nie żyje.

Nie jestem pewna, czy Brix uzna, że warto podjąć takie starania.

– Jesteście pewni, że to nie Holck zabił Nannę?

Piwo dobrze smakowało.

– Tak. No, na ile można w ogóle być czegoś pewnym.

W sklepie pod domem Lund kupiła ostatnią porcję sushi. Nie przepadała za sushi, ale nic innego nie znalazła, co by się dało szybko zjeść.

– Jeśli to nie był Holck, to kto?

– Gdybym to wiedziała, siedziałabym tu, pijąc piwo z flaszki i wciągając rybę z ryżem?

Siadł na krześle po drugiej stronie stołu.

– Jak długo potrwa, zanim znowu się przyczepicie do mnie? Co, do diabła, ludzie sobie pomyślą?

– Pomyślą, że sprawa jest zamknięta. Chce pan trochę sushi?

– Pani nie lubi sushi, prawda?

Lund odsunęła pudełko.

– Robimy postępy, Hartmann. Niech się pan nie martwi.

– Jakie postępy? Kiedy aresztujecie mordercę? Za kilka godzin? Dni? Tygodni?

– Jestem oficerem policji. Nie jasnowidzem. – Łyknęła piwa. Spojrzała na Hartmanna. – Nie skończę tej butelki. – Kiwnęła w jego stronę carlsbergiem. – Jeszcze może się pan napić, gdyby pan chciał.

Hartmann wyglądał na lekko zde gustowanego tą propozycją.

– Pański raport zostanie potraktowany poważnie. Jeśli Bremer wiedział o nieprawidłowościach, których dopuszczał się Holck, coś z tego będzie. W swoim czasie.

– Świetnie.

Zebrał się do wyjścia.

– Tak się zastanawiam, panie Hartmann.

– Nad czym?

– Nad tym zaginionym nagraniem ochrony w ratuszu.

– A co z nim?

– Cały czas go szukaliśmy. Myśleliśmy, że tym pana przygwoździmy.

A ono pana oczyściło. Są na nim Holck i Nanna.

Hartmann patrzył oszołomiony.

– Kto je przysłał? – spytał.

– Myślałem, że może pan mi powie.

– Nie mam pojęcia.

– Cóż... – Przyciągnęła sobie z powrotem pudełko z sushi, zjadła jeszcze trochę. – Pewnie możemy przyjąć, że kogoś w Ratuszu nadal w pewien sposób interesuje i pan, i Nanna.

– Co to ma znaczyć?

– Taśmę dostaliśmy dopiero teraz. Kiedy jest pan oczyszczony z podejrzeń. Dlaczego?

– Pani niech mi powie.

– Jeśli ktoś ją zabrał, żeby pana chronić, to chyba jej nie oglądał, prawda? Bo wiedziałby, że dzięki niej może pan uniknąć więzienia.

Rozwagał chwilę jej słowa.

– Musi pan to powiązać, Hartmann.

– Co?

– Ktoś kradnie taśmę, żeby pana chronić. Pilnuje, żebyśmy jej nie dostali. Ale jej nie ogląda. Potem, kiedy panu nic nie grozi, dostajemy ją. Dlaczego?

Cisza.

Lund dopiła piwo.

– Oto, co mnie przychodzi do głowy. Ten ktoś dał ją nam, bo myślał, że czeka pana jeszcze gorsze gównno.

– A dlaczego jej nie oglądał?

Spojrzała na niego.

– Może nie byłby w stanie tego znieść. Myślał, że zobaczy pana z Nanną. Winnego jak cholera.

Jego przystojna twarz była tak nieruchoma, jakby ją wykuto z kamienia.

– Tak tylko zgaduję. Nic poza tym.

10_

**WTOREK_
18 LISTOPADA_**

W drodze do Vesterbro Lund utknęła w porannym korku. Na fotelu obok siedział Meyer i aktualizował jej wiedzę o Vagnie Skærbæku.

– Jedynek, bez rodziców. Matka umarła przy jego narodzinach. To może tłumaczyć dziwne relacje z kobietami.

– Nie wyjeżdżaj mi z psychologią. Na jakiś czas mam po dziurki w nosie tego gówna.

– Super. Kiedy miał lat piętnaście, zniknął jego ojciec. Prawdopodobnie wyjechał do Amsterdamu na prochy i dziwki. Więc Vagn wprowadził się do wujka. O wykształceniu nie ma co mówić. Pewnie gdzieś tam się kiedyś uczył, ale niewiele tego. Przewertował trzymane kartki. – Z nami miał styczność tylko wtedy, gdy przyskrzynialiśmy Theisa.

– Co to znaczy?

– Jeśli Theis potrzebuje alibi, zapewnia mu je Vagn. W trzech sprawach zeznanie Vagna uratowało mu tyłek. Rozmawiałem z tym emerytowanym policjantem. Jego zdaniem oni tworzą taki zespół.

– Jakież dzieci? Żona? Była żona?

– Nic. Mieszka sam w taniej kawalerce pół kilometra od Birk Larsenów. Przetrzęsneliśmy ją. Nic go nie łączy z Vestamager ani jakimkolwiek innym miejscem, które nas interesuje.

– Musi coś być.

– Jest ojcem chrzestnym synów Birk Larsena. Chyba utrzymuje bardzo bliskie relacje z rodziną. Czasami u nich pomieszkuje. Może napastował Nannę za ich plecami.

Lund tylko na niego spojrzała.

– Dobra, cofam tę uwagę. Theis i Pernille na pewno by wiedzieli, a jego dawno wciągnęłyby węgorze. Poza tym...

Urwał.

– Poza tym co?

– Nanna wyglądała na szczęśliwą. Prawda? Prowadziłem kilka spraw o molestowanie. Tamte dzieci... widać to było w ich oczach. Przez całe lata... Ta Lonstrup z siwymi warkoczykami...

– Nikt Nanny nie molestował... – ucięła Lund, zjeżdżając z autostrady i zerkając na dom opieki. – Owinęła sobie wokół palca Jensa Holcka i zachowała to w tajemnicy. Nanna była Theisem i Pernille w jednym.

Był to nowoczesny przybytek, piętrowy, z czerwonej cegły.

– To straszne – stwierdził Meyer.

Kierowniczką domu opieki była wesoła, pulchna kobieta z farbowanymi na blond włosami i permanentnym uśmiechem. Vagna Skærbæka wręcz uwielbiała.

– Szkoda, że nie mamy tu takich więcej. Vagn odwiedza swojego wujka co piątek.

– Na pewno był trzydziestego pierwszego? – pytała Lund, gdy szli długim białym korytarzem, mijając staruszków grających w karty.

– Tak. Jestem pewna. Pielęgniarka dyżurna zawsze wpisuje odwiedzających do księgi gości.

Miała ją ze sobą i pokazała Meyerowi stosowną stronę.

– Vagn przyszedł o dwudziestej piętnaście.

– Nie ma informacji, o której wyszedł.

– Nie wyszedł. Zasnął na krześle. Wujek nie czuł się dobrze. Vagn przyszedł się pożegnać następnego ranka. O ósmej chyba.

– Więc on powiedział, że był tu całą noc? – dociekała Lund. – Nikt go nie widział?

To się kobiecie nie spodobało.

– Vagn już wcześniej zostawał tu na noc. I tym razem też.

– Ale nikt go nie widział?

– Położył wujka do łóżka. Tak nas wyręcza. Dlaczego zadajecie te pytania? Vagn to prawdziwy skarb. Szkoda...

– ...że nie macie tu więcej takich – uzupełnił Meyer. – Już zrozumieliśmy. Gdzie jego wujek?

Mały pokój, a w nim mały, stary człowiek. Chodził o lasce i wyglądał bardzo krucho.

Siedli i przy kawie słuchali jego opowieści. Obejrżeli rysunek z młynem i polami, który Vagn narysował jako dziecko. Wydawało się, że wujek zachował fragment dzieciństwa Skærbæka. Ostatnie ogniwo łączące go z tym, co było wcześniej.

– Czy Vagn wspominał kiedykolwiek o jakiejś dziewczynie? – chciała wiedzieć Lund.

– Nie. – Staruszek się roześmiał. – Vagn był nieśmiałym chłopcem. Wszystko trzymał w sekrecie. Jak był mały, znęcali się nad nim w Vesterbro. Gdyby nie kilku miłych kolegów, nie zostawiliby go w spokoju. Widzicie...

Czekali.

– Co widzimy? – ponaglił go Meyer.

– Vagn jest bardzo delikatny. A świat taki bezwzględny. Nie sądzę, żeby było mu z tym łatwo. – Na chwilę jego miła twarz przybrała zboląły wyraz.

– Naprawdę bardzo się starałem. Ale nie mogłem przy nim być cały czas.

– Mówi coś panu nazwisko Mette Hauge?

Twarz mu się rozjaśniła.

– Tutaj jest taka cudowna dziewczyna o imieniu Mette. To ona?

– A Nanna Birk Larsen?

Uśmiech zniknął.

– Vagn bardzo ciężko przeżył śmierć tej biedaczki.

Lund spojrzała na zdjęcia na ścianie. Czarno-białe zdjęcia kobiety, zapewne jego zmarłej żony. Vagn – młodszy.

– Jak to? – spytała.

– Oni są dla niego rodziną, której nigdy nie miał. Ja byłem sam. Moja żona zmarła młodo. Wziąłem go z egoizmu. Byłem samotny, rozumiecie. Nigdy tego nie żałowałem. – Rozejrzał się po pokoiku. – Po tylu latach on ciągle mnie odwiedza. Tu leżą biedne stare dranie, którym syn nawet raz do roku nie poświęca minuty. A ja widuję Vagna co tydzień. Zawsze.

– Został tutaj na noc, gdy pan źle się czuł? – spytał Meyer. – Dwa tygodnie temu? Widział go pan?

– Oglądał telewizję. Zawsze oglądamy telewizję.

Na stole leżał program telewizyjny. Meyer wziął go do ręki. Lund wstała i przechadzała się po pokoju, patrząc na zdjęcia, na rzeczy wujka.

– Tamtego wieczoru – czytał Meyer – leciał *Columbo*. I program o ogrodnictwie. A potem *Star Search*. Co oglądaliście?

– Pamiętam detektywa w prochowcu. Ale nie czułem się dobrze. – Skrzywił się niezadowolony. – Starzeję się. Postarajcie się tego uniknąć, jeśli dacie radę. Vagn mi podał pigułki i potem było mi lepiej.

Lund obejrzała się na Meyera.

– Jakie pigułki? – spytał.

– Nie wiem. Spytajcie pielęgniarki. Biorę, co mi dają.

Podeszła do fotografii ślubnej. Para sprzed lat, sztywna i poważna na czarno-białym portrecie.

– Co to za ludzie?

– Rodzice Vagna. To mój brat. – Chwila przerwy. – Kawał lesera.

– Czym się zajmowali?

– Ona tu chyba była w ciąży. Co prawda w tamtych czasach się o tym nie mówiło.

Roześmiał się.

– Czym się zajmowali?

– Pracowali w szpitalu. To nie byli dobrzy ludzie, muszę powiedzieć. – Staruszek westchnął głęboko. – Straszny miał początek życia. Dzieci... – podniósł głos – ...potrzebują dyscypliny. Przykładu. Trzeba im pokazać, jak się należy zachowywać. A kiedy idą w świat... Znowu przerwał, jakby zaskoczony własnym wybuchem.

– Co wtedy? – ponaglił go Meyer.

– Wtedy muszą wiedzieć, że są konsekwencje. Ja nigdy tego nie musiałem robić. Z Vagnem... Ale niektórzy młodzi....

W drodze do wyjścia sprawdzili zapisy pielęgniarki. Skærbæk podał wujkowi luminal, silny środek uspokajający.

Znowu prowadziła Lund.

– Ile?

– Jedną? Wystarczy, żeby konia powalić. Ale i tak by musiał minąć dyżurkę. Widziałaś ochronę...

Lund pokręciła głową.

– Zajrzałam na górę, kiedy ty rozmawiałeś z pielęgniarkami. Są inne wyjścia. Mógł się stamtąd wydostać, kiedy chciał.

– Więc jest bystrzejszy, niż wygląda.

– Mówiłam. Pewnie, że jest.

Meyer ucichł.

– O co chodzi? – spytała.

– Słyszałaś tego staruszka. Słyszałaś kierowniczkę. Wszyscy kochają Vagna.

– To nic nie znaczy, Meyer. To nic nie znaczy!

– Facet w każdy piątkowy wieczór siedzi ze starym wujkiem? Kiedy statystyczny mieszkaniec Kopenhagi nie może się doczekać, żeby skoczyć na piwko? To...

– To. Nic. Nie. Zna. Czy.

– Gdyby nie Skærbæk, Theis Birk Larsen nie miałby firmy, z tego co widziałem.

Lund myślała na głos.

– Słaby dzieciak, nękaný w szkole. Bez rodziców. Wychowany przez wujka.

Nagle się rozpadało. Nic nie widzieli przez szybę. Meyer wyciągnął rękę i włączył wycieraczkę.

– Wolałabym, żebyś dał mi prowadzić.

– Zrobimy okazanie. Może Amir go rozpozna.

– Brzytwy się chwytasz. Mamy coś w lesie? – Przyśpieszyła prędkość wycieraczek. Patrzyła, jak strugi deszczu spadają na samochód.

– Jeśli nie znajdziemy nic na Vagna, Brix zamknie sprawę Hauge – podsumował Meyer. – Kilka tabletek i stare zdjęcie nam nie wystarczą.

– No co ty powiesz.

Theis i Pernille Birk Larsen rozmawiali z adwokat Lis Gamborg w kuchni przy stole. Narzekali na policję, na nieustanne wizyty, na ciągłe przepytывanie.

– Współczuję państwu – powiedziała kobieta, wysłuchawszy ich – ale nic nie można zrobić. To śledztwo. W sprawie morderstwa.

– Ale oni nic nie robią – skarżyła się Pernille. – Nic pożytecznego. Ciągłe mówią, że sprawa jest rozwiązana. Zamknięta. A następnego dnia wracają i wszystko zaczyna się od nowa.

– Policja zwykle nie działa pochopnie, Pernille. Nawet jako rodzice Nanny nie macie prawa znać szczegółów śledztwa.

– Nie mamy prawa?

– W świetle przepisów nie. Ale mogę porozmawiać ze śledczymi. Poprosić, żeby się tu nie pojawiali bez uprzedzenia.

– To nie wystarczy – odezwał się Birk Larsen. – Nie chcemy mieć z nimi do czynienia. Jesteśmy wykończeni. I nie przekazemy im taśmy.

– Mogą wystąpić o nakaz.

– Nie chcę ich tu. Nie chcę ich w swoim domu...

– Pogadam z nimi. Zobaczymy, co da się zrobić.

– Jeszcze jedno. Oni nękają jednego z naszych kierowców. Bliskiego przyjaciela.

Pernille spojrzała na niego zdumiona.

– Rozmawiamy o nas, Theis.

– Nie pozwolę im wyżywać się na Vagnie. On zawsze mnie wspiera. Ja zrobię dla niego to samo.

– Theis...

– Te łajdaki zgarnęły go na przesłuchanie. Jeśli znowu do tego dojdzie, chciałbym prosić panią o pomoc.

Adwokat zrobiła kilka notatek.

– Mogę się tym zająć, oczywiście. Ale policja nie przesłuchiwałaby go bez powodu.

Postukał w stół.

– Niech mu pani pomoże.

– Oczywiście.

Lis Gamborg wyjęła wizytówkę i podała mu.

– Proszę mu dać mój numer. I przekazać, żeby dzwonił o dowolnej porze.

Vagn Skærbæk skarżył się każdemu, kto tylko chciał słuchać. Większość wyruszyła do swoich zadań. Został z Leonem Frevertem, razem przenosili stopy sprzętów domowych do jednej z mniejszych furgonetek.

– Przesłuchiwali mnie jak jakiegoś kryminalistę. Jakbym coś zrobił złego. Jakby ktoś mnie zakapował.

Frevert zmienił czarną włóczkową czapkę na bejsbolówkę. Daszkiem obrócił ją do tyłu. Wyglądał śmiesznie.

– I jeszcze godzinami powtarzają w kółko te same pytania.

Patrzył, jak Frevert taszczy jakiś dywan do furgonetki.

Anton i Emil kopali futbolówkę po podwórku.

Frevert wrócił i dźwignął pudło z naczyniami.

Skærbæk podszedł do niego, spojrzał mu w twarz.

– Ktoś im zakapował. To ty?

Frevert był wyższy, ale chudy, starszy.

– Co masz na myśli, Vagn? Co ja bym miał im powiedzieć?

– Jakiś łajdak...

Frevert się roześmiał.

– Wpadasz w paranoję. Oni strzelają w ciemno.

– Vagn! – zawołał dziecięcy głos. – Vagn!

– Bawicie się moją futbolówką! – krzyknął Skærbæk. – Mówiłem, że to moja. Jak śmiecie?

Ustawił się jak goryl i z wściekłą miną wyszedł na dwór, stawiając śmieszne kroki.

Chłopcy pisnęli i pierzchli. Skærbæk złapał ich obu. Wsadził Antona pod prawe ramię, a Emila pod lewe.

Nosił ich tak, słuchając zadowolony ich krzyków, kiedy na dół zeszli Theis, Pernille i kobieta w kostiumie.

Skærbæk puścił chłopców.

– Moja piłka! – powtórzył. – Pamiętajcie.

Pobiegli dalej bawić się na podwórku.

Kobieta podeszła do samochodu. Birk Larsen podał Skærbækowi jej wizytówkę i powiedział, że ma zadzwonić, gdyby policja znowu go nękała. Skærbæk podziękował i wsadził kartonik do kieszeni.

– Idziemy robić orynnowanie. Leon może tu zostać. Pokażę ci, jak to działa. – Chłopcy już znowu wskoczyli na Vagna, ciągnąc go za czerwone ogrodniczki. – Tym dzieciom potrzebna jest wycieczka do sklepu z zabawkami, Pernille. Wrócę później i je zabiorę, dobra?

Stała i przyglądała mu się. Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

– Dobra.

W swoim mahoniowym biurze, stojąc w cieniu przy oknie, Hartmann opowiedział im o spotkaniu z Lund.

– Cudownie – jęknął Weber. – Skoro to nie był Holck, to kto?

– Nie mam pojęcia.

– Czy to oznacza, że znowu się nas uczepią? – spytała Skovgaard. – Będą przeszukiwać mieszkanie?

Hartmann wzruszył ramionami. Weber opadł na oparcie krzesła i zamknął oczy.

– Miałeś już nasłać policję na Bremera – powiedział. – Co się stało z raportem, który im złożyłeś?

– Bremer jest winien. Zajmą się tym.

– Kiedy, Troels? Dwa miesiące po naszych przegranych wyborach? Ostrzegałem, żebyś nie grał jego kartą.

– Policja przesłucha Stokkego. Ich nie może okłamać. Bremerowi czas się kończy.

– Nam też – przypomniała Skovgaard. – Dzisiaj Bremer przychodzi na debatę.

– A czemu nie miałyby przychodzić?

Spojrzała na niego, jakby to pytanie było idiotyczne.

– Gdybyśmy my się znaleźli w takiej sytuacji, nie pozwoliłabym ci wystąpić publicznie. O co chodzi? Ja nie rozumiem.

– Amatorzy – natrząsał się Morten Weber. – Dlaczego ja muszę pracować z amatorami?

Hartmann czekał.

– Gert Stokke zniknął – oznajmił Weber. – Parę minut temu odebrałem telefon. Policja przyjechała po niego, ale go nie było. Stokke mieszka sam. Nikt go nie widział od wczorajszego postępowania.

Odczekał, aż jego informacja zrobi wrażenie.

– Właśnie ci wcięło głównego świadka, Troels. I co teraz?

– Znajdźcie go – polecił Hartmann.

Skovgaard ruszyła do telefonu.

– Niełatwo znaleźć człowieka, który nie chce być znaleziony – powiedział Weber.

– Taśma z monitoringu.

– Co z nią?

– Dowiedz się, kto ją przekazał policji. – Wziął marynarkę, podszedł do Mortena i poklepał go po ramieniu. – Ty masz to zrobić. Nikt inny.

Lund dotarła z Meyerem do Humleby. Skærbæk pojechał po pokrycie dachowe. Spojrzeli na dom. Nowe okna, nowe drzwi. Rusztowanie i świeża farba. Drewno i szyby czekały na osadzenie.

– Jest tu Birk Larsen? – spytała Lund jednego z ludzi w czerwonym kombinezonie, kręcącego się po ulicy.

Zostawiła Meyerowi załatwienie okazania, przeszła pod folią, przez otwarte, niedokończone drzwi, ostrożnie stąpając między kartongipsem, wiadrami, narzędziami i pudłami pełnymi wiertel.

Znalazła go w przyszłym salonie. Kiedy plastikowe płachty w wielkich oknach zastąpiono szkłem, zrobił się bardzo jasny.

Birk Larsen stał na drabinie i robił coś na suficie.

– Dzwonek nie działa – powiedziała Lund, żując nicotinell.

Rozejrzała się.

– Mamy parę pytań o Vagna.

Westchnął, wziął wiadro i przeszedł na drugą stronę pokoju.

Lund podążyła za nim.

– Co on dokładnie robił w tamten weekend, Theis? Kiedy pilnował interesu.

Birk Larsen przysunął do ściany płytę wiórową, wyjął nóż tapicerski i wysunął ostrze.

– Państwo wyjechaliście w piątek wieczorem, zaraz po wyjściu Nanny na imprezę. Planowaliście to wszystko z wyprzedzeniem?

– Nie. Dlaczego pani ciągle zadaje te same pytania?

– Bo ludzie ciągle udzielają tych samych odpowiedzi. Kiedy postanowiliście wyjechać?

– Poprzedniego wieczoru. Matka Pernille zadzwoniła, że mają dla nas domek.

– Rozmawiał pan z Vagnem w czasie weekendu?

– W sobotę nie chciałem żadnych rozmów. Mieliśmy wolne. W niedzielę był problem z podnośnikiem. I wtedy rozmawialiśmy.

– Ile razy?

Nie odpowiedział, tylko jeszcze trochę przesunął płytę.

– Czy jego relacje z Nanną kiedykolwiek wydały się panu dziwne?

To dotarło.

Podszedł i stanął przed nią.

– Znam Vagna od ponad dwudziestu lat. Ojciec go porzucił. Matka zapłała się na śmierć. Jest naszym przyjacielem od zawsze. Nie obchodzi mnie, jakie idiotyczne rzeczy przychodzą pani do głowy. Gównu mnie to obchodzi. Jasne?

Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

Lund ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się w progu.

– Jeden z waszych ludzi widział tamtego dnia Nannę z Amirem. On jeden wiedział o ich ucieczce. Muszę wiedzieć, czy to był Vagn.

– Proszę wyjść. – Machnął kciukiem na posępny świat na zewnątrz. – Nie mam nic do dodania.

Już na schodkach odwróciła się, popatrzyła na jego kamienną, nieogoloną twarz.

– Matka Vagna nie zapłała się na śmierć. Umarła, wydając go na świat.

– Bo...

– Theis!

Niedokończone drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem.

Lund podeszła do skrzynki na listy i krzyknęła przez szparę:

– Okłamał was! Niech pan to przemyśli.

Pokój okazań znajdował się na końcu krętego korytarza we wschodnim skrzydle. Lustro fenickie zajmowało tu całą ścianę. Po stronie podejrzanych było podwyższenie. Po drugiej – biurka i krzesła. Adwokat, którą wynajął Birk Larsen, stała z Lund i Meyerem i patrzyła, jak Amir przygląda się stojącym w szeregu sześciu mężczyznom, ubranym w identyczne kombinezony khaki, z numerami na szyi.

– Rozpoznaje pan któregoś? – spytała Lund.

– Nie wiem. Widziałem go tylko przez sekundę.

– Proszę się nie spieszyć. Dobrze się przyjrzeć. Pomyśleć o tym, co pan widział. Przypomnieć sobie jego twarz.

Amir poprawił swoje ciężkie okulary, podszedł bliżej do lustra.

– Nikt pana nie zobaczy – uspokoił go Meyer. – Nie musi się pan martwić.

Amir pokręcił głową.

– Widział go pan en face czy z profilu? Proszę się zastanowić.

Patrzył.

– To mógł być ten. Numer trzy.

– Numer trzy? – powtórzyła Lund.

Skærbæk.

– Może.

– On czy nie? – dopytywał się Meyer.

– Albo może numer pięć.

Adwokatka westchnęła przeciągle i boleśnie.

– Nie wiem.

Lund położyła mu rękę na ramieniu.

– Amir? – odezwała się prawniczka. – Jak daleko jest z twojego mieszkania do garażu Birk Larsena?

– Dwie ulice.

– Większość swojego życia mijales to miejsce. Chodziłeś tam jako dziecko bawić się z Nanną?

Milczał.

– Więc – ciągnęła kobieta – mógłbyś po prostu rozpoznać twarz, którą znasz.

Lund kiwnęła jednemu z mundurowych, żeby zabrano Skærbæka do biura.

Adwokatka spojrzała na dwójkę policjantów.

– Niewiarygodne, że to zrobiliście. Numer pięć to jeden z waszych ludzi, prawda? Nawet gdyby wybrał Vagna... Oczywiście, że go widział. W garażu.

Spojrzała na zegarek.

– Idziemy.

– Nie – odezwała się Lund. – Nie idziecie.

W gabinecie siedział Skærbæk w czerwonym kombinezonie, w czapeczce, patrząc spode łba, znudzony.

– Od dziesiątej wieczorem do ósmej rano nikt w domu opieki pana nie widział – mówił Meyer.

– A co w tym dziwnego? Spałem na krześle. To pokój mojego wujka.

– Zgadza się. A resztę weekendu spędził pan w magazynie.

– To prawda.

– Ale tam też nikt pana nie widział, Vagn.

– Byłem sam. Podnośnik nie działał. Zostałem w garażu. Lubię sobie pomajstrować. Po co Theis miałby płacić mechanikowi, jeśli ja dałbym radę go naprawić.

– Miał pan wyłączony telefon.

– Naprawiałem podnośnik. Jak ktoś chce, może zostawić wiadomość.

– Ale nikt nie może potwierdzić, że pan tam był.

– Theis i Pernille mogą.

Lund stanęła przy drzwiach, obserwowała go, jak odpowiadał, analizowała.

– Ma pan czterdzieści jeden lat, Vagn. Dlaczego nie ma pan żony ani dzieci?

- Nigdy nie poznałem właściwej dziewczyny.
- Może kobiety pana nie lubią – zasugerował Meyer.
- I ciągle spędza pan czas z Antonem i Emilem – dodała Lund.
- Jasne. Jestem ich ojcem chrzestnym. Nie ma nic złego w spędzaniu czasu z rodziną.

Lund pokręciła głową.

- Ale oni nie są pańską rodziną.

Spojrzał jej w oczy.

- Pani nie rozumie. Żal mi pani.

– Pan i Pernille... – odezwał się Meyer. – Mieliście może krótki romans, jak Theis kiedyś siedział? Było coś takiego?

Skærbæk odwrócił się do adwokatkę.

- Muszę słuchać tego gówna?

– Proszę odpowiedzieć.

- Nie.

Meyer zapalił papierosa.

– Więc co pan z tego ma? Nie pojmuję. Tyle poświęceń. Cały czas. Co pan z tego ma?

- Wzajemny szacunek.

– Wzajemny szacunek? Za co? Jest pan smutnym podstarzałym samotnikiem, który się uczeplił cudzej rodziny. – Meyer wysunął palec. – Niech pan na siebie popatrzy... Stary dziwak z idiotycznym srebrnym łańcuchem...

- Zazdrościł pan Theisowi? – przerwała Lund.

- Nie widziała pani Pernille, jak się wścieka.

Usiadła obok niego.

– Przyjaźniliście się z Theisem jako dzieci. On dorósł i ma wszystko. Firmę. Rodzinę. Dobre życie.

– A pan tylko chodzi codziennie do pracy i tam się szczerzy, uczepony do nich jak rzep do psiego ogona – dokończył Meyer. – Przez cały dzień się pan użera. Potem pan patrzy, jak Theis idzie do żony i dzieci.

– O sobie pan mówi? – spytał Skærbæk z głupim, szczeniackim uśmiechem.

– Jest pan nieudacznikiem – warknął Meyer. – Zero przyszłości. Zero rodziny. Praca bez perspektyw. I nagle piękna córka szefa zaczyna się zadawać z jakimś śmieciarzem...

– Jak na policjanta brzydko się pan wyraża.

Adwokatka odłożyła notes na stół.

– Mój klient chętnie odpowie na wszystkie pytania związane ze sprawą. Jeśli jakieś macie. Jeśli nie...

– Wie pan, co to jest luminal? – zmieniła temat Lund.

– Nie zrobiłem nic złego.

– Po co pan się ich trzyma? – Meyer nie chciał odpuścić. – Zawsze pan tam jest. Kiedy Theis pojechał pobić nauczyciela, pan się przyłączył. Dlaczego?

– Bo jestem mu to winien! Jasne?

Trafili w jakiś czuły punkt i Lund nie miała pojęcia, w jaki.

– Co mu pan jest winien, Vagn?

– Sami zgadnijcie. Jesteście durni. Wiecie o tym? Ściągacie mnie tu... rzucacie mi nazwiskami. Myślicie, że ja nie wiem, jak to jest? – Wstał. – Kretyni. Chcę już iść.

– Proszę zostać – poleciała Lund.

Pod drzwiami czyhał Svendsen.

– Znaleźli coś w Vestamager – zameldował.

– Co?

– Nie są pewni. Pracują nad tym. To niełatwe.

– Chodźmy – powiedziała Lund.

Svendsen kiwnął na postać w czerwonym kombinezonie.

– A co z nim?

– Zabierzcie mu paszport, jeśli ma. Uprzedźcie, że nie może opuszczać Kopenhagi. – Zastanowiła się. – I wróć do archiwum. Coś tam przeoczyliśmy.

Svendsen nienawidził robić czegoś drugi raz.

– Czego mam szukać tym razem?

– Czegoś, co łączy Vagna i Theisa Birk Larsena. Czegoś...

Skærbæk siedział przygarbiony przy stole, znowu skubiąc plastikowy kubek. Zgrywał głupka.

– Jakiegoś łącznika – zakończyła.

Do weekendu zostały całe trzy dni kampanii wyborczej. I cisza w poniedziałek. Potem wybory. Ciągłe się odbywały spotkania, tym razem w Czarnym Diamencie, Bibliotece Królewskiej nad wodą. Sala pełna zwolenników, garstka mediów. Słabe zimowe światło sączyło się przez potężne okna.

Hartmann uśmiechnął się i skinął głową, gdy zebrani ruszyli do drzwi. Sam do nich podszedł, uhonorować wyznawców. Znowu wymieniał uściski dłoni, poklepywał po ramieniu, dziękował wylewnie.

Za czarnymi szybami padał deszcz. Hartmann wpatrywał się w ponure szare strugi. Czekał na Skovgaard i samochód.

Gdy w końcu został sam, poczuł się dziwnie wolny. Spodziewał się, że długa walka o pokonanie Bremera będzie wyczerpująca. Ale nie że aż tak. Czuł się wycieńczony. Ze wszystkich stron otoczony niewidocznymi wrogami. A brakowało mu broni do walki z nimi.

Podeszła Rie.

– Stokke... – zaczął Hartmann.

– Nie możemy go znaleźć. Będziesz musiał rozważyć wycofanie się z zarzutu.

– Równie dobrze mogę się wycofać z wyborów. Co robi policja?

Znowu miała podpięte włosy, a nie rozrzucone na ramionach, tak jak wolał.

– Nie mam pojęcia. Przyniosę coś do jedzenia. Bóg jeden wie, kiedy znowu będziemy mieli szansę się spokojnie.

Patrzył, jak idzie, przystaje na schodach, miotana wiatrem i mżawką. Nie przejmując się tym za bardzo.

Sama.

Z cienia wyszedł mężczyzna. Miał na sobie czarny płaszcz i ciemne okulary, pomimo ponurej pogody. Podszedł bliżej, po czym zatrzymał się przy jednym z plakatów wyborczych na szybie. Troels Hartmann uśmiechający się do świata, pewny, skromny, młody. Energiczny i świeży.

Dziesięć kroków i Hartmann stanął przy nim.

– Masz dobrą kampanię – powiedział Gert Stokke.

Hartmann obejrzał się i upewnił, że nikt nie stoi w pobliżu.

– Stary król umiera. Nowy król czeka przy jego łożu. Długiego życia, Troels. – Stokke zasalutował.

– Szukają cię, Gert.

– Czemu ja się w to, u diabła, wplątałem? – spytał Stokke z kącikami ust opuszczonymi w dół, łysiejącą głową błyszczącą od deszczu. – Mogłem się ograniczyć do protokołu. Pozwolić Holckowi i Bremerowi, żeby się z tego wywinęli.

– Ale tak nie zrobiłeś.

– Wykonuję swoją pracę i staram się to robić odpowiedzialnie.

– Wiem.

Roześmiał się.

– Naprawdę? Czy dlatego mnie wywlokłeś na ring? Bez ostrzeżenia?

Hartmann oparł się o czarną szybę wpatrzony we własne odbicie.

– Czasami wydarzenia zaczynają żyć własnym życiem. Nie mamy na nie żadnego wpływu. Ja sam wiem o tym najlepiej.

Znowu ten suchy śmiech.

– Miałeś niezłe przemowy. Ale urzędnicy nie zajmują się retoryką. Szkoda trudu. Przykro mi.

– Okłamałeś mnie. Powiedziałeś, że nie ma protokołu.

– A co miałem zrobić?

– Trzeba było iść na policję.

– Wiesz, że to niemożliwe.

Hartmann odczekał chwilę.

– Co z twoją karierą? – spytał w końcu.

– Jaką karierą? Będę miał szczęście, jeśli uda mi się ocalić emeryturę.

Przykro mi. To był błąd. Nie wiem, czemu przy...

Odszedł. Hartmann go dogonił.

– Będziesz miał pracę, jeśli wygram.

Samochód czekał.

Stokke stanął, zdjął ciemne okulary, spojrzał na Hartmanna nieufnie.

– Urzędnik najszybciej ze wszystkich się uczy, żeby nigdy nie wierzyć w obietnice polityków.

– Możesz mi uwierzyć. Po wyborach będziemy potrzebowali dobrych, uczciwych, lojalnych ludzi. Nie wątpię, że ty do takich należysz. W przeciwnym wypadku nie spisałyś tego protokołu.

– Ach, słowa. Tak łatwo przychodzą.

– Jeśli wygramy, Gert, zapewnię ci dobre stanowisko. Lepsze niż to, które masz w tej chwili. I lepiej płatne. – Wyciągnął rękę. – Jeśli wygramy.

Stokke znowu się zaśmiał, teraz już swobodniej.

– Co cię tak bawi? – spytał Hartmann.

– Dostałem wiadomość od ludzi Bremera. Mówią dokładnie to samo.

Hartmann podszedł do samochodu, otworzył tylne drzwi i spojrzał na urzędnika.

Stokke podrapał się po brodzie. Myślał.

– Musisz zadać sobie pytanie, Gert, komu ufasz najbardziej?

– Nie.

Hartmann usilnie starał się wymyślić coś jeszcze, jakąś przynętę.

Nagle Stokke podszedł do samochodu.

– Muszę zadać sobie pytanie – rzekł – komu najmniej nie ufam.

Wsiadł na tył. Zza rogu wyłoniła się Rie Skovgaard z kanapkami.

– Podwozimy Gerta – wyjaśnił jej Hartmann. – Żeby się znowu nie zapodział.

Pernille została w garażu pogadać z Leonem Frevertem.

– W tamten weekend, kiedy...

Dźwignął stos kartonów, wyglądał, jakby te słowa go zakłopotwały.

– Byłeś tu, Leon?

– Nie. Zadzwoił Vagn i powiedział, że jednak mnie nie potrzebuje.

Wrócił do kartonów. Dobry pracownik. Silny pomimo wątłej budowy.

– Ale miałeś pracować?

– Tak. W sobotę i niedzielę. Nieważne. Zawsze mam taksówkę.

Wyszedł na zewnątrz i wziął kolejne skrzynki. Pernille podążała za nim.

– Vagn powiedział, że nie ma po co przychodzić. Mieliśmy tylko jednego klienta, i on odwołał zlecenie. No to została mi taksówka. Nie ma problemu, jest okej.

Rozejrzała się po garażu z namysłem. Przypomniała sobie Lund. Pytania, które zadawała ta dziwna i nieustępliwa policjantka. Monotonne ich powtarzanie.

– Więc zlecenie zostało odwołane? – spytała.

Frevert zdjął bejsbolówkę i podrapał się po łysiejącej głowie.

– To nawet zabawne.

Pernille oddychała teraz szybciej i płycej. Nie mogła oderwać wzroku od tego bladego, chudego człowieka, który nie patrzył jej w oczy.

– Co zabawne?

– Mieliśmy przeprowadzać sklep z materiałami biurowymi. Parę dni później wpadłem na właściciela. A ten mnie zjechał, że odwołaliśmy robotę. Vagn mówił, że to oni odwołali, a ten się upierał, że Vagn zadzwonił i powiedział, że nie możemy tego zrobić. – Frevert podniósł kolejną skrzynkę. – Na pewno miał ważny powód.

Zaniósł ładunek do ciężarówki, zamknął drzwi.

– Taki los, nie?

Nie mogła się ruszyć. I ledwie stała.

– Vagn potrzebuje ciężarówki na rano, Pernille. Jak skończę wieczorem, podrzucę mu kluczyki do domu.

Rozejrzał się po garażu.

– Niedługo wyjeżdżam. Przez jakiś czas mnie nie będzie. Dobra?

Wróciła na górę, siadła przy stole i długi czas nic nie robiła. Potem odsłuchiwała wiadomości na sekretarce.

Pierwsza musiała być od niego. Chojrak jak zawsze.

„Cześć, to ja. Już wracam. Myślę, że policja w końcu coś skumała. Teraz się będą trzymali z daleka”.

Pernille związała włosy w koński ogon. Jak Lund. Włożyła cienki sweter na białą koszulę. Letnie ciuchy, nie wiedzieć czemu.

„Nadal bym chciał zabrać chłopców do sklepu z zabawkami. Widziałem czadowe pistolety na wodę. Spodobają im się”.

Jak gdyby nigdy nic, pomyślała.

„Dostaną nowe. Trzy różne rodzaje. Do zobaczenia, cześć”.

Po schodach wszedł Theis Birk Larsen. Spojrzała na niego, zobaczyła jego twarz i od razu wiedziała.

Koszmar wrócił. Znowu ugrzęźli w otchłani.

– Chłopcy gotowi do wyjścia? – spytał.

– Jeśli chcemy, żeby szli.

Dziecięce głosiki Antona i Emila dobiegały z ich pokoju. W końcu ładnie się razem bawili.

Birk Larsen spojrzał na ich płaszczyki na stole. Odwiesił je na haczyk.

– Może wieczorem coś razem zjemy. Pooglądamy z nimi telewizję.

Wpatrywał się w nią, czekając na aprobatę.

– Dobry pomysł – odrzekła Pernille niemal szeptem.

Niedługo później usłyszeli, jak przesuwają się drzwi w garażu.

– Halo! – zawołał pogodny głos, który wydawał się częścią tego miejsca.

– Halo?

Birk Larsen pierwszy zszedł po schodach. Za nim Pernille.

Czerwony kombinezon. Bezczelny uśmiech.

– Cześć, Theis. Dostałeś moją wiadomość?

Birk Larsen stał u stóp schodów, nic nie mówiąc.

– Co z chłopcami? Gotowi?

Pernille dołączyła do męża. Stali razem.

– Nie mogą dzisiaj jechać – odrzekł Birk Larsen. – Anton ma katar.

Na twarzy Skærbæka malowała się podejrzliwość.

– Co to znaczy, że ma katar? Rano nie miał.

– Tak, ale...

Pernille milczała.

Skærbæk stał.

– Zawsze ja musiałem za ciebie kłamać, Theis. Ty się do tego zupełnie nie nadajesz.

– Vagn – jęknął Birk Larsen. – Nie teraz.

– To śmieszne. Kocham chłopców. Naprawdę nie mogłem się doczekać, aż ich zabiorę.

Wyglądał, jakby mu się zbierało na płacz. Albo jakby wychodził z siebie.

– Tak – odparł Birk Larsen.

– Nie widzisz, co oni chcą zrobić? Próbują nas rozdzielić. Nie mogą znaleźć tego łajdaka, który to zrobił, więc czepiają się nas.

– Okłamałeś nas, Vagn?

Długa cisza.

– Co ci powiedzieli? No?

Stali razem w tej ciszy.

– Jezu...

Skierował się do wyjścia.

– Vagn – odezwał się Birk Larsen.

Skærbæk się odwrócił i wymierzył w nich oskarżycielsko palec.

– Zawsze za tobą stałem, Theis. I za tobą, Pernille. Wiecie o tym.

– Vagn!

Drzwi się otworzyły.

– Zawsze! – wrzasnął Vagn Skærbæk i odszedł w deszcz.

Nowiutkie studio telewizyjne znajdowało się w rejonie Islands Brygge. Wszędzie przyćmione niebieskie światła. Bremer pojawił się tuż przed rozpoczęciem audycji, przepaszając. Wyglądał na podenerwowanego.

Siedli przy stole, Hartmann robił notatki, Bremer wiercił się niespokojnie. Kamery czekały wyłączone. Cyrk się jeszcze nie zaczął.

– Muszę ci powiedzieć, Troels – odezwał się Bremer cicho i mściwie – że odbieram twoje zachowanie jako bulwersujące. – Hartmann obejrzał się

na niego, po czym wrócił do pisania. – Zamiast wyciągać pochopne wnioski, mogłeś przyjść do mnie i sprawdzić te śmieszne oskarżenia.

– Od tego zaczniemy debatę?

Podeszła makijażystka i zaczęła pudrować pocące się czoło Bremera. Ktoś zawołał, że jeszcze tylko cztery minuty. Światła pogasły.

– A może od twojego łożenia na policję z durnymi donosami? – perorował Bremer.

– Od czego sobie życzysz, ja się dostosuję.

Bremer się roześmiał. Spojrzał chytrze.

– Nie możesz mnie już oskarżać o krycie mordercy. Policja wie, że Holck tego nie zrobił. Powiedziałem o tym jego żonie.

– A rozmawiałeś z matką Olava Christensena? Pytałeś ją o zdanie?

– Ty nic nie wiesz. Pomyśleć, że kiedyś uważałem cię za wartego...

– Szkoda twoich słów. Zostaw je dla policji.

Bremer chwycił szklanekę wody i przełknął wielki łyk.

– Nie będzie żadnych zarzutów. Chyba że znajdą Gerta Stokke. – Rozjaśnił się. – Och, popatrz. Idzie Rie Skovgaard. Pewnie ma dla ciebie jakieś wiadomości.

Hartmann wstał.

– Rozmawiałam z policją – wyszeptała. – Bremer ma świadka, który powie, że w trakcie spotkania ze Stokkem nie rozmawiali o Holcku.

– Nie było żadnych świadków. Protokół jest jasny.

– Teraz są. Będzie słowo Stokkego przeciwko słowu burmistrza. Troels?

Hartmann wrócił do stołu. Siadł na miejscu dziennikarki, blisko Bremera.

– Stokke wyleci z roboty. – Bremer zerknął na kamerę. – To będzie koniec. Twój też.

Hartmann pochylił się i wyszeptał:

– Czujesz, jak kruszy się twój świat, staruszkę? – Spojrzał w przymknięte szare oczy. – Jesteś jak zniedołężniały aktor, który nie wie, kiedy zejść ze sceny. Jedyny, który tego nie wie. Na swój sposób to tragiczne.

Chwila ciszy.

– A kiedy będzie po wszystkim, Poul, ludzie postarają się o tobie zapomnieć. Kim jesteś. Co robiłeś. Będziesz tylko jednym brudnym szczegółem w historii tego miasta. Żadnych tablic. Żadnych ulic nazwanych twoim imieniem. Żadnych pomników. Żadnych kwiatów na twoim grobie. Tylko plugawe poczucie wstydu.

Bremer patrzył na niego strasznym wzrokiem, z rozchylonymi ustami, wstrząśnięty, oniemiały.

– Myślisz, że się uratujesz, podstawiając fałszywych świadków? – spytał Hartmann z uśmiechem. – To żałosne.

Ktoś zawołał, że została minuta. Włączyły się światła.

– Twój dom powstał na kłamstwach i zaczyna płonąć. Niedługo przez płomienie zobaczysz świat. A potem zamienisz się w proch i pył. Znikniesz.

Wstał i wrócił na swoje miejsce.

Bremer patrzył na niego z goryczą i nienawiścią.

– A ty? Ty jesteś lepszy?

– Tak – odrzekł Hartmann. – Jestem.

– To mi powiedz, jak ci się zdaje: jak zniknęła taśma z monitoringu? Jak to możliwe, że mieszkanie partii zostało powiązane ze śmiercią tego biednego dziecka, a nikt tego nie zauważył, nikt z was?

Hartmann wpatrywał się w notes, bazgrał po nim.

– Kto ukradł tę taśmę, Troels, i trzymał ją w sekrecie, chociaż chyba by cię oczyściła z zarzutów? Skąd nagle Skovgaard dostała informację o Gercie Stokkem?

Cisza.

– Nie jesteś lepszy ode mnie – warknął Bremer. – Tylko o tym nie wiesz.

Za ich plecami przeszła dziennikarka i usiadła między nimi.

– Jeszcze sekunda i zaczynamy – powiedziała.

Kolejne światła. Kamery robiły zbliżenie, obiektywy polowały.

Poul Bremer się uśmiechnął.

Troels Hartmann również.

Dwóch nurków w błotnistych wodach kanału na Kalvebod Fælled. Ciemne lśniąco kształty w świetle reflektorów. Lund i Meyer patrzyli, jak opuszczają się ku nim nosze na linach.

Mężczyźni na górze wyciągnęli coś na powierzchnię. Wyglądało to jak poczwarka wielkości człowieka. Niebieski plastik. Lśniąco i zabezpieczony taśmą.

Czterech techników umieściło ładunek na brzegu. Dyżurny patolog czekał w białym kombinezonie z walizeczką u boku. Włożył rękawiczki, wziął skalpel, przeciął plastik. Rozchylił brzegi rozcięcia.

– Wszyscy wrażliwcy teraz się wycofują – powiedział. Nikt się nie ruszył.

Cuchnęło zgniłym ciałem i zgniłą wodą.

Latarki oświetliły żółtą kość. Żebra i czaszkę.

Brix czekał wyżej. Lund przysunęła się na tyle blisko, na ile pozwolił jej patolog.

– Tam! – zawołała. – Co to? Spróbuj to poskrobać.

– To nie jest ciało.

– Widzę, że to nie ciało.

Tępą krawędzią skalpela starł brud i błoto z taśmy, która krępowała dziewczynę.

Pojawiło się słowo. Niebieskie litery. MERKURY ze skrzydełkiem po lewej.

Lund ruszyła do samochodu.

Jadąc przez ciemną noc, Meyer odebrał telefon z komendy.

– Co jest? – spytała.

– Chyba znaleźli to, o czym mówił Vagn. Dwadzieścia jeden lat temu w Christianii doszło do incydentu. prawdopodobnie przy sprzedawaniu narkotyków. Vagn został ciężko pobity. Mógł umrzeć.

– Theis ich powstrzymał – dokończyła Lund.

– Czasami się zastanawiam, po co ty w ogóle zadajesz pytania.

Do Vesterbro mieli niedaleko. Skærbæk mieszkał w czynszówce nieopodal zakładów mięsnych.

– Musiało być coś, co ich wiąże.

– Czemu więc Vagn zabił mu córkę?

– Spytajmy go.

Był to brzydki, biały budynek, dwupiętrowy, ze sklepem w piwnicy. Na końcu drogi kurwy zaczynały pracę. Zblazowane dziewczęta próbowały wyglądać ślicznie, odsłaniały nogi ku samochodom sunącym do nich przez most Dybbølsbro.

Mieszkania były tu najtańsze. Długie linie niewielkich lokali połączonych zewnętrzną galerią z żelazną balustradą. Skærbæk mieszkał na piętrze. Svendsen już stał pod drzwiami. Mieszkanie było puste. Cały dzień nikt się w nim nie pojawił. Wszedł od Birk Larsenów, nie widziano go w domu opieki.

Svendsen ruszył do schodów. Lund i Meyer chodzili w tę i z powrotem po galerii.

– Podsumujmy to – powiedziała. – Vagn o dziesiątej daje wujkowi lekarstwo. Nanna godzinę później przyjeżdża do mieszkania na Store

Kongensgade.

– Czas się zgadza.

– Ale skąd Vagn wiedział, że ona tam jest?

Ktoś się do nich zbliżał, mijając kolejne bladoszare drzwi.

Wysoka postać, chuda. Bejsbolówka. Gdy tylko ich zobaczył, naciągnął daszek na twarz.

– Może ją śledził – zasugerował Meyer. – Wiedział, dokąd jedzie.

– Skąd? Dopiero co się okazało, że musi tam jechać po paszport. To nie jest oczywiste.

Mężczyzna w bejsbolówce ruszył z powrotem do windy. Wcisnął guzik.

Lund i Meyer stanęli za nim. Odwrócił się od nich, wyjął telefon, jakby miał zadzwonić.

– Dwa razy go przesłuchiwaliliśmy! – powiedział Meyer. – Powinniśmy go aresztować.

Do kogokolwiek chudy dzwonił, ten ktoś nie odebrał.

– Chodźmy schodami, Lund. Będziemy tu czekać całe wieki.

Ruszyli z powrotem.

Nagle Lund stanęła i się odwróciła.

Mężczyzna w bejsbolówce w ogóle nie dzwonił. Ale nie mógł się powstrzymać, by się nie odwrócić. I wtedy go poznała.

– Hej! – zawołała. – Hej!

Ruszył biegiem, pędząc wąskim korytarzem ku dalekiej klatce schodowej.

– Meyer!

Lund odwróciła się, by puścić się w pogoń, i znalazła się w ciemnościach. Gorączkowo próbowała się zorientować, gdzie jest.

Łomot kroków po metalowym podeście. Żelazna balustrada, kroki poniżej. Była w połowie drogi w dół, gdy go zobaczyła.

Biały mercedes. Na dachu kogut taksówki.

Leon Frevert. Ostatni człowiek, który widział Nannę żywą.

Meyer też pędził do niego, próbując wskoczyć na maskę.

Nie ma broni, pomyślała. Dzięki Brixowi.

– Meyer!

To i tak już nie miało znaczenia. Mercedes wyjechał z parkingu, piszcząc kołami i dymiąc.

Lund pierwsza dopadła ich samochodu. Wskoczyła na fotel pasażera. Wyszarpnęła ze schowka koguta, postawiła włączony na dach.

– Tym razem, Meyer, ty prowadzisz.

– Co to było, do cholery? – Już wskakiwał za kierownicę.

Nie odpowiedziała. Dzwoniła do centrali.

– Ścigamy Leona Freverta. Biały mercedes. Taksówka. Numer rejestracyjny HZ 98 050. Zachować ostrożność. Frevert jest podejrzanym w sprawie Birk Larsen.

Meyer jechał tak szybko, że dech jej zapało.

Może skręcił w prawo, w Vesterbro. Albo na most Dybbølsbro, prowadzący do miasta, albo na Amager, na most do Malmö.

Zahamował ostro. Stado kurew w minispódniczkach pierzchło na chodnik.

– Którędy? – pytał Meyer. – Którędy, Lund?

Do lasu, pomyślała. Do martwych drzew Lasu Zielonoświątkowego. W końcu zawsze to się kończy tam.

– Lund! Którędy?

Wilgotne lśniące drogi prowadziły we wszystkich kierunkach.

– Nie wiem.

Leon Frevert miał brata. Svendsen ściągnął go do ponurej kawalerki przy Vesterbrogade.

Miał na imię Martin. Był księgowym, miał własną firmę w Østerbro. Ciemny garnitur i krawat. Młodszy od brata, nie tak chudy i nie tak szary. Więcej pieniędzy, pomyślała Lund. Więcej mózgu.

Meyer rozejrzał się po mieszkaniu.

– Pański brat nie wierzy w meble?

Martin Frevert siadł na jedynym krześle. Poza tym stały tu kanapa i wąskie łóżko. I nic innego.

– Kiedy tu byłem po raz ostatni, mieszkanie było w pełni umeblowane. Trzy tygodnie temu – dodał, zanim zdążyli zapytać.

– Czego nie ma? – spytała Lund.

Mężczyzna się rozejrzał.

– Stołu. Wszystkich CD. Jego rzeczy.

– Więc nie wiedział pan, że wypowiedział umowę najmu?

– Nic mi nie mówił. Leon zawsze powtarzał, że mu się tu podoba. Jego sprawa.

Znaleźli bilet do Hosziminu przez Frankfurt. Na następny poniedziałek. Kupiony przed dwoma dniami.

– Nie mówił więc panu, że wybiera się do Wietnamu? – zdziwił się Meyer.

– Nie. Jakiś rok temu pojechał tam na wakacje. – Martin Frevert nachmurzył się, chyba miał poczucie winy. – Jeździł też do Tajlandii. Myślę, że chodziło o dziewczyny...

– Och, daj pan spokój. Ma bilety, ma pieniądze. Spakował torby. Sprzedał wszystko. I nie powiedział nic braciszкови?

To Freverta rozwścieczyło.

– Nie mówił mi! Co mam powiedzieć? Dlaczego miałbym kłamać?

– Miał jakieś narzeczone? – dociekała Lund.

– Ostatnio nie. Kiedyś miał żonę.

– Dzieci? – To Meyer.

– Nie, to nie skończyło się dobrze.

– Może przyjaciółki?

Martin Frevert zerknął na zegarek.

– Leon nie ma wielu przyjaciół. Od czasu do czasu przyjeżdżał do nas na obiad. Ale... – wzruszył ramionami – o czym tu było gadać? On jeździł taksówką. Nosił kartony.

Lund kazała Svendsenowi zabrać Freverta na komendę, by złożył oficjalne zeznanie. Potem podeszła do ściany na końcu pomieszczenia.

Obwieszono ją pierwszymi stronami gazet od początku sprawy Nanny. Zdjęcia Hartmanna. Zdjęcia Jensa Holcka. Kemala. Ale przede wszystkim zdjęcia uśmiechniętej Nanny.

– Brat nic nie wiedział – stwierdził Meyer. – Ten świr trzymał wszystko w tajemnicy.

– Mieliśmy go. – Lund wpatrywała się w pierwsze strony, na których pozaznaczano mazakiem wszystkie zdjęcia Nanny. – Mieliśmy go i wypuściliśmy.

Wyszła z mieszkania i dalej schodami, aż na parking. Błyskały niebieskie światła. Wszędzie radiowozy, oznaczone i nie. Zjeżdżali się technicy.

Svendsen palił przy metalowych schodkach.

– Porzucił taksówkę niedaleko Birk Larsenów i wziął własny samochód – zameldował. – Zarządziliśmy poszukiwania. Telefon ma wyłączony. Namierzemy go, gdy tylko go włączy.

– Dlaczego nie wiedzieliśmy, że Frevert pracuje dla Birk Larsena? Ty go przesłuchiwałeś.

Svendsen podniósł na nią wzrok.

– Co?

– Ty go przesłuchiwałeś. Dlaczego nie wiedzieliśmy?

– Zgłosił się jako świadek. Nie był podejrzanym. Nie kazałaś go sprawdzać.

– Lund... – zaczął Meyer.

– Ty jesteś na praktykach czy co? – warknęła. – Muszę ci tłumaczyć, co masz robić?

– On był świadkiem!

Meyer się wycofał.

Wymierzyła palec w twarz Svendsena.

– Gdybyśmy wiedzieli, że on pracuje dla Birk Larsena, nie stalibyśmy tu jak idioci. Leon Frevert siedziałby w celi.

– Nie zwalaj na mnie własnych błędów.

– Jesteś leniwy. – Pogroziła mu palcem przed nosem. – A ja lenistwa nie znoszę najbardziej na świecie.

Ruszyła z powrotem do samochodu. Za jej plecami Meyer podejmował kroki pojednawcze.

– Pracujemy całą dobę na okrągło! – krzyczał Svendsen. – Nie będzie mnie ta dziwka wyzywała od leniuchów. Słyszałeś!

Wsiadła za kierownicę.

– Oni się starają. – Meyer wsunął głowę przez okno. – Odsuść.

– Znajdź Leona Freverta, to może postawię im piwo. Podaj prasie jego rysopis. I ściągamy Vagna Skærbæka na przesłuchanie.

– Lund...

Włączyła silnik i wyjechała na drogę.

– Lund? – Meyer biegł przy jej oknie. – Po co nam, do cholery, znowu ten Skærbæk?

– Dla towarzystwa – odpowiedziała i odjechała.

Morten Weber słuchał wiadomości w radiu. Miał ponurą minę i był zmęczony. Kilku reporterów i fotografów zasadziło się na Hartmanna

w drodze do ratusza i ścigali go po schodach, aż Skovgaard ich zawróciła.

Weber zrobił głośniej, gdy Hartmann zdjął płaszcz.

„Źródła zbliżone do Komendy Głównej Policji podają, że morderca Nanny Birk Larsen nadal nie został znaleziony. Pojawiły się nowe spekulacje co do nadciągających wyborów. Sprawa już zaszkodziła Troelsowi Hartmannowi, ponieważ mieszkanie należące do Stronnictwa Liberalnego okazało się powiązane ze zbrodnią. Podstawa doniesienia, które Hartmann złożył na policji przeciwko burmistrzowi, zaczyna się kruszyć. Nowi świadkowie zeznają, że Bremer nie był wtajemniczony...”.

– Wyłącz to – polecił Hartmann.

W biurze wszędzie leżały papiery. Protokoły komisji i statuty.

– Wróćmy na policję i zdobądźmy aktualne informacje. Rie?

Kiwnęła głową, wyraźnie przygnębiona.

– Wydadź oświadczenie dla prasy, że podtrzymujemy swoje stanowisko w sprawie Bremera. Podkreśl, że zostałem oczyszczony ze wszystkich podejrzeń.

– Mam nadzieję, że opinia publiczna w to uwierzy – burknął Weber.

– Co Bremer ci mówił, Troels? – spytała Skovgaard.

– Oskarżył mnie o ukrywanie dowodów i faktów.

– Jakich dowodów?

– Taśmy z monitoringu. Mieszkania partii. Chyba myśli, że informacje o Gercie Stokke zdobyliśmy nieuczciwie.

Skovgaard milczała.

Weber zerknął na telefon.

– Nie lubię, kiedy paskudny dzień staje się jeszcze paskudniejszy – powiedział – ale ta menda Erik Salin czeka na ciebie za drzwiami. Mówi, że musi z tobą pogadać. To ważne.

– Dla mnie czy dla niego?

– Pewnie dla niego. Nieważne...

Hartmann wszedł do głównej sali. Erik Salin siedział na kanapie. Poczęstował się lampką wina. Zaczął pracować nad specjalnym projektem dla jednego z dzienników, a w każdym razie tak twierdził.

– Co to znaczy? – spytał Hartmann.

– W tej chwili oznacza to pana.

Hartmann siadł na skórzanej kanapie i czekał.

– Rzecz w tym – powiedział Salin, wyciągając notes – że brakuje mi pewnych elementów. Na przykład taśmy z monitoringu.

– Rozmawiał pan z Bremerem?

– Rozmawiam z mnóstwem ludzi. To moja praca. Chcę to wyłożyć jasno. Czy to nie było panu na rękę, że taśma zniknęła? Widać na niej, jak pan odbiera kluczyki do samochodu.

– Jest tam też Holck z dziewczyną. Więc zniknięcie pasowało bardziej jemu niż mnie, nie sądzi pan?

– Może. Ale Holck nie żył, kiedy taśma wypłynęła. – Złośliwy uśmieszek. – Wtedy już nie za bardzo mu szkodziła, prawda?

– Erik...

– Mieszkanie partii stało nietknięte ponad tydzień? Zgadza się?

– Chyba tak. Ja prowadzę kampanię wyborczą. Nie wynajem pokojów.

Salin spojrzał zdumiony.

– Prowadzi pan partię liberalną, prawda? W tym czasie odbyło się mnóstwo spotkań. I żadne w mieszkaniu. Nie wydaje się to panu dziwne?

– Nie. Spotykamy się tutaj, w siedzibie sztabu wyborczego.

– Pewnie tak. – Salin uśmiechnął się do niego. – Przepraszam, że męczę pana tym wszystkim. Nowy wydawca. Ciśnienie, te rzeczy.

– Wie pan, Eriku, że policja oczyściła mnie z wszelkich podejrzeń?

– Wiem o tym. Ale muszę pytać. Co z pańskim personelem? Z plotkami na temat Rie Skovgaard?

Hartmann milczał.

– Musiał je pan słyszeć. Krążą wszędzie. Podobno informacje o Stokkem zdobyła, rozkładając nogi przed rzecznikiem Bremera.

Wziął jedną z gazet, znalazł zdjęcie Bressaua z Bremerem. Położył je przed Hartmannem.

– Trudno mu się dziwić. Skovgaard jest dość atrakcyjna... – Podrapał się po łysej głowie.

– Dość.

Salin uśmiechał się szeroko.

– Podobno zabrała go do hotelu na tę noc, gdy wypuścili pana z więzienia. Pogadali sobie w łóżku. W zamian wyświadczył jej przysługę. Jeśli to prawda, Bressau jest skończony, oczywiście. Pewnie musimy jeszcze poczekać. Ludzie zawsze mówią, że ja pracuję w gównianym interesie. Ale pański niewiele się różni, prawda?

Hartmann zastanawiał się nad czymś głęboko.

– Ja wiem – rzekł w końcu – że wam się zdaje, że moje życie prywatne należy do was. Ale jeśli posuwacie się do grzebania w życiu mojego personelu, to za dużo.

Wstał.

– Nie chcę pana tu więcej widzieć.

Salin zgarnął notes i długopis.

– Pan jest osobą publiczną, Troels. Musi pan sobie uświadamiać, że jest na widelcu. – Znowu ten fałszywy uśmiech. – Ludzie mają prawo wiedzieć, na kogo głosują. Tak naprawdę. Nie na ładną twarz na plakatach. Nie na te gówna, które pan puszcza w reklamach.

– Dobranoc.

– Ale jeśli ona jest zdolna posunąć się tak daleko dla swojego mężczyzny, to musi się pan zastanowić. – Erik Salin podszedł blisko do Hartmanna i spojrzał mu w oczy. – Co jeszcze zrobi? A pan oskarża Bremera o utrudnianie śledztwa. Trochę to zabawne, nie sądzi pan?

– Nie ma gdzieś wakatu w kolumnie plotkarskiej, Eriku? Bardziej by panu pasowała.

– Auć! Zabolalo. – Trącił Hartmanna pod zebra. – Żartowałem. Będę musiał do pana wrócić, Troels. I będę miał więcej pytań. Nie pozbędzie się mnie pan.

– Eriku...

– Nie zatuszuje pan tej sprawy, nie rozmawiając ze mną. To mogę obiecać.

Vagn Skærbæk siedział w pokoju Lund i żądał adwokata.

– Nikt panu nie stawia zarzutów – tłumaczył Meyer. – Chcemy tylko wiedzieć, co Leon Frevert robił w pobliżu pańskiego mieszkania.

Czerwony kombinezon, czarna czapeczka. Można by odnieść wrażenie, że nigdy ich nie zdejmował.

– Więc już nie jestem podejrzany?

– Gdzie może przebywać Frevert?

– To przeprosiny? Jezu. Wy to...

Lund spojrzała na niego.

– Chce pan, żebyśmy się dowiedzieli, co się wydarzyło, prawda, Vagn? Należy pan do rodziny.

– Leon odwoził mi kluczyki do ciężarówki. Miał robotę. Jutro nie pracuje. Do mnie ma bliżej niż do firmy. Miał mi je wrzucić do mieszkania przez skrzynkę.

Lund coś zapisała.

Meyer wstał od biurka, popatrzyć na jedyne zdjęcie Freverta, jakie mieli. Nie najlepsze.

– Jak dobrze pan go zna?

Skærbæk się skrzywił.

– Leon od lat kręci się przy przeprowadzkach. – Zdjął czarną czapeczkę.

– Gdyby był odrobinę solidniejszy, dalibyśmy mu stałą posadę. Ale ja nie wiem. Z tym facetem nie da się zaprzyjaźnić. Zawsze coś było...

Urwał.

– Co było? – zachęciła Lund.

– Przez jakiś czas był żonaty. Kiedy to się rozpadło, trochę zdziwaczał. Myślicie, że ja jestem samotny? Ja to pikuś. Leon... – Zmarszczył czoło. – Zdecydowanie.

– Jak pan myśli, dokąd on mógł pojechać?

– Bóg raczy wiedzieć.

– Pracował dla was, gdy zaginęła Nanna? – spytała.

Skærbæk bawił się czapeczką, milczał.

– Tak? – ponaglił Meyer.

– Wydaje mi się, że nie było go kilka tygodni. Nie mam w głowie listy. Zawsze dużo pracował latem.

– Jak dostał tę pracę?

– Przeze mnie. Jak potrzebujemy ludzi, korzystamy z takiej agencji pracy tymczasowej. On chciał sobie dorobić na czarno.

– Kiedy go pan poznał?

Skærbæk patrzył na nią świdrującymi, ciemnymi oczami.

– U Aagego Lonstrupa. Jak tam pracowałem, on się najmował dorywczo.

Lund opadła na oparcie i zastanowiła się.

– Mówi pan, że dwadzieścia lat temu Leon Frevert pracował w Merkurym?

Z twarzy Skærbæka niczego nie dało się wyczytać.

– On to zrobił?

Nie odpowiedziała.

– Tragarze poznają w pracy mnóstwo pustych budynków i magazynów. – Lund podała mu notes i długopis, położyła je obok radiowozika Meyera. – Proszę mi wypisać wszystkie miejsca, które Frevert mógł poznać w pracy.

Roześmiał się.

– Wszystkie? Pani żartuje. No bo wie pani... to są miliony adresów.

– Śmiało – zachęcił go Meyer. – Jak już pan skończy, może pan iść.

Skærbæk kiwnął głową.

– Więc... – głos mu się załamał – ja sprowadziłem tego drania do jej domu?

Zamknął oczy i jęknął.

– Vagn... – zaczął Meyer.

Oskarżycielsko wymierzył w nich palec.

– Przez was Theis i Pernille myślą, że zabiłem Nannę. Teraz muszę do nich wrócić i powiedzieć im, że... że może... – I gniew, i głos straciły na sile. – Może rzeczywiście, w jakiś sposób.

Lund mu się przyglądała.

– Proszę wypisać te adresy – powtórzyła.

Słuchała, jak Meyer w pokoju odpraw wydaje polecenia nocnej zmianie. Obok planu miasta na ścianie wisały nowe zdjęcia Freverta, zdjęcia Nanny i Mette Hauge, kilku innych kobiet z akt osób zaginionych.

Wszystkie standardowe procedury. Zbadać poczynania Freverta przez minione dwadzieścia lat. Wyśledzić dziewczyny, była żoną, kolegów z pracy, sąsiadów. Personel nieistniejącego już Merkurego. Coś, co może go wiązać z Mette Hauge.

– Chcę wiedzieć, dokąd pojechał, gdy wysadził Nannę – mówił Meyer. – Sprawdźmy jego billingi. Każdą rozmowę z tamtego weekendu. Jasne?

Lund patrzyła, jak wychodzą. W jej pokoju stanął Svendsen. Nie patrzył na nią.

Miał torebkę dowodową i teczki starych spraw.

– O co chodzi? – spytała Lund, zmuszając go, by skierował na nią wzrok.

– Znalazłem magazyn, który kiedyś Merkury wynajmował. Urząd Skarbowy zajął wszystko na poczet niezapłaconych podatków. Sam szmelc, więc nigdy się nie zabrali za sprzedawanie tych skonfiskowanych przedmiotów. Wydaje mi się, że tam mogłyby być rzeczy Mette. Dostałem od komorników kartę i klucze. Jeśli tam coś jeszcze jest...

– Dobrze – powiedziała Lund.

Svendsen spojrział na nią.

– Dobrze – powtórzyła.

Meyer odprowadził go wzrokiem.

– Ty nie byłaś nigdy na kursie pracy zespołowej, co, Lund?

– Zależy od zespołu. Znalezione ciało to Mette Hauge. Ile ich tam jeszcze jest?

– Już i tak mamy dużo na głowie. Nie ma czasu szukać następnych. Ją też związał?

– Kiedy Mette związano, dawno już nie żyła. Pęknięcie czaszki, złamany obojczyk, przedramię, kość udowa i ramieniowa.

Spojrział na leżące przed nią zdjęcia.

– Nie żartowałem, co?

– Co przeoczyliśmy, Meyer? Nanna była przetrzymywana przez weekend. Wielokrotnie gwałcona. Wrzucona żywcem do bagażnika samochodu. Utopiona. Mette zatłuczono na śmierć, zawinięto w plastikową płachtę, obklejono taśmą Merkurego i wrzucono do wody.

Na biurku leżało więcej informacji na temat Mette Hauge. Miała na sobie podartą bawełnianą sukienkę, nie miała natomiast stanika ani majtek.

– Podobno chodziła na zajęcia z samoobrony. Dżudo. Była wysportowaną, umięśnioną dziewczyną.

– Broniłaby się – przyznała Lund. – Gdyby ktoś ją zaatakował. Walczyłaby o życie, i to pewnie zażarcie. Jakim cudem te sprawy mogą być takie same, a jednocześnie takie różne?

– Chcesz powiedzieć, że to nie jest nasz gość?

– Nie wiem, co chcę powiedzieć. Może on żył z Mette w jakimś związku. I coś się stało. On się wściekł. Sprawa z Nanną była inna.

Wzięła torebkę z przepustką i kluczami do magazynu.

– Jeśli to się jakoś wiąże, to znajdziemy coś w jej rzeczach.

– Jutro – powiedział Meyer.

– Nie. Teraz.

Meyer sięgnął po kurtkę.

– Słuchaj, Lund. Może ty nie masz życia, ale ja i owszem. Moja najmłodsza córka ma infekcję ucha. Obiecałem, że będę w domu.

– Świetnie. Opowiem ci wszystko rano.

– No na miłość boską. Nie możesz iść tam sama.

Czytała akta.

– Dobra. – Meyer walnął dłonią w dokumenty, które przeglądała. – Dość tego. Czas na chwilę szczerzej rozmowy. – Lund. Przyglądam ci się od dwóch tygodni. Ty się rozpadasz.

Spojrzała na niego.

Meyer skrzyżował ramiona na piersi.

– Mówię ci to jako twój przyjaciel. Musisz spać. Musisz choć na chwilę przestać myśleć o tej sprawie. Odwiozę cię teraz do domu. Bez dyskusji. Żadnych...

Uśmiechnęła się, poklepała go po klatce piersiowej, wzięła kurtkę i wyszła na korytarz.

Usłyszała za sobą kroki. Nie obejrzała się.

– Lepiej, żeby to nie potrwało długo – zawołał Meyer.

Ona prowadziła. Magazyn znajdował się w opuszczonej części portu. Na zewnątrz dwie świetlówki.

Meyer odebrał telefon z domu. Przepraszał. Czule rozmawiał z córeczką.

– Biedactwo. Bardzo boli?

– Skoro to infekcja ucha... – rzuciła Lund lekko.

Wysiadła z samochodu, rozejrzała się, nie zamknęła drzwi. Meyer nie wysiadł.

– Zajadę do apteki po drodze. Nie wrócę późno, obiecuję. Zaczekaj chwilę...

Lund stała już przy drzwiach. Był tu zamek na kartę.

– Hej! – krzyknął Meyer. – Szanse na to, że to ustrojstwo działa, są mniejsze niż moje na tron Piotrowy. Możesz poczekać?

Wsadziła kartę do czytnika i usłyszała, jak zamek się odblokowuje. Otworzyła drzwi. Odwróciła się, machnęła mu kartą i weszła.

Meyer krzyczał na nią.

– Lund! Do cholery jasnej! Lund!

Słyszała jeszcze, jak mówi głosem bardziej współczującym niż wściekłym:

– Przepraszam, kochanie. Ona w tej chwili bardzo świruje. Muszę pilnować...

Czerwone metalowe drzwi wisiały na potężnej sprężynie. Zatrzasnęły się za nią, a huk stali niósł się daleko w ciemność.

Theis Birk Larsen odmówił rozmowy z dwoma policjantami, którzy przyszli i zażądali dostępu do dokumentów firmy. Pernille była mniej powściągliwa. Stała z nimi w biurze i odpowiadała na pytania. Zadawała własne.

Oni pytali o personel i daty.

– Oczywiście, że notujemy, kto przychodzi do roboty.

Policjanci przeglądali kalendarze, dzienniki pracy, księgi rachunkowe. Nie prosili o żadne pozwolenie.

– O co chodzi? Czego szukacie?

Jeden z nich znalazł księgę rachunkową i zaczął ją wertować.

– Chcemy wiedzieć, kiedy pracował tu Leon Frevert.

– Czemu?

Nie odpowiedział.

– To jest nasza księgowość. Nasza osobista. Nie ma nic wspólnego...

– Mamy nakaz. Weźmiemy, co będziemy chcieli.

– To nasza księgowość!

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Wszystko idzie przez księgi? Współpracujemy ze skarbowką, proszę pani. Możemy to przekazać...

– Czego chcecie?

– Szukam listy osób, które tu pracowały, oraz informacji, kiedy. Każdego dnia w minionym roku.

Podeszła do szafki na akta. Wyjęła, co chcieli. Rzuciła to na biurko.

– Proszę bardzo – powiedziała i poszła na górę.

Theis zmywał przy zlewie. Na parapecie umierały bazylia i pietruszka. Nie podlewała ich. Wyleciało jej to z głowy.

Pernille stanęła obok niego.

– Szukają Leona Freverta. Pytają, gdzie bywa. Jak długo dla nas pracuje.
Chcą...

– Nie ma sensu się w to angażować – przerwał jej wściekle.

– Tak, ale...

– Nie ma sensu! Codziennie wskazują kogoś innego! Dzisiaj rano Vagna.

Jutro pewnie mnie...

– Theis...

– Nie mogę uwierzyć, że zrobiliśmy to Vagnowi. Że daliśmy się wkręcić.

– Theis...

– Gdyby nie Vagn, nie mielibyśmy tego mieszkania. Gdyby nie Vagn...

Głos mu uwiązł w gardle.

– Może powinieneś do niego zadzwonić.

– Próbowałem. Nie odbiera.

Z mroku dobiegł cichutki, przerażony głos:

– Coś się stało z wujkiem Vagnem? – Anton wyszedł w niebieskiej piżamce, siadł na schodku i patrzył na nich rozbudzony. – Znowu tu była policja, tatusiu?

– Tak... Coś zgubiłem, a oni mi to odnieśli.

Skrzyżowane ramionka, jasna twarz. Zawsze pierwszy do pytań.

– Co zgubiłeś?

Theis Birk Larsen spojrzał na żonę.

– No, to miała być w sumie niespodzianka. Ale... – Wyciągnął z kieszeni klucze. – To. Przeprowadzamy się. Mamy dom.

Pernille uśmiechnęła się do Theisa, do Antona.

– Będziesz miał swój pokój – powiedziała. – Latem będziemy sobie siedzieć na dworze. I w ogródku ustawimy ślizgawkę.

Chłopiec wstał, skrzywiony.

– Mnie się tu podoba.

– Tam ci się bardziej spodoba.

– Mnie się tu podoba.

– Tam ci się bardziej spodoba.

Ostry ton w głosie ojca uciszył chłopca.

– Wracaj do łóżka, Anton – polecił i dziecko odmaszerowało.

Lund na piątym piętrze myszkowała po powierzchni magazynowej, gdy zadzwonił Meyer.

– Co ty tam wyrabiasz, do cholery?

– Znalazłam właśnie piętro, na którym są rzeczy Merkurego.

Budynku nadal regularnie używano. Światła działały. Posadzka była zamieciona. Każde piętro zajmowała inna firma. Wszystko przechowywano za drzwiami z płyty wiórowej.

– Powiedziałaś, że to nie potrwa długo.

Klucz, który znalazł Svendsen, miał numer 555 nabazgrany ołówkiem na przywieszce. Lund spojrzała na najbliższe drzwi. 530.

– Zdajesz sobie sprawę, że zatrzasnęłaś za sobą drzwi? Nie mogę się dostać do środka.

Był zaniepokojony. Niemal rozgorączkowany.

– Zejdę za chwilę. Co robisz?

– W tej chwili? Odlewam się. Sama zapytałaś.

Meyer skończył sikać do wody przy nabrzeżu. Raz jeszcze zadzwonił do domu. Raz jeszcze został objechany.

– Mówiłem ci. Ona ma nie po kolei w głowie. Nie mogę jej zostawić samej. – Wysłuchał listy narzekań. – Nie mogę jej zostawić! Wiesz dlaczego.

Kobiety, pomyślał po zdawkowym, gniewnym pożegnaniu.

Spojrzał na budynek. Nie była to taka ruina, jakiej się spodziewał. Wszędzie graffiti. Sądząc po zapachu, niektórzy nie zadawali sobie trudu, by sikać do wody, i lali na ściany. Ale na każdym piętrze świeciły się blade lampy, dostępu zaś broniły dobre, mocne drzwi. Na zewnątrz nie widział kamer monitoringu. Tylko...

Wyciągnął latarkę z kieszeni anoraka, poświecił po szarej cementowej fasadzie.

Po prawej coś zamigotało. Podszedł bliżej i stwierdził, że depcze po tłuczonym szkle.

Przyjrzał mu się.

Świeże.

Poświecił latarką na okno powyżej.

Wybite.

Pod ścianę podsunęto śmietnik. Dzięki temu ktoś mógł wejść do środka.

Odsunął się i poświecił latarką wyżej.

– O, cholera.

Posuwała się dalej, aż dotarła do drzwi o numerze 555. Ta sama płyta wiórowa. I ten sam mechanizm zamykający. Rygiel z kłódką.

Wyrwany.

Lund nie miała przy sobie rękawiczek. Naciągnęła więc na dłoń rękaw, aż wełna zakryła jej palce, i powoli pchnęła drzwi.

Za nimi znalazła pomieszczenie w dużej części puste. To, co w nim przechowywano, leżało w głębi.

Kartony, jak te w garażu Birk Larsena. Ale te oklejono białą taśmą z niebieskimi literami. Układającymi się w nazwę Merkury ze skrzydełkiem po lewej. Tą samą taśmą, którą oklejono Mette Hauge.

Same graty.

Zadzwoił telefon.

Spojrzała na wyświetlacz.

– Powiedziała, że chwila, Meyer. Moja chwila, jasne?

– Od frontu jest wybite okno. Ktoś tam był.

– To pasuje. W boksie z rzeczami Hauge są wyważone drzwi.

– Na którym piętrze jesteś?

– Szóstym, ostatnim.

Cisza.

– Dobra – powiedział Meyer. – Widzę twoją latarkę. Jesteś przy oknie.

Lund wsadziła rękę do kieszeni, myśląc gorączkowo.

– Jakim oknie? Nie używam latarki.

Znowu cisza.

– Nie ruszaj się z miejsca, Lund. Nie jesteś sama. Idę do ciebie.

Przeszła w róg zimnego, suchego pomieszczenia. Stała w ciemnościach. Przełączyła telefon na wibracje, bez dzwonka.

Ktoś tam był. Słyszała jego kroki. Chodził w tę i z powrotem. Szukał.

Coś srebrnego zamigotało w najbliższym kartonie. Lund zajrzała. Ciężki metalowy świecznik. Wyjęła go i wróciła na korytarz. Spojrzała w prawo, w lewo, na blade lampy bezpieczeństwa, i poszła przed siebie, widząc tylko beton, płytę wiórową i pył.

Jan Meyer biegł do samochodu Lund, przeklinając Brixa, który odebrał mu broń. Przetrzęsął paczki nicotinel i chusteczek w schowku, aż znalazł glocka.

Pełny magazynek. Na rękojeści guma do żucia.

Położył glocka na dachu, podłączył zestaw słuchawkowy i zadzwonił do niej ponownie.

– Lund, jesteś tam?

– Tak – odpowiedziała szeptem.

– Dobrze. Idę.

Wszedł przez wybite okno, w środku delikatnie opuścił się na podłogę.
Żółte drzwi z płyty wiórowej. Betonowa posadzka. Nic.

Zadzwoił.

– Lund? Słyszysz mnie? Halo?

Cisza.

– Lund!

Hałas. Oporny mechaniczny jęk. Przesuwające się liny, obracające kółka.

Głos w uchu.

– Cholera!

– Lund!

– Meyer. On wsiadł do windy i jedzie na dół. Jestem na schodach.

Winda!

Brzmiało to tak, jakby zardzewiały stalowy stwór budził się z długiego snu. Meyer szedł betonowym korytarzem. Znalazł windę. Guziki na ścianie. Harmonijkowe drzwi. Za nimi opadające i wznoszące się liny.

Wyjął glocka. Oparł się o ścianę.

– Jestem przy windzie – powiedział.

Słyszał kroki na schodach. Szybkie i nerwowe. Tonęły w coraz głośniejszych piskach osuwającej się klatki.

Światło. Brzęk. Winda zatrzymała się przy nim.

Broń do przodu. Czekał, aż drzwi się przesuną. Drgną.

Nic.

Czekał.

Nic.

Lufa wymierzona, minął róg, celując prosto przed siebie.

Nic, tylko pusta kabina, jedna goła żarówka na suficie.

Meyer się rozejrzył, pusto.

Zgłupiał.

– Winda jest pusta – zameldował.

Kroki pędzące w dół. Coraz bliżej.

– Idę do ciebie.

– Jego tu chyba nie ma.

Słyszał w jej głosie przerażenie.

– Zszedł na dół. Jest u ciebie...

– Idę...

Podszedł do schodów. Drzwi z płyty wiórowej wyskoczyły mu na spotkanie.

Drewno walnęło go w twarz, ciężki stalowy rygiel z kłódką w brzuch.

Krzyk. Wrzask. Jego?

Meyer leżał na podłodze, oszołomiony i zdjęty bólem.

Wściekły. I jeszcze bluzgał.

Palcami szukał broni.

Zgubionej broni.

Przetoczył się na plecy. Jęknął. Podniósł wzrok. Zobaczył czarnego glocka.

Oczy otworzyły mu się szeroko.

Ryk potężny jak cały świat. Błysk.

Odrzuciła go siła strzału, poczuł, jak ostry ból przeszywa całe jego ciało. Zamarł na zimnej podłodze, nie mógł się ruszyć. Znowu zobaczył nad sobą glocka.

Powiedział...

Nic.

Bo co miał powiedzieć?

Pomyślał o swojej córeczce płaczącej w domu. O żonie i jej ostatnich wściekłych słowach.

Drugi ryk był głośniejszy i po nim nie zostało już nic, tylko krew i ból.

I jedno słowo. Wypowiedział je głosem, który zamarł, nim wydobył się z jego ust.

– Sara... – powiedział Meyer. I to było wszystko.

Lund zbiegła ze schodów, potykając się, krzycząc, myśląc, choć nie myśląc, macając przed sobą w mroku.

Piętra straciły numery. Kiedy dopadła ostatniego, ciągle biegła, dalej, dalej, jakby były następne. Jakby zimna, sucha klatka schodowa prowadziła gdzieś w nieskończoność.

Ale nie prowadziła. Lund dotarła na miejsce. Od Meyera dzieliło ją tylko kilka kroków. Nieruchomy kształt na ziemi. Odgłosy. Ktoś biegł.

Lund uklękła przy koledze.

Oddychał. Dyszał. Krew wypływała mu z gardła. Z klatki piersiowej.

– Jan. Jan. Spójrz na mnie.

Dotknęła dłonią jego twarzy. Ciepła czerwona krew.

Klatka piersiowa, pomyślała.

Rozdarła koszulkę. Zobaczyła ciało. Zobaczyła ziejącą ranę.

Zakrwawionymi palcami chwyciła telefon.

Zadzwoiła.

Na zewnątrz jakiś samochód nabierał prędkości.

Czekała.

Czekała.

Czekała.

Karetka. Światła, syreny, dźwięki.

Już są. Ratownicy w zielonych strojach, krzyczą, pracują, machają rękami, odpychają ją.

Zakładają mu maskę na twarz.

Krzyki.

– Więcej płynu.

Pikanie maszyn. Pisk opon. Świat wchodzi w ostry wiraż.

– Niska saturacja. Szybki puls.

Przewód na ramieniu. Wielkie oczy szeroko otwarte i przerażone.

Lund siedziała na ławce i patrzyła, przez łyż.

– Tracimy go – ktoś powiedział. – Migotanie!

– Wentyluj. Więcej płynu.

Meyer kołysał się i drgał, przewody całe we krwi.

– Dobra. Ładowanie.

Maszyna na ścianie.

– Odsunąć się!

Meyer podskoczył.

– Jeszcze raz.

Meyer podskoczył.

Ręce na klatce piersiowej. Masaż.

Słowa w jej głowie.

– Przeżyje? Przeżyje?

Nikt nie słuchał.

Godzinę później siedziała na ławce na korytarzu, blisko sali operacyjnej.
Ciągle oblepiona jego krwią. Ciągle pogubiona w tym, co się stało.

Rozstaje dróg. Dokonane wybory.

Gdyby puściła go do domu, do dziecka z bolącym uchem.

Gdyby weszli razem, jak mówi każdy regulamin.

Gdyby...

Szybkim krokiem podszedł do niej Brix. Smoking. Biała muszka.
Wymyślna frakowa koszula.

– Przyjechałem jak najszybciej – powiedział.

Na korytarzu mężczyźni w zielonych strojach rozmawiali szeptem przez maski.

– Coś wiadomo? – spytał Brix.

Na salę operacyjną wbiegła pielęgniarka z plastikową torbą płynu.

– Operują.

Patrzyła, jak ludzie wchodzą i wychodzą przez drzwi wahadłowe. Zastanawiała się, co myślą.

– Co robiliście w magazynie?

– Co?

Powtórzył pytanie.

– Myśleliśmy, że znajdziemy jakiś dowód w rzeczach Mette Hauge. Nie my jedni na to wpadliśmy.

– Zostaw to mnie – polecił Brix. – I tym razem rzeczywiście zrób, co mówię.

Szła ku nim żona Meyera, Hanne. Nieruchoma twarz, trupio blada. Pospiesznie związane blond włosy. Jakby ogłuszona.

– Gdzie on jest? – spytała.

– W sali operacyjnej – powiedziała Lund. – Zaprowadzę panią do biura.

– Nie.

Brix spojrzał na nią groźnie.

Wysoki mężczyzna, pełen godności w swoim stroju wieczorowym.

Od tego właśnie byli. Takie chwile należały do nich.

Objął ramieniem Hanne Meyer, odprowadził ją korytarzem do pokoju obok sali operacyjnej.

Lund stała sama i patrzyła na nich.

Stała i nie ruszała się. Nie mogła się ruszyć.

11_

**ŚRODA_
19 LISTOPADA_**

Siódma trzydzieści. Mglisty poranek. Korki na wilgotnych ulicach miasta. Hartmann i Bremer starli się w radiowej debacie nadawanej na żywo ze studia radiowego niedaleko zamku Christianborg. Ponościły ich nerwy.

Zaczęli od ochrony środowiska i odbudowy przemysłu. Hartmann forsował swoje zielone sympatie.

– Musimy uczynić miasto atrakcyjnym dla firm przyjaznych środowisku...

– Nie możesz dogadzać przemysłowi ze względu na dobro środowiska – przerwał mu Bremer.

Był zmęczony i zrzędlawy. Hartmann za to posłuchał rad Rie Skovgaard. Zagrywał urokiem osobistym. Nowe młode oblicze kopenhaskiej polityki. Łagodne, wsłuchane w potrzeby zwykłych ludzi, sensowne, troskliwe.

– Nikt nie mówi o dogadzaniu...

– A co was łączy? – włączyła się prowadząca. – Tak czy inaczej po wyborach będziecie musieli pracować razem. Jak wam to wychodzi teraz?

– Ja mogę pracować z każdym – zadeklarował Bremer. – Pozostaje kwestia wiarygodności Hartmanna.

– Wbijasz szpile, Poul. Rozmawiamy o środowisku.

– Nie, nie, nie. Wszystko się ciągle kręci wokół sprawy morderstwa. Na niektóre pytania nadal nie znamy odpowiedzi...

Hartmann uśmiechnął się do kobiety prowadzącej audycję.

– Przerabialiśmy to już milion razy. Zostałem oczyszczony z podejrzeń. Moi ludzie zostali oczyszczeni z podejrzeń. Sama policja powiedziała...

– Wiarygodność. To jest sedno sprawy – upierał się Bremer. – Jak mam pracować z człowiekiem, co do którego wciąż mamy tyle wątpliwości?

Hartmann wzruszył ramionami, patrzył na prowadzącą.

– Bardzo mi przykro, że wykorzystujesz tę tragedię dla celów politycznych. W tej chwili dobry oficer policji leży w szpitalu, w ciężkim stanie. To nie jest moment...

– Przez ciebie do tego doszło. Nie przeze mnie. Z tego, co słyszałem, ten policjant nie należał do twoich najgorętszych zwolenników...

Zegar na ścianie. Sunąca miarowo wskazówka sekundowa. Hartmann odmierzał czas.

– Będziemy pracować ze wszystkimi – przerwał – którzy wykażą dobrą wolę i oddanie interesowi społecznemu. To wyklucza pana burmistrza i jego partię. Nie mówię tego z przyjemnością, ale jestem pewien, że słuchacze, którzy byli świadkami tego dziwnego wybuchu, zrozumieją.

– Nie...!

– Dziękuję – powiedziała prowadząca. – Nasz czas się skończył. A teraz...

Zaczęły się wiadomości. Poul Bremer wstał i ze sztucznym uśmiechem zaczął rozdawać uściski dłoni. Potem wyszedł.

Rie Skovgaard wyglądała na zadowoloną.

Hartmann słuchał wiadomości. Meyer leżał po operacji na oddziale intensywnej terapii, nie odzyskał przytomności.

W szybę studia ktoś zastukał. Erik Salin. Odciął mu drogę do wyjścia. Poul Bremer musiał go minąć, bo innej drogi nie było. Hartmann nawet nie zwolnił.

– Ma pan chwilę, Troels? – spytał Salin, doganiając go.

– Wczoraj poświęciłem panu niejedną.

Kierował się do wyjścia, na następne spotkanie, następny wywiad.

– Pytałem o kopertę, w której była taśma z monitoringu. Takich samych używa pańskie biuro.

Hartmann stanął i uniósł brew.

– Wziąłem sobie, jak byłem wczoraj.

– Naprawdę, Eriku? I ta koperta zapewni panu Nagrodę Pulitzera?

Salin uśmiechał się promiennie.

– Niezły pan jest. Muszę to przyznać.

Hartmann skręcił do toalety.

– Ej – zawołał za nim Salin. – Mogę wejść, prawda? Dla pracy wszystko, co?

– Niech pan przestanie marnować czas.

Dziennikarz wszedł za Hartmannem.

– Rozmawiałem z ludźmi w pańskim sztabie wyborczym. Pracowali tak intensywnie, że musieli wynajmować sale na spotkania.

Hartmann odlał się i wpatrzył w białe kafle.

– To takie pasjonujące?

– No, moim zdaniem tak. Po co marnować pieniądze na wynajem, skoro stoi puste mieszkanie? W takich ciężkich czasach?

Hartmann umył ręce, spojrział na twarz w lustrze.

– Pańska obsesja na punkcie szczegółów jest doprawdy imponująca.

– Diabeł tkwi w szczegółach, jak mówią. I to jaki diabeł. Bierze pańską taśmę. Trzyma ją jakiś czas, chociaż...

Przerwał i czekał, aż Hartmann się odwróci i spojrzy na niego.

– Chociaż ona poniekąd oczyszcza pana z podejrzeń. Potem wsadza ją do jednej z waszych kopert i zanoszą na policję. I przez ponad tydzień pilnuje, żeby nikt, żywa dusza, nie zaszedł do mieszkania, w którym Nanna była tuż przed śmiercią. Pewnie by pilnował dłużej, gdyby policja mu w tym nie przeszkodziła. – Salin uśmiechał się promiennie do odbicia w lustrze Hartmanna. – Pan jest bystry, Troels. Widzi pan, że coś tu śmierdzi. Pan ma to na butach. Nie Poul Bremer.

Hartmann wrócił na schody, gdzie czekała Rie Skovgaard.

– Więc nawet jeśli pan tego nie zrobił – Salin truchtał za nim uparcie – ktoś blisko pana myśli, że owszem, pan. Wierzy w to tak mocno, że chce pana kryć. Jeśli pańscy ludzie panu nie ufają, jeśli uważają, że jest pan zdolny do morderstwa, to dlaczego, do diabła...?

Hartmann przystanął, chwycił go za kołnierz granatowej kurtki i przyparł do szklanej ściany studia. Skovgaard jęczała mu za plecami.

– Wydrukuj z tego choćby tylko jedno słowo, gnido, a zamienię twoje życie w piekło.

Był większy od Salina. Nie uderzył nikogo, odkąd był studentem. Ale teraz niewiele brakowało.

– Troels! – krzyknęła Skovgaard, ciągnąc go za ramię.

– Śmiało. – Salin wpatrywał się w zwiniętą pięść i szczyrzył się Hartmannowi w twarz. – Zrób pan to. Pański doradca polityczny pieprzy się z opozycją, żeby zdobyć panu tajne dokumenty. Ma pan blisko kogoś, kto myśli, że zgwałcił pan i zamordował nastolatkę. Jak się czuje dzisiaj nasz Pan Proper? Zaczyna rozumieć, ile go dzieli od upadku?

Rie zdołała zatrzymać ramię Hartmanna, zanim zadał cios. Trzymała ją całą swoją kruchą siłą.

Podnosząc rękę, uśmiechając się jak po wygranej walce, Eric Salin dodał jeszcze:

– To są tylko pytania, Troels. Nic poza tym. Pan jest politykiem. Powinien pan sobie z nimi poradzić.

Hartmann zelżył go jeszcze i wypadł z budynku.

Skovgaard została. Stała przed reporterem, wściekła jak cholera.

– Kto, do cholery, pana napuścił? Chociaż to jasne, głupio pytam.

– Opinia publiczna ma prawo wiedzieć.

– Ma prawo znać prawdę. Nie przelewaj na papier ani jednego słowa z tych bzdur, Eriku. Albo wrócisz do robienia zdjęć przez zasłony sypialni.

Salin cmoknął językiem.

– Oj, oj, oj. Ale boli.

– Wiem, skąd jesteś, szurnięty krwiopijco.

– Nawzajem. – Uśmieszek. – Pani stosunki z mediami szwankują, Rie. To zaskakujące. Phillip Bressau jest taki złotousty i sprawny. Można by pomyśleć, że lepiej panią... jakby to powiedzieć... przećwiczył.

Skovgaard zabrakło słów i cieszyła się, że Hartmann odszedł. Stała przed Erikiem Salinem, trzęsąc się z wściekłości.

– Czy to też źle zrozumiałem? – spytał.

Lund spała w szpitalu. O ósmej następnego ranka kupiła coś do jedzenia i wzięła tacę na oddział. Hanne Meyer siedziała w tym samym miejscu, co wieczorem. Wyglądała dziesięć lat starzej.

– Zje pani ze mną?

– Wczoraj wieczorem bawiły się magicznym pisakami. – Lund spojrzała na dłonie Hanne. Pokryte były niebiesko-czerwonymi bazgrołami. Czerwone ręce. Krwawe palce. Nie mogła się pozbyć tych obrazów. – Rysują, żeby rozweselić siostrę. Ma zapalenie ucha.

Głos jej się załamywał. Jeden krok dzielił ją od szlochu.

– Jan mi mówił. Ile lat ma Marie?

– Najmłodsza to Neel. Marie jest średnia.

– Więc...

Lund próbowała sobie przypomnieć imiona. Tyle razy je słyszała.

– Najstarsza jest Ellie?

– Ella. Ma siedem lat.

Lund pomyślała o Marku. Co robił. Co o niej myślał.

– Powie mi pani, co się stało?

– On czekał w samochodzie, a ja weszłam do środka. A potem...

Nie była już tak pewna siebie. Noc... krew... poczucie winy... Coś jej się mieszało w głowie.

– Zorientował się, że ktoś jest w środku.

Hanne Meyer zaczęła osuszać oczy zmiętą chusteczką. Lund pomyślała, że mogłaby objąć ją ramieniem. Ale nie objęła.

W drzwiach pojawił się chirurg. Zielony strój, czepek, zsunięta z ust maska.

Żona Meyera zerwała się na nogi.

Lekarz wydawał polecenia pielęgniarce.

Miał zdjęcie rentgenowskie. Przyłożył je do ekranu świetlnego przy drzwiach.

Podeszły i patrzyły.

– Operacja się udała, ale stracił dużo krwi. Proszę spojrzeć...

Kości i tkanki, rozdarcia, ciemne linie.

– Pierwsza kula przeszła go na wylot. Druga była wycelowana w serce. Ale miał zapalniczkę...

Metalowa. Błyszcząca. Lund nienawidziła tej zippo.

– I to w nią uderzyła kula. Zapalniczka zmieniła kierunek lotu. Pocisk przebił lewe płuco. Są inne uszkodzenia...

Żona wskazała zdjęcie. Kości i tkanki i rozdarcia.

– Czy on będzie żył?

Lekarz spojrzał na rentgen. Lund zamknęła oczy.

– Powinien. Jeszcze nie odzyskał przytomności. Będziemy musieli obserwować, co się dzieje. To jeszcze nie koniec...

Hanne Meyer go uściskała, łzy spływały po jej policzkach.

Lund czuła się niezręcznie. Jak intruz.

Chirurg wyjął coś z kieszeni. Srebrną zapalniczkę. Wgniecioną, poharataną.

– To dla pani. Proszę mu powiedzieć, że jeśli po tych wszystkich przejściach zacznie palić, to będzie miał ze mną do czynienia.

Wzięła ją, płacząc i śmiejąc się jednocześnie.

– Może go pani teraz zobaczyć.

Hanne Meyer niemal pobiegła do sali.

Lund podążyła za chirurgiem, który ruszył korytarzem.

– Powiedział coś?

– Mówiłem już. Odkąd tu trafił, jest cały czas nieprzytomny.

– Kiedy będę mogła z nim porozmawiać?

– Kiedy się obudzi.

Skrzyżowała ramiona.

Na jego twarzy pojawił się wyraz jej znany, choć w szpitalach widywała go rzadko.

Unik.

– Co się dzieje? – spytała.

– Odniósł wiele ciężkich obrażeń. Nadal nie wiemy, jak poważnych. Trzeba mieć nadzieję.

– Kiedy?

– Proszę wrócić jutro wieczorem. Wtedy zobaczymy.

Dziwnie się czuła w samochodzie bez niego. W biurze też.

W sąsiednim pomieszczeniu Brix prowadził odprawę. Siedziała sama przez chwilę, po czym weszła i słuchała.

– Mamy szczęście, że Meyer żyje – mówił Brix. – Musimy znaleźć Leona Freverta. Przypuszczam, że jest uzbrojony i niebezpieczny. Nie odpuścimy. Teraz jesteśmy w to zaangażowani osobiście. Jakies pytania?

Nie było.

– Świetnie. A więc do roboty.

Patrzyła, jak wychodzą.

– Ktokolwiek był w tym budynku, wiedział o rzeczach Mette – powiedziała Lund, gdy zostali sami. – Wiedział, że przeszukujemy kanały.

Ciemna koszula rozpięta pod szyją. Już go sobie nie wyobrażała w smokingu. Brix wysyłał jasny komunikat: ja dowodzę, chcę rezultatów.

– Wyznaczyłem do sprawy nowego prowadzącego.

– Dlaczego?

– Jedź do domu. Zostań tam. Będziemy musieli cię przesłuchać.

– Brix. Ja wiem więcej...

– Nie możesz teraz prowadzić tego śledztwa.

– Czemu nie?

Pokręcił głową.

– Żartujesz? Weszłaś do tego budynku sama. Meyer został postrzelony z twojej broni.

– Ja jej przy sobie nie miałam, na miłość boską. Meyer musiał ją wziąć z samochodu.

Skrzywił się.

– Muszę tego słuchać? Wszystko powiesz prowadzącemu postępowanie.

– Musimy znaleźć Leona Freverta!

Cisza. I znowu to twarde, bezwzględne spojrzenie.

– To zostawiamy Niemcom. Samochód Freverta znaleziono w okolicach przeprawy promowej. Zakładamy, że w nocy wypłynął do Hamburga.

– Po co miałyby to robić?

Brix wyszedł z pokoju. Lund podążyła za nim.

– On nie pojechał do Niemiec. Nie ma przy sobie paszportu. Znaleźliśmy go w mieszkaniu. Nie ma pieniędzy. Za wszystko, co miał, kupił wietnamską walutę. Jeśli zamierzał dokądkolwiek uciec...

– To właśnie zrobił.

– Ten, kto postrzelił Meyera, nie jest głupi!

– Zdobył pieniądze, zanim zobaczył gazety, to nie jest oczywiste?

Ruszył do swojego gabinetu. Stała w drzwiach, blokując mu wejście.

– Nie. Nieprawda.

Brix skrzyżował ramiona.

– Daj mi dwie godziny – błagała. – Chcę tylko podzwonić. Jeśli nic nie znajdę, zrobię, co mi każesz.

– Byłby to pierwszy taki wypadek.

Korytarzem pędził Svendsen. W rękę trzymał gazetę.

– Leona Freverta widziano na dworcu Høje Taastrup dwie godziny temu. Mamy zdjęcia z monitoringu. To on. Mundurowy wsiadł za nim, ale ten mu uciekł.

Przedmieścia w zachodniej części miasta. Łatwo dostępne z autostrady. Stamtąd Frevert mógł dotrzeć wszędzie.

– Mamy w pobliżu wozy patrolowe? – spytała Lund.

– Sprawdzę.

– Lund... – zaczął Brix.

– On jest na piechotę – powiedziała do Svendsena. – Będzie potrzebował samochodu. Skontaktuj się z bankami. Nie ma pieniędzy. Obserwuj jego brata.

– Lund! – krzyknął Brix.

Spojrzała na niego. Svendsen też.

– Informujcie mnie na bieżąco – rzekł.

Vagn Skærbæk przyjechał do garażu tuż po ósmej. Czerwony kombinezon miał w torbie. Czarną rybacką czapeczkę zachował.

Wysiadł z ciężarówki, podał kluczyki Theisowi Birk Larsenowi.

– Klucze do garażu, bramy i mieszkania są w torbie.

Wyglądał żałośnie. I musiał być bardzo zmęczony.

Birk Larsen skinął głową. Stare dżinsy. Czarna bluza. Srebrny łańcuch. Czarna wiatrówka.

– Dobra – powiedział.

Skærbæk przeszedł na tył ciężarówki, wyjął drugą torbę. Jasnożółtą. Na boku miała nazwę sklepu z zabawkami.

– To dla chłopców – powiedział, podając ją. – Zrób z tym, co chcesz. – Ruszył do wyjścia.

– Vagn! – zawołał za nim Birk Larsen. – Vagn!

Skærbæk stanął, z rękoma w kieszeniach. I patrzył.

– Chodź na górę, wyjaśnimy to, dobra?

– Co wyjaśnimy?

– Mnóstwo. – Wziął Skærbæka za ramię. – Chodź.

W kuchni światło sączyło się przez rośliny na oknie. Odżyły, odkąd Pernille je podlała. Wyglądało tu prawie normalnie.

Siadła obok Birk Larsena, podała kawę, chleb i ser.

Skærbæk zapalił, nie sięgnął po jedzenie.

– Leon powiedział nam o tobie różne rzeczy – zaczęła Pernille. – Wydały nam się dziwne.

Zaciągnął się.

– Powinniśmy porozmawiać najpierw z tobą, wiem. Ale...

Jej oczy znowu załśniły.

– Wszyscy trochę powariowaliśmy.

– Nie da się ukryć.

Patrzyła na niego.

– Ale one nadal są dziwne. Dla mnie...

Milczenie.

– Leon – podjął Birk Larsen – powiedział, że w sobotę odwołałeś dużego klienta.

Skærbæk się zaśmiał.

– Zgadza się. Chciał płacić gotówką. A ja się rozliczam w gotówce tylko wtedy, gdy ty o to prosisz, Theis. Nie na własną rękę...

Patrzyli na niego.

– Więc powiedziałem, że albo wciągamy to do rachunków, albo robi to sam. Może się myliłem...

– Policja twierdzi, że skłamałeś na temat matki – Pernille zmieniła temat.

– Tak, mnie też tak powiedzieli. Wujek zawsze powtarzał, że ona się zapiła na śmierć. Dopiero w zeszłym roku powiedział mi prawdę. Bóg jeden wie, czemu wcześniej tak zmyślał. Ale co...

Zdusił papierosa na spodku.

– Co to ma wspólnego z kimkolwiek?

Pośród dymu, niepokoju i zakłopotania Pernille odpowiedziała:

– Nic.

– Od samego początku tańczymy, jak nam te łajdaki zagrają. – Birk Larsen potrząsnął swoją posiwiałą głową. – Ty po prostu najbardziej na tym ucierpiałeś.

Spojrzał ponad stołem.

– Naprawdę bardzo nam przykro, Vagn.

– Naprawdę – dodała Pernille miękko.

Skærbæk siedział bez uśmiechu, bawiąc się paczką papierosów.

– Co powiedzieliście chłopcom?

– Nic – odrzekł Theis.

– Jezu. – Wyjął czarną czapkę, zaczął ją ugniatać palcami. – Ale to jest popieprzone. To ja powinienem przeproszać. Ja tu sprowadziłem tego łajdaka Leona. Agencja...

Birk Larsen zakasłał, spojrzał na swoje ręce.

– Powiedzieli wam, gdzie on jest? – spytał Skærbæk.

– Nie, nie chcę o tym myśleć. Chcemy wykończyć dom. Wynieść się z tego mieszkania. Jasne?

– Idziemy tam dzisiaj z chłopcami – powiedziała Pernille. – Anton nie chce się przeprowadzać. Więc próbujemy to zrobić jak najdelikatniej.

Zadzwoił telefon. Poszła odebrać. Torba z czerwonym kombinezonem Skærbæka stała na środku stołu.

Położył na niej rękę.

– Nie powinniśmy aby pracować od piętnastu minut? – spytał.

– Owszem – przyznał Birk Larsen z przelotnym uśmiechem.

Wróciła Pernille.

– Dzwoniła adwokat. Policja chce przyjechać i sprawdzić mieszkanie. Chcą wiedzieć, czy Leon tu był.

– No na miłość boską. – Wielka pięść Birk Larsena walnęła w stół, w zdjęcia, w twarze. – Mam już po dziurki w nosie tych ludzi. Nie wpuszczę ich. Vagn!

Skærbæk przełknął kawę, wziął torbę i podążył za nim na dół.

Frevert się przemieszczał, wracał do miasta. Zgłoszono, że próbował skorzystać z bankomatu na Toftegaards Plads w Valby.

– Byliśmy tam dwie minuty później – relacjonował Svendsen na odprawie. – Uciekł...

– Obserwujcie parki – rozkazała Lund. – Sprawdzajcie hostele. Sprawdzajcie...

Zadzwoił telefon na biurku. Podniosła słuchawkę. Centrala poinformowała, że ktoś chce rozmawiać z nią osobiście.

– Czy to Sarah Lund?

– Słucham.

– Mówi Leon Frevert.

Lund rozejrzała się po oficerach w pokoju, machając ręką i bezgłośnie wypowiadając słowo: „Namiar”.

– Gdzie pan jest?

– Nieważne. Właśnie słyszałem w radiu te wszystkie bzdury.

Svendsen podbiegł do najbliższego laptopa, zaczął walić w klawisze, sięgając po słuchawki.

– Ja nie zabiłem tej dziewczyny. Żartujecie sobie?

– Musimy z tobą porozmawiać, Leon.

– Teraz pani ze mną rozmawia. Nie zabiłem jej. Jasne?

– Dobra. Spotkajmy się gdzieś.

– I do nikogo nie strzelałem.

– Słucham.

– Po raz pierwszy chyba – złościł się. – Powiedziałem, że wysadziłem ją tamtej nocy z taksówki. Powiedziałem o dworcu.

– Nie powiedziałeś nam, że ją znałeś.

Svendsen coś namierzył. Dawał jej znaki rękoma.

– Nie macie tropu, tak?

– Nie. Więc mi powiedz, gdzie jesteś? Przyjadę po ciebie. Sama. Możemy porozmawiać. Chcemy tylko poznać prawdę.

Cisza. I kliknięcie.

– Leon? Halo?

Svendsen znowu stukał w klawisze, zdarł z głowy słuchawki.

– Jest na Roskildevej. Kilka kilometrów od miasta. Więcej się nie dowiemy. Właśnie wyłączył telefon.

Lund siadła.

– Dlaczego rozmawiał z nami tak długo? – zastanawiała się.

– Nie wie, że go namierzamy – zasugerował Svendsen.

– Dlaczego wyłączył telefon?

Spojrzał na nią gniewnie.

– Roskildevej... – zaczął.

– Roskildevej ma trzy kilometry długości, a my nie mamy pojęcia, gdzie on jest ani jakim samochodem jedzie. Ściągnijcie mi brata.

– Dobra, dobra!

Svendsen wypadł z pokoju.

Lund stała przy biurku. Patrzyła na zdjęcia na ścianach. Nanna i Mette Hauge.

Leon Frevert. Chudy, szary, samotny mężczyzna.

Czerwoną ciężarówkę wypełniały rzeczy chłopców. Modele samolotów, plastikowe dinozaury. Mobile i plakaty na ściany. Wcześniejsze zlecenie się przeciągnęło. Drogę do Humleby zablokował rozbity samochód. Vagn Skærbæk krzyczał na kierowcę, by usunął się z drogi, gdy zadzwonił telefon Birk Larsena.

Spojrzał na numer. Pernille.

– Gdzie jest ten sklep z dinozaurami? – spytał od razu. – Mamy za mało rzeczy do pokoju Antona. Chcieliśmy mu dołożyć kilka niespodzianek.

– Nie możesz zabrać chłopców do domu, Theis.

– Czemu nie?

- Policja go przeszukuje.
- Co?
- Sprawdzają wszystkie miejsca, w których pracował Leon.
- Mam dość tego gówna – powiedział Birk Larsen. – To nasz dom.
- Theis...

Rozłączył się.

- Jakież problemy? – spytał Skærbæk.
- Samochód przed nimi się ruszył.
- Nic, z czym bym sobie nie poradził.

Dotarli tam dopiero po dziesięciu minutach. Trzej policjanci, których nigdy wcześniej nie widział, przeglądali w salonie torby z rzeczami, opróżniali na podłogę plastikowe torby z materiałami budowlanymi.

Birk Larsen wpadł do środka, stanął z rękoma w kieszeniach i twarzą pociemniałą z gniewu.

Gliniarze spojrzeli na niego.

– Nie może pan tu przebywać. – Jeden z nich machnął odznaką. – Pracujemy.

- To mój dom.
- Pańska żona dała nam klucze.

Birk Larsen wycelował kciuk w drzwi za sobą i spojrzał na całą trójkę.

- Wynocha! – warknął.
- Musimy przeszukać ten dom.
- Wynocha! – wrzasnął Skærbæk.

Gliniarz wyjął z kieszeni kartkę. Był młody i drobny. Jak wszyscy zresztą.

- Mamy nakaz.
- Pierdolę wasz nakaz.
- Musicie panowie wyjść – powiedział gliniarz ostrożnie.

– Znaleźliście już Leona? – krzyknął Skærbæk. – Znaleźliście cokolwiek? To dom, łajdaki! Nie macie szacunku. Odrobiny przyzwoitości...

Kolejny gliniarz wyłonił się z piwnicy.

– Nikogo tam nie ma.

– Dobra – zarządził młody. – Wrócimy później.

Birk Larsen podsunął mu pięść pod nos.

– Nie przychodźcie, dopóki nie umówicie się z moim adwokatem. Jasne?

Patrzyli, jak gliniarze wychodzą. Potem Skærbæk pobiegł na dół, do piwnicy. Rozejrzał się. Wrócił.

– Nie zrobili za dużego bałaganu, Theis.

Birk Larsen zamarł z gniewu, czuł się zupełnie bezsilny.

– Możemy przygotować chłopcom pokój – dodał Skærbæk. – Wcześniej sam powyrzucałem stąd pełno śmieci. Całe to gównno z piwnicy.

– Jakie gównno?

– Rolety, potłuczone rzeczy z łazienki. – Wsadził ręce do kieszeni. – Taki cuchnący stary materac. Nie trzeba, żeby dzieci oglądały taki szajs.

Kolejne studio telewizyjne. Kolejny pojedynek z Poulem Bremerem.

Hartmann przygotowywał się w swoim biurze. Morten Weber pomagał mu wybrać odpowiednie ubrania.

Tym razem nie młodzieńcze. Poważny szary garnitur, nieskalana biała koszula. Ciemny krawat.

Hartmann spojrzął na siebie w wysokim lustrze szafy. Spojrzął na zmęczoną życiem twarz Webera.

– Mamy jeszcze szansę wygrać we wtorek, Morten?

– Cuda się zdarzają. W każdym razie tak ludzie mówią.

– Jak?

Weber niezadowolony spojrzął na krawat, kazał mu założyć jaśniejszy.

– A co sądzi Rie?

– Ciebie pytam.

– Jeśli Bremer się potknie, dostaniesz jego głosy. Czasami wyborcy nie są zbyt zdecydowani. Gubią się. W tej chwili w wyścigu zostały dwa konie. Partie mniejszościowe jak zwykle handryczą się między sobą. Nikt nawet nie zwraca na nich uwagi. Wszystko się, oczywiście, zdecyduje w ostatniej chwili. Więc...

– Więc co?

– Więc trzymaj się, rozgrywaj wszystko jasno, i módlmy się, żeby góra lodowa tym razem uderzyła w niego, nie w nas. – Weber odczekał chwilę. – Myślałem, że może okażesz chociaż odrobinę podziwu dla mojej wyjątkowo optymistycznej oceny twoich szans.

Hartmann się roześmiał.

– Jestem pod wrażeniem. Naprawdę. Nie daje mi spokoju ten cholerny łajdak Salin z taśmą z monitoringu.

Weber się uśmiechnął. Jakoś dziwnie.

– Ktoś ją zabrał ochronie – ciągnął Hartmann. – Ktoś ją wysłał. Ktoś nie dopuszczał ludzi na Store Kongensgade. A w każdym razie próbował. Spytaj Lund.

Weber patrzył, jak Hartmann zakłada nowy krawat. Kiwnął głową.

– Dlaczego nie machniemy po prostu ręką na niektóre sprawy?

– Bo nie mamy odwagi. Co?

– Nic. Zajrzałem do dziennika. Jedyna paczka, która stąd wyszła tamtego dnia, została wysłana przez Rie. Nie ma informacji, dokąd. Jestem pewien, że to coś rutynowego.

Koszula była zupełnie nowa. Na guziku wisiała jeszcze metka. Weber wyjął nożyczki do paznokci, przeciął nitkę.

Spojrzał na paznokcie Hartmanna i podał mu nożyczki.

– Może z nich skorzystaj, Troels. Dzisiaj ludzie na wszystko zwracają uwagę.

– Rie wysłała paczkę? I zajmowała się rezerwacjami mieszkania.

– Och, daj spokój, dobra? Nie było rezerwacji.

– Korzystaliśmy z innych lokali. To też Rie załatwiała, tak?

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Są ważniejsze rzeczy do przemyślenia. – Morten Weber się rozpogodził. – A, i mam dobre wieści.

– Jakie?

– Bremer właśnie zwolnił Phillipa Bressaua. Nie mam pojęcia czemu. To jeden z najlepszych ludzi w jego zespole. Ja bym takiego kogoś się nie pozbywał sześć dni przed wyborami.

Hartmann nie mógł zebrać myśli.

– Dobrze wyglądasz, Troels – podsumował Weber. – Uśmiechaj się do kamery i trzymaj nerwy na wodzy. Zetrzyj tego starego drania na proch.

Hartmann szedł długim korytarzem, mijał wyłożone brązowymi płytkami schody, gdy usłyszał telefon.

– Troels! Prosiłeś, żebym zadzwonił!

– Rozmawiałem z adwokatami, Eriku. Jeśli wydrukujesz cokolwiek z tych kłamstw, pozwiemy cię osobiście. I gazetę.

Po drugiej stronie usłyszał śmiech.

– Ja przecież tylko próbuję pomóc. Nie rozumiesz?

– Coś mi chyba umknęło.

– Nie jesteś idiotą. Rozumiesz, że ktoś próbował mataczyć. Może bez twojej wiedzy, nie wiem, ale próbował.

– Dość. Koniec z telefonami. Koniec z pytaniami. Żadnych kontaktów. Jasne?

Przystanął u szczytu szerokich schodów, pod żelaznymi lampami, przy obrazie z bitwą morską zakrywającym większość wysokiej, długiej ściany.

U stóp schodów widział Rie Skovgaard w płaszczu, gotową do wyjścia. I Phillipa Bressaua. Stali na granatowym dywanie z herbem Kopenhagi, trzema wieżami wynurzającymi się z morza.

Kłócili się. Wściekle. Bressau próbował ją przytrzymać, dotknął jej kołnierza, potem czerwonego szala. Ona się wyrywała, krzycząc mu coś w twarz.

Hartmann nigdy nie widział jej tak wściekłej.

– Hartmann? – usłyszał w uchu głos Salina. – Jesteś tam jeszcze?

Skovgaard ruszyła do drzwi. Bressau został, miotając przekleństwa, podczas gdy ona zmierzała do wyjścia przez bramkę ochrony. Wtedy wziął swoją aktówkę. Rozejrzał się.

Popatrzył w górę. Zobaczył Hartmanna.

Spojrzał spode łba i oddalił się w przeciwnym kierunku, w stronę głównego wejścia.

– Słyszałeś – powiedział Hartmann i rozłączył się.

Martin Frevert siedział w pokoju Lund, słabnąc pod naporem jej pytań.

– Mamy wszystkie szczegóły. Wynajął pan samochód przez Internet. Został on odebrany na stacji benzynowej niedaleko Valby.

– I co z tego? To dla mojej firmy.

– Gdzie jest pański brat?

– Już mówiłem. Nie wiem.

Podsunęła mu papiery.

– Wypłacił pan z konta trzydzieści dwa tysiące koron. To też dla firmy? Spiesz mi się. Mogę pana od razu zamknąć pod zarzutem współudziału w morderstwie, jeśli pan chce. To nam oszczędzi trochę czasu.

Milczał.

– Dobra – westchnęła. – Dość tego. Jest pan zatrzymany.

– Nie dałem mu pieniędzy!

Wyjął kopertę z kieszeni marynarki. Rzucił ją na stół.

– Gdzie macie się spotkać?

– Proszę posłuchać. Leon jest trochę dziwny. Ale on nie zabił tej dziewczyny. On by nikogo nie skrzywdził.

– Nie ma pan pojęcia, jak często słyszę te słowa. Gdzie macie się spotkać?

Milczenie.

– Ostatniej nocy postrzelono mojego partnera – ciągnęła. – Jeśli chce pan pomóc bratu, powinien pan przypilnować, żebym to ja go znalazła – wskazała palcem za szybę – zanim to zrobi ktokolwiek inny.

– To nie pani on się boi.

– A kogo?

– Nie wiem. Leon w coś się wplątał. On nie jest najbystrzejszy. Jeśli widzi okazję...

– W co się wplątał?

– Myślę, że chodzi o jakiś przemyt. Kiedy z nim rozmawiałem, pomyślałem, że tym się przejmuje.

– Nie nami?

– Nie – zaprzeczył stanowczo. – Leon powiedział, że chciał pani pomóc. Ale pani ciągle coś myliła.

– Gdzie się pan ma z nim spotkać? I kiedy?

– To mój brat. Nie chcę, żeby mu się stała krzywda.

– Ja też nie. Gdzie on jest?

Martin Frevert wpatrywał się w kopertę na stole.

Lund zerknęła na zegarek.

Dom w Humleby był pogrążony w ciemnościach. Wydawał się za duży, za zimny, za bardzo zakurzony i pusty jak dla kilkulatek o żywej wyobraźni.

Anton przeszedł przez drzwi, ostrożnie stapał po foliach.

Słuchał.

Rozmawiali o tych wszystkich rzeczach, których tu nie było. Zabawkach i meblach. Łóżkach i kuchenkach, toaletach i lodówkach.

O dorosłych sprawach.

Tu było szaro i zimno i zupełnie mu się nie podobało.

– Do dupy jest ten dom – orzekł Anton.

Twarz jego ojca jak zawsze poczerwieniała z gniewu.

– Naprawdę?

– Nie chcę tu mieszkać.

– No ale będziesz.

Chłopiec podszedł do schodów, znalazł włącznik światła, spojrzał w dół.

Piwnica.

To coś nowego.

Za plecami głos.

– Zostaw go, Theis.

Zszedł na dół. Rozejrzył się.

– Emil! – zawołała jego matka. – Chodź zobaczyć swój pokój. Ładnie tu.

Kroki na deskach nad jego głową.

Trzy piętra i piwnica. W prawdziwym domu wystarczało jedno i garaż.

Słabe światło latarni wpadało przez dwa małe okienka z niebieskimi szybami. Wystarczyło, żeby zobaczyć, że pełno tu rupieci i kurzu. I pewnie szczurów. I innych rzeczy, które się czaiły w cieniu.

Grill. Przesunął palcami po pokrywie. Spojrzał na ślady, które w kurzu zostawiły jego palce. W kartonie zobaczył futbolówkę, białą w czarne łaty.

Wyjął ją i kopnął. Patrzył, jak się odbija od nagich szarych ścian.

Wymierzył w narzędzia i kopnął ją ponownie.

Głośny metaliczny grzechot.

Spojrzał na sufit. Już widział tę wściekłą minę ojca.

Nie dotykaj. Nie szperaj. Nie baw się. Nie przeszkadzaj.

W ogóle nic nie rób, bo wszystko będzie źle.

Poszedł po piłkę, stąpając ostrożnie, żeby nikt go nie usłyszał.

Dźwięk wywołała przerdzewiała blacha, która przewróciła się pod ścianą. Niebieskie światło z ulicy padało prosto na nią. Rury i zawory pod jakimś urządzeniem. Może to kocioł.

Coś jeszcze. Małe, z kartonika. Bordowe ze złotym krzyżem.

Podniósł to coś i rozchylił.

Uśmiechnięta Nanna.

Drgnął, gdy zobaczył krew, suchą, jak czerwona kałuża w rogu.

Pomyślał o ojcu na górze. Co by powiedział? Co by zrobił w swojej wściekłości?

Wpatrywał się w zdjęcie.

Uśmiechnięta Nanna.

– Anton!

Głęboki głos był donośny. O włos od złości.

– Jedziemy na pizzę. Jesteś głodny czy nie?

Nie grzeb. Nie patrz. Nic nie rób.

To był paszport Nanny. Wiedział, jak wygląda paszport, bo kiedyś, nie tak dawno temu, pokazała mu to coś, co teraz leżało brudne i poplamione krwią w jego drżących palcach. Kazała mu przysiąc, że to tajemnica i że nikomu nie powie, nawet tej pleciudze Emilowi.

– Anton!

Już bardzo wściekły.

Mały położył paszport pod starymi rurami, delikatnie podniósł drzwiczki i wepchnął je na miejsce, a wszystko bezszelestnie.

Potem poszedł na górę, spojrzał na ojca, który krążył wściekle po pokoju.

– Ten dom jest do dupy – powtórzył.

Martin Frevert miał się spotkać ze swoim bratem na rosyjskim kabotażowcu zacumowanym przy jednym z dalekich nabrzeży rozległego portu handlowego na północ od miasta.

Lund wzięła Svendsena, żeby prowadził, i całą drogę wydawała rozkazy. Nie zbliżać się, dopóki ona nie dotrze na miejsce. Łodzie w gotowości w pobliżu.

Nabrzeże było ciemne i opustoszałe. Jeden statek na końcu pirsu. Stary czerwony gruchot, na dziobie widniała nazwa – Alexa.

Gdy dotarła na miejsce, stały tam już trzy nieoznaczone radiowozy. Żadnych świateł. Nic, co by zaniepokoiło ewentualnego obserwatora.

Wyszedł jej naprzeciw dowódca antyterrorystów, w czerni, z pistoletem maszynowym pod pachą.

– Mamy ten samochód z wypożyczalni – zameldował. – Stoi za jednym z kontenerów. Nic w nim nie ma. Na pokładzie widzieliśmy światło. Musi ciągle tam być.

Lund się rozejrzała.

– Dobrze – powiedziała. – Nie chcę, żeby to się przerodziło w strzelaninę. Muszę z tym człowiekiem pogadać.

Mężczyzna sprawiał wrażenie przygotowanego do wojny.

– Nie żartuję – podkreśliła Lund.

– Nie wątpię.

– Wchodzę sama i próbuję z nim rozmawiać.

– Co?

– Słyszał pan. Jeśli będzie próbował uciekać, aresztujemy go. Stąd nie ma gdzie się ulotnić.

Rozejrzała się. Ciemno i cicho. Antyterrorysta mówił sensownie i sprawiał wrażenie, jakby panował nad sytuacją.

Lund ruszyła w stronę trapu prowadzącego na statek.

Nagle zobaczyła światła. Prosto na nią jechał samochód.

Blżej.

Jeszcze bliżej.

Odwróciła się. Samochód ciągle jechał. Lund wyskoczyła do przodu, wściekła słuchała pisku hamulców. Walnęła pięścią w maskę, wrzeszcząc: „Hej! Hej!”.

Doskoczyli do niej antyterrorysta i kilku jej ludzi.

Lund podeszła do drzwi od strony kierowcy.

– Policja – zaczęła.

Wysoki mężczyzna w długim prochowcu wysiadł z tyłu i machnął odznaką.

Rzucił jej w twarz wizytówkę.

– Jesteśmy z biura prokuratora.

– Guzik mnie to obchodzi. Przeprowadzamy akcję. Wyłączcie te światła.

– Lund?

– To ja.

– Prowadzimy postępowanie...

– Jestem pod wrażeniem. My szukamy podejrzanego o morderstwo, więc wsiadaj do swojego wozu i wypad. Jutro rano spotkamy się w moim biurze.

Jeszcze ktoś do nich dołączył. Niższy, cięższy, brodaty, bardzo ważny.

Tego mgliście rozpoznała. Bülow. Kiedyś glina. Teraz u prokuratora.

– Nie, Lund. – Przytrzymał drzwi. – Pojedziesz z nami.

– Macie mój raport.

– Do samochodu...

– Pogadajcie z Meyerem – powiedziała bez namysłu.

Bülow podszedł i stanął przed nią. Zimne oczy, okulary bez oprawek.

– To byłoby trudne.

– Rozmawiałam z chirurgiem. Teraz już powinien się wybudzać.

Posłuchajcie... – Wskazała rosyjski statek. – Mamy tu głównego podejrzanego o morderstwo Nanny Birk Larsen. Moglibyście w łaskawości swojej stąd spierdolić?

– Przekaż dowodzenie. Ty...

– Zadzwońcie do Brixa! – wrzasnęła.

– Sama z nim pogadaj.

Ten pierwszy podał telefon.

– Brix?

Długa cisza.

– Co się dzieje? – spytała.

– Meyer czterdzieści pięć minut temu wrócił na stół. To jednak nie było takie proste, jak się wydawało.

– Co to znaczy?

– Jest w śpiączce. Podłączony do respiratora. Jest tu jego rodzina. Są...

Spojrzała na kabotażowiec, na czarne niebo.

– Trzeba podjąć decyzje.

Lund sobie przypomniała. Bülow oskarżał oficerów policji.

Zastanawiała się, co zrobią. Wezmą ją pod ramiona. Wepchną jej głowę do samochodu jak wszystkim innym.

– Musisz z nimi iść.

– Meyer...

– Meyer teraz ci się na nic nie przyda. Przykro mi. To... – Wydało jej się, że głos mu się załamał. – To nie wygląda dobrze. Ani trochę.

Telefon wysunął się jej z ręki, spadł na kamienie nabrzeża.

– Wsiadaj do samochodu, Lund – usłyszała.

Bülow przechadzał się po pokoju, zadając jej pytania. Ten drugi notował.

– Wysłuchajmy tego raz jeszcze. Byłaś w magazynie przy telefonie. Usłyszałaś strzał, a potem kolejny.

Siedzieli w jej pokoju. Pokoju Meyera. Na biurku stał radiowozik. Tablica do kosza tkwiła na miejscu.

– Znalazłaś Meyera rannego na parterze.

Lund płakała bezgłośnie, ocierając łzy szorstkim rękawem czarno-białego swetra. Myślała o Meyerze, o jego smutnej żonie Hanne. O rozstaju dróg.

– Co z nim?

Zimne oczy. Okulary bez oprawek. Ani na chwilę się od niej nie odrywały.

– Lekarze nie sądzą, żeby odzyskał przytomność. Co oznacza, że do dyspozycji mamy tylko ciebie. Twoją wersję, Lund. Nic poza tym.

– Chcemy tylko poznać kilka odpowiedzi – powiedział wysoki. – A potem cię wypuścimy.

Niski spojrzał na niego groźnie, siadł i spojrzał groźnie na nią.

– To był twój pomysł, żeby tam jechać? Powiedziałaś Brixowi?

– Nie. Skończył już służbę. Nie było powodu.

Spojrzała na nich.

– Lekarz był taki pewny. Tak się wydawało.

Może tak tylko pomyślała. Może...

Bülow zignorował jej słowa i znowu zaczął:

– Zostawiłaś broń w schowku na rękawiczki? Dlaczego nie była zamknięta?

– Meyer był w samochodzie.

– Skąd wiedział, że tam jest?

– Bo pracowaliśmy razem.

– Więc wziął twój pistolet. I ktoś, kogo nie widziałaś, mu go zabrał. I strzelił do niego.

Lund wciąż dręczyło wspomnienie Meyera zakrwawionego, z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, jak podskakuje od wstrząsów w karetce.

– Nie widziałaś go?

Wytarła nos grzbietem dłoni.

– Słyszałam kroki. Kiedy dotarłam na parter, na dworze odjeżdżał samochód.

– Meyer go widział?

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Może.

– Ale jesteś pewna, że to był Frevert?

Zamknęła oczy i mocno zacisnęła powieki. Próbowwała powstrzymać łzy.

– Nie widziałam go, Bülow. Kto by to miał być?

– Nie cwaniakuj. Skoro nikogo nie widziałaś, nie wiesz, czy to Meyer wziął twój pistolet. Czy człowiek, który go postrzelił.

Lund spojrzała na niego. Bülowa to wszystko nie ruszało. Nie przejmował się nią, Meyerem. Tak powinno być. Ona też nie powinna się przejmować Nanną Birk Larsen, ale nie mogła.

– Może spytacie Leona Freverta? Ja już bym chciała pójść.

Brix za szybko rozmawiał przez telefon, wskazując ludzi z biura prokuratora.

Bülow wyszedł do niego pogadać.

Wysoki zerknął na drzwi i skorzystał z okazji.

– Wiem, że trudno o tym mówić. Ale musimy wykonać swoją robotę. Zrozum.

– Ja już skończyłam. Wiecie, gdzie mnie znaleźć.

Wstała, wzięła torebkę i stwierdziła, że znowu płacze. Bülow właśnie wracał do pokoju.

- Podtrzymujesz swoje zeznania, Lund?
- Och, na miłość boską. Oczywiście, że podtrzymuję. Mówiłam prawdę.
- Zgadza się. Bierz płaszcz. Wychodzimy.

Wrócili na nabrzeże. Posępne strugi czarnego ulewnego deszczu. Dwa razy więcej radiowozów niż wcześniej. Reflektory. Taśmy policyjne. Technicy.

Weszła po trapie. Statek był tak stary, że jego zdatność do żeglugi wydawała się wątpliwa. Lund przeszła po drewnianym pokładzie. Pachniało tu rozlanym paliwem i świeżą farbą.

– Straż przybrzeżna obserwuje tę jednostkę od półtora roku – powiedział Bülow, gdy weszli do środka. – Załoga przemyca narkotyki. Gdzieś zwiąła. Szukamy jej.

- A co z ich tutejszymi kontaktami?
- Wszystko w swoim czasie.

Otworzył ciężkie metalowe drzwi, uśmiechnął się do niej. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle zrobił się taki miły.

- Wygląda na to, że miałaś rację co do Leona Freverta.

W pomieszczeniu, które wyglądało na nawigacyjne, oficerowie przetrząsali mapy.

– Jutro mieli wypłynąć do Sankt Petersburga. Załoga zeszła na ląd zalać się przy okazji w trzy dupy. Ci ludzie...

Przeszli przez kolejne drzwi i na dół po schodach. I jeszcze jedno, tym razem otwarte. Stary komputer. Przedpotopowa gaśnica. Radia. Napisy po rosyjsku.

Jasne błyski fleszy aparatów.

Znajdowali się dwa piętra pod pokładem, obok luku, który otwierał się na czarne niebo. Z otworu coś zwisało. Zobaczyła stopy.

Ciało kołysało się delikatnie w rytm ruchów statku.

Lund podeszła. Patrzyła, myślała.

Szary garnitur, szara twarz. Po śmierci Leon Frevert niewiele się zmienił, nawet z pętlą na chudej szyi.

Lina biegła do pokładu wyżej. Jasnoniebieska. Żeglarska. Dwóch policjantów próbowało przeciągnąć ciało na bok, by je zdjąć.

– Może myślał, że załoga się nie pojawi – zastanowił się Bülow. – Za dużo tu było rzeczy, które go przerastały.

W plastikowej torebce była kartka.

– To całe zeznanie, jakie mamy.

Wzięła torebkę. Jedno słowo dziecięcym pismem, drukowanymi literami.

PRZEPRASZAM

– Przepraszam...? – Lund popatrzyła na Bülowa. – Przepraszam? To wszystko?

– A co byś chciała? Cały elaborat?

– Więcej niż to...

– W kieszeni miał paragon.

Kolejna plastikowa torebka.

– Leon Frevert zatankował samochód jakieś trzydzieści kilometrów od magazynu, w którym postrzelono Meyera. Dwanaście minut wcześniej zadzwoniłaś po karetkę.

Patrzyła na kawałek papieru.

– Nikt nie jeździ tak szybko, Lund.

– Może na paragonie jest błąd.

– Mamy go na nagraniu ze stacji. Z samochodem.

Za dużo pomysłów, za dużo możliwości cisnących się do głowy.

– To niemożliwe.

Spojrzała na wiszące ciało. Właśnie go dosięgli. Chwycili Freverta za marynarkę i zaczęli ciągnąć.

– Pytam cię po raz ostatni – odezwał się Bülow. – Chcesz zmienić zeznania?

W kuchni Pernille piekła chleb, podczas gdy Birk Larsen chodził po pokoju i robił plany.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wprowadzimy się w przyszły weekend. Muszę popracować przy ogrzewaniu...

Wąłkowała miękkie ciasto.

– Anton jest naprawdę zły.

– A to nowość – burknął. – Dojdzie do siebie.

– Może byśmy wzięli psa.

– Myślałem, że pies to dla Emila?

– Pies to pies, Theis. Obaj będą go kochać. Anton mógłby go dostać na urodziny.

Mrugnął do niej.

– W takim razie może lepiej, żebyś mówiła trochę ciszej.

– Oni się bawią na dole w garażu. Nie usłyszą.

Podszedł i stanął przed nią. Skubnął z jej palców kawałek surowego ciasta. Wsadził sobie do ust. Spojrzała w jego małe oczy. Zerknęła na tę nieogoloną twarz. Pod pewnymi względami Theis ciągle był chłopcem. Brutalnym i nie do końca ukształtowanym. Ciągle mu czegoś było trzeba. Zwykle jej. Uściskała go, pocałowała szorstki policzek.

– Już nigdy nie będziemy tacy jak kiedyś – wyszeptała. – Prawda?

Prawą ręką dotknął jej kasztanowych włosów, z lewej podkradając jeszcze trochę ciasta.

– Będziemy. Obiecuję.

Przytuliła go mocno, lgnąc twarzą do szerokiej klatki piersiowej, słuchając rytmu jego oddechu, czując w nim życie, siłę.

Na dole Vagn Skærbæk bawił się z Antonem najnowszą zabawką. Czarny samochód na baterie, kierowany radiowo, jeździł po garażu pomiędzy skrzynkami i wózkami.

Anton kierował. Skærbæk był celem.

Pojazd śmigał po betonie w tę i z powrotem. Vagn skakał i piskał, uciekając mu z drogi.

W końcu auto odbiło się od jego białych tenisówek.

– Dopadłeś mnie! – krzyknął Skærbæk. – Nie żyję! – Stał z wybałuszonymi oczami, językiem zwisającym z ust.

Anton się nie śmiał.

– Fajny, co? – spytał Skærbæk. – Będziesz się nim ścigać po podwórku w nowym domu.

– Mogę go wziąć na górę, wujku?

Skærbæk podniósł samochód z podłogi i podał mu.

– Jest twój. Możesz z nim robić, co chcesz.

Anton porwał zabawkę. Stojący nad nim mężczyzna w czerwonym kombinezonie wyszarpnął mu ją z palców.

– Przy przeprowadzce do nowego domu – przykucnął i spojrzał chłopcu w oczy – wszyscy się denerwują, że dzieje się coś nowego.

– Naprawdę?

– Tak. Bo nie wiadomo, co się zdarzy. Ale to fajnie coś zmieniać. Powinieneś...

– W piwnicy coś jest.

Cisza.

– To znaczy?

– Tam jest paszport Nanny. A na nim krew. – Anton patrzył przestraszony. – Nie mów tacie. Złościłby się.

Skærbæk roześmiał się i pokręcił głową.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy?

Chłopiec szarpnął samochód. Skærbæk nie ustąpił.

– Anton... to dlatego, że się boisz przeprowadzki. Nie musisz się bać. Zawsze powinieneś mówić prawdę. Nie kłamać.

Chłopiec skrzyżował ramiona.

– Ja nie kłamię. Widziałem w piwnicy.

Sięgnął po samochód. Skærbæk nie próbował go zatrzymać. Anton pomknął na górę.

Chłopcy leżeli w łóżkach. Dorośli siedzieli we trójkę przy kuchennym stole nad brudnymi talerzami i sztućcami.

Birk Larsen palił. Miał twarz bazyliuszka.

– Co jeszcze Anton mówił? – spytała Pernille.

– Nic – odrzekł Skærbæk. – Tylko że widział tam paszport Nanny.

– Cholerne dzieciaki – burknął cicho Birk Larsen. – Byłem tam tysiące razy i nic nie widziałem. A ty?

– On jest taki nerwowy, Theis. To wszystko nie daje mu spokoju. Boże drogi... wszystkim nam nie daje, co?

– Gdzie? – Pernille nie dała się zbić z tropu.

– Mówił, że w piwnicy. Tam nic nie było. Jakieś śmieci, które powynosiłem.

– Co by jej paszport robił w piwnicy? – zastanawiał się Birk Larsen. – Nanna nawet nie wiedziała o Humleby.

– Jak chcecie, mogę iść poszukać.

– Nic tam nie ma, Vagn.

Pernille masowała sobie palcami skronie. Z kuchni uleciał już zapach chleba. Został tylko odór papierosów i potu.

– To dlaczego – dociekała, próbując nie oszaleć – on powiedział, że jest?

– To Anton! Mówi, co chce. Nie pozwolę, żeby nam robił takie rzeczy.

Rano z nimi pogadam.

Pernille nie zamierzała odpuścić.

– Policja nie znalazła jej paszportu. Od czasu do czasu nas o niego pytali.

Wpatrywał się w nią. Ten drugi Theis. Zimny, mówiący: Nie pytaj, nie podchodź.

– Bardzo byłbym wdzięczny, gdybyście nie rozmawiali o tym z Antonem

– poprosił Skærbæk. – Obiecałem...

Pernille szybko zareagowała:

– Oczywiście, że z nim porozmawiamy. Pójdziemy tam jutro się rozejrzeć. Chcę wiedzieć...

– Nie ma go tam! – ryknął Birk Larsen.

Zamknęła na chwilę oczy, walcząc ze swoim gniewem.

– To nie tam – powtórzył już ciszej. – A jutro są jego urodziny.

– Theis...

Wielkie dłonie przecięły powietrze nad stołem.

– Dość – powiedział.

W głównym studiu telewizyjnym na Amager, gdy tylko minuty zostały do rozpoczęcia ostatniej debaty przedwyborczej, Poul Bremer kłócił się z produkcją o szczegóły.

– Ja reprezentuję największą partię. Do mnie należy ostatnie słowo – oznajmił.

Producent jakoś nie kwapił się do kłótni.

– Była umowa – przypomniała Rie Skovgaard – losujemy.

– Ja się na to nie pisałem. Robimy wszystko tak, jak było zawsze. Partia wiodąca ma ostatnie słowo. To się...

Zadzwoił jego telefon. Bremer odszedł, by go odebrać.

– Może powinniśmy zrezygnować z losowania – zaproponował producent. – Robi się problem.

– Mieliśmy umowę.

Bremer słuchał kogoś uważnie, patrząc na Skovgaard.

– Za dziesięć minut wchodzimy na antenę – zauważył producent.

Poul Bremer podszedł cały w uśmiechach i uprzejmościach.

– A, ciągnijmy te losy. Czuję, że szczęście mi dopisze. – Szare oczy spoczęły na Rie. – Gdy tu skończymy, i tak już nie będzie o co grać.

Hartmann był jeszcze w garderobie. Rozmawiał przez telefon z Mortenem Weberem, który był w ratuszu.

– Dlaczego zwolniono Bressaua, Morten? Chcę znać prawdę.

– Spieprzył coś ważnego, bodajże. Czy ty nie powinienesz być zaraz w telewizji?

– Dlaczego został zwolniony?

Weber się zawahał.

– Tutaj zawsze huczy od plotek. Gdybyś każdej dawał wiarę...

– Powiedz mi prawdę, do cholery! Jeszcze muszę rozmawiać z tym cholernym Salinem. Co się przechwala, że mnie dopadł, ale pary z pyska nie puści, o co chodzi. Bremer chce to obwieścić po debacie. Muszę wiedzieć. Co to jest?

– On próbuje cię zdenerwować. I chyba mu się udaje, z tego co słyszę.

– Dokąd Rie wysłała paczkę? Do Lund?

– Nie wiem i naprawdę nie zamierzam się dowiadywać. Mam ważniejsze zajęcia.

– Czy Rie mogła nie dopuszczać nikogo do mieszkania?

- Oczywiście, że mogła. Każdy w biurze mógł to robić.
- Sprawdziłeś, co robiła w piątek w nocy?
- Nie jestem od szpiegowania ludzi.
- Prosiłem...
- Nie, Troels. Ja w to nie gram. Dość.

Rozłączył się. Hartmann odwrócił się i zobaczył w drzwiach Rie Skovgaard.

- Wszystko w porządku? – spytała. – Bo już czas.

Nie odpowiedział.

– To ostatnia debata telewizyjna kampanii. – Znowu była profesjonalna, patrzyła mu w oczy. – Jakikolwiek wrażenie ludzie dzisiaj odniosą, pójdą z nim do urn wyborczych.

Kolejny produkt do sprzedania. Marionetka dla jej ojca, żeby mógł nim manipulować z Parlamentu.

– Wszystkie sondaże mówią, że walka się rozegra pomiędzy tobą a Bremerem. Partie mniejszościowe nikogo nie przekonają. Wszystko zależy od was dwóch.

Kiwnął głową.

– Jeśli wspomni sprawę morderstwa, trzymaj się tego, co uzgodniliśmy. Będziesz dokładał wszelkich starań, by pomóc w śledztwie. Jesteś nową miotłą. Opowiadasz się za uczciwością i szczerością. To Bremer ma trupy w szafie. Nie schodź z tej drogi... Cholera, Troels, ty mnie w ogóle słuchasz?

Patrzył na studio. Na Bremera. Pewnego siebie. Promiennego.

- Troels? To ważne.

Umilkła, spoglądała nerwowo. Do drzwi podeszła asystentka i dała Hartmannowi znak, by zajął miejsce.

Ten ruszył ku jasnym światłom, odwrócił się i spojrzał na nią, stojącą w cieniu.

– Wiem, co zrobiłaś.

– Słucham?

– Wiem o wszystkim. Bremer też wie.

Milczenie.

– O Phillipie Bressau. I taśmie.

Stała sztywna, z twarzą wypraną z emocji, nie odrywając od niego wzroku. Nic nie mówiła.

– O tym, że nikogo nie dopuszczałaś do mieszkania.

– Nie, nie. To nie tak.

Wrócił producent.

– Jesteśmy na antenie, panie Hartmann. Jeśli chce pan wziąć udział w debacie, zapraszam do studia.

– Troels!

Wszedł w jasne światła i zajął miejsce.

Po dziesięciu minutach debaty na żywo roztrząsali kwestie podatkowe. Hartmann nie mógł oderwać wzroku od mężczyzny siedzącego dwa krzesła od niego. Wyglądał, jakby już wygrał. Nie mógł się doczekać, aż wejdzie na salę obrad, uśmiechnięty, triumfujący. Na kolejne cztery lata obejmie lśniący tron.

I wtedy to się stało.

– Podatki są ważne – powiedział Bremer spokojnie, władczym tonem wyćwiczonym przez ponad trzydzieści lat pracy w kopenhaskich kręgach politycznych. – Ale równie ważny jest charakter osób, które wybieramy na swoich przedstawicieli.

Patrzył w kamerę.

– Morderca Nanny Birk Larsen...

– Chwileczkę – przerwał mu prowadzący. – Mamy tu rozmawiać o polityce...

– W polityce przede wszystkim chodzi o etykę i morale. – Bremer zerknął na przeciwnika i ponownie do kamery. – Wyborcy mają prawo wiedzieć...

Hartmann opadł na oparcie i słuchał.

Na twarzy Bremera zagościł teraz wyraz pełnego rezygnacji oburzenia.

– Oskarżono mnie o mataczenie. O zatajanie informacji. Złożono na mnie doniesienie. Wszystko z podpuszczenia Troelsa Hartmanna. Tego właśnie człowieka, który sam z premedytacją zatajał informacje, opóźniając śledztwo w sprawie morderstwa...

Hartmann podniósł palec, nie mając siły przerwać. Obejrzał się na Rie Skovgaard stojącą w drzwiach studia.

– Jak to możliwe, że do mieszkania należącego do partii liberalnej nikt nie zajrzał aż do przybycia ekipy śledczych? – pytał Bremer. – Jak to się stało, że nagle zniknęły taśmy z monitoringu, a potem równie nagle się pojawiły? Jak?

Wreszcie Hartmann odzyskał głos.

– Policja powiadomiła mnie, że oskarżenia Bremera są bezpodstawne. To desperackie wysiłki człowieka, który zrobi wszystko, by utrzymać się u władzy.

– Władzy? – Głos Bremera uniósł się ponad naturalny rejestr. Twarz mu poczerwieniała. Poluzował krawat. – W takim razie policja została wprowadzona w błąd. Kiedy zobaczy dowód, którym dysponuję....

Prowadzący się niecierpliwił.

– Do rzeczy...

– Właśnie zmierzam do sedna sprawy! – krzyknął Bremer.

Hartmann zastanawiał się nad stanem jego nerwów. I umysłu.

– Jeśli jesteś przekonany do swoich rewelacji, Poul, zgłoś się na policję. Ja się prawdy nie boję. W przeciwieństwie do ciebie...

– Ty świętoszkowaty gówniarzu – warknął Bremer.

Cisza.

Potem odezwał się Hartmann:

– Kopenhaga zasługuje na politykę, nie na wyzwiska. Jeśli policja będzie chciała ze mną rozmawiać, wiedzą, gdzie mnie szukać.

– Jak z tobą skończę, obudzisz się znowu w celi, Hartmann! Tam gdzie twoje miejsce...

– Przepraszam! Przepraszam! Ja zostałem oczyszczony z podejrzeń!

Debata zamieniła się w pyskówkę. Prowadzący siedział wściekły.

– Zanim wszedłem na antenę... – zaczął Bremer.

– Oto, co zrobiło z tobą dwanaście lat u władzy – warknął Hartmann.

Bremer patrzył w podłogę. Twarz mu poczerwieniała. Oddychał szybko.

– Mam informacje...

– Nie, nie – przekrzyczał go Hartmann. – Ty przychodzisz do telewizji tylko po to, żeby rzucać błotem. Nie rozmawiać o polityce. To niegodne burmistrza Kopenhagi. Nie jesteś godzien sprawować tego urzędu.

– Nie jestem godzien? – Bremer zaczął mówić falsetem. – Mam informację...

– Ten system się wypaczył – znowu przerwał mu Hartmann. – Żyjemy pod despotycznymi rządami żalosego starca, który zamiast się zaangażować w debatę, traktuje przeciwników politycznych jak pionki, a potem wyładowuje swoją arogancję na wyborcach.

Z ręką przy szyi, chwytając się za koszulę, dysząc ciężko, Bremer powiedział:

– Mam dowód, że...

Hartmann nie odpuszczał.

– Nic nie masz. Próbujesz odwrócić uwagę od własnych wad. Zawsze tak robisz. Próbujesz skierować uwagę na innych, żeby ukryć swoje zepsucie i brak wizji.

Bremer wpatrywał się w niego. Brakowało mu słów. I powietrza.

– Korupcja, Poul – dodał Hartmann jasnym, pewnym głosem. – To właśnie powiedziałem. Robak korupcji pożera cię, gdy patrzymy...

– Mam dowód – biadolił Bremer.

– Nic nie masz.

Spojrzał na starca w szarym prążkowanym garniturze. Bremer ścisnął się za prawe ramię. Usta miał otwarte, poruszał nimi dziwnie.

– Mam...

Wydał niski, pełen przerażenia jęk i stoczył się z krzesła na podłogę.

Oczy za okularami męża stanu zaszły mgłą. Twarz znieruchomiła. Na czole pojawił się pot.

Hartmann doskoczył do niego w jednej chwili. Poluzował mu krawat.

– Bremer? Bremer?

Lund znowu siedziała w gabinecie Bülowa. Na drugim piętrze Komendy Głównej, naprzeciwko Wydziału Zabójstw. Przyszła tu długim, marmurowym korytarzem, mijając miejsca, w których nigdy nie była.

– Dlaczego Meyer z tobą nie poszedł?

– Uważał, że nie warto tam wchodzić.

– Dałaś mu rozkaz?

– Nie. Chciałam tylko szybko zerknąć. Zadzwonil i powiedział, że widzi wybite okno. I na piętrze, na którym ja się znajdowałam, dostrzegł światło latarki. Freverta, nie moje.

Bülow spojrzał na nią.

– Freverta?

– Dobra, przepraszam. Jestem zmęczona. Czyjeś światło.

Wyglądał na zadowolonego.

– Zgadząmy się więc, że Freverta tam nie było?

Zastanowiła się nad tym.

– On miał dla nas informacje. Nie chciał po prostu, żeby ktoś o tym wiedział. Bał się kogoś. Może widział coś, czego nie powinien widzieć.

– Więc chociaż napisał tę notatkę, nie zamordował Mette i Nanny?

– Nie wiesz, czy on to napisał. Nie wiesz, czy sam się zabił.

– Twoja kariera opiera się chyba na szalonych domysłach.

– Nieprawda – odparła. – Ktoś się dostał do magazynu. Wiedział, że będziemy tam czegoś szukać. Do boksu z rzeczami Mette też się włamało. Na pewno zabrał to, czego szukaliśmy.

– Miałaś jechać do Szwecji, Lund. Czy Meyer chciał sam prowadzić tę sprawę?

– Co masz na myśli? Chciał od samego początku. Potem Bucharł poprosił mnie, żebym ją prowadziła...

– Kłóciliście się...

– Oczywiście, że się kłóciliśmy. Taka sprawa. To nieważne.

– Czy Meyer nie skarżył się przełożonym na nic? Powiedział żonie, że tamtego wieczoru nie byłaś sobą. Że oszalałaś. Powiedział, że nie masz powodu wchodzić do tego magazynu.

– Meyer by nie pojechał, gdyby nie było powodu...

– Nie on jeden zauważył, w jakim jesteś stanie – przerwał jej Bülów. – Masz obsesję. Zapominasz o rzeczywistości.

– Kto to powiedział? Brix? Svendsen?

– Nieważne, kto. Ważne, czy to prawda.

Pochyliła się nad stołem. Spojrzała na Bülowa i asystenta.

– Muszę wiedzieć, co on zabrał z rzeczy Mette Hauge. Jeśli to znajdziemy...

– O ile tam ktoś był – Bülow znów jej przerwał. – Oprócz ciebie i Jana Meyera.

– Co?

– Chodź ze mną – rozkazał.

Przeszli trzy pokoje dalej. Technik kryminalistyki, którego chyba nie kojarzyła, włączył komputer z głośnikami. Bülow stanął za technikiem. Lund siedła na wskazanym miejscu. Podał jej torebkę dowodową z telefonem Meyera.

– Kiedy byliście w magazynie, Meyer wcisnął skrót klawiszowy, którego używał do nagrywania przesłuchań. Posłuchaj.

Technik uderzył w klawisz. Z głośników popłynął głos Meyera.

„Lund? Słyszysz mnie? Halo?”

„Lund!”

„Cholera!”

„Lund!”

„Meyer. On wsiadł do windy i jedzie na dół. Jestem na schodach. Winda!”

„Jestem przy windzie”

Długa cisza. Odgłosy maszynarii.

„Winda jest pusta. Idę do ciebie”

„Jego tu chyba nie ma”

„Idę...”

Odgłos pierwszego wystrzału sprawił, że odrzuciła głowę do tyłu. Przy drugim poczuła pustkę w głowie. Słyszała krzyki i jęki Meyera.

Twarc Bülowa się zmieniła. Pomyślała, że on próbuje zrobić współczującą minę.

– Nie spałaś od trzech dni. Jest ciemno. Słyszysz dźwięk i myślisz, że to człowiek, którego szukasz, gdzieś w budynku. Wyciągasz broń. Pistolet,

który przyniosłaś ze sobą. Zbiegasz po schodach.

– Och, proszę – wyszeptała.

– Otwierasz drzwi i strzelasz. Co innego mogłaś zrobić? Co każdy by zrobił w takich okolicznościach? Ktoś, kto byłby tam. On sięga po twoją broń. Ty strzelasz. On znowu sięga. Ty znowu strzelasz.

Jasne, ostre oczy Lund obróciły się na niego.

– Nagle dociera do ciebie, że postrzeliłaś Meyera. Jesteś zrozpaczona. Dzwonisz po karetkę. W ciągu szesnastu minut, zanim ona dociera na miejsce, fingujesz włamanie. Potem kładziesz swój pistolet przy Meyerze i czekasz.

Przerwał.

– Co ty na to, Lund?

– W życiu nie słyszałam nic głupszego.

– W budynku są ślady wyłącznie twoje i Meyera.

– Jesteś niewydarzonym gliną. Tylko szukasz, gdzie by tu coś spieprzyć.

– Niczego nie znaleźliśmy!

Nadal nie odrywała od niego wzroku.

– Bo nie wiesz, jak szukać.

Wszedł ten drugi.

– Rozmawialiśmy z żoną Meyera, Lund. Zanim go zabrali na salę operacyjną, ocknął się.

Podał jej zeznanie.

– Jedyne, co mówił, to twoje imię. Sarah. Powtarzał je w kółko.

– Myślał, że to ważne – dodał Bülow. – Pewnie mogłoby to być wyznanie miłosne. Ale z tego, co wiem o łączących was stosunkach, ta opcja jest mało prawdopodobna.

Podał jej listę zarzutów.

– Jutro odbędzie się rozprawa wstępna. Znasz procedurę. Masz prawo do jednej rozmowy telefonicznej.

Bülow oddał jej komórkę, po czym obaj wyszli z pokoju.

Lund ruszyła za nimi.

– To nie ma sensu.

Nie zatrzymali się. Ją zatrzymał mundurowy stojący w drzwiach. Wepchnął ją do środka.

Lund spojrzała na telefon. Zadzwoiła.

– To ja – powiedziała. – Potrzebuję twojej pomocy.

Bülow pokonał korytarze dzielące dwa wydziały i znalazł Brixa w jego gabinecie.

– Chcę, żeby przeszukano mieszkanie Lund – powiedział. – Oddajcie do badania jej ubrania i buty. Potrzebne mi jej akta. Masz dwadzieścia minut.

Brix się roześmiał.

– Dostaniesz je. W swoim czasie.

– Dwadzieścia minut, Brix. Mam jeszcze inne sprawy na głowie.

– Z akt wynika, że Lund nigdy nie użyła broni. Nigdy jej nie nosiła na służbie. W ogóle jej ze sobą nie zabierała. Wszyscy o tym wiedzą.

– Kilka dni temu odebrałeś jej odznakę, a potem oddałeś. Dlaczego?

– Ponieważ miała rację, a ja się myliłem. Widziała rzeczy... – wzruszył ramionami – ...których ja nie pojmowałem. I nikt inny też nie. Współpraca z nią nie należy do najłatwiejszych, ale...

– Wiedziałeś, że ona jest nie zrównoważona. Bo czemu byś tak zrobił?

– Zrobiłem to, bo mnie wkurzyła. Jest w tym dobra i nie obchodzi jej, czy kogoś wkurza. Ale obchodzi ją sprawa. Bardziej niż cokolwiek innego. Niż rodzina. Niż ona sama. Nie wiem, czemu...

– Tak, tak – burknął niski. – Innym razem mnie w to wprowadzisz. Dwadzieścia minut...

Były cztery cele dla kobiet. W pozostałych trzech kłębiło się od wrzeszczących pijaków. Lund siadła na jedynym krześle i rozejrzała się. Jeden materac. Koc i poduszka. Zlew i Biblia. Po tej stronie wydawało się inaczej. Ciaśniej.

Miała na sobie niebieski więzienny kombinezon. Pod łóżkiem stała miska.

Lund spojrzała na policjanta na służbie.

Próbowała sobie przypomnieć, jak on się nazywa.

Podał jej mydło i ręcznik. Wyszedł. Zamknął drzwi. Patrzył przez wizjer.

– Mam szansę na coś do jedzenia?

– To nie pora posiłku – odparł i zamknął klapkę.

Hartmann i Skovgaard wrócili do ratusza. Byli sami w jego gabinecie. Miasto za oknami już zasypiało. Bremer był w szpitalu, w stanie stabilnym. Rozmawiano o wpływie tej sytuacji na wybory. W wiadomościach nie pojawiło się nic o Nannie Birk Larsen. Tylko król Kopenhagi po raz pierwszy w swoim długim życiu ujawnił własną śmiertelność.

– Okłamałeś, mnie, Troels. – Siadła po drugiej stronie biurka, jakby przyszła na rozmowę kwalifikacyjną. – Mnie. Ty i Morten... Jak możesz mieć z nim wspólne tajemnice? Beze mnie?

– Byliśmy tam – powiedział i pomyślał sobie: to się skończyło wiele dni temu. Umarło, a nikt nawet nie zauważył.

– Wściekłam się na ciebie!

Czekał.

– Tamtej nocy, gdy wszyscy myśleli, że już po tobie, pobiegłam do Phillipa Bressaua. Pojechaliśmy do hotelu i siedzieliśmy w barze.

Mówił, że twoja sprawa jest przegrana. Że powinnam przejść na ich stronę. Że znajdzie się robota.

I gdybym rzeczywiście upadł, pomyślał Hartmann, ona by tam trafiła. W jednej chwili stanęłaby u boku Bremera.

– Wiedziałam, że coś się dzieje. Ciągłe dzwonił jego telefon.

Spojrzała mu w twarz.

– Spytał, czy mam ochotę na kieliszek przed snem. W jego pokoju.

Hartmann kiwnął głową.

– Jaki łaskawca.

– Słuchałam, jak mówi o Stokkem. O naszym mieszkaniu. Bressau trochę wypił. Nie był... – zmarszczyła czoło. – Nie był zbyt dyskretny. Stąd wiedziałam o Stokkem.

– Co się stało?

– Pytasz, czy poszłam z nim do łóżka?

Hartmann nie odpowiedział.

– A to ważne? Ja Bressaua przynajmniej znam. Nie wchodzę na portale randkowe. Nie pieprzę się z obcymi.

Nic.

– Co cię to zresztą obchodzi – westchnęła. – Słuchałam. Napiłam się. I pojechałam do domu.

Wstał, przeszedł się po pokoju.

– W tamtą piątkową noc... Pojechałaś mnie szukać?

– Tak myślisz?

– Poszłaś do mieszkania. Wiedziałaś, że coś tam się działo.

– Nie. Nie poszłam. Następnego ranka pojechałam bez ciebie do centrum konferencyjnego. Skłamałam, że tam jesteś. O co chodzi? Czego ty chcesz? Jakiejś czystej dziewiczej szczerości? Nagle się stajemy tak samo okropni i oszukańczy jak cała reszta...

– Nigdy o to nie prosiłem.

Roześmiała się.

– Nie musiałeś, prawda? Ty po prostu chcesz, żeby się coś wydarzyło, ale nie chcesz o tym wiedzieć. Bremer ma tak samo. Może to kwestia urzędu.

– Oczekuję pewnej...

– Nie odpowiadam za twoje oczekiwania. Nie pojawiłam się w okolicy mieszkania. Nie dotknęłam tej głupiej taśmy. Robię dla ciebie dużo. Ale nie kryłabym mordercy.

Wstała, włączyła uśmiech. Podeszła i dotknęła jego ramienia, koszuli.

– Daj spokój. Wiesz o tym. Od tygodni w tym biurze dzieją się dziwne rzeczy. Olav wszedł do systemu...

Zdjął jej dłoń ze swojej marynarki.

– Olav nie żyje. Wzięłabyś jego pracę? Dla Bremera?

– Mam pracę, prawda? Zrezygnowałam z udziałów w agencji reklamowej, żeby tu przyjść. Przyjęłam o połowę niższą...

– Myślałem, że to kwestia zaangażowania.

– To jest kwestia zaangażowania.

– Przyjęłabyś taką pracę?

Zamknęła oczy. Wyglądała na bliską załamania. Podobało mu się to.

– W ogóle bym się nie zastanawiała. Mamy tu robotę do wykonania.

– To mogę sam zrobić, dzięki.

– Troels...

– Chcę, żebyś poszła do domu. Chcę, żebyś się zwolniła.

– To śmieszne.

Popatrzył jej w oczy.

– Nie jestem kawałkiem mięsa, który można kupić lub sprzedać. Powiedz to swojemu ojcu, proszę.

– Nigdy cię tak nie traktowałam!

– Odejdz.

12_

CZWARTEK_
20 LISTOPADA_

Adwokat Lund i Bengt Rosling o dziewiątej piętnaście spotkali się w gabinecie Brixa. Ona ciągle siedziała w celi, w więziennym stroju.

– Moja klientka chciałaby wyjść na wolność – powiedziała adwokat. – Zamierza współpracować w granicach rozsądku. Nie macie przeciwko niej dowodów. Do niczego się nie przyznaje. Wobec wspomnianego braku dowodów nie powinna być w areszcie.

– Proszę to powiedzieć sędziemu – odparł Bülow.

– Wszystkie osoby, które możecie przesłuchać, zostały już przesłuchane – ciągnęła adwokatka. – Lund jest ostatnią osobą, która by popełniła nowe przestępstwa. Ma syna...

– Jej syn mieszka z byłym mężem.

– Ostatnio pracowała w dużym napięciu psychicznym. Była zakładnikiem i wzięła udział w dwóch strzelaninach. Przebieg jej służby w policji jest nienaganny.

Bülow się roześmiał.

– Jeśli myśli pani, że da się ją wyciągnąć, bo zwariowała, to proszę zapomnieć. Ona postrzeliła swojego partnera. Idzie do sądu.

Wstał.

– Proszę ją wypuścić – dodała adwokatka szybko – a zgodzi się, by zapoznał się pan z jej kartą psychiatryczną.

Bengt Rosling, ciągle z temblakiem po wypadku, położył na biurku teczkę.

– Jaką kartą? – zainteresował się Brix. – Myśmy jej nie kierowali na żadne leczenie.

– To nie był psychiatra policyjny – wyjaśnił Rosling. – Są pewne podstawy do przypuszczeń, że ona cierpi na paranoję i ataki niepokoju. Może mieć skłonności samobójcze.

Bülow chwycił teczkę, zapoznał się z jej zawartością i roześmiał się.

– Pan napisał to gównem?

– Poszła na leczenie za moją poradą – odrzekł Rosling. – Psychiatra potwierdził, że ma predyspozycje do depresji i nie powinna sama przebywać w celi.

– Dzięki. – Bülow machnął papierami. – Wykorzystam to w sądzie. A dlaczego Lund wyznaje nam, że jest szalona?

– Ponieważ chce pomocy! – zawołała adwokatka. – Czy taki jest pański stosunek do kwestii zdrowia funkcjonariuszy? Ja też to wykorzystam w sądzie. Zajmijmy się nią. Potem będzie pan miał trochę czasu, by przemyśleć te śmieszne oskarżenia, które, słowo honoru, zetrę na proch, jeśli się pan tak wygłupi, żeby od nich nie odstąpić. A potem wystąpimy z pozwem cywilnym o odszkodowanie za poniesione straty.

– Blefuje pani – warknął Bülow.

– Niech się pan przekona.

Pół godziny później Lund odebrała swoje rzeczy. Włożyła na powrót biało-czarny sweter, dżinsy i buty. Podpisała się, pod okiem Brixa.

– Jesteś zawieszona – powiedział. – Twoje zeznanie będzie elementem postępowania. Musisz oddać paszport. Twoje mieszkanie jest

przeszukiwane.

Przeglądała zawartość torebki. Znalazła nicotinel i wrzuciła jedną do ust.

– Miałam tu parę papierosów.

– Nikt nie dotykał twoich papierosów. Na nasze wezwanie stawisz się tu niezwłocznie.

Zgarnęła nieuczesane włosy, związała je gumką.

– Muszę zajrzeć do boks w magazynie.

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Do widzenia, Lund – powiedział i ruszył do drzwi.

– Daj mi spis rzeczy, Brix. Daj mi coś. Nie jesteś durny. Wiesz, że nie strzelałam do Meyera. Wiesz, że Leon Frevert nie zabił Nanny.

Stanął.

– Wiem, że twój przypadek nie wygląda dobrze.

– Spis rzeczy. I to wszystko.

Zawahał się.

– Przed budynkiem czeka na ciebie Bengt Rosling.

Siedział w wynajętym srebrnym renault zaparkowanym niedaleko frontowej arkady.

Lund wsiadła, nie patrząc na niego.

– Rozmawiałeś z patologiem, jak prosiłam?

– Jeśli Bülow się o tym dowie..

– Nie dowie się.

Przejrzała raport z autopsji Leona Freverta. Pokruszone zęby, rany w ustach.

– Wygląda to na obrażenia spowodowane lufą broni palnej – powiedział.

– Niezłe samobójstwo.

– Zapomnij o Frevercie. Szybko stwierdzą, że karta, którą dostali, jest podrobiona. Wpisałem tam znajomego. Magnusa. W tej chwili jest

na konferencji w Oslo. Ale może się z nim skontaktują. Ten Bülow strasznie chce się ciebie pozbyć.

– Bülow to tępak.

Ktoś zapukał do drzwi. Jansen, uczynny rudy technik kryminalistyki.

– Chciałaś to dostać. – Podał Lund kartkę. – Powodzenia.

Zniknął, zanim zdążyła mu podziękować.

– Co to jest?

– Lista rzeczy Mette Hauge z boksu w magazynie. – Przejrzała ją. – On musiał znać Mette. Było tam coś, co go z nią łączyło. Zabrał to.

Rosling spojrział na zegarek.

Wyjęła notes.

– Mamy adres, pod który jeździła Mette. To dom wynajmowany przez studentów niedaleko Christianii. Jeśli się dowiem, kto tam mieszkał dwadzieścia lat temu...

Nie wziął papierów, które próbowała mu podać. Tylko spojrział za okno. Nie na nią.

– Przepraszam – powiedział. – Nie mogę...

Czekała. Taki miły, słaby mężczyzna. Nawet nie potrafił się zmusić, żeby to powiedzieć.

– Bardzo szybko napisałaś ten fałszywy raport, Bengt.

– To nie było trudne. Większość z tego to prawda. Potrzebujesz pomocy, Sarah. Mogę ci kogoś polecić.

– Niczego takiego nie potrzebuję.

– Właśnie tak. Te impulsywne zachowania. To, jak się wiążesz z obcymi ludźmi, a nie z bliskimi. Jak walisz przed siebie, nie oglądając się na konsekwencje...

– Dość, Bengt! Kim ja jestem? Twoją kochanką czy pacjentką?

Milczenie.

- W porządku. – Sięgnęła po pas.
- Zadzwoń do ciebie ze Szwecji – obiecał.
- Jeśli chcesz.

Uruchomiła silnik. Bengt wysiadł. Lund odjechała sama w blady dzień.

Zabrali chłopców do Humleby. Pracowali tam prawie wszyscy – malowali, tynkowali, tyrali całą dobę na okrągło.

Nikt nic nie znalazł. Żadnego paszportu. Niczego dziwnego.

Anton stał przy drzwiach, wbił wzrok w podłogę. Wyglądał nieszczęśliwie.

Vagn Skærbæk przykucnął przy nim.

- Wszystkiego najlepszego, przyjacielu.

Milczenie.

- Musiałem im powiedzieć.

Skærbæk obejrzał się na Pernille.

- Tak należało zrobić. Prawda, mamo?

Ona rozglądała się po pokoju, nie słuchała.

Anton pokręcił głową.

– Mam dla ciebie prezent, mały. Ale dostaniesz go dopiero wieczorem, dobra?

Zwiniętą dłonią pchnął go lekko w ramię. Nie doczekał się uśmiechu.

- Do diabła – powiedział Birk Larsen. – Przestańcie.

Wziął Antona za rękę i zaprowadził go do piwnicy. Pernille ruszyła za nimi. Świeża farba i tynk. Nowa podłoga na ukończeniu.

- Gdzie on jest?

- W szafce – wskazał mały.

Birk Larsen otworzył metalowe drzwiczki.

Zero pieca. Zero rur.

Zero paszportu.

Pernille zmierzwiła mu włosy.

– Może to było gdzie indziej. Tu na dole było ciemno.

Mały spojrzał na ojca i spytał:

– Mogę już iść na górę?

Birk Larsen się pochylił. Przysunął do synka swoją wielką twarz.

– Anton, posłuchaj. Wiem, że ciężko się zmienia dom. – Wąskie oczy wpatrywały się w dziecko. – Ale nie musisz zmyślać takich historii. Rozumiesz?

Chłopiec spuścił głowę.

– Rozumiesz? – spytał Birk Larsen głośniej. – Mama się denerwuje. Ja się denerwuję. Możesz mówić, co chcesz. Ale w sprawie Nanny nie kłam. Nigdy...

– Wystarczy, Theis – wtrąciła się Pernille.

Anton był bliski płaczu. Położyła mu dłoń na ramieniu i zaprowadziła synka na górę.

Vagn Skærbæk stał na schodach. Kiedy tamta dwójka zniknęła, spytał:

– To było konieczne?

– Co ty wiesz o dzieciach?

– Kiedyś sam byłem dzieckiem. Znalazłeś mu psa?

– Jakbym miał na to czas...

– Mam kumpla, który nie ma jak się pozbyć szczeniaków. Może...

Birk Larsen popatrzył na niego.

– Nie chcę się wtrącać – dodał szybko Skærbæk. – Tylko chciałem pomóc.

– Myślałem, że piec już tu będzie.

– Nie ma problemu – odparł Skærbæk. – To też załatwię.

Czekali jak sępy na stopniach ratusza. Reporterzy, dziennikarze, kamerzyści, dźwiękowcy podsuwający mikrofony każdemu, kto wchodził

do środka.

Hartmann i Weber weszli razem, ramię w ramię.

Uzgodniono stanowisko. Hartmann go nie zmienił. Pomimo wszystkich dzielących ich różnic Bremer był w Kopenhadze postacią szanowaną. Jego nagła choroba wszystkimi wstrząsnęła.

– Wybory, Hartmann! – ktoś krzyknął, gdy zbliżali się do drzwi.

Odwrócił się, zczekał, aż gwar ucichnie.

– W takiej chwili życzymy Poulowi Bremerowi jak najlepiej. Nie będziemy wykorzystywali tej sytuacji do celów politycznych.

– Ale to wygodne, Troels! – krzyknął z tłumu znajomy głos.

Erik Salin torował sobie drogę przez tłum, łysa głowa błyszczała, papieros zwisał z ust. Dzierżył dyktafon niczym broń.

– Udar chyba dla nikogo nie jest wygodny, co? – spytał Hartmann.

Wszyscy skierowali uwagę na Salina.

– Bremer miał dowód, że pańskie biuro utrudniało śledztwo w sprawie morderstwa Nanny Birk Larsen.

– Jaki dowód? – spytał Hartmann, z rękoma w kieszeniach, zdumiony. – Ja nie dostałem żadnego dowodu.

– Bremer go ma.

– Nie mogę rozmawiać o czymś, czego nie widziałem na oczy.

Zachowaj spokój, zachowaj rozsądek, powiedział Morten Weber.

– Ale pozwolę sobie dobitnie oznajmić, że nigdy nie zaakceptowałbym takich poczynąń ze strony któregośkolwiek z moich ludzi.

Odwrócił się od Salina i znalazł kamery telewizyjne.

– To sprzeczne ze wszystkimi moimi zasadami. – Ręka podniesiona, palec w górze, dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów. – Jeśli kiedykolwiek zobaczę dowód, że ktokolwiek z moich ludzi posunął się

do czegoś takiego, zapewniam, że to ujawnię. A także – lekki autoironiczny uśmiech – poważnie rozważę swoją przyszłość w polityce.

Na tym skończył i energicznie ruszył do swojego biura. Rzucił kurtkę na krzesło.

Podszedł do okna.

– To było niezłe – stwierdził Morten Weber. – Naprawdę.

Meyer mieszkał w Nørrebro. Bliźniak, trochę zaniedbany. Na podwórku kosz do koszykówki, karmnik dla ptaków, choinka, hulajnogi, wózek.

Lund zaparkowała na ulicy, dwie minuty stała na podjeździe. Zadała sobie pytanie, co tu robi.

Próbowała się porozumieć z kimś w szpitalu. Wszyscy mieli zakaz rozmawiania z nią. Hanne Meyer pewnie też.

Postacie w oknie. Blondynka kołysząca płaczące dziecko. Starsza dziewczynka, też blond, patrzyła smętnie zza szyby.

Lund stanęła pod dachem wiaty. W środku było więcej zabawek. Wielki motorower. W głębi pulpit didżeja.

Po chwili wyszła na zewnątrz Hanne Meyer, już bez dziecka. Stanęła przed nią ze skrzyżowanymi ramionami. Oczy miała ciągle zaczerwienione. Twarz poznaczoną zmarszczkami.

– Jak on się czuje?

Głupie pytanie. Konieczne.

Żona Meyera wzruszyła ramionami. Była bliska łez.

– Tak samo jak po operacji. Mówią, że jeśli jego stan się nie zmieni... – podniosła oczy ku szaremu niebu – jeśli jego stan się nie zmieni, trzeba będzie porozmawiać o respiratorze. I... nie wiem.

Nie płakała. Przez lata służby Lund tak często znajdowała się w podobnej sytuacji. Po pewnym czasie poczucie tego, co nieuniknione, praktyczne, dopadało każdego.

– Nie zrobiłam tego, co mówią. Przysięgam. Kiedy tam dojechalśmy...

W spojrzeniu smutnej blondynki błysnął nagły gniew.

– Dlaczego go pani nie zostawiła w spokoju? Mówiliście, że sprawa jest zamknięta.

– Nie była. Jan też o tym wiedział. – Bez odpowiedzi. – Teraz też nie jest zamknięta.

– Jakie to ma dla mnie znaczenie? Jutro może pójde tam i będę patrzeć, jak on umiera. Mam go trzymać za rękę? Jakich mam użyć słów? Pani wie?

Lund pokręciła głową.

– Podobno mówił coś, co brzmiało jak Sarah...

Hanne Meyer przymknęła oczy.

– Jan wypowiedział pani imię. Nie moje.

– Niemożliwe. Nigdy nie mówił do mnie po imieniu. Zawsze mówił Lund. Słyszała pani przecież. Czy on kiedykolwiek nazwał mnie Sarah?

Hanne stała ze skrzyżowanymi ramionami, przymykając oczy.

– Miał na myśli coś innego. Próbował powiedzieć coś ważnego. Pamięta pani dokładnie, co powiedział?

– Dlaczego pani tu przyszła?

– Bo chcę znaleźć człowieka, który do niego strzelał. Człowieka, który zabił Nannę Birk Larsen. A także inne kobiety. Potrzebuję pani pomocy. Chcę...

– Wypowiedział pani imię. Sarah. To wszystko. – Jej oczy otworzyły się odrobinę. – I jakieś liczby. Nie wiem...

– Jakie liczby?

– Nie słyszałam.

– Jak mniej więcej to brzmiało?

– Osiemdziesiąt cztery.

– Osiemdziesiąt cztery?

Za nią otworzyły się drzwi. Wyszły dwie dziewczynki. We łzach. Zagubione.

– Powiedział coś jeszcze? Hanne?

Stała.

– Nie. Już nic nie powiedział. Nawet nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, że ja tam jestem. Okej?

Pocałowała najmłodszą, na głowie starszej położyła dłoń. Zaprowadziła je do domu.

Lund stała w przybudówce, obok choinki i żółtego motoroweru, na którym nigdy nie widziała Meyera.

Odezwał się jej telefon.

– Zadzwoiłem do kolegi w Szwecji – powiedział Bengt Rosling. – Mają dostęp do duńskich baz danych. Dostałem nazwisko z czasów, gdy Mette Hauge mieszkała w tym studenckim domu. Niejaki Paludan. Ciągle mieszka pod tym adresem.

– Świetnie.

– Jeszcze jedno. Dzwonił do mnie Magnus. Dopadli go w Oslo. Wiedzą, że podrobiłem kartę. Bülow kazał cię szukać. Samochód jest wynajęty na moje nazwisko. Nie znajdą go. W każdym razie tak sądzę.

– Dzięki – szepnęła i przez szybę wyjrzała na ulicę.

Zastanowiła się, jak to jest po drugiej stronie. Gdy człowiek nie ściga, tylko sam jest ścigany.

Troels Hartmann i Morten Weber zastali Lennarta Brixa w jego gabinecie. Przeglądał akta.

– Nie mam teraz czasu dla panów. – Brix nie podniósł nawet wzroku znad papierów.

– Prasa nas znowu nęka – powiedział Hartmann. – Myślę, że to wychodzi od pana. Chcę rozmawiać z Lund.

Teraz Brix podniósł wzrok.

– Proszę stanąć w kolejce.

Hartmann z trzaskiem rzucił swoją teczkę na biurko i spojrzał na wysokiego gliniarza piorunującym wzrokiem.

– Moja cierpliwość dla was się kończy. Proszę o odpowiedź.

– Już ją pan ma. Gdybym mógł czymś pana przygwoździć, zrobiłbym to. Tymczasem pan w telewizji błaga o głosy. Niech pan nie zgrywa ofiary. Jest pan dorosły.

Brix wstał.

– Kto wysłał Lund tę taśmę?

– Nie wiem. Pewnie wziął ją ktoś z pańskiego biura. Gdybym wiedział kto, postawiłbym tej osobie zarzuty. Ale nie wiem. Nie rozumiem, dlaczego ktoś tę taśmę zabrał i oddał ją, gdy został pan oczyszczony. I szczerze mówiąc, w tej chwili mnie to w ogóle nie obchodzi. Myśli pan, że powinno?

– To ważne? – spytał Weber.

Brix się uśmiechnął.

– Kto wie?

Wyciągnął rękę.

– Myślę, że musi pan zabiegać o kolejne głosy. Nie będę pana zatrzymywał.

Już w samochodzie Hartmann zadzwonił do biura. Odebrała Rie Skovgaard. Stawiła się jednak w pracy, żeby pracować nad jego mowami na jutrzejszy dzień. Rozmawiali, jakby nic się nie stało.

– Jeden z ludzi Bremera dzwonił ze szpitala. On chce się z tobą zobaczyć.

– Dlaczego? Myślałem zresztą, że już go wypuścili.

– Pojawiły się jakieś komplikacje. Zatrzymują go do jutra.

– Jakie komplikacje?

– Nie jestem lekarzem. Powiedziałaś, że nie masz czasu. Coś nie tak?

– Nic.

Weber przysłuchiwał się rozmowie.

Hartmann się rozłączył.

– Po powrocie do biura znajdź umowę z Rie – powiedział. – Chcę ją przejrzeć.

To już nie był dom studentów. Dawny dom Mette Hauge był teraz ładnie pomalowany i przerobiony na drogą kamienicę. Trójkołowce christiania na dzieci. Brukowane podwórko i ustronność.

Paludan okazał się szczupłym, wysportowanym mężczyzną. Gdy parkowała, akurat nadjechał na wyścigówce.

Nie pytał jej o odznakę. Chyba się niepokoił, że rozmawiają na podwórku, z dala od żony.

Pół kilometra dalej znajdowała się tak zwana wolna Christiania. Coś w rodzaju zmutowanej hipisowskiej komuny. Odkąd Lund pamiętała, rządzą tam dealerzy. Połowa z nich należała do duńskich gangów motocyklowych. Resztę stanowili Turcy i inni cudzoziemcy. Te dwie grupy prowadziły nieustanne wojny. Czasami wybuchała strzelanina.

Spytała o Mette Hauge.

Wzruszył ramionami.

– Mieszkaliśmy w jednym domu. I tyle. Nie znałem jej.

Lund przyjrzała mu się. Denerwował się. Jeszcze bardziej się zdenerwował, gdy chciała wejść do środka.

– Studiowaliście razem. Musieliście się spotykać. W kuchni. Na imprezach.

– Powtarzam: to było dwadzieścia lat temu. Studiowaliśmy. Ja byłem zajęty. Nie wciągnąłem się w prochy ani w te inne gówna jak...

Nie dokończył.

– Sypiał pan z nią? – spytała.

Paludan nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili wyjąkał:

– Co?

– Sypiał pan z nią?

– Nie! Dlaczego pani o to pyta?

– Taką mam pracę.

– Naprawdę? Proszę podać mi nazwisko i wydział.

– Niech pan posłucha. Wznowiliśmy śledztwo w tej sprawie. Jeśli coś pan wie, teraz może pan to powiedzieć.

Przez podwórko przewijali się ludzie.

– Może pani mówić ciszej? Ja nic nie wiem. – Pocił się. Pod pachami sportowej koszulki pojawiły się plamy. – Wszyscy z nią sypiali. Jasne?

Lund słuchała.

– Ja ze dwa razy najwyżej. Pewnie nawet nie zauważyła. – Przerwał na chwilę.

Lund czekała.

– Byliśmy młodzi. Wolni. Odbywały się różne imprezy. Wie pani, jak to jest.

– Niech mi pan powie.

Przez podwórko ktoś szedł. Starsza kobieta z wózkiem na zakupy przyjaźnie zawołała „Cześć”. Kiedy się oddaliła, Paludan podjął:

– Mette była urocza. Ale szalona. Zrobiłaby... wszystko. Kiedy powiedzieli, że się zabiła... – Pokręcił głową. – To idiotyczne. Może by ewentualnie przedawkowała...

– Nie przedawkowała. Ktoś ją zatłukł na śmierć. Dlaczego wtedy pan nic nie powiedział?

Oparł rower o ścianę.

– Bo się bałem.

– Czego?

Przesunął wzrok na łuk prowadzący z brukowanego podwórka.

– Ich. Mette zadawała się ze strasznymi ludźmi. Jak ktoś chciał działkę, ona zawsze wiedziała, do kogo się udać.

– Z Christianii?

– Nie sądzę. Tamtych wszyscy znaliśmy. To byli goście... jak Cyganie. Zadawali się z gangami. Może należeli do gangów. Nie wiem.

– Jakieś nazwiska?

Zaśmiał się.

– W ogóle bym nie śmiał zapytać. Jeden z nich chyba był jej chłopakiem. Może... – zakasłał. – Może niejeden. Kto wie? Mette to była Mette. Nie mówiłem nikomu, że z nią spałem.

– Znał pan któregoś z nich?

– Lata minęły... nie pamiętam. Ja tylko...

– Tę sprawę umorzono – przypomniała Lund. – Policja uznała, że Mette po prostu zaginęła. Gdyby pan wtedy zeznał...

– Właśnie wtedy się ożeniłem. Moja żona była w ciąży. To pani wystarczy?

– Potrzebne mi nazwisko.

– Nie pamiętam żadnego. To byli groźni goście. Któryś się w niej strasznie durzył.

Zastanowił się.

– Któregoś dnia wróciła z takim paskudnym wisiorkiem. Czarne serce. Pewnie ludziom w gangu podobały się takie rzeczy.

Wysoki młody człowiek, który przechodził obok, spojrzał na nich, machnął ręką i rzucił z uśmiechem:

– Cześć, tato!

Paludan próbował się uśmiechnąć.

– Wtedy wszyscy igraliśmy z ogniem jak durnie. Mette była urocza. Kiedy tak się zastanowię, myślę, że ona to przeczuwała... Jezu... – Wpatrywał się w Lund. – To straszne tak mówić, prawda?

– Nie wiem. Straszne?

– No wie pani... jakby coś się miało wydarzyć. Nie wiem co. Ale na pewno coś złego. – Pochylił się, wsadził rower na stojak i przypiął go. – I dlatego też pewnie z nikim o tym nigdy nie rozmawiałem. Widziałem, że to nadciąga. I nic nie mogłem zrobić.

Bülow szalał. Zdobył numer rejestracyjny samochodu wynajętego przez Bengta Roslinga, rozkazał natychmiast doprowadzić Lund na komendę. Tym razem żadnych poręczeń. Żadnej szansy na wyjście.

Właśnie stał przed gabinetem Brix, rzucając pogrożki jak kłown cukierki na przyjęciu urodzinowym.

– Jeśli się dowiem, że o tym wiedziałeś...

– Nie wiedziałem. – Brix wzruszył ramionami. – Skąd miałem wiedzieć?

Zadzwoił telefon. Brix zerknął na numer.

– Muszę porozmawiać z żoną. Mamy dzisiaj wyjść wieczorem.

Drugi dzwonek. Bülow ani drgnął.

– Lubisz balet? – spytał Brix.

Bülow zaklął i ruszył czarnym korytarzem.

Kiedy już się znalazł poza zasięgiem słuchu, Brix odebrał.

– W spisie rzeczy jest album ze zdjęciami – powiedziała Lund.

– Co ty wyprawiasz?

– Mette Hauge lubiła balować. Sprzedawała narkotyki. Miała powiązania z gangami. Może w Christianii. Może nie. Jeden z członków gangu był jej chłopakiem. Może niejeden.

– Lund, musisz tu natychmiast przyjechać.

– Chcę zobaczyć ten album.

– Już to przerabialiśmy. Czekaj... mam to tu.

Wrócił do gabinetu, przejrzał materiały, które zabrali z magazynu.

Album miał niebieską okładkę. Zdjęcia szkolne. Zdjęcia studenckie. Wycieczki na plażę. Imprezy.

– Nic tu nie ma.

– Albo jest na końcu, albo na początku, Brix. Tak ludzie układają zdjęcia.

Popatrz na zdjęcia najpóźniejsze.

– Znaleźliśmy paszport Nanny na podwórku Leona Freverta.

– Gdzie?

– W śmietniku.

– Bez sensu. Pozbyłby się go dwa tygodnie temu, już by go nie było w śmietniku. Musisz znaleźć to zdjęcie, Brix.

– Może go trzymał. Frevert miał jej paszport. On był ostatnią osobą, która widziała Nannę żywą. Pięć minut po tym, jak ją wysadził, zostawił wiadomość w biurze Birk Larsena. Vagn Skærbæk potwierdził, że Frevert dzwonił, że jest chory.

Usiłowała to sobie uporządkować.

– Powtórz mi...

– Natychmiast tu przyjedź! Lund! Lund!!!

Pernille Birk Larsen panikowała. Urodziny Antona. Ostatnie w zagraconym mieszkanku nad garażem. Wszędzie panował bałagan. Spakowane torby czekały na wyprowadzkę.

Anton był na przyjęciu z kolegami ze szkoły. Pernille miała go odebrać. Nie rozmawiać o paszporcie. Nie rozmawiać o niczym oprócz urodzin.

– Musisz upiec pieczeń, Theis – mówiła, szorując zlew. – Musisz odkurzyć.

Robił dzieciom kanapki z nutellą.

– Coś jeszcze?

– Nie. – Dostrzegła jego wzrok. Był w dobrym nastroju. – To wystarczy.

– I tak za pięć minut będzie naśmieccone. – Chlasnął lepkiem mazidłem na kilka kromek chleba. – Będzie tylko rodzina.

– Chcę, żeby było czysto.

Podrapał się po czole.

– Dopóki chłopcy się dobrze bawią...

Położyła dłoń na ustach. Stłumiła chichot.

– Och. Więc teraz jestem zabawny, tak?

Pernille przesunęła mu palcem po czole. Starła z niego nutellę. Pokazała mu palec.

– O cholera.

Ale się śmiał.

Torby zakrywały stół z lakierowanymi zdjęciami i wspomnieniami zatrzymanymi w czasie. Nie chciała ich ze sobą zabierać. Stół miał trafić do magazynu. Może sobie na niego popatrzy w razie potrzeby.

W pewnym momencie musieli zostawić przeszłość za sobą. Teraz już to rozumiała.

Przyciągnął ją wielkim ramieniem. Poczowała pocałunek na policzku. Czarna skóra i pot, szorstka broda.

Wciąż toczyła wzrokiem po pokoju, spojrzała na ściany, na których kiedyś wisały zdjęcia, na miejsca po roślinach, blady ślad po tablicy korkowej. Nagle zaczęła płakać i nie wiedziała, dlaczego. Wiedziała tylko, że to nie są złe łzy i że miną. Ciasny, okrutny krąg, który otworzył się w chwili śmierci Nanny, stopniowo się zamykał, godzina po godzinie, dzień po dniu. Zawsze będzie. Ale z czasem stanie się ich częścią, zaakceptowaną, jak znajoma blizna, która już nie boli, choć wiemy o jej istnieniu.

– Będiesz tęsknić za tym mieszkaniem? – cichy pomruk w jej uchu.

- Tylko za szczęściem. I wszystko możemy odbudować.
- Otarł jej policzki grubymi paluchami całymi w bliznach.
- Trzymała go mocno. A on ją.
- Chyba teraz zrobię to lepiej, kochanie.
- No pewnie. No pewnie.

Dwadzieścia minut później odebrała Antona z przyjęcia. Nie wyglądał na zmęczonego. Nie wyglądał na szczęśliwego.

- Pamiętałeś, żeby nie jeść za dużo? Tata gotuje.
- Nie jadłem za dużo.
- Rozdałeś przyjęcia na parapetówkę za tydzień?
- Tak.

Spojrzała na niego w lusterku i uśmiechnęła się.

- Dziewczynkom też?
- Dziewczynkom też – westchnął.

Nie chciał rozmawiać. A ona tak.

– W końcu szykują piwnicę – powiedziała więc. – Dom się robi naprawdę śliczny.

Kręcił głową to w jedną, to w drugą stronę. Patrzył na Vesterbrogade w deszczu.

- Ciągłe jesteś zły na wujka Vagna, że nam powiedział?

Na sekundę obejrzała się, by na niego spojrzeć.

– Teraz, jak już wiemy, że nie było paszportu, wszystko jest lepiej, prawda?

– Ktoś go musiał zabrać – odparł ostrym tonem, od którego zaparło jej dech. – Ktoś musiał.

- Nie! Nie zabrał! Boże... Anton. Dlaczego ty wymyślasz takie rzeczy?

Stulił ramiona i nic nie powiedział.

– Nikt go nie zabrał. Czasami... – Znowu zerknęła w lusterko. Przynajmniej słuchał. – Czasami widzisz rzeczy, których tak naprawdę nie ma.

Teraz on też patrzył w lusterko, usiłując spojrzeć jej w oczy.

– To prawda, Anton, no nie?

Chłopiec siedział w foteliku z ciasno splecionymi ramionami. Z oczyma utkwionymi w lusterku.

Łagodnym, przestraszonym głosem spytała:

– Po co by go ktoś zabierał?

– Żebyście się z tatą nie denerwowali.

Ciągle patrzył na jej odbicie.

– Jak myślisz, kto by go mógł wziąć?

– Kto?

– Ja już nic nie będę mówił. Nigdy.

Wbił wzrok w okno.

Kiedy dotarli do domu, pobiegł prosto na górę. Pernille udała się do biura. Wyciągnęła kalendarz i rozpiski. Znalazła zlecenia z tamtego weekendu. Nazwę firmy. I numer.

Zadzwoiła, połączyła się z pocztą głosową.

– Mówi Pernille Birk Larsen. Mieliśmy dla państwa wykonać zlecenie. Jeden z naszych pracowników je odwołał. Chciałabym prosić o kontakt, żebyśmy mogli wyjaśnić nieporozumienie. Dziękuję.

Lund zostawiła wynajęty wóz dwie przecznice od domu w Humleby, w ślepych zaułku, z dala od ulicy. Potem przez deszcz, zasłonięta kapturem, przeszła na drugą stronę wąskiej jezdni. Czerwona ciężarówka stała przed domem. W środku się świeciło. Drzwi były otwarte. Weszła bez pukania. Na parterze nikogo nie znalazła. Tylko wiadra z farbą, drabiny, folie, pędzle.

Ktoś wychodził z piwnicy.

Lund stała w pokoju i czekała. To był Vagn Skærbæk. Zatrzymał się u szczytu schodów, w cieniu. Miał na sobie, jak zwykle, czarną czapeczkę, a także bluzę pochłapaną farbą, taszczył pudło z narzędziami.

– Bardzo przepraszam, że panu przeszkadzam, Vagn...

– O Jezu. Tylko nie pani.

Minął ją, przeszedł w głąb pokoju.

– Chodzi o Leona Freverta. Kilka pytań.

– Byle szybko. Idę na przyjęcie urodzinowe.

– Leon zostawił wiadomość na sekretarce. Ona jest tam jeszcze?

Skærbæk stał w świetle, kręcąc głową.

– Tamten facet też mnie o to pytał. Czy wy ze sobą nie gadacie?

– Proszę mi powiedzieć.

– Nie. Skasowałem ją. Nie wiedziałem, że to ważne. Dla mnie nie było.

Po prostu ktoś nie mógł przyjść do roboty.

Porządkował narzędzia, odkładając je na swoje miejsce w skrzynce.

– A co on dokładnie powiedział?

– To było trzy tygodnie temu. Pani by pamiętała dziesięciosekundową wiadomość?

– Proszę się postarać.

Skærbæk spojrzał w sufit.

– Coś, że jest chory. W tamten weekend nie mógł pracować.

– Coś jeszcze?

– Nie. I ja do niego nie oddzwaniałem. Wkurza mnie, jak ludzie tak nie przychodzą w ostatniej chwili. Mieliśmy szczęście, że klient zrezygnował.

Lund przechadzała się od jednej pomalowanej ściany do drugiej.

– Jak to brzmiało? Bał się? Mówił jakoś dziwnie? Powiedział, że...?

– To była wiadomość na sekretarce. Mówił jak Leon.

Spojrzała na niego. Pomarszczona twarz, ciągle dziecięca. Srebrny łańcuch. Smutne, zbolące oczy.

– Wspomniał o Nannie?

– Nie sądzi pani, że wtedy i ja bym wspomniał?

Sięgnął po szmatkę, wytarł ręce, spojrzał na zegarek, a potem na granatową kurtkę rzuconą w kąt.

– Dlaczego zadzwonił do firmy? A nie do pana?

– Wszyscy dzwonią na ten numer. Jeśli nikt nie odbierze, przekierowuje na mnie.

– Rozumiem.

Zastanowiła się.

Wyobraziła to sobie.

– Więc Leon Frevert dzwoni do firmy, myśląc, że dzwoni do Theisa i Pernille. A dzwoni do pana.

Przerwał wycierać ręce. Stał nieruchomo. Bardzo nieruchomo. Wpatrzony w nią.

– Nie. Odsłuchał mój komunikat. Już mówiłem. Ja byłem u wujka. Odebrałem wiadomość następnego dnia rano, kiedy poszedłem do pracy.

Zastanowiła się.

– To wszystko? – spytał. – Chciałbym powyłączać światła. Dzisiaj urodziny Antona. Idę tam. Nie zatrzyma mnie pani.

– Nie.

Zbiegł na dół. Podążyła za nim do piwnicy. Drzwi prowadzące do nich były stare. Miały zamek. I klucz.

– Czy Leon kiedyś wspomniał o Mette Hauge?

Zbierał przenośne lampy, zwijał kable.

– Nie.

– Należał do gangów?

– Nie wiem! Niech pani posłucha. Mamy po dziurki w nosie pani pytań. Jasne? – Podszedł do drabiny, zaczął wiązać buty. – Chcemy o tym zapomnieć.

Lund rozejrzała się po piwnicy.

– W kółko o tym łajdaku Frevercie. Co robił. Nie chcemy o tym myśleć.

Nowa drewniana podłoga. Sprężysta i lśniąca. Szybko położona. Ścianę w głębi zakrywała świeża płyta wiórowa, pozostałe trzy nie.

– Już mamy dość tego gówna.

Dotarł prawie do schodów, wkładając kurtkę, gotowy do wyjścia.

– Musicie nas zostawić w spokoju. Rodzina tyle przeszła...

Sarah Lund obracała się powoli, o trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Potrzebują spokoju.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

Sami w pustym domu w Humleby, tylko we dwoje. W oczach Vagna Skærbæka coś, czego wcześniej nigdy nie widziała. Cień zrozumienia. Wiedzy.

Domyślała się, że na jej twarzy też jest ten cień.

– Coś nie tak? – rzucił Skærbæk.

Miał pod ręką te wszystkie narzędzia, młotki, dłuta.

Starala się nie patrzeć. Nie pokazać, że się boi.

– Coś nie tak? – powtórzył.

Był bystry. Cały czas to wiedziała. Spojrzał po sobie. Na bluzę, którą właśnie włożył.

Stara. Granatowa. Logo igrzysk olimpijskich. I napis.

„SARAJEWO 1984”.

Ulicą przejechał samochód. Białe światło latarni wpadało przez barwioną szybę. Przechodzili ludzie. Słyszała stukot kół wózka albo christianii. Śmiech. Brzęk kluczy w kieszeni. Kroki na pobliskich schodach.

– Coś jeszcze? – naciskał Vagn Skærbæk.

Jakiś czas to trwało, ale w końcu powiedziała, że nie. Potem podeszła do schodów i ciężkich drzwi z zamkiem i kluczem.

Coś się działo w jego głowie. Nie wiedziała co.

Stanął jej na drodze.

Bystry człowiek. Może też przestraszony, jak ona. Jabłko Adama poruszało mu się w górę i w dół. Na czole połykiwał pot.

– Czy to jasne? Nie będzie więcej pytań?

Nie mogła oderwać wzroku od jego zbyt młodej twarzy. Widziała na niej ból, wstyd. Świadomość, kim i czym jest.

Odwróciła się.

– Chyba tak, Vagn – powiedziała. – Ma pan rację.

Powoli, bardzo powoli odsunął się na bok.

Trzęsła się jeszcze na ulicy. Przeszła na drugą stronę, znalazła inny pusty dom, w remoncie, cztery budynki dalej. Oparła się o brudną ścianę w bocznej uliczce, skulona, szczękając zębami.

Odczekała trzy, cztery minuty, aż zobaczyła, jak gaśnie ostatnie światło. Skærbæk wyszedł, rozejrzał się po ulicy. Wsiadł do czerwonej ciężarówki. Na fotel kierowcy wcisnął kolorową torbę. I odjechał.

Lund spojrzała na swój telefon. Zastanowiła się. Wróciła do domu Birk Larsenów i znalazła tylne drzwi. Cegłą wytłukła szybkę. Starannie usunęła kawałki szkła. Wymacała klucz po drugiej stronie i weszła do środka.

Lund zadzwoniła do Jansena, rudego technika, któremu Brix powierzył sprawę Mette Hauge.

Porządny człowiek. Tak cichy, że aż małomówny. Kazała mu wejść przez sforsowane tylne drzwi i znaleźć ją na dole, kierując się hałasem.

Zaczęła od ściany. Płyta wiórowa. Łatwo podważyła ją oskardem. Gdyby za nią znajdowały się plamy krwi, powinna je zobaczyć. Na podłodze leżały

zbite ciasno deski. Z nimi nie miała szansy sobie poradzić.

Zanim dotarł, oderwała jedną trzecią płyty. Podłogę zaścielało rozwalone drewno. Wyglądało na to, że pod spodem jest zwykły tynk. Sądząc z wyglądu, ostatnio umyty.

– W życiu cię nie zaproszę na imprezę dla majsterkowiczów – powiedział Jansen. – Podali twój numer rejestracyjny. Wszyscy mają obowiązek cię aresztować i odstawić do tych śmiesznych gnojków naprzeciwno.

Chyba nigdy nie wypowiedział tak długiego zdania.

– Z podłogą nie dam rady – powiedziała, podając mu łom. – Możesz od niej zacząć?

Jansen pracował z nią od lat. Niejedno widział. Lubił ją.

– O rany. – Spojrzał na nowe deski. – Ktoś tu się bardzo spieszył.

– Powiedziałaś komuś?

– Tak. Że jadę do domu.

– Na górze jest więcej narzędzi, gdybyś potrzebował.

– Oni cię znajdą, Lund.

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Dzięki. Pożyczysz mi telefon?

Podał jej.

– Ile mam odsłonić?

– Tyle, żebyśmy coś znaleźli. – Ruszyła na górę znaleźć zasięg. – Nie mamy dużo czasu.

Bülow siedział znowu w gabinecie Brix, rozpaczliwie szukając tropu.

– Jeśli wiesz, gdzie jest Lund, przysięgam, że pójdziesz na dno razem z nią.

Brix pokręcił głową.

– Dzwoniła. Nie powiedziała skąd.

– Namierzyliście rozmowę?

– Zdaniem Lund Frevert nie zabił dziewczyny. Ani nie strzelał do Meyera.

– Ona strzelała do Meyera.

Brix wytrzeszczył na niego oczy.

– Wygląda na to, że Frevert został zamordowany.

– Chcę Lund! Namierzcie ją!

– Ma wyłączone komórki. Ona nie jest głupia. Jeśli chodzi o namierzanie ludzi, jest najlepszym policjantem w tym budynku.

– Ona sfałszowała dowody, Brix. Zniknęła. Zwariowała. A i tak... – Zabrakło mu tchu. Wrzasnął: – A i tak ktoś jej pomaga! Jeśli się dowiem, że to ty...

Zadzwoił telefon Brixa.

Spojrzał na numer i od razu przyłożył aparat do ucha.

– Mówi Lund. Możesz rozmawiać?

– Nie sądzę, żebym zdążył na koncert. Daj mi chwilę.

– Jak sądzisz, co na to powie minister sprawiedliwości? – warknął Bülow.

Brix nic nie powiedział.

– Będziesz sobie oglądał balet do końca życia. – I wyszedł ciężkim krokiem.

– Tak? – odezwał się Brix do telefon.

– Znalazłeś zdjęcie? – spytała Lund.

– Musisz tu natychmiast przyjechać.

– Wiem, kto to jest, Brix. Wiem, dokąd zabrano Nannę z mieszkania liberałów. Gdzie ją pobito i zgwałcono. Vagn Skærbæk. Przyślij mi techników.

– Znaleźliśmy paszport dziewczyny.

– Vagn go podłożył. Nie mamy na to czasu. Przyślij kogoś.

Brix spojrział za okno. Bülow ciągle wygłaszał kazanie do funkcjonariuszy.

– To znaczy dokąd?

– Küchlersgade w Humleby.

– To dom Birk Larsena.

– Tak. Musimy się spieszyć. Vagn wie, że go dopadłam.

Pośród plastikowych toreb, walizek, kartonów Anton rozpakowywał prezenty. Wędka. Łódka. Zestaw magiczny, kilka długopisów i książek do szkoły. Lotte pomagała przy stole. Theis Birk Larsen miał na sobie swój fartuch kucharski, serwował napoje, wino dla dorosłych, sok z pomarańczy dla chłopców.

Frytki w panierce. Spora pieczeń wieprzowa. Wyjął mięso z piekarnika, odstawił na bok.

– Powinno odpocząć – zerknął na Pernille. – Nie sądzisz?

Obejrzała się na wieprzowinę, patrzyła, jak Theis sięga po folię i zawija pieczeń.

– Rozmawiałam z Antonem o paszporcie.

Jego nastrój przygasł.

– Co? Paszportu nie ma. Patrzyliśmy.

– Anton uważa, że Vagn go zabrał.

Ciągle oporządzał mięso.

– Przecież uzgodniliśmy, że nie będziemy już rozmawiać o tych bzdurach.

Chłopcy zaczęli się kłócić. Lotte próbowała ich uspokoić.

– Zostawiłam wiadomość tym ludziom, których Vagn odwołał. W tamtą sobotę.

Wygładził folię na brzegach, prawie nie patrząc na żonę.

– Dlaczego to robisz? To urodziny Antona...

Jej wielkie oczy płonęły. Podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w twarz.

– Bo coś jest nie w porządku, Theis! Nie czujesz tego? Nie...

Pocałował ją szybko.

Chropawy policzek. W oddechu piwo. Dużo piwa, pomyślała.

Weszła Lotte i spytała, czy im pomóc. Zadzwoił telefon.

– Zjrzyj do ziemniaków, Lotte – poprosiła Pernille.

On się śmiał.

– Gdzie jesteś, u licha? – spytał.

Potem posłuchał i przyłożył palec do ust.

– Ćśś...

I zszedł na dół.

Buda stała przy drzwiach garażu. Całkiem nowa. Z ceną, którą Vagn Skærbæk szybko zerwał, gdy podszedł Theis Birk Larsen.

– Co ty wyprawiasz, do diabła?

Skærbæk zgromił go wzrokiem.

– Nie zepsuj tego!

Wziął płachtę papieru, zakrył nim budę i uśmiechnął się szeroko.

– Przechodziłem koło tego sklepu. Trzymali to na zewnątrz.

Birk Larsen zajrzał pod zasłonę.

– Musiała kosztować majątek.

– Chłopcom się spodoba pies. – Uśmiechał się. Elegancko ubrany w czarną marynarkę i białą koszulę. Wyglądał inaczej. Starzej. Jakoś poważniej. – Ja zawsze chciałem mieć psa.

Uśmiechał się jakoś dziwnie.

– Na miłość boską. Nie mamy psa.

– Skołowałem z Polski.

Birk Larsen stał w swoim niebieskim fartuchu i najlepszej koszuli. Zaczynał się niecierpliwić.

– Masz psa z Polski?

– Tak. Ja zdobęde wszystko, co chcesz, Theis. Pamiętasz? Znam gościa, który je sprowadza...

– Vagn.

– Nie złość się na mnie. To wspaniały pies. Rasowy i w ogóle. Miła niespodzianka.

– Wielka niespodzianka – burknął Birk Larsen. Rozejrzał się po garażu. – Więc gdzie on jest, do diabła?

– Wieczorem go odbierzemy. My dwaj. Po kolacji. – Wskazał budę. – Nie odsłaniajmy jej na razie, dopóki nie odbierzemy psa, dobra?

Birk Larsen potrząsnął głową. Wydało mu się, że słyszy coś w pobliżu. Jakieś skrobanie. Czas wyłożyć trutkę na szczury.

– Czasem się czuję, jakbym miał jeszcze jedno dziecko.

– Dzieci to cały świat – powiedział Skærbæk. – Muszę napisać kartkę z życzeniami.

– A potem dorastają. Idę skończyć kolację.

Spojrzał na biuro.

– Zapomniałem przełączyć rozmowy na górę.

– To urodziny, Theis.

– To biznes.

– Ja to zrobię – zaofiarował się Skærbæk. Wypisywał jasnożółtą kartkę urodzinową. – Jak już to napiszę. Ty idź do chłopaków.

Vagn Skærbæk odprowadzał Theisa wzrokiem. Wypisał Antonowi życzenia. Usłyszał znajomy komunikat na sekretarce.

– To firma Birk Larsen. Przeprowadzki. Proszę zostawić wiadomość.

Piknięcie.

„Dobry wieczór – odezwał się drętwy i poirytowany głos. – Mówi Henrik Poulsen z HP Office Supplies”.

Skærbæk przerwał pisanie, rozejrzał się, sprawdził, czy jest sam, po czym wszedł do biura.

„Dzwoniła pani w sprawie przeprowadzki, którą zamówiliśmy na pierwszy weekend listopada – ciągnął głos. – Szczerze mówiąc, byłem wówczas bardzo rozczarowany. Zaplanowaliśmy to z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. I nagle wasz człowiek odwołuje wszystko w ostatniej chwili. To było bardzo niefortunne. Jeśli potrzebuje pani więcej informacji, proszę zadzwonić do mnie do domu. Mój numer...”.

Zaczekał, aż nagranie się skończy, wyjął taśmę z maszyny, wsadził do kieszeni. Po czym przełączył rozmowy na górę.

Rie Skovgaard znowu była pogodna i radosna, pokazując mu sondaże. Wyglądały tak, jak przewidywał Weber. Wyścig dwóch koni z Hartmannem na przedzie. Choroba Bremera wywołała współczucie, ale ono nie przekładało się na wsparcie. Jeśli już, to wzmocniła szanse Hartmanna, zamiast je zmniejszyć.

– Rozmawiałam z kolegą w policji – powiedziała Skovgaard. – Coś tam się dzieje. Nas to nie dotyczy.

Hartmann wziął karafkę brandy, nalał sobie i nic nie powiedział.

– Nie ma się czym przejmować. Tymi bzdurami, które rozpowszechnia Erik Salin. To...

Skierował na nią wzrok.

– Czczą gadanina. – Mówiła prawie szeptem. – Czy nie powinniśmy o tym porozmawiać na osobności, Troels?

Weber uniósł się na krześle.

– Morten zostaje – zatrzymał go Hartmann.

Brandy była stara i droga. Poczuł ogień w gardle, i w głowie.

– Przykro mi – powiedziała – jeśli czujesz, że cię w jakiś sposób zawiodłam.

Hartmann popijał mocny trunek, myślał o nocy na Store Kongensgade. Wtedy czuł się mniej więcej tak samo. Jakby nic się w sumie nie liczyło. Jakby nie miał kontroli nad losem.

– Dam ci wybór, Rie. Albo powiesz mi prawdę o nagraniu, o mieszkaniu i pójdziemy na policję. Albo poniesiesz konsekwencje.

Skovgaard wpatrywała się w niego, kręcąc głową. Morten Weber wiercił się przy stole.

– Co do...?

– Poradzę sobie – przerwała mu. – O czym ty mówisz, Troels?

– Nie okłamuj mnie już. Ja wiem. Poszłaś mnie wtedy szukać. Pojechałaś na Store Kongensgade. Kiedy zobaczyłaś, jak tam wygląda, uznałaś, że stało się coś złego. W poniedziałek, gdy policja już tu weszła, pomyślałaś, że jeśli nikt do tego mieszkania nie zajrzy przez parę tygodni, to sprawa przycichnie.

Roześmiała się.

– Gadasz większe bzdury niż Lund. Ja byłam na konferencji.

– Dopiero o dziesiątej.

– Jeśli to znowu jakieś gówno od Bremera...

– Czy to był ktoś z Parlamentu? Twój ojciec? Czy on ci kazał pomataczyć, żebyś chronić jego marionetkę?

Rie otworzyła usta.

– Czy to twój własny ruch na drodze do kariery?

Jasne oczy wypełniły się łzami.

– Jak w ogóle możesz tak myśleć?

– W twojej umowie jest klauzula o rażącym przewinieniu. Idź do domu i ją przeczytaj. Masz natychmiast stąd wyjść. Nie chcę cię więcej widzieć. W tym biurze. Ani nigdzie. Czy to jasne?

Wstał i podszedł do okna. Zabrał ze sobą brandy. Popijał ją w świetle niebieskiego neonu.

Podążyła za nim.

– Gdybym myślała, że to ty zabiłeś tę dziewczynę...

Hartmann nawet na nią nie spojrział.

– Myślisz, że zostałam z tobą? Zrobiłam to dla nas...

Odwrócił się, z szaleństwem w oczach.

– Wiedziałem! – ryknął. – Wiedziałem, że ty to zrobiłaś! Wiem, czym dla ciebie byłem! Szczeblem w drabinie. Środkiem prowadzącym do celu.

– Troels...

– Wynoś się!

Stanął za nią Weber. Położył jej rękę na ramieniu. Skierował do drzwi.

– Nie dotykaj mnie, Morten! – krzyknęła i wyrwała mu się.

Hartmann odwrócił się z powrotem do okna. Spojrział na miasto za szybą.

– To są jedyni ludzie, którzy się dla ciebie liczą – rzuciła jeszcze Rie. – Prawda? Ty nie chcesz miłości. Chcesz pochlebstwa. Chcesz...

– Odejdź. – Nawet na nią nie spojrział. Machnął ręką. Nie słuchał jej przekleństw ani krzyków.

A potem ona naprawdę odeszła. Wraz z jego jedyną szansą na zdobycie Kopenhagi dla siebie. Bitwa przegrana. Jedyne zwycięstwo, które się liczyło, stało się nieosiągalne.

Wrócił do brandy i dolał sobie do szklanki. Myślał, że jest sam.

Dźwięk.

– Troels – odezwał się Morten Weber. – Musimy pogadać.

– Zadzwoń po wóz – polecił Hartmann. – Chcę odwiedzić Bremera w szpitalu.

– Musimy pogadać...

W głowie czuł ogień, i to nie od brandy. Odwrócił się i zaczął krzyczeć wysokim głosem, szalonym, nienależącym do schludnego, wymanikiowanego, sfabrykowanego manekina, w którego się zamienił.

– Czy w tym biurze chociaż jedna osoba zrobi, kurwa, to, o co proszę? Jeszcze nigdy nie widział, żeby Morten Weber tak na niego patrzył.

– Oczywiście, Troels. Chciałem tylko...

Hartmann cisnął szklanką brandy w okno. Rozbił szybę. Do środka wpadło zimne powietrze, owiało go, schłodziło skórę.

Alkohol. Działanie. Fizyczne odczucie miłości. To wszystko go napędzało. A ostatecznie i tak docierał w to samo ponure miejsce, w nicość.

– Przepraszam – powiedział swoim dawnym, spokojnym głosem. – Myślałem, że ona...

Kopnął rozrzucone szkła.

– Myślałem, że jej zależy na mnie. Nie... – spojrzał na plakat na ścianie, z którego uśmiechała się jego młoda twarz – ...nie na tamtym.

– Oni wszyscy chcą tamtego – odparł Weber cichym, smutnym głosem. – To polityka, tu nie chodzi o prawdziwych ludzi. Ludzie chcą figurantów. Idoli, których mogliby oglądać od wzlotu do upadku, i mówić: Ej, patrz, oni są tacy jak my. Słabi, ludzcy i przekupni. W taką właśnie grę gramy.

– Powiedz policji o mieszkaniu. O taśmie. Braliśmy udział w utrudnianiu śledztwa. Brix będzie wiedział, co robić.

– Teraz? Za późno. I spotykasz się z Bremerem. Czemu nie... Nie wiem... Poszukam jeszcze jakiegoś sposobu, żeby to się nam przydało.

– To się nie przyda.

– Troels, jeśli pójdziemy na policję, będziesz skończony. Za późno na powrót do przeszłości. Już po tobie.

Hartmann spojrzał na niego groźnie.

– Dzwon na policję – rozkazał. – Nie naprawisz tego.

Jansen oderwał trzecią deskę. Lund patrzyła na betonową podłogę pod spodem. Oboje byli pokryci pyłem, tynkiem, trocinami, kawałkami płyt.

Lund opadła na kolana, przyłożyła twarz do zimnej posadzki pod deskami.

– Daj mi lampę. – Położyła jasną żarówkę obok legara i zajrzała pod spód. – Myślę, że najpierw zrobili tę część – powiedziała w pustkę. – Gdzie, do cholery, Brix z posiłkami? – Wyciągnęła rękę. – Młotek.

Jansen wsadził jej narzędzie do ręki. Zębami obucha sięgnęła daleko wzdłuż deski i podważyła ją. On wsunął łom w powstałą szparę. Kolejny fragment starannie położonej, nowiutkiej podłogi oderwał się od mocowań.

– Widzisz coś? – spytał.

– Nie położyłby jej tak od razu. Najpierw wyczyścił podłogę. Wybielaczem. Myślę, że to samo jest na ścianach.

Wstała. Biało-czarny sweter był bardzo brudny od pyłu i kurzu.

Światło na zewnątrz. Reflektory przesunęły się przez wąskie niebieskie okno.

– W samą porę – powiedziała Lund. – Ściągnijcie resztę i zobaczmy, co tam jest.

Poszła na górę. Brix stał przy swoim czarnym volvo.

– Zgarnąłeś Skærbæka? – spytała.

– Nie.

Włożyła kurtkę. Rozejrzała się.

– Gdzie posiłki?

Od lewej szedł ku nim Bülow. Po prawej wysiadał z samochodu Svendsen. Jeszcze nie widziała go w tak radosnym wydaniu.

– Ty głupi draniu – syknęła do Brixa.

– On wykonuje swoje obowiązki – odezwał się Bülow. – Ty też powinnaś.

Brix spojrział na nią i wzruszył ramionami.

– W tej piwnicy nic nie ma, Lund. Już tam szukaliśmy.

– Wtedy szukaliście Freverta. Nie Nanny.

Svendsen podszedł i chwycił ją za ramię.

– Jesteś aresztowana – oznajmił.

Wyrwała mu się i stanęła przed Brixem.

– Frevert dzwonił tamtej nocy do Birk Larsena. Chciał powiedzieć, że wiozł Nannę i że ona gdzieś wyjeżdża. Ale jego wiadomość trafiła do Vagna Skærbæka.

Svendsen znowu sięgnął do jej ramienia.

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęła. – Brix! Posłuchaj! Skærbæk pojechał do mieszkania. Wziął kluczyki do samochodu, z którego skorzystał Hartmann. Ukrył ją tu w piwnicy. Jeśli...

– Możesz sobie to wszystko wyrzaskiwać na komendzie – przerwał jej Bülow.

Usiłowała się wyrwać machającemu rękami Svendsenowi.

– To Skærbæk strzelał do Meyera. On nie mówił Sarah. Mówił Sarajewo. Osiemdziesiąt cztery. Spójrz na bluzę Skærbæka. Cholera! – Svendsen chwycił jej ramię i wykręcił do tyłu. – Powiedz im wszystkim o brakującym zdjęciu, Brix. Powiedz im!

Nagle już nie mogła się ruszyć. Ciągnięto ją do radiowozu.

– Skærbæk położył nową podłogę. Zakrył ściany. Sprawdź! Zgarnij go, zanim zabije kogoś jeszcze...

Svendsen chwycił ją za długie włosy i wepchnął na tył radiowozu. Potem usiadł z przodu, obok innego mężczyzny siedzącego na fotelu pasażera. Zablokował tylne drzwi.

Z domu wynurzył się Jansen i podszedł do Brixa.

– Tam na dole coś jest?

– Ja nic nie widzę – powiedział technik. – Co nie znaczy...

– Zabierajcie się stąd – rozkazał Bülow. – Przyślę ludzi, żeby naprawili te szkody po Lund. Za to też będziemy musieli zapłacić.

Ruszył do swojego samochodu.

– Czekaj.

Przysadzisty mężczyzna z biura prokuratora odwrócił się i spojrzał krzywo.

– Twoja robota to oskarżenie Sarah Lund – powiedział Brix – ale ja prowadzę Wydział Zabójstw.

– Twoja sprawa jest zamknięta. Odetnij się od tej obłąkanej suki, póki nie jest za późno.

I ruszył dalej.

– Ściągnij całe laboratorium – polecił Brix Jansenowi. – Wszystkich dostępnych ludzi. Sprawdzamy tę piwnicę.

Bülow odwrócił się i pokręcił głową.

– Zwiniemy się, jak ja powiem – dodał Brix.

– Już się robi. – Jansen chwycił za telefon.

Odśpiewali urodzinową piosenkę. Pobawili się w orkiestrę. Każdy przy stole udawał rękoma jakiś instrument.

Czapeczki, prezenty. Tort. Świecek i malutkie duńskie flagi.

Toast wzniesli winem i sokiem z pomarańczy. Vagn Skærbæk w swoim najelegantszym ubraniu uśmiechał się jak dumny wujek, promiennie.

Pernille patrzyła na niego. Czasami taki młody, chociaż pod oczami miał worki, które wcześniej widywała nieczęsto. I chyba zaczął farbować siwiznę.

Vagn stanowił część ich rodziny od tak dawna, że nie pamiętała, kiedy to się zaczęło. Od Theisa. Wszystko się zaczęło od Theisa. W tym szalonym pędzie, gdy ona była w ciąży z Nanną, gdy uciekali i brali ślub. Gdy

przekonywała go, żeby zostawił dorywcze zajęcia i się ustatkował. Założył własną firmę.

Drobny, nieśmiały, czasami przerażony Vagn zawsze był gdzieś w tle. Zawsze chętny do pomocy. Zawsze miał miłe słowo. Zawsze przedkładał czyjś interes nad swój.

Teraz widziała, jak on patrzy na chłopców, i z każdą sekundą utwierdzała się w przekonaniu, że to, co kiedyś wydawało się takie właściwe, takie naturalne, było bardzo złe. Co prawda nie rozumiała dlaczego. Nie z powodu jakiegoś konkretnego faktu, raczej na skutek szeregu okoliczności i przeczuć, których jakoś ciągle nie umiała połączyć.

– Chłopcy są cudowni. – Vagn uśmiechnął się do niej tym swoim niewymuszonym, szczerym uśmiechem, który przyjmowała za oczywistość.

Może widział w nich siebie. Albo chłopca, którym kiedyś był.

– Jedzenie jest naprawdę cudowne.

– Miło mi, Vagn – powiedziała cicho.

I chciała spytać: dlaczego?

Theis właśnie wstawał, odchrząknął i oznajmił, że chce wygłosić kilka słów.

Jakże by inaczej, pomyślała. Kochała tego mężczyznę, ale wiedziała, że w pewien sposób on stanowi dla siebie samego zagadkę równie wielką jak dla niej.

– Przede wszystkim – oznajmił Theis głosem niby poważnym, chociaż może nieświadomie – chciałbym życzyć wszystkiego najlepszego Antonowi. Mam nadzieję, że ten dzień minął mu mile. Mały ptaszek powiedział mi...

Mężczyzna po drugiej stronie stołu przyłożył dłoń do ust i zachichotał.

– ...Że wujek Vagn ma dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.

Stanął obok niej jak skała, jak wielkie drzewo w lesie. Teraz co prawda trochę rozkołysane. Zniknął dawny arogancki bandzior.

Schylił się, sięgnął po jej dłoń leżącą na stole i delikatnie ją nakrył.

– Lotte – wzniosł kieliszek. – Anton. Emil. Vagn.

Nie płakał. Nigdy nie płakał. Nie na jej oczach. Ale teraz niewiele brakowało.

– Bez was tym razem nie dalibyśmy rady. – Ścisnął jej rękę. – A ja z niczym bym nie dał sobie rady – wąskie oczy, nieprzeniknione, czasami przebiegłe, spoczęły na niej – bez mojej Pernille. Mojej słodkiej Pernille. Niedługo będziemy mieli nowy dom. I wszyscy tam będziecie mile widziani. Nowy początek. Nowe...

Wielkie drzewo zachybotowało się. Wszyscy przy stole zamilkli.

– Na zdrowie – powiedziała Pernille, wznosząc kieliszek.

– Na zdrowie – powtórzyli Lotte i Theis.

– Na zdrowie – dołączyli chłopcy ze swoim sokiem pomarańczowym.

Vagn przełknął wielki łyk piwa i ryknął:

– Zdrowie wasze w gardła nasze!

Chłopcy zachichotali. Zakrył dłonią usta i zarumienił się.

Pijacki toast. Nie dla dzieci. Ale może Vagn tego nie wiedział. Może istniała granica pomiędzy chłopcem, którym chciał być, a dorosłym, którym się stał. Pierwszy, wrażliwe dziecko, szczęśliwe i wolne, stawało się prawdziwe. Drugi, dorosły, żalony, udręczony, samotny, uciekający w fantazje.

Rano zadzwoni do Lund. Pogada z nią. Wiedziała, że ta kobieta jej wysłucha. Do tego czasu...

Patrzyła, jak Vagn uśmiecha się do Antona i Emila.

Do tego czasu żadnego członka swojej rodziny nie spuści z uważnego oka.

Zadzwonił telefon.

Vagn Skærbæk wstał od stołu, podszedł do aparatu, z trudem odrywając wzrok od chłopców.

I od Pernille. Wyglądała na... przejętą. Jakby była szczęśliwa. Jakby coś, jakaś tajemnica, wychodziła właśnie na jaw.

– Halo? – powiedział. – Rezydencja Birk Larsenów.

– Mówi Rudi. Jest tam Theis?

Patrzyła na niego ponad balonami, ponad prezentami.

Uśmiechnął się.

– Cześć.

Lekko.

– Co jest?

– Przejeżdżałem koło domu. Znowu tam jest policja.

Ciągle się uśmiechał.

– Co to znaczy?

– Są w piwnicy i przed domem. Całe tłumy. Tak ma być? Myślałem...

– No tak – odparł. – Nic się nie dzieje. Zaraz tam pojedziemy. Dzięki za telefon. Cześć.

Siadł. Wzruszył ramionami.

– Cóż – oznajmił, patrząc po zebranych – chyba musimy zmienić plany.

Birk Larsen zmarszczył czoło.

– Ten gość, co ci mówiłem – Vagn mrugnął okiem – no wiesz? Ten. Chce, żebyśmy teraz podjechali.

– Jakie plany? – spytała Pernille, nagle zaniepokojona. – O jakim planie mówicie?

– To niespodzianka Vagna – odrzekł Theis.

Też mrugnął okiem. To ją zdenerwowało.

Stała za Antonem i Emilem.

– A skąd wiedział, że ma tu zadzwonić?

– Włączyłem u siebie przekierowanie – wyjaśnił Vagn. – Nie mówiłem?

Spojrzał na chłopców. Na Lotte i Pernille.

– Nie chcę przerywać przyjęcia, Theis. Ale jeśli mamy jechać, to już. Im szybciej ruszymy, tym szybciej wrócimy.

Spojrzał w sufit i dał porozumiewawczy znak oczami.

– Nie możemy zaczekać do tortu? – spytał Birk Larsen.

– Nie. Musimy jechać już. Pół godziny. I po wszystkim.

Obejrzał się na chłopców.

– Zostawcie mi trochę – poprosił, po czym sięgnął po czarną skórzaną marynarkę Birk Larsena i podał mu.

Zeszła na dół.

Usłyszała, jak zwiijają się drzwi garażu. Dogoniła Theisa i Skærbæka, jak wsiadali do furgonetki.

– Nie jedź – powiedziała.

– Daj spokój.

– Może Vagn sam pojedzie?

– Chodzi o psa – wyszeptał Birk Larsen. – Wrócimy na tort. Obiecuję.

I wyszedł z sześciopakiem carslsberga w rękę.

Stała przy skrzynkach i podnośniku. Przeklinała sama siebie. Zastanawiała się, dlaczego dała się tak zbyć.

– Mamusiu? – odezwał się cichy głosik z mroku w biurze. – To dla mnie?

Anton szperał tam, gdzie nie powinien. Zupełnie jak Nanna.

– Chodźmy na górę. Nie szperaj.

– Nie szperam. Tu jest moje imię.

Podeszła. Żółta koperta.

I pismo Vagna: „Anton”.

Leżała na brezencie, który zakrywał coś, czego tu wcześniej nie było. Ściągnęła brezent. Pod spodem zobaczyła budę, lśniąca i nową. I karton, stary, rozchylony. Wyłaniał się z niego nos.

Uchyliła skrzydełka.

Anton pisnął. Krzyknął. Wrzasnął.

– Jest śliczny, mamusiu! Jest mój!

Czarno-biały szczeniak.

Pernille patrzyła, umysł jej pracował gorączkowo.

Anton chwycił szczeniaka. Po schodach zbiegał Emil.

Wpadła do biura, chwyciła telefon, wybrała numer Theisa.

Usłyszała echo. Podeszła do stołu warsztatowego – leżała tam czerwona nokia, błyskała światłem i wygrywała znajomą melodyjkę.

– Jak on się nazywa, mamu? – krzyknął Anton, biegając za szczeniakiem wokół ciężarówek. – Jak ma na imię?

– Lund – mruknęła Pernille.

Anton spojrzał na nią.

– Lund? – spytał cicho.

Prowadził Svendsen. Tego drugiego Lund nie znała. Kiedy się przeciskali przez korek na Vesterbrogade, powiedziała:

– Wyślijcie kogoś po Skærbæka, na miłość boską.

– Może byś się zamknęła i cieszyła przejażdżką?

– On zabił Nannę. Zabił Freverta. Postrzelił Meyera.

Svendsen zdjął rękę z kierownicy, zakręcił palcem przy skroni.

– Może przyjdę cię odwiedzić u czubków – zaśmiał się. – A może jednak nie.

– Musimy zgarnąć Skærbæka...

– Powiedz o tym Brixowi. Ja już nie mam siły tego słuchać.

Odezwało się radio.

– Dwanaście dwadzieścia cztery, zgłoś się.

Chwycił mikrofon.

– Dwanaście dwadzieścia cztery, odbiór.

– Dwanaście dwadzieścia cztery, dzwoniła matka Nanny, chce koniecznie rozmawiać z Lund.

– Lund siedzi w kaftanie i wyje do księżycy. W czym problem?

Chciała na niego wrzasnąć. Wyrwać mu mikrofon z rąk. Ale czekała.

– Chce, żebyśmy namierzyli jej męża.

– A co my teraz jesteśmy? Biuro rzeczy znalezionych?

– Do cholery, Svendsen – krzyknęła Lund.

– Jasne, jasne. – Machnął ręką. – O co chodzi?

– Wszedł z pracownikiem. Pani Birk Larsen nie wie dokąd. Martwi się.

– Którym pracownikiem? – wtrąciła Lund. – Spytaj go. Daj mi ten cholerny mikrofon.

Kiedy sięgała do przodu, gość z fotela pasażera trzasnął ją w twarz wierzchem dłoni.

– Daj spokój, Svendsen – krzyknęła. – Chociaż raz w życiu skorzystaj z tej swojej samotnej komórki mózgowej. Spytaj z kim!

Spojrzał na nią we wstecznym lusterku, pokręcił głową, ale zadał pytanie.

Chwila przerwy.

– Wszedł z niejakim Vagnem Skærbækiem. Mieli pojechać po szczeniaka, ale żona mówi, że to nieprawda.

Lund przechyliła się przez oparcie. Ten drugi ją obserwował.

– Trzeba tam wysłać wóz patrolowy. Weźcie numer furgonetki Vagna.

– Zrozumiano – powiedział Svendsen i wyłączył się.

Zamrugnęła powiekami, jasne oczy błyszczały.

– Co ty wyrabiasz, na miłość boską? Zarządź poszukiwania Skærbæka. On już zabił dwie osoby. Svendsen!

Jego wielka głowa odwróciła się z wściekłością.

– Nie wiesz tego, Lund! Nie mogę zarządzić poszukiwań tylko dlatego, że ktoś się wybrał na przejażdżkę. Jest piątek wieczór. Pewnie wyszli zabalować i nie chcą, żeby stara wiedziała.

– Skærbæk nie wybrał się na przejażdżkę. Rób, co trzeba.

Jeszcze raz się na nią obejrzał.

– Mam cię odstawić na komendę i wsadzić do celi. Nie masz pojęcia, jakie to będzie przyjemne.

Lund opadła na twarde oparcie. W czarnej nocy błyskały światła. Czas uciekał.

Dwaj mężczyźni z Wydziału Zabójstw. Typowi gliniarze. Zawsze glocki u pasa, jak biżuteria, atrybut ich męskości.

Zerknęła na tablicę rozdzielczą, a potem niżej. Svendsen był praworęczny. Ten drugi leworęczny. Pistolety spoczywały na środku. Kolby wystawały. I kusily.

– Grzecznie prosiłam – wyszeptała.

– Na pewno jedyna wolna cela to ta najbardziej gówniana – zaczął Svendsen – tak mi przykro z tego...

Sięgnęła do przodu obiema rękami. W jednej sekundzie odpięła skórzane zapinki, chwyciła kolby, jeden pistolet rzuciła sobie pod nogi, w drugiej sekundzie zarepetowała broń.

Przyłożyła Svendsenowi lufę do tęgiego karku.

– Co jest, kurwa?

Sądząc po głosie, przestraszył się.

– Zatrzymaj – powiedziała. – Już.

– Lund...

Odsunęła broń od jego skóry, ominęła twarz i po raz pierwszy w życiu wypaliła poza strzelnicą.

Boczna szyba roztrzaskała się w kawałki. Samochód zarzuciło na wilgotnej jezdni.

Svendsen zahamował, a ten drugi zaczął krzyczeć. Zatrzymali się pod sklepem z upominkami. Czerwona cegła. W oknach choinki i lampki.

– Wysiadać – rozkazała. – Obaj. Stańcie pod ścianą. I nie wkurzajcie mnie.

Z pistoletem w dłoni patrzyła, jak wysiadają, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Svendsena.

Potem zawróciła na szerokiej jezdni i ruszyła do Vesterbro.

Bülow nie odjechał z Humleby. Stał i obserwował, jak ludzie Brixą próbują znaleźć jakiś sensowny sposób na zbadanie bajzlu, w który zamieniła się piwnica. Dwóch techników w białych kombinezonach i czepkach rozpylało środek do szukania śladów krwi. Brix stanął z Jansenem przy schodach, a Bülow cały czas ich gromił.

– Nie wiem, czy damy radę – jęknął jeden z mężczyzn w bieli. – Ten cały pył i gówno...

– Trwonicie zasoby policji – wciął się Bülow. – To też jest przestępstwo, Brix.

Używali luminalu. Każdy ślad krwi powinien zaświecić jaskrawą żółcią pod lampami ultravioletowymi, które przywieźli.

– Widzicie cokolwiek? – spytał Bülow.

– No nie – odrzekł technik ostrożnie. – Tak się często zdarza, zanim człowiek spojrzy.

– Czy ty zatrudniasz samych przemądrzałych dupków, Brix? Powiedz mi. Szczerze. Chciałbym wiedzieć.

– Żeby zobaczyć ślady – odezwał się Jansen – trzeba włączyć lampy. – Zgromił wzrokiem gościa z prokuratury. – Teraz pan uważa, żeby się nie potknąć.

I zgasili światło.

Mężczyźni w białych kombinezonach podnieśli dwie długie lampy fluorescencyjne.

Niebieskie.

Sunęli nimi przy nagich i opryskanych ścianach.

– Ja nic nie widzę, Brix – triumfował Bülow.

Zadzwoił jego telefon.

– Dobra, już jadę – powiedział. – Namierzcie wóz. Ostrzeżcie wszystkich, że ona jest uzbrojona. Zachować ostrożność.

Rozłączył się, stanął przed Brixem i Jansenem.

– Wasza koleżanka właśnie groziła dwóm funkcjonariuszom użyciem ich własnej broni i porwała radiowóz.

– Co? – zdumiał się Brix.

– Słyszałeś. Zawieszam cię, Brix. Cały czas nam przeszkadzasz. Kiedy skończę...

Jeden z techników zagwizdał przeciągle.

– A teraz – odezwał się głos przed nimi w dziwnym niebieskim świetle – cofnijcie się i podziwiajcie.

Spojrzeli na podłogę. Bülow, Brix i Jansen, i mężczyźni w białych kombinezonach.

Pomiędzy środkowymi deskami podłogi w niebieskim świetle zaczęły się pojawiać plamy żółci.

Kałuże i bryzgi. Długie smugi.

– Podnieście wzrok, panowie – podpowiedział technik. – To nie wszystko.

Żółty odcisk ręki na ścianie. Palce drapiące tynk, jak cienie zostawione przez ducha.

Budziły się do życia wszędzie. Paski, smugi, gryzmoły i kałuże.

Jak sala w jakimś chorym nocnym klubie.

Jansen rozglądał się w dziwnym świetle.

– Tutaj walczyła o życie, Brix. To było...

Usta Bülowa rozchyliły się bezwiednie. Milczał.

Brix sięgnął po telefon.

– Połącz mnie z centralą – powiedział.

W rejestracji prywatnego skrzydła szpitala siedziała jedna pielęgniarka.

– Rodzina czy przyjaciele? – usłyszał, gdy spytał o Poula Bremera.

– Ani jedno, ani drugie.

– No to bardzo mi przykro.

– Proszę mu przekazać, że przyszedł Hartmann. Chciał się ze mną zobaczyć.

– On potrzebuje odpoczynku.

Hartmann oparł się o kontuar i czekał.

Ruszyła do pomieszczenia parę drzwi dalej. Niedługo później wyszły stamtąd cztery osoby. Hartmann rozpoznał żonę i siostrę Bremera. Obie płakały. Minęły go i szły korytarzem, ku poczekalni.

Wróciła pielęgniarka.

– Nie powinien się denerwować. Jeśli się poczuje słabo albo się zirytuje, musi nas pan powiadomić. Przy łóżku jest dzwonek. Dopiero go przeniosłyśmy do tej sali i jeszcze nie podłączyłyśmy całego sprzętu.

– Oczywiście. – Hartmann wzruszył ramionami. – Jak on się czuje?

Nie odpowiedziała. Wskazała mu pokój i odeszła.

Świeciła się tylko lampa nad łóżkiem. Bremer w białej piżamie leżał na białym prześcieradle. Z rurką w nosie. Bez okularów. Nieogolony. Teraz

wydawał się młodszy. Jakby ta niewielka separatka usunęła troski świata zewnętrznego, brzemień, które Poul Bremer dźwigał nieustannie. Burmistrz Kopenhagi spojrzął na Hartmanna, zmrużył oczy i zaśmiał się.

– We wtorek pokonałbym cię bez trudu, Troels – powiedział słabym głosem. – Wiesz o tym, prawda?

Hartmann stanął obok stojaka na kroplówkę, z rękoma w kieszeniach.

– Może jeszcze pokonasz.

– No ba.

– Chyba powinieneś rozmawiać z lekarzami, Poul. Z rodziną. Nie ze mną.

– Ty jesteś moim dziedzictwem. – Skrzywił się lekko. – Potrafisz cholernie dobrze słuchać.

Przy zasłonie stał stołek. Hartmann przysunął go sobie do łóżka i siadł.

– Och, proszę, Troels. Daj spokój z tym współczującym wyrazem twarzy. Niedobrze mi się robi. – Znowu ten słaby śmiech. – Ja na twoim miejscu, ten sprzed trzydziestu lat, stanąłbym na przewodzie kroplówki. Posłałbym siebie do piekła i zgarnął zdobycz dla siebie.

– W ogóle w to nie wierzę – odrzekł Hartmann i, o dziwo, się uśmiechnął.

– I słusznie – przyznał Bremer. – Wtedy lubiłem nawrzeszczeć. Pogrozić. I nic poza tym. Byłem bardzo podobny do ciebie. Nie kryłem się z uczuciami. Potem człowiek dostaje to, o czym marzył. A to jest...

Na twarzy Bremera pojawił się wyraz obrzydzenia.

– A to jest gównno. Niczego nie zmieniasz. Cieszysz się, jeśli uda ci się uniknąć katastrofy.

– Powinieneś odpocząć.

– Odpocząć? – Głos trochę przybrał na sile. – Odpocząć? Jak mam odpocząć? Jak robić cokolwiek... zmieniać cokolwiek... jeśli nie masz

władzy?

– Poul...

Oczy starca były rozbiegane i zamglone. Jego oddech stał się płytki i świszczący.

Bremer podniósł rękę i chwycił Hartmanna za ramię. Słaby, drżący chwyt kruchego człowieka.

Monitor przy łóżku pikał i błyskał.

– Myślisz, że jesteś inny – jęknął starzec. – Może jesteś. W dzisiejszych czasach wszystko się zmienia. Tylu rzeczy już nie rozumiem.

Zakasał i skrzywił się z bólu.

– Poul? Co chciałeś mi powiedzieć?

Bremer wywrócił oczami, próbował je skupić na jakimś punkcie.

– Wiem, kto cię krył.

Szybkim krokiem weszła pielęgniarka i spojrzała na monitor.

– Muszę poprosić, żeby pan wyszedł.

Hartmann wstał. Słaba ręka Bremera nie zwolniła uchwytu.

– Myślałem, że to Rie, ale nie.

Starzec przełknął głośno. Znowu boleśnie. Pielęgniarka dotknęła jego czoła i znowu spojrzała na monitor.

– Wysłałem ci coś do biura. Od ciebie zależy...

Kobieta wołała lekarza. Hartmann słyszał kroki na korytarzu.

– Musi pan natychmiast wyjść. – Pielęgniarka stanowczym gestem wskazała drzwi.

Ręka Bremera ciągle go trzymała, ciągle widział to puste bazylijskawe spojrzenie, oczy koloru zblakłego marmuru w komendzie policji.

– Rób, co trzeba, Troels. Ty musisz z tym żyć. Nikt inny. – Pojawiły się łzy i przerażenie w oczach. – Myślisz, że jesteś kapitanem statku – szeptał

Bremer – ale tak naprawdę wszyscy jesteśmy marionetkami. – Mówił głosem słabym i drżącym. I ciągle trzymał jego dłoń. – Troels...

Odziane na biało postaci wypchnęły Hartmanna za drzwi. Monitor zaczął piszczeć jak oszalały. Lekarze, pielęgniarki rozmawiali nerwowo.

Szare oczy otworzyły się szeroko w nagłym strachu, potem zamknęły. Hartmanna wyprowadzono.

Szedł korytarzem do wyjścia.

Ktoś się awanturował.

– Ale to mój przyjaciel! Prosił...

Troels Hartmann dotarł do recepcji. Tylko tutaj zdołał przedrzeć się Erik Salin. Łysy pismak dopadł go w jednej chwili.

– Hartmann? Co Bremer powiedział? Co? Daj spokój...

Spojrzał na mężczyznę w czarnym płaszczu. Śmierdział papierosami i zdenerwowaniem.

– Bremer dał ci dowód, co? Nie wzywałyby cię na próżno. Miał go. Mówił mi.

Hartmann stanął.

– Czego chcesz?

– Bremer powiedział mi, że coś ma – powtórzył Salin. – Więc...? – Wyraz klęski i rozpacz. – Co to jest?

Nie wie, pomyślał Hartmann. Wie tyle, co ja.

– Dobranoc, Eriku – powiedział.

Brix pojechał od razu do domu Birk Larsenów. Zastał tylko Lotte, spojrzał na szczeniaka.

– Próbowaliśmy do niego dzwonić – mówiła roztrzęsiona. – Theis zostawił telefon tutaj, a Vagn nie odbiera.

– Co powiedziała Sarah Lund?

– Przyjechała tu i zabrała moją siostrę.

– Dokąd pojechały?

– Szukać Theisa i Vagna.

– Dokąd? – powtórzył.

Spojrzała na policjantów przeszukujących garaż, na niebieskie światła błyskające na zewnątrz.

– Lund jest z policji, prawda? Dlaczego, do cholery, mnie pan pyta?

W radiu odezwał się znajomy głos.

– Są w czerwonej ciężarówce z napisem „Birk Larsen” na boku. Numer rejestracyjny UE 93 682.

– Lund – powiedział głos z centrali. – Nie masz uprawnień. Poddaj się.

– Zarządź poszukiwania, dobrze?

Brix podszedł do wozu.

– Ciężarówkę po raz ostatni widziano jadącą Vesterbrogade w kierunku wschodnim – dodała Lund.

– Poddaj się!

Wziął do ręki mikrofon.

– Mówi Brix. Ja się tym zajmę.

Po powrocie do ratusza Hartmann wszedł do swojego gabinetu. Stłuczone okno zaklejono. Na jego biurku stał stroik świąteczny, poinsecja i ostrokrzew, a na nim koperta z jego nazwiskiem.

W środku znalazł zdjęcie, które z trudem skojarzył. Zrobiono je chyba latem. Na szkolnej imprezie w jakimś parku. On się uśmiechał pośród grupy starszych uczennic. Obok niego stała młoda blondynka, trzymała go pod pachę, i śmiała się, jakby właśnie opowiedział dobry dowcip.

Serce mu zamarło.

Nanna Birk Larsen.

Z głębi pokoju dobiegł go jakiś dźwięk. W mroku na kanapie siedział Morten Weber w płaszczu narzuconym na ramiona i z szalikiem w rękę.

Wstał, podszedł do biurka.

– Miałem już wyjść, kiedy to przysłano. Myślałem, że wytropiłem wszystkie odbitki. Zdaje się, że Bremer znalazł ostatnią. Musiał bardzo mocno szukać. Nawet Erik Salin na nią nie wpadł. – Weber siadł naprzeciwko Hartmanna. – To był koniec lipca. Zawody w liceum Frederiksholm. Pamiętasz?

Hartmann wpatrywał się w zdjęcie.

– Ramię w ramię. Oko w oko. Zupełnie nie wygląda jak uczennica, co? I w pewnym sensie nią nie była.

Weber wstał, przeszedł do Hartmanna, wziął zdjęcie.

– Chwała Bogu, że nie zostało nigdy opublikowane. Nanna zdobyła brązowy medal. Ty jej go wręczałeś. To mogło nas wykończyć. A Bremer je po prostu oddał. Chyba ktoś nad nami czuwał.

Podał zdjęcie Hartmannowi i usiadł z powrotem.

– Właśnie się dowiedziałem, że miał drugi udar. Wygląda to poważnie. Jeśli on nie może podjąć obowiązków, to ty je przejmiesz. Musimy się zastanowić, jak to rozegrać...

Troels Hartmann wpatrywał się w śliczną blondynkę, a potem spojrzał na stroik, pomyślał o starcu umierającym w szpitalu.

– Coś ty mi zrobił? Na miłość boską...

Weber wzruszył ramionami.

– Ty żartujesz?

– Nie żartuję.

– Czasami naprawdę musisz spojrzeć na sytuację tak, jak inni ją widzą. Byłeś w mieszkaniu. Zalany w trupa. Kiedy cię znalazłem w domku, byłeś w strasznym stanie, ogłupiały i w rozsypce.

Pokręcił głową, nie odrywając wzroku od Hartmanna.

– Próbowalesz się zabić. Pamiętałem tę dziewczynę. Gdy tylko policja powiedziała, kto to jest, przypomniałem sobie to zdjęcie. Miałem jej nazwisko, Troels. Ja prowadzę archiwum.

– Ty... wiedziałeś?

– Co miałem myśleć?

– Nie znam jej. – Hartmann odłożył zdjęcie na biurko, nie chciał na nie patrzeć. – Nie pamiętam tego...

Weber zamknął oczy i westchnął.

– Myślałeś, że byłbym zdolny...

– Od dwudziestu lat pracuję na to, kim jesteś! – krzyknął Weber. – Czekaając, aż coś w końcu osiągniemy. Nie chciałem, żeby to się zmarnowało.

Hartmann oddychał płycej, słabiej słyszał, pokój mu się zakółysał.

– Och, na miłość boską, Troels. Poszedłem w niedzielę do tego mieszkania. Stolik był stłuczony. Widziałem, że coś się stało. Następnego dnia powiedzieli, że...

Twarz mu spoważniała.

– Oczywiście, dopilnowałem, żeby się nie dowiedzieli. I zabrałem taśmę. Pomyślałem, że może po wyborach przekazemy ją policji. Wpuścimy ich do mieszkania. Kiedy nie będzie nam to niczym grozić. Jeśli nie będzie...

– Jeśli?

– Nie przeginaj. Zasadniczo nie zrobiłem nic, co by utrudniło śledztwo. Tylko pomogłem...

– Zasadniczo?

Weber wziął karafkę z brandy, nalał sobie, stanął nad Hartmannem. Jak szef.

– Przykro mi z powodu Rie – dorzucił niedbale. – Ale spójrzmy prawdzie w oczy. Ona nie była właściwą kobietą dla ciebie.

– Ty o tym decydujesz?

Weber spojrział na niego gniewnie.

– Po tych wszystkich moich wysiłkach nie zasługuję na prawo do głosu? Trzeba było puknąć tę policjantkę, Lund. Ona jest bardziej w twoim typie. Widzę was... – Wziął wielki łyk brandy. – Widzę was w łóżku. Ty rozmyślasz nad następną mową. Lund z tymi wielkimi oczami zastanawia się, na co tu popatrzeć, co jest za następnymi drzwiami.

– Budzisz we mnie obrzydzenie.

– No i świetnie, Troels. Obrzydzaj się do woli. Miałem spisać na straty dwadzieścia lat swojego życia tylko dlatego, że ktoś zabił dziewczynę z Vesterbro?

Hartmann stracił cierpliwość. Wyrwał Weberowi szklanekę z ręki i stanął nad nim.

– Oszalałeś, Morten?

Weber nie cofnął się, jak to miał w zwyczaju. Stał w miejscu, arogancki, bezczelny.

– Nie, ja po prostu jestem skuteczny.

– Policja cię znajdzie. Teraz są na Store Kongensgade.

– Nie znajdzie. W ogóle do nich nie dzwoniłem.

Wziął sobie nową szklanekę i znowu sobie nalał. Zajął miejsce Hartmanna. Podniósł na niego wzrok.

– Siadasz, Troels? Siadaj, mamy kilka spraw do omówienia.

Hartmann stanął przy oknie.

– No, na miłość boską – jęknął Weber. Sięgnął po jeszcze jedną szklanekę i nalał Hartmannowi. – Jeśli to jakaś różnica... – Zajął miejsce po drugiej stronie biurka. Czekał, aż Hartmann wróci na swoje. – Nie masz się czym martwić. Zupełnie. Ta mowa na jutro... – Wziął kilka kartek z biurka. –

Muszę zrobić kilka poprawek. Trzeba wstawić odniesienia do Bremera. Wyrazy podziwu. Ja się tym zajmę.

– Nie będzie jutro żadnej mowy. Kiedy się dowiedzą, co zrobiłeś...

Weber wybuchnął śmiechem.

– Och, jasne.

– Jeśli nie, ja im powiem.

– Tego właśnie chcesz? Świetnie.

Przysunął mu telefon.

– Śmiało. Dzwon. – Postukał palcem w zdjęcie. – Możemy im to pokazać. Możesz im powiedzieć, co się stało, jak ją poznałeś. W lipcu. Rie była z ojcem na wakacjach w Hiszpanii. Pamiętasz?

Hartmann milczał.

– Pamiętasz, prawda? Zawody... Ja tam byłem. To ja, tu z tyłu. Zawsze z tyłu. Znam swoje miejsce i... – wskazał swoje oczy, uśmiechając się szeroko – ...patrzę. Muszę. Wypiłeś kilka piw, nie? To błędzące spojrzenie. Potem się tak jakoś ociągałeś. Powiedz mi, Troels. Ja nigdy sobie nie radziłem za bardzo z kobietami. Zapamiętałeś chociaż, jak ona ma na imię? To ma jakieś znaczenie?

– Co masz na myśli? – mruknął Hartmann.

– Problem w tym. – Weber rzucił zdjęcie Nanny Birk Larsen, a zaczął się bawić zdjęciem JFK i Jackie. – Tobie się marzy Biały Dom. Ja cię znam. Widzę, jaki jesteś. Jaki byłeś przed ślubem. Jaki byłeś po ślubie. I później.

Pochylił się do przodu. Podniósł głos.

– Ja wiem. Tobie się marzy Biały Dom, a ja od razu mam przed oczami Chappaquidick. Ładna dziewczyna. Kilka piw. Widziałem, jak jej dawałeś swój numer. Wtedy tego nie rozumiałem. Ale cóż...

Wzruszył ramionami.

– Okazało się, że ona się dyma z Jensem Holckiem, co? Może chciała spróbować z kimś nowym ze świata polityki. Zaliczyć coś jeszcze. Widziałem...

– Morten...

– Dałeś jej swój numer. Poszedłeś na Store Kongensgade. Czekając. Napiłeś się dobrego wina. Przyniosłeś trochę jedzenia. Tak to miało być?

Hartmann kręcił głową.

– Nie pamiętam...

– Kiedy odszedłeś, wziąłem tę małą na bok. Zabrałem jej twój numer. Nastraszyłem porządnie. Dlatego nigdy się nie pojawiła. Ale ja tak. Przypadkiem. Sprawdzić, czy rzeczywiście jesteś sam. Czy nie pieprzysz młódki, na którą wpadłeś przy wręczaniu nagród. Pamiętasz to?

Troels milczał.

– No widzisz. Kiedy się okazało, że ona nie żyje, musiałem sobie postawić pytanie. Czy ona zdobyła twój numer inną drogą? Ładna uczennica, która wyglądała tak dojrzała?

– Nie zabiłem tej dziewczyny!

– Wiem, że nie. No i dobrze. Z tym możemy żyć. Gdyby było inaczej... Musiałbym podjąć trudne decyzje.

Wstał i włożył płaszcz.

– Masz jakieś pytania, Troels?

Czarny telefon leżał nietknięty.

– Świetnie. Nie będziemy wracać do tej rozmowy. Nigdy.

Morten Weber zerknął na zegarek.

– Zobaczymy się rano – powiedział. – Nie spóźnij się.

Jechały długą drogą wylotową. Pernille siedziała na fotelu pasażera, z szeroko otwartymi oczami, przerażona. Lund prowadziła. Deszcz

wdzierał się przez wybite okno. Na podłodze i tablicy rozdzielczej leżały odłamki szkła.

– Przychodzi pani do głowy jakiś magazyn, do którego mogliby pojechać? – spytała Lund.

– Może w Sydhavnen.

Teren przemysłowy, po drugiej stronie głównej drogi prowadzącej na lotnisko i Vestamager.

– Lund? – odezwało się radio. – Mówi Brix.

– Tak?

– Miałaś rację co do Skærbæka. Dziewczyna była więziona w piwnicy. Pernille Birk Larsen przyłożyła dłoń do ust.

– Więc znajdziemy go – powiedziała Lund.

– Znajdziemy. Musisz się poddać.

– Nie ma mowy.

– Nie wiesz, gdzie oni są! Przeszkadzasz w akcji. Powiadomiliśmy patrole graniczne...

– Vagn nie wyjedzie z kraju. To nie...

– W garażu znaleźliśmy naboje do shotguna. Jest uzbrojony. Nie chcę cię widzieć. I Pernille też nie. Nic nie możecie zrobić. Zawracaj.

Spojrzała na siedzącą obok kobietę. Pernille pokręciła głową.

– A las? – rzuciła Lund. – Pinseskoven?

Las Zielonoświątkowy.

– Co oni by tam mieli robić, do cholery? – zdziwił się Brix. – Na pustkowiu. Na końcu świata.

– Tam się to zaczęło. Może on chce też tam to skończyć.

– Poddaj się, ja się wszystkim zajmę.

Odłożyła mikrofon i zjechała na Vestamager.

– Po co mieliby jechać do lasu? – Pernille też zdziwił ten pomysł.

Ruch na ulicach był coraz słabszy. Wkrótce skończyły się latarnie i dwupasmówka, prowadząca do długiej wilgotnej drogi wiodącej do lasu.

Po pewnym czasie droga zrobiła się jeszcze węższa, a potem przerodziła się w dróżkę.

Koniec świata, powiedział Brix. I wreszcie miał rację.

Theis Birk Larsen trzymał trzecią puszkę piwa, nie patrząc za bardzo, dokąd ją. Był trochę pijany, bardzo szczęśliwy. Wspominał.

– Mój pierwszy pies nazywał się Corfu. Pamiętasz?

– Tak. – W głosie Skærbæka słyhać było znudzenie.

– Przemyciliśmy go z Grecji w plecaku. Nauczyliśmy się wtedy paru rzeczy, co?

– Nie miałem pojęcia, że mały pies może tyle srać.

Birk Larsen skrzywił się nad piwem.

– Może niedługo znowu coś przemycimy. Trzeba zapłacić za dom. Jeśli mnie wsadzą za tego cholernego nauczyciela...

Spojrzał na mężczyznę za kółkiem.

– Poradzisz sobie. – Poklepał go po ramieniu. – Pokierujesz wszystkim.

Chwycił pozostałe puszki.

– Chcesz jeszcze piwa?

– Nie.

– To ja wypiję twoje.

Jechali teraz drogą gruntową. Furgonetka podskakiwała i chwiała się na boki.

– Dokąd my jedziemy, do cholery?

– Niedaleko.

– Pernille nas zabije, jeśli nie wrócimy na tort. – Birk Larsen uniósł puszkę. – Za kobiety.

I upił potężny łyk.

Nad nimi rozległ się ryk. Błysnęły światła. Birk Larsen patrzył, jak samolot pasażerski spływa z nocnego nieba.

– Jesteśmy koło lotniska. Co za kretyn tu trzyma psy?

– Muszę ci coś pokazać. To nie potrwa długo. I będziemy mieli to z głowy.

– Pernille...

Furgonetka podskoczyła. Theis spojrział na drogę w świetle reflektorów. Żwir. A z boku jakieś rowy. W szarym świetle księżyca schowanego za chmurami widać było zarys lasu. Mignęło mu mgliste wspomnienie, zamroczone piwem.

Przerwał mu Vagn Skærbæk.

– Pamiętasz, jak poszliśmy nocą na ryby?

– Jebać ryby, Vagn. Gdzie ten cholerny pies?

Zaczęły się drzewa. Nagie srebrne pnie. Smukłe pnie sterczące z ziemi jak martwe kończyny.

– Zmarziliśmy na kość. I żadnej cholery nie złowiłem.

Teraz jechali niemal spacerowym tempem. I ciągle podskakiwali na wybojach.

Birk Larsen czuł się otępiały, pijany i głupi.

– Powiedziałeś, że jak nie przyniesiemy paru węgorzy, Pernille pomyśli, że poszliśmy pić. Szkoda, że nie widziałeś jej miny, jak wyjąłem parę. Nigdy nie pytałeś, skąd je wzięłem.

– Vagn...

– A ja je ukradłem komuś z pułapki.

– I co z tego?

Vagn Skærbæk kiwnął głową.

– Właśnie. I co z tego? Dopóki wszystko gra, nie ma sprawy.

Znalazł miejsce, którego szukał. Zatrzymał się. Zaciągnął hamulec.

Srebrne łuszczące się pnie połyskiwały w świetle księżyca. Głębokie rowy ciągnęły się po obu stronach drogi. Ani śladu życia.

Skærbæk wyskoczył, przeszedł na tył, otworzył drzwi.

Birk Larsen westchnął. Wziął łyk. Uznał, że chce mu się siku.

Wysiadł i odszedł na stronę.

Vagn Skærbæk się przebrał. Stał w pełnym stroju myśliwskim. Długie czarne kalosze, długi płaszcz khaki. Na ramieniu shotgun. Wyciągnął jeszcze jedną parę gumowych butów.

– Musisz to włożyć, Theis.

– Co to jest?

– Włóż je po prostu, dobra?

Potem wziął w ręce ciężki kawałek drewna.

– Jedźmy do domu – westchnął Birk Larsen. – Pernille...

Nie zauważył, jak się zbliża. Kawał drewna uderzył go w skroń. Krew zalała mu oczy, a on zatoczył się na drzwi furgonetki i padł na ziemię.

Skærbæk trącił go lufą shotguna.

– Nic ci nie jest. Wstawaj.

Wyciągnął z samochodu i włączył wielką latarkę. Zatrzasnął drzwi.

– Zapomnij o butach – powiedział. – Idziemy.

I pchnął Theisa w stronę drzew.

Dziesięć minut później Lund zaparkowała przy mostku, tam gdzie znaleziono ciało Nanny, i ruszyła w stronę lasu długą prostą ścieżką, z Pernille u boku. Gdzieś za nimi błyskały światła. Słyszały radio i ludzkie głosy. W górze krążył helikopter, a jasny promień jego szperacza przeczesywał ciemności Lasu Zielonoświątkowego.

Ona miała tylko słabą latarkę i wątłe światło księżyca, które sączyło się przez cienkie chmury.

Zadzwoił telefon.

– Posłałem od lotniska kilka wozów i zespół z psem – powiedział Brix. – Znaleźli furgonetkę. Jest pusta.

Przypomniała sobie las z poprzedniego razu. Labirynt ścieżek i drózek, poprzecinany rowami, płatami bagnistej łąki i kanałami. Stosy wyrąbanych pni blokowały niektóre trakty leśne. Inne zamieniły w trzęsawisko po ostatnim deszczu.

– Psy... – zaczęła Lund.

– Psy złapały trop. Idą za nim.

– Ilu masz ludzi?

– W tej chwili pięć patroli. Gdzie jesteś?

– W lesie. Chyba przed wami. Musimy się spieszyć.

Słyszała szczekanie, widziała błyski latarek. Zaczekała. Ustaliła kierunek.

Wyciągnęła mapę wziętą ze skrzynki, które wszędzie rozstawiała fundacja ochrony środowiska naturalnego.

Przypomniała sobie, jak Jan Meyer szczyrzył się szeroko z martwym lisem pod pachą, drut na szyi zwierzaka i zuchową chustę.

Ruszyła.

Pernille podążała za nią.

Theis Birk Larsen się potknął.

Vagn Skærbæk z shotgunem w ręku szedł z tyłu.

– Dalej – warknął, patrząc, jak wielki człowiek chwieje się pod srebrnym pniem. – Ruszaj się.

Drzewa rosły tu gęściej, bardziej wiotkie. Szli po paprociach i suchych liściach.

Usłyszeli psy. I ludzkie głosy.

Birk Larsen, przechodząc nad wykrotem, stracił równowagę i wpadł w mokrą ziemię, grzęznąc w błocie.

– Vagn...

Skærbæk wzbił wzrok w zdumioną, zniszczoną twarz mężczyzny na ziemi.

– O co chodzi, Vagn? Co, kurwa...?

Skærbæk wystrzelił, celując w zbitkę grzyba i pleśni o krok od jęczącej, zbolącej postaci przed sobą.

Psy czekały. Głosy przybierały na sile, zbliżały się.

– Wstawaj. Idziemy dalej – rozkazał. – Nie zatrzymuj się. Już niedaleko. Niedługo.

Lund usłyszała wystrzał. Pernille wydała wysoki, słaby krzyk. Więcej strzałów nie padło.

– Gdzie oni są? – wydyszała Pernille. – Theis...

– Co się dzieje? – usłyszała w uchu pytanie Brixa.

– Nie wiem.

– Jak blisko jesteś?

– Nie wiem...

Silniki odrzutowca zagłuszyły jej słowa. I myśli.

Rów, zielony od glonów. Birk Larsen potknął się, padł twarzą w dół. Podniosły go ręce Skærbæka. Potknął się o suche konary w grzędawisku. Wyszedł po drugiej stronie, dysząc i krwawiąc.

Drzewa zrobiły się grubsze.

I rzadsze.

Światła były już niedaleko. Słyszeli ujadanie psów gorączkowo podążających po śladzie. Krzyki ich przewodników, wrzaski w ciemnościach.

Przed nimi pokazał się kawałek suchego gruntu. Wysoka trawa. Złamane gałęzie. Krąg pośród srebrnych drzew.

Skærbæk rozejrzał się i rzekł:

– Tu stajemy.

Obrzucił wzrokiem drzewa. Dalekie migotanie zbliżających się latarek.

Odwrócił się do wielkiego, pokonanego mężczyzny. Krew spływała Theisowi z lewej skroni, opływała oko, nos i zarośnięty policzek, tworząc krwawą maskę.

– Theis. Za jakiś czas powiedzą ci różne rzeczy.

Birk Larsen stał zgarbiony i ogłupiały.

– Chcę, żebyś to usłyszał ode mnie.

Z latarką w lewej dłoni, shotgunem zwisającym z prawej, Vagn Skærbæk nasłuchiwał, po czym potrząsnął głową i zaśmiał się.

– Różne rzeczy się zdarzają. Nigdy nie wiadomo. Człowiek nie może wszystkiego przewidzieć. Potem nagle coś się dzieje i nic już nie można zrobić. Nic...

Wielki człowiek z zakrwawioną twarzą wpatrywał się w niego, nic nie rozumiejąc.

– Leon zadzwonił, żeby ci powiedzieć, że wiozł Nannę i odstawił ją do tego mieszkania na Store Kongensgade. Wiedziałem, że ona coś kombinuje. Widziałem ją na dworcu. Chciała wyjechać z tym szmaciarzem. Tym durnym małym Hindusem.

Skærbæk machnął do niego shotgunem.

– Chciała wyjechać. Kumasz?

Birk Larsen mruknął coś niewyraźnie.

– Wiedziałem, co byś powiedział. Ale cię nie było. Więc ja po nią poszedłem.

Podniósł głos.

– Jestem rozsądnym człowiekiem! Wiesz o tym! Poszedłem ją przekonać, żeby zrezygnowała. Przemówić jej do rozumu. Ale gdzież

by Nanna dała się przekonać.

Zerwał z głowy czapkę i patrzył na Birk Larsena błagalnie.

– Nanna? W życiu. To była twoja krew, co? Nigdy nie słuchała. Rzuciła się na mnie z krzykiem i pazurami.

Birk Larsen stał nieruchomo jak drzewo.

– Wiesz, jaka ona była. Cały ty. A ja? – Poświecił sobie latarką na twarz.

– Pomyślałem o tobie, o Pernille i chłopcach. Co pomyślicie. Jak się będziecie czuli. Porzuceni ot, tak. – Część maski spadła. Oczy zaczęły wzbierać łzami. Głos się łamał. – Wszyscy ją kochaliśmy. Ale jej to nie obchodziło. Gdzieżby się Nanna przejmowała takimi rzeczami. Ani tobą. Ani mną. Wiesz, że to prawda, co? Wiesz, Theis. Tak.

Ledwie stojący na nogach mężczyzna, z krwią krzepnącą na twarzy, nie dobył z siebie ani słowa.

– Theis...

Głosy się zbliżały. Światła latarki odbijały się od srebrnych pni za nimi.

– Różne rzeczy się zdarzają. Nie da się przewidzieć. Człowiek nigdy nie wie. Po prostu się dzieją.

Shotgun zakołysał się i wycelował.

– Wiesz o tym. Prawda?

Rozejrzał się.

– Żadnych wyjaśnień. Żadnych przeprosin. Tylko... – Vagn Skærbæk starł coś z oczu. – Trzeba je naprawić po prostu. Starać się, żeby wszystko grało.

Podniósł broń, sprawdził, czy są naboje.

– Rozumiesz, co mówię?

Bez odpowiedzi.

Lufa opuściła się ku ziemi.

– Przyjechaliśmy tam. W to miejsce. Ona się przestraszyła. Wiedziałem, że ty w życiu nie zrozumiesz.

Młode oczy, młody głos, żadnego srebrnego łańcucha, i koniec z czerwonym kombinezonem.

– Nie mogłem jej zabić. Nie mogłem.

Siąknął nosem. Wzruszył ramionami.

– Więc przeniosłem ją do samochodu i wepchnąłem go do wody.

Podniósł broń. Birk Larsen wpatrywał się w nią.

– Masz.

Vagn Skærbæk rzucił shotguna. Patrzył, jak lufa obraca się w powietrzu, pokonując dzielącą ich odległość. Broń padła prosto pod potężne nogi Birk Larsena. Jego palce odruchowo zamknęły się na drewnianej kolbie.

Magiczna broń. Broń, która domyka sprawy.

Wielkolud w czarnej kurtce, z zakrwawioną twarzą.

– Dalej, ty cholerny tępaku. Dalej. Miejmy to za sobą.

Pospieszne kroki. Głosy.

– Zrób to!

W ciemnościach rozległ się kobiecy głos:

– Theis Birk Larsen! Odłóż broń.

Odwrócili się. Sarah Lund kryła się za wysoką kępą suchej trawy. Z bronią w ręku. Gotową do strzału. A obok niej Pernille w swoim płowym płaszczu.

Vagn Skærbæk otworzył ramiona, uśmiechnął się do mężczyzny z shotgunem.

Wybuch rozdarł ciemności. Lund wystrzeliła w powietrze.

– Odsuń się od Skærbæka – rozkazała. – Wiemy, co się stało, Theis. Rzuć broń. Odejdź.

Skærbæk się śmiał.

– Co się stało? – spytał. – Myślisz, że oni wiedzą, co? Czy nie wyraziłem się jasno?

Żadnych słów. W tym Theis Birk Larsen nigdy nie byłoby dobry. Ale umiał patrzeć.

– Teraz już się nie przeprowadzicie do Humleby. – Skærbæk uśmiechnął się tym samym szyderczym uśmiechem. – Tam właśnie to zrobiłem. Wyobrażasz sobie?

– Odłóż broń, Theis! – wrzasnęła Lund.

Stała za kępą trawy. Obaj widzieli czarnego glocka w jej dłoniach. I kolejne postaci. I światła za nią. Ciemne postaci przeszukujące las srebrnych drzew o łuszczącej się korze. Psy i latarki zbierające się dokoła nich, dokoła dwóch mężczyzn na nagim kawałku gruntu.

Birk Larsen trzymał broń na wysokości pasa. Pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

– Theis – krzyknęła Lund. – Ktoś chce z tobą rozmawiać.

Płowy płaszcz przedzierał się na polankę.

– To koniec – powiedziała Pernille. – Theis...

Na krótką chwilę oderwał wzrok od mężczyzny w zielonym myśliwskim stroju. Zobaczył ją.

– Już koniec.

– To nie koniec – parsknął Skærbæk. – Jeszcze nie. Nawet taki tępy przygłup jak ty to pojmuje. Prawda? Daj spokój. Wyjdiesz najdalej za kilka lat. Co masz do stracenia?

Szorstki śmiech.

– Będziesz bohaterem. Theis Birk Larsen. Anioł zemsty. Podoba ci się, co?

Spoza kręgu szybko zbliżał się głos Pernille, łagodny i przestraszony.

– Chodźmy do domu, Theis. Chodźmy do chłopców.

Lufa się opuściła.

– Chłopcy. Popatrz na mnie. Popatrz na mnie. Odsuń się od niego.

Birk Larsen zrobił duży krok do tyłu, jego oczy błędziły po niewielkim kręgu w Lesie Zielonoświątkowym. Latarki i ludzie okrążali ich ze wszystkich stron, jak tłum zbierający się na przedstawienie. Jak widownia w cyrku.

Zbliżali się.

Twardy, przerażony głos Lund powtarzał:

– Rzuć broń, Theis. Rzuć...

– Zatkalem uszy – odezwał się nagle Skærbæk. – Nie mogłem znieść, że ona tak krzyczy. Wyobrażasz sobie?

Birk Larsen patrzył na niego straszonym wzrokiem i nie słyszał nic innego.

Teraz Skærbækowi zmieniła się twarz. Był przerażony i zrozpaczony. I zdecydowany.

– Kiedy ją wepchnąłem do wody... To trwało i trwało... Jezu! Błagała i krzyczała...

Wysoki, słaby głos Skærbæka się załamał. Rzucił głową na boki, w strachu, w udręce.

– A Nanna mnie tylko błagała, żebym ją stamtąd wyciągnął.

Broń się podniosła. Niespokojne oczy Skærbæka nie odrywały się od mężczyzny z umazaną twarzą.

– Wołała ciebie i Pernille. Żałosne. Ciągle ją słyszę.

Wzruszył ramionami.

– Ale wtedy było za późno, nie? Mogła sobie krzyczeć, ile chciała, ale co ja, kurwa, miałem zrobić? I gdzie masz teraz jaja, ty tchórzliwy dupku.

Broń się podniosła, żółty płomień rozbłysł w ciemnościach. Dym i wysoki wrzask.

Mężczyznę w długim zielonym płaszczu odrzuciło do tyłu. Chwycił się za klatkę piersiową. Padł na kępę sitowia. Z twarzą skierowaną w nocne niebo.

Ignorując krzyki dokoła, do Theisa ruszyła Lund, za nią Pernille. Pędziły, nie zważając na czarne postaci gnające w ich stronę.

Widziały tylko mężczyznę na ziemi.

Podniósł broń. Z nieruchomą twarzą wpatrywał się w przerażone oczy Skærbæka.

Ktoś krzyczał, ale to nie miało znaczenia.

Krew na zielonym płaszczu. Krew na otwartych, łapiących powietrze ustach Vagna Skærbæka. Jeszcze oddychał. Jeszcze żył.

– Masz u mnie dług – mówi cierpiący człowiek, a słowa dobywają się wraz z czerwonymi bańkami, gdy walczy o oddech. – Masz u mnie dług, ty wielki tępaku...

Po drugim strzale nocne ptaki pierzchają wśród gałęzi ciemnego lasu, w którym nagie drzewa nie dają schronienia.

Theis Birk Larsen się cofa.

Rzuca na ziemię myśliwską strzelbę. Wpatruje się w bezładny kształt u swych stóp.

I cofa się.

Bez słów. Bo po co słowa?

Wokół niego zbierają się ciemne postaci.

Padają rozkazy. Broń w gotowości.

Krąży wokół swojej obolałej, skołowanej głowy, jak osaczona bestia, patrzy na niego i widzi.

Widzi kobietę w biało-czarnym swetrze, która płacze.

I kobietę w płowym płaszczu, która nie płacze.

13_

**PIĄTEK_
21 LISTOPADA_**

Piąta rano. Brix był w swoim gabinecie.

Lund czekała przy oknie w okrągłym korytarzu na zewnątrz, patrząc na podwórko przed aresztem, w którym teraz siedział Theis Birk Larsen oskarżony o zabójstwo.

Niedługo zacznie świtać. Przyjdzie czas na składanie wyjaśnień. Konferencje prasowe. Sprawa Nanny Birk Larsen zostanie zamknięta na dobre.

Brix spojrzał na samotną kobietę przy oknie, zagubioną w rozmyślaniach. Pogubioną ze wszystkim, tylko nie ze sobą. Żałował, wbrew wszelkim instynktom, że nie będzie już z nią pracować. Że nie pozna jej lepiej. Że była wyzwaniem, które przekraczało jego siły. Siły większości ludzi, jak mu się zdawało.

– Lund! – Przywołał ją ruchem ręki.

Ciągle miała na sobie granatową kurtkę i wełniany sweter, pokryty błotem z Kalvebod Fælled.

– Znalazłeś zdjęcie?

– Nie. Siadaj.

– Leon Frevert...

– Lund.

Próbował się uśmiechnąć.

– Laboratorium sprawdziło bluzę Skærbæka. Wiemy, że to on strzelał do Meyera.

Wpatrywała się w niego tymi wielkimi, wszechwidzącymi oczami.

– Bülow nadal chce twojej głowy. Kończy raport. Możesz się spodziewać konsekwencji. Zwłaszcza za to, co zrobiłaś w samochodzie.

– Svendsen nie słuchał.

– Groziłaś mu bronią.

Powtórzyła powoli, bardzo powoli:

– Nie słuchał.

Brix odczekał chwilę.

– Nie tylko Bülow ma coś do powiedzenia. Ja również. Wezmą pod uwagę naturę sprawy. I śledztwo.

Rozglądała się po biurze, zatrzymała wzrok na torebkach dowodowych.

– Twoja sytuacja jest bardzo poważna.

Zauważył, że drzwi stoją otworem. Wstał i zamknął je.

Następnie stanął nad nią.

– Mogę ci złożyć ofertę. Nie będzie aktualna długo. Musisz o tym pomyśleć.

Wpatrywała się w swoje brudne dłonie.

– Ta sprawa spowodowała mnóstwo problemów. Wszyscy chcą o niej zapomnieć. Na dobre.

Mówił pewnie, z rękoma w kieszeniach.

– Pewne aspekty dochodzenia nie pojawią się w raportach. Twoje twierdzenia, że ktoś kryje ludzi z Ratusza. Pomysł, że są inne przypadki osób zaginionych połączone ze Skærbækiem.

Usiadł.

– Sprawa Nanny Birk Larsen jest zamknięta. I tak ma zostać.

Bez odpowiedzi.

– Z mojego punktu widzenia to rozwiązanie dobre dla ciebie. Dla nas wszystkich.

Lund splotła ramiona, nic nie mówiła.

– Radzę ci przyjąć tę ofertę.

Bez odpowiedzi.

– Sarah, ty rozwiązałaś tę sprawę. I tylko to się liczy. Jeśli się zgodzisz, dostaniesz pracę gdzie indziej. Dam ci referencje. Możesz zacząć...

Wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Lund?

Ostrożnie, powoli strząsnęła kawałek błota z rękawa czarno-białego swetra.

– Na górze czekają na odpowiedź.

– A my nie? – spytała, po czym ruszyła czarnym marmurowym korytarzem, mijając gabinet z radiowozikiem i koszem, mijając Jansena i gwarny pokój, w którym mężczyźni z Wydziału Zabójstw zbierali się, by opowiadać sobie sprośne dowcipy.

I wyszła w ciemny, zimny poranek.

O szóstej rano Troels Hartmann obudził się w swoim biurze. Słyszał wycie zimowego wiatru. Taśma na wybitym oknie nie zdała egzaminu. Lodowaty podmuch torował sobie drogę przez pokój.

Głowa go bolała, oddech cuchnął. Na podłodze zobaczył pustą karafkę po brandy, a także papiery, mowy, plakaty. Mniej więcej wszystko, co mógł porzucić w tę długą i gorzką noc.

Przykucnął na podłodze i obolały wyciągnął telefon. Zadzwoił do Brixa.

– Jestem zajęty – powiedział policjant. – Oddzwonię do ciebie, jak już naprawdę nie będę miał nic innego do roboty.

Ton jego głosu zabolął.

– To ważne. Nie rozłączaj się!

– Czemu?

– Chodzi o sprawę Nanny. Próbowałem się dodzwonić do ciebie w nocy. Nie było cię.

– Pracowałem.

– Odkryłem coś. Będziesz musiał się tym zająć. Mieszkanie...

– Bardzo się cieszę, że nagle stałeś się taki chętny do współpracy, Hartmann. Ale spóźniłeś się. Sprawa jest zamknięta. Tym razem na dobre. Znaleźliśmy go. Nie ma nic wspólnego z tobą ani z Ratuszem. To była... – przerwał, jakby odkrył, że to, co chce powiedzieć, jest wstrętne – ...sprawa rodzinna. Można tak to ująć.

Hartmann stał i wpatrywał się zawstydzony w bajzel wokół siebie. Butelki. Śmieci na podłodze...

Z ciężką głową, obrzmiałym gardłem podszedł do biurka i siadł przy nim.

– Kto...?

– Niedługo się dowiesz z wiadomości.

Zdjęcie znalezione przez Webera ciągle tam leżało. Nanna, uśmiechnięta, trzymająca go pod ramię. Popatrzył na swoją twarz.

Nie zapytał jej o imię.

– Halo? – spytał Brix.

– On nie żyje?

– Nie powiedziałem tego? Słuchaj, Hartmann, mam mnóstwo roboty...

– To nie wszystko.

Słyszał, jak policjant wzdycha po drugiej stronie słuchawki.

– Byle szybko.

Soczysty zapach mahoni. Złocenia. Freski. Ciepła i wygodna cela otaczająca Troelsa Hartmanna owijała go sobą, szepcząc do ucha niczym

uwodzicielska syrena.

– Rzecz w tym...

Jego ochrypliły głos zamilkł. Nie mógł mówić.

– Jak chcesz, przyślę kogoś w tygodniu – uciął Brix. – Powodzenia na wyborach. À propos. Nawet nie próbuj tak na nas naciskać, jak to robił twój poprzednik. Z tym już koniec.

Przerwał połączenie. Hartmann znalazł pilota. Włączył telewizor. Słuchał wiadomości.

„Zeszłej nocy Poul Bremer miał drugi udar. Wycofał się z wyborów do rady miasta. Bremer jest burmistrzem Kopenhagi od dwunastu lat. Nasz redaktor polityczny mówi, że jego decyzja o rezygnacji ze startu w wyborach oznacza, że Troels Hartmann na pewno...”.

Pukanie do drzwi. Weszła uśmiechnięta blondynka w zielonej bluzce. Miała w ręku gazetę.

– Dzień dobry – powiedziała pogodnie.

Spojrzała na bajzel, na Hartmanna, na wybite okno, i dalej się uśmiechała.

– Posprzątam tu – oznajmiła. – Później robimy zdjęcia. Przyślę kogoś do tej szyby.

Podeszła do biurka i podała mu dłoń. Była ciepła i miękka.

– Maja Randrup. Zastępuję Rie Skovgaard. Morten prosił, bym weszła.

Położyła przed nim jakieś wydruki.

– Dał mi pańską mowę do przepisania. Bardzo dobra.

Przemieszczając się drobnymi kroczkami, zaczęła zbierać rzeczy z podłogi. Jego marynarkę. Pustą szklankę. Karafkę i teczki. I ciągle się uśmiechała.

– Gdy usłyszałam o Bremerze, zasugerowałam kilka zmian – podjęła, stawiając przewrócone krzesło.

– Uważamy z Mortenem, że nadają całości właściwy ton. Współczujący, ale zdecydowany. O skorzystaniu z dobrych stron dziedzictwa Bremera, budowaniu na nich i dodawaniu swoich zalet.

Obróciła się, sprawdziła wszystko. Machnęła ręką.

– Tutaj jest prysznic, prawda? Ma pan przybory do golenia. Przyniosę świeże ubrania.

Nie czekała na odpowiedź.

– Za czterdzieści pięć minut musi pan być gotowy.

Chwyciła karafkę po brandy.

– Niedobrze, że musi pan wygrywać w ten sposób. Ale z drugiej strony: zwycięstwo to zwycięstwo. Po konferencji prasowej w kalendarzu jest trochę wolnego czasu. Morten mówi, że powinien pan z niego skorzystać. Jechać do domu. Przez kilka dni nie rzucać się w oczy w miarę możliwości. Kampania dobiegła końca. Teraz tylko czekamy.

Otworzyła okna. Zimny listopadowy wicher przybrał na sile. Hartmann zadygotał, zaszczękał zębami, w głowie czuł tylko pusty, tępy ból.

Za oknem słychać było ruch uliczny, ciągle było ciemno. Niebieski neon.

Siadł przy biurku, w głowie mu się kręciło, przyjrzał się jej. Atrakcyjna kobieta. Około trzydziestki. Obcisła zielona lśniąca bluzka. Dobra figura. Na palcu nie ma obrączki. Wiedziała, że ją ocenia.

Maja Randrup wzięła zdjęcie, na którym był z Nanną.

– To już zabiorę.

Adwokatka spotkała się z Pernille Birk Larsen w okrągłym korytarzu naprzeciwko aresztu.

– Najpierw stanie przed sądem. Potem prawdopodobnie wyślą go do więzienia Vestre. Nawet nie warto występować o wyznaczenie kaucji.

Lis Gamborg. Ta sama kobieta, która reprezentowała Theisa; i Vagna, kiedy on tego zażądał. Pernille nie znała wielu prawników. Nie chciała

znać.

– Przykro mi – dodała. – Zadzwoń, jak przyjdzie czas stawić się w sądzie.

I wyszła.

Pernille stała w wąskim korytarzu, patrzyła przez okno. Przejaśniało się. Na podwórku w dole grupa strażników odprowadzała do furgonetki wielkiego mężczyznę w niebieskim kombinezonie więziennym, skutego, z bandażem na głowie.

Ruszyła biegiem.

W dół spiralnymi schodami, niemal nie dotykając stopni. Rozepchnęła policjantów i strażników, adwokatów i bełkoczących pijaków. Dwa biegi schodów i znalazła się na szarym betonowym parkingu. Ludzie odwracali głowy, coś krzyczeli. Był już w połowie podwórka, pomiędzy mundurowymi policjantami. Szedł jak zawsze – z uniesioną głową, wyprostowany, patrzył prosto przed siebie. W milczeniu czekał na to, co przyniesie dzień.

– Theis!

Teraz ją zobaczyli.

– Theis!

I on też.

Podbiegła do niej policjantka, chwyciła za ramię.

Pernille uwolniła się, machając rękami. Pokonała następną.

Biegła i biegła.

Trzymało go dwóch strażników, sięgali już po pałki, rozglądając się dokoła.

W świetle różowego zimowego świtu Pernille Birk Larsen kopniakami, pięściami i krzykiem torowała sobie drogę przez wąskie podwórko, dopadła go, zarzuciła mu ramiona na szyję, objęła nogami jego potężne ciało.

Twarz przy twarzy. Gładki policzek przy chropawym. Słowa, których nigdy nie pamiętała, i które nie miały znaczenia.

Silni sobą nawzajem.

Trwało to tylko chwilę. Ale zdążyli przekazać sobie niewypowiedzianą miłość. Bezbrzeżne oddanie.

Gdy ją odciągnęli, stał jeszcze, zbyt wielki, żeby poruszyć się bez trudu.

Nie miała pojęcia, co pojawiło się w jego oczach. Nigdy się nie dowie. Nie chciała wiedzieć. To, co ważne, miała w sercu, a tam byli jednością.

Ósma trzydzieści. Świeży garnitur, świeża koszula. Świeże powietrze w gabinecie. Dezodorant tłumiał nocny odór brandy. Z podłogi zniknęły papiery.

Przed nim stała Maja Randrup. Poprawiła mu krawat. Obejrzała fryzurę. Twarz.

– Proszę nie mówić jak zwycięzca – zaleciła. – Media niech sobie obwieszczają koniec wyborów. Nikt inny nie może wygrać. Ale odrobina skromności nie zaszkodzi.

Odsunęła się, by ocenić całość. Tak jak dekoratorka witryn sklepowych oceniałaby manekin.

Podowała mu plik kartek z jego mową.

Troels Hartmann nawet na nią nie spojrzał. Nie musiał. Znał każde słowo na pamięć.

Na chwilę jej uśmiech znikł. Zastanawiała się, czy jej aby nie rozczaruje.

Rozczarowujący ludzie byli źli. Pamiętliwi. Wykorzystywali to przeciwko tobie.

To była polityka. Satysfakcja. Retoryka. Wizerunek. Wygląd. To były kwestie nadrzędne.

Zjadliwe spojrzenie kierowało się na jego biurko, nie na niego. Mówiła o nadchodzącej sesji zdjęciowej. O potrzebie wyraźnej, konsekwentnej

osobowości.

– To nam niepotrzebne – powiedziała, wsadzając pod pachę zdjęcia Jacka i Jackie. – Jest...

Zmarszczyła zadarty nos. Już lubił tę minę.

– ...nie na czasie.

W swojej czystej koszuli, poperfumowany, w niezłej kondycji Troels Hartmann stał i czekał. Na polecenia.

Pukanie do drzwi. Morten Weber zwrócił się do niej. Nie do niego.

– Jest gotów?

Ona mówi. Troels Hartmann nie słucha. Na znak Webera, niewysokiego mężczyzny o falistych przeredzonych włosach i w tanich złotych okularach, wychodzi z gabinetu, mija biura liberałów i podąża lśniącymi korytarzami, nie patrząc na otwierające się drzwi, ciekawskie twarze.

W pobliżu wielkiej sali Morten Weber zaczyna klaskać. Maja Randrup też. Aplauz roznosi się jak pożar w suchym upale.

Troels podąża do lśniącej, okazałej sali posiedzeń, w miejsce tak świetliste, że aż oślepiające.

Widzi drzwi. Przystaje. Przechodzi przez próg.

Widzi kamery, twarze, klaszczące dłonie, klaszczące dłonie.

Staje na podwyższeniu przy tronie Kopenhagi.

Odwraca się do tłumów, kamer, wyczekujących twarzy.

I uśmiecha się.

Uśmiecha się.

Uśmiecha.

Jasny dzień, malowany oszczędnymi barwami. Zima docierała do Kopenhagi ze słonym powietrzem ostrym i zimnym, słońcem jaskrawym i oszałamiającym. Lund siedziała pod szpitalem, drząc w cienkim granatowym skafandrze. Rzeczy ciągle miała w piwnicy Vibeke. Tylko parę ubrań i kosmetyczka powędrowały z nią do pokoju w hostelu, który wynajęła przy Dworcu Głównym, nie wiedząc, co robić i gdzie się podziać.

Miała wejść godzinę wcześniej, ale w ostatniej chwili zobaczyła, jak Hanne Meyer z dziećmi podjeżdża taksówką. Więc Lund czekała, skulona w cieniutkiej kurtce, siedząc na murku, paląc i ściskając teczkę, którą dzisiaj rano przemycił jej Jansen. Rozważała w swoim nadczynnym mózgu różne opcje.

Za piętnaście jedenasta wyszły, kuląc się z zimna.

Lund wsadziła teczkę pod kurtkę, naciągnęła kaptur na twarz i została na miejscu, dopóki nie zniknęły.

Wtedy podeszła do recepcji i błagała, by ją wpuszczono.

Trwało to dziesięć minut. Wreszcie poprowadzono ją długim białym korytarzem do separatki na końcu. Zapłaci za nią policja. Musiała, w tych okolicznościach.

Weszła. Na chwilę oszołomiło ją światło z wysokich okien.

Postać przy oknie. Biały szpitalny szlafrok, pod spodem niebieska piżama, połyskujący srebrno wózek.

Błada twarz porośnięta krótkim zarostem. Wielkie uszy. Wyłupiaste oczy, które wydawały się smutniejsze niż kiedykolwiek. Worek z solami

mineralnymi na stojaku do kroplówek, wężyk biegnący do wierzchu jego lewej dłoni.

W telewizorze leciała transmisja z koronacji Troelsa Hartmanna na burmistrza Kopenhagi. Właśnie zajmował swoje miejsce w sali posiedzeń rady, majestatyczny, gdy pozdrawiał ruchem dłoni stojącą widownię, klaszczącą entuzjastycznie na cześć nowego władcy na Ratuszu.

Młody i dynamiczny. Pełen energii i nadziei.

Nadziei.

Meyer siedział przy okrągłym stoliku. Miał w ręku nóż i właśnie powoli obierał jabłko. Wężyk kroplówki przesuwał się w górę i w dół w rytm jego ociężałych ruchów.

– Coś ci przyniosłam. – Wyciągnęła z kieszeni dwa banany.

Spojrzał na żółte owoce z kamiennym wyrazem twarzy.

– Wiedziałam, że dasz radę. Jakoś sobie nie wyobrażałam twojego nazwiska na ścianie komendy.

Bładoniebieska pizama. Biały szlafrok.

W telewizji Hartmann zaczął przemówienie.

– Łajdak – mruknął Meyer.

Świetne słowa. Szlachetne aspiracje. Naturalny dziedzic Poula Bremera.

– On myśli... – Meyer z trudem dobierał słowa. – On myśli, że nie być winnym to to samo, co być niewinnym. Oni wszyscy tak myślą. Myją tylko ręce...

– Muszę...

– Okłamali nas. Te szczeniaki, nauczyciel. Te skurwysyny z Ratusza.

– Musisz...

– Każdy. Gównem ich obchodziła Nanna. Dbali tylko o siebie.

Sięgnął po pilota. Hartmann się rozkręcał. Mówił o odpowiedzialności, o jedności społecznej. Integracji i rozwoju bezpiecznym dla środowiska.

Sprawa Birk Larsen była zamknięta, na dobre. Przez cały ranek media o niej nie wspomną.

Meyer wyłączył telewizor. W pokoju zrobiło się ciężko od ciszy.

Lund wyjęła spod kurtki teczkę Jansena.

Patrzył, jak wyjmuje jej zawartość na stół, obok bananów.

Zdjęcia. Nie znał ich.

– Czego ty chcesz? – spytał wysokim, załamującym się głosem.

– Musisz coś wiedzieć. Coś...

Ta myśl nie dawała jej spokoju od śmierci Vagna Skærbæka. Zdjęcia Jansena tylko ją podsyciły, przewijała się w jej głowie jak film zapętłony w wyobraźni. Był jeszcze jakiś dowód. Kropki domagające się połączenia. Gdyby tylko ktoś jej pomógł. Ktoś, kto jej ufał.

– Popatrz – powiedziała. – Ja to widzę. Więc ty też możesz.

Przez ciemny las, w którym ciemne drzewa nie dają żadnego schronienia, biegnie Mette Hauge.

Bez tchu, dygocze w podartej koszulce i postrzępionych dzinsach, bosa stopy grzęzną w lepkim błocie.

Bezlitosne korzenie smagają jej kostki, gałęzie rozrywają skórę silnych rąk, którymi wymachuje w powietrzu. Upada, z wysiłkiem wydostaje się z ohydnych, wilgotnych wykrotów, próbuje się uspokoić, nie szczekać zębami, myśleć, nie tracić nadziei, ukryć się.

Śledzą ją dwa jasne promienie, tropią niczym myśliwi rannego jelenia. Prześlizgują się powolnymi, coraz węższymi zygzakami przez pustkowie Pinseskoven, przez Las Zielonoświątkowy.

Nagie srebrne pnie wyrastają z jałowej gleby niczym kończyny ciał zastygłych przed wiekami w ostatnim spazmie.

Kolejny upadek, najgorszy. Ziemia ucieka jej spod nóg. Ręce młóca, dziewczyna krzyczy z bólu i rozpacz, zwała się do obrzydliwego,

lodowatego rowu, uderza w kamienie i konary, grzęźnie w ostrym żwirze, czuje, jak jej głowa i ręce, łokcie, kolana obcierają się o twardą, niewidoczną ziemię, która czai się na dnie.

Lodowata woda, strach, ich obecność gdzieś niedaleko.

I okrutna burza szalejąca w jej głowie.

Myśli o rodzicach, samych na dalekim gospodarstwie. O małym, spokojnym świecie, który opuściła.

Myśli o dniu, w którym dostała małą różową tabletkę. Pęd, fala, obietnice. Żądania.

Tani złożony łańcuszek na szyi. Kwas magiczny z Christianii odczyniający swoje wściekłe czary. Nad nią. Nad nimi.

Pustkowiec za Kastrup. Ukryta w żółtych trawach szczeka zębami, krew pędzi w jej żyłach.

Inicjacja, o którą prosiła. Rytuał, z którego nie może się wycofać.

Mette Hauge biegnie, wiedząc, że jest zgubiona. Przed nią nie ma nic, tylko pustkowiec, a potem szara lodowata bariera morza.

Ale ucieka, a potem upada.

Upada i czeka, w gotowości, z zaciśniętymi pięściami.

To Lund widzi jasno w swojej niespokojnej głowie.

– Zdjęcia.

Meyer nie patrzył na nie.

– Poprosiłam Jansena, żeby sprawdził kilka rzeczy. Wszystko, co mieliśmy. Co zostało w magazynie Merkurego.

– Myślałem, że cię wylali.

– Sekcja zwłok Mette. Taśma z garażu ratusza. Nigdy jej nie obejrzelśmy uważnie. Popatrz.

Zdjęcia przesunęły się po stole.

– Na prawej kostce Mette są ślady tatuażu. Czarne serce. Niedokończone. Myślę, że robiono je w dniu jej śmierci. To była część... rytuału.

Patrzył w okno, mrużąc powieki przed jasnym zimowym dniem.

– Nie zrobiono go w salonie tatuażu, profesjonalnymi igłami. Sami go robili. W trakcie ceremonii. Taką próbę trzeba było przejść, żeby przystąpić do gangu.

Meyer zamknął swoje wielkie oczy, westchnął.

– Jeden z gangów nazywał się Czarne Serca. Niewielki. Rozprowadzali w Vesterbro kwas i kokainę z Christianii.

Następne kartki.

– W aktach jest trochę zebranych informacji. Gang przestał istnieć niedługo po zniknięciu Mette.

– Co ty gadasz, Lund?

– Mette się z nimi zadawała. Chciała do nich przystąpić. Dlatego dali jej wisiołek. Stąd tatuaż. To był element ry...

– Słyszałem.

– Jeśli chciała do nich wstąpić, musiała...

Gdy mówiła, stawało się to bardziej oczywiste. Oddychała coraz szybciej. W głowie się jej kręciło.

– Co musiała?

– Pozwolić im na wszystko. Musiała wziąć każdy narkotyk, który jej podali. To był gang motocyklowy, Meyer. Wiesz, o czym mówię. Wiesz, jaką cenę musiała zapłacić.

Zapłacić cenę.

Dwaj mężczyźni. Jednego lubiła. Jednego nie znosiła. Teraz, gdy różowa tabletką kwasu krążyła w jej żyłach, byli tacy sami. Jedna bestia, jeden cel.

Mette Hauge, uwięziona w błocie i trzęsawisku, półnaga, krzyczy w posępne niebo i widzi ich.

Czuje.

Ręce na jej ciele, palce rozrywające jej ubrania.

Musi podjąć decyzję.

Musi się poddać albo walczyć.

Cios pięścią w twarz. Trzask kości. Krzyk strachu i bólu.

Wybór dokonany. W Lesie Zielonoświątkowym nikt jej nie słyszy.

– Tutaj – powiedziała Lund.

Kolejne zdjęcie. Nanna przy dyżurce ratusza, rozmawia z Jensem Holckiem, prosząc o klucze do mieszkania na Store Kongensgade, mówi mu, że wyjeżdża.

Powiększenie.

Na szyi, nieostre przy tym powiększeniu, wisi coś, co wygląda jak wisiołek z czarnym sercem.

– Założyła go, gdy się przebierała po imprezie. Nanna już wtedy miała wisiołek. Pernille i Lotte mówiły, że ona zawsze szperała w szufladach, tam gdzie nie powinna, biorąc sobie rzeczy bez pytania. Nanna sama go sobie znalazła.

Kolejne zdjęcia. Ciało unoszące się w wodzie twarzą w dół. I wyniki sekcji zwłok. Rany po postrzale śrutem. Martwa twarz. Siwy wąs i blizna. Blednący ślad na ramieniu.

Czarne serce.

– John Lynge. Wyłowiony w niedzielę z wody w pobliżu Dragør. Rany z shotguna w klatce piersiowej i głowie. Miał tatuaż. Wyjęłam jego akta. Zanim gwałcił dziewczyny, kazał im się myć. Obcinał im paznokcie.

– Wykluczyliśmy kierowcę – powiedział Meyer zbolalym, znużonym głosem. – Był w szpitalu.

Zawahała się. On wydawał się taki kruchy. Zdenerwowany jej obecnością.

– Wypuścili go o siódmej rano. Mamy zapisy z rejestru. Niedługo później Vagn zadzwonił do agencji, która go zatrudniała. Birk Larsen też z niej korzystał. Więc nigdy się nad tym nie zastanawialiśmy. Agencja dała mu numer komórki Lyngego. Vagn z nim rozmawiał. Chciał uniknąć kłopotów. Dla dobra Nanny....

– Ale...

– Vagn cię postrzelił. Vagn zabił Leona Freverta. Zabił Johna Lyngego. Tyle było wiadomo.

– Sam widziałeś. On kochał tę rodzinę. Kochał chłopców. Kochał... – myślała, uruchamiała wyobraźnię. – Kochał to, czym się stał Birk Larsen. On miał coś, czego Vagn nigdy nie znalazł dla siebie.

– Lund...

Obrała banana, ugryzła. Obrazy tworzyły się w jej głowie, gdy mówiła. Podobało się jej to.

– Vagn nie miał wytatuowanego czarnego serca. Nanny nie zaatakowano w tej części lasu, do której zabrał Theisa. W ogóle nie ma śladów, żeby była tam kiedykolwiek. Vagn o tym nie wiedział. Bo jej nie zabił.

Meyer schował twarz w dłoniach. Wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

Sobotni poranek, nazajutrz po Halloween, przed domem w Humleby. Było jasno i słonecznie. Wiatr nosił ulicami papierowe maski potworów z poprzedniego wieczoru.

Vagn Skærbæk obchodził plastikowe płachty i rusztowanie, odwracał się, by nakrzyczeć na wściekłą twarz w niebieskiej szybie okienka piwnicznego.

Ktoś szedł ku niemu przez zielony trawnik parku Enghaven. Niedługo Anton i Emil będą się tam ścigali na nowych rowerach, które Skærbæk zamówił w sklepie z zabawkami na Strøget, płacąc za nie pieniędzmi z przemycanego alkoholu. Niedługo...

Zbliżający się mężczyzna był wysoki i muskularny. Zatrzymał się przy domu, sprawdził numer, spojrzął na forda i powiedział:

– Cześć, jestem John. Dzwoniłeś w sprawie samochodu. – Jeszcze jedno spojrzenie na tył czarnego pojazdu. – Chyba nie jest uszkodzony.

– Nie jest. Wszystko z nim w porządku.

Chwila przerwy.

– Zaglądałeś do środka?

– To było nieporozumienie, dobra? Pomyłka.

Chwilę stali w milczeniu, mierząc się wzrokiem.

– Czy ja cię nie znam? – spytał Skærbæk, czując zadziwiającą pewność, że już go kiedyś musiał spotkać.

– Skoro nie ma zniszczeń... – zaczął mężczyzna.

– Znam cię.

– Co się stało?

– A to ważne? Odzyskałeś go. Nie ma zniszczeń. Nie możemy tego tak zostawić?

Ziemista twarz, może chora. Tanie ubrania. Siwy hipisowski wąs. Blizna na prawym policzku. W głowie Skærbæka zaświtało wspomnienie, nie dawało mu spokoju, a nie chciało się skryzalizować.

To była długa i trudna noc. Ciągłe napełniała go goryczą kłótnia z Nanną w mieszkaniu, w którym znalazł ją po telefonie Freverta. Próbował wyłuskać jakąś prawdę spośród kłamstw, którymi go zasypała, plując i drapiąc go paznokciami.

– Nie pójdziesz na policję, dobra? To w sumie dobre dziecko. Nie ukradła go. Zadawała się z takim hinduskim chłopakiem. Boże, jakbym go dorwał w swoje ręce. Na podłodze znalazłem twój identyfikator z agencji. Proszę...

Mężczyzna z blizną wziął kartonik i kluczyki.

– Nie lubię policji – powiedział. – Samochód chyba w porządku. Zapomnijmy o tym. Nic się nie stało.

– Ja cię znam – powtórzył Skærbæk. – Może z agencji. Czasami z nich korzystamy...

Jasny poranek wydawał się dziwny i pogmatwany. W domu w Humleby ledwie zmrużył oczy, słuchając jej krzyków i błagań dobiegających z piwnicy, w której ją zamknął.

Teraz młody głos za rusztowaniem i płachtami znowu był wysoki i przenikliwy, i przybierał na sile.

Vagn Skærbæk, rozzłoszczony, podszedł do drzwi wejściowych, schylił się, spojrział na niebieskie szkło i krzyżącą za nim twarz.

– Nanna! Na miłość boską, zamknij się! Zostaniesz tam, aż się skontaktuję z twoim tatą. Tak czy owak wrócę o dwunastej. Przynajmniej będę wiedział, gdzie jesteś.

Z oczami przy szybie, zarzucając blond włosami, krzychała:

– Vagn, ty chory...

– Czekać no tylko! Oni chcieli mieć wakacje. Weekend za miastem. Odpoczynek. Przede wszystkim od ciebie.

Wtedy zamilkła.

– Pomyśl, co powie twój tata, jak się dowie, co? Jezu! Żeby kraść samochód...

– Nie ukradłam tego pierdolonego wozu!

– No to twój szmaciarski chłopak. Jezu, wykapany Theis. No nie?

Mężczyzna przy czarnym fordzie drgnął.

Skærbæk nie zwracał na niego uwagi. Myślał o Nannie.

– I zdejmij ten cholerny wisiołek, zanim tata wróci. Jak on to zobaczy...

Nie dokończył. Wrócił na ulicę, do mężczyzny, który zaglądał do bagażnika samochodu.

– No i jak, nic nie zginęło? – spytał.

Tamten szybko opuścił klapę.

– Nic.

– Cholerne szczeniaki – burknął Vagn Skærbæk. – Jak dla mnie może sobie zostać w tej dziurze i gnić. Jak jej stary się dowie...

Nieznajomy słuchał.

– Co ona zrobiła?

– Nieważne. – Skærbæk wyjął telefon. Jeszcze raz spróbował zadzwonić. I znowu połączył się z pocztą głosową. – Daj spokój, Theis. Mam robotę na głowie.

– Najlepiej ją tam zostawić – zasugerował nieznajomy. – Dzieciakom trzeba dać czasem nauczkę.

Z tyłu dobiegły jęki.

– Oj, się nasłucha – mruknął Skærbæk, po czym jeszcze trochę nawymyślał w niebieskie okno.

To było bezcelowe. Ona nigdy nie zwracała na niego uwagi. Na nikogo w sumie.

Zostawił więc samochód mężczyźnie, który wydawał mu się znajomy, a potem odjechał do garażu, przeklinając pod nosem. Załatwiał zamówienia, telefony, oddzwonienia i dostawy, kombinując tak, żeby wszystko grało.

Dwadzieścia minut później zasnął na krześle w biurze. Nie ruszył się przez trzy godziny. Aż nagle wybudził go ostry, okrutny koszmar i zadziwiające wspomnienie. Chyba zbyt prawdziwe. Zbyt prawdziwe.

Jasny dzień. Pusty.

John Lynge spojrział na czarnego forda. Ciągłe słyszał piskliwy głos dobiegający z domu przez niebieskie szyby.

Głos dziewczyny. Silny i słaby jednocześnie. I młody, i świadomy.

Głos dziewczyny.

Rozejrzał się po pustej ulicy szarych domów. Podszedł do okna. Widział ją przez barwne szkło. Kręcone włosy. Piękna twarz. Błagalny wzrok.

– Niech mnie pan stąd wypuści, proszę pana.

Jeszcze jedno ostrożne spojrzenie po opuszczonej ulicy w Humleby. W prawo. W lewo.

– Niech mnie pan stąd wypuści, zanim wróci ten łajdak.

Dziesiąta z minutami. Ma jeszcze z godzinę w zapasie.

– Proszę. Coś panu dam. – Urwała. – Pieniądze.

Listopad. Zawsze wybierał ten miesiąc. Nie spodziewał się, że okazja nadejdzie tak szybko. Pierwszego dnia. Ale nadeszła. Zawsze nadchodziła, od tamtego pierwszego razu, który wprowadził mechanizm w ruch, jak w zegarku, raz do roku.

– Dobra – powiedział, po czym wrócił do forda i znalazł walizkę, którą poprzedniej nocy zostawił w bagażniku.

Otworzył ją.

Nożyczki i butelka eteru. Knebel. Dwa noże, dwie rolki srebrnej taśmy. Wkrętak i dłuto. Butelka mydła w płynie, gąbka i chusteczki antyseptyczne. Dwie paczki prezerwatyw i tubka lubrykantu. Był skrupulatny, zawsze jeździł przygotowany.

– Proszę pana! Hej! – pisał młody głos z piwnicy.

Lynge zamknął walizkę, podszedł do drzwi. Zostawili swoje narzędzia. Łom czekał, aż się prosił.

To było proste.

Drzwi u stóp schodów były zamknięte na klucz. Na zewnątrz leżała jej połyskująca torebka, zostawiona tam, jak się domyślał, na później, jak już będzie dobrze.

Podniósł ją. Chusteczki, portmonetka, telefon. Paczka prezerwatyw z wizerunkiem szczęśliwej pary. Nadzy. Uśmiechnięci.

Lynge podniósł ją do ust i pocałował obrazek. Zaśmiał się do siebie.

Dziewczyna wołała zza drzwi.

– Już idę – powiedział. – Nic się nie martw.

Lund bawiła się swoimi włosami, mrużąc oczy przed bladym słońcem. W teczce Jansena było więcej zdjęć. Wykonał dobrą robotę. Dużo ryzykował, żeby jej pomóc.

– Vagn powiedział Theisowi, że odebrał telefon od Nanny. To wykluczaliśmy. Zamknął ją na noc w piwnicy w Humleby. Ale to Lynge ją tam zaatakował. Wyciągnął ją następnego ranka. Zabrał gdzie indziej.

– Dlaczego Vagn nie poszedł na policję?

Głos miał rozdrażniony, zbolały.

– Dopóki Nanna nie zniknęła, nie zdawał sobie sprawy, kto to był. Znowu zadzwonił do agencji, z której korzystał Birk Larsen. Vagn szukał. Przypomnił sobie.

– Co sobie przypomniał?

– Vagn kochał Nannę. Kochał ich wszystkich...

– Więc dlaczego powiedział, że ją zabił? Dlaczego nie rozmawiał z nami?

Zjadła jeszcze trochę banana. Zamilkła.

– Potrzebujesz pomocy – stwierdził Meyer. – Ty powinnaś być w szpitalu, nie ja. Łamiesz ludziom życie, wiesz?

– Meyer...

– Złamałaś swoje. Złamałaś moje. Łamiesz życie każdemu i nawet nie zauważasz tego na tyle, żeby się przejąć...

– Ależ się przejmuję!

Na korytarzu pojawiła się pielęgniarka. Zaglądała przez szybę, szukając źródła podniesionych głosów.

– Przejmuję się – powtórzyła ciszej.

– Nie. Tak ci się tylko wydaje. Jeśli człowiek się przejmuje innymi, buduje związki. Relacje. Ty polegasz na innych, a inni polegają na tobie. Ty się, Lund, nie wiążesz. Ani ze mną, ani ze swoją matką, ani z synem. Tak samo jak ten łajdak Hartmann. Albo Brix...

Oczy mu lśniły. Myślała, że Meyer się rozplacze.

– Ja mam rodzinę. Theis i Pernille też mieli, aż przyszło to czarne cholerstwo i rozerwało ich na części. Z niewielką naszą pomocą. Nie zapominaj...

– Przejmuję się – wyszeptała, czując, że łzy przesłaniają jej oczy.

Nie był okrutny. Nawet nie był twardzielem. Na początku źle go oceniła. Meyer nie chciał jej zranić. Po prostu nie rozumiał.

– Vagn tego nie zrobił. Jak już się lepiej poczujesz... Jak już stąd wyjdiesz, wrócisz do pracy, Możesz pójść i poszukać akt. Jestem tak blisko. Na miłość boską. Musisz mi pomóc...

Jan Meyer odrzucił głowę do tyłu i ryknął.

Dwadzieścia lat wcześniej komórki kosztowały majątek, więc zapuszczona, zrujnowana prawie firma Merkury miała tylko dwie. Aage Lonstrup siedział pijany w biurze, nie mając pojęcia, że jednej z nich brakuje. Nie orientował się, gdzie zniknęli dorywczy pracownicy, którzy mieli zastąpić stałych. Grafik zleceń i tak świecił pustkami. Nie było roboty. Ani przyszłości.

Vagn Skærbæk wertował terminarz, starając się utrzymać na powierzchni. Martwił się. O pieniądze. O przyjaźń. O przyszłość.

Zadzwoniła wielka czarna komórka na biurku. Tak trzeszczała, że ledwie było słycać.

Skærbæk słuchał.

Niewyraźny, przerażony głos prosił o pomoc.

Skærbæk spojrział na Lonstrupa chrapiącego przy biurku.

Wziął furgonetkę Merkurego i ruszył do Vestamager. Podążał wąskimi drogami, mijał płoty, za którymi pewnego dnia miały być nowe domy i linia metra biegnąca w dzikie zakątki nad szarym Sundem, mijał znaki ostrzegające przed ostrzałem, jechał na pustkowia.

Serce mu łomotało, umysł pracował gorączkowo.

Nad czarnym kanałem znalazł dwa motory. Jeden – triumpha – rozpoznał. Drugiego – tańszej, małej hondy – nie.

Myślał przez chwilę. Otworzył tylne drzwi, zsunął rampę, dźwignął obie maszyny do środka.

Listopad. Światło gasło. Żadnego dźwięku, tylko odrzutowce przylatujące na Kastrup i odlatujące z niego.

Mógł zawrócić. Pojechać do swojego mieszkanka. Czytać wypożyczone książki, poradnik, jak zostać nauczycielem. Próbować zebrać wątki życia, które nigdy tak naprawdę się nie zaczęło.

Ale długi trzeba było spłacać. Sumienie było jak rana. Kiedy się je skubało, krwawiło, aż coś, jakiś wyrównujący uczynek przychodził i tamował krwotok.

Wyjął więc latarkę i ruszył na pustkowia, raz za razem wołając jedno imię.

– Dzięki – powiedziała dziewczyna, gdy Lynge wyłamał drzwi.

Śliczna. Blondynka. Zmęczona. Wściekła.

Nie przerażona. Jeszcze nie.

Odwrócił się i zamknął za sobą drzwi do piwnicy.

Godzina i będą gdzie indziej. Na mokradłach. W kryjówce myśliwego. W szopie na drewno. Las Zielonoświętkowy znał dobrze. Zawsze tam umiał

coś dla siebie znaleźć. Mógł ją umyć zimną, czarną wodą, obciąć jej paznokcie, uczynić swoją.

– Wychodzę – oznajmiła.

Oparł się o ścianę. Patrzył.

Dwadzieścia lat, co listopad jedna dziewczyna, jak przedwczesny prezent gwiazdkowy. Zwykle kurwy i włóczęgi. Męty z krańca świata, takie jak on. Tyle ich było przez te lata, że po jakimś czasie zacierały się różnice między nimi.

Ale ta była inna. Ta była piękna, młoda i czysta.

Otworzył walizkę, wyjął butelkę eteru i gałganek, położył je na podłodze. Zdjął pasek, sięgnął po rolkę srebrnej taśmy, odwinął odcinek, odciął.

Dopadł ją w chwili, gdy zaczęła krzyczeć. Silne ramiona otoczyły złotą głowę, silne palce nakleiły taśmę na ślicznych ustach, jeden mocny cios w głowę powalił ją na podłogę.

Łatwo, pomyślał.

Zawsze było łatwo. I tak się o to prosiły.

John Lynge zerknął na zegarek. I zaczął.

– Po co Vagn by to robił?

– Muszę mieć pewność. Nie chcę tego znowu spieprzyć. Nie chcę nikomu sprawiać bólu.

– To możliwe?

– Tak, możliwe.

Zamrugnął oczami. Wziął nóż, wrócił do obierania jabłka, nie zauważając, że obrana część zbrązowiała.

Przezroczyta rurka w jego ręku podskakiwała pod torbą i srebrnym słupkiem.

– Powinnaś już iść – powiedział.

Nie pokazała mu ostatniego zdjęcia. To nie był właściwy moment. Później. Jak się poczuje lepiej. Kiedy wróci.

– Niedługo wrócisz na komendę. Jak tylko Brix zrozumie. Kiedy sprawdzisz akta, powierzy ci...

– Wynoś się! – wrzasnął.

– Jesteś mi potrzebny! Potrzebuję twojej pomocy!

Weszła zdenerwowana pielęgniarka i pociągnęła ją za ramię.

– Meyer. Jak już wrócisz do pracy...

Podniósł nóż do pionu i podsunął jej pod nos. Ostrze było tak blisko. Lund ucichła. Pielęgniarka też.

– Co powiedziałaś?

– Kiedy wrócisz do pracy – wyszeptała, po raz pierwszy przyglądając mu się uważnie. Zauważyła, że siedzi dziwnie, nieruchomo. I że lewa ręka tak silnie trzyma koło wózka.

W pokoju nie było kul. Żadnych oznak powrotu do zdrowia, których mogłaby się spodziewać.

Jan Meyer machnął jej pod nosem nożem do owoców, po czym go odwrócił, chwycił mocno drewnianą rączkę i wbił ostrze w nogę w niebieskiej piżamie z potężną, rozmyślną siłą.

Pielęgniarka krzyczała. Lund siedziała na krześle, sztywna i przerażona.

Nie poczuł nic. Teraz to zobaczyła i zastanowiła się, dlaczego odkąd tu weszła, nie zadała tego prostego, sensownego pytania.

„Jak się czujesz?”.

Nie dlatego, że nie chciała wiedzieć. Po prostu inne były ważniejsze. I tyle.

– Wynoś się – błagał Meyer. – Na miłość boską, zostaw mnie w spokoju.

Przyszedł lekarz i pielęgniarz. Dwie osoby wywlokły ją za drzwi, a jedna dopadła Meyera i wyciągnęła nóż z jego ciała.

Ciemna krew barwiła niebieską tkaninę. Rozlewała się powoli. Ani śladu bólu na szczeciniastej twarzy. Żadnego znaku, że cokolwiek poczuł.

Trzymali Lund za ramiona, silniejsi od niej.

Chciała coś powiedzieć. Ale nie mogła.

Coś...

Theis Birk Larsen dostanie tylko trzy lata. Tak obstawiali na komendzie.

Trzy lata, po połowie zwolnienie warunkowe. Wyjdzie za osiemnaście miesięcy. Theis i Pernille przetrwają, może w pewien dziwny, okrutny sposób staną się silniejsi.

Niebo ciemniało. Zbierało się na deszcz. Może i na śnieg.

Vibeke zabrała jej zielonego garbusa. Więc Lund poszła na stację, kupiła bilet do Vestamager, wsiadła do pustego pociągu i patrzyła, jak za oknami znika miasto. Po pewnym czasie zostały tylko płaskie pustkowia, przyspieszające w miarę, jak ona zbliża się do stacji końcowej.

Znalazł tę trójkę w płytkim, błotnistym wgłębieniu ukrytym wśród żółtych traw, niedaleko wąskiego kanału. Najmniejsze z nich, półnaga, zakrwawiona kobieta, się nie ruszało. Mężczyzna z Zapatowskim wąsem i blizną na policzku, tatuażami i długimi czarnymi włosami, z dzikim wzrokiem, rechotał i szturchał ją od czasu do czasu. Drugi, największy, zwinięty w kłębek, oczami zagubionymi i nieobecny, z kałużą wymiotów przy rudej głowie.

– Theis – zawołał Skærbæk.

Wąskie oczka spojrzały na niego. Żrenice czarne i szkliste, puste i głębokie jak woda w kanale.

– Jezu, coś ty tym razem narobił?

Facet z durnym wąsem przestał trącać dziewczynę, wyciągnął z kieszeni butelkę. Łyknął piwa i podał je Theisowi Birk Larsenowi.

Skærbæk chwycił butelkę, wyrzucił ją i nakrzyczał na nich.

Nie wiedzieć czemu, dziewczyna nie żyła. Ci dwaj zagubili się w wymyślanym świecie kwasu, gdzie nic nie było prawdziwe.

Rozstaje dróg.

Chciał zawrócić, zostawić ich tam.

Chciał zadzwonić na policję – po raz pierwszy w swoim małym, nieistotnym życiu.

Ale długi trzeba spłacać. Sumienie pracowało. Znajdowali się na Kalvebod Fælled, na pustkowiach, których nikt nie odwiedzał. W miejscu idealnym do ukrycia. Skærbæk dokonał trudnego wyboru.

Poszedł więc do furgonetki Merkurego, wlaż za triumpfa i hondę, wyjął folię i mocną taśmę, wrócił do tamtej trójki w błocie. Odepchnął idiotę z wąsem, gdy ten zaprotestował. Zawinał martwą dziewczynę, i jeszcze raz, i jeszcze, zawinał ją ciasno jak dywan przed transportem.

Wrzucił ją do głębokiego kanału. Wrócił i wrzeszczał na nich, aż dotoczyli się do furgonetki.

Ten nieznajomy miał na imię John. W ogóle nie chciał odchodzić. Gotów był chyba tam zostać, wyciągnąć martwe ciało z wody, odwinąć je z folii Merkurego i zacząć wszystko od początku.

Zanim Skærbæk ich stamtąd wywiózł, noc stała się czarna jak smoła, wilgotna i przenikliwa.

Vagn Skærbæk wiedział, że nigdy tego nie zapomni. Zrozumiał, że sam do nich dołączył. Był taki sam.

Kiedy dojechali do ulicy, gdzie kilka latarni wyznaczało miejsce przyszłej stacji metra, zatrzymał furgonetkę i kazał im wysiadać. Kazał opróżnić kieszenie z haszu, żywicy, tabletek i pigułek. Krzyczał na nich, groził, aż mu przeszło.

Dwadzieścia minut później wyrzucił Johna i jego obitą hondę na małej ulicy koło Christianii i pomyślał: Nigdy wcześniej nie widziałem twojej

twarży i modłę się, żebym jej już nigdy nie zobaczył.

Pojechał do Vesterbro, słuchając pomruków wielkoluda na fotelu pasażera, zwiniętego w kłębek ze wstydu i przerażonego powracającymi wspomnieniami.

– Nie mogę cię ocalić dwa razy.

W którymś momencie musiał narzygać na podłogę.

– Nie żartuję, Theis. Musisz z tym skończyć. Zostawić tych gości z gangu. Wróć do tej ślicznej dziewczyny, tej, co się w tobie kocha.

Milczenie.

Vagn zatrzymał się na poboczu nieopodal mostu Dybbølsbro, patrzył, jak wieczorne kurwy pokazują nogi przejeżdżającym samochodom.

Odwrócił się do leżącej bezwładnie postaci.

– Jeśli tego nie zrobisz, już po tobie. Jeszcze jeden gnojek z Vesterbro pójdzie na śmietnik.

Wąskie, chytre oczka wpatrzyły się w niego.

Skærbæk nigdy nie umiał ich rozszyfrować.

Opuścił szybę, żeby wywietrzyć odór rzygowin i odetchnąć zimowym powietrzem.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął coś, co zdjął z szyi martwej dziewczynie.

– Masz – powiedział i wcisnął Birk Larsenowi w zakrwawioną rękę.

Tani wisiołek, serduszko z czarnego szkieleka.

– Teraz jest twój. Żebyś pamiętał. Masz o tym myśleć i modlić się, żeby już nigdy nic takiego...

Wściekał się. Musiał krzyczeć.

– ...żeby już nigdy nie wróciło i cię nie nękało. Drugi raz cię nie ocale. Nie mogę. Choćbym chciał.

Ktoś zapukał w przednią szybę. Zabiedzona chuda twarz, kiedyś ładna. Dziewczyna z Vesterbro, którą Vagn Skærbæk ledwie kojarzył.

– Ty płaczesz? – spytała ze zdziwieniem.

Wrzucił bieg i odjechał stamtąd.

Theis Birk Larsen siedział obok niego, ściskając wisiołek. Wpatrywał się w czarne serce.

– Wsadź to do kieszeni – nakazał mu Skærbæk i sprawdził, czy Theis go posłucha. – Zatrzymaj to. Popatrz sobie, jak następnym razem jakiś debil się trafi i nakładzie ci durnych pomysłów do tego durnego łba. Masz myśleć...

Długi spłacone. Długi zwrócone. Byli dwójką smarkaczy z Vesterbro i żyli na krawędzi, zawsze tak będzie. Tym bardziej trzeba było pamiętać, jak łatwo się omsknąć i spaść na dobre.

– Masz myśleć, a jeśli kiedykolwiek przestaniesz, wrócimy któregoś dnia do tego koszmaru. Bo znowu uwolnisz potwora.

Milczenie.

My tacy nie jesteśmy, pomyślał Vagn. Nie do końca.

Vesterbro. Brudne ulice. Tanie domy. Dziwki i narkotyki. Taki świat.

Wisiołek z czarnym serduszkim, jak przekleństwo Cyganki. Theis Birk Larsen mógł je zabrać ze sobą do grobu.

– Tego nie chcesz – powiedział Vagn Skærbæk, jadąc po wyboistej brukowanej drodze, wpatrując się w szarzyznę przed sobą. – Nikt nie chce.

Lund wzięła rower z centrum szkoleniowego nieopodal stacji i jechała przez lodowaty deszcz ku mokradłom i bagnetom. Znalazła niski metalowy mostek, siadła na betonowej belce, która go przecinała. Ramionami objęła balustradę, nogi zwiesiła nad wodę. Tak jak Amir El' Namen tydzień wcześniej ze swoim smutnym bukietem, płacząc nad czarną wodą, w której zginęła Nanna.

Wszystko to było na zdjęciach i w dokumentach, które znalazł dla niej Jansen. Samo w sobie wystarczało. W sumie nie potrzebowała Meyera.

Proszenie go o pomoc było z jej strony tchórzostwem. Nawet Brix by jej wysłuchał, gdyby go zmusiła.

Gdyby...

Odłożyła tę decyzję na później i podsumowała, co wie.

Nanna wyjeżdżała, zabierała ze sobą wspomnienia. Jej ojciec nigdy przy pracy ani przy zmywaniu naczyń nie podwijał rękawa, nigdy nie odsłaniał ramion, gdy policja była w pobliżu.

Ale dziecko widuje te stare tatuaże. Dziecko połączy je z czarnym sercem, które znajdzie ukryte w zamkniętej na klucz szufladzie. A kochająca córka, która ucieka z domu, będzie chciała zabrać ze sobą w podróż wspomnienie.

Vagn zrobił to, co zrobił, ponieważ taki był. Człowiek, który wszystko naprawiał, dzięki któremu wszystko grało.

Nie znalazł Nanny w Humleby. Została tylko krew w piwnicy i to doprowadziło jego myśli aż do Lasu Zielonoświątkowego.

Oni wszyscy byli włóczęgami. Tak powiedziała córka Lonstrupa. Ich ścieżki ciągle się przecinały przez lata, dźwiganie mebli, dobijanie szemranych interesów. Theis, Vagn i potwór, którym był John Lyng – pierwszy człowiek, którego ścigali, a potem puścili – próbowali się utrzymać przy życiu w pępym półświatku Vesterbro.

Sięgnęła do granatowej kurtki. Mżawka nie mogła się zdecydować, czy przejść w śnieg, osiadała na niej, mroziła jej policzki. Prosty koński ogon niczym sopel lodu przyłgnął jej do szyi.

Lund wyjęła ostatnie zdjęcie. To, którego nie pokazała Meyerowi.

Dwadzieścia jeden lat wcześniej. Wyblakła fotka. Przed hipisowskim domem w Christianii ozdobionym jaskrawymi pacyfkami i symbolami miłości. Trzy osoby. Pośrodku Mette Hauge, włosy długie i tłuste, twarz pusta i otepiała. Niewinność, która zeszła z prostej drogi, kierowana

ciekawością i dziecinnym poczuciem ekscytacji. Tak jak kiedyś Pernille. I tak jak Nanna.

Po lewej stronie Mette długowłosa mężczyzna z Zapatowskim wąsem, zmarszczonym czołem, głęboko osadzonymi oczami i chyba świeżą raną po nożu na prawym policzku.

Gdyby ściąć włosy, postarzyć bliznę, przyciąć i posiwicć wąs... John Lynge.

Po drugiej stronie młody Theis Birk Larsen – wielki, imponujący, brutalny. Rude włosy, rudy zarost. Uśmiechający się triumfalnie do aparatu, niebieskie dzinsy, kamizelka w kolorach gangu. Obejmuje ją w geście posiadacza. Król dzielnicy. Na napęczniałym prawym bicepsie ledwie widoczna linia tatuaży. Pośród nich ten, który musiał być małym czarnym sercem.

Istniało tylko jedno rozwiązanie zagadki, którego nie chciała dostrzec w szpitalu. Udręczony bólem, wstydem i poczuciem winy Vagn Skærbæk oddał swoje życie, by ten drugi Theis pozostał w ukryciu. Pochował prawdę o Nannie z przerażenia, że gorszy koszmar podniesie się z posępnych pustkowi Kalvebod Fælled wraz z czarnym fordem Johna Lyngego ociekającym cuchnącą wodą i świeżą krwią. I zachował sekretny cud, który miłował nade wszystko i którego zazdrościł – więź rodzinną, więzy, które utrzymały Pernille, Theisa i chłopców w obliczu ponurego, nieczułego świata.

Wszystkie linie się połączyły, choćby tylko w głowie Lund.

Wiatr pomrukiwał pośród nagich srebrnych drzew Lasu Zielonoświątkowego. Usłyszała ciche pohukiwania sów, zbolące piski lisa, oddech, szelest i ruchy świata. W wyobraźni widziała wszystkie martwe twarze, które John Lynge pochował gnijące pod taflą obrzydliwej wody, patrzyła na ich otwarte usta, słyszała ich krzyki.

To ich krzyki i krzyki Nanny obudziły ją w tamten poranek, przed podróżą do Szwecji, gdy spała w objęciach Bengta Roslinga, mężczyzny, którego nigdy już nie zobaczy.

Krzyki, przed którymi nigdy nie ucieknie. Poczucie winy, którego nie uniknie.

Siedząc na mostku, z nogami w powietrzu, Sarah Lund wpatrywała się w ziarniste zdjęcie odbarwiający się ze starości. Troje ludzi, dwoje już zmarło, trzeci żył uwięziony w swoim niemym poczuciu winy.

Za osiemnaście miesięcy Theis Birk Larsen powróci do świata, spróbuje odbudować swoją firmę, rodzinę, odnaleźć człowieka, którym chce być, zgubić potwora, którym był kiedyś.

Mordercę Mette Hauge. A ona trzymała dowód w swoich rękach.

Patrząc na lodowaty deszcz padający na stare zdjęcie w jej palcach, Sarah Lund oparła się o metalową balustradę i zastanawiała się, czy odpuścić.